

Rapacki Wincenty

GRZECHY KRÓLEWSKIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

KSIĘGA PIERWSZA.

Było to jakoś w rok po śmierci królowej Cecylii Renaty, zaraz po sejmie, który się rozprzął, nic nie działywszy. Bawiliśmy natenczas z królem w Kielcach, rezydencyi biskupa krakowskiego, którym zostawał od lat kilku Piotr Gębicki, exkanclerz wielki koronny.

Zima była śnieżna. Mróz srogi, jak złapał na gromnicę, trzymał krzepko już trzeci tydzień.

Zdrowie pańskie, acz w czasie zapust szwankowano, bo przeleżał obłożnie ze dwa tygodnie na ów kamień niecnotliwy, który go trapił z wielkiem umartwieniem całego dworu, było kwitnące — i my też wszyscy dobrej myśli a wesela w duszy — bo nie było na świecie Pana dobroci większej. jak ongi nasz ukochany król. ś. p. Władysław.

Pan to był. co się tknie, Majestatu królewskie

go, że trudno było znaleźć drugiego w Enropie mówiono, że nieboszczyk cesarz Ferdynand mógł się z nim tylko równać, aleć ja tego nie powiem. Widziałem go, będąc w Wiedniu z panem podskarbisem, i zawsze mówię, że nasz król był królem, że tak powiem, i z ciała, i z duszy, a tamten tylko z ciała, bo zdawało mi się zawsze, patrząc na niego, że pod spodem tego majestatu, który udawał, inna jakai persona siedzi — jak gdyby kawałek mnicha zeń wyglądał. '

Nasz król miał królewskie serce, zdawało się. że wszystek anitnusz naszych wielkich antecessorów w nim się odbił.

Potężnej budowy ciała, o ile że w tuszę teraz rósł coraz bardziej, która ona bogdaj nie przyczyniła się najwięcej do jego śmierci, bo to choróbsko miało się gdzie gnieździć. Twarzy szlachetnej. pełnej dobroci, która nie raz i pioruny straszliwe umiała ciskać.

Gdy szedł w gronie senatorów, lubo i między nimi byli nie ułamki, jak kanclerz wielki lit. Radziwiłł, kanclerz koronny Ossoliński. Opaliński marszałek. Konicpolski hetman i inni. zdawało się Atlas, który na barkach świat niesie.

Stworzon był też. aby przynajmniej z ćwierć cnego świata wziąć na siebie. Za młodu śniła mu się korona moskiewska, szwedzka mu się z prawa należała, polską wziął z woli wolnego narodu, a w zamysłach pańskich co tam jeszcze było, o tem niżej się powie.

świecił też wówczas ten tron polski lustrum nieporównanym.

Co tylko było w narodzie najprzedniejszego, ubiegało się w służby takiemu panu.

Dwór miał w posługach pacholęta największych imion, a od cudzoziemców roilo się w Warszawie i to od takich, co li z ciekawości, a z wielkiej rewerencyi i części dla króla Władysława odwiedzać Polskę bieżeli.

Siedziało też tego przy królu co nie miara, ze szkodą nawet naszych, co mu panowie nieraz naganiiali, ale niesłusznie — chleba i dla nas nie brakło, a sławę imienia polskiego roznosili po świecie.

Dziś za to... żal się Boże!.. Alem odbiegi od materyi głównej, bo do tej po staremu dość często wracać będę. oplakując całe me życie wielkiego króla, za którego panowania ojczyzna nasza używała błogiego spokoju, dostatku i szczęśliwości wszelakiej tak wielkiej. jakiej już po tem nie miała i chyba nigdy mieć nie będzie (co nie daj Boże).

Ta podróż nasza do Kielc przedsięwzięta nie tyle gwoli polowaniu, choć nie było do pogardzenia w taki czas przedziwny, ile raczej ku nawiedzeniu biskupa w jego duchownych dobrach.

Opuścił on kanclerski urząd pełen żalu do króla, że prawie gwałtem promował nań Ossolińskiego jego wroga, i gdy się po Zadziku wakans

otworzył na biskupstwo krakowskie, pieczęć mu odjął i do Krakowa jechać zmusił.

Król szanował niezmiernie biskupa i czuł doń prawie synowski afekt — gryzło go. że gwoli polityki uraził starca, co od jego kolebki prawie cały żywot swój przy nim spędził, dla tego leżała mu na sercu ta obraza — więc niby dla zwiedzenia Kieleckiego zamku, który tylko co ukończony po Zadziku i obejrzenia cudnych malowideł, reprezentujących z nieporównaną sztuką wszystkie wojny królewskie. przez Piotra Danhōrs'a, Holenderczyka malowanych, upozorowaną była ta podróż.

Wybrał się król z małym dworem, bo prócz mnie wziął tylko Fantoniego Sekretarza, Ryłskiego, Zabickiego, Platemberga i Krafra swego medyka.

Ksiądz biskup przyjmował Pana z radością wielką — i nic dziwnego, tyle lat patrzył na swego ulubieńca, aż tu w starości rozstawać się z nim przyszło. Wdzięcznym też bardzo sercem przyjął biskup ten dowód królewskiej miłości i radzi sobie byli obaj wielce.

Piękną była persona księdza biskupa. Twarz ściągała, szlachetna, acz nieco surowa. Oczy mądre, a takie, że aż w głębi człowiekowi patrzyły. Kos kształtny, usta zamknięte, w których czytać mogłeś energią i siłę niezłomną. Wąs rzadki dosyć wargi mu nie przykrywał, a broda równo ucięta.

Było w tym człowieku coś z rycerza i księdza. Miasto infuly wsadź mu kołpak i daj szabit; w rękę, a wtedy idź za nim choć do piekła, bo zwycięży pewnie. Taką dufnością człeka napelniał. Odbył on też z królem Zygmuntem i królewiczem nie jedną kampanią, a jak chwalebnie, jak zaszczytnie, gęsto o tem w kronikach.

A co to był za myśliwiec ! Po królu Władysławie i po panu Niewiarowskim, leśniczym mereckim, położyłbym go na pierwszym miejscu. Lubo starzec lat sześćdziesięciu, siłę miał olbrzyma. Trzeba się przy nim było krzepko trzymać. żeby nie oberwać jakiego pogardliwego imieniska, bo szafować tem lubił.

Kapłan był czysty, praw. Surowych obyczajów. Temu też pięknemu życiu zawdzięczał te siły i zdrowie, któremi w nas młodych podziw budził.

Na jego dworze nie znalazłeś owego mnóstwa krewniaków, co się to zawsze rewerendy trzymać zwykli, albo owych białychgłów podejrzaney kondycyi — było dworno ale czysto, ale bogobojnie a mądrze z taktyką wielką.

Płynął nam tu czas rozkosznie. Całemi dniami uganiałiśmy się po lasach i górach za dzikiem lub trapiąc lisów, których tu była moc wielka. Wieczorami miła gawęda lub francuzkie karty to wszystko przy kielichu przedziwnego wina i wybornej biskupiej kuchni.

Tylko co się skończyła Msza Śta z antyfoną do Najświętszej Panny, bo to było we Środę —

wybiegliśmy z kościoła — ja ubierać króla — inni przybierać się i parzyć sobie języki gorącą polewką.

Pan Platemberg po trzykroć kazał otrąbić siadanego, biskup już siedział w saniach.

Mróz skrzypiał pod nogami a słońce dyamentami usiało ziemię. Polowanie zapowiadało się fortunnie, ile że wczoraj leśniczy biskupi. Skorupski wytropił czterech dzików.

Już kładłem szubę na króla, gdy wszedł Fantoni sekretarz, nieodstępny dziś przy boku pańskim ex re nawału listów i expedycyi.

Ten Fantoni był muzykantem na dworze nieboszczyka króla, ale że zręczny a do sekretu jedyny, użył go królewicz do korespondencyi. Czasami grywał panu na flecie.

Wszedł prędko i słów kilka powiedział po włosku. Choć zawsze jego mowa z kilku tylko wyrazów się składała, bo Włoch był milczącym, jak ryba, tą jednak razą żywą gestykulacją dołożył.

Król się zdziwił, potem zafrasował nieco, nareszcie nagle rozchmurzył oblicze, zrzucił szubę i wskazał ręką ku drzwiom.

Włoch wyszedł na chwilę i wprowadził do komnaty dwie osoby.

Jedną z nich była niewiasta cała w czerni, lat średnich. pięknego kształtu i urody niepospolitej — drugi młodzian, wyrostek jeszcze z pięknymi czarnymi kędziory, co mu na ramiona spadały, w stroju dworskim, smukły, cery smagławej,

oczu ciemnych i dziwnie rozumnych, a tak do króla podobny, zem zdretniał z podziwienia.

Król dał znak Fantoniemu, aby wyszedł, a i ja też nie czekając rozkazu, wysunąłem się tylnymi drzwiami za kotarę, za którą już znalazłem kilka głów i uszu par kilka ciekawie łowiących wyrazy.

Cóż na dworze uszłoby, czego uszy dworskie nie pochwytyły a nosy nie zwietrzyły?

Nie było zwyczaju, aby się nas wystrzegać — największe sprawy odbywały się w komnacie, gdzieśmy przy panu obecni byli... a gdy ktoś zagadnął króla, że za wiele świadków tej rozmowy słucha, odpowiedział:

— To przyjaciele moi wierni.

i zaprawdę tem nas tak zobowiązał, że gdyby którego pieczono i smażono, języka nigdy nie popuścił, ale były sprawy natury delikatnej a tycheśmy byli ciekawsi, niż wszelkiej polityki, a że ta właśnie taką się być zapowiadała, zostałem z innymi przede drzwiami i słyszałem to. co wszyscy słyszeli.

— To wy Karolino? — rzekł król, — tak dawno was nie widziałem.

— Czekalam. aż się W. Kr. Mość przybliżysz ku mnie. Przeciskać się przez cizbę dworzan w Warszawie i nawijać na oczy nienawistnemu Marszałkowi nie chciałam, a gonić Was po Litwie nie mogłam.

Król odchrząknął mocno, co zwykł czynić, gdy mu coś nie po myśli było.

— Toż szczęśliwe fatum. że mi was oglądać pozwala. I Szymon z wami — czy się z nim co zdarzyło?

Na to młodzian padł do nóg królewskich i głosem, w którym łkanie czuć było zawołał:

— Przybiegłem służyć W. Kr. Mości i życie moje dać dla was.

— Wstań chłopcze ! niech ci się przypatrzę dobrze. Wszak to mu szesnaście lat się dopiero liczy?

— Siedmnasty już rozpoczął.

— Jakich że ja usług do ciebie spodziewać się mogę — tobie by trzeba bakałarza.

— Nie. Miłościwy Panie, mnie potrzeba dzisiaj łaski waszej. Wszystko, co w domu Kostków było godnego nauki, jam to już posiadał. Chcesz W. Kr. Mość usług moich w kancelaryi. czuję, że im podołam, Raczysz mnie umieścić przy poselstwie i tam nie przyniosę ci sromu, bo władani obcemi językami tak dobrze, jak rodowitym. W wojskowej służbie, która mi się najwięcej uśmiecha, gotowem dowieść, że krwi i życia dla Was, Miłościwy Panie, szczerzyć nie będę. Wszystkiem, czem wy zechcecie — zostanę, byłem tylko mógł patrzeć na oblicze wasze i mieć to wielkie ukontentowanie, że Wam kiedy miłym być mogę.

Król słuchał zdumiony tej mowy, co z dziecka wychodziła.

Myśmy za zasłoną spoglądali po sobie, bo mowa to była. jak gdyby dojrzałego już męża. na którego słowie polegać możesz.

Zagadnął go po francuzku, odpowiedział, jak Francuz i jakimś trefnym wyrazem okraślił tak. że król śmiechem parsknął. Po włosku wywiązał się przedziwnie. Po niemiecku to samo — a gdy na łacinę kolej przysła, zdawało nam się Cycerona słyszeć a ksiądz Wydźga. kaznodzieja królewski, co sływał z pięknej łaciny, wydał nam się żakiem — i tu już podziwienie nasze granic nie miało, bośmy wykrzykli jednym chórem wszyscy, jak staliśmy za drzwiami szkolnym zwrotem Cycerona: Latini sermonis elegantia.

Król się wzdrygnął... ale po chwili, jak by mu jakiś namysł przyszedł, postąpił ku owej kotarze i wezwał nas do komnaty.

— Rekomenduję Waszmościom pana Szymona Bzowskiego, od dziś mego dworzanina.

Pokłonił nam się zlekka, jakby już z poufaloną z nami.

Patrzyliśmy na to dziwo natury i oczom swoim zdawali się nie dowierzać. On zaś, jakby mu w niesmak była ta nasza lustracja, skrzywił się zlekka i spokojnie bawił piórem na kapeluszu. Wtedy Jej Mość dotąd milcząca, zbliżyła się do nas i odezwała w te słowa;

— Jam matką tego młodzieńca. Polecam go miłościwemu sercu Wasz Mość panów.

— On się już sam polecił tak, że niczyja instancja więcej by tu nie mogła. — odrzekł pan Żabicki, zdradziwszy siebie i nas wszystkich, żeśmy byli świadkami rozmowy królewskiej, co

było całe nie po dworsku. Złapał się potem i chciał poprawić, ale zagrzął nieborak więcej. Król się uśmiechnął, kazał zawołać Fantoniego. mnie zlecił, aby polowanie odłożono do jutra — potem zamknęli się we czworo w komnacie. Wybiegliśmy do sieni, żeby złapać języka o tych dziwnych odwiedzinach, a tam już stał pan Ryłski i opowiadał Platembergowi.

Pani i Bzowska była wdową po Rotmistrzu Andrzeju Bzowskim, chorągwi królewicza Władysława, który poległ w okazyi moskiewskiej. Był wielce lubianym przez ongi królewicza a dziś Pana naszego tak dalece, że po powrocie z Moskwy królewicz sam zajechał do wdowy we wsi ich dziedzicznej .Jurkowie w Sandomierskiej ziemi i tam jął pocieszać strapioną, a affekt cały, jaki miał dla nieboszczyka dostał się pani Bzowskiej i z onego affektu wyrosło chłopię, któreśmy tyle podziwiali przed chwilą.

Pani ta była dumna — nie przyjęła nigdy żadnych łask od królewicza a potem króla. Zezwoliła jedynie, że dziecko król zabrał i umieścił na edukacyi u Mikołaja Kostki, starosty malborskiego w domu słynnym z świątobliwości i nauki, z kąd właśnie powrócił, aby służby swoje nieść królowi.

Wiadomości te powtarzaliśmy sobie i nicowali na wszystkie strony, a cobyśmy wówczas dali za to, aby się wedrzeć choć szparezką jaką do królewskiej komnaty.

Jej mość pani wyjechała jeszcze przed obiadem z Kielc, nie przyjmując gościny, choć ją król molestował bardzo.

Wyszła od niego z zapłakanemi oczyma, smutna. Nam się skłoniła uprzejmie i raz jeszcze poleciła swego jedynaka a wejrzeniem tak błagalnym nas żegnała, że mi się srodze żal zrobiło niebogi.

Przystąpiłem tedy uprzejmie do niej, całując rękę:

— Niech Wasz Mość pani będzie spokojna. Syn jej, acz od kilku chwil tu bawi, tyle już zyskał u nas estymy i koleżeńskiego affektu, że mu tu dobrze będzie. — Ja osobliwie, jeżeli jego wola, służby mu swojo ofiaruję.

— I my, i my! — dołożyli inni.

— Bóg wam odpłaci za sierotę.

Powiadano, że do króla czuła affekt wielki zawsze i przez to wszystkie partye, jakie jej się trafiały odrzucała — a było tego bez miary, bo urody była nadzwyczajnej.

Pan zaś nasz nigdy przy jednej miejsca nie zagrzał, ale jak na polowaniu, tak i w tej materyi coraz to nowe przeglądał knieje i po staremu grzeszył — a grzechy to były nieraz ciężkie, które bogdaj mu były odpuszczone na wiekuistym sądzie i skasowane przez cnoty, jakimi świecił w życiu.

Nie jedna płakała nań gorzkimi łzami — a ile piekła, ile zgryzot, ile plugawych intryg i czarów zakłóciło bogobojne życie nieboszczki królowej i śmierć jej nawet przyspieszyło. Bóg jeden wie.

Dziś król stary i schorowany dał waletę temu szpetnemu nałogowi i nowych miłośnic już nie brał. ale dawne po staremu chował i dziećmi z nich się opiekował, osobiwie jednę, o której będzie w porę.

Największym sprawcą złego z tych, co otaczali króla i prowadzili po tej stromej drodze, był pan Kazanowski Adam.

Na jego sumieniu dużo win pańskich ciąży, a za każdą łakoć taką płacić sobie kazał sownie — to też sypały się starostwa, królewszczyzny, pieniądze i kamienie drogie tak. że urósł w najbogatszego pana w Polsce. I gdzie się to dziś podziało? Ani dymu, ani popiołu, jak to bywa: Małe parta, do czarta.

Nimeśmy siedli do stołu a król jeszcze został z Fantonim i Bzowskim, wszedł biskup i zwracając się do mnie. rzecze:

— Cóż to za odwiedziny tak ważne, że przerwały nam dzisiaj zabawę?

Opowiedziałem mu o nich co do słowa. Zmarszczył brwi i mruknął przez zęby:

— Za wiele tych bęłkartów.

Przy stole król dość zafrasowany przedstawił biskupowi nowego dworzanina. Popatrzył on surowo na króla, jak by mu mówił: Wiem o wszystkim. Król spuścił oczy i jakimś żartem po francuzku powiedzianym zatarł wrażenie.

Obiad num przeszedł dość kwaśno, jakby jakiś zły wiatr po nas powiał. Biskup przyglądał się Bzowskiemu, który wesół i swobodny opowiadał królowi o domu Kosików, gdzie młodość swoją

spędził a opowiadanie swoje szpikował gesto dowcipem, nie szczędząc nikogo z ludzi, o których mówił.

Wstaliśmy od stołu, a ja stojąc za królem, słyszałem, jak mówił do niego biskup:

— Nie będzie z niego pociechy.

Skryte sądy twoje, o panie! — i trzebaż takiego fatum, aby ten sam człowiek ale idźmy porządkiem.

Za przybyciem do Warszawy, osobiwie czekały sprawy króla pana.

Żeniono go. Każdy mu chciał być dziewosłębem.

W sypialni pańskiej cały stół zawalony był konterfektami przeróżnych księżniczek i królewien, a jedna piękniejsza od drugiej, co łąco można zdziałać, boć drewno albo płótno cierpliwe i daje się malować, jako wola. a dopiero oryginał kłam zadaje, jak się to i nam stało — o czym niżej.

Każdy z dziewosłębów rad był przy tym ogniu i swoją pieczeń upiec.

Król słuchał, potakiwał, a w duszy krył zamiary.

Nie gwoli serca szło mu teraz o małżonkę, bo nieboszczkę miłował i szanował wysoko za jej królewskie cnoty, a kochanie utrapione znowu chował na boku (oj utrapione to było kochanie), ale szło tu o wybór, coby przysporzył splendoru i korzyści tronowi i Rzeczypospolitej.

Krom doradców, co własne interessa mieli na uwadze, radzono się horoskopów, które układał królowi kapucyn ojciec Waleryan z baronów de Magni.

Mąż świątobliwy, teolog, filozof niezrównany i astrolog. Dziwnej pokory i zaparcia się światowego. Gdy przechodził z oczyma wlepionymi w niebo, zdawało się. że wszystkie ziemskie sprawy nie mają doń przystępu — nie widział nic wokoło siebie, ale z Bogiem tylko rozmawiał, tymczasem czy mu jaki niewidzialny Anioł do ucha szeptał, czy mu gwiazdy bywały szpiegami, widział i wiedział wszystko. Słowo jego miało wagę u króla. Porównywano go z owym Ojcem Józefem Riszeliusa. co go Francuzi Eminence grise, albo jakby po polsku powiedział brudną eminencyą zwali. Miał on pomocnika w osobie brata swego Franciszka barona Magni. Gdzie nie mogła wleźć brudną eminencya, tam snadno wlaził pan baron, a gdzie panu baronowi wleźć było trudno, tam pani baronowa się wsuwała. — A cudna to była Włoszka, piękna, niby Wenera pogańska. a przebiegła, jak Ulisses.

Wszystko troje zamieszkiwali w zamku, w pokojach królewicza Jana Kazimierza, które się łączyły z królewskimi. Do późnej nocy nieraz ta trójca obsiadała króla i radzono a radzono bez końca, a z narad tych miał wypłynąć kardynalski kapelusz dla brudnej

Eminencyi. dla brata jego tłuste kęski z pańskiego stołu a dla pani majordomstwo przy nowej królowej. Kiedy się już król dobrze przyjrzał konterfektom aspirantek do tronu i łożnicy królewskiej, i kiedy horoskopy brudnej eminencyi wypadły na Francuzkę Maryą Ludwikę Gonzagę. wysłano zaraz pana Gerarda Denhofa. wojewodę pomorskiego, posłem nadzwyczajnym do Paryża z plenipotencyą pełną umówienia się o posag i zaślubienia jej w imieniu królewskiem, a w parę miesięcy potem wyjechało poselstwo jeneralne po samą księżniczkę, składające się na czele z pana Krzysztofa Opalińskiego, wojewody poznańskiego, który to tak nas schłostał niemiłosiernie w satyrach swoich, choć sam był godzien chłosty największej. bo pełen grzechów, które innym wytykał, Wacława Leszczyńskiego. biskupa warmińskiego, a my w domu zabawialiśmy się sprawami dyssydentów i heretyków. Posądzano króla, że od czasu, jak wygnał Jezuitów z swojego dworu rozgniewany na nich. że królewicza Jana Kazimierza do swego zakonu wciągnęli, zaczął sprzyjać różnowiercom. Zwołać tedy kazał do Torunia na Listopad wiec z przeróżnych wyznań na dysputę, którą nazwano Colloquium charitativum. Ruch się zrobił wielki między heretykami, osobliwie arianie przełękli się straszliwie, że to tam na ich skórę bicz kręcić mieli, a między innymi

jeden z nich pan Niemirycz Władysław, podkomorzy kijowski, którego król łaską swoją zaszczycał— przybiegł do króla i w alarm uderzył. Człek to był piękny i rozumny, a tak zakamieniały w swoich błędach, że dałby się za nie posiekać w kawałki. I cóż się stało? Oto, gdy był już blizkim skonu, zjawił się doń ojciec Kisanowski jezuita, który sływał z wymowy i sztuki nawracania, i jak go zaczął przekonywać, a po całych nocach sypiać na gołej ziemi przy jego łóżu, tak się i nawrócił, ale pod warunkiem, że mu Kisanowski da rewera na piśmie, że w tej wierze zbawionym będzie. Jakoż dał mu Kisanowski rewera taki. który umierający kazał sobie do trumny włożyć. W pięć dni po śmierci, jezuita otworzyli trumnę i znaleźli przy zwłokach kwit napisany z datą: In valle penitentia świadczący, że zadość uczyniono rewersowi.

Obadwa te pisma rektor Jezuitów podał do obiaty w aktach trybunału koronnego w Lublinie. Dopieroż to się zaczęła walka. Arianie wystąpili z pismami, paszkwilami, wierszami, ośmieszając ów cud. Jezuita znowu ze swej strony piorunowali, Niemirycze stali się jeszcze zaciętszemi wrogami prawdziwej wiary. Tak to jezuitckie praktyki nie zawsze trafiały celu. Młody Bzowski zamieszkał w sercu pańskim na dobre, i jak dawniej Fantoni był nieodstępny

panu, tak teraz on zajął całkiem jego miejsce, co Włocha gryzło niezmiernie. Wołano go tylko do większych dyplomatycznych kwestyj. a wszystkie listy i sprawy codzienne spełniał Bzowski z podziwem jednym, skrytą zawiścią drugich.

Miał ten człek dziwny animusz w sobie — przed nikim się nigdy nie uniżył, Osobliwie dla panów był cierpkim i kwaśnym tak. że my będąc świadkami, truchleliśmy ze zgrozy i już widzieliśmy nie raz miecz zawieszony nad jego głową — a on rozumną odpowiedzią jakąś tak potrafił zmieszać obrażonego, że zawsze mu usta zamknął. Pomijano go też i przebaczano wiele, kładąc na karb i młodości, i względów królewskich. Gdym go raz w rozmowie zagadnął, dlaczego zraza do siebie ludzi tak zacnych, że mu to może szkodzić w przyszłości, odrzekł;

— Ja zacność ludzi mierzę rozumem i sercem. it nie herbem. Nic cierpię tych wszystkich nadętych pęcherzy, co z wierzchu pozłacane a w środku puste. Nic cierpię ich głównie za to. że tyle zgryzot mojemu wielkiemu ojcu przynoszą. Nie było co na to odpowiedzieć, alem przeczuwał zawsze, że wielkie a gorzkie ciernie czekają w życiu tego człeka. Pierwsze jego zajście było z marszałkiem nadwornym Kazanowskim. Marszałek, jak mi opowiadał Bzowski, rozmiłował się w jego matce i chciał ją gwałtem zniewolić ku sobie, aby duszką jego była. Dumna

pani ze wzdargą odtrąciła natrętnika, a nawet psami ze dworu kazała wyszczuć. Namotał on to sobie na wąs i prześladował, kędy mógł.

Teraz gdy się dowiedział, że młody Bzowski na dwór przyjęty, postanowił znęcać się nad nim — ale trafiła kosa na kamień.

Gdy go spotkał pierwszy raz na pokojach, zapytał; co to zaczą? Dlaczegoś mi się dotychczas nie meldował? Kto ty jesteś?

— Jestem Dworzaninem J. Kr. Mości przez samego pana Miłościwego przyjętym do usług.

— A jam marszałek nadworny. Nie powiedziano ci. że obowiązkiem każdego, kto tu nogę postawi, przejść wprzód przez moję kancelaryą?

— Widać, że się bez tego obejść można, kiedym tu.

— Wziąć go! Skinął na drabantów i zamknąć kazał do wieży na dwadzieścia cztery godziny.

Rumor się zrobił w zamku. Król kazał natychmiast uwolnić Bzowskiego i raz na zawsze wypisać z pod kontrolli marszałka, jako swego przybocznego, respektowego dworzanina — czem większy mu jeszcze uczynił zaszczyt, bo tylko senatorscy synowie tego splendoru dostępowali.

Bzowski tryumfował i szydził z niego głośno, a śmiał mu się w żywe oczy, gdy go spotkał, ale oddał on mu też z nawiązką.

Włoch tymczasem pracował i przemyślał, jakby go w oczach pańskich obmierzić i ująć mu tych łask. co się nań szcudrze sypały — jakoż stało się. jak zamyślał.

Lubo stary rozumem i talentami, był Bzowski w gruncie dzieciakiem i figlów a psot u niego nie kupić. Bywało, śmieliśmy się, jak waryaty. Udawać każdego udął tak. że przysięgłbyś, iż to ta sama figura. Wymowę nawet ludzką imitował do złudzenia.

Był szatny królewski Sebastyan. który się jękał i jak się zaciął, pąsował cały. mlaskał językiem o podniebienie, pięścią o pięć bil. tupał nogami, co nieraz okrutnie niecierpliwiło króla.

Tego tedy szatnego imitował tak. żeśmy wszyscy za boki się brali. A gry. a zabawy przeróżne wymyślał. Zajęty i czynny zawsze.

Do hulank, do picia nie dał się wciągnąć — czuł wstręt — i luboć w tych czasach był prawie chłopięciem jeszcze, pozostał takim już do końca życia.

Dworskich obyczajów i tego wszystkiego.co wiedzieć trzeba z regulaminu, nauczył się tak prędko, że nam cenzorem bywał. Smutnego oblicza nie pokazał nigdy, choć kłuto go nieraz boleśniechował on to wszystko gdzieś głęboko.

Humor jednostajny u niego bywał — wesół, swobodny a szyderyczy i zjadliwy prawie. Musiano dobrze ważyć słowa, mówiąc do niego, bo drwił niemiłosiernie a nicował ludzkie błędy. Nie lubiano go i unikano. Za to między nami młodymi jednał sobie miłość bez granic. Dwóch ludzi, można powiedzieć, było w tym

dziwnym czelku: jeden dla świata, któremu się stawiał, jakby okoniem, szczerząc zęby, drugi dla tych, z którymi przestawał — chłopięciem wybornego serca, gotowym do usług wszelakich, choćby krwią własną i mieniem, którego nie ważył wcale, bo gotów był koszulę zdjąć z siebie bez wahania, aby drugiemu pomódz.

Gdy przyszło prosić go o wstawiennictwo jakie do króla, można było być pewnym dobrego skutku — nie ustąpił, póki łaski pańskiej nie wyjednał, a trafiało się to gęsto.

Dla biedy ludzkiej był litościwym nad miarę, krzywda każda wywoływała w uim wzburzenie takie, że zdało się błyskawice z ocz mu tryskały, a z ust pioruny biły.

Zaprowadził go król do królewicza Zygmunta; dziecko było chowano pod rygorem ścisłym i cała jego zabawą była karlica nieboszczki królowej — zlecił mu król zabawiać go w wolnych chwilach.

W toż mu graj! Chłopię tak polubiło Bzowskiego, że bez niego potem chwili obejść się niemogło. Przykrzył sobie i płakał, gdy go nie widział długo. Nieraz przy ważnej pracy zajętego Bzowskiego odrywano do małego królewicza.

Tu Fantoni wycelował dobrze. Szepnął królowi, że niebezpiecznie pozwalać Bzowskiemu zbliżać się do królewicza, że Bzowski zakrawa na charakternika i może co złego wyrządzić przyszłemu dziedzicowi korony — ile. że sam w sobie królewską krew czując, zawiść może go popchnąć do jakiego niecnego czynu.

Król się tak okropnie przestraszył tego, że natychmiast zabronił surowo puszczać go do komnat Zygmunta, a potem i do siebie przystępu tu mu często nie dawał, wysyłając w rozmaitych sprawach z Warszawy.

Bóg wie, gdyby był przy nim pozostał, może właśnie cieszyłaby się korona dotąd potomkiem wielkiego ojca. A to chowany był tak, że nie ledwie oddychać mu wzbroniono przez troskliwość zbyteczną.

Do trójcy, która temi czasy wisiła u uszu królewskich przybyła jeszcze jedna persona — był nim Tiepolo, poseł rzeczypospolitej weneckiej, zaprzyjaźniony z naszym panem jeszcze za życia nieboszczyka króla, kiedy królewicz odbywał wędrówkę po Włoszech; dodawszy jeszcze kanclerza Ossolińskiego i Fantoniego, który temi czasy stał się królowi niezmiernie potrzebnym i ruchliwym, rozpoczęły się narady przy drzwiach zamkniętych bez obsługi żadnej dworskiej, aby ani jedno słówko nic przemknęło się po za obręb królewskiej komnaty.

Po takich naradach król bywał nad podziw wesół i dobrej myśli — zdawało się, rósł nam w oczach.

Wielkie to tara śnać układano plany, kiedy takim ukontentowaniem przejmowały osobę pańską — a jakie one były po wyjściu na dzieńne światło, będziemy widzieli.

zaden pono Monarcha w Polsce życia tyle nie trawił w podrózach, co nasz król Władysław. Ilem to ja z nim kątów naszych zwiedził?

Dobrze poszukawszy, to niewieleby się miejsc znalazło takich, w którycheśmy nie byli. Natura królewska potrzebowała tego ustawicznego ruchu, tych przygód, tych łowów, którym się król bez upamiętania oddawał.

Bóg obdarzył Polskę pokojem trwałym. Wokoło nas szalały burze, a my jako bezpieczny spektator patrzyliśmy spokojnie na te bałwany odmętu, co szamotały się, bijąc o skały naszego bezpieczeństwa.

Królowi z jego wojennym animuszem ciężko było prowadzić życie spokojne a gnuśne. On, syn Marsa wspaniały, miał że. jak arkadyjski pasterz kwilić w cieniu drzew na fujarze?

W łowach topił ten nadmiar rycerskiego zapału i gdy się uznoił, utrudził — gdy własną ręką zasał puszcę trupami, wtenczas dopiero czuł się szczęśliwie.

Skłonny do zbytniego tycia, które było przedmiotem ustawicznej jego troski, wynajdywał coraz nowe trudy, aby nie dać ciału zbyt wiele się rozrastać, a największe zadowolenie pańskie było w ten czas. kiedy przy ubieraniu, haftki u kabata luźno się zapinały, lecz biada Szatnemu, kiedy go dopiąć nie mógł.

Ze wszystkich podróży pańskich najniefortunniej wypadła nam zawsze podróż do Merecza.

Jeździliśmy tam po trzy a czasem i po cztery razy do roku, a każdy powrót pański znaczył się zawsze jakimś ubytkiem, to zdrowia pańskiego, to humoru, to nawet szlachetności — przecież pomimo tego. jak gdyby niewidzialna siła. pędziło go tam coś zawsze — tak i dziś. Po odbytych naradach z brudną eminencyą. i z Włochami, postanowiono wyjazd do Merecza.

Starostą grodowym po moim ojcu ś. p. Mikołaju Eustachym, był Imć pan Jan Wypyski z Wypych, herbu Grabie. chorąży nurski — ożeniony z Jadwiżką Lwowianiką, miłośnicą królewską.

Chłop ogromny wzrostem i tuszą — twarzy dużej, okrągłej i jakby nalanej — oczu wylupiastych, patrzących tak dziwnie, jak gdyby nic nie widziały — niskiego czoła, które podgalał dużych wąsów i brody strzyżonej z szwedzka.

Nosił się dziwacznie. Jużto prawda, że suknia dużo mówi o człowieku. U niego rozmaicie bywało. Strój polski mieszał się z szwedzkim, to jest dworskim w dziwaczny nieraz sposób.

Na hajdawery i półżupanik wdziewał kolet i przykrywał się ferezyą, na którą brat duży kołnierz haftowany. Buty wywinęte i obszyte koronkami można było widzieć u niego przy kontuszu.

Słowem rad był biedaczysko obojgu panom służyć — i szwedzkiej, i polskiej koronie.

Głupoty był to solennej człowiek — a chorążstwo swoje, którem go tam w ziemi nurskiej udarżono

zawdzięczał swej wjsokiej posturze i podarkom a traktameutom, któremi szafował szcudrze — bo nie było ofiary, której by nie zrobił dla dogodzenia swej głupiej ambicyi. Tak i to ożeniecie się jego z metresą królewską miało być li szczeblem, po którym się dalej wspinać myślał.

Wyszukany też to był mąż dla niej w korcu maku. Wraz z jej ręką wziął zaraz starostwo mereckie. które po moim ojcu zawakowało i dostał w zarząd ekonomią olitską.

Uważał siebie, jak gdyby spokrewnionym z krwią królewską.

Pisarzom i podstarościm swoim płacił za to, aby go na listach tytułowano Wielmożnym — o co miał proces nawet, bo go pozwał pan kasztelan żmujdzki, że sobie senatorskie tytuły przywłaszcza.

Wymolestował się z tego processu i znów po staremu tytułować się kazał. Niezaczeplano go już. ale ruszano ramionami, mówiąc: Co z durniem robić?

Nie ruszył się nigdzie, aby dwóch pacholików nie było przy nim — jeden mu trzymał chustkę, drugi czekan, albo inny jakiś przedmiot. Leb zawsze niósł do góry a nim mówić zaczął, chrząknął kilka razy niby dla skupienia całej uwagi w słuchających, ale cóż — gdy usta otworzył, sypały się z nich otręby.

Gdy zasiadał do sądzenia jakiej żydowskiej sprawy, kazał trębaczowi grać w trąbę, że sądy

się zaczęły, prawdziwym zaś sędzią bywał podstarości, który robił, co chciał, ale odnosił się zawsze do pana temi słowy: Tak chce jego miłość — albo: Taka wola wielmożnego starosty..., a on tylko chrząkał i po starerm łbem kiwał. Gdy król zajeżdżał we wrota, on drugimi wrotami wyjeżdżał do Olity, niby za ważnemi sprawami — a to już tak raz na zawsze z góry ułożonym było i paktami przypieczętowano.

Śmieli się mieszczanie, chłopci i żydzi, pokazując go palcami i wołając: ot wyjeżdża pan Starosta na grzyby.

Chował się przy nim i przy matce syn królewski; którego nawet król adoptował, i wolno mu się było tytułować de Waza — na imię mu było Konstanty.

Chłopak miał lat ośmnaście — rosły, cielisty, twarzy puciołowatej, całkiem jakąś gnuśnością i obojętnością tchnącej — ospowaty, oczu małych patrzących świdrem, w ruchach i w mowie ociężały, tylko jak gniew nim porwał, ruszać się umiał — a kłąć a bić i łamać wszystko.

Tępego niezmiernie umysłu — prócz a, b, c. liznął trochę łaciny, zresztą uczyć się nie chciał,

Bakalarzom i professorom, których mu sprowadzano z Wilna dokuczał, szpetne wymyślając złośliwości, bo miał kocią naturę i gryźć a drapać lubił, napadając z nienacka, żaden też potem za złote góry nie chciał się podjąć jego nauki. Po całych dniach legiwał, zajadając łakocie. Rozu

mienia o sobie wielkiego, że jest królewskim synem, któremu matka i głupi ojczym ustawicznie w głowę kładli.

Jadwiżka dochodziła już czterdziestki. Nie wielkiego wzrostu — ni brzydka, ni ładna — w oczach tylko miała coś dziwnego. Były one duże, ciemne, ubrane gęstemi rzęsami, a jakby jakąś mgłą przysłonione, od czasu do czasu tylko ogień w nich błyskał.

Twarz miała śniadą, a włosy kruczej czarności. Było to tam podobno w niej coś krwi bisurmańskiej, bo o ojcu cale głucho, a matka córka piekarza z Tarnopola porwaną była w jassyry, odbita przez Wiśniowieckiego.

Naraił ją królowi Mniszech starosta lwowski. Że była czarownicą, na to dużo dowodów stawić można, i wszyscy się też na to zgodzali. Nosiła jakieś amulety na sobie; kąpała się w przeróżnych ziołach i w koziem mleku. Do alkierza, w którym się zamykała, nikt nie miał przystępu, bo dziwne tam jakieś wyprawiała praktyki.

A to przykucie króla do siebie, nie byłoż czarami.

Mówiono, że pieniędzy miała ze trzy beczułki, i to że skąpa okrutnie, a króla podbierała ustawicznie,

Przed przyjazdem nieboszczki królowej mieszkała w zamku warszawskim, ale ta święta pani w wzburzeniu wielkiem kazała ją ztamtąd wypędzić, i tak się zalterowała, że do Krakowa chciała wracać.

Ona też za to przysięgła królowej zemstę, bo gdy już była w Mereczu, a królestwo odwiedziwszy Litwę, zatrzymali się w Daugach, starostwie księcia kanclerza litewskiego, zakradła się cicho do konmaty królowej i tam jej podobno coś zadała tak, że od tego czasu cherlała ciągle nieboga aż i zmarła.

Niewstydu była wielkiego niewiasta, że kształtne miała ramiona i piersi pełne a okrągłe, wystawiała je na pokaz, delikatnie tylko cienkim rąbkiem bielizny ostoniwszy.

Ubranie było na niej zawsze wyszukane, smakowite i bogate.

Gdy szła do kościoła, dwie karlice ogon sukni jej niosło, a paż książkę do nabożeństwa.

W dworcu swoim nie trzymała kobiet tylko stare i brzydkie.

Komnaty jej świeciły od zwierciadeł, dywanami i bogatymi kościami osłonięte.

Światło do nich wpadało przez szkła kolorowe. Zapach pachnideł przeróżnych i perfum rozchodził się po domu. Pełno kwiecia i wodotrysków w komnatach z pachnącej wody. miękkie tureckie wezgi.

A co za stół bywał w tym dworze!

Sześciu kucharzy i tyluż kuchcików uwijało się bez ustanku. Potrawy wszystkie gwoli królewskiemu smakowi, to co on lubił — a więc; rogucyzs litewski, barszcz przedziwny. Czamanga marynowana w saetrze i ziołach różnych na sposób

ormiański, pasztety francuzkie pieczeń z łosia, zwana Magnabestia, chruściele, cietrzewie, pardwy. Byby wyrozęby, łokietnice, bliny z mąki i z prosa, jarzyny, owoce przeróżne zamorskie, a nie zliczyć owych melszpajzów niemieckich, które król bardzo lubił. Kapela doborowa przygrywała przy uczcie, osobliwy wodził rej Galot, lutnista z Wilna.

Na oko istny raj. aleśmy wiedzieli wszyscy, prócz króla, jaki to w tym raju wąż siedzi.

Po wyjeździe pańskim zniknęło to wszystko, jak w zaczarowanym pałacu, a natomiast jejmość stawała się sobą: kłótlwym, nieznośnym tyranem dla sług. skąpą a nieużytą dla męża. który pyszny a chciwy hołdów wobec świata, przy niej był lichym ciurą. którego ona nieraz po gębie biła.

Synek tylko pieszczony i cacany był jednakowo, i gdyby wiedziała, że dlań na szklannej górze cudowne jabłka zerwać trzeba, pewnieby je zerwała.

Trzymała ona u siebie Czecha, a nazywał się Orzełek. Ten Orzełek pełnił przeróżne funkcje — był marszałkiem domu pani starościny jej sekretarzem, plenipotentem, strzelcem, leśniczym, kredencierzem. woźnicą, nawet kominy wymiatał.

Cichy. pokorny, nie dużego wzrostu, ale krępy i silny—włosów jeżących się na łbie, jak szczecina — patrzył z podełba i zawsze się znalazł tam, gdzie się go nikt nie spodział. Niby chodził czemś zajęty a ucha nadstawiał bacznie i łowił wszystko,

w takim to domu znajdował króli wytchnienie i spoczynek po troskach panowania.

A jakże drogo ten quasi spoczynek okupywać musiał, bo oto drzwi się nie zamykały od suplikantów rozmaitego gatunku, którzy kupowali sobie u pani Jadwiżki przeróżne synekury i urzędy, co je był król sypał na jej prośby hojną ręką, a z których utrapienia rosły, bo Jadwiżka nie wybierała, nie patrzyła na człowieka co zaczął, ale na ręce co w nich, to potem król dopłacać musiał takiemu subjectum, aby go wyforować do czarta z zarządu lub ekonomii jakiej, bo pokazało się. że złodziej lub zdzierca.

Sarkania i wzburzenia było nie mało z tego powodu między panami szlachtą. Odgrażano się na czarownicę, co tak panem umiała władać.

Tą razą nie z ochoty wielkiej, ale raczej z nałogu jechaliśmy do Merecza, powiedziałbym rzemiennym dyszlem, bośmy zatrzymywali się wbrew zwyczajowi w różnych miejscach. Król cały w myślach zatopień, nie wiedział nieraz, gdzie się znajduje. Koniuszy Platenberg parę razy musiał pytać o rozkazy, gdzie stanąć, lub gdzie król popasać zamyśla.

A był z nami Zięba, pokojowiec królewski, sprawny i ulubiony panu, cięty w języku, umiał układać piosneczki, którymi nas bawił przez drogę.

Król błaznów nie lubił — tłukło się od czasu do czasu przy dworze jeszcze za bytności królewicza Jana Kazimierza i Włochów kilku, i Polaków, jak Słobikowski. Gawędek, ale nie popasali długo. ?le im tu było i poszli po pańskich dworach szukać szczęścia.

Zięba ich wszystkich przez nogę przesadził.

Choć nie nosił oślich uszu i dzwonków, wolno mu było powiedzieć, co ślina na język przyniosła, nikomu też niedarował, a stanąć umiał w potrzebie. Bano go się i nie zaczepiano. Szanowano rozum i łaskę pańską.

Bo Zięby się udawano po wszystko, umiał on do króla przemówić o każdej porze i w każdej materii.

— Czy WKr. Mość nie głodny? — pyta.

— Nie.

— Ani ja. ale u mnie kot za szczurem w brzuchu łązi. gdy mu nie rzucę jakiego ochłapa, to się gotów do jelit dobrać.

Król się uśmieł i kazał Platenbergowi przystanąć dla popasu.

Bzowskiego nie lubił dla jego dumy.

— Nie uchowa się ten człowiek. bo gdy pożyje, głową do księżycy dostanie.

Pierwszem miejscem, gdzieśmy się dłużej zatrzymali, był Liw.

Tu w zamku król oglądał armatę wszystką.

Komendant człowiek stary. Sierzputowski. żołnierz jeszcze z pod Żółkiewskiego buławy, utrzymywał go porządnie.

Niezdobyta to była twierdza, otoczona bagniskiem i błotami, jednak potem przez zdradę wpadła w moc Szweda.

Król wchodził wszędy — obejrzał kąć każdy, zagłębiał się do lochów, kędy były złożone prochy i amunicja. i gdy już strudzony przechadzka miał zasiąść do stołu, który mu na dziedzińcu pod namiotkiem nagotowano. odbił się o uszy nasze jęk straszny, jakby z tysiąca piersi i słowa: Ałlach, Akbar Ałlach! To jeńcy tatarscy wzięci przez Koniecpolskiego pod Ochmatowem.

Więził ich Sierzputowski w onych lochach. srogo się obchodził, mszcząc bez litości śmierci hetmana. Kazał król wprowadzić kilku. Okropny widok. Ciało opadało z nich kawałami — niepodobni byli do ludzkich stworzeń. Oburzył się król okrutnie na zakamieniałego starca.

— Waszmość przeszedł bisurmanów w srogości, a różaniec zatknięty zapasem. Pożywasz, krew i ciało niewinnego baranka, bijąc się w piersi, a dla ludzi jesteś gorzej tygrysa krwiożerczego.

Kazał ich z lochów wyprowadzić i umieścić w górnych izbach zamkowych, zabronił karać pod utratą łaski i używać jedynie do robót lekkich, a zdał ich pod nadzór Kisielnickiego. młodego człowieka, porucznika i chirurga zamkowego Szmita; i tak wyjechaliśmy, nie jedząc nic w onym Liwie, zalterowani wszyscy.

W Węgrowie czekał na nas koniuszy litewski Bogusław Radziwiłł.

Wybierał on się właśnie w podróż do Paryża, aby być instruktorem poselstwa naszego po królowę, bo go o to król prosił.

Był to kawaler całc cudzoziemskich manier, po polsku mówił źle i niechętnie.

Przyjął nas szumnie i dwornie, ale jakoś nie było w tem wszystkim ochoty i sentymentu. Wszystko jakgdyby sztuczne, jakgdyby wedle przepisów a paragrafów dworskich, bo to on tara na dworze francuzkim praktykował, a uczył się tych manier i strasznie niemi imponować lubił.

Przedrwiwał nasze suknie, że już ich moda minęła, królowi nawet zrobił przymówkę ex re kabata zanadto w górę stanem posuniętego, że już od dwóch lat noszą stan dłuższy, otwarty z przodu bez pasa. A mówił o tych rzeczach z tak wielką emfazą, jak gdyby de publicis mowę jaką w sejmie wygłaszał.

Wszystko u niego było z cudzoziemska, służbę nawet miał z Francuzów i Holendrów.
W ustawicznych podróżach po świecie, w domu tylko gościem bywał — cóż, kiedy potem uciekać musiał z Francji jak niepyszny, bo go w Bastylji zamknąć chciano za znieważenie jakiegoś duka.
Król oglądał stajnie, które wówczas sływały na całą Litwę.
Był dobór rzadkich koni.
Wyprowadzono skarogniadego ogiera, dzianeta hiszpańskiej rassy w pięknym rzędzie drogiemi kamieniami sadzonym... i toby uwierzył, pocho

dził on z knyszyńskiej jeszcze stajni króla Zygmunta Augusta. Gdy król się dziwił i z niedowierzaniem słuchał, wyniósł koniuszy książęcy księgę, i tam przekonaliśmy się o jego rodowodzie, który ręką Radziwiłłów ojca i dziada księcia koniuszego prowadzony był wiernie, nazywał się tak, jak wszyscy jego potomkowie, Almanzor. a był z rodu Almanzorów ośmnastym.

Cudne było zwierzę nad podziw. Bedew z grzywą i ogonem okazałym, plamką na czole jasną, z nozdrzy ogień się sypał.

Prosił księżę, aby go dosiąść. Wysforował się p. Platemberg, ale ku hańbie i ohydzie wieczystej całego naszego dworu wysadzony został... i kiedy się tak sromamy i podnosimy niefortunnego jeźdźca... aż tu coś dziwnego się stało — podszedł ku niemu Bzowski i jął się w niego długo wpatrywać swemi ognistemi oczyma. Zwierzę czuło na sobie ten wzrok, spuściło łeb ku ziemi i zaczęło lizać jego rękę. poklepał go po szyi, wziął lekko uzdę i w mgnieniu oka skoczył na siodło.

Zdawało nam się to wszystko snom. albo wizją jaką. dzianet posłuszny pod nim jak panienka, jął parskać radośnie i łbem rzucać, on znowu pogłaskał go po szyi, cmoknął i ruszył powoli.

Najprzód szedł grędą. potem rysiemi posunął, dalej jednochodem, cwałem i przecwałem — objechał koło. wreszcie przed królem osadził go na miejscu.

Jak wprzód ze wstydu, tak teraz z radości

i podziwienia, staliśmy niemi, dopiero król uściśnął go po dwakroć, a dalej my z kolei nacieszyć się nim nie mogli, że naprawił tak dzielnie reputacya dworską.

Księżę chciał mu zaraz ofiarować hiszpana, jak to w zwyczaju, ale podziękował, nie chcąc psuć genealogii tak przesławnej.

Niech Almanzor znów rodzi Almanzory.

Wybrał sobie na prośbę księcia, cisawego bachmata Nuradyna.

Ztąd do Ciechanowca, mil pięć, jechaliśmy bez popasu.

Tu spotkało nas iście królewskie przyjęcie, Janusz Kiszka na Ciechanowcu, wojewoda Połocki, pan niezmiernej fortuny, bo siedmziąt miasteczek i czterysta wsi posiadał, w sto kilkadziesiąt koni wyjechał przeciw królowi.

Pierwszy to raz od lat dwudziestu, nawiedzał król progi arykańskie.

Wystawiono tryumfalną bramę, nad którą unosiła się bogini mądrości Minerwa, trzymając portret la'óla otoczony głoryą.

W zamku zahuczały działa,

Przed bramą witały króla: pani wojewodzina z córką, dalej cała kalwakata krewnych, przyjaciół i domowników wojewody.

Pokoje błyszczą bogactwem wielkiem, świetna ucztą, podarki, któremi nas darzono, kordyalność gospodarzy, że choć żyć i umierać z niemi, a przecież mierziło nas wszystko. Nigdzieś się nie

spotkał z Panem Bogiem ani Matką Najświętszą.

Ściany gołe a puste.

W ogrodzie jakiś budynek szczelnie zamknięty, drzewami ocieniony... to ich świątynia.

Wojewoda człek leciwy, rozumny i prezentacyi pańskiej, uprzejmości i serdeczności niezrównanej.

Pani wojewodzina, matrona poważna i piękna jeszcze, córka jakby z obrazka, jednak na drzwiśmy się oglądali i nazajutrz zrana mieliśmy ruszać dalej.

Kiedyśmy już siadać mieli do kolas przepro, wadzeni pięknymi komplementami wojewody, rozruch się robi między służbą i domownikami, a od bramy wali czterech szlachty z żonami i dziećmi. To panowie Saczko. Rączko. Łyczko i Mleczko, possessyonaci Drohicckiej ziemi, chudzięta. którzy fundowali szczęście swoje na tem właśnie, że tak śmiesznie się zwali— inaczej niktby o nich

nigdy nie słyszał. Pochodzili oni jeszcze od Jadźwingów, owych pogan okrutnych, co zamieszkiwali niegdys Podlasie. Gospodarowali w Łużkach za Drohicczynem, gdzie każdy z nich miał kawałek gruntu. Kłótlivi, zawistni, jeden drugiemu się worywał. Pełno ich było po grodach i sądach co niemało uciechy sprawiało jurystom, bo śmieszni byli nie tylko z podobieństwa nazwisk, ale i z postaci,

Wszyscy czterej niskiego wzrostu, krępej po

stawy, z czarnemi na łbie włosy i zadartemi nosami. Snać. to skóra pogańska jeszcze na nich siedziała.

Królowi w podróżach swoich do Litwy, będącemu raz w Drohicczynie, pokazano ich przed kościołem.

Zawezwał tedy wszystkich przed siebie.

Przestraszyli się zrazu chodaczki. ale później ośmieleni dobrocią pana. dalej go prosić na kumotra.

Króla to bawiło okrutnie, więc na usilną prośbę pana Rączko, trzymał mu syna. a Mleczce znowu córkę do chrztu.

Potem zapomniał o nich. ale Łyczko i Saczko pamiętali dobrze, bo gryzła ich zazdrość, że i oni tego szczęścia dostąpić nie mogli, bo obaj jeszcze byli kawalerami. Dawajże tedy się zenić... i pożenili się. Panu Łyczko Pan Bóg pobłogosławił, bo mu dał syna, i tego król w zeszłym roku do chrztu trzymał w Wągrowie.

Pozostał biedny Saczko smutny i stroskany okrutnie... aż oto w tym roku i on z synaczkim swoim czekał na króla, i gdy się dowiedział, że jedzie a stanął w Ciechanowcu, pospieszył na łeb na szyję, a za nim jego adwersarze.

Śmieszna była kalwakata tej mizeryi. Panowie na lichych szkapach, jejmoście w wózkach w jednym koniu z dziećmi, postrojeni i z fantazyą wielką, pozłazili ze szkap i z wózków, zastępując panu drogę.

Król z początku odmawiał, ile że chcieliśmy z tego Ciechanowca jak najprędzej wyjechać, ale jak nie rykną płaczem panowie Rączko. Mleczko i Łyczko, a za nimi ich żony, a pan Saczko. jak nie zacznie na kolanach włóczyć się za królem:

— Panic miłościwy, ojcie nasz ukochany, nie czyni krzywdy temu ostatniemu! — tak pożegnawszy się we dworze wojewody, ruszyliśmy do miasteczka, i tam małego Sączka odprawiliśmy chrzciny.

Trzymał go król z panią Łyczko, a w drugą parę pan Pac z panią Mleczko.

Darował im król na lat dwadzieścia dochód z ekonomii Łosickiej. Jak oni się tam dzielili, łąco sobie przedstawić można, gdy powiem, że po kilkanaście spraw z tego powodu co rok było w grodzie, że wreszcie przysłowie o nich urosło.

Czego nam brakło w Ciechanowcu, tośmy sobie rzetelnie powetowali w Supraślu, opactwie ojców bazylianów. Tu wśród lasów i w ciszy klasztornej cały dzień oddaliśmy się nabożeństwu i rozmyślaniu. Bzowski wszyskiemu się bacznie przyglądał, o wszystko pytał i skrzętnie w raptularzu swym notował.

Platemberg od owej konfuzji wągrowskiej stracił na fantazyi i przemyślał. jakby ugodzić bękartą, bo już tak go nazywał, który do wszystkiego się mieszał i we wszystkim chciał prym dzierżyć.

Był to Inflantczyk znakomitego rodu. bo przo

dek ich niegdy wielkie mistrzowstwo dzierzył. Kawaler do rzeczy, ale zapalczywy i ambitny a w sprawności i rzemiośle koniuszego wielce

o sobie rozumiejący, tymczasem był ciężki, niezgrabny i dobrej tuszy. Chciwy awansów i łask pańskich, bo fortunki był miernej.

Król obdarzył go niedawno starostwem czorsztyńskim. Chciał wycisnąć z onego starostwa jak można najwięcej i osadził na niem żyda Herszka z Nowegotargu. przez co stało się w przyszłości okrutne zgorzenie i wielka klęska, bo to był zamek straży granicznej (obyśmy jak najpóźniej do tego doszli).

Bywa zwykle między ludźmi, że kiedy który w czym pokpi. radby ów błąd naprawić i zamazać.

i tu dobra i zła natura na jaw wychodzą, bo dobry będzie żałował i stanie się rozważniejszym a skromniejszym, zły zaś więcej wzrosnie jeszcze w dumę i zuchwalstwo. myśląc, że tem powetuje swą porażkę.

Tak i tu się stało.

Pan Platemberg gębę nadął i parę razy przyostro przyciął Bzowskiemu — ten udał, że nie słyszy, czem go w większy gniew wprawił, że zawołał:

— Nie kawalerska to. ale hyclowska sprawa podejść zwierzę niespodzianie i jarmarczną sztuką go zażyć, nietrwale to są one sztuki. Na co Bzowski:

— Panie koniuszy, po jarmarkach nie bywałem, anim hyclowskiego rzemiosła praktykowałem.

— A gdzieś bywał wywłoko jakiś? Nie uczyłżeś się sztuk cygańskich, nim cię twoja pani matka do Kostków zaprowadziła, gdzieś błazeński urząd sprawiał i w czerwonym chodził spencerku, toć wiedzą ludzie.

Bzowski spaśował cały i przyskoczył doń zapalczywie.

— Słuchaj opasły wieprzu, pokażę ci, że nie tylko w cygańskich sztukach biegły... ale nie tu pod boki króla. Teraz zamilcz! bom ci gotów pięścią wbić twoje słowa do gardła.

Posunął się ku niemu Platemberg. alem wszedł między nich.

— Wara!— rzekłem — pan Platember da parol panu Bzowskiemu, a my służym za świadki. Po przyjeździe do Mercza wybierzem się do Niemonojcic albo Granów i tam po kawalersku sprawa załatwioną będzie.

— Ja z tym? Czeladź moja z nim się sprawi.

— Jak pójdzie na czeladź, to i u nas nie brak pachółków... a teraz po staremu; wara!

— Mitygowali go tam niby Zabicki z Ryłskim i Pacem, ale zdaje się, że jątrzyli więcej jeszcze, bo i im był sola w oku ten fortunny syn królewski. _____

Na noclegu dostała nam się celka razem z Bzowskim, bośmy już tak pobratali się z sobą.

że jeden bez drugiego nic nie poczynął i ani na godzinę obejść się nie mogli. Noc była ciepła.

Księżyc świecił nam wprost w oczy.

Otworzyliśmy okno, które wychodziło na ogród.

Zapach kwiecia i owoców nappełniał powietrze.

Sen nas się nie imał. bo i jakże tu spać młodym, którzy tyle sobie powiedzieć mają o przebytych przygodach dnia całego, a w takiej zwłaszcza nocy myśli pedem bieżą do głowy i serce się otwiera a wszystko, co w wnętrzu, dobywa na usta i czegoby człowiek nie powiedział przy jasnym słońcu dnia białego, to przy onym smętnym księżycu wypowie. Bzowskiemu zwłaszcza rozwiązał się język i dziwne rzeczy mi prawił.

było w tym chłopięciu coś nadludzkiego prawdziwie. Wszystko, co mówił, dziwną grozą przejmowało człowieka, a przecież zniewalało go kochać po bratersku.

Gdym mu wspomniał o Platembergu, że to przeciwnik nie lada. i trzeba się krzepko trzymać przed nim — że warto pomyśleć i przygotować się na to zawczasu, wzruszył pogardliwie ramionami.

— Cóż ten nędznik zajmować mnie więcej może!... Wbiję mu w brzuch kawałek żelaza albo nosa obetnę i po wszystkim. Podobni ludzie są dla mnie jak natrętne muchy, przed którymi gdy zablizko się przysuną, opędzam się packą i tyle o nich,co i o muchach myślę.

— A o czym że ty myślisz, człowieku?

— O czym ja myślę? o czym?... o mojej przyszłej wielkości — odrzekł, wpatrując się w tarczę miesiąca.—Oh. bo ja wielkim być muszę!

Mówił to tak dziwnym, tak zmienionym głosem, i tyle w tym głosie było mękości. zem się wzdrygnął i krzyżem świętym przeżegnał.

— Bój się Pana Boga. mówisz tak. jakgdyby jakie złe właśnie przez ciebie mówiło.

— To. co wam ludziom małego ducba złem się wydaje, jest właśnie znamieniem ludzkiej potęgi. Wreszcie niech to sobie i złem będzie, ale bez złego niema dobrego tak. jak niemu jasnego dnia bez nocy.

Słuchaj Krzysztofie, jestem dziecięciem przypadku, nie mam prawa ani do nazwiska, które noszę, ani do tytułu mojego ojca. Otoż to nazwisko ja subie stworzyć postanowiłem i stworzę je. a przed tem nazwiskiem drzeć będą wszyscy i padać przed niem na twarze. Wątpisz? Zapiszże sobie ten wieczór w pamięci.

Oh bogdajbym o nim zapomniał ua wieki!...

— Pierwsze słowo złowrogie, które mi się obilo o uszy — mówił dalej — sprawiło przewrót w mojem wnętrzu... a to słowo straszne było: bezimiennik.

Powiedział mi je człowiek święty, który nie przeczuwał, że takie zarzewie włożył mi w serce, a przecież wdzięczność moja dla niego będzie trwać do grobu, bo on wzbudził we mnie duszę,

która Bóg wie jak długo byłaby jeszcze spała i zmarniała nareszcie. Posłuchaj!

Matkę moję rodziła jedna z Zebrzydowskich, która wyszła za Komorowskiego, mojego dziada po kądzieli.

Komorowskich familia szeroko rozlana w Krakowskim, dumna parentellą z największemi rodami w Rzeczypospolitej.

Ztąd też mojej matce wolno było marzyć o Radziwiłłach. Ostrogskich lub Wiśniowieckicli.

Dziad mój Mikołaj, pan na Żywcu, człowiek ądz niepohamowanych, warchoł i awanturnik wielki. Bo kilkakroć zmieniał wiarę, był lutrem, kalwinem, arianem i znów do katolickiego kościoła powrócił. Zmarnotrawił majątek,

potem chwycił się rozbojów i bił na Żywcu pieniądze podle za co uwięziony został, ale z więzienia uciekł w bernardyńskim habicie. '

Tułał się długo po świecie osądzony zaocznie infamią, aż trafił na jurystę, który go przed sądami obronił i wyrok unieważnił.

Tym jurystą był Bzowski, ojciec męża mej matki. Kumorowski nagradzając jego zasługi, wydał swą córkę a moją matkę za jego syna.

Bzowski był dzielnym żołnierzem, ulubieńcem naszego króla, poległ mężnie w wojnie moskiewskiej. nie nacieszywszy się długo młodą małżonką.

W dwa lata po jego śmierci przyszedłem na świat.

Aż do sześciu lat chowany byłem w ukryciu u kobiety pewnej w Sandomierzu.

Matka wahała się długo, aby ranie przyznać za swego...

Dobrze mi tam było. na niczem nie zbywało. Kobieta była poczciwa. Mąż jej dzwonnikiem u fary.

Dzień cały siedział na wieży i mnie brat z sobą, uczył czytać z książki drukowanej ludzką ręką a i z drugiej księgi, którą Róg pisał, bo oto z wysokiej wieży sandomierskiego kościoła. jak okiem sięgnąć widziałem świat, widziałem ziemię, a na niej grody i miasta, sioła, rzeki i lasy.

Wszystko mi tłumaczył i nazywał po imieniu, Znałem już ziemię tuk na okół Sandomierza, że nigdziebym nie zbłądził.

Wiedziałem, gdzie leżą Jurkowice. wieś mej matki.

Odwiedzała ona mnie często, splotała się zawsze przy odjeździe. zalecała kobiecie staranie i troskliwość i znowu wracała.

Powtarzało się to parę razy na miesiąc, ale w miarę jakem dorastał zaczęła mnie korcić owa piękna pani tak dobra, tak tkliwa dla mnie i postanowiłem uciec za nią od moich dziadów.

Uwiesiłem się tedy z tyłu u kolaski i tak przyjechałem do Jurkowie.

Tu nie od razu dałem się poznać matce, zażyłem sztuki, bora się obawiał, że mnie do Sandomierza odeszle. Przed wrotami zsunąłem się z poza kolasy

i chyłkiem skoczyłem do rowu, który w około dworzec okrążał wraz z dość wysokim wałem najeżonym gęsto palisadami.

Wdrapałem się na on wał i po przez palisady zacząłem się rozpatrywać w miejscowości.

Obszedłem ją całą.

Dworzec był piękny. modrzewiowy, na przodzie miał dość duży podwórzec, na którym była studnia z żórawiem. po bokach dwie oficyny i lamus, dalej gumna. Od tyłu piękny ogródek, w którym ujrzałem mnóstwo kwiecica.

Drzwi z dworca na ogródek były otwarte,

Zatrzymałem się przy onym ogródku i postanowiłem tedy się wcisnąć. Ale nie łatwo to było. W innych miejscach palisady były gdzie niegdzie uszkodzone, spruchniałe, tam bym wlaź bez przeszkody, ale bałem się służby, która chodziła ustawicznie i psów.

Tu była cisza i dworzec tak blisko. Przeczynałem. że matka lubi siadywać tutaj, że pewnie niebawem zejdzie. Jakoż wyszła. siadła na darniowej ławce i pogrążyła się cała w smętnej zadumie. O czym ona myślała? Przeczucie mi mówiło, że o mnie. Wpatrywałem się bacznie w tę twarz, będąc od niej o kilka kroków tylko, śledziłem na niej wszystkie odmiany.

Czy to pod wzrokiem moim. czy z innej jakiej przyczyny dostrzegłem niepokój, jakby trwoję;

westchnienie głębokie wyrwało się z jej piersi, oczy łzami zaszyły i zsunęła się na kolana, składając ręce do modlitwy. Wtedy ja widząc ją taką piękną, a tak bolejącą, jak owe klatki Boże. które widziałem w ołtarzach, zadrzałem cały i jakgdyby mi serca więcej przyrosło, zawołałem:

— Matko!

Jakby w nią grom uderzył, zerwała się przestraszona bez upamiętania prawie, potem znów padła na kolana. wznosząc gorące modły.

Zląkłem się okrutnie, bom nie pojmowałem, co się z nią dzieje i łkając przemawiałem jak najciszej tak jednak, aby mnie słyszała:

— To ja mateńko droga, zbliż się do mnie, jara tu sam jeden... nie obawiaj się.

Podeszła przerażona, niepewna, jakby ją sen jakiś trapił dziwny. Powtórzyłem moją prośbę i przez szczelinę wyciągnąłem ku niej rękę. Pochwyciła ją prędko.

— Toś ty dziecko? Kto cię tu przywiódł? kto ci powiedział, że ja jest matką twoją?

— To ja sam. Nie odtrącaj mnie więcej od siebie. Weź ranie! Ja już tam więcej do tych ludzi nie pójde.

— Tak, to ty moje dziecko. Snać taka była wola boża, trudnoż się jej opierać więcej. Rójdź pójdź moje dziecko, pójdź przez wrota. Zjawiłeś się właśnie w chwili, gdy z obowiązkiem moim toczyła walkę. Oh. to palec boży!

I znalazłem się nagle w Jurkowskim dworze.

Matka moja. to nie zwyczajna niewiasta, snać niedarmo krew Zebrzydowskich i Szafranców w jej żyłach płynie.

Wiedziano dobrze w okolicy o jej afekcie do króla i jego częstych odwiedzinach, popuszczano języka. jak to zwykle w takich razach. i to i owo. ale trzymano się w granicach. nie zachodząc tak daleko. aby z onych amorów miało się coś urodzić.

Aż tu na raz. za mem zjawieniem się we dworze, gdy matka w obec sług i domowników przyznała mnie za swego, skandal się zrobił wielki.

Przestano dwór nasz nawiedzać, chodziły paszkwile brzydkie i wiersze, których nie rozumiałem.

Matka wówczas nie uroniła jednej łzy. ale stała się jakąś dziwnie surową i milczącą, wymawiając te tylko słowa zcicha:

— Oto pokuta moja.

W parę tygodni potem zjechał do nas pan Michał Bzowski, stryjeczny brat męża mej matki, Skarbnik woblromski — hołota —trzymał dzierzawą folwarczek Wielmożna od panien zakonnych na Skale.

Z wielkim rankorem wszedł do komnaty matki i iął wyrzucać jej hańbę, jaką całej rodzinie przyniosła.

— I czyj że ten pomiot — zawołał, kończąc swą groźną reprimendę.

— Króla.— była odpowiedź matki.

To słowo dziwnie łagodząco podziałało na skarbnika. W innym już tonie prowadzono rozmowę.

Uśmiechał się i słodkimi słowy jakby przeproszał za wyrządzone niedawno obelgi, a w końcu powziął decyzją zaopiekować się moim losem i zabrać do swego dworku w Wielmożnej.

Matka zrazu ani słuchać nie chciała.

— Pókim się sromała ludzkiej obmowy, chowałam go zdale od siebie, tęskniąc za nim. oblewając gorzkimi łzami ten nasz rozdział. Dziś, gdy kosztem mego honoru przyznałam go przed całym światem, miałabym się z nim rozstać?... nigdy!

Nie nalegał z początku, ale zaczął coraz częściej nas nawiedzać a dogadywać.

— Chłopiec dorasta, toć nie myślicie go obrócić do gęsi — trzeba mu się uczyć nie tylko z książki, warto żeby przecie i koniem zatoczył umiał i szabelki a fuzyjki się nie sromał. Dajcie mi go, u mnie szkoła. Wykrzeszę z niego kawalera, aż miło!

Mnie oczy się śmiały na te specyały. Matka zaczęła mięknąć, aż wreszcie i zezwoliła.

Ten człowiek pierwszy nauczył mnie pogardzać.

On z sieroctwa mego ciągnął zyski.

Czego dumna niewiasta przyjąć nigdy od króla nie chciała, on brał pełną garścią.

Dzisiejsza jego fortuna to haracz płacony podłości hojną ręką królewską.

I myślisz może, że mi to nagroził staraniem i życzliwością.

Oplakane lata przebyłem u tego nędznika.

Sprowadził dla mnie bakałarza z Olkusza, od którego w przeciągu paru tygodni dowiedziałem się. że więcej wiem od niego. Lecz Pan Bóg zawsze łaskaw dla takich, jak ja wyrzutków.

Posłuchaj.

Nie potrzebuję ci mówić, że czynna moja natura nie dała mi usiedzieć na miejscu; wszędziem być musiał — wszystko widzieć i wszystko zbadać — takim mnie już Bóg stworzył.

Niewiele się o mnie troszczono i z tegom był bardzo kontent.

Wałęsałem się po okolicy, parę razy odwiedziłem Kraków, a zawsze sam swobodny, jak ptak i bezpieczny.

Znano mnie już z tego i często darzono pomocą, gdy mnie złe psy opadły, albo głód dokuczył. Kochano mnie pomimo, zem był i wisuseni nie lada. bo oto zaczajony gdzie w rowie albo wiszący na najwyższym wierzchołku drzewa płałałem figle spokojnie idącym chłopkom. baby wiejskie i dziewczęta nie miały odemnie spokoju. Powiem ci też. że chętnie przebywałem z prostym ludem, lubiłem słuchać baśni, których oni w tamtych stronach mają moc niezliczoną a w tych baśniach tyle prawdy miesza się z zmyśleniem. Gadają oni dużo o Łokietku i o Kazimierzu Wielkim i kończą zwykle, smutno kiwając głowami:

— Czy też przyjdą; panoczku jeszcze tacy królowie kiedy?

Między nimi było mi dobrze.

Nikt mnie tam nie pytał o ród ni nazwisko. Nie tak jak w domu skarbnika, gdzie nie mogli wyłtrztusić mojego imienia bez przymieszki szyderstwa, co ranie oblewało wstydem niezmiernym.

Wczasie takich to moich wędrówek trafiła mi się dziwna przygoda.

Tuż przy Skale leży Grodzisko, dzika i niedostępna ustron, którą zdaje się utworzyły Cyklopy. wałąc głaz na głazie, pełna rozpadlin i jaskiń głębokich.

Ciszy tam nic nie maści, prócz szumu lasu i szemrzącego Prądnika, albo puszczyli się zerwie czasem i smutnym zakwili głosem lub od pobliskiej Skały zaleci echo ludzkie.

Na wierzchołku tych skał zbudowano przed laty gród potężny, a budował go Henryk Brodaty. książę szlązki, dziś on w ruinach daje schronienie ptactwu i puszczykom ponurym.

Ustron ta nęciła mnie zawsze, wspinałem się na wierzchołki skał i widziałem jak nieraz pierzchliwa łania przesunęła się w gęstwinie albo ostrożny lis — bawiłem się z echem, które ranie przedrzeźniało, byłem samotny, jak ptak, brakło mi tylko skrzydeł, aby ulecieć gdzieś w nieznane światy.

Po skałach, po nad urwiskami chodziłem swobodny, jak dzika koza nie znając niebezpieczeń

stwa, gdy razu jednego znalazłem się nad przepaścią, której głębia zdawała się nie mieć końca — czarna otchłań, jak piekło, a po drugiej stronie przepiękna łączka okryta kwieciem jakby mnie wabiła do siebie.

Szerokość tej rozpadliny mógł dobry chłop jednym susem przeskoczyć, ale nie dziesięcioletnie pacholę — a jednak gotowałem się na to i gdy się odsądzam do onego skoku, czuję, jak potężna jakaś prawica chwyta mnie za ramię i osadza na miejscu.

Zgiąłem się, jak trzcina pod tą żelazną ręką i przykląknę na oba kolana.

Wtedy ta sama ręka wzięła mnie, jak piórko i postawiła przed sobą.

Ujrzałem starca potężnej budowy z długą białą brodą, co mu sięgała do pasa. Twarz była surowa, poorana zmarszczkami i bliznami. Wytarta, szara pielgrzymia opończa, okrywała go całego, za pasem miał różaniec i muszelkę do czerpania wody ze źródła.

— Gdzieś to chciał uciekać mały dyabluku?... do piekieł jeszcze nie pora inquam? — Takie było jego przysłówko: powiadam, którym zawsze mowę swoje szpikowałem. Dawnem cię chciał złapać w moje pazury, ale mi się wymykałeś, jak kot dziki. Gdzieś chciał biedź, odpowiadaj?

Patrzyłem się z przestachem na tę twarz marsową i zaledwem wybąknął słów parę.

Gadaj głośno inquam, bo ja głuchy — a w rę

kach wciąż mnie trzymał, jak w kleszczach. Czyś się chciał zobaczyć z swoim ojcem Belzebubem?

— Ja nie mam ojca — wrzasnąłem już zniecierpliwiony i szarpnąłem się z jego uścisków.

— Inquam! masz go tam! — i wskazał na niebo — ale cię nie nauczono tam go szukać. Wolisz się oddać temu tam czarnemu, co otwiera swoje paszczę, aby cię pochłonąć, ty madianito miody. Inquam! jak się zowiesz?

— Szymon Bzowski.

— Nieprawda, zwiesz się Szymon Bezimiennik. Zna cię tu każda skała i drzewo, a ludzie prawią o twoich dyabelskich psotach, inquam. Pójdź, nauczę cię wielu rzeczy, o których jeszcze nie słyszał.

Patrzyłem się nań. jak na dziwo. Pociągał mnie ku sobie ten starzec tajemniczy, szedłem już za nim posłuszny.

Prowadził mnie przez miejsca niedostępne i niewidziane jeszcze, aż zaszliśmy do grotty.

Tu uderzył mnie najprzód wielki krucyfiks oświecony płonąca lampą, przy nim leżała dyscyplina, czaszka trupia, dalej stał klęcznik. na nim duża księga, obok niej inkaust, pióra, pergamin. W kącie łoże z suchych liści. Nad łożem wisiał pancerz, miecz i stalowa kolczuga.

Z grotty był widok na Prądnik; do którego się schodziło po schodach wykutych w skale włą

snemi rękoma starca. Tam on znajdował zawsze pożywienie, którym go litościwe serca darzyły.

Gdyśmy weszli, starzec kląkł przed krucyfiks i mnie to samo uczynić kazał — odmówił krótką modlitwę, po której zwracając się do mnie, rzekł:

— Nie chcesz się modlić poganinie, inquam więcej jesteś ciekawy świata i jego tajemnic, a gdzież znajdziesz ucieczkę od tych kolców, które cię w życiu czekają. Zbliź się tu inquam, zobaczymy, co z sobą wnosisz.

Otwórz tę księgę. Przeczytaj wiersz, jaki ci w oczy wpadnie.

Była to vulgata, trafiłem w niej na psalm Dawida i odczytałem cały.

Si oblitus lucro tui, Jeruzalem, oblivioni detur dextera mea. Adhaereat lingua mea faucibus meis, si non meminero tui; si non proposuero Jeruzalem in principio laetitiae meae.

Ps. — w, .

— Tak zaiste inquam. Coraz więcej nam dziś potrzeba takich mężów, bo psuje się ona Jeruzalem i rodzić zaczyna wyrodków. A wiesz, co znaczą owe słowa. Patrz inquam! — i tu rozwinął swój pargamin. w którym dziwnie pięknym charakterem wyczytałem po polsku:

„Jeżeli cię zapomnę ojczyzno miła i Jeruzalem moje, niech zaponnę prawicę ręki swojej. Niech język mój przyschnie do ust moich, jeśli pomnieć na cię nie będę. a jeśli cię na czele wszystkich pociech moich nie położę.”

— Tu mądrość ludzka wszystka dyktowana objawieniem. Tu kres zaciekań naszych. Nie wartoż poświęcić życie, aby poznać owe prawdy. inquam? Czy ty to rozumiesz chłopcze?

— Jeżeli w tej całej księdze spotkać się można z tak wielkimi słowami, jakieście mi tu wyłożyli, to zaprawdę aby je zgłębić, życie poświęcić im warto.— I powtórzyłem mu raz jeszcze to potężne Dawidowe zaklęcie i dodałem: — Hańba wszystkim zdrajcom i odstępcom! Hańba tym. co prywatę wyżej cenią nad miłość ojczyzny! Hańba im wieczna! Patrzył na mnie długo, ściągnąwszy brwi. dotrzymałem mu wzrokiem, bo czułem, żem zdolen poznać i ocenić, co ona księga boska kryje. Zadumał się głęboko i rzekł po chwili:

— Pięknie uposażona głowa, ale co z niej wyjdzie? Co wyjść może? Potępieniec, jak oni wszyscy. Będzie łaszeniem i pochlebstwem piąć się po skalistych bezdrożach świata. Z pogardy, z urągania, jakie go w życiu czekają, zarazi duszę jadem.

Jeszcze raz spojrział mi bystro w oczy. potem kładąc rękę na ramieniu, rzekł uroczystym głosem:

— Chcesz się uczyć? Chcesz rozwinąć w sobie dary boże? Chcesz sobie zdobyć nazwę między najszlachetniejszymi? Chcesz iść w służby dobra na ziemi? Czy chcesz ty bezmieńcze zdobyć sobie piękną nazwę na świecie i rozpocząć szereg

tych, co życiem czystym potrafili się wznieść po nad herbowe szczyty?

— Oh tak chcę! chcę! — wykrzyknąłem z taką siłą, że skepienie groty zadrżało, potem rzuciłem się do nóg tego starca, który wydawał mi się Mojżeszem, zastępcą Boga na ziemi, bo jak Bóg czytać umiał w mem sercu.

I cóż ci więcej powiedzieć mogę?

Ten starzec święty wyprostował ścieżkę mojego życia. Bóg wie, jakimi manowcami biegłbym po świecie, dziś wiem. dokąd idę i gdzie zajdę.

Święte słowa pisma, którem chłonał w siebie przez te lat parę mego tam pobytu tłumaczone wymownymi słowami starca, weszły do duszy głęboko.

Wszystko, co tam było wielkiego, a cóż tam nie jest wielkiem? rozogniało mnie. Stawałem się kolejno to Dawidem, pragnącym zgnieść Goliatów, to Saulem lub Salomonem mądrym, albo przygodnym Józefem.

Nowy testament zapalił we mnie miłość potężną ku świętym wiary tajnikom i służbie Bożej poświęcić się pragnąłem. Starzec te porywy duszy łagodził rozwagi chłodem.

— Nie tobie, inquam, myśleć o sukni duchownej, szaleńcze. Tyś do świata stworzony. Idź po nim — ale z miłością a prawdą w duszy.

Chcesz wiedzieć, zkąd się tam wziął ten człowiek?

Nazywał się Alexander Soboniewski, był oboźnym hetmana polnego Koniecpolskiego. Odbił dwadzieścia bitew. Z ostatniej wracając do domu, domu nie zastał tylko gruzów kupę. a pod nimi popioły żony i dziecka. Siadł na spalonej belce i tak zostawał. Bóg wie jak długo, aż zjawił mu się anioł, który go przywiódł do tej groty. Gdy opowiada starzec tę chwilę, łzy mu płyną z oczu i jakimś cudownym zachwytem twarz jego płonie. Gdym go żegnał wraz z matką, która na wyraźne żądanie króla odwoziła mnie do starosty malborskiego Kostki, dał mi skaplerz. w który zaszył owe słowa biblii przeczytane pierwszy raz w jego grocie; noszę go na piersi i nosić będę do końca życia, potem pobłogosławił i rzekł;
— Inquam! Prawdą a cnotą przez życie.
Brzask był na niebie, mnichy powstawali na jutrznią a myśmy oka nie zmrzyli.
Nie było już się kłaść po co.
Zbudzone ptactwo wabiło nas do lasu.
Odświeżywszy tedy twarze zdrojową wodą. wybiegliśmy poza klasztorne mury.
Ujrzeliśmy w lesie istny obóz ludzi pieszych, pokładzionych pokotem na ziemi.
Było to chłopstwo z dalszych i okolicznych wsi, ekonomii, starostw ze skargami do króla na

zdzierstwo i uciemnienia od swych włodarzy, rządców, dzierżawców, podstarościch.
Zerwała się ta bieda cała na równe nogi, skoro nas zobaczyła i przypadła nam do kolan, prosząc zmiłowania.
Bzowski jakgdyby jeno czekał na okoliczność taką.
Przemówił zaraz gorąco do chłopstwa, napełniając ich dufnością w zmiłowanie królewskie, czem ich ośmielił tak. że wszystko wydobywać z pod .serca zaczęli.
Zrobił się gwar. płacz, złorzeczenie nie do opisanie. Salomonowej głowy by trzeba było. aby to ująć w ład jakiś. Każdy był najwięcej pokrzywdzony, każdy najnieszczęśliwszy.
Ustawił w ordynku i kolejno egzaminował, spisując ich krzywdy. czego się zebrała moc wielka, bo jak powiadają na wołowej skórze nie spisać złości ludzkiej.
Nie jeden z nich widząc taką gotowość naszą w słuchaniu i potakiwaniu ich skargom, dołożył tego w dwójnasób, ale choćby nawet i w trójnasób dołożył, to odliczywszy to wszystko, jeszcze zostało tyle. że o pomstę do Boga zawołać można było.
Zabójstwa, więzienia, grabież dobytku, zdzierstwa i robocizny, bezprawia straszliwe i tyrańskie znęcanie się nad biednym ludem.
Słońce się już wzbilo dość wysoko i dzwonek klasztorny na mszę zawołał.

Król wstał, nam wracać trzeba było, a tu jeszcze daleko do końca.
Zrobiło się jednak, co można.
Po wysłuchaniu Mszy świętej. Bzowski opowiedział królowi, z czem przyszli chłopci i podał mu papier, który spisał.
Przejrzał go. popatrzał zdziwiony na Bzowskiego, potem go w głowę pocałował.
— Dobrze mi śniadanie zgotował, synku. Prowadź mnie do tych ludzi.
Stało to już potrwożone w gromadce, czekając ukazania się króla, bośmy im to zalecili.
Nie śmieli przemówić, ani postąpić kroku.

Król z papierem w ręku czytał imię każdego i kazał się zbliżyć do siebie, pytał ich z dobrocią i ośmielał. Wreszcie przesłuchawszy, zawołał;

— Ukarzę winnych i krzywdy wam nagrodzę dzieci. Wracajcie do domów waszych i miejcie ufność w opiece mojej.

Kiedy to nie ryknie wszystko płaczem wielkim, cisnąc się do nóg królewskich.

Nigdy nie zapomnę tej chwili, bo tutaj dopiero poznałem całą wielkość pomazańca pańskiego, tutaj dopiero obaczyłem majestat w całym blasku i w koronie najwspanialszej, najkosztowniejszej, w koronie miłosierdzia i laski.

Łzy nam się zakręciły w oczach. i nieledwie, że sami chcieliśmy całować ukochaną rękę pańską, co tak zawsze chętnie dźwigała nędznych i maluczkich — a choć zdarzeń takich napatrzyłem

się już dosyć w podróży królewskich, bo prawie kąta nie było. gdziebyśmy zażaleń i skarg biednych nie odbierali, tu jednak, w tej gromadzie zebranego ludu z najdalszych i bliższych okolic Litwy, w tym lesie cichym, oświeconym porannem słońcem, gdzie echa powtarzały łkania biednych chłopków i serdeczne słowa pańskie, tu nasz król ukochany przypomniał nam swego ongi antecessora. Kazimierza króla chłopków, który także siadał pod wielkim dębem gdzieś w puszczy, i sądził sprawy ludzkie, jak stare kroniki prawią.

Za rozkazaniem pańskim, ugoszczono ich hojnie ze spiżarni klasztornej, a nam dzień cały zeszedł na pisaniu listów do ciwunów. starostów, podwojewodzioh. pisarzów i wszelakich urzędników.

Wzywano ich do Mercza pod najsurowszą karą za nieposłuszeństwo.

Reszta podróży płynęła spokojnie.

Ziemia nam śpiewał i urządził popasy.

Bzowski jechał ciągle przy boku pańskim, wiodli z sobą długie rozmowy, których nam pochwycić było trudno, ale z twarzy królewskiej widniała dobroć i ukontentowanie, widniała miłość ojcowiska, którą zdobywał coraz więcej ten dziwny młodzian, uposażony tylu bożemi dary, a przecież tak nieszczęsny w swym krótkim życiu.

W sam dzień wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny Sierpua zrana, stanęliśmy w Merczu.

o niczem tu nie przepomniano, aby nam wspaniałe zgotować przyjęcie.

Na pół miii już usłyszeliśmy bicie w dzwony i huk armat.

Mieszczanie postrojone z chorągwiami, dalej pan starosta i cała jego kalwakata wyszli na spotkanie.

Wywalił on oczy. chrząknął parę razy i chciał króla witać przemową, ale król zaraz na wstępie zbył kwaśno całą czeredę, rozkazał przestać wszelkich wiwatów, machnął ręką i co koń wyskoczy pędził nie do dworca starosty, jak to zwyczajem było. ale na stary zamek merecki do leśniczego, rotmistrza huzarskiego, pułkownika królewskiego, którym był pan Paweł Niewiarowski.

Zamczysko to niegdy przez starych litewskich książąt zbudowane, już powoli rozsypywało się w gruzy, jedna tylko jego połowa od południa była mocna i trwała i tam to obrał sobie siedlisko Imć pan Niewiarowski, najślawniejszy myśliwy w Koronie i Litwie, wraz z całą czeladzią swoją, ryszunkiem, psami, ptactwem i wszelakimi przybory.

Człek był lat średnich, kawaler jeszcze, a dziwnej urody i postury.

Żołnierz był z niego znamienity, od króla wielce lubiany, jeździł w poselstwie do Fancy z panem Krzysztofem Gosiewskim wojewodą smoleńskim, w sprawie o uwolnienie królewicza Jana

Kazimierza, gdzie rozkochał w sobie Francuzkę jedną w Paryżu na dworze księcia orleańskiego: ndarowała go portretem, z którym rad się popisywał, z czego osobliwsza urosła historia, ale o tem niżej się powie.

Śmiała mu się droga do wysokich dygnitarstw, bo to i głowę miał tęgą. tale jednak w tem my.ślistwie umiłowany, że za całe zasługi wyprosił sobie tylko u króla owo leśnictwo mereckie.

Później dal się poznać światu w wojnach kozackich.

Miał wieś dużą na Podlasiu, ale rzadko w niej gościł, przebywał ciągle w Mereczu. albo jeździł po świecie, praktykując wszędzie swoje łowieckie rzemiosło, i zwożąc ustawicznie do Merecza, to jakiegoś rzadkiego sokoła albo orła. to psa przedniego gatunku lub broń osobliwszą. aby za przyjazdem królewskim, było się czem pochwalić; mówił prędko i dużo.

I zaprawdę było co widzieć w Mereckim zamku.

Siedziba jogo istna siedziba Nemroda. gdzieś stąpił, toś zobaczył coś osobliwego.

Tu ptactwo różnopióre i różnobarwne, więc orły, sokoły jastrzębie, sokoły rarogi, krogulce. drzemliki, kobuzy, pustułki, pływacze. birkuty. sokoły duńskie, inslandzkie. maltańskie.

Tu znów psy rzadkie szledniki. farbotropy. kundle, pijawki, brytany, ogary, charty, jamniki, wyżły, brustbarty.

Gdyśmy weszli do psiarni, odezwało się to jak

by na komendę i przedziwny chór sformowało,bo były basy, tenory, alty i dyszkanty, niby cała muzyka łowiecka, a wyuczzone to wszystko tak, jak przez kapelmistrza najprzedniejszego. A co za rysz tunek!

Ile to broni rozmaitej, dziryty. łuki. oszczepy, kordelasy, tasaki, rohatyny. Strzelby bardebuchy, gukiynki. półbaki, damasceny. dźwirówki. kantówki, szturmaki.

Dalej szły przeróżnego rodzaju osobliwsze sidła i sieci— stopice łapki na wilki — stępice, łapaczki na zające i lisy, samołówki. nasadki, nawiązki, sypelki. zręby, pastki. potrzaski i kto przeliczy te przeróżne nazwy i wymyśli coraz nowsze, nad które pan Niewiarowski dnie całe trawił.

Ludzi u niego roilo się. jakby na jakimś wielkim dworze, a wszystko to czeladź myśliwska, a więc sokolnicy, psiarze. strzelcy, białozornicy, bobrownicy a najślawniejsi z nieb Iwaszko, Sieklioki, Matyasz. Toporski — uradowane to wielce z przyjazdu pana, bo się teraz rozpoczynała ich służba i harce, a popisy nagradzane hojnie przez króla.

Zyć też tu, nie umierać w tych lasach, z takimi ludźmi.

Oddał się król cały panu Niewiarowskiemu, który go oprowadzał wszędzie i pokazywał osobliwsze rzeczy, wywodząc historię.

Czas schodził nam prędko.

Nagotowano posiłek i napitek, a tymczasem we dworcu starosty, od którego dzielił nas tylko strumień Stangwis zwany, na wzgórku, nad mereczanką istny sądny dzień się odbywał.

Podczas gdy król zajęty był Niewiarowskim myśmy wybiegli przed zamek i patrzyli na starostwo, które o jedną staję tylko widniało nam na oczach.

Bieganina ustawiczna sług. przekleństwa i wrzaski Jejmości. Słyszeliśmy oniemal każde jej słowo, a nawet razy, jakie od czasu do czasu wymierzała.

Orzełek fruwał, jak szalony do zamku i z powrotem. Pytał, czy król będzie jadł obiad, czy wieczerzę, czy Boże uchowaj, nie myśli zanocować w zamku.

Odprawiano go za każdą razą z kwitkiem, za co wzięwszy porządną admonicę od jejmości, znów wracał jak opętany, dopytując się. badając, wachając.

W głowę zachodzono na starostwie, co to się takiego wydarzyło, że król zajechał do zamczyska.

Kto to mógł zdziałać?
Kto usposobił tak nieprzyjaźnie króla?
Kto z nim jedzie?
Zwąchano widoczną niełaskę.
Nareszcie już pod wieczór zjawił się pan starosta z Konstantym.
Wydał nam się ten bękart lichym ciurą przy

Bzowskim (który sprawiedliwie synem królewskim mógł być nazwany i był nim od stóp do głowy).
Spasłe. ociężałe chłopisko. nadęte niby powagą jakąś, z którą mu cale nie było przystojnie.
Patrzyliśmy nań i porównywali w duchu z tamtym, i dziwili, jak to na lichej glebie najszlachetniejsze ziarno pięknego
nie wyda plonu.
Popatrzył na nas z podełba i zamruczał coś pod nosem. Przyrzekliśmy sobie, że ich powitamy szyderstwem.
— Cóż to... tego... niby... Czy tu w tych pustkach zamysłacie? — wybąknął pan Wypyski. nie pozdrowiwszy nas. ani
uchyliwszy czapki.
— Uleciała od was łaska pańska, panie starosto — rzekł Bylski. — Trudnoż ją teraz już w potrzask łapać.
— Uleciała... tego... Cóż bo aśc prawi?—zrobił przytem taką markotną minę. żeśmy parsknęli śmiechem.
— Czy tu nocować myślicie?
— Chyba przyjdzie nam i zanocować, bo to ju! tro do dnia polowanie postanowione. Pan Niewiarowski króla
podejmuje wspaniale. Na niczem nam tu nie zbywa, a wyspać się to i pod gołem niebem dziś można.
— Któż jest ten chłystek, co się uwija przy królu — zagadnął Konstanty?
Nie żaden to chłystek, ale kawaler światowego poloru Jmc pan Bzowski, dworzanin respe

kto wy Jego kr. mości. Sekretarz i zaufany powiernik, w wielkich łaskach u pana.
— A zkadże on się tu znalazł?
— Przyjechał z królem z Warszawy.
Na to jakby wołany zjawił się Orzełek i szepnął coś Konstantemu do ucha. Ten poczerwieniał cały i jakby go tarantulla
ukąsiła, pognał z powrotem do starostwa.
Domyśliliśmy się, o co to tam już idzie, i zacierając ręce, czekaliśmy jakiej zabawnej krotchwili. Pan Wypyski
przyglądał nam się tylko, oczy wybałuszywszy, nie wiedząc i nie rozumiejąc nic, nareszcie wybąknął:
— Cóż to tego... się tam... tego stało?
— Jejmość może zasłała z alteracyi — odezwał się Żabicki.
— Jest bo i z czego — dołożył Kylski — widocznie niełaska na dom wasz spadła, panie starosto.
— Ale tego... zkadżeby znowu!
— Ha! może nowe sitko na kołku.
— Nowe tego... jak to aszmość rozumie... niby...
— Uprzykrzył sobie król jegomość wasz dom. wasze melszpejsy i etcetera i szuka innej rozrywki.
— Niechże Bóg broni. Jadwisiaby tego nie przeżyła... A to dopiero... taki dyshonor dla nas.
Był tak ciężko głupi i śmieszny, że nas litość brała, trzeba mu było łopatą kłaść w głowę, aby wytłumaczyć, że jego
Jadwisia przestała już być magnesem przyciągającym.

I my nie spodziewaliśmy się tak nagłej zmiany w chęciach królewskich, robili różne przypuszczenia, kładliśmy na karb Bzowskiego, dla którego król, znów tak żywe powziął przywiązanie.

Nigdy tego nie bywało; w zamku ani wygod, ani kuchni.

Orzełek przyleciał zadyszany i oświadczył mi, że jejmość starościna, uprzejmie ranie do siebie zaprasza na chwilę rozmowy.

Ze wszystkich dworzan pańskich posiadałem u niej największe łaski, choć nie wiem, czem na nie zasłużyć mogłem.

Mniej popuszczałem języka, jak inni, patrząc na to, co mnie otaczało obojętnie — ot i wszystko.

Czekała na mnie w progu wystrojona, świecąca, pachnąca, uśmiechnięta przyjemnie, uprzejma, słodka i dobrego humoru, jakgdyby nigdy nic — tak tamgdzieś wszystko skryła głęboko,

— Niechże mam to wielkie szczęście powitać waszmość pana. Czekaliśmy was, jak kania deszczu, z waszmości pana nie dobry człowiek, żeby dopiero na usilne prośby przyjść do nas. Czyż to nie było pierwszym pospieszyć tu, gdzie was zawsze tak mile widzini!

— Podobało się królowi nawiedzić najprzód pana Niewiarowskiego, gwoli wielkiego polowania, które dziś układają — nie wypadło od pańskiego boku oddać się, bo nużby zapotrzebował.

— Proszę w komnaty. Czekaliśmy was naj

przód ze śniadaniem, a tu i obiad przeszedł a was niema. Snać pan Niewiarowski dobrze karmi króla jegomości.

— Po obozowemu. Znalazło się tam coś wędlin i wina trochę, boć nieprzygotowany na pańskie przyjęcie, jednak ze względu na myśliwskie efekta, jakich ma pod dostatkiem, tak rozciekawiał króla, że i o obiedzie zapomniał.

Nadrabialiśmy miną oboje i kłamali, jak mogli. Babę paliła ciekawość, żeby mnie wymacać jak najprędzej. Zachodziła zdaleka, pomału. Pytała o drogę, jakąśmy przebywali, gdzie się król zatrzymywał? Musiałem jej opowiadać wszystko. Wyliczyłem jej dwór cały, wymieniłem Bzowskiego całkiem obojętnie i ona też przyjęła to zimno. Dopiero po chwili zagabnęła:

— Bzowski? z którychże to?... Znałam Bzowskiego strukczaszym sierakowskim.

— To całkiem inna rodzina, z sandomierskiego,

— Tak młody kawaler, i podobno w tak wielkich łaskach, słyszę.

— Ujął króla talentami i dwornością.

— A gdzież ich nabył tak młodym, chyba wojażował długo, ależ to gołowąs, dziecko prawie.

— Był chowanym na dworze Kostki, starosty małborgskiego.

— Przykro to musi być waszność panom, kiedy się widzi być pominiętym w łasce pańskiej bez względu na zasługi dla jakiegoś przybłądy.

— Ha, są ludzie, którym już u kołyski gwiazda

szczęścia przyświeca, a do takich właśnie należy Bzowski.

— Hej, zagadkami mi mówisz panie Scypio, to chyba jaki książę turecki.

— Może i książę.

— No, czy pod przybranem nazwiskiem się ukrywa?

— To ja teraz znów powiem, waszmość pani starościnnie, że zemną grasz w zagadki, choć sama wiesz najlepiej.

— Przyniesiono mi tu jakąś plotkę, to też biorę ją tylko za plotkę.

— To prawda.

— Syn królewski?

— Tak.

— Wiem, że miał syna urodzonego z Dzierzgowskiej, ale ten umarł przed pięciu laty.

— Ten jest urodzony z Bzowskiej, wdowy po rotmistrzu chorągwi pancерnej.

— I tak go podbić potrafił?

— czemużby nie, król jest dobrym ojcem dla swych dzieci.

— Nie dla wszystkich, nie dla wszystkich.

I tu jakgdyby dla zadania fałszu słowom tej baby, wpadł Orzełek i zawołał radośnie:

— Król jedzie!

I wjechał pełen fantazyi z dobrotliwym uśmiechem, który jak słońce rozproszył wszystkie chmury, co zawisły nad starościńskim domem.

Z oblicza pańskiego widniała łaska, jak daw

niej, a tem droższą ona była teraz, gdy mniemano, że już ją stracić przyszło.

Patrzyliśmy zdziwieni znów tym kaprysem królewskiego humoru.

Powitał gospodynię uprzejmie, serdecznie nawet, Konstantego przygarnął do piersi.

Staroście, który stał w kącie z głupowatym uśmiechem, nie mogąc ruszyć się z miejsca, podał rękę, z którą ten nie wiedział co zrobić, wreszcie pocałował, przypadłszy do nóg królewskich.

Nie umiał się długo nosić z gniewem król nasz.

Wstrętną mu się wydała z początku cała ta parada starosty przy powitaniu.

Ukołysany wspomnieniami lepszych czasów i ludzi, mając Bzowskiego przy swoim boku, który był żywym jego obrazem, nie tylko z podobieństwa twarzy, ale i z duszy, poczuł odrazę do tych kajdan, w których go trzymano lat tyle — w zamku, w myśliwskim gnieździe Niewiarowskiego przykre wrażenie się zatarło i znów stary nałóg wziął górę.

Cieszono się też i ucztowano, jak nigdy.

Trzeba było widzieć Jadwiżkę, jak urażona niby trochę na króla za ten jego chwilowy kaprys umiała nadać swej postaci i szczyptę dumy i zalotności trzymanej na wodzy, a przecie drażniącej i wyzywającej.

Oczy jej błyszczały, jak dyamenty, a usta drgały lubieżnością.

Zachęcała do jadła i picia z takim wdziękiem

i gracyą, a tak słodkimi słowy, — istna Daliia oplątująca Samsona.

Powabną i smakowitą być umiała okrutnie.

Snać to tam rozum w tej kobiecie pracował li nad tem tylko, aby umieć zawrócić głowę — a dziś chciała ją zawrócić koniecznie. Każdy jej ruch, wygięcie ciała, uśmiech, spojrzenie — podniecały żądzę. Jej oczy umiały być i smętne, rzewne, melancholiczne i znów tryskające życiem i uciechą. Głosowi swemu umiała nadać tony tak słodkie i pieszczące, jak syrena.

Niepamiętna, że syn patrzy na nią, jak gdyby go nie było.

I my też zapomnieliśmy o tem, widząc tę istną czarownicę.

Król już dobrze podochocony strzelał trefnemi słowy.

My wszyscy z całego serca wtórowaliśmy panu, jeden tylko Konstanty siedział zaszępiony i wpatrzony w Bzowskiego, jak w tęczę. Dziś dowiedział się, że nie on jeden z tych, co z sercem królewskim związani, że znalazł się drugi syn naturalny, którego król nad niego przeniósł, a ile to ich tam być może więcej po świecie!...

Nachmurzył się też chłopisko i przygryzał wargi.

Bzowski, jako kawaler światowy i obyty, znalazł się już tak w tym domu, jakgdyby zjadł w nim beczkę soli.

Zmiarkował od razu, że jego figura daje tu

dużo do myślenia i wcale nie jest widzianą mile. postanowi ! przełamać te lody. ale im więcej okazywał się uprzejmym dla starościny, im więcej popisywał dwornością. konceptami, tem większą kopał przepaść między sobą a niemi, bo jak powiada przysłowie:

Nie wyfukasz na mnie tego,

Abym cię miał za miłego... tak i tu, im korzystniej talenta jego były w oczy, tem nędzniej przedstawiała się gburowata i gruba persona Konstantego.

Spostrzegł to król. przywołał go. i posadził obok siebie.

— Dlaczegoś taki zasepiony, chłopcze, kiedy wszyscy mają wesołe oblicze? Czyś co zgubił?

— Miłość waszłem postradał.

— Któż ci to powiedział?

— Bo widzę, że inni szczęśliwsi.

— A ty chciałbyś sam jeden wszystko posiadać. Miłość, miłością się płaci. Kiedy widzimy, że ten, którego kochamy jest szczęśliw i zadowolony, cieszymy się jego szczęściem i nie okazujemy dlań chmurnego oblicza. Zawiść, to najszpetniejszy z ludzkich grzechów Dotąd cię tego nie nauczono.

Na to rzekł, za krzesłem królewskim stojący. Zięba:

— On w jezuickiej szkole nie bywał, miłościwy panie.

— Milcz Ziębo, tego w szkole jezuickiej nie uczą.

— Ha. w tem ci i sęk. że tego w żadnej nie uczą szkole, gdy się samo w wnętrzu nie odezwie.

Na kamienną to rolę padały owe słowa, udał tylko, że przestrogę przyjął do serca, bo po wyjściu króla nabrał humoru i zaprosił nas wszystkich do kielicha.

Bzowskiemu podał przyjaźnie rękę.

— Niechże wam będzie dobrze i wesoło w naszym dworze — rzekł.

— Mnie wszędzie dobrze — na to Bzowski.

— Snać mato wazycie sobie ludzi tak pospolitych, jak my.

— Wazę każdego o tyle, o ile sam siebie wazy.

Nie wiedział, co mu na to odpowiedzieć.

Załadgodziliśmy to małe starcie kielichem, wnosząc zdrowie starosty, który pomrukiwał tylko, a lał w siebie, jak w beczkę.

W tym młodym niedźwiadku coś się gotowało, patrzył z podełba na Bzowskiego, a pił na umor, niemożna było nadażyć toastom, które wciąż wznosił.

Bzowski tylko usta maczał w kieliszku, trącając się ustawicznie, nareszcie go odstawił.

— Gardzisz zdrowiem naszym marcypanowy paniczu — wrzasnął Konstanty już dobrze podcięty.

— Nie pijam.

— Kanclerski rozumek w tobie, ale zanim za pieczęć pochwycisz, z nami pić musisz, bo ci za kołnierzyk wyleję.

— Ciszej! — zaczęliśmy go mitygować.—Wszakże król niedaleko.

— Jam królewskie dziecko, przyznane przed całym światem, a to wywłoka cygański.

— Zamknijcie panowie gębę temu warchołowi, jeżeli wam miła łaska królewska—rzekł Bzowski,

— Zamknij mu sam — dorzucił Platemberg.

— Mnie mają gębę zamknąć?!... A któżby się ośmielił?

Perswadowałem, jak mogłem i odciągałem na stronę rozjadłego młodzieńca, tamci podśmiewali a nawet podszczuwali go z boku.

Głupi starosta rad był tej awanturze.

Chciałem ich godzić. Chwyciłem Konstantego za rękę. odtrącił mnie z furią. Wybiegłem, aby dać znać jejmości.

Poleciał do niej Orzełek, tłukąc się do alkierza.

Gdy wróciłem okropny mnie uderzył widok. Bzowski leżał na ziemi, brocząc we krwi.

Konstanty przytrzymywany przez Żabickiego i Platemberga, pianą miał zasze usta i rzucał się, jak tygrys.

Alarm się zrobił w dworcu. Król nadbiegł na wpół ubrany ze szpadą w rękę, za nim starościna i co żyło we dworcu.

Podjęliśmy Bzowskiego, nie dawał znaku życia.

Ranę miał w głowie głęboką, zadał mu ją Konstanty czekaniem.

— Zapręgać do kolasy! — krzyknął król. — Na zamek! Ja z nim! Tego rozbójnika wzięść mi pod wartę. Płaszcz mi podajcie.— Pienił się z gniewu i oburzenia.

Starościna padła mu do nóg, odtrącił ją gniewnie.

— I wyście tu stali wszyscy i patrzyli na to. jak ten nędznik mordował to dziecko! Możecie z nim byli w zмовie.

Staliśmy wylękli. nie śmiejąc słowa przemówić, ci zwłaszcza, których sumienie gryzło.

Przybiegł Kraft, opatrzył ranę. była niebezpieczną.

Bzowski wciąż bez ducha: zalecił, aby go zostawić spokojnie, lecz król nie chciał słuchać o tem.

Zajechała kolasa, złożyliśmy w nią rannego. Król usiadł przy nim i popędził na zamek.

Tak się zakończyły odwiedziny nasze w tym domu osławionym.

KSIĘGA WTÓRA.

Wesele!

Jeszcze przed nowym rokiem zaczęliśmy się gesto około niego krzątać.

Król rozdawał urzędy dworskie przyszłych dostojników swej małżonki, trzeba tu było lawirować nie lada. a ile ztąd sporów, kwasów, nieukontentowania, ile rankorów pańskich, które się odbić miały w niedalekiej przyszłości, ztąd znów z drugiej strony rozpromienione oblicza szczęśliwych, na których padł promień łaski pańskiej.

Wrzało, jak w kotle.

Warszawski zamek roił się wszelakimi ludźmi, a byli to kupcy, rzemieślnicy, sztukmistrze.

Skrobano, wietrzono, malowano, rzeźbiono, prano, szyto, myto — pokoje, sprzęty, obicia, szaty. Wesele było na ustach wszystkich.

Ciekawość nas paliła ujrzeć co prędzej francuzkiej księżniczki, o której urodzie i bogactwie, opowiadano cuda.

Miała ona wieść fraucymer z samych bogiń. Siaki taki roił sobie niestworzone rzeczy.

Dwór nasz od śmierci Austriaczki sposepniał

strasznie, luboć i za niej wesołości nie było wielkiej. bo powagą a skromnością lubiła się otaczać, ale dziś prócz pani Przerębskiej ochmistrzyni małego Zygmunta i paru matron starych przy jej boku dla usługi, niewieściej gładkiej twarzy ani na pokaz.

Nic też dziwnego, że król tu bywał gościem. Obiecywaliśmy też sobie raj ziemski. Przybywało to wszystko ze dworu najwspanialszego w Europie, wiozło do nas świat nowy — a taki piękny, tak nadobny, że ci. co go widzieli, mawiali nam, że chyba tylko w niebie może być lepiej i ładniej.

Liczono też skrupulatnie dni i godziny. kedy między nami stanie nowa pani.

Zjechał do Warszawy hetman wielki koronny Koniecpolski, z całym swoim dworem, z całą pompą i przepychem, a był to drugi pan młody po królu, bo jechał na wesele swoje do Rytwian dla poślubienia młodziutkiej wojewodzianki poznańskiej trzeciej z kolei żony.

Zapóźno już trochę zapalił pochodnię hymenu pan hetman.

Starzec szóstego krzyżyka gonił, ale postaci wspaniałej — głowa wygolona pokryta na wierzchu niby czapką, kupą gęstych i nie bardzo jeszcze siwiejących włosów, brody potężnej i wąsa. który do ramion mu sięgał. W mowie był zająkliwy a w czynach prędki, ztąd mawiano o nim: „Pan Stanisław wpierw uderzy, niż wymówi.”

i luboć krew w uim grała jeszcze, a animusz rycerski nie wygasł, ale przy tak młodziutkiej a nadobnej żonie, trzeba było mieć na służbie i inne jeszcze przymioty, które tylko młodość posiada w pełnym rynsztunku. Nie wróżono też szczęścia temu stadłu. Zjechał pan kanclerz wielki Ossoliński z synem, świeżo mianowanym krajczym królowej, również dworno a szumnie. Zjechał prymas Łubieński. Zjechał podskarbi koronny Daniłowicz. Podskarbi litewski Tryzna. Bawił Tiepolo, poseł rzeczypospolitej weneckiej, poseł szwedzki, austriacki. hiszpański, francuzki, nuncyusz de Torres — bawili bracia Magni — zjeżdżali cudzoziemcy — rojno, gwarno. Zapusty zaczynały się wspaniale. Dwór się krzątał i bawił, a panowie z królem radzili.

Najbliżsi króla domacali się przecie prawdy i pocichuteńku szeptali: Wojna! — Wesele! — Wojna! Gdzie, z kim? Z Turkiem! Z Turkiem?

Wszak Turek spokojny.

Tatar po Ochmatowskiej przycichł, że ani go słycać.

Ukraina płynie mlekiem i miodem. Kozactwo obrócone w chłopcy nie myśli o buntach, trzymają

ich w rzye książę Jeremi z Potockim. spokojnie uprawiają zagon.

Po cóż tej wojny? Wojna zaczepna z bisurmaństwem, nie bywałe to nigdy u nas rzeczy. At brednie!

Tak mówił ten i ów. gdy go wieści owe doszły, a jednak myśmy dobrze wiedzieli.

Zamysł królewski z zamkniętych szczelnie komnat zaczął powoli przez szpary, przez dziurki od kluczy wyzierać.

Dworskie uszy pochwyciły go w lot.

Bo też widząc takim króla, nie trudno było odgadnąć, że coś wielkiego wstrząsło nim całym, przeistoczył nam się w oczach.

Zdawało się, że wszystkie inne sprawy odpadły gdzieś w przepaść zapomnienia, a ta jedna w umyśle jego trwałą obrała siedzibę.

„Niech będzie, co chce. to fatum moje, mawiał. Gdzie ono mnie zaniesienie wiem, ale nie cofnę się, choćbym głową nałożył.”

Przygotowania do zaślubin królowej szły swoim trybem, niby ordynaryjnie sprawy, o które troszczył się niewiele, a ta jedna ośwładła nim, jak zmora.

Oliło tego czasu, zjawił się na dworze imćpan Krzysztof Arciszewski arianin, przybył do Polski aż z Ameryki, gdzie był generalissimusem wszystkich wojsk brazylijskich. Wojownik wielki, którego sława rozbrzmiewała po świecie szeroko.

Monarchowie jeden przez drugiego ubiegali się, aby go zwerbować do swoich usług, ale on o tem słuchać nie chciał, bo tęsknota ciągnęła go do Polski.

„Milszy dach słomiany w ojczyźnie, niżli pyszne pałace wasze,” mawiał’.

Kołała ustawicznie to do króla, to do sejmu, ofiarując swoje talenta i usługi, ale odprawiano go z niczem, bo niechciano cierpieć heretyka, dopiero teraz gdy w liście do króla przysłał wyznanie swej wiary, gdzie się zrzeka błędów dla miłości ojczyzny, za giejtem królewskim stanął w Warszawie.

Mianował go król generałem artylerji. oddał mu amunicją. armatę wszystką. Kazał werbować żołnierza, zaopatrywać arsenały.

Przybywało ciągle do Warszawy ochotnika przeróżnej nacyi — widziałeś Szwedów. Holendrów, Duńczyków, Niemców, Francuzów, Włochów a wszystko pocichutku niby w tajemnicy, pod pozorem przygotowań weselnych. Skarbiec pański w oblężeniu wielkiem stękał, i ledwie już dyszał, tak że czyściuteńkie dno w nim zobaczono.

Podskarbi rwał sobie włosy z głowy, brakło nieraz na codzienne potrzeby dworu.

Do czwartej i później jeszcze na półzegarzu, czekaliśmy na obiad, a królowi przynoszono potrawy z kanclerskiej kuchni.

Mimo to fantazyja była u wszystkich, bo na

wielkie zanosilo się rzeczy, a wesele czekało nas z nadchodzącymi zapustami.

Tymczasem wśród tych weselnych przygotowań i marsowych zamysłów choróbsko kładzie króla na łożo. a jakby na dobitek przychodzi wieść, że królowa stanęła w Gdańsku i oczekuje na oblubieńca, jak to z góry ułożonem było.

Dziwnych zaprawdę napatrzyłem się rzeczy, i poznałem, jak to silne postanowienie w człowieku takim. jakim był pan nasz. potrafi się oprzeć cierpieniom wszelalcim i nie daje zawładnąć niemocy, bo oto choróbsko robiło swoje, a król swoje.

Wśród szarpania onej nieludzkiej pedogry wydobywał straszliwe jęki. rzucał się na łożcu tak, że trzaskało pod nim, a my truchleli z alteracyi, a przecież po staremu drzwi się nie zamykały, bo kazał wpuszczać wszystkich interessantów, dyktował listy, wydawał rozłcazy. zbierał radę, wysełał posłów po królowę, z lirólewiczem Karolem.

— Oh poganko utrapiona. jakże ty ranie męczysz. Oh. nie wytrwać mi w tych męczarniach Zabierz swój plaster!. On mnie pali. jak żywy ogień. Zabierz swoje leki! Precz z niemi do czarta! — krzyczał, że się mury trzęsły! Potem zęby zacisnął.— Nie! nie dam się. wyrzekł krótko a odwracając się do przytomnych, raówil niby spokojnie, dygotając jak w febrze.

— Panie Arciszewski. zrobisz mi aspan tak tak. Panie Tymiński. wiele ci przybyło towa

rzyszy? Niech wołają do mnie marszałka! Wysłać do Jabłonny po lirólwicza.

Kozmawiał po włosku z Tiepołem, po francuzku z panem de Bregy.

Chciał przemódz chorobę i bywały chwile, że ustępowała przed obrzymią siłą woli królewskiej, a potem z większą zażartością wracała.

Nareszcie osłabł tak. żeśmy już o życiu zwątpili, aliści było to przesilenie, po którym zdrowie zaczęło powoli wracać.

O Bzowskim nie było wieści. Zostawiliśmy go w zamku Mereckim, pod opieką doktora Podchocimskiego burgrabieso wileńskiego, którego król z Wilna sprowadził.

Choroba była ciężka, bo przyszła maligna, i ta go niszczyła okrutnie.

Król zapolowawszy z niewielkim skutkiem, wracał dość skwaszony. z powrotem dawszy Niewiarowskiemu jakieś tajemne instrukcje i kazawszy sobie o wszystkim donosić.

Mijały tak dni. tygodnie i miesiące, aż tu w czasie tej rekonwalescencji króla, zjawiała się imćpani starościna z Konstantym.

Miała ona swoich szpiegów na dworze, którzy jej służyli wiernie, bo i płaciła sowicie, i potrafiła promować, gdy się zdarzyła okoliczność, a co dziwniejsza, że miała przyjaciół i gorliwych popleczników między dostojnikami.

Pan Kazanowski byt jej wielce życzliwy, pan krajczy Radziejowski Hieronim siedział u niej

w kieszeni, Platemberg. Pac byli jej serdecznymi przyjaciółmi, nawet nasz Ryszelius polski, Ossoliński nie wahał się wciągnąć jej do swych usług.

Nawa królowa zbliżała się do Warszawy: zanim w niej stanie, przyjechała ona zbadać grunt, wyżebrać napowrót łaskę królewską, bo nuż nowa małżonka nim owładnie.

Syn jej leżał na sercu zakasowany tak haniebnie przez tamtego, i dziś odepchnięty przez ojca.

Roila dłań choćby księstwo jakieś albo dygnitarstwo nadworne, a tu miało się skończyć na łaskawym chlebie w Mereczu.

Zamieszkała w domu Strzesza na Ś to Jańskiej ulicy, ugaszczając każdego, co próg jej przestąpił i hojnie obdarzając podarkami.

Cisnęła się ciżba dworskich, wynosząc pod niebiosa jej cnoty i przymioty, a Konstantego ledwie że nie na rękach nosili.

Wszystko im się w nim podobało.

Mrukiwość i malomówność. nazywano skromnością. Grube obyczaje, prostotą i otwartością. Wszystko, co zrobił godne było admiracyi. Gdzieś się obrócił, toś słyszał o pani starościnnie i jej nieszczęśliwym synu kawalerze przymiotów wielkich, którego król niepomny serdecznych krwi związków tale pokrzywdził niegodnie.

Bzowskiego odsądzono od czci i wiary.

Pewnego dnia, gdym się najmniej tego spodziwał, król rzecze do mnie:

— A tyż nic nie powiesz w obronie Konstan

tego? Tyle mi tu nakładzono w uszy, prosząc za nim o łaskę, zem się już zrezygnował przyjąć go na dwór. Jak myślisz, zrobi się tu co z niego?

— Jak W. Kr. Mość zechce, to się i zrobi.

— Chłopiec jest dziki, nieokrzesany i ztąd ta jego gwałtowność, niehamowana rozważą. Idź że mu zanieś moje przebaczenie i przywołaj go do mnie.

Jak z jednej strony pochlebiali mi to zaufanie królewskie, tak znowu ze wstrętem, przyszło mi spełnić to poselstwo. Król musiał to dostrzedz, bo od drzwi kazał mi się zawrócić.

— Słuchaj no Krzysztofie, wiem, żeś przyjacielem tamtego, a i on kocha cię, jak brata. Bądź o niego spokojny, to młodzian, którego ja do wielkich spraw sposobię.

— Zasluguje on ze wszech miar na to. Dziękuję W. Kr. Mości, za ten dowód łaski dla niego rzekłem, całując dłoń pańską.

— Pewnieś ciekawy, co się z nim dzieje?

— O miłościwy Panie, niema godziny, abym nie tęsknił za nim.

— Jest zdrow i bezpieczny — wkrótce o nim dowiesz się więcej. A teraz proszę cię, abyś rozważyła swoją i statkiem, miał pieczę nad Konstantym — zanim mu sustentacją i jakie dworskie zajęcia obmyślę; pragnę, abyś go polerowała — będę ci wdzięcznym za to.

Gdym się skłonił, król dołożył jeszcze.

— Jak pszczoła miodu szuka, tak człowiek dobry łączy do dobrego i dobro w około siebie stwarza. Spraw, aby miłość braterska, związała ich kiedyś z sobą. Zgotujesz mi tem radość i wypełnisz szlachetny uczynek.

Pocałował mnie w głowę i kazał zawołać Konstantego.

Ta łaska królewska zaciężyła mi ołowiem; jakiegoż to rozumu potrzeba, aby połączyć dwa tak sprzeczne elementa — ogień z wodą. bystrość umysłu z głupotą, szlachetność z bydlęcością. Rycerskość z gminnością.

— ?le ranie wybrał król myślałem sobie przez drogę, idąc do mieszkania pani starościny.

Ha! dziej się wola Boża! będę robił, na co mnie stać,

Ledwie się przecisnął przez ciżbę gości. Pani starościna zpoważniała nad podziw.

W ciemnych szatach, niby oddana dewocyi pokutnica. Na piersiach błyszczał jej krzyż, na złotym łańcuchu. Na głowie czepiec stateczny — a wszystko przecię ładnie i składnie — a z wdziękiem i sztuką, jak to zawsze umiała.

Gdym wszedł, bawiła kompanię i o dziwo! młody niedźwiadek, krzątał się przy niej dość szykownie, honorował gości, prowadził rozmowę wcale składnie. kłaniał się na wszystkie strony.

Przyjęła do niego metra Francuza, co był bieretarzem u starego króla.

Powitał umie uprzejmie i zgrabnie, a gdym

oświadczył, z czem przybywam, radość ich nie miała granic.

Ha! nauka nie poszła w las, pomyślałem sobie i już dobrodusznie zacząłem snuć najprzyjemniejsze plany.

— Wykołatałicie krztę litości u króla, dla biednego dziecka — rzekła ze łzami — Bóg wam to odpłaci. Moja to, moja ciężka wina, że go wychować nie umiała, to też dziś oddałam mu się całą duszą. Nie śmiem ja marzyć o tem, aby kiedyś dorównał tamtemu, ale przy bożej pomocy i łasce was życzliwych, biedne moje chłopię, nie przyniesie mi wstydu. Kostuś, poczcij pana Scypiona i proś, aby ci był mistrzem w dworskiej kondycyi.

Kostuś poskoczył ku mnie i mało nie udusił w swoich łapach, a ślinił na wszystkie strony. Wydało mi się to tak, jak gdyby na komendę wszystko robionem było, bo szczerości i affekta tam nie widziałem.

— Kiedyż mnie zaprowadzicie do króla? — zapytał.

— Choćby zaraz, — odrzekłem — król dla was dobrej myśli, nie trzeba tracić czasu.

— On był zawsze dla mnie takim, dopóki ten * Bzowski się nie nawinął.

— Kostuś pamiętaj, com ci mówiła. Kochać go i czcić należy.

— Pamiętam matuchno — rzekł, całując ją wrę

kę, niby delikwent jaki. przybierając minę potulną.

Wzięła go z sobą na stronę, dając rady, jak się ma zachować przy królu. Uściskała rozrzewniona, żegnając jakby w daleką drogę.

Wprowadziłem go, do królewskiej komnaty.

Król zajęty był przy stole czytaniem papierów, tak, że nie posłyszał naszego wejścia, a ten odrazu jak nie buchnie mu do nóg!.. Zerwał się przestraszony, rozumiejąc, że wpadł niedźwiedź z dziedzińca, którego tam uwiązanego trzymano i parę razy się urywał, biegając samopas po zamku.

— Kto tu? wstań chłop cze!

Powstał, uderzywszy łbem o stół tak, że o mało go nie przewrócił.

— No. no zawiniłeś i odpokutowałeś, staraj że się na miłość nasze zasłużyć. Słuchaj rad pana Scypiona — a zwracając się do mnie. dodał; zaprowadzisz go do marszałka, już on zna moją wolę.

Tamtego podziwiał, cenił wysoko, ale tego kochał. Cóż było na to radzić?

Drugiego Marca przyjeżdżała hrólowa do Falęt.

Król jeszcze chodzić nie mógł. czekano w Falętach, czy mu się nie polepszy, aby mógł wyjechać z całym dworem, naprzeciw małżonki a tymczasem prymas Łubieński odwiedził ją z małym Zygmuntem.

Do dziesiątego przebywała pani nasza w Falę

tach, a gdy pedogra wciąż nie puszczała króla ze stołka, kazał się w nim zawieźć dołcościola a królowa odbyła swój uroczysty wjazd do Warszawy, po zamarznętej jeszcze Wiśle.

Co Polska miała najprzedniejszego wprowadziło ją do stolicy.

Niepamiętano takiego przepychu i pompy mo_ narszej.

Urosła plotka, jakoby król przy powitaniu małżonki swej w kościele, kiedy mu wedle ceremonijału do nóg padła, miał się odezwać do posła franczkiego: „To więc ta piękność, o której tyle opowiadaliście mi cudów” — na co królowa miała się tak zalterować, że o mało nie zemdląła.

Potwarz to jest niegodna, a wiedziałem zkąd wyszła.

Prędzej ona się przestraszyła króla, który był schorowanym i zmienionym już wówczas bardzo a królowa młodą i wcale piękną niewiastą. Nie tak wprawdzie, jak ją opisywano i malowano, ale i tu de gustibus...

Inna to rzecz stanęła im w drodze i skwasila to małżeńskie, acz krótkie pożycie; oto złośliwe języki poszepnęły królowi o jej miłostkach z CinqMarsem.

Zaczęły się tedy uczty weselne.

Kucharz naczelny Wołyński, człek biegły w swojej sztuce, wprawiał w podziw Francuzów.

Na jednym bankiecie, postawił dwie piramidy cukrowe, dziesięć stóp wysokości mające, złożone

i malowane w różne kolory, z figurami allegorycznymi i napisami.

Pani Guebriaut ochmistrzyni królowej, nie mo_ gła im się dosyć nadziwić.

Król nie chcąc, aby obydwie podług zwyczaju poszły na łup paziów, kazał mi postać jedne z nich tej właśnie pani de Guebriaut.

Niosło ją dwunastu pacholców i gdy ją ustawiam w pokojach ochmistrzyni, wchodzi jakaś Francuzka chora trochę i stękająca, ale młoda dość jeszcze i urody mepospolitój. Przyglądam się jej bacznie i poznaję ową ukochaną damę Niewiarowskiego, com się jej tyle razy na portrecie przyglądał.

Myślę sobie: ta nie ta—ale ta wykapana!

Mówię o tem królowi.

Pyta — bada delikatnie przez pannę de Guebriaut — ta sama.

Nazywają się de Motteville, od dwóch lat owdowiała, w drodze dostała febry biedaczka i niepokazywała się przy stole.

Król powesalał oltrutnie. bo swatać lubił, dalej tedy wysła posłów do Merecza. co koń wyskoczy z rozkazem, aby natyclimiasz Niewiarowskiego przywieźli.

Przyjechał zdziwiony, tak nagłą dyspozycją pańską—dopieroż król do niego:

— żonę ci przywieziono.

— Wolne żarty W. Kr. Mości.

— Kochasz tę, do ktdrej modlisz się ustawicznie i zanudzasz nią wszystkich?

— Kocham i kochać będę ją zawsze.

— Ożenisz się z nią. jeżeli ci dochowała affektu?

— Choćby dziś.

— Chodźże, będę ci swatem.

Cały dwór i fraucymer, nastrojony już przez króla, czekał tej komedyi.

Pani ozdrowiała i wyładniała, przygotowała się na przyjęcie dawnego adonisa, a ten jak zaczął się jej przyglądać, jak zaczął obliczać, ile to tam z niej od tego czasu ubyło, boć to dziesięć lat z otlładem, jak się poznali, jak zaczął kunktować, tak się i rozchwiało wszystko z wielkim całego dworu frasunkiem, bośmy szczerze tego pragnęli, a król wyposażyć sucie obiecywał... itak Francuzka z panną de Guebriaut wróciła do l*aryża.

Powtarzał potem z przechwałką:

— Król musiał wziąć to, co mu przywieźli, ale wolnemu szlachcicowi, nie tak łatwo narzucić byle podwikę.

Była to przymówka ex re tego, że i król przed dziesięciu laty miał się żenić z Maryą Ludwiką.

Poznaliśmy, że to chymeryk i fantasta.

Fraucymer naszej pani był nadobności i wdzięków pełen.

Młodziutka, śliczna Marya Kazimiera d'Arquien szesnastu lat jeszcze nie miała, powabna Eugenija

Laacaris. de Lusse. Langeron. Gordon. Caillet. Marinieri, Choisy i tyle jeszcze innych, których dziś nazwisk nie pomnę.

Nie było gdzie oczu podziąć przed niemi, bo wszystko to śmiałe, szykowne, wdzięczne, słodkie, miłe—a ciekawe, a gadatliwe!...

Królowa za to pani rozumna i energiczna—to nie Austryaczka, co miłowała tylko, ta rządzić chciała.

Ochłódł król zrazu strasznie, bo nie lubił dzielić z nikim swój władzy, ale gdy się przekonał, że przybywa mu jeszcze jeden pomocnik w jego planach, bo królowa całą duszą oddała się wojnie tureckiej. i cały posag ofiarowała do dyspozycji, tak zgoda i harmonija zakwitły w najlepsze.

Nie było tam kochania, ale szanowano się wzajemnie i słuchano a radzono.

Jadwiżka wróciła do łask. i dawnych karesów. nieprzeszkadzona przez nikogo, bo królowa, patrzeć umiała na wszystko przez szpary, a gwoli swej politylii wszystko do swego wozu zaprzęgać

Nosiła się dumnie, i niby mały dwór stworzyła, u siebie.

Zabiegano do niej. z prośbami i podarkami, po staremu, jak w Mereczu, tylko że tu było większe po temu pole.

Spotkać u niej mogłeś ludzi różnych stanów, nawet jezuitów, bo ojciec Tyrawski. sławny z tego, że szczury umiał wyprowadzać, gościł u niej codziennie.

Knuto intrygi, układano kabały. Konstanty krzesał się na gładkiego dworzanina.

Chytrym umysłem, pojął od razu, na czym tu ona dworność wygrywa: na łaszeniu się i pochlebstwie—to też w lirótkim czasie, przeszedł wszystkich — jak w Mereczu był butny i zuchwały, tak tu znów, pełen pokory i uniżenia. Nieledwie, że pył czupryną zmiatał, a po rękach całował byle kogo.

Wzgardę i oburzenie, budziło w nas, to chłopisko — nie można mu było ze łba wybić, że grzeczność graniczyć zawsze powinna z godnością. Uśmiechał się tylko chytrze, bo miał swój własny hodelcs, którym trafiał niechybnie do celu. bo i komuż z tych, co górą głowę noszą, nie podoba się uległość i pokora taka. Był też w łaskach u możnych, a marszałek polubił go nie żartem.

Uczty weselne dalej trwały.

Król zbierał wojsko, coraz już głośniejszy i jawniejszy, gdy spadł pierwszy grom, i pokrzyżował mu zamysły.

Umarł stary hetman Koniecpolski, przy młodej żonie, w Brodach.

Nie całe dwa miesiące nią się cieszył.'

Prawa ręka. przyjaciel jedyny i doradca, a tureckiej wojny inicjator.

Po królu Władysławie, był to prawdziwy opiekun i dobrodziej kozactwa, które go się bało.

i szanowało wielce, a do wojny z Turkiem garnęło się z całej duszy.

Uczuł król boleśnie tę stratę, bo hetman zaraz po miodowych miesiącach, miał ruszyć na Ukrainę— aż tu one miodowe miesiące, cykuta mu się stały

Obawiano się buntu.

Pod srogim uciskiem. hetmana polnego Potockiego i księcia Jeremijusza Wiśniowieckiego. łącno można się go było spodziewać, czempredziej więc wysłał król pana Radziejowskiego Hieromina na Ukrainę. dając mu instrukcją, aby z poselstwem kozackim wracał.

Fama o wojnie rozchodziła się szybko, słuchano, niedowierzano — tymczasem do Warszawy szły wciąż zaciągi.

Ujazdów cały pokryty namiotami, roił się żołdactwem przeróżnej barwy i nacyi.

Wenecyanin Tiepolo czynny, ruchliwy biegał, jak fryga.

Pan Jan Denhoff otworzył dom przy krakowskiej bramie, gdzie werbował żołnierzy a przybywało tego dość gęsto, jakby z pod ziemi wyłazili.

Nie słyszałeś po Warszawie, jedno szczęk oręża a przekleństwa i butę żołnierską.

Między ormiańskimi kupcami, ujęto szpiega tureckiego, jak o tem. co się dzieje donosił sułtanowi. Powieszono go też zaraz nad Wisłą, ale nie na wiele się to przydało — innychby wieszać

trzeba było, mianowicie niektórych senatorów naszych, którzy prowadzili korespondencją z Dywanem i o zamysłach królewskich znać dawali

Zjawił się temi czasy, niejaki Sebastyan Aders, mazur ożeniony z Hollenderką — ten pod przebraniem kupieckim i niby szukając swego brata w niewoli tureckiej, objechał całe państwo padyszacha i przywiózł królowi mappy. plany fortec, wiadomości wszelkie o sile zbrojnej tureckiej.

Niemaló też bodźca dodał królewskim zamysłom i wszystkim przyjaciółom wojny, rodowód królowej Maryi Ludwiki Gonzagi. sporządzony przedziwnie przez brudną eminencją. co w gwiazdy patrzała, w którym to rodowodzie jasno było. że wywodziła ród swój od owych sławnych Paleologów, cesarzów bizantyjskich i jest jedyną ich dziedziczką do praw i korony, które to prawa przelewa na swego rycerskiego małżonka, aby ich orężem dochodził.

Wśród tej ciżby i krętaniny. nadepnąłem na pana starostę Mereckiego.

— Czołem.

— Czołem waszmość panu. Czy z zaciągiem jakim do Warszawy, na Turka?

— Żartuj zdrów mój dobrodzieju... ja na Turka... tego... Przyjechałem się dowiedzieć, co tu słyhać z jejraością moją. Nudno siedzieć tego... samemu w Mereczu. Niechby mi tu wyrobiła jakie dygnitarstwo nadworne.

Popatrzyłem nań zdziwiony. Czy kpi, czy drogi pyta!

— A o jakież dygnitarstwo tentowałby pan starosta?

— Podskarbi słyszę chory... tego...

— Eh podskarbi wyzdrowieje... i to nie dla was urząd — dużo roboty, a odpowiedzialność wielka. Ot tożniczym pańskim by wam zostać.

— A niechby tego i łożniczym. Niepodobna było kpić z tego człowieka, bo wszystko brał za dobrą monetę.

Zdobiał jakiś czas dom swej jejmości, ale jak widział, że go nikt nie ma za bura sukę, a w Mereczu mu się kłaniają żydzi i chłopci, dał za wygranę dygnitarstwu i zdjawszy pychę z serca, wrócił na swoje starostwo.

Między rycerstwem i żołdactwem. co zalegało ustawicznie dziedziniec zamkowy i przedpokoje królewskie, poznałem dwóch ludzi, których, do końca życia nie zapomnę.

Jeden z nich. pan Strzemeski Krzysztof, człowiek poważny i milczący — wrócił niedawno z Turek, z kądem kosztem całej fortunki swojej, wykupił z niewoli trupa matki i pochował w parafialnym kościółku.

Charakteru niezłomnego mąż.

On to, co potem w wojnach kozackich, gdy się dostał do niewoli u Krzywonosy, i gdy mu na urą

ganię ręce obcięto, a dla większej męczarni, zostawiono je tylko, wiszące na kawałkach skórytemi knykutami bił jeszcze nieprzyjaciół, czem podziw i grozę budził nawet w takich zwierzętach.

Gdy powiedział, że jutro pójdzie do piekła, mogłeś być pewnym, że poszedł i stoczył walkę z Lucyperem.

Mało mówił, ale co powiedział, było takie, że na kamieniu ryc mogłeś. Niedużego wzrostu, już szpakowaty, krótko ostrzyżony, z sumiastym wąsem.

Drugi pan Jan Tymiński, facecyonista, żartowniś.

Gęba mu ciągle chodziła, dykteryjki sypał, jak z rękawa, rębacz sławny. Gdy nie mówił, to pogwizdywał. Ulubieniec nieboszczyka hetmana Koniecpolskiego, ba i całego wojska,

W razach huczków, związków, konfederacyj. w razach głodu, niepowodzeń wszelakich, wszystko zażegnywał śmiechem.

Mogłeś go zamknąć o głodzie a pewnie humoruby nie stracił.

Gadał sam z sobą. gadał do kamieni.

Średniego wzrostu, dobrej tuszy z głową wygoloną.

I ktoby powiedział, że tych dwóch ludzi było przyjaciółmi od serca.

Obaj razem wstąpili do jednej chorągwi, zawsze nierozdzielni, zawsze z sobą.

Razem odbyli niewolą moskiewską, królowi oddani duszą i ciałem. Obaj żołnierze sprawni, wyowiczeni w potrkobaeh wszelakich—wypróbowanych serc — jeden za drugiego w ogieńby skoczył.

Oni kompletowali chorągwie, ćwiczyli żołnierza, werbowali, szczególnie pan Tymiński miał namowy dar niepospolity.

— Szlachta się roztyła — mawiał — te kilkanaście lat pokoju, to plaga gorsza powietrza, głodu i wojny. Serca wam słoniną obrosły, ani się do nich domacać. Siedzieć doma. brzuszek pieścić, pieniądze av pończoszkę zbierać, tfu! Szable pordzewiały, a brat szlachcic z rydlem i łopatą grzebie gdzieś w ogródku, piwko warzy, rzepkę skrobie, świnię karmi. Ojcowski pancerz muchy popstryły, gdzieś na poddaszu wala się razem z kulbaką. Wejdiesz do izby. a on pod pierzyną się wylęga do południa. Jejmość mu grzaneczki przyrządza do łóżka i tak bez pacierza, nieumyty przeżuwa jak świnia w barłogu. Trawisz mu o wojnie, jakby o żelaznym wilku. Wojna, pyta. Kto, z kim? Pan Krakowski z panem Sieniawakim? Najechali — gdzie — kogo? On tylko takie wojny widział — a o tamtych prawi jak o potopie. Bywało to tam kiedyś, powiada, nieboszczyk rodzic, panie świeć nad jego duszą, dokazywał pod Smoleńskiem, pod Chocimem. za dawnych czasów, ale dziś co nam po tem. Siedzieć. a pana Boga chwalić, panom służyć, do fortunki

kołatać. Nasza miła Polska pokojem stoi. Niech tam sobie Niemcy, Francuzi się tłuką. Ha wyrodki! Będzie król miał ciężki orzech do zgryzienia. Piecuchy! Gębą szermować na sejmie za miłym spokojem będą. Uacye stawiać takie, że srom uszom rycerskim, zające i lisy lwu przyganiać będą spętanemu. Tylko patrzeć, jak tu posuną ku Warszawie malkontenci. Najprzód grubsza zwierzyna wyruszy. Panowie senatorowie, statyści, co każdy na swoją rękę wycisnąć by chcieli z tej Polski jelita bodaj i w pakować w swój brzuch nienasycony, a dać dla niej pruszyny ze swego stołu nie chcą. Pełni rankoru do króla, że ich tłuste kęski minęły... Ci będą race puszczać, a frakcye tworzyć, a panów bratów głąskać pod brodę... a pieczenia ira pod nos stawiać, aż i wygardlują jakie obrzydliwości — ale trafiła kosa na kamień... byłby tak gadał bez końca, gdyby pan Strzemeski nie przyłożył na to, jak zawsze, pieczęci.

— Nie łów ryb przed niewodem. Nie wyprzedzaj tego, co się stać niemoże. A toż by nam już z kamieniem do dna. Póki Władysława na tronie, nie rozpaczajmy o skutku dobrej sprawy. Prawda, że naród zleniwił i w dobrach ziemskich się zagrzebał, ale i duch rycerski nie wygasł ze szczeniem. Nie wygasła też cnota a roztropność u panów senatorów naszych, co dzieło boże dźwignąć pomogą. Od Krakowa do Stambułu, bieleje droga kośćmi naszych ojców usiana, przesiąkła

krwią męczeńską — ta droga to szlak, tą drogą Polska pójdzie i zgniecie odwiecznego wroga chrześcijaństwa a pójsó musi, ho inaczej jej biada! Oto na kresach naszych stoi dobór rycerskiej drużyny, zastęp bohaterów stoi stworzon do walki z pohańcem. i czeka skinienia pomazańca bożego, aby ją zaprowadził na pole chwały, a poprowadzić ją musi. bo inaczej jak mawiał nieboszczyk hetman, cała ta siła zerwie się i w pierś własnej matki ugodzi. Ci co o pokoju prawią, to małoduszni i głupcy. Nie nam pokój — nam bojowanie wieczne. My na rozdrożu, jak te herkulesowe slupy, stać będziemy i odpierać nawałę sił nieczystych, co w serce lś.rzyża wedrzeć by się pragnęły — bo gdy upadniemy ona przejdzie po głowach naszych i wtenczas będzie koniec chrześcijańskiemu światu. Cześć więc i chwała wiekiusta

królowi, co chce pójść i w samo serce złego zanieść zniszczenie i zagładę. Wyrodny syn ten, co niepójdzie tam, gdzie matka (ojczyzna zlamentem i ratunkiem go woła.

I tać zawsze jeden z nich. niby Satyr szczerzący zęby. nicował wszystko i przedrwiwał, drugi jak kaznodzieja z ambony grzmiał i nawoływał do poprawy.

Wśród takich to pogadank, gdyśmy cali wsłuchani, o bożym zapomnieli świecie, stanął jednego dnia między nami Bzowski i jakby kończył rozpoczętą przez pana Strzemeskiego filipikę zawołał:

— Tak! zatknijemy krzyż zbawienia na Mahometa minaretach. Polska spełni missya, jaka jej w wyrokach Opatrzności zapisana.

Bzowski! jakież było zdziwienie nasze.

Co za przeobrażenie?

Co się z nim stało?

Zostawiliśmy go dzieckiem prawie, wyrostkiem jeszcze, a wracał mężem.

Na bladej twarzy, która mu się teraz przedłużyła nieco, wysypał się czarny wąsik, oczy gorzały blaskiem jak pochodnie, wyrósł, zmężniał, zdawało nam się, że go o dwa razy przybyło.

— Witaj przyjacielu mój — zawołał biorąc mnie w ramiona.

— Zkąd wracasz, gdzieś bywał?

— Pójdź! długie to sprawy. Wracam z kresów — przybyłem z kozackimi posły.

I nim mu się przypatrzeć, nim się opamiętać zdołałem — pochwyił ranie za rękę i poprowadził do swój izby, zawarłszy drzwi za sobą.

— No! "wielkie sprawy dzieć się będą na świecie. Przygotuj uszy, abyś nie stracił i słówka z tego co ci powiem. Zanim zima białym swym płaszczem pokryje ziemię, będziemy z królem naszym w Stambule. Czy słyszysz: w Stambule ! U nóg naszych islam podeptany w pyle. Polska najpotężniejszą z królestw świata!

— Daj Panie Boże! Ale mów mi gdzieś bywał Coś robił? Co się z tobą stało? Innym człowiekiem jesteś.

— Oh tak, innym. Bo te?, co ja przeżyłem przez te kilka miesięcy—gdzie byłem, czego nie widziałem. Oh gdybym żył wieki, już taki drugi obraz o(zom mym się nie zjawi.

Chodził po izbie jak opętany. Tarł czoło, przystawał i patrzył gdzieś w dał. jakby goniąc myślą to wszystko co widział niegdys.

— A wy tu coście robili ? Francuzicę sprowadzili z całym serajem? ucztowali?

— Dowiesz .się wszystkiego, potrochu teraz mów rai o sobie.

— O sobie mamci mówić? Jak związać to wszystko co mi duszę przepelnia w ład jakiś?

Ha, będę próbował. Siadaj! słuchaj! Znów chodził po izbie wielkimi krokami.

— Zaraz po waszym odjeździe z Merecza prędko przyszedłem do zdrowia...

Cudowny dolktór Podhocimski... a było ze raną krucho... rana była niebezpieczna..., przysłała maligna...

Nic nie wiedziałem, co ze mną było. trafił mnie tylko sen jakiś dziwny i straszny.

Gdym przyszedł do siebie, zapragnąłem widzieć gwałtem matkę moją.

Jak ją sprowadzić było?

Wysłano do niej listy, donosząc o chorobie a tymczasem pocieszano, że niebawem stanie. Czekałem i myślałem.

Co przez ten czas. biedna moja głowa nie napłodziła?

Jak tylko wstałem z łoża, powłóczę jeszcze nogi za sobą zapragnąłem jechać do niej... wstrzymywano, proszono, perswadowano, nic to nie pomogło. Pogroziłem, że jeżeli mnie nie puszcza, rzucę się z baszty albo głowę o mur rozbiję.

Wtedy Niewiarowski oświadczył mi wolę królewską.

Miałem niebawem po wyzdrowieniu, jechać na kozaczyzna i zawieść starszyźnie listy, a zarazem baczem okiem przyjrzeć się wszystkierau. aby za przyjazdem zdać królowi relacją.

Błahe mi się wydało io poselstwo całe, w obec pragnienia mego i oświadczyłem wręcz Niewiarowskiemu, że wolę królewską spełnię, ale wprzód muszę widzieć matkę moją. Jakby przeczuciem tknięty. że ona pomocy mojej potrzebować musi. Trudno mi się było opierać — stałem niewzruszony, musiano przystać na wszystko. Zalecono tylko pośpiech i ostrożność, bo listy były tajne i wielkiej wagi.

Bano mi czeladź piętnastu ludzi i dwóch starych żołnierzy Chrzanowskiego i Kieżgajłę, za przewodników.

Pędziliśmy dnie i noce bez wytchnienia bocznymi drogami prowadzeni przez Chrzanowskiego.

Ósmego dnia stanęliśmy w Sandomierzu.

Zajechaliśmy do gospody, by koniom wytchnąć nieco i rozpytać co się dzieje w Jurkowicach. bo już niepokój mnie trapił wielki, gdy w tem spostrzegam służącą mej matki Stefkę.

Klasła w ręce gdy mnie zobaczyła i krzyknęła:

— Panicz! panicz tul toż to będział

— Gosię stało? Co tu robisz? Gdzie matka?

— Pani nasza, mój Boże! — rzekła szłochając.

— Co? mów mi gdzie matka, wrzasnąłem odchodząc prawie od zmysłów.

— Tu, tu paniczu.

— Tu w gospodzie?

— Spalii nas niecnoty — a pani chora — tam. Jak piorun wpadłem do izby. którą mi wska
zuła. i zobaczyłem matkę — chorą zgnębioną, bez dachu.

Mówiłem ci zapewne, że matka obleganą była wciąż przez konkurentów.

Hyli jedni, którym się śmiała protekcya królewska, byli inni którzy atieltem do niej gorzeli, a których odrzucała kolejno.

Mszczono się na niej paszkwilami. obelgami — wymyślano ohydne potwarze, grabiono jej zbiory i inwentarz, znęcano .się nad ludźmi.

Trwała ta walka lat dziesiątek — matka znosiła to wszystko dumnie, co ich w więk.szą wprawiało wściekłość ale tego niedosyć było. Jeden z nich Żernicki bliski sąsiad, najzaciętszy z całej tej zgrai, postanowił się zemścić, i w biały dzień najechał z tłumem pijaków bezczeszcząc biedną kobietę, tłukąc wszystko, niszcząc a wreszcie paląc dwór i dobytek cały.

Co się ze mną działo, tego ci opisać nie mogę. wybiegłem jak wichur.

— Na koń! Za mną, Opowiedziałem im przez drogę wszystko. Przysięgli iść w ogień i w wodę. szczególnie Kieżgajło.

W Jurkowicach zdrętwiałem ze zgrozy strasznej.

Dworzec w gruzach, gumna spalone stały jedną kupą pogorzeliiska, Czeladka rozproszona i bez dachu.

Zebrałem wszystkich ludzi, jacy tylko zostali, a byli gotowi])ójsć do piekła, bo matkę kochali jak świętą i dalejże na Domoradzice Żemickiego.

Otoczyłem dwór dookoła, sam wszedłem nu dziedziniec i zawołałem:

— Jam Pizowski! stawaj tu samotrzeć łajdahu. rozprawimy się z sobą. Patrz, mam siłę taką, że tu jedna dusza z was nie wyjdzie żywa — alem ja nie rozbójnik. Dalej, bierz szablą albo ci tu na wylot łeb przewiercę.

Zaskoczony tak niespodzianie, nie wiedział na razie co się z nim dzieje ale oprzytomniawszy prędko wybełkotał:

— Czego chcesz? jam nie zawinił — to Przyjemski. Skowroński. Ostaszewski.

Ty mi za wszystkich odpowiesz. Ty nędzniku, ty prześladowco wiekiusty, za wszystkie krzywdy mi odpłacisz.

Zawołał na ludzi, a sam chciał drapnąć do dworca, poczęstowałem go z pistoletu ale ręka mi

drżała i nabój poszedł, on też umknął drzwi zatarasowawszy.

— Stawaj łotrze, bo cię upiekę żywcem w twym dworcu.

— Piecz! ale nie ugryziesz tej pieczeni i plunął mi z garłacza przez okno.

Kula uwięzła mi w kapeluszu — ale kiedy nie krzyknę na moich chłopców, kiedy się nie rzuci wszystko na ono domowstwo — wdarli się oknami jedni, drzwiami drudzy. Wywlekli go pokaleczonego, bo się wziąć nie dał i dwóch moich ludzi tego naznaczył. Związaliśmy go w pień.

Służba jego potrwożona pochowała się w kąty, wybiegło kobiet kilka jak ciotka jego stara i siostry, rzuciły mi się do kolan, prosząc zmiłowania.

— A on miałże zmiłowanie nad biedną matką moją? Oto chora, znękana, bez dachu, bez przytułku.

— Oh Panie, nie on tu jeden zawinił. On żałuje nieszczęsnego czynu, który się stał po pijanemu. Dziś oni sami nie wiedzą, jakim sposobem wszczął się pożar, Zmiłujcie się nad nami.

— Precz! oko za oko. ząb za ząb. Tak jak wy pozbawiliście matkę moją przytułku, tak ja tu kamień na kamieniu nie zostawię. Was puszcze z życiem. Palić! krzyknąłem ua moich ludzi. i byłbym dotrzymał słowa, gdyby nie nadjechała matka. Niespokojna, popędziła za mną, aby mnie wstrzymać w samą porę.

— Stój synu, sprawa się już pertraktuje — Sądy domierzą rai sprawiedliwość,

— Sądy nie wrócą twoich łez wylanych. goryczy i wstydu, jaki przecierpiałś. Palić!

— Wstrzymajcie się. Szymonie! Czyż na kolanach uiam cię błagać, abys porzucił swój zamiar okrutny. Prowadź do grodu tego nędznika a dora jego i krewnych zostaw w spokoju,

— Ja dom jego w spokoju! Nimeś tu przybyła jeszcze, ten zbójca z po za ściany swego domu chciał ranie życia pozbawić, w chwili gdym go na sąd hoży wzywał. Oto ślad jego kuli.

— Zdaj na sądy wszystko mój synu. Nieszczęście, które mnie dotknęło, jest niczem w porównaniu do tego. gdyby ciebie utracić przyszło. O mój synu, mój synu. Tyś był bliskim śmierci, a mnie nie było przy tobie.

Rzuciła mi się na szyję, zawodząc płaczem wielkim.

Przypatrywała mi się, oglądała na wszystkie strony tak jak ty przed chwilą.

Zmiękłem jak wosk przy sercu matki.

Zernickiego związanego dostawiłem do grodu w Sandomierzu.

Estymowano mnie tam wielce, wiedząc kto jestem i z czym jadę.

Przyręczone sprawę poprowadzić rychło, ile że świadków zbrodni mieli tyle. że nie wiadomo których wybrać — ustanowiliśmy rzecznikiem Imć

Psarskiego i r.a drugi dzień zaraz puściliśmy się w drogę.

Matka miała dalekiego krewnego Krzysztofowicza na Ukrainie w Koniecpolszczyźnie.

Był to stary szlachcic, dziwak wielki, oczajdusza — nakarbował sobie na skórę kondemnat kilka tak, że musiał sprzedać wszystko co tu posiadał, i zabrawszy żonę z dziećmi udawszy się pod skrzydła Koniecpolskich. Hyłkiem tam powędrował i osiadł niedaleko Dymitrowki. gdzie nabył futur.

Do tego to krewnego jechać zachciała koniecznie byle być ze mną, byle mi towarzyszyć.

Zgodziłem się z radością na tę podróż — zdrowie się jej polepszyło.

Pogoda zapowiadała się cudowna.

Babic lato pływało po powietrzu.

Oddychaliśmy pełnymi piersi, na tym niezmiernym stepie.

Zdawało się, że nam skrzydła urosły — chciałoby się lecieć z onym ptactwem co przelatywało ciągle po nad głowami.

Zdrowie, ochota! Ach żyć tam! żyć nieumierać!

A co za ludzie ?

Co chwila żałujesz, że niejesteś malarzem, bo każda persona prosi ci się abyś ją na płótno przeniósł.

I czego tam nie ma w tej naszej Ukrainie? Wszystkie niesforne animusze i rozумы i serca

wielkie i wszystko plugastwo jakie z siebie wyrzuca Rzeczpospolita.

Miśj oczy do patrzenia, uszy do słuchania z ręką na kordzie, boś wjechał do kraju rycerzy i rozbójników.

Tu ci się nawija chłop małopolski, owdzie pomorski szlachcic, tam Żmujdzin, tu Wielkopolanin, a tu Mazur, a wszystko to dźwiga na sumieniu jakąś kreskę.

Uciekło ścigane przez prawo, aby tu sobie usłać gniazdo, ale gniazda tego trzeba bronić dniem i nocą, bo przyjdzie mocniejszy i wysadzi cię z niego.

Jechaliśmy tak pogodnie, pławiąc się w jesiennym słońcu.

Czy w miasteczku jakim, czy we wsi, czy po grodach przyjmowano nas uczciwie.

Dodawano konwój, gdy groziło jakie лихо.

Ale nie było obawy — imię króla czczone tam jest. na równi z imieniem Boga.

Lud ruski śpiewa o nim pieśni, a jedna z nich kończy się temi słowy;

Służyb jemu korolu Polszczy Po wiri i po prawdi.

Dziady lirnicy śpiewają dumy o kozackich hersztach, a mają ich tyle co świętych w kalendarzu.

Gdzieindziej słyszysz znowu przekleństwa i złorzeczenia na ucisk panów, gromy na żydów, którzy wszystko dzierżą w rękach, nawet cerkwie,

bo gdy chcesz chrzcic albo ślubie, żydowi opłacić musisz, bo on te dochody dzierżawi.

Oh jalcze mi teraz ważne i pełne znaczenia wydało się to poselstwo, którem innie król zaszczycił.

Zdawało mi się niejaleo. że losy tego luda. dźwigam w mych rękach.

Pałałem też chęcią wielką, dobiecia się jak najprędzej do onego tutom Krzysztofowiczów gdzie bym mógł bezpiecznie matkę nioję zostawić a potem pospieszyć z królewskimi listami do Czerkas.
Dobiliśmy wreszcie Dymitrowki. zkaąd o pół mili futor pana Jędrzeja,
Ucieszono się tam nami. tuk jak się zwykli cieszyć wygnańcy, gdy im przybywają drodzy ich sercu i przynoszą z sobą to wszystlto, za czem tęsknili tyle.
Niewiedziano. jak nas ugościć, czem obdarzyć,
Najstarsza córka gospodarzy, panna Salomeja. dziewcze ładne nad podziw a śmiałe i odważne, jak mały kozak — przypadło mi do serca i dziś jeszcze jej oczy brylantowe spać mi czasem nie dają — ale to wszystko ustąpić musiało, przed sprawą królewską, litora leżała mi na sercu.
Pożegnawszy dobrych ludzi, popłakawszy się z matką z przyrzeczeniem, że ich rychło odwiedzę, ruszyliśmy na tumań. Lisiankę. Korsuń do Czerkas.
Dwie mil z Koszny wyprawiłem Chrzanowskie

go z oznajmieniem, że wiozę listy królewskie do Iwana Barabaszeńki. setnika czerkawskiego.
Powitali mnie na pół miii od miasta mołojcy na dzieJnych koniach i poprowadzili do doma Barabaszeńki.
Ze starszyny kozackiej, jest to mąż najwięcej królowi miły.
Listy, które im przywiozłem, były takie, że się oddali niesłychanej radości.
król wiele przyrzekał i napomykał im o planach wojny tureckiej.
Mnie oddawał im w opiekę i zalecił ćwiczyć w rycerskiej szkole.
Noszono mnie tam na rękach.
Wyprawiano uczyty.
Z pomiędzy wszystkich dostojników. przypadł mi najbardziej do serca Bogdan Chmielnicki. Poznasz go bhżej.
Dwóch ludzi jest w tym dziwnym człowieku albo powiedziałbym po pół każdego. Pół lach pół rusin. Pół człek obyty w świecie i oczrytany. a pół liozak zacięty.
Zawiózł on mnie do siebie, pitd Czehryn do Subotowa. gdzie się przyjrzał kozackiemu gospodarstwu.
Jest wdowcem, ma dwóch synów, z których starszy Tymko. jest w moim wieku młodzian odważny i w sprawach rycerskich biegły.
Przesiadywałem tak kolejno, to u nich. to u je

go kuma pułkownika Krzeczowskiego, znamienitego wojownika.
Chmielnicki zostaje w ciągłych zatargach z Czaplińskim podstarościm czechryńskini. a poszło im o dziewczkę, którą Chmlelnicki miłował a Czapliński mu ją porwał. Passya ta tak silnie nim owładła, że kiedy mówi o tem. o mało mu oczy ze skóry nie wyskoczą.
— Ot na dobitek — powiada — trzeba siedzieć beczynninie i gryźć się a swarzyć. Gdyby mity Bóg dał jak najprędzej królowi ruszyć nas na Turczyna, bo inaczej zmarniejemy do szczętu. Tatar ustawicznie coś urwie, a my siedzieć musim i patrzeć, bo ruszyć się nie wolno. Panowie podnoszą wrzaski, że się traktaty łamie. Gorętsi uciekają na niż. Ot i teraz słyszę gotuje się wyprawa, a nam wciąż siedzieć doma. Ha! żeby król pozwolił nam się ruszyć — ale panowie go trzymają w ryzie. Nema szczo howoryty.
— Gdzież ta wyprawa się gotuje?—zapytałem.
— A ot za Zaporozem, na Xizu. w Siczy, Kudak niby stoi i strzeże, ale my tu wszystko wiemy dokładnie,
— Nie możnaż nmie się tam dostać?
— Czemu nie. znalazłby się taki, co by was poprowadził, ale tam w francuzkie karty nie grają, głową nałożyć można łatwo a znowu jak Bóg da, wrócić z sułtańskim łupem.

— Jadę i dowiodę wam. zem w pierzynie się nie chował.

— No. no, a coby w Warszawie na to powiedzieli, że wysłannik królewski na rozbój z hultajstwem się wysforował?..
Toć jeżeli od Turka ocalejesz, nasi gotowi głowę zdjąć, gdy złapią.

— Broni mnie gleit królewski, który mam przy sobie.

— Oni i gleitowi poradzą.

— Już jak chcesz gadaj Mościwy Panie Chmielnicki, a ja jechać tam muszę.

— Ha! widzę, że waść kawaler zdeterminowany. A jak broń Boże nieszczęścia, swoją skórą nałożę, zem cię wypuścił?

— Bądź waść bez obawy. Prócz nas dwóch nikt o tem wiedzieć nie będzie.

— To i nema szczo howoryty. Jest tu hultaj jeden, który was na miejsce doprowadzi a wy tam radźcie sobie, jak możecie.

Hultaj ten, Fiodor Czarny, sprawny okrutnie na dwóch ramionach płaszcz nosi. bo to i do rejestru się liczy i z niżowymi trzyma a takich tam dużo.

Płynęliśmy Dnieprem, putem omijali Kudak piechotą i znów sunęli czajkami, które Fiodor zawsze znajdował gdzieś, jakby na niego czekały, aż dotarliśmy do Ostrowa Buckiem zwanego.

Tu cóż za widok mnie uderzył? Szczebiewiszcze zowie się miejsce, gdzie budują one statki sławne i puszczają się niemi w najdalsze świata strony.

Zdało mi się, zem sv jakimś wielkim porcie.

Atamanem tej wyprawy był im Iwan Pietruazeńko.

Poprowadził mnie do niego Fiodor.

Człek był srogi, tylko eo kazał dwóch mołojców powiesić i tak między tymi bujającymi się wisielcami siedział na tronie, którym była kupa śmieci.

Popatrzył na mnie z początku nieufnie, biorąc za szpiega, ale gdyśmy się rozgadali, przypadłem im do serca.

Nie pierwszyna to u nich. że jakiś junak lacki przyłącza się do ich wyprawy.

Cóż to za żołnierze! Każden z nich wzięwszy go pojedynczo, obstoi za pułkownika — i takie siły Rzeczpospolita marnuje — obraca w chłopy.

Nazajutrz ogłoszony był wyjazd.

Do każdego statku siadło mol(łjców — mnie wziął na swój sam Ataman,

Oh. przyjacielu, jakże ci opiszę ten labirent wysp i skał, przez któryśmy przemykali.

Przy samym ujściu Dniepru, Ataman zawiesił znak swój na maszcie—wszyscy zbili się w jedne kupę i tak lawą puścili się na morze.

Płynęliśmy od wschodu słońca do południa, gdyśmy dostrzegli turecki okręt.

Popędziliśmy ku niemu całą siłą wiosel i gdy już tylko o parę rzutów z łuku był od nas. wstrzymaliśmy się do nocy i posuwali się dalej, trzymając go w szachu.

Wtenczas Ataman wysłał połowę czajek w szyb

kim biegu, aby go oskrzydlić a nasza połowa przytarła doń i dała ognia.
Odstrzelili się gęsto i trupa naszych padło nieco, kiedy tamci natarli na nich z drugiej strony — posunęliśmy tedy całym pedem sił naszych i zaczęła się walka na dobre.
Czajki, niby muchy natrętne, obsiadły tego olbrzymia. Zaczęliśmy zarzucać liny i haki — niewyszło trzech pacierzy, kiedyśmy byli na pokładzie.
Pogan wycięto w pień — łup zabrano i okręt zatopiono.
Nie zwlekając, puściliśmy się nocą ku brzegom Natolii,
Słońce nie weszło jeszcze, kiedyśmy wylądowali,
W każdej łodzi zostało tylko po dwóch mołojców, zresztą wzięwszy rusznicę, puściliśmy się lądem ku najbliższemu miastu Eregli.
Na wstępie zaraz któryś sprzątnął Muezzina na niedość wysokiej wieżyczce, aby nie budził trwogi.
Zastaliśmy miasteczko jeszcze śpiące.
Wywlekli zaraz jakiegoś baszę i zrabowali mu dom doszczętnie.
Na resztę miasta nałożono haracz, który w pokorze i strachu wnieśli—i tak wylądowawszy konie i muły zdobyczą, wróciliśmy do czajek naszych dość rychło, bo tuż na piętach za nami szła pogoń i gęstemi strzały prażyć poczęła.

Odstrzeliwaliśmy się, jak mogli, pókiśmy nie stracili ich z oczu.
Najtrudniejszy zawsze z takiej wyprawy bywa powrót, bo galera czuwająca przy ujściu znad daje, że kozacy puścili się na morze. '
Wtenczas to, na wracających obciążonych łupami, rzucają się Turcy aa swoich ciężkich statkach i tu dopiero trzeba sztuki niezrównanej, aby się im wykręcić.
Rozpoczęliśmy tedy istny taniec.
Obznajmiłem się prędko z ich nawigacją i nabrałem już wprawy.
Wyprosiłem sobie tedy u Atamana dwie czajki, każdą z pięćdziesięciu mołojcami uzbrojonymi w strzelby i armatki i tak z jedną podsunąłem się pod samą galerę, drugiej zaś kazałem manewrować opodal i trzymać się głównego czoła Atamana.
Ja stanąłem przy rudlu.
Turkom zawsze więcej idzie o żywego jeńca, aniżeli o trupa i chętniej starają się łowić na haki i arkany, gdy się która przybliży, aniżeli doń strzelać.
Widząc łup już tuż, tuż, pod nosem, rzucili się na zdobywcę. wtedy ja umówiwszy się już z mojami mołojcami, szybkim ruchem się cofam — myślę im tak kilka razy to z tej, to z owej strony galery się podsuwając — zmiarkowali fortel, bo już strzały gdzie niegdzie padły. Wtedy jak nie gwizdnę, jak się nie wysunie druga czajka, którą

zostawiłem gotową na skinienie, jak nie pluniem wszyscy ogniem !...
Zmieszało ich to potężnie, a my dawaj za pakuły i łuczywo oblane smołą, które przygotowałem, wyprosiwszy ich sobie, albo wykupiwszy od innych, bo mi powolni byli wielce i wszyscy, ilu nas było na czajkach, zapaliliśmy je szybko, rzucając z krzykiem wielkim.
Wtedy przybył nam sukkurs z kilku czajek, co jak osy opadł galerę, prażąc ogniem.
I gdy tak palim. a tamci strzelają, rzucam drabinę i dalejże drapać się na galerę, ale w chwili gdy stawiam nogę. czuję, że mnie coś dusi — sto świeczek stanęło mi w oczach i byłbym dyndał na onym arkanie, gdzieś przywieszonym do masztu, gdyby mnie nie odciął poczciwy Mykita, za co mu sowicie nagrodziłem.
Galera zgorzała.

Myślałem, że będę powitany, jak bohater, ale przeciwnie złajano mnie ostro, bo inne galery widząc upadek tamtej. srogą zawrzały zemstą, ścigając nas tak zacięcie, żeśmy ledwie z życiem ubiedz zdołali. Niewolnika, cośmy zdobyli, utopiono zaraz, wyprosiłem sobie tylko jednego Wołocha. W Kurbeniczy nastąpił podział łupów. Dostało mi się sto piastrów hiszpańskich, które zamieniłem zaraz na cudne tureckie wełniane i jedwabne materye, bogate manele i naszyjniki — przypadło mi także kilka naczyń srebrnych wy

sokiej wartości, dla misternej roboty, zobaczysz je, bo tam i dla ciebie coś się znajdzie i... oh dziwo, krzyż i patyna zrabowane z jednego z kościoła na Pokuciu. Uszczęśliwiony wracałem z tem wszystkim, estymowany wielce przez kozaków za moją sprawność. Niedługo zabawiłem w Czehrynie. bo pilno mi było jechać z łupami do matki i do tej cudnej dziewczyny, aby ją ubrać w zdobyte złoto i kaszemiry. Co za radość była. gdym się pojawił w tutorze Krzysztofowiczów. Nie mogli się dosyć nadziwić mojej odwadze, matka płakała i śmiała się naprzemian. Przyganiała mi moją porywczność, a przecież dumną była ze mnie. Zeszła nam tak zima rozkosznie, polując, gawędząc wieczorami przy kominie i patrząc się w oczy pięknej Saluni. Dziewczę to dziwnych afelUów. widziała we ranie wielkiego bohatera, pogromcę Tatarów i Turków i bóg wie, co tam nie plotło się w jej ślicznej główce... i co powiesz, bywały chwile. zem tak polubił to zacisze, iż pozostałbym w nim na życie całe. A co to za życie! pełne walk, przygód, sławy, miłości! Krótko trwały te marzenia, jak i w.szyslko na świecie.

Zjawił się goniec z Czerkas, że pan Radziejowski przyjechał i zabiera z sobą posłów kozackich do Warszawy, bo wielkie sprawy się gotują. Kazano mi wracać. Matkę zabrałem z sobą. Dziewczynę ukochaną pożegnałem z żalem wielkim, mdlało biedactwo z rozpaczy na odjezdnem. Przysiągłem, że powrócę i zaślubię ją.,, wprzód jednak w bój, w bój ze światem, aby zdobyć sobie nazwisko, jak powiedział Soboniewski stary z Grodziska. Wyrzucił to wszystko z siebie, ledwie że nie jednym tchem. Pragnienia sławy, miłość cicha i spokojna w bezludnej gdzieś Ukrainie, wszystko to się mieszało w dziwny chaos u niego — wreszcie ta passya wściekła do życia burzliwego i przygodnego, która mu taki straszny koniec kiedyś zgotować miała, te humory szalone, nieokiełznane żadnem wędzidłem, co nie poszanowały nikogo i niczego, a podsycane ustawicznie jego dziwnem położę, niem. już zaczynały w nim brać górę po nad wszystkimi cnotami, jakich tam nie brak było. Dumny łaską królewską a ufny w swoje wielkie talenta i urodzenie, nosił głowę wysoko. Panowie pytali: co za zaccz zjawił się na dworze, iż z góry na wszystko patrzy?

Byłem właśnie przy królu, gdy księżę Albrecht Radziwiłł, wielki kanclerz litewski, zaniepokojony wieścią o królewskich zamiarach a chowający urazę w sercu głęboką, za jakieś starostwo, którego król odmówił jego słudze — zjechał temi czasy i wszedł na pokoje z kanclerzem Ossolińskim. prymasem Łubieńskim. Jakóbem Sobieskim, kasztelanem krakowskim i innymi.

Po powitaniach pełnych ceremonii ze stron obu odezwał się do króla:

— Snać fama mniej mi jeszcze powiedziała, aniżelim w Warszawie zastał, bo oto widzę istny obóz — precisnąć się nie można przed żołdactwem. Wszyscy wiedzą i mówią o wojnie, tylko najbliżsi serca i tronu W. Kr. Mości nieświadomi niczego.

— Byłbym dał znać w swoim czasie, ale gdyście przybyć raczyli, nie omieszkam zasięgnąć waszej światłej rady i prosić pomocy. Kolega wasz po pieczęci, już zna nasze zamiary i chętnem sercem w nie wchodzi, spodziewam się i po was tej powolności kanclerzu wielki litewski.

— Wszystko, nie grozi wolności i całości Rzeczypospolitej, a dąży do jej sławy, jest dla mnie świętem.

Duma nieznośna z każdego jego słowa się sączyła, i padała kroplami gorącymi na chłodne z razu królewskie obejście

— odrzekł mu też porywczo:

— A dla mnież? Więc przez ciąg lat czterna

stu. za mało dałem dowodów, jak mi całość i sława jej drogą?

— Wam Miłościwy Królu, tworzyć zamysły i plany jej wielkości, anam pilnować, i radzić aby one zamysły, miasto sławy i potęgi, nieszczęścia jej nie przyniosły.

— Pilnujcież i radźcie, ale oświadczam, że zamysły moje, dla których życiem całe pracowałem, spełnię — choćbym miał przy nich paść trupem.

— Niechże Pan Bóg uchowa, byśmy gorącej żądzы W. Kr. Mości stawać mieli na drodze, ale chłodzić zbyt ni animusz pański, co by z krzywdą Was samych i Rzplitej wybujał, będzie naszym obowiązkiem.

Starzec przybieraj: ton mentora i szyderstwem niejako obrzucał króla. Zaogniała się coraz bardziej. Wtem Bzowski, stojący za krzesłem królewskim rzecze;

— Krzywda Rzplitej i wolności — pięknie brzmiące słowa, gdzie idzie o prywatę I korzyść własną.

Horor! Zrobiła się cisza wielka, złowroga przez parę sekund. Iwanowie spojrzeli po sobie — potem Radziwiłł wzburzony cały. rzekł mierząc Bzowskiego wzrokiem pogardy;

— Czy tu trefnisiem jest ten chłystek. czy też ozuchwalony tyle?

Król spłonął gniewem — i kazał mu precz.

— To mój nowy dworzanin, będzie ukarany przykładnie.

— Jeżeli już tacy ludzie podnoszą głos wobec króla i senatorów — odrzekł pan Krakowski — to senatorska godność ona staniała dziś wiele.

— A. czymeś za nią zapłacił, panie Sobieski? rzekł król. trzęsąc się cały. Czy pocztem przodków znamienitych — toć one nie oddawna się datują. Czy zasługami twemi? a gdzież one? Dałem ci ją w mniemaniu, że będziesz umiał cenić laskę nasze. Dziś widzę, że się pomylił.

Chciał coś odpowiedzieć zalterowany okrutnie, ale król skinieniem milczenie mu nakazał — potem odwracając się do Radziwiłła, rzekł:

— Wciągu tego tygodnia, poproszę was panowie na radę.

Pan Jakób Sobieski tak uczuł głęboko obrazę królewską. że wpadł w melancholję i w parę tygodni umarł.

Po ich odejściu, kazał król zawołać Bzowskiego.

— Jak śmiałeś odezwać się w obec tych dygnitarzy? Taką to naukę wyciągnąłeś z obcowania ze mną i twymi towarzyszami?

— Daruj mi W. Kr. Mość — rzekł, padając mu do stóp,— duma tego człowieka wobec waszego majestatu, chęci jego,którem odgadł, aby ci wrogiem stanąć w twoich zamysłach, wszystko to wzburzyło mnie tak. żem nie mógł zapanować nad sobą.

— Nieszczęsny, więcej mi tem zrobiłeś złego, nizeli jego słowa, choćby w trójnasób zuchwalsze

i dumniejsze. Nie możesz zostać już przy mnie. Odejdź — a myśl więcej nad sobą.

Wyszedł — ja za nim. Sądziłem, że odda się rozpaczy — przeciwnie był uradowany tak. żem musiał go poskramiać.

— Ha jak to słodko bryzgnąć w oczy tej dumie, dla której zda się niema granic już na tym świecie. Ho wy królewiczy— wy mocarze! Może dożyję tryumfu. że to jabłko królewskie, którem rzucacie, jak piłką, twardym granitem się dla was stanie i gnieść, gnieść was będzie. Chodź, chodź, kochany Krzysztofie. No, przecież nie pogardzasz mną, choćmiem wypadł z łaski królewskiej? Nie miej obawy, łasica ona do mnie wróci. Polityka królewska mnie ukarała. ale nie jego wielkie serce, które znam dobrze. Oh ja znam je dobrze! Pójdź, poprowadzę cię w świat inny. gdzie usłyszysz inną mowę, na którą ci serca przyrośnie.

Na drodze spotkał się z Konstantym, było to po raz pierwszy od jego powrotu. Chwyił go za piersi i przyparł do ściany. Chciałem wejść między nich. bom się obawiał jakiegoś nieszczęścia, ale Bzowski popatrzał nań długo, jakby chciał się zabawić jego strachem, bo drżał bestya, jak w febrze i z głupio fałszywym uśmiechem, wyciągnął doń rękę:

— Przebacz mi panie bracie,— wyszeptał.

— Przebaczyć? za co? Czyż przebacza się dzikiej bestyi. jeżeli w człowieka godzi? Zabija się ją ...

— Zmiłuj się!

— Albo puszcza — z pogardą, mówiąc: Nie wiedziała, co czyni. Precz! A nie nawijaj mi się więcej na drodze.

Posłowie kozaccy stali w dworcu pana Mniszcha na Błogiej ulicy — do nich to gwałtem zaciągnął mnie Bzowski.

Zjechało ich czterech: Barabaszeńko. setnik czerkawski — Iwan Iliasz Orraiańczyn — Nestoreńko, assawuły pułkowi i setnk czehryński. Bogdan Chmielnicki.

Najwięcej poważania godnym i światłym czlekiem, wydał rai się Barabaszeńko. Człek był poważny z siwiejącą już brodą, nie głupi i oczytany, bystrego umysłu.

Ormiańczyn. figura mała. niepozorna ale czupurna. żołnierz był z niego dobry i wypróbowany.

Nestoreńko zda się na popa rai wyglądał.

Ostatni z nich. złocony dzisiejszy Bogdanek niecnota, który tyle krwi chrześcijańskiej przeiał, wydał mi się wtenczas... at tak... zwyczajnym sobie kozakiem, który liznął trochę szkół jezuickich i obyczai szlacheckich zachwyił. Nie przeczuwałem nigdy, żeby kiedyś miał zająć tak daleko. Średniego wzrostu, krępy. krótkiego karku, z długim sitarskim wąsem, ust małych a zaciśniętych... zwyczajna sobie kreatura. Oczy tylko miał dziwne—czarne one były, wielkie, wylupiaste i jakby nrokiwie. Te oczy zapamiętałem so

bie dobrze, bo gdy niemi spojrział, nie mogłem wytrzymać jego wzroku i mimowoli spuszczałem swój ku ziemi. Przyjęli nas nader grzecznie. Bzowskiego powitali, jak swego towarzysza z dawna znajomego i poufałego.

— Przedstawiam wam — rzekł on — mego serdecznego druha, jedyne, jakiego mi Bóg zesłał, odkądem dworski chleb praktykować począł. Jest ich tam jeszcze kilka sztuk, co to niby w oczy się łaszą a za oczyma buty szyją, zwyczajnie jak na dworze, ale takiego drugiego ze świecą szukaj.

— Imć. Pan Krzysztof Scipio Podkomorzyc,

— Druh wasz. to i my dla niego druhy — rzekł Chmielnicki, ściskając mnie za rękę.

— Już to prawda, że w tym waszym kotle kabał i ambicij wszelakich, człowieka rzadko znaleźć, mówił Barabaszeńko, Niedawnom tu pomiędzy wami, alem już przejrzał, że w onym labiryncie nie szukać drogi, coby do jakiegoś sprawiedliwego portu zawieść mogła. Ilu ludzi, tyle interessów. Jeden Król a królików tysiące. Każdy w sobie pana nosi. Żaden ze swego państwa, szczypty uronić nie chce. W słowach szych świecący pięknie, ale tylko szych, a w wnętrzu gady i węże. Plany królewskie wielkie i święte nicowane ua wszystkie strony a wszędzie dostrzegają w nich dziury i łąty. Wszystko im nie po myśli. Ot z każdej takiej sessyi wracamy z wzburzoną żółcią.

Król dla nas opiekunem i ojcem a panowie tyranami gorsi Tatarów.

— Nema, nema naszeho batka hetmana wielikaho. Teper Korol sam — rzekł, wdychając Ormiańczyn.

— Przemoże on te niesforne bałwany — dodał Nestoreńko.

Chmielnicki przysłuchiwał się tylko, patrzył i milczał. Nareszcie wstał ze stołka i rzekł, poprawiając pasa:

— Na puhybel wrogom Króla i naszym! W Bogu nadzieja—pokąd Władysława, krzywda nam się nie stanie. Nic ma szczo howoryty. Ot traktament się należy gościom lubym. Dymytro! podawaj kielichy.

Biliśmy gęsto—i Bzowski, czego nigdy u niego nie widziałem — wypróżniał je sumiennie.

Chmielnicki podcięty, rozwodzić począł żale na Czaplńskiego. Śnać to był jedyny robak, który mu siedział na wnętrzu i bodaj nie był to robali ten, co go do zaguby tylu tysięcy dusz doprowadził. Trafiają — bo się na świecie dziwne rzeczy. Z małych z pozoru i błahych przyczyn urasta pożar, co chłonie miasta i lasy. A owa Helena. czem się stała dla Greków?

Płakał rzewnymi łzami.

— Po eo światowych splendorów, po ro mi dobr doczesnych, kiedy mieć niemogę tego. co serce umiłowali). Oto patrzeć mi, jak taki wywłoka

nędznik, posiadał dobro moje i jeszcze mi urąga — a ja nie moge nic. Ha, żeby w jednej koszuli został, żeby mi wszystko zabrano, byłbym szczęśliw. byle pomsty nad takim synem dostać. Ale nie dla nas pomsta — oni nam wszystko zabierają... a my... ot nema szczo howoryty.

I gdy się tak rozwodzi na pół pijany a szłocha, wpada Ziemba z rozkazem królewskim, aby się natychmiast stawili posłowie przed Królem. Ten niespodziany rozkaz pański, zmieszał ich niezmiernie, ale oprzytomnieli prędko, kazawszy sobie łać na lby wodę zimną. Ziemba im dogadywał:

— Ot słabe głowy kozacze. To wy tam widać wina nie pijacie chudzięta. A dobre wino pijecie? Tn nalał sobie. Tfu! Od tego można się skurczyć — ale nie upić.

Pacholek, który oblewał Chmielnickiego czy ze strachu, czy z złości, bo fukał na niego okrutnie, upuścił mu konew na głowę, lionew była ciężka z koprowiny i zraniła mu skroń tak. że krew się dziurgiem puściła. Dobył szabli i chciał go usiec. ale Ziemba stanął mu w drodze.

— Odsuść mu panie Chmielnicki. Te tro(;)ję krwi warte nowiny, łdórą dziś usłyszycie.

— Jakże się polcazać Królowi ze łbem taliira. powiedzą: kozak oberwał po uszach.

— Po ciemku nic zobaczą.

Zalepiliśmy mu ranę chlebem i pajęczyną, i tak

otrzeźwieni, przyodziani chyłkiem pomknęli do zamku.

Król w gronie życzliwych Senatorów, pracował dla ich dobra od południa i ot na czem stanęło:

Barabaszeńko mianowany został Hetmanem zaporozskiego wojska — otrzymał buławę sadzoną turkusami.

Chmielnicki pisarzem polnym Zaporowskim i dowodzącą wyprawę morską.

Powiększono registr do , głów.

Król ofiarował kozakom, jako godło, chorągiew błękitną, z orłem na wpół białym na wpół czerwonym.

Na uzbrojenie otrzymali . talarów i po sto talarów na każde czółno.

Zapowiedziano im, aby byli gotowi do wojny ua każde zawołanie, co też i uroczyście przyrzekli, a poufnie od króla kazano im z Turkiem rozpocząć harce.

Nazajutrz po nich nie zostało ani śladu w Warszawie.

Uciekli ze swemi skarbami, jak by się bali. aby im onych nieodebrane.

Chmielnickiego jeszcze raz widziałem, ale już w innych okolicznościach — o czem niżej.

Rankor kanclerza wielkiego litewskiego, zawrzał w całej pełni, bo oto odmówił pieczęci listom królewskim, o zaciągach wojskowych mówiąc, że wolałby rękę postradać, aniżeli przyło

żyć do dzieła, co grozi ruiną państwa. Pociągnął też za sobą kanclerza Ossolińskiego, pod pozorem niby odpowiedzialności wielkiej wobec przyszłego sejmu.

Król. aż sapał ze złości, ale połknąć trzeba było pigułkę, Ztąd cała robota stanęła na raz. Trzeba się było kontentować tём. co jest. a resztę zostawić na po sejmie, na którym KnU spodziewał się wykołatać wszystko.

Tymczasem chodziły brzydkie, pisane paszkwile na Króla i Kanclerza, że kują dyby na szlachtę, że chcą ją wygubić, oddać Turkom w niewolę i niestworzone historię.

Wśród tego przygotowywano się do koronacyi Królowej.

Przybyli posłowie: moskiewski z oznajmieniem

o wstąpieniu na tron cara Alexego Michaiłowicza

i propozycją przymierza z Polską, przeciw Tatarom wołoscy i multańscy z podarkami dla Królowej i nakoniec najosobliwsi, bo oto zakonnicy greccy z listami od biskupów, ofiarujący Królowi koronę Grecyi i Bułgaryi. byle ich oswobodził od jarzma tureckiego, dodając, że na jedno skinienie jego, wszystkie ludy słowiańskie powstaną.

Między nimi był wysłaniec Bułgarów, ksiądz Piotr Parcewicz, przemawiający ich mową, a mowa to była ciekawa, której w życiu mojem nie słyszałem, bo całkiem niby ruska, niby polska. ale tak jakoby nią dzieci gwarzyły. Snać ona urosła i z naszej i z ruskiej ale kiedy nasza co

raz piękniej i bujniej rosła — ich chudzinów gniecona jarzmem pogańskim, zostają jak ono dziecko w kołysce.

Do dworu Królowej, który chciano mieć jak to powiadają i z pierza i z mięsa, przydzielono panią co najzacniejszych.

Był tam Tarnowski, Starosta krzepicki, był Stanisław Tęczyński, ostatni już tego możnego rodu. był młody Ossoliński, był Denhof, Pac. Sieniawski i wielu z najdosłojniejszych imion — umieszczono tam i Bzowskiego.

Po nieudanych próbach, by go mieć przy swym boku dla jego rogatej duszy, wyznaczył go Król dworzaninem swej małżonki.

Przedziwna natura tego człeka i tu od razu przystała, jak gdyby już zrodzona do tego. bo nie wyszło tygodnia jeszcze nowej służby, a tak go tam polubiono, tak stał się wszystkim potrzebny, że go odchwalić nie mogły.

Językiem mówił, jak Francuz—Królowa wiele razy chciała, żeby ją dobrze zrozumiano, udawała się do Bzowskiego, a Francuzki, jedna przez drugą chciały go mieć na swej służbie. Istny raj. Zdawało się też. że w tej nowej służbie najbardziej zagustował.

Pociągnęliśmy tedy na koronacyą do Krakowa. Król zawsze zajęty swoją jedyną myślą, kazał w Częstochowie poświęcić chorągwie, na przyszlą turecką wojnę.

Niech tam lepsze odemnie pióra i mądre głowy opisują wspaniałą wjazd Królestwa do starej stu

licy i uroczystości koronacyjne, ja po staremu opowiem to tylko, co mnie najwięcej zajmowało.

Kłopoty i utrapienia królewskie zaczęły się coraz więcej piętrzyć nad jego głową. Rada panów przy koronacyi ani słyszeć niechciała o tureckiej wojnie. Tiepolemu, że to najwięcej dzwonił na to kazanie, kazano się wynosić do Wenecyi, bo już uznano go niepotrzebnym, skoro obrzęd koronacyjny odbyty.

Król po jednym takim posiedzeniu wybiegł z izby, drzwi zatrzaskawszy, zirytowany mocno i nazajutrz zaraz wyjechał z Królową do Niepołomic na łowy a ztamtąd dalej ku Lwowu, wstępując po drodze do panów ruskich i kaptując ich gwoli swoich zamysłów, do przyszłego sejmu. Dla Hetmana polnego Potockiego, wiózł wielką buławę. dla Kalinowskiego mniejszą a dla wszystkich miłe słowa i obietnice łask przyszłych.

Wybrano się z mniejszym dworem tak, że dużo nas odpadło. Nam z Bzowskim wolno było bawić, gdzie się podoba, zostać w Krakowie albo do Warszawy wracać.

Postanowiliśmy też sobie użyć tego wczasu, jak można najmiej, ale że to zawsze gdy człowiek za dużo sobie słodyczy obiecuje, staną zwykle goryczą albo i czem gorszem jeszcze.

Zaledwieśmy rano wstawszy, rozglądać się zaczęli po krakowskim rynku, gdy wtem najeżdża kolasa, otoczona zbrojną kalwakatą a w niej kto?

Biskup Gębicki. Wracał z Niepołomic, dokąd Króla odprowadzał.

Przejechał tuż przed nami — zobaczył nas, poznał i kazał się zatrzymać. Skinął uprzejmie ręką, podbiegliśmy do niego. — A waszmoście tu na rekolekcyach? Wartoby Pana Boga przeprosić za te wszystkie grzechy.

— Tak też i myślím. Wasza Świętobliwość — rzekłem, całując podaną sobie rękę. Chciałem właśnie mego towarzysza oprowadzić po kościołach i pokazać mu wszystko to, czego nie ma Warszawa nasza.

Bzowski stał nieco opodal, czekając, czy go biskup przed siebie nie przywoła, biskup znów patrzył nań chmurnie, czekając na powitanie, do którego ten się nie kwapił, nareszcie rzucił mu zdala te słowa:

— Słyszałem o talentach twoich, ale słyszałem także i o zbytnej zuchwałości i nieposzanowaniu tego, co czci wymaga. Bacz w sobie skromność, na ludzi patrz z miłością, bo nędzny koniec cię czeka.

Skinął na woźnicę i pojechał.

Jakby mnie kto zimną wodą oblat. Bzowski stał pomieszany i zdziwiony — nareszcie wybuchnął;

— Cóżem zawinił*"

On się niepoczuwał do winy, a jam nie miał wcale ochoty mu jej wykladać. Zgryziony wró

cilem do gospody, oświadczywszy mu wręcz, że go kwituję i z przyjaźni, i z towarzystwa. Nic nie odrzekł, ale padł na kolana, oparł się łokciami o łóżko i tak głowę w dłonie zanurzywszy, pozostał. Wybiegłem na miasto, ale sobie miru żadnego znaleźć nie mogłem, załtemwany, skwaszony, zjadłszy obiad, powalęsawszy się po mieście, poszedłem do naszej czeladzi i kazałem się gotować na jutro do drogi. Znalazłem Bzowskiego w tej samej postawie. Kazałem pakować tłómoki — wieczór się zbliżał a ten ani się ruszył, jakby przyrósł do miejsca, Żal mnie wziął — ale znów ta zaciekłość jego i duma, drażniły mnie. Już miałem przyjść do niego, ale się upamiętałem — niech żałuje za grzechy i rozważa poprawę. Podano wieczerzę, służący kilka razy go pytał, czy jeść zechce — żadnej odpowiedzi. Położyłem się do łóżka, lecz długom zasnąć nie mogłem i co chwila spoglądałem na tego kamiennego iście człowieka, który jak padł rano, tak ani drgnął do północy. Sen mnie wreszcie zmorzył, usnąłem i przebudziłem się dosyć późno. Bzowski klęczał. Tu już trwoga i żal mną owładły — wyskoczyłem prędko z łóżka i pobiegłem, biorąc go w ramiona—odwrócił się, popatrzał na mnie szklannemi oczyma i wyszeptał:
— Przebaczasz?

— Ach przebaczam. przebaczam ci nieszczęsny człeku, tylko już wstań. Dwadzieścia cztery godziny na klęczkach, toćby kamień rozbroiło.

— Dziękuję ci bracie... Ale to nie wszystko...

Zacząłem go dźwigać, nie mogłem powstać o swojej sile. Zawołałem na ludzi, zanim nadbiegli — omdlał. Ponieśliśmy go na łóżko i otrzeźwili winem.

Przyszedł pomału do siebie i zaczął płakać, jak bóbr.

— Dobrześ powiedział bracie, jam nieszczęsny, bardzo nieszczęsny człowiek. Widzisz, toczę walkę z tym drugim, a zwyciężyć go niemogę. Bo ty nie wiesz, że we mnie jest dwóch ludzi... jeszcze ci tego nie mówiłem. Tak bracie, dwóch. Jeden miłujący i zbożny — drugi py.szny i szatan. Prawdę mówił biskup—nędzny koniec mnie czeka. jeżeli dam zawładnąć nad sobą szatanowi. który mi w wnętrzu siedzi. Ale nie! nie dam! Dawniej nazywałem to wielkością, dziś widzę złem — a kiedy się ma świadomość złego, to tak jakgdyby ; go się już pokonało. Czyż nie tak? Prawdę a cnotą iść przez życie, powiedział Soboniewski. zdawało nu się. że spełniał jego przykazanie. Nie! Nie! Byłem pyszny. zuchwały — a z czego? Jeżeli z tej krwi. która mi w żyłach tętni toć nie moja zasługa. Jeżeli z talentów, to cóż one warte, gdy miłości ludzkiej zdobyć nio mogły. Oh, jak rozpatruję dziś czyny moje. były one liche i małe. Jak wspomnę na ludzi, których obra

ziłem, widzę, że byli to ludzie stokroć lepsi odemnie. bo nie podnieśli pomsty, nad takim nędznym stworzeniem, jak ja. A twojaż przyjaźń, twoje serce szlachetne czem odpłaciłem dotąd? li okazywaniem ci dumy mojej, która podła, głupia, ze wszystkich czynów moich, jak szydło z worka wyłaziła. A ty drogi, ty szlachetny i jednym słówkiem nie dałeś mi uczuć, choć kaleczyłem cię na każdym kroku. Dopiero ostatnia zbrodnia moja. dobyła ci oburzenie z piersi—a ja ją błogosławię, bo ono mnie otrzeźwiło.

Płakałem z nim razem i podziwiałem tę wyborną naturę, tali bogatą i myślałem sobie: jakiejż to potężnej prawicy trzeba, aby nią umiała pokierować na świecie.

— Słuchaj Krzysztofie — rzekł po chwili — ścieżka życia mojego znów splątana — jestem jak ten ciemny, co po omacku szuka drogi i na manowce bieży. Jani na manowcach. Twoje rady i pomoc nie starcZ.a dla mnie — obajśmy młodzi. Mnie potrzeba znów potężnego głosu, któryby mi do duszy zagadał, a taki głos ja usłyszę tam... wiesz... z ust tego starca. Tam. tam odbędę spowiedź moją i pokutę.

— Będę ci towarzyszył.

— Pójdiesz ze mną?

— Wszędzie, gdzie pójść zechcesz.

— A wiesz, że ja pielgrzymkę moją muszę odbyć w włosiennicy i boso.

— Ja ją też tak odbędę.

— Oh ty duszo braterska! Pójdźmy do Reformatów, uczynimy ślub, aż do zgonu być braćmi i przyjaciółmi a potem wdziawszy włosiennicę i zdjawszy obuwie, powędrujemy do świętego człowieka.

Oh, bogdaj do końca życia, świeciła mi złotem wspomnieniem ta cudowna chwila, bo już nie miałem piękniejszej w życiu mojem.

W onym reformackim kościółku. z modlitwą naszą i kapłana, z hymnem błagalnym uleciały gdzieś wszystkie ziemskie nasze sprawy. Serca przepelnione miłością i nadzieją w przyszłość jasną, pogodną... Myśli wolne zmały wszelakiej, weseli, szczęśliwi spełnieniem ofiary, wędrowaliśmy, jak dwaj pątnicy do Grodziska.

W skwarny dzień Lipcowy o południu przybyliśmy do podnóża groty.

Znaleźliśmy starca, pochylonego nad księgą. Kontynuował tłumaczenie biblii rymem. Stanęliśmy u wejścia i zasłoniliśmy mu światło. Niepodniósł oczu, tylko jak drugi Dyogenes odezwał się:

— Inquam! nie bierzcie rai światła.

— Ojczy! — wyrzekł Bzowski.

— Zaczekaj, aż dokończę rozdziału. Usunęliśmy się na stronę i czekali.

Na wschodach ujrzelśmy kilkanaście miseczek z żywnością, którą starcowi litościwy lud znosił.

Snać. hojnie go zaopatrowano. bo żywności było dosyć i ta stała nietknięta,

W dole szumiał prądnik. l*actwo świergotało zaniepokojone jakieś — śnać, dwóch obcych przybyszów je mieszało, bo co który przyleciał, popatrzył i umknął. Powtarzało się to bez ustanku a ile to tego ptactwa i jakich gatunków!

Pustułki borowe, zgodne drzemliki, gawrony, kraski, wstydlive cieciurki. ciężkie dropie, leniwe chróściele. jarząbki, dzięcioł tarantowaty. głupie przepiórki, żoły, trznadlowie. zielone czyżyki, świszczące gile. czerwono głowy szczygieł, gwizdzące makolągwy, drozdy miłe. malusieńkie strzyżyki, pokorna turkawka. gżegżulki. kosy żółtonosy. czubata dzierlatka, ucieszny pokrzywniczek, królik cisawy. czajki, pliszki piszczące i mnóstwo, mnóstwo innych, których nie znam, a które widziałem po raz pierwszy w mojem życiu. Nawet kawki, wrony, sroki szczebioczące, sowy, i kruki wieszce, zaglądały do groty. Objasnił ranie Bzowski, że o południu odbywa się ich karmienie, a teraz południe przeszło i żywności nic dostały jeszcze, więc krzykiem i piskiem znać mu dają o głodzie.

Gdym się dziwił, rzekł Bzowski;

— Zobaczysz tu dziwniejsze jeszcze rzeczy,

Jakoż w tej samej jeszcze chwili, pokazały się dwie sarny i daniel, ale zobaczywszy nas. umknęły tak. jak i ptactwo, dalej parę borsuków łby pokazało. Zwinne wiewiórki skakały nam po nad

głowami — jeże suwały się pod stopami, nawet wąż się prześliznął. Starzec dzielił się pokarmem z całą leśną dziatwą, bo prócz wilka i lisa wszystko garnęło się doń po żywność.

— Kto jesteście? — rzekł, wychodząc z groty i przysłaniając dłonią blask światła.

— Jam to bezimiennik.

— Ty? a ten drugi?

— Mój druh i towarzysz.

— Inquam, musiałeś się pobrukać. kiedyś sobie o mnie przypomniał. Przychodzisz boso, w pielgrzyma ubiorze, snąc to tamte łakocie światowe zaciążyły na sumieniu twojem. Pogadamy. Wnijdźcie do izby. przyniosę wam posiłek.

Milcząc, spożywaliśmy — potem starzec karmił ptactwo i zwierza.

Po odmówieniu krótkiej modlitwy, odezwał się do Bzowskiego;

— Inquam, gdzieś bywał — coś robił?

— W służbie Króla jestem od roku.

— Mów głośniej, boja dziś gorzej słyszę. Powtórzył, krzycząc mu prawie do ucha.

— W służbie dworskiej — mruczał, Jakby do siebie... w służbie dworskiej... i jeszcze się nie zaprzepścił... Inquam, dobra natura wtem dziecku, zawsze mówiłem.

Potem odwracając się do ranie:

— Czyś i ty dworzaniem? I dotrzymujesz mu przyjaźni? i razem z nim przyszedłeś do domu

samotnika? Czy może tylko z ciekawości próżnej, ażeby potem wyśmiać mnie u waszej dworskiej zgrai?

Co? powiedz — takiś miał zamiar?

— Ojcie świętobliwy — rzekłem, obejmując nogi starca — jam nie z tych ludzi. Nie wszystkie serca pod suknią dworską jednaką biją.

— Jak się zowiesz?

— Krzysztof Scypio.

— Tyś syn Mikołaja Eustachego. Mereckiego starosty, podkomorzego niegdyś królewskiego?

— Jam to.

— Inquam, byłem z twoim ojcem u Chocimia, żyje?

— Umarł od lat dziesięciu.

— Zostawił cię sierotą,

— Król miłościwy mi go zastąpił.

— A zastąpił godnie. Dobry Król, ale różgi w dłoni utrzymać nie potrafi. To nie ojciec, oh nie ojciec. Tamtego nie lubiano, ale się bano. Tego kochają i jedzą.

Bóg z nimi, Bóg z nimi.

— Król przedsięwzięje dziś wielkie dzieła — rzekł Bzowski — doczekasz jeszcze ojcie tryumfu krzyża. Na Turka wyprawa się gotuje.

— Inquam, nie pytałem cię o to. Nie chcę wiedzieć, co się u was gotuje. O tryumfie krzyża mnie prawisz, głupcze — a kiedyż on nie trumfował? i czy przyjdą takie czasy kiedy, gdzie on tryumfować nie będzie.

— A walkę z niewiernym za nic nie ważycie?

— Walka z niewiernym. Nie przyszła na nią pora. Strzedz granic piersią — bydź jej puklerzem ale nie zaczepiać złego. Padł Władysław Jagiellończyk, niechże Bóg chroni Władysława Waży.

— Zawszeż będziemy czekać na nich. zamiast zdusić w własnym gnieździe?

— A gdzież ta potęga wasza? oh szaleńcy! Czy idzie z wami Moskal. Niemiec, Włoch. Francuz. Angielczyk? Czy idzie? Inquam, odpowiadaj.

— Wenecya posiłki daje.

— Wenecya! Stek kupców i szalbierzy. Boże uchowaj naród i króla.

Posmutnieliśmy po tych słowach starca. I on był przeciwko nam?... „On, który życie swe całe sterał, pławiąc się we krwi bisurmańskiej. któremu wydarli wszystko, co miał najdroższego na świecie. On był przeciwny wojnie tureckiej. Nie mogło się to pomieścić w naszych młodych głowach. Osądziliśmy dziwactwem, choć starzec prawil, jak wyroczenia.

— Kozactwo się buntuje. Jak bo się nie ma buntować, gdy im mówią, że są tylko paznogciami Rzeczypospolitej. które obciąć trzeba, gdy za duże wyrosną. Ale przyjdzie czas, gdy te pazury drapać nas będą. Na Turka wylać serdeczną krew dzieci Ukrainy. A co z tej krwi wyroście? pożoga, co chrześcijaństwo spali. Oh krótkowidze! Oh małoduszni!

Mówił tak długo do siebie. nareszcie jakby się chciał otrząsnąć z tych wszystkich myśli, co nim szarpały, powstał, odgarniając w około siebie rękoma.

— Precz! precz widma, coście mi spokój zatruli. Czego tu chcecie? Pociście tu przyszli z wieściami z waszego świata? Ja ich nie żądnym, ja u nich wiedzieć nie chcę.

— Ojczcie! — przemówił Bzowski, — toć sprawy, które dziś całą Rzeczpospolitą nasze poruszają. Ojczcie! błogosławcie raczej, wielkim zamysłem Króla.

— Precz! potępienie zamysłem, których głowa polska nie wydała, a pierś nie ogrzała. Niech zmarnieją w zarodku samym, zanimby jadowity owoc zrodziły. Inquam, po coś tu przyszedł z towarzyszem twoim? Jeżeli o wojnie to wiesz, co o niej trzymam.

— Oh ojczcie, czy to wasze nieodwołalne słowo?

— Inquam.

— Wybaczcie więc, że po waszej stronic nie będę.

— Bóg z tobą. głowo wichrowata. Pędź, gdzie cię przeznaczeń koło zaniesie. Zmarnuj, zatrać w sobie to wszystko, czóm Bóg cię uposażył. Taki to już koniec u nas zawsze tych. eo po nad (gh)wy rówienników wystrzelą. Idź tam, gdzie duch ambicyi i pychy swój błyskotliwy a tak ponętny ogon wlecze. Idź. przerośnij duma najdunnijeszych, zuchwałością najzuchwalszych, okrucieństwem najokrutniejszych i nikczemnością naj

nikczemniejszych, ale pamiętaj, że na spodzie tych mętów, znajdziesz kres haniebny. Znajdziesz zlorzeczenie i przekleństwo, znajdziesz obrzydzenie i rozpacz! Droga wielkości, to nie gładko polerowana posadzka, to droga cierni i przepaści, to droga miłości i poświęcenia, łez i goryczy, zwątpień i rozpaczy — ale u jej kresu błogosławieństwa, dziękczynne hymny i wiecznie zielony wawrzynowy wieniec sławy. I*o coś tu przyszedł do mnie nędzny? Chciałeś mi błyskotliwie mignąć w oczy kilkoma racami słów szumnie brzmiących — a gdy m je surowej prawdy dotknął chłostą, duma twoja wybiegła jak zaczajone drapieżne zwierze z kryjówki serca twego. Kajaj się nędzny! Tu w prochu utop tego szatana, co ci porze wnętrzości i szlachetnym popędem broni ujścia. Tu do stóp krzyża pacholę nieszczęsne. Niech łaska odkupiciela na cię spłynie, abyś powstał czystym i odrodzonym.

Głos świętego starca potężniał — zda się wewnątrz skały rozsadał, które się trzęsło, jakby od trąb jerychońskich — padliśmy z nim w pokorze do nóg stwórcy, zalewając się łzami.

Nadciągała burza sejmowa. Królestwo wróciło do Warszawy pospiesznie i nie bardzo dobrej myśli.

Oczekiwano z trwogą onej nawały, co miała

uwieńczyć królewskie plany, albo je w niwecz rozwiązać.

Zacząto się powoli zjeżdżać. Ci, co wyruszyli naprzód, byli to po większej części przyjaciele królewskiego projektu. Kontrahenci, mieli się potem dopiero zjawić.

Marszałkowie obu narodów ulokowali to wszystko w przeznaczonych gospodach, i tak Października, po solennem nabożeństwie u fary, sejm się rozpoczął.

Szczupłe grono Senatorów, witało Króla w pokojach górnych zamku, izba poselska zaś na dole zajęta była wyborem Marszałka. Stał nim, że to była kolej na Litwę, pan Mikołaj Stankiewicz, pisarz ziemski żmudzki. ciwun ejragski. Wprowadzono go na górę, gdzie Król witał i zaprosił na jutro z posłami do izby senatorskiej.

Żaden chyba sejm nie był wyczekiwany z takim biciem serca i gorączką, jak owo obecny, to też wszystko co tyło na dworze nadstawiało bacznie uszu, wciskało się gdzie można aby najmniejszego słówka nie stracić.

Arbitrów była moc niezliczona, a między nimi rej wiedli Panowie Strzemeski i Tymiński.

Do Królowej latały bezustannie świstki, tłumaczone na prędce przez Bzowskiego, bo chciała wiedzieć wszystko.

Nazajutrz stawił się Marszałek z posłami, wypowiedział mowę długą, uczoną i zawiłą. Podkan

clerzy Leszczyński mu odpowiedział pięknie. krótko a treściwie, poczem przystąpili wszyscy do ucałowania ręki królewskiej.

Odbyły się tedy wstępne poczem na zajutrz na dobre zaczęły się obrady.

Kanclerz Ossoliński stanął wobec Króla na tronie i w przepięknej mowie istic cyverońską swadą, wypowiedział zamysł królewski, tureckiej wojny. Odmalował niby Appelesowym pędzlem, co za okrucieństwa, co za pożogi, co za jassyr trapi od tylu wieków ukochaną matkę nasze. Mówił o haniebnym płaceniu haraczu, ze wstydem okrutnym rycerskiego imienia. Potem mówił o przymierzu z Moskwą, a wreszcie zakończył żądaniem królewskim reformacyi, czyli oprawy dla nowej królowej takiej, jaką miały inne jej poprzedniczki.

Jak ciekawie połknęliśmy tę kanclerską przemowę, tak teraz znów jeszcze ciekawiej czekaliśmy odpowiedzi Senatorów, tuszając z niej o dobrym obrocie sprawy.

Kfij pierwszym co głos zabrał po kanclerskiej mowie i z prawa i z urzędu, był Prymas Łubieński. Staruszek życzliwy wielce dworowi, spodziewaliśmy się odeń usłyszeć cale dużo pięknych rzeczy, ale kat nadał, niceśmy nie słyszeli.

Mówił tak cicho, że ci nawet co przy nim stali coś niby piąte przez dziesiąte zrozumieć mogli — a mówił tak długo, że wszyscy na stołkach niby świę

drem wierceni obracali się na wszystkie strony, nosy głośno ucierali. kasłali, chrząkali.

Gdy skończył, zabrał tos Wojewoda rawski Grudziński. ale chcąc się sianem wykręcić, jak powiadają, odezwał się, że jest zdania Prymasa. Za nim poszli Bykowski sieradzki i Kobierzycki gdański.

Zacząto sarkać na nieobecnych, którzy w domu tylko wymowni a w Senacie nieobecnością oniemiałi. Podkanclerzy Leszczyński nazwał ich .sprawcami wszystkich nieszczęść ojczyzny.

Przystąpiono jednak do wotów... i rozstąpił się ziemi, wszystkie wypadły przeciw wojnie. Zgadzano się na odporną, ale nie zaczepną. I to był pierwszy pocisk w serce królewskie.

Nazajutrz Król na sessyą nie przybył, zeszło się Senatorów gęściej a najwymowniejszymi dnia tego byli: Tarło Kasztelan przemyski i Piotr Gharbicki brzeziński. Ci pociągnęli ku sobie, niby siłą magnesu. Tarło kończąc swoją mowę, wyrzekł: Być nam ślimakiem i niewyścibiać łba ze skorupy, jeżeli nie chcemy być pożartymi od tej hydry. To się tak ogólnie podobało, że przyjęto wyraz ślimak za hasło. I gdy pytano posła, za kim trzyma: „Jam ślimak.” odpowiadał.

Sprawa królewska upadła, jak gdyby mieczem klasnął jednym zamachem.

Ślimaki uchwalili zaraz konstytucyą;

aby wzbronić Królowi zaciągów.

aby tegorocznych zaciągów nie płacić.

aby cudzoziemców ze dworu wydalic, aby Król nie osobiście, ale przez Hetmanów prowadził wojnę — a Hetmanowie ani słuchać

niej nie chcieli.

I tak niby już sprawa rzucona za piec. wzięto się zaraz do innej materyi — do Trubecka. Król się rozchorował.

Wysłany do niego Ossoliński z uchwałą sejmową, wrócił z niczem. Ofuknięto się straszliwie

i wybrano poselstwo z Senatorów z dołożeniem, że nie będą radzić dalej. dopóki Król wojska nie rozpuści. I ci odeszli z niczem od drzwi królewskich. Wysłano wreszcie Marszałka, ale i tego taka sama spotkała odprawa.

Biedny król istne tortury znosił, ale z dwojga złego wybierając, czy one nie były lżejsze od tych. któreby musiał w izbie przecierpieć. Słyszeliśmy tam takie rzeczy, od których uszy wędły.

Nareszcie pewnego dnia Wielkopolanie wnieśli, aby ustanowić poufną rozmowę izby poselskiej, z Senatem w nieobecności Króla. Było to nieposzanowaniem majestatu, to też zgromił ich za to siarczyście Ostroróg, powstała zwada straszna, z której wynikło, aby wszyscy hurmą szli na górę do Króla.

Już powstano z ław z trzaskiem okrutnym, już po schodach zaczęło się bractwo drapać, gdy im zastąpiła drogę Królowa i przez młodego Ossolińskiego krajczego swego zmusiła do odwrotu.

Weszli jednak do niego przemocą prawic Bi skup poznański Szoldrski. żmujdzki Tyszkiewicz. Wojewoda brzeski Szczawiński, pomorski Denhof mścislawski Abramowicz. Kasztelan sieradzki Bykowski i gdański Kobierzycki. Stałem za łóżem Króla, trzymając lekarstwo, które mi Kraft podał, aby je nalać do kubka, gdy u drzwi zrobił się rumor. Ryłski stał na straży i niechciał ich wpuścić, ale wojewoda brzeski odepchnął go gwałtem i pierwszy wkroczył do komnaty, wypuściłem kubek z rąk, takem się przestraszył a Król zerwał się na łózu.

— Czy już do tego przyszło, że mi nie dadzą i w chorobie spokoju. A toć ma go najbiedniejszy z ich sług. Odejdźcie panowie! tu niema Króla Polski, jest tylko biedny chory i znękany człowiek, który w imię chrześcijańskie o spoczynek was prosi.

— Miłościwy Banie—rzekł Tyszkiewicz — tam Polska cała w Sejmowej izbie czeka i daremnie kołacze od dni kilku do swojego monarchy. Potęp nas, ukarż, znieśmy bez szemrania wszystko, ale gdy Ona się do ciebie odzywa, odpowiedzieć jej musisz.

— Cóż chcecie żebym odpowiedział nie władając sobą? Czyż od chorego możecie się spodziewać tego. co by wam odrzekł zdrowy? Wola moja spętana cierpieniem i tyle jej we mnie co w dziecku. Nie żądajcie więc abym gwoli bo

lu, co moje ciało skręca. przystał na wszystkie życzenia wasze.

— Królu — odpowiedział biskup poznański — tam Sonat i stan rycerski uchwalili to, co ci przedłożyć pragną. Póki nie dasz sankcyi, nie przystąpią do żadnej sprawy. Miejcież miłosierdzie, tak jak chcecie, aby je miano nad wami.

— Boże, ty widzisz utrapienie biednego człowieka — rzekł Król ze łzami prawie — oh, gdybym mógł tę cierniową koronę, co mi się w skronie wpiła, odrzucić od siebie i uciec gdzieś na pustynię przed tymi ludźmi.

— Błagamy cię na kolanach panie, bądź powolnym, pokornym prośbom naszym.

I jak zaczęli molestować, a przymawiać, a namawiać, tak biedny Król pocił się, ale ustąpił wreszcie — i byle obmyślili obronę kraju, obiecał zaniechać zamysłu wojny, dołożywszy, żeby sprawa Królowej ustanowioną była na Sejmie.

Wydał jej pieniądze na zaciągi.

Po ich wyjściu wpadł do Króla Ossoliński, przerażony powolnością jego. radził przekupić posła, któryby zerwał ten sejm fatalny, ale Król propozycją odrzucił, a zwracając się do Żabickiego:

— Przeprowadźcie mi Zygmunta — rzecze.

Przybiegło owe śliczne pacholę, cała dziś pociecha ojcowca. Wyglądał, jakby aniołek z obrazka. Kazał go Król ubierać po polsku — nosił też ten ' ubiorek tali piękniuchnie a składno. że się dusza radowała, patrząc. Żupanik był na nim sajetowy

niebieski, ferezyjka amarantowa aksamitna. Skończył ósmy roczek, ale wejrzenia był rozumnego a uśmiechu tuk miłego i pełnego dobroci, że każdego za serce chwycił. Podobien był do matki.

— Synaczku mój najmilszy — rzeki Król, tuląc go do serca — gdybyś ty pojąć mógł. ile męczarni twój biedny ojciec przynosi.

Dla ciebie to, dla ciebie ustąpiłem tej hydrze i potargałem najpiękniejsze marzenia mojego życia, inaczej by po trupie moim przeszła. Byłbym im rzucił tą koroną., aleć ją dla ciebie zachować pragnę... może szczęśliwszy będziesz od ojca.

— A gdzie jest ta hydra? Kiedy ją zobaczę? Czy mi ją pokażecie? — pytał chłopczyna, niero rozumiejąc onego starożytnego terminu.

— Poznasz ją, bo to bestya o tysiącu głowach i rękach.

— I zabić jej nie można?

— Trzeba na to sił nadludzkich mój synu. Będziemy cię uczyć i pracować nad tobą.

Po paru dniach Król zdrowszy, zjawił się na pokojach. Obsiedli go hurmem Senatorowie, aby zezwolił na poufałą rozmowę z izbą poselską.

— Dopókim tu Królem, tego nie będzie — odrzekł.

Ossoliński w jego imieniu przemówił szorstko i gniewnie, ale go zahukano. Tymczasem w izbie istny sądny dzień znów powstał. Nie chciano obradować a podsędek braclawski Kosakowski wykrzyknął: że choćby im tu przyszło umrzeć

głodową śmiercią, radzić nie będą, dopóki Król wojska nie rozpuści i kozalców nie powściągnie.

I znów powtarzała ię scena namowy, błagania, perswazyi. weszło jeszcze większe grono Senatorów i posłów, jak pierwej, tak. że Król zmęczony tćm wszystkićm, zezwolił.

Ustanowiono tedy. aby wojsko rozpuścić, kozactwo powściągnąć i Taturom po staremu haracz płacić.

— Bo gdybyśmy przystali na wojnę — rzekł Bonętowski poseł czernichowski. — i Król zdobył Konstantynopol, to czyją on był by własnością? Króla — a wtenczas biada swobodom Rzeczypospolitej.

Spisano konstytucją i udano się na górę do Króla. Wojewoda brzeski Szczawiński wygłaszał mowę, sławiąc przeszłość szczęśliwego panowania i kłaniał się przy każdym słowie Królowi. Król ciągle kapelusza uchylał, ale zwolna owa słodka pochwalna mowa zrobiła się cierpką i gorzką, jak cebula. Przymawiał królowi o cudzoziemcach, co wisi ich tyla przy dworze, o przedajności urzędów, mówił o jakiejś nowej alchemii, którą Król smarzył z Kanclerzem Ossolińskim, jakby to chłopa w szlachcica a szlachcica na chłopa przerobić, a przy każdej takiej pigułce kłaniał się po staremu, lecz widząc, że Król już nie uchyla kapelusza i że raczej oburzenie ogarnia wszystkich, tak znów z ręczniami wrócił do pier

wszego sposobu i znów pochlebstw a miodu sączył a wreszcie kończąc, wyrzekł;

— Gdy nas tak W. Kr. Mość, jako i przodkowie W. Kr. Mości przodków naszych miłować będziesz, nie zejdziesz z tąd. jeno syt dni żywota i pełen chwały a potomek W. Kr. Mości potomkom naszym panować będzie.

Tem ujął Króla i zatarł przykre wrażenie.

I tak się skończył ten sejm ślimaków.

Wydobyto na Królu wszystko, co się wydobyć dało. nic mu w zamian nie ustąpiwszy. Wracali dobrej myśli i fantazyi wielkiej, bo nigdy jeszcze drzewo wolności naszej bujniej się nie rozrosło ale jakież oplakane wydało ono owoce, o tem w porę się powie.

KSIĘGA TRZECIA.

— Nie powiedziałem?... Nahalasowali i jadą do swoich pierzyn miekkich. Bogdaj wam wasze puchy w kamienie twarde zamieniono! No. bywaj zdrów. Teraz Polska nasza, w sadle szczęśliwości opływać będzie. Człeka rycerskiego za pieniądze tylko w jasełkach jakich zobaczysz. Czemużem dożył tych czasów! Błogi pokój, szczęśliwy pokój — jesteście tacy pokojowi, że wieprzaka. albo kury głupiej zabićbyśmy się bili. Osobni konsyliarze do tego wyznaczeni będą. Niech wam jelita poskręca! Oh Tchorzewscy Zajączkowscy. Lisowscy! Przepaństwo! Trzeba zapukać do jakiej furty klasztornej i pietruszkę skrobać, garnki pomywać mnichom. kurytarze zamiatać. Dobrze się dzieje w tej naszej Polsce, dobrze. I po co nam Króla, po eo nam granie, po co nam wojska — kiedy siedzimy sobie, jak na Abrahamowem łonie. Ślimakami jesteście. Jam ślimak, powiada siaki taki a gęba u niego, jak brama krakowska. a w kałdun wlażły wół cały i z rogami. Bądźcież ślimakami synowie owacy. Panie odpuść mi grzechy moje. Żeby mi który

Niemiec w łeb teraz palnął z gardłacza. to na dniu sądnym do Świętego Piotra instancją wniósłbym za nim. A co szwabiki — przyjechaliście się bić do naszej Polski — toście się wybrali. U nas takich do spirytusu kładą i podziwiać każą babom i dzieciom, albo wypatroszywszy, wypchanych słomą obnoszą po wsi razem z niedźwiedziem. Oh sodomicy! Na zakał imieniowi polskiemu! A śmiejecie się z nas dobrze, jak powrócicie do domów. Powiedźcie, że Polacy mają Króla ni w pięć. ni w dziewięć, który marzy o Cezarowych wawrzynach, a tu by trzeba jakiej tłustej baby. przebranej w rajtuży jak w mięsopuście, coby miast berła, warząchew miała w ręku.

Tak prawil pan Tyminiński, uwijając się, jak opętany po Ujazdowie między żołnierstwem różnej nacyi. które kłęło na czem świat stoi, zwijając swoje manatki. Żebyż to się na klątwach skończyło, ale przyszedł rabunek i rozbój. Żadna kramica nie była bezpieczną. Marszałkowska milicya i królewscy drabanci dzień i noc musieli się uganiać, i gęsto na ulicy spotkałeś się z trupem żołdaka albo mieszczanina.

Siła najprzedniejszych naszych żołnierzy, zaciągała się w służby obcym panom, do Niemiec, gdzie szli pociągnięci przez cudzoziemców, rabując swoich po drodze.

Serce się nam krwawiło, widząc zmarnowanych tyle starań, tyle zachodów, tyle pieniędzy królewskich.

— Bywaj zdrowa, miła ojczyzno nasza — mówił nie jeden. — Chciało się złożyć za ciebie, swoja stare kości, a teraz je wiatr gdzieś po obcych polach rozniesie.

— Cóż panie Krzysztofie, zamknem się już chyba u Reformatów? Tobie to przyjdzie łatwo, boś ty już prawie świętym za życia, ale ja co pocznę!... Ha. będę się budował, patrząc na ciebie i może z czasem na jakiego braciszka zaawansuję.

— Kiedyś Boiska taka szczęśliwa, że już nie potrzebuje naszych usług — odpowiadał pan Strzemeski, to się w habity poszyjem i Boga chwalić będziem.

Nie przeczuwali, że niedaleka ona zawierucha, co ich obu poniesie i zaprzepaści.

Smutek wionął wszędzie, bo i u nas na zamku istne piekło. Króla powaliła choroba, wił się w boleściach i krzyczał tak, że się po całym gmachu rozlegało. Śnać cała alteracya i żal. i gorycz z zawiedzionych nadziei, wpakowały się w one nogi nieszczęsne.

Gdy mu chwilami ulżyło, kazał wołać do siebie małego swego synka i z nim się zabawiał.

Postarzał się i posiwiiał. Ile to tam mąk przeniesić musiał, nim zrezygnował ze swoich najdroższych planów.

Wśród takich to mizeryj przyjechał królewicz Jan Kazimierz z zagranicy Spodziewaliśmy się go zobaczyć poważnym dostojnikiem kościoła.

w purpurze kardynalskiej, a tymczasem sutannę zrzucił, odesławszy ją z Krakowa jeszcze do Rzymu, jakby się jej wstydził i zaprezentował się w stroju włoskim, przy szpadzie, co mu całe nie było do twarzy — a była ona zeszecona ospą. Niski, chuderlawy. cery śniadej. ale prezencyi pańskiej i manier cudzoziemskich. Nielubiano go powszechnie, a i on też ze swoją wzgardą do Polaków się nie krył.

Królowi, gdy doniesiono o jego przyjeździe, syknął tylko mocno, aleśmy nie mogli zmiarkować, czy z bólu. czy z niemiłego powrotu.

Nie miał pan nasz do niego serca, bo wiele zmartwień mu przyniósł niestatecznością swoją, a zawsze prawie robił na przekór bratu. Król chciał go żenić i osadzić na jakim księstwie, to on jezuitą został. Gdy znów po długich kłótniach i alteracyi. Król się zgodził, to on zrzucił sukienkę i w kardynałski kapelusz się przystroił. Gdy Król chciał go zatrzymać, wyjeżdżał, gdy mu kazał wyjeżdżać — zostawał. Tak i teraz to jego niespodziewane zjawienie kłopotów miało przynieść dosyć, bo wracał do swoich pokojów w zamku. które zajmowali Baronostwo de Magni, do swoich klejnotów i naczyń srebrnych, które już testamentem legował różnym osobom. będąc jezuitą i wreszcie do swoich starostw, które dawno Król porozdawał.

Musiano tedy Magnusów rugować z zamku, aby

mu pokoje oczyścić, bo nie chciał krokiem stąpić do Warszawy, póki by to nie było.
Co do starostw, to nie tak łatwo się do nich było dostać.
Sokalskie dzierżył pan Denhof. Prenske Butler a Kobyńskie Podkanclerzy litewski Sapi e h a.
Klejnoty zasię i naczynia, rozleciały się między ludźmi.
Wprowadził go do Króla, królewicz Karol Ferdynand, gdzie po przywitaniu udano się do pokojów królowej na wieczerzę. Króla niesiono w krześle.
Siedzieliśmy w drugim pokoju i przez drzwi otwarte patrzyliśmy i przysłuchywaliśmy się.
Pierwszy to raz widziałem przy sobie tych trzech braci.
Luboć dwóch matek, ale jednego ojca. nie byli wcale do siebie podobni.
Najstarszy Władysław, całkiem się od nich różnił. Dwaj młodzi Jan Kazimierz i Karol Ferdynand z jednej matki, ale także odstrychnięci od siebie. Karol wysoki, chudy, małomówny, wejrzenia melancholijnego i odludek — nie lubiący polowań ani bankietów—surowych obyczajów, przytem skąpiec i twardego a zaciętego charakteru. Jan Kazimierz znów całkiem przeciwne miał wady i przymioty, a swoją habsburską twarzą z wstającą grubo dolną szczęką, był istnym

cudzoziemcem, co niby wypadkiem między nich się zabląkał
Z początku szła rozmowa po francuzku, ale przy końcu wieczerzy, sdy królowa poszła do siebie, poczęli po polsku.
— Na jak długo, zawitałeś do nas bracie — zapytał Król.
— Myślę, że już chyba na zawsze — odpowiedział Jan Kazimierz.
Król się uśmiechnął.
— A ileż to już razy tego było?.. U ciebie, zawsze, wcale, nigdy, dziś, jutro — na jednej szali stoi. A trzebaby raz już poważnie coś postanowić.
— Tym razem już nazawsze. Aod W.Kr. Mości zależeć teraz będzie, aby mi on pobyt w Polsce miłym uczynić.
— Czyż tu moje dobre chęci wystarczą? a ja nic. prócz dobrych chęci dać nie mogę. Wszystko coś miał. porozdawałeś. Twoje starostwa w ręku sług twoich wiernych, które za twoim przyzwoleniem udzieliłem, i odbierać ich nie myślę, a tuszę, że i ty się do tego nie posuniesz, boć na tem i powaga, i reputacya twoja szwankować będą.
— Mało dbam o obojgu. Mają mnie i tak za czarnego, mogę być jeszcze czarniejszym w ich oczach.
— Z taką mową radzęć nie odzywać się. gdy chcesz ich łaskę wyjednać.

— Łaskę nie. Gdy rai W. Kr. Mość dopomożesz, wszystko się załatwi w godny sposób. Można im coś innego obiecać, a tymczasem ja ich zostawię przy tytule starościńskim, tylko dochody pobierać będą. Sądzę, że i Denhof i Sapi e h a na to się zgodzą.
— Miałbym ich za wierutnych dudków.— rzeki królewicz Karol.
— Nie wszyscy są tak chciwi mamony, jak W. Wielebność. Są ludzie, co i tytuły ważą trochę — mówił Jan Kazimierz,
— To już ty sam z niemi wchodz w układy, bo ja się w to mieszać nie będę — odrzekł Król,
— Będę się starał, nie nadużywać łaski W, Kr. Mości, gdyby jednak interwencya Wasza okazała się konieczną...
— Dołożę o tem tylko Kanclerzowi, lecz jeśli on cię nie wyprowadzi z tej matni, to na nikogo więcej nie rachuj,
— Spodziewałem się tej powolności po sercu waszem — lecz Miłościwy Panie, zanim z onych starostw coś nadpłynie, dziś jestem w potrzebie wielkiej. Wiozę z sobą ludzi zacnych, wierne moje sługi, a między nimi. dwóch duchownych spowiedników moich...
— Szkatuła moja pusta. Utopiłem nawet posąg Królowej... a znikąd przychywu spodziewać się nie można tak rychło.
Karol niech ci pożyczycy.

Na te słowa królewicz Karol zżymnął się. i jak

by go co podniosło ze stołka, zerwał na równe nogi.

— A przez Bóg żywy! zkąd mniemanie, jakobym skarby jakie posiadał?

— Tak powiadają — rzekł Król, śmiejąc się.

— To oszczercy wierutni! To niegodziwcy bez czci i wiary. Żem rządny, gospodarny, że nie trwonię, bo i cóż bym miał trwonić, to już mnie posądzają... Ha to bezbożniki zaprawdę!

Mówił ciężko, a po każdym słowie sapał ze złości, zwyczajnie jak każdy skąpiec, gdy go w słabiznę ugodzą.

— Bo i cóż to ja wziąłem? A toć i połowy... ale gdzie tam czwartej części nie było tego, co przetrwoniał Kazimierz... Ale za takim, zawsze fortuna z rogiem obfitości goni. mnie zasię chleba duchownego nie przybywa, a i tego mi zazdroszcza.

Król śmiał się coraz bardziej, a ten w większą furją wpadał.

— Gdybym był tak rozrutnym i niestałym w swoich zamysłach, jak Jego Miłość brat Kazimierz, toć bym dziś chyba rękę wyciągał, bo dla mnie synekur niema —prędzej obca dłoń pochwyty z szcudrych rąk królewskich...

— Znowuż do mnie ...— wtrącił Król.

— Czy słyszane to rzeczy — ciągnął dalej zacietrzewiony — żeby się pozbywać klejnotów i starostw, a potem gdy się uprzykrzyła sukienka du

chowna, chcieć znowu do nich wracać. Tego żaden rozumny człowiek nie zrobi.

— Za czyny moje sam odpowiadam — rzekł Jan Kazimierz — i proszę Wielebności Waszej, abyś ich nie roztrząsał... Raczej własne mieć należy na pieczy. Miałem dużo i rozdawałem dużo, bo taka już moja natura — lubię nagradzać tych, co mi służą.

— A toż teraz, chcesz im Miłość Wasza odbierać... doprawdy to śmiechu godne. Ot niestałość, jak pogoda marcowa. Już chyba wołę. żeby mnie miano sknerą i skąpcem, anizeli wietrznikiem.

— Dołożę jeszcze, shąpcem nie robiącym skrupułów z cudzego grosza, bo mi Wasza Wielebność nie zwróciłeś dotąd dzierzawy z ekonomii groickiej.

— Ja?

— Tak, Chcę ją mieć, inaczej proces Waszej Wiel. wytaczam.

— A to całe po bratersku, będzie się miał świat czem budować. Dobrze, niech będzie. W tym processie, nie na mnie spadnie hańba, bo wywiodę rachunkami i kwitami. Piękny zgotujem ludziom spektakl.

— Tak — dla skąpców, co li w skrzyni utopili swoje duszę, nie bacząc na powagę i dostojność, trzeba użyć obcęgów prawa, aby braterską krzywdę wydobyć.

— Dla rozpustników zasię każda droga go

dziwa, ale nie na tom pracował ciężko. aby mój grosz oddać trutniom a podwikom sprosnem.

Król się już nie śmiał. bo go zaczęła gniewać ta klótnia braterska, godna chyba lichego pospólstwa. a nie krwi tak przesławnej i Bóg wie na czym byłaby się ona skończyła, gdyby nie uderzył w stół dłonią z całej siły, rzekłszy:
— Satis!

I kazawszy się nieść do komnaty, rzucił im tylko tym wierszem Catulla:

Sed non videmus manticae. quod in tergo est.

Jan Kazimierz nadąsany, pojechał do swojego Nieporęta i tam w drewnianym dworcu, zamknął się ze swojemi sługi i Jezuitami, a w kilka dni potem wytoczył bratu proces na hańbę imieniowi królewskiemu.

Gdyśmy tak sprawy Marsa, zda się już pogrzebali na wieki, gdy jedni cieszyli się z tego, zacierając ręce, inni płakali gorzko, przyszła pora, że tak ci, jak i tamci, powoli zaczęli to wszystko topić w niepamięci.

Rok ten cały, przesunął nam się niby przy odgłosie wojennej surmy, przeplatany uroczystościami królewskiego wesela, koronacyi, zjazdów, sejmu — zakończony bolesnym krzykiem rozpacz i zgrzytaniem zębów.

I znów zawitał nowy — a co on nam miał przynieść, to różnie różni prorokowali, Jedni

wróżyli klęski straszne od Turków i Tatarów, którzy podrażnieni i widząc niemoc nasze, rzucą się całą potęgą — inni pocieszali się błogim spokojem i wszelaką pomyślnością. Inni znów przepowiadali klęski moru i głodów, jak tam komu dopisywało na wnętrzu — ale po staremu. żyć trzeba dziś. bo jutro jeszcze daleko. Co będzie—to będzie.

Zaczęliśmy też, powoli otrząsać się z frasunków i smutnych przepowiedni, i dalej używać daru Bożego, A śmiało nam się to życie okrutnie. Wiosna nasza była w całej pełni i krasie. Serce żądne miłości i uciechy.

Przykładem nam tak tu. jak i we wszystkim — był Bzowski — już nam tak w zwyczaj weszło, aby iść za nim w tropy. A miał on niby wielki zasób tego ognia boskiego, którym obdzielał wszystkich.

Po solennej pokucie, postach i umartwieniu. — po surowych naukach, które nam wpajał w duszę Soboniewski.

zkądśmy wyszli pokrzepieni i oświeceni, jak to się kierować na tym ziemskim padole. aby iść drogą zbożną i uczciwą, wróciliśmy do naszego dworskiego chleba.

W Bzowskim przynajmniej na, pozór zdało się. że ucichły te szalone żądze, co go taką okrutną duma zaprawiały. Stał się rozważnym, milczącym, jak gdyby skupiał się w sobie, trzymając na wodzy wszystkie porywy swojej krewkiej natury. Służbę pełnił tak, że Królowa nie mogła

się dosyć odchwalić i nazalecać go Królowi. Bacz nem swem. bystem okiem obejmował on wszystko, przewidywał, zgadywał niemal myśli i z taktom a rozsądkiem, każdą sprawę załatwiał.

Królowa nieświadoma obyczajów naszych, słuchała go, jak mentora. Czytywał nawet niektórych poetów naszych, tłumacząc jej przedziwnie. Króla radowało to bardzo i na prośbę Królowej, mianował go jej sekretarzem.

Droga do łask stanęła mu otworem.

Powoli zacierała się niefortunna jego sława, krnąbrnego i zuchwałego bękarta. Umiał zyskiwać przyjaciół, nawet w takich, co go dawniej i w łyżce wody utopić radzi.

Królowa wniosła nowy ceremoniał i etykietę dworską. Bzowski pojął je wybornie, i uczył wszystkich dworzan, nie wyjmując Konstantego dla którego urazę gdzieś schował głęboko, dogadzając jedynie życzeniom Króla i swej matki.

A dziwna była ona etykieta. Nic pytano, nieroztrząsano jak dawniej skaz na człowieku, a zwłaszcza u płci białej, ale przestrzegano pięknych manier i gładkiego ułożenia, a gdy te były w porządku przyjmowano na pokoje Królowej.

To, co Austriaczka wyrzuciła z oburzeniem. Francuzka przygarnęła, bo oto jednego wieczoru, na ensablach u Królowej, których organizatorem i duszą był Bzowski, spotkaliśmy panią Starościnę merecką z mężem. Sprowadziła go sobie,

bo jej był potrzebny niby płaszcz, którym się wobec świata przykrywała.

Trzeba było widzieć tę parę. Pan Wypyski, nim nadszedł dzień reprezentacji u Królowej, uczył się u Francuza ukłonów i poruszeń, a że to słyszał, iż każdy z wielkich panów, ma jakoweś przyzwyczajenie — jako jeden oczy przymruża, drugi czuprynę gładzi, trzeci brodę miętosi—inny jak pan Hieromin Radziejowski obgryza paznogie, a inny jak pan Tarnowski gryzie wąsy—tak on sobie nioboraczy. sko palcami po nosie przeciągał, jakby macał, czy ten nos jest jeszcze na swoim miejscu, o co nie było obawy, bo go dojrzeć mógł łatwo, gdyż sterczał mu wydatnie. W mowie zaś, że to mu było ciężko wyrazu dobrać, wziął sobie — mościwy panie.

Młodym do śmiechu, nie trzeba wiele, gdy poznano, co to za ptak, bawiono się nim, jak najprzedniejszym trefnisiem. Pani zaś była tak pełną powagi i modesty — a tak uważną na swoje słowa i czyny, że można ją było wziąć za ochmistrzynię.

— Cóż Krzysztofie — rzekł Bzowski—nie jestże ten świat komedia istną? Wartoż dlań łać krew serdeczną i łamać karki — wartoż się trapić ponuremi myślami, marzyć o sławie zwycięzcy, albo staczać walki z głupotą i podłością ludzką? furda ! głupstwo! żyć. bawić się. Kochać, szaleć! Kochasz się już?

— A ty?

— Oh, ja kocham się na zabój !

— A tamta — a Salomeja ?

— Tamta daleko — i znikła już, jak sen — to nie dla mnie ten ukraiński kwiatek—a tu tyle cudów, tyle krasy. Patrzaj na Majordamę. Czyż to nie Wenera?

— Istna Wenera — ale ma już swojego Adonisa

— Czy mówisz o mężu, starym pedogryku, co tam gdzieś narzął na Raciborskiem księztwie?

— A no jużciż to mąż.

— Z tytułu tylko mój bracie. Patrzaj! Czy dla takiej kobiety, nie popełniłbyś śmiertelnego grzechu?

— Apage satanas.

— Żegnaj się, nie żegnaj ale dla takiej zaprzepaściłbyś się na wieki.

— Niech ranie Bóg uchwata.

— A ja go o to proszę, pożerał ją oczyma.

— Gdyby mi wybrać przyszło — rzekłem, to już tę śliczną Langeron poprowadziłbym na kobierzec.

— Lubisz takie wątłe trzciny ja przepadam, gdy widzę różowe piękne ciało, gdy pod tą atlasową powłoką odczuwam krwawe tętna. Patrz — zbliża się ku nam, z tym nieznośnym Marszałkiem. Dałbym pół życia, gdybym ją choć w tańcu uściskał.

Przeszli mimo nas, lecz pani rzuciła na Bzowskiego takie spojrzenie, że omal się pod niem nie rozplynął. ?le, pomyślałem sobie, widać, że tu szatan rozkłada powoli swój warsztat i nie omyliłem się. Gdy wracała, przystąpił do niej Bzowski, powściągając drżenie i poprosił w tany. Podała mu rękę z niezrównaną gracyą i uśmiechem, co to i ośmiela, i obiecuje wiele i znikli w tłumie tancerzy.

Tańczono galarde. skoczny taniec włoski, w którym to wszystko, co w człeku, pracować musi. a nikt nie tańczył go z takim ogniem, jak Bzowski. Baronowa tańczyła z powagą pewną, i jakby przymusem — ale i ona powaga i przymus, były to obliczone ponęty.

Pousuwało się wszystko i patrzyło na tę parę. Piękność kwitnąca w całej krasie i dojrzałości i młodzian, niby Apollo — to też zaraz pan Zabicki. że to rymem władał wyśmienicie, ułożył wierszyk, który z rąk do rąk przechodził i już o nikim nie mówiono tego wieczora, jak o Baronowej de Magni i Bzowskim.

Wpadł on do mnie z rana, niosąc jako trofeum zdobytą, na wczorajszym festynie wstążkę, którą całował i ledwie, że nie połknął.

— Niech się świat zawali — ja tę kobietę kocham nad życie i posiąść ją muszę.

— Czyś ty szalony?

— No tak. jestem szalony —ale tego szaleństwa nie oddałbym za wszystkie na świecie sentencje

łbów mądrych — i jeżeli do rozumu mego gadać poczniesz, nie zobaczysz mnie więcej. Nie mam rozumu, czuję tylko taki raj, rozkosz taką a zarazem tyle strapienia i rozpacz, żebym sobie w łeb strzelił, albo się rzucił do Wisły. Słuchaj?

—rzekł, rzucając mi się na szyję—tyś mój przyjaciel, jedyny, prawdziwy—radź, co począć.

— A wszakże nie chcesz żadnej rozumnej rady.

— Chcę takiej, któraby mi moje szczęście zapewnić mogła.

— Szczęście?

— Tak — szczęście. Powiesz, że to cudza żona, że młodszy od niej. że m jest niczem,

— Tego wszystkiego nie powiem.

— Że mnie nie kocha. Nie kocha mnie? A to co znaczy? To od niej! do końca życia mego z tem się nie rozstanę.

— Powiem ci tylko tyle: do czego cię to doprowadzi?

— Do szczęścia, do raj!—a potem niech sobie będzie, co chce.

— Ha niechże będzie, co chce.

— nic mi więcej nie powiesz—ty Katonie?

— Nic.

Jak przyleciał, tak i wybiegł, jak oparzony. Wszystko u tego człowieka zamieniało się w passyą wściekłą. Ta gdy nim owdąła. nic było dlań przeszkody, nie było tamy żadnej. póki nie postawił na swoim. Tak i tu — zaczęło się najprzód od słodkich bilecików — potem wyprawiał jej se

renady pod oknem—Włoszka trzymała go na wodzy, podsycając jeszcze bardziej ten płomień, aż i sama wreszcie opaliła sobie w nim skrzydła. Więc zlitowano się nad nim i zaczęto obdzielać czarującym uśmiechem, potem ściskaniem ręki, wreszcie wpuszczono do komnaty... a dalej to już tam tylko oboje wiedzieli.

Miłość Bzowskiego, stała się głośną na dworze. Rozmawiano o niej, niby o rzeczy tak ważnej, jak zdobycie Stambułu. Pięknej trzydziestoletniej Włoszce, pochlebiał niezmiernie ten szal młodzieniaszka. Francuzki się wściekały i nazywały ją kokieta. bo każda z nich po trochu ostrzyła na niego zęby.

Pani Bzowska, mieszkała od pół roku w Warszawie. Lubo dworzec w Jurkowicach de noviter był wystawiony, i lubo Król dowiedziawszy się o krzywdzie wdowy, nagroził ją. dawszy w dożywocie wieś Fałęciec. z pięknym murowanym domem; przecież wolała mieszkać bliżej syna, nie spuszczać go z oka i mając relacją o wszystkich jego czynach.

Wynajęła sobie piękny domek u panów Radziwińskich na Nowemmieście. Tameśmy co Niedziela czasu niesporów zabawiali się mile w gry różne, które pani umiała wymyślać, bawiąc nas i pojąc sowicie, a nie obeszło się i bez tanów z na

dobnymi sąsiadkami, które zawsze dla nas spraszała.

Bzowski matkę miłował i szanował, a bał się jej wielce. Umiała ona nim władać i trzymać go na pasku. Rozumem swym i macierzystym sercem, przenikała i odgadywała w nim wszystko, lżyliśmy nieraz świadkami gorzkiej reprimendy, której syn słuchał w pokorze i przepraszał, całując pe nogach — a nieraz jedno jej marsowe spojrzenie wystarczyło, żeby go pohamować.

Dumę jego umiała upokarzać i ona to go głównie skłoniła, żeby się pogodził z Konstantym, nie odpychał go. ale swoją wyższością, swym rozumem i talentem starał podnieść do siebie.

Patrzyliśmy nieraz zdumieni i tu także podziwiali jego cnotę—bo wrzeczach takich.gdzieby wolał nieraz postradać łaskę królewską a postawić na swoim, przed matką uchylał głowy i lubo ze wstrętem strasznym. r()bit to, co ona mu kazała.

Przeprosił Platemberga. dla marszałka był z największą rewerencją — wił się, jak wąż pod batem, byle jej nie urazić. Niestety, nie zawsze dion matki okazała się dość silną, ażeby go powstrzymać.

Pewnego dnia przyniósł mi sługa od niej kartkę, gdzie prosiła, abym natychmiast przyszedł.

Była ósma. noc ciemna—wziąłem z sobą dwóch chłopców z latarniami, szablęm przypasał i pistolet za pas zatknąłem, bo pomimo milicyi marszałkowskiej i patrolów królewskich, mogłeś się epo

tkać z bandą rozpuszozonych żołdaków, co się jeszcze wałęsali po mieście i gdy tak idę Świętojańską, wali karoca na Dziekanią — przy świetle latarni dojrzałem w niej Włoszkę z Bzowskim — odwoził ją z zamku do domu.

lim. pomyślałem. spieszą sobie usługi świadczyć. Gdzie celował, tam i trafił. Dobrze się zdarzyło, bo tu właśnie matka do mnie kołacze.

Gdym stanął w progu, poskoczyła ku mnie i wciągnęła do izby gorączkowo.

— Czekam na was. panie Scipio, juk na zbawienie. Cóż to tam mój synek u was porabia? Nieszczęsny, oddał się rozpustnicy, co krew i życie z niego wyciągnie. I od jak dawna to się zaczęło? Mówcież mi. panie.

— No. nic tak .strasznego. Nie alterujcie się tem tak pani.

— Dla niego to zgubą będzie, bo nie znacie go tak. jak ja. On się odda takiej bez upamiętania utopi tam wszystko. Oh. ja nieszczęsna, nie przeczuwałam, nie odgadłam, że tam właśnie na dworze spotkać może taką, co mi go wydrze i zaprzepaści. I nic że rady wasze i napomnienia nie pomogły? Ale pocóż się pytam szalona, czyjażby tu rada skutkować mogła, wydarła mi go nędznica. Straciłam syna.

— Jeszcze do tego nie przyszło.

— Ale przyjdzie. Czekam na niego już od trzech dui. Z dziesięć razy posełałam —wymówił się brakiem czasu.

Pierwszy to raz od lat wielu

stal mi się nieposłusznym. Widzisz, panie Scipio, to natura żelazna. On tak w złem, jak i w dobrem aż do dna dotrzeć musi, gdy nim serce zawładnie i wyobraźnia się zapali. Oh, trzeba olbrzyma dłoni, aby tę rogatą duszę prowadzić. Cóż ja moge. biedna kobieta?

— Uspokójcie się pani. on was kocha i szanuje i nio nie zdziała takiego, coby wam troskę przyniosło.

— On mnie kocha, ale nie poświęci dla mnie swojej passyi, bo niezdolen zapanować nad sobą. A wieleż to już razy tali było! Gdym go odwoziła pierwszą razą do Warszawy, zkąd król miał go wysłać do starosty roalborgskiego, a miał wtenczas lat czternaście, spotkaliśmy w lesie bandę cyganów. Nieszczęście chciało, żeśmy właśnie w karczmie, co stała przy drodze, zatrzymali się na popas. Zatopiona w myślach nie zauważyłam, że Szymon gdzieś mi zniknął. Pora wsiadać, jego niema. Szukamy, wołamy na wszystkie strony, jak kamień w wodę. Dopiero dziad żebrzący, który siedział przed karczmą opowiedział nam, że rozmawiał tu długo z cyganami, że jedna z nich młoda i ładna dziewczyna wróżyła mu a ręki. że ta wróżba w wielką go wprawiła radość i że potem uszedł z niemi do lasu. Rozpacz mną owładła —pobiegłam z memi ludźmi, jak błyskawica szukać go po lesie— ani śladu. Cyganie spodziewając się pogoni, prędko zmienili miejsce. Płakałam, szlochałam, nawoływałam, musiał mnie

i słyszeć okrutnik, bo echo w dal niosło moje żale i rozpacz, a nie mógł być tak daleko odemnie nie ulitował się jednak. Znękana kilkogodzinną tułaczką po lesie, wróciłam wieczorem do karczmy. Tu rozpytałam ludzi o miejscowość— wskazano mi niedaleko Brzostów. starostwo, w którym rezydował pan Ostromęcki. człek zacny — wziął moją sprawę do serca, ale nie obiecywał dobrego skutku. Jednak rozesłał ludzi jakoby na obławę. Ci po trzech dniach wrócili z niczem.

— Cóż pocznę nieszczęśliwa!

— Jedź W Pani do Warszawy — niech król w)'szle listy gończe, a znaleźć go przecie muszą. W mojej jurysdykcji już go niema, boć moi bidzie i szpilkę by znaleźli. Trzeba go szukać dalej.

— Pobiegłam do Warszawy. Król wystał listy do starostw, rządów i wójtów—mnie dodano konwój z dwudziestu ludzi i tak jadąc, rozpytując tem bardziej, że już wieść gniczła wszędzie, ubrana w dodatki, że syna królewskiego cyganie porwali —prowadzeni po śladzie przez przewodników. dotarliśmy pod Gostyninem na bandę, w której był Szymon.

Ledwie go poznała w cygańskim czerwonym kaftanie z pistoletem za pasem, I cóż powiesz, panie Scypio, ani me lży, ni prośby nie skłoniły go dobrowolnie do powrotu.

— Jam przeznaczon. aby dowodzić zbrojnym ludem. Wróżba to o mnie powiedziała. Wracaj

matko. zkądś przyszła— dla mnie niema nikogo, bo ja muszę być posłuszny przeznaczeniu mojemu.

Wydobył pistolet i groził nim każdemu, co się do niego zbliży, a wreszcie oświadczył, że sobie w łeb palnie przymuszony.

Trzeba było użyć sztuki — pogrozić cyganom straszliwą karą. a wreszcie przekupić ową dziewczynę. której wróżba spełnić się miała nań dopiero w ym roku życia.

i takem ci go wydostała.

W przeznaczonym domu Kostków pobierał nauki i miał przed oczyma najszlachetniejsze przykłady, ale i tu jego natura niespokojna i chciwa osobliwości nie dała pokoju, bo oto przywidział sobie, że trefnisiem nadwornym powinien zostać. Ledwo z czasem wybito mu to z głowy.

Cieszyłam się. że zyskał łaskę królewską —już marzyłam dlań życie spokojne i szczęśliwe. Patrzyłam, jak tam na Ukrainie dziewczę cudne, jak kwiatek oddało mu swe serce, Zdało mi się, że i jego affekta ku niej się zwróca. Miałam ją tu sprowadzić i patrzeć na tę parę nadobną— a związek to i korzystny, bo panna będzie miała posag duży, aż tu potrzeba takiego nieszczęścia!

— Wyszumi i powróci do rozwagi.

— Nie. Ale ja to rozerwę, ja to rozerwać muszę.

Widząc, że moje rady i perswazyje to groch na

ścianę, pożegnałem biedną matkę i miałem się ku wyjściu, gdy wszedł Bzowski.

— Wiedziałem, że cię tu znajdę — rzekł. — Zaczekaj, pójdziemy razem.

Był błąd z zapadłymi oczyma.

— Wiem, czego chcesz odenmie. matko, ale to napróżno. Wydrzyj mi serce z piersi, któreś mi dała. to może będę inny—ale tymczasem pozostanę tem. czem jestem.

— A czemu jesteś? Głupim warchołem, którego lada podwika za łeb trzyma. Błaźnie ty! Ona już takich miała trzydziestu i jeszcze kilku mieć będzie, nim jej zęby wypadną, na co niedługo czekać — a ty w ich rządzie jesteś kreską, numerem lichym. tu się skończą twoje marzenia o sławie, o wielkości, które roiłeś zawdy. —rzekła, mierząc go pogardliwym wzrokiem. — f tyś moim synem? Mniemałam zawsze znaleźć więcej rozumu w tobie.

— W ten ton matko uderzasz? daj pokój. Marzenia o sławie, wielkości. Ua! ha! ha! Śmiał się dziko i gorzko. jak szatan. Sława! wielkość! Nie na naszej glebie rodzą się takie dziwa. Ten sławny i wielki, kto trzos ma pełen i używać życia umie. Kto kupczyć potrafi. spodlić się. zdradzić, oszukać, wywieść w pole frantostwem — ten dziś jest sławnym i wielkim. Zgasło na wieki w tym narodzie poczucie sławy i wielkości. Miłość ojczyzny, miłość sprawy świętej, poświęcenie, bohaterstwo i to wszystko, co kiedyś tu nazywa

no cnotami, wyśmiane i zdeptane. Nie tu miejsce dla wielkich ludzi. Mają jednego i przybijają go do krzyża, kłują szpilkami, naigrawają się z niego, aż go wreszcie i zdławią. Hańba ira! przekleństwo wieczne! — wrzasnął, ciskając stołkiem. który się rozbił w drzazgi.

Cała żółć. cała gorycz i wściekłość, którą tłumi! w sobie. tylko oszukując nas spokojem, płynęła z niego, jak lawa. Więc GO chcesz matko, abym robił na tym świecie? Chciałem, marzyłem, roiłem, że pójdę z królem — że się przyczepię do tego orła, który miał się wzbić tak wy. soko, że zagrzany jego potężnym duchem cudów dokonam na świecie. Oh! i byłbym ich dokonał. Tam. tam na polu chwały w krwi wroga byłbym zmył z siebie to piętno nieszlachetne, co mi plamą na czole się czerni, tam zdobyłbym to wszystko, za czem dusza moja tęskni od pierwszego zarania młodości mojej. Dziś już przepadło wszystko. Przyszedł tłum łbów cielejących, pijany wolnością, rozpieszczony wygodą, przestraszony wielkością królewskiego dzieła i podeptał je nogami. Gdy więc nie mogę być tem, czem chciałem, będę tem. czem są oni. Taiti utopię się w rozpuście i ohydzie, przejdę wszystkich w frymarku i nikczemności. Będę gadem, wilkiem, lisem, szalbierzem — boć czemś być muszę.

Oh ja nieszczęśliwa!

— Nie wkładajcie na mnie kajdan, bo ja je

zerwę, choćby z dyamentu ukute były. Chciałem żyć wzniosłe, chciałem piąć się wysoko — gdy mi nie dano. po ziemi pełzać będę i chłonać w siebie to wszystko, co ona ziemia dać może. choćby pomyje, choćby truciznę. takim jestem i zostanę.

— Synu niegodny!

Łzy matki zaczęły powoli ostudzać tę płomienistą głowę. Wiedział, że w złem zagrzął. a przecież naprzekor w niem siedzieć postanowił—talia już była natura.

Po chwili przypadł do kolan matki.

— Czegóż chcesz odemnie matko? Ty wiesz, że ja do spokojnego, ślimaczego życia nie zdolny, lecę tam, gdzie mnie serce pociąga. No, przewróć że moją naturę całą. Wszak jestem ci uległy we wszystkim. Słucham twoich mądrych rad, poniżam się przed ludźmi, aleć nie broń mi tego, co serce umiłowalo.

— To miłość niegodna, występna—to rozpusta i ty ją porzucić musisz.

— Nigdy!

Zerwał się i wybiegł szybko z izby.

— Czasowi zostawić trzeba resztę — rzekłem do rozżalonej matki.

Wtrącaliśmy do domu już późną nocą posępni, nie wymówiwszy słowa. Wtem gdy już z Gołębiej wkraczamy na rynek, mignął mi się Orzełek, sługus pani Starościny. Prowadził on jakąś niewieścią postać zakrytą szczelnie. To ona — Jadwiżka. Co tu porabia o tej porze i gdzie idzie?

To nas zastanowiło. Kazaliśmy pozakrywać światła i saliśmy za niemi opodał. Skierowali na Mostową i znikli w jednym z domów. Zapamiętałem to miejsce i postanowiłem to zbadać.

Zapusty dobiegały kresu. a nie pamiętam tak hucznych, jak były one w tym roku. Król wyprawia! je gwoli swemu małemu Zygmuntowi. Więc bywały koncerty, gdzie kastrat niedawno z Włoch sprowadzony, wywodził trele wysoką nutą. Więc spektakla owo przedziwne na theatrum zamkowym. gdzie śpiewały syreny pływające po morzu, gdzie z drzew wyskakiwały osoby w klejnotach i trefionych włosach, czarując anielskim śpiewem. Więc maskary, na których sam król bywał przebrany. Tańce, prócz naszych starych jako; cenara. gonionego, mazurskiego. bywały włoskie teraz i francuzkie, mianowicie owa galarda. kontredam, gawot. girlanda i najosobliwszy Jean qui saute, gdzie tancerz wybierał sobie damy na karteczkach w kapeluszu i choćby na królowę kolej przysła, pójść musiała.

Królewicz Jan Kazimierz podąsawszy się na świat i ludzi, a mało na tem wskórawszy, wyjrzał nareszcie ze swego Nieporęta i przylgnął całą duszą do owych zabaw i szaleństw, a szaleństwa to były u niego takie, co się nieraz kończyły sromem pici niewieściej, a czasem i czem gorszem jeszcze, jak o tem niżej się powie.

Wydziwić; się człek nie mógł gdzie w tej osobie mógł się zmieścić i jezuita, i kardynał, i książę przemożnego domu. takie cudactwa wyprawiał — a jednakże umiał być tem wszystkim po trosze. Taka tam zmienność w tym człeku niby w histryonie jakim się objawiała.

Muzykę lubił okrutnie. Miał przy sobie Giręboszewskiego. nieodstępного towarzysza. który mu na skrzypcach wygrywał.

Ołtarzyk przenośny i dwóch jezuitów dla praktyk religijnych musiało być zawsze przy nim — po zabawie, po szaleństwach następowało nabożeństwo.

W tarapatach jego piędnych pomogła ran Jadwiżka. a dowiedzieliśmy się o tera z ust Kon stantego. który się przed nami pochwalił.

Królowa zaczęła z nim coraz częściej przestawać, radzono to tam na cztery oczy Bóg wie o jakich sprawach. Francuzka lubiała wszystko wiedzieć, do wszystkiego się mieszać, a tu król po porażce sejmowej sponępniał okrutnie i stał się małomównym a zamkniętym w sprawach państwa, zajęty li synem swoim i zapustnemi uciechami.

Skończyły się i one wreszcie, nastąpiła pokuta a dla niektórych gorzka i bolesna.

Zjechał temi czasy Baron Magnus, mąż pięknej Włoszki, zarządca księztw małego królewicza. Raciborza i Opola. wezwany przez króla, aby małego Zygmunta obznajmiał ze sprawami jego

ziem dziedzicznych i uczył go sztuki rządu.

Przypatrywaliśmy się i podśmiewaliśmy tego niefortunnego męża. Co go Bzowski ubrał tak ładnie. Niemiec zda się nie zważał na to wszystko, co się wokoło niego dzieje. Grzeczny zawsze i pełen miłych dla każdego komplementów. Zajęty interessami. czynny o ile mu pozwalała pedogra, pełen dobroduszości i zda się najśłodsze go charakteru. Dla pani swojej służka najniższy. No, mówiliśmy sobie; temu i kołki na łbie ciosać można, a pewnie gniewać się o to nie będzie. Jakoż w istocie Bzowski ani krztynę nie przestał swych amorów, chwając się niemi głośno. Niemca wydrwiwał w żywe oczy. a myśmy mu w tem dobrze pomagali. Aż naraz gdzieś nam się zaprzepaścił. Mija jeden dzień, drugi, trzeci, mija tydzień, Bzowskiego niema. Królowa każe się o niego dopytywać. Biegnę do matki—jak kamień w wodę. Zabity! zgubiony! My do Niemca— majak najpocziwszą minę i pyta zdziwiony, czego chcą od niego. Pani tylko nie pokazuje się na pokojach. Bzowska z płaczem i lamentem biegnie do króla — błaga, prosi, aby uwięzić Włoszkę. co jej syna zgubiła, aby przytrzymać Niemca skrytobójcę. I gdy alarm się robi coraz większy, odbieram karteczkę, w której ręką Bzowskiego wyczytuję te słowa: „Spadłem z konia i zwichnąłem sobie nogę. Leżę już od tygodnia u doktora Bekera,”

Pobiegliśmy tam Z, matką. Znaleźliśmy nie człowieka, ale Łazarza, rozciągniętego ua łóżu. Nogę; miał obandażowaną, a trzymał ją wyciągniętą na stołku, ale miny był cał wesołej i humoru miłego,
— Chłopcze okrutny.— rzekła matka,—zawszeż tyle zgrzyot i kłopotu mieć będę z tobą? Czemuż nam znać nie dałeś o sobie?

— Bali, gdybym to mógł. aleć ja nie wiedziałem, co się ze mną dzieje—przyniesiono mnie tu omdlałego, bez życia.

Doktor Niemiec nie wiedział, ktom ja taki. ani ludzie nic mu o mnie powiedzieć nie mogli.

— Boże mój. jak ty wyglądasz nieszczęśny. Gdzie ci dolega? Czy to złamanie takie straszne?

— Nie dotykaj mnie matko. Zakazano mi najmniejszego ruchu. Noga była zwichnięta — a to gorsze daleko, niż złamanie. Posty i mixtury, któremi ten Niemiec trapi, wyniszczyły mnie tak straszliwie, ale zaczynam przychodzić do zdrowia i za parę dni będę na nogach.

— Opowiedz że mi synku, jak i gdzie się to stało? Któryż to koń niecnota, że cię tak haniebnie poturbował? Ciebie — takiego dzielnego jeźdźca?

— At, co tu gadać, najlepszemu to się zdarza. To mój ogier skaro gniady, com go z Ukrainy przywiózł. Dzika bestya, trzeba z nim dużo pracy zażyć, nim się ustakuje. Zląkł się baby. co rai drogę z wiadrami przeszła.

— Ależ ten ogier od dwóch miesięcy stoi na stajni w Ujazdowie,—rzekłem.—Zkądże ci się zachciało na raz go sprowadzać?

— A no tak. zachciało mi się. Co tam rozprawiać o tem — zło się stało i trzeba za nie pokutować.

Coś mi się w tem wszystkim. wydało niejasnego, nieprawdopodobnego. Nie chciał o tem rozmawiać, mieszał się. Raz mówił, że upadł nad Wisłą, drugi raz. że na Nowym świecie. Matka nic zeń wycisnąć nie mogła, bo zaraz kierował rozmowę na inny temat.

Weszła do izby młoda, ładna Niemeczka. córka doktora, niosąc mu napój.

— Ot. to mój anioł opiekuńczy — rzekł Bzowski. —Matko, podziękuj tej panience, bo gdyby nie ona. nie oglądałabyś syna.

— Co też mówicie — gdyby nie ojca umiejętność. Cóż ja wam pomódz zdolna?

— Leky zrobiły swoje, a wy swoje, nadobna panno Elżbieto. Niechby wszystkim chorym, takie ręce podawały lekarstwa. pewnoby nie umierało ich tyłu,

— Komu pora do śmierci, tego nikt z niej nie wykpi. C was zasób życia i młodości. Staryby po takich ciosach, dawno gryzł ziemię.

— Jakież to ciosy, spadły na ciebie mój synu?

— A no. chyba ciosy z oczu panny Elżbiety. Czy uwierzysz Matko, że widząc codziennie jej opiekę nad sobą i tę troskliwość anielską, pra

wie zapomniałem nieraz o bólu, co mnie szarpał, i dziękowałem Bogu. żem tu pod dachem takim.

Matka dziękowała czułymi słowy Niemkini. która się czerwieniła tylko i wypraszała, jak mogła—a przytem przyrządzała mu napój, studziła, cukrzyła, pytając, czy nie zagorący lub za zimny—słodli; i czy gorzki—czy poduszki nie zawysoko —czy mu leżeć nie twardo...

Matka się podśmiewała, z lekka trącając mnie łokciem, że to krom troskliwości i inne jeszcze rzeczy w grę wzbodzą. Rozmawialiśmy, żartowali. U dworze, ani o żadnej jego rzeczy, nie było wzmianki. Zostawiłem matkę z synem i wróciłem do zamku. Baron Magnus z swoją Magnifiką. już był wyjechał do Opola—zostało się o nich wspomnienie tylko i to niedługo się zatarto.

O prawdziwej przygodzie Bzowskiego, dowiedziałem się w miesiąc dopiero, od panny pokojowej, co była niegdyś u Włoszki,

Oto Baron Magnus, z mądrym bratem swoim brudną eminencją, co w gwiazdy patrzała, uradzili, aby Bzowskiego złapać cichaczem i obić mu dobrze skórę—jejmości pogrozić surowo a potem ją ztąd wywieźć. i jak uradzili. tak zrobili. I jednej, i drugiej stronie zależało na tajemnicy, więc jej dochowali święcie. Bzowski się nacierpiał za one rajskie słodczyce, bo okrutniki Niemcy plag nie żalowali, ale się potem wylizal i już nie gwałcił dziewiątego przykazania.

Król temi czasy udarował go Starostwem urzędowskim, a Królowa zapagnęła gwałtem ożenić z swoją faworytą, panną de la Mariniere.

Pan Starosta merecki, zajrzał pewnej nocy do sypialni swej Jejmości i zobaczył łoże próżne. Obszedł cały dom i nie znalazł jej nigdzie; a że nie dowierzał ani służącym, ani swemu pasierbowi a chciał się czegoś pewnego o tera dowiedzieć, więc po długich deliberacyach. żem to ja dla niego więcej był przychylnym od innych, udał się do mnie. Dworskie życie zaczęło go oszołamiać powoli. Stapał tu, jak po rozżarzonych węglach. do te jo drwiny, jakie go ciągle spotykały a nawet i szturchańce. onieśmiały do tego stopnia, że niewiedziały, co z sobą począć. Nie pomogło i macanie się po nosie iowe, „mościwypanie”—zawadzały mu ciągle to ręce, to nogi, broda, głowa. Kilka minut czasem trzeba było, nim się wychrząkał. wykaszlał i słowo jakieś wreszcie wykrztusił.

Staął on raz przedemną zmieszany, zaturbowany i chrząkając. pokasłując, rzekł:

— Powiedźcie mi... tego... Mościwy panie Scipio... czy tego... ten... czy to być może...

Spieszyło mi się. wiecem go z góry nabrał.

— Mówcie prędko i zwięźle panie Starosto, bez żadnych dodatków —bonie mam czasu. Chciałem odchodzić, lecz chwycił mnie za rękę.

— Zaraz tego... proszę was uprzejmie... chwileczkę.

Popatrzałem nań — miał strasznie markotną minę.

— Powiedźcie mi... czy to być może... żeby moja Jejmość... tego... ten...

Nie mógł wykrztusić i nie dziwiłem się wcale, można się takimi słowami zadławić,

— Że bywa w nocy... tego... w zamku,

— Boże uchowaj. Zkądże to waści przyszło?

— A bo jej w domu niema.

Przez miejskiego sługę, miałem zdaną relacją. kto to w owym domu mieszka, który Pani Starościna w nocy nawiedza.

Na dole od frontu, mieszka płatnerz — od tyłu kapelusznik. Na górze kupiec ormiański, a wyżej nad nim imię Pan

Friedrich Stembock, porucznik z Regimentu dragonów królewskich—Niemiec, sprawujący urząd instruktora.

Opowiedziałem tu panu Staroście, i kazałem mu zgadywać, do której z tych person, pani Starościna chodzi z wizytą; do

płatnerza, do kapelusznika, do Ormianina, czy do porucznika.

Poczerwieniał cały. jak pons— potem zatrzęsł się czy ze złości, czy z alteracji. wreszcie tupnąwszy nogą tak, że się

wszystkie szyby w oknach zatrzęsły, ryknął:

— A niech ją najsiarczystsze pioruny spala! tu mi się podobał po raz pierwszy. Flegmatyczny temperament tego człowieka, był

niby podobny do zatęchłego bagna, eo to cuchnie już zdaleka i ludzie go omijają, ale naraz owe bagno zaczyna palić się. Tak i on palił się w tej chwili i sapiąc tylko z wściekłości, wyrzucał z siebie powoli ale dobitnie, takie mianowicie słowa:

— Zabiję szelmę! Dostyc mi już tego chleba dworskiego, który mnie dławi. Dostyc mi już starostwa, zaszczytów i urzędów, które mnie palą, niby ogień piekielny. Zwalałem się dla tej bestyi, bom był głupi, jak ostatnie bydło. Upoili młodego obietnicami łask wielkich i dostojęństw — i czyste nazwisko szlacheckie zaprzepaściłem. Ho. ale teraz wara tej nędzniczy! Jeżeli myśli, że dalej będę jej służył za płaszczyk, pod którym wszystkie brudy chować będzie, to się omyli grubo. Zabiję! klnę się na mój klejnot, zabiję!

Zacząłem go uspokajać. bo coraz więcej ciekawych nas otaczało — nic to nie pomogło— dopóki cały war. co tam gdzieś na dnie duszy się smarzył. nie wypłynął z niego potokiem, nie dał przystępu do siebie. Radowałem się w duszy, że i w takim przecie stworzeniu, odnalazła się ludzka atrnna.

— lio wy nie wiecie, że ja tak sobie, ot mizerne stworzenie boże. mam także odrobinę animuszu. No. byłem głupi — prawda — aleć z czasem człowiek na oczy przejrzeć musi. I po co mi było tego ? Wziąłem fortunę po ojcu, że i Senator mógł mi jej pozazdrościć. Pan Bóg nie: dal wiel

kiego rozumu, to prawda, a błyszczeć się chciało na świecie... no i wlałem w bioto! Alem dzisiaj poznał, co to one błyskotki warte. Nie chcę ich, niech przepadną! Wracam do moich Wypych, tylko wprzód zabiję tę nędznicę. Żał mi się zrobiło biedaka — wziąłem go pod ramię, jeszcze całego drżącego i miotającego się, i zaprowadziłem do mej izby.

Gdy ochłonął, począłem mu powoli wykładać sposób, w jakiby można Jejmość ująć na gorącym uczynku... Radziłem. aby nie dawszy poznać po sobie niczego, śiodził kroki swej magnifiki. potem aby wypytał się dobrze, co za zacz ów amator, który mu miód podbiera — a przekonawszy się dokładnie, najprzód z nim się rozprawić, a następnie z Jejmością,

Słuchał niii uważnie i obiecał sprawę poprowadzić gładko, a pocił się człowieczysko, niby pod wielkim ciężarem, jakim mu włożył na barki, a ścisnął za nogi i całował, nazywając swoim pocieszycielem i dobroczyńcą. Nie wiedziałem, że tak tanio tego tytułu mi nabyć przyjdzie i pocie szalem się. Żera człowieka z błota wyciągnął: Tymczasem inna nam się gotowała niespodzianka. Król Karol Ferdynand, chcąc niejako zatrzeć w pamięci zatarg z bratem i postawić się dobrze w miemaniu ludzkim. postanowił w swojej Jabłonnie, dać wielki leśtyń. na który sprosił

dwór cały i panów koronnych, co ich) bawiło w Warszawie.

Sknera, krzywił się i stękał. Król musiał mu pomódz swoją szkatułą, i jakoś poszło gładko i składnie, a nawet wspaniale.

Był Maj piękny i pogodny—puściliśmy się Wisłą na statkach ubranych cudnie. Król z synem, Jan Kazimierz. Marszałek. Kanclerz, Podskarbi. Podkanelerzy, Krajczy. Bzowski, Pac. Platemberg. Żabicki. Rylski. Benliof, Oświęcim, Ubysz i inni już nas wyprzedzili przedcdniem. My z Królową i całym fraucymerem, wyjechaliśmy dopiero kolo południa. Byliśmy niejako strażą honorową przy niewiastach, mianowicie: Pan Tarnowski, Pan Radziejowski, młody Ossoliński, Gniewosz. Tęczyński i ja.

Ossoliński komenderował całą wyprawą. Nie wiedzieliśmy nic. jakie nas czekają cuda.

Najprzód przed samem! Bielanami, ni ztąd ni z owąd, zaczęli nas zaczepiać flisacy i chłopci, żądając myta i grożąc zuchwale. że nas nie puszcza dalej.

Skonfundowało nas to trochę, i nie jeden już się po szabli pomacał. Kobiety zaraz w trwoję. Bal aż tu przyglądamy się dobrze, a to pan Denhof przebrany za chłopca, dalej pan Majdel za poborcę, pan Żurawski, pan Piwnicki za flisaków. Co u paralusa, ule i między nimi są prawdziwi chłopci, którzy krzyczą jeszcze głośniejsze i zuchwalejsze, a przybywa ich wciąż jak mrowia, tak, że już

wreszcie trudno odróżnić, który tu chłop przebrany, a który prawdziwy.

Ha, radzi nie radzi, oplacamy się i płyniemy dalej.

Dobijamy do liępy. niedaleko Jabłonny, a tu jak się nie wysunie chmara dzikich ludzi, o czarnych twarzach.

Powstaliwali do łodzi — łupu, cupu zabrali nas w niew(dę).

Krzyk, gwar, śmiech. Królowa patrzy zdziwiona i nie wie. o co chodzi, ale się śmieje z innemi. Chłopi za nami jadą z tyłu. niektórzy wyprzedzają, aby nas oskrzydlić i odbić onym czarnym rozbójnikom. Zaczyna się walka — a wtem i brzegi Jabłonny widne, a na brzegach kto? Same chłopstwo. Mężczyźni, kobiety wszystko w świątecznych strojach. Podpływają ku nam, wydzierają czarnym i uprowadzają na ląd.

— Kto wy tacy?—pyta Król w chłopskiej sukmanie, w której mii było prześlicznie.

— My. Królowa Polski — odpowiada Ossoliński.

— A my Król kmiotków i pasterzy, kto do nas w gościnę, musi i nasz ubior wzięść na siebie. Jak wam wola—albo z nami—albo was oddamy onym czarnym, i nie puścimy do naszej zagrody.

— Z wami. z wami, miłościwy gazdo. Dopieroż owe chłopki, któremi nie był lito

inny, jak pani Kanclerzyna, pani Krajczyna. Marszałkowa. Podskarbina, wzięły Królowę i nasze

damy między siebie i poprzebierały je w wiejskie suknie. Zaczęła się zabawa.

Przy muzyce wiejskiej, rozpoczęły się tany wieśniacze.

W lesie po nad Wisłą, zbudowano domki i szałas, w których zastaliśmy wszystko, ptasiego mleka chyba nie dostawało.

Ale Ze to zawsze bywa mi świecie, iż uciecha wszelka, kończy się smutkiem, tak i tu nam się zdarzyło.

Pan Tarnowski, Starosta krzepiski, miał ładną żonkę, a fertyczną wielce i lubiącą zerkać figlarnie. Sam byt nieborak natury melancholii znój, a zazdrosny okrutnie. Dyabeł nadał, że Jejmość gdzieś się zawieruszyła, Dawajże szukać, pytać, Zjawiła się nareszcie z Bzowskim. Rzuć ognia na zazdrośnika. Na Jejmość powstał popędliwie, a Bzowskiego zelżył od ostatnich słów. Ten mu się tłumaczy, że tylko co ją spotkał. Nio —kiep jesteś, włóczykij!... Bzowski wyzwał go na rękę. Dopiero Majdel z Żabickim. wzięli go na stronę i wręcz mu powiedzieli, że kto inny był z Jejmością w szałasie, i jeżeli potrzeba zaprzysiądz. są gotowi.

— Więc kto? kto ? —pyta wściekły.

Niechcieli mu powiedzieć, rozjędyczył się coraz bardziej — wtem przybiega niefortunny Piatemberg. szukając królewicza Jana Kazimierza i pytając, czyśmy go nie widzieli.

— Był tu przed pół godziną — odpowiada Mej dei.

— Eh, tańcował z panią Tarnowslią — mówi Platemberg.

Majdel na niego mruga, a ten swoje. — Botom gdzieś się nam zaprzepaścił, — kończy.

Nie trzeba było więcej. Mąż nieborak tak odczuł to głęboko. że w melancholją się pogrąży! coraz większą. i w tydzień coś, rano wstawszy, pacierze odmówiwszy, w łeb sobie strzelił z pistoletu.

Zwarzyło to nas wszystkich. bo człek był piękny i lubiany powszechnie, a krom tej jednej brzydkiej wady zazdrości, nikomu wody nie zamącił, Gadano o nich różnie—że nio było szczęśliwego pożycia; że pani zachciewało się wielu rzeczy, których .Jegomość dać nie mógł. Dzieci z sobą nie mieli.

Książd Wydźga. grzmiał potężnie na ambonie, i wymierzał pociski wprost w serce królewicza. Przycichły zabawy i uczyta a powaga i spokój zapanowały ua dobre.

Zapomniałem był już o panu Wypyskim i jego zacnej połowicy, gdy na raz spotykam go na pokojach królewskich z gęstą miną. Szedł dziękować Królowi. za nowo otrzymany urząd .Mostowniczego mereckiego. Choć jako żywo nigdy

tam urzędu takiego nie było, przecię go ustanowiono dla niego,

Tyle się na raz wypadków zważyło gromadnie, tyleśmy przeżyli przez tę parę tygodni, bo to i uczyta, i pogrzeby, i ludzkie głupstwa, że nie tylko Wypyski mógł wyjść z pamięci.

Gdy ranie zobaczył, zmieszał się nieboraczysko troche, ale po chwili nadrobi! miną i pomacał się po nosie.

— Witam pana Starostę.

— Ha... tego... czołem Waszmość panu.

— Cóż tam nowego?

— lia no... dobrze... tego.

— Dobrze—to chwalić Boga.

Popatrzałem nań zdziwiony, bom się spodziewał czego innego, gdy mi żywo stanęła owa sroga lamentacya jego. On też zaambarasowany. z nogi na nogę przestępował i chrząkał —nareszcie zbierając się na odwagę, wzi: mnie poufale pod rękę i poprowadził ku oknu.

— Bodaj was... tego... panie Scipionie... ten... takiegoście mi strachu nabawili,

— Ja? a to jak?

— A no ten... z waszem podejrzeniem... Byłem tam... tego... To nie żaden porucznik, ale baba Znachorka, lekarka znamienita, do której Jejmość w swoich defektach zachodzi.

— A dobrzeście się przyjrzeni owej babie, panie Starosto?

— Ha no tego... jakże... co baba. to nie porucznik.

— Dyabeł nie spi.

— Kh. franta... tego... z way kawał. Ale co tam!... Zachowajcie to przy sobie... tego...

— Bądźcie spokojni. U mnie to, jak w studni.

— Ilo widzicie ten... języki ludzkie.

— Ale, wiem. wiem. Niech Tan Bóg broni.

— Bóg zapłać.. Poczciwy z was tego... Uścisną! mnie zacny Starosta, i wybiegł szczęśliwy, puchrzakując. z łbem do góry.

Coraz brzydszym i głupszym, wydawał rai się ten świat cały. Jeden na płonne podejrzenie w łeb sobie strzela, a drugiemu na nosie położy i nic wcale nie zobaczy. Niech was kaci! Żałowałem tylko, że mimowoli wdeptałem w to błoto, bo Jadwiżka mogła na mnie poszukać pomsty.

Sprytna niewiasta zwąchała wszystko, bo pan Wypyski. nie umiał utaić dobrze tego. cu mu ua wnętrzu siedziało, resztę Orzełek wymacał i tak się urządzili sprytnie, że zamiast porucznika, podsunęli mu babę—istnie jak w mięsopuście.

tak płynęło nam to życie. Jednym zabawą, drugim z bólem, innym troską i rozpaczą. Mnie zasię amor skrzydlaty bódł strzałą srogo, aż popowi, powoli czarne chmury gromadzić się zaczęły, a w dali groźny piorun posepnie mrucał, ale jeszcze doń daleko—jeszcze, nim eua burza się zwali, przyjdą dnie ciszy, ponurych smutków i goryczy, a tymczasem kochajmy się i pastujmy.

Panna Hrabianka Eugenia Mariniere. było to śliczne szesnastoletnie dziecko. Figlarne, jak kocię młode a rozumne i dowcipne. W rok niespełna, nauczyła się po polsku i szczebiotała nam tak mile. żeśmy się rozplywali. Ujmowała wdziękiem wszystkie serca. Sprytem odgadywała ludzkie słabości, i czytała w człowieku, niby w książce. Ot. mówiliśmy, to mi zona dla niego!

Bzowski kawaler oszlifowany, pełen poloru. gładkości i taktu — powoli zrzucił całkiem już dawną skóry. Pan Starosta urzędowski. Sekretarz Królowej, mając niespełna lat dwadzieścia — zadziwiał powagą i godnością, Traktował już ludzi, wedle szali zasług i dostojęństwa. Sam będąc dostojnikiem. przestrzegał ściśle onych światowych względów i nosi! się z pańska.

Królestwo oboje, obiecywali suto wyposażyć młodą parę. Król krył się z zamiarami, ale snać one bardzo wysoko sięgały — myślał go adoptować, nadawszy mu herb nowy i udarować dobrami, a potem śmiały mu się senatorskie godności, żeby to Francuzka, nie skarżyła się. iż zaślubia hołysza.

.Młoda para była przedmiotem adoracyi, uznawano ich głośno, jako narzeczonych. Bzowski z całą galanterią światową, towarzyszył przyszłej swej małżonce w uroczystościach dworskich, poskramiając nie raz jej żywość zbyteczną i naginając do polskich obyczajów.

Obiecywano widzieć go kiedyś panem całą gębą i wszystko się na to składało.

Za to drugi bękart królewski, ugrzązł pokojowcem i pokojowcami miał zostać całe życie i to całe pośledniego gatunku. Tej grubej natury prócz pochlebstwa, złośliwości i nałogów szpetnych, nic się więcej czepić nie mogło. Kobiety wyśmiewały go głośno, bo raził bestya prostactwem nieznośnym. i nie nazywano go inaczej, jak głupi Kostuś. O ile Bzowski rósł potężnie, o tyle głupi Kostuś spadał coraz niżej. Pijaństwo. kosterstwo i rozwiozłość. to były specjały, dla których się jego mózg wysilał. Przynoszono go do domu pijanym z brudnej szykowni. lub zamtuza z guzem na łbie i w podartej odzieży — mimo to Król nie tracił nigdy don serca i całą godzinę nie raz z nim zamknięty, prawil mu reprzymanę i nauki moralne wykłada, Litość nas brała, patrząc na to zaślepienie ojcowskie—przyrzekał poprawę a potem znów właził w błoto. Do Bzowskiego pałał zawsze skrytą zawiścią i dyszał zemstą, Bał go się i nienawidził okrutnie.

Złote serce królewskie rade było szerzyć wszędy miłość i zgodę, Gdy mu się pożegnać przyszło, z najdroższą myślą całego życia, która nieśmiertelnym blaskiem miała opromienić jego czoło, pragnął teraz przynajmniej zostawić po sobie wspanienia czynów bezgranicznej miłości i dobroci, Rozdawał też szcudrobliwie wszystkim—

fundował klasztory i uposażał je hojnie — zaprowadził pocztę, budował gmachy i pomniki uposażał szkoły, wspierał wszelką nędzę i nikt z proszących, bez pocieszenia nie odchodził.

Zdarzało się teraz, że dziwne sny poczęły go trapić, a nawet na jawie mary nawiedzać Nieboszczka Królowa kiedyś stanęła przy jego łóżu i wskazała na uspięnego przy nim małego Zygmunta, a miała w rękę koronę z róż białych, i chciała go nią wieńczyć. Król się przeżegnał i począł krzyczeć przeraźliwie, pobudziwszy śpiących przy sobie dworzan. Innym znów razem zobaczył postać w krwawych szatach z przebitą piersią, wydającą jęki i przekleństwa. Często o północy słyszał jakieś pukanie gwałtowne przy swem łóżu, zrywał siei budził nas wszystkich, abysmy patrzyli i szukali.

Za nieboszczkę odprawiały się ciągle solenne modły, a sny wykładała brudna eminencją, a wy , kładała je ku pocieszeniu pańskiemu z dobrą wróżbą, bo powoli zacierały się w pamięci a zdrowie i ochota wracać zaczęły. Ale sny owe. były przeczuciem jasnowidzącej duszy. W snach owych, kryła się przestroga. krórej lekceważyć się nie godzi. Wybieraliśmy się na polowanie do Starożrebów, w województwo płockie. Król się ubierał w strój myśliwski, i podkpiwał wesoło do szatnego.

— A co Sebastyanie, sadło się gdzieś podziało,

ubranie wisi na mnie, jak na patyku. To sejm ostatni zjadł wszystko.

— Bo...daj się u...dła...wili.

— Ha no, to już tak mój stary, jeden drugiego zjada na świecie, a Króla jedzą wszyscy.

— Eh...jeszcze... miłościwy panie... wy...star... czy... na długo...

— Do jedzenia? Twardym, Na kościach moich zęby wprzódy połamią.

Ziemia, że to jeno zawsze czekał okazji, aby swoje trzy grosze wsadzić, a wynicować wszystko, wziął sobie asumpt z owego królewskiego schudnięcia i prawi:

— Teraz to Miłościwy panie, wsiąć im na karki warto a dusić. Sadło zjedli, ale animusz i energia zostały. Trapiła się Wasza Mość Królewska, zbytęcną tuszą, jak to przyjdzie dosiąść konia, i poprowadzić rycerstwo, a toć dzisiaj, najbystrzszemu biegunowi, na grzbiet byście skoczyli,

— Popróbujem. Platemberg podasz mi karego hestra.

— A to oni miłościwy panie — prawil dalej — na Wasze Królewską Mość zapatrzyli się wszyscy, i na gwałt zapuszczali brzuchy. teraz gdy się obaczą, że chudość weszła w modę, gotowi na łeb na szyję spadać z cielska, i teraz to zatrąbić pobudkę warto,

— Przyjdzie ono jeszcze mój Ziębo, przyjdzie.

— Niechby przyszło a rychło miłościwy panie, bo Sebastyan znowu gotów przeszywać haftki. I śmieliśmy się wszyscy.

Wtem, jak gdyby grom z pogodnego nieba, co się śmiało słońcem jasnym, wpada do pokoju pani Przyjemka z płaczem wielkim, że królewicz umiera.

Król pobladł strasznie i zatrząsł się, jakby nim wichur jakiś targnął.

Porwał się, wpadł do sypialni dziecka, kiedy wydawało już ostatnie tchnienie.

— Zygmuncie! — krzyknął przeraźliwym głosem, biorąc dziecię w ramiona —Synu!

Dziecko chwyciło go silnie za szyję, jakby ratunku prosząc. Medycy stali zrozpaczeni i bezmowni.

— Niema ratunku? I teraz dopiero przywołaliście mnie bezduszni!

— Choroba rozwinęła się szybko okrutnie— rzekł Conradi, lejbmedyk Królowej.— Wszyscy trzej—tu wskazał na Kratta i Littowa —czuwamy od północy. Daliśmy na poty. przyłożyli synopizma, wymioty. Wszystko, co sztuka nasza i wiedza dać może, robiliśmy. Wezwano nas zapóźno.

— Zapóźno! i mnie tu nie było—krzyczał Król. Oh. dusze z kamienia, I nic że go już uratować nie może? Nic?

Płacz i jęki kobiet przeraźliwe.

— Oh. synu mój najdroższy! Synu! Czy ty mnie słyszysz jeszcze? Oh, pociecho moja jedyna.

Przemów choć słówko do ojca! Dajcie mu napój jakiś, coby mu ulgę przyniósł. Czyż nie widzicie, że on się dusi.

Ramionami ruszacie? Przekłęci wy i cała sztuka wasza.

Dziecię dusiło się straszliwie, przewracając oczyma, nie mogąc słowa ani jęku z gardła wydobyć a twarzyczką całą prosił jak gyby zmiłowania, a rączką coś wskazywał, czegoś pragnął — czego nikt pojąć nie mógł. Wreszcie opasywał Króla rączkami coraz silniej.

— Boże wielki! Gdzieś ty?... Czy tam zgasło już miłosierdzie? Czy nie masz już odrobiny, dla nieszczęśliwego ojca. O pocieszycielu! spraw cud jaki, coby mi syna powrócił.

Ale cud się nie spełniał, Zygmunt oddał Bogu ducha. Ciało bezwładnie wysunęło się z objęć ojca: legło na poduszki.

Król padł przy zwłokach dziecka z jękiem strasznym.

Staliśmy zdrętwiali w obec majestatu tarzającego się w pyle. przed oną straszliwą potęgą, co światy wali. Król nie mógł się podźwignąć — podnieśliśmy go i posadzili w krzesle. Siadł złamany, zapatrzony w ukochaną twarz syna.

Królowa z Janem Kazimierzem i dworem swoim, tylko co wrócili z Nieporętu, rozbawieni, weseli, gdy we wrotach zamkowych, spotkali się ze śmiercią.

Weszli do komnaty. Królowa zbliżyła się. chcąc coś przemówić, lecz król skinieniem naka

zał spokój. Nic nie widział, nie chciał widzieć w około siebie, tylko trupa swego ukochanego dziecka.

Przesiedział noc całą i my przy nim. Na drugi dzień, nie chciał przyjąć posiłku. Padliśmy przed nim na kolana, błagając, aby pomniał o sobie,
— Oto wszystko, co było moje—rzekł ze łzami, od których nam się serce krajało. —Dziś jestem najbiedniejszym z żebraków. Oto moja дума, moje skarby, moje wszystkie uciechy, dla których potargałem ambitne żądze. Oh, gdybyś ty mi zmarł był wcześniej, byłaby Polska widownią wielkich czynów. Ustąpiłem zgrai, dla ciebie — a tyś mi odszedł. I jestem podwójnie pokrzywdzony, okradziony, znicestwiony. Ha, niechże się po nas świat zawalił
Na usilne prośby nasze, dał się zaprowadzić do swych pokoi.
Kazał wezwać Marszałka.
— Ogłoś, że tron polski do wzięcia, niech myślą o nowym panu, bo i ja niedługo ustąpię, potem się przygotuj do podróży. Odwieziesz niedoszłego króla do grobów naddziadów do Krakowa. Niema mnie dla ludzi, dla świata, żyję z Bogiem.
Skinął ręką — i my wyszliśmy z komnat, zostawiając go samego zamkniętym.
Oplakane dni przyszły—ale czyż one mogły się

równać z temi, które dopiero przyjść miały. W strapieniu powiada sobie człowiek: będzie lepiej —aleć ono lepiej w stokroć gorsze idzie.

Brak nam było okrutnie tego ślicznego pacholęcia, które było całą pociechą, całą nadzieją ojcową. Pustka, smutek, żaloba zapanowały na tak niedawno jeszcze śmiejącym się i pustującym dworze, którego om był duszą. To też kąć każdy go nam przypominał i żal nas brał wielki. Mała trumienka, zamknęła na wieki te wszystkie pociechy i skarby królewskie. Odwieziono ją na Wawel krakowski.

Król nie pokazywał się i o niczem wiedzieć niechciał, jakby z tą śmiercią syna zaprzestał wszelkiej styczności ze światem.

Otworzył się wakans polskiej koronie, zawczasu poczęły się zabiegi, jak gdyby Króla już na marach widziano. Królewicze pogodzili się z sobą. a Jan Kazimierz zaczął się nawet po polsku nosić i skarbić sobie łaski narodu. Ale naród pamiętny spraw jego, całkiem o nim nie myślał. Zaczęły się już wiązać frakcyje przeróżne i stronnictwa. Przebąkiwano o Francuzie lub Kiemcu jakim, którego panowie forytować myśleli.

Królowa tajemnymi listy i poseistwy gromadziła sobie stronników. na wypadek śmierci królewskiej. Zakipiało jak w ulu. tylko w pokojach pańskich zaległa cisza wielka.

Po paru miesiącach wreszcie. Król blady, wy

nędzniały, postarzały o lat dziesięć, oparty na lasce, pokazał się na sali audyencyjonalnej. Kanclerz oczekiwał z pliką zaległych spraw, a do drzwi pańskich kołatała moc wielka suplikantów i interessantów przeróżnych. a między nimi kołatał człowiek zrotpaczony, milczący, zapatrzony w ziemię, mruczący niekiedy pod sumiastym wąsem, lub zgrzytający zębami — był to Bogdan Chmielnicki. zdegradowany konstytucją sejmową z owego pisarstwa i przyszłego hetmaństwa siły morskiej. na zwyczajnego czehryńskiego setnika. pokrzywdzony. zbatożony, więziony przez Czplnińskiego. lichego podatarostę —przybiegł prosić łask i zmiłowania.

Król odsunął wszystkie sprawy i kazał wpuścić kozaka.

Wszedł Chmielnicki. przypadł Królowi do nóg. potem się podniósł, wyprostował i popatrzył na Króla, jakby przerażony.

— Nie poznajesz dawnego Króla—panie Chmielnicki? Tak to czas z nami igrzysko czyni.

— Nie czas to miłościwy panie, nie czas. boć jeszcze roku niema, jakim miał to szczęście widzieć tu oblicze wasze, ale ludzie, ludzie sprawili, że ten ciężar smutku i zgryzoty zwałili na wasze barki. Oh. bodaj im potępienie wieczne!

— Kogóż to przeklinasz niebacznym?—przerwał Kanclerz,

— Tych wszystkich wielkich luminarzy naszych, co głową obłoków radziby sięgnąć a w ser

cu gadzinę noszą. Tych wszystkich, co ira na ustach święte wyrazy ojczyzny, Boga, sumienia a w duszy prywatą, podłość, zgnilizna.

— Miarkuj się kozaku, przed Królem stoisz!

— Przed Królem i ojcem naszym dobrotliwym, którego oby nam Bóg najwyższy dzierży] w zdrowiu i życiu długim, oby pokanał, jak Samson nędznych a przebiegłych Filistyńczyków. Kozaku! Kozakami pogardliwie nas zowiecie, wy panowie królewietą. Kozakami tylko —a my rycierzami takimi, jak i wy. Kozaku!... a my umiemy czcić majestat i nie frymarczym cnotą,

Kanclerz znów chciał przerwać, wzburzony cały i zawołać nań do porządku, bo czuł, że Chmielnicki do niego głównie pije. ale go Król powstrzymał a zwracając się z dobrocią ku Chmielnickiemu, zapytał:

— Czegóż to żądasz od nas?

— Miłosierdzia przyszedłem błagać — opieki waszej królu miłościwy. Nie mówię już o tem, coś nam dał w swej świętej dobroci, a co nam wydarto haniebnie, nie mówie o pogardzie i ucisku, jakimi pany nas gnębią—ale oto Najmiłościwszy Królu swemi nieludzkimi czyny, pchają nas gwałtem do rozpaczy, A ja to jeden jestem najnieszczęśliwszy z ostatnich.

Nie dość, że mi wydarto kobietę, którąm miłował—nie dość, że najechano dwór i złupiono mienie całe, że wyrzucono na mróz i śnieg biedne dzieci moje, nie dość, że jednego z nich zbito nie

miłosiernie na publicznym rynku w Czehrynie. ale zelżono mnie jeszcze strasznie tem, że musiał patrzeć na tę hańbę a potem jak złodzieja zamknięto do turmy. A gdym się odwoływał do sprawiedliwości i łaski waszej, wyśmiano mnie i zelżono wasz majestat święty, mówiąc: „ot tobie Król psi synu.”

Królu wielki, jam dowiódł w niejednej potrzebie rycerskiego ducha—jam służył tej Rzeczypospolitej i królestwu ramieniem mojem i głową, tak jak i ś p. mój przodek, i za to wszystko miał nagrody, porównano mnie z bydlętą — zaprzeczono prawa szlactwa, choć się nim wywodzę od lat tylu. Podeptano pergamina. Odsądzono od czci i wiary. Darzono przezwiskami urągliwemi. którychbym nie chciał powtórzyć wobec Waszego majestatu, a wszystko za to, że miałem szczęście pozyskać łaskę wasze. Żyd, lach, wyzuwita, choćby on był najgorszej wiary, ma u nich poważanie i cześć, a człowiek rycerski niegodzien psa — deptać go można i urągać, bo on nie człowiek, on tylko rzeczą—on niczem!....

Oli panie najmiłościwszy, język mi zda się do podniebienia przyrósł z bólu wielkiego i rozpaczy. Gnany nią. przybieżalem tu. nie biorąc posiłku żadnego, ni jadła, bo mi żółć wnętrzości porze. Królu! jeżeli sam w swoim sercu nosisz zatrute strzały, jeżeliś i ty doznał bólu i męczarni w zawiedzionych wielkich nadziejach twoich, gdy je

tłum panów deptał nogami, to ulituj się ty nademną, nad nami i uczynj sprawiedliwość!
Padł mu do nóg. całując stopy.

Król słuchał a w miarę tej mowy rumieniec mu występował na lica i oburzenie nim miotano. Wreszcie podszedł szybko do ściany, gdzie wisiała broń, ułożona w armaturę, wy dobył z niej szablę drogocenną i oddając ją Chmielnickiemu, rzekł:

— Jam już złamany i bezsilny—prócz oburzenia, co mną wstrząsa, nic ci więcej dać nie mogę. Tyś żołnierz—masz, broń się!

Chmielnicki wziął szablę z rąk Króla — popatrzał nań, jak gdyby go pytał o coś jeszcze, potem zacisnął zęby — wy dobył do połowy szablę z pochwy, wsunął ją z trzaskiem i mruknął:

— Niech ono będzie.

Król padł na krzesło i zamyślił się głęboko. Chmielnicki rzekł:

— Żegnaj mi panie najmiłościwszy, znajdziesz w nas zawsze wierne sługi, co krew i życie dadzą za ciebie.

— Bądź zdrow — a powiedz swoim, że Król zawsze sprawiedliwie oceniał ich rycerskie zasługi i że gorliwie pracowal dla ich dobra.

Wyszedł.

Oh, gdyby go można zawrócić i wydrzeć mu z rąk szablę, a z serca słowa królewskie!...

Oh, nieszczęsne zaślepienie! Oh, słowa niebaczne, które wywołała gorączka rozjątrzonego

serca, a które w przyszłości zaważyć miały tysiącami dusz i krwi strugami!..

O chwilo okrutna, na której wspomnienie, krew mi się lodem zcina. Oh, dniu oplakany, coś zaciężył tyle na doli naszej, bogdaj cię nigdy nie było!

Bogdaj pamięć o tobie zaginęła wiecznie!.., ale będzie ona trwać, dopóki Polski stanie.

Długo cisza zapanowała w komnacie, nie śmiano przerwać królewskich myśli, które Bóg wić gdzie błędziły—może w przyszłość zatapiały się ciemną—ale pewnie zasłony z niej nie zdarły, bo inaczej ten pamiętny dzień byłby się nie tak skończył.

Pierwszy kanclerz odezwał się do Króla:

— Będzie bunt.

— Miech wywalczą to, czego im dobrowolnie dać nie chcą—potem go zażegnamy.

— Wielkie z tego mogą urósć nieszczęścia,

— Niech rosną wielkie, bo też tylko z wielkich wielkie dobro wyjść może.

— To człek ambitny i niebezpieczny.

— Tem ci więcej zasługuje na cześć, którą mu tak niegodnie wydarto.

— Lecz miłościwy panie...

— Dostyc! co tam więcej przychodzi?

przystąpiono do spraw innych. Wyszedłem z komnaty, żeby zobaczyć jeszcze

tego Chmielnickiego i zamienić z nim choćby słów parę. bo dziś innym mi się wydał ten człowiek,

niż był przed rokiem. Dziś jnż nie prostego kozaka, ale widziałem w nim męża, dźwigającego na barkach jakoby Zaporozę całe, Zdało mi się, przerósł Króla.

Spotkałem go na dziedzińcu zamkowym, rozmawiającego z Bzowskim. Gdy mnie zobaczył idącego ku nim, kończył prędko rozmowę rozpoczętą, jakby nie chciał, abym z niej coś posłyszał, doleciało mnie tylko jero ulubione: „Ne ma szczo howoryt.

Ścisnął rękę Bzowskiego. mnie się pokłonił z lekka, popatrzał po oknach sejmowej sali, jak gdyby chciał ją sobie uprzytomnić w pamięci na wieki, pokiwał głową i zniknął po za bramą.

Królowa lubiła jeździć konno. Przywiozła ona z sobą z Francji k(mika dziwnej myszatej maści Sekiela siedmiogrodzkiej rassy, sudanego z nóżkami zgrabnymi a cienkimi. Chodził pod nią nad podziw, jak gdyby kontredansa tańczył.

Kzuciło się też zaraz wszystko na konie tak. że po Warszawie widziałeś same Jejmoście, niby w kraju amazonek... a śmiesznych prz'gód nie kupió.

ICażda chciała jeździć konno, jak Królowa. Otworzył też jakiś Niemiec, na jMiodowej ulicy rajtazulę, ale że to tam w tij rajtazuli i innych

rzeczy chciano uczyć, więc ją zamknięto a Niemca wygnano na cztery wiatry.

Królowa jeździła z Bzowskim i panną de la Marinier. Bzowski na swoim bahmacie Radziwiłłowski. panna na dropiatym ciekunie, którego wytresował.

Zajechali tak raz przed dworek pani Bzowskiej, gdzie właśnie bawił.

Niespodziana ta wizyta ucieszyła wdowę, ale i zaambarasowała okrutnie, bo unikała stykania się z przemożnym światem i mawiała zawsze:

— Byle się ten mój synek raz ustatkował a ożenił. zamknę się w klasztorze i ciekawe oczy ludzkie nie zobaczą mnie nigdy.

Stworzoną też chyba była na jaką ksienię klasztorną, taką cześć i szacunek umiała zjednać sobie

Tutaj ten ambaras pani Bzowskiej prędko minął, dzięki Królowej, która swem dziwnie ludzkim obejściem i miłym a ujmującym humorem, któremi to zawsze zjednywała serca wszystkich. potrafiła tak mile a tak zręcznie zainstalować się w gościnie, jakby tu już od Bóg wie niekąd znajomą była,

Kazała się oprowadzać po domu i całym dworskim gospodarstwie—zajrzała do kuchni—pytała o rozmaite nasze potrawy, jak to je przyrządzać umieją, że takie smaczne.

Zeszła do ogródka i zdziwiła się mnóstwu kwiecica, którego się w Polsce znaleźć nie spodzie

wała. Tłumaczyliśmy jej, zkąd ten a ten kwiat do nas zawitał. A było na co patrzeć w ogródku wdowy. W kwaterach kwiatów mnóstwo, Ze i oczu nie było gdzie podziać. Hyzopy, czyli józewki, boże drzewko, szałwia, ruta, majeran. cyprys, lawenda, konwalja, z których to wódki przedziwne pędzą. Dalej woniejące nardy, jaster, fjole, nagietek żółto bar wisty, słoneczniki, piwouje. narcyzy, hyacynty, pyszna lUja. strzępiasty gwoździć, bujno rosnące balsaminy, skomna stokroć, rezeda wonna i najokazalsza ze wszystkich królowa naszych kwiatów róża, od której to umarł, zbytniej woni zażywając, Iwo biskup krakowski,

O warzywie, o owocach.

Obiecała sprowadzić mnóstwo nasion i krzewów rzadkich z Francji i Włoch i kazała Bzowskiemu notować wszystko. dotrzymała potem, bo owe wspaniałe tulipany, któremi dziś cieszymy oko. jej zawdzięczamy.

Przyszła kolej potem na drób i ptactwo,

i tu znów porównywałem ją z .Austryaczką. Tamta pamiętała ciągle, że ma koronę na głowic— ale zniżyłaby się nigdy do spraw poziomych. Krom Króla i swoich niewiast nie rozmawiała z nikim, a przecież była dobrą i ludzką.

Pani Bzowska postarzała już trochę, ale zawsze jeszcze piękna niepospolicie, intrygowała Francuzkę — trzeba jej było opowiadać o przeszłym życiu i stosunkach światowych, bo wszystko wiedzieć pragnęła, Bzowska z taktem niezmiernym

prowadziła oną rozmowę, i zmuszała. Francuzkę niejako do podziwu tak, Ae mawiała potem;

— Madame Bzowska c'est une femme bien distinguée.

Panna de la Marinier, paplała znowu po polsku tak, żeśmy co moment parskali śmiechem, na co Królowa ciągle:

— Que ce quelle a dit?

Bzowska przypatrywała się bacznie przyszłej synowej, jak gdyby pod tą powłoką igraszki dziecinnej i trzpiotostwa do serca jej dobrać się chciała. ale nie tak to łatwo je zbadać.

Podano kołaczki przedziwnego smaku i wino. Królowej tak się udały, że kazała zaraz napisać sobie receptę, jak to się one przyrządza.

Głowa jej było to istotne archiwum, w którym się wszystko pomieścić mogło, a pamięć miała wyśmienitą. Dziwiono się później, jak z pozoru o błazeństwach myśląc i rozprawiając, umiała ster państwa dzierżyć w swych rękach. A. le taka to już natura u wielkich polityków, że wrzкомо traszkami zajęci, mydląc niemi oczy, wielkie zamysły knują. Tak i tu, nie wyszło pół godziny, gdy nadjechał kanclerz Ossoliński i przerwał gawędę o kołaczach, ważnymi sprawami. Wyszli wnet oboje do ogrodu i tam radzono a radzono. Królowa zrywała kwiaty i wiała z nich bukiet, słuchając kanclerskich argumentów obojętnie na pozór, ale rzucając niekiedy słówko jędrne i dobitne.

Kanclerz przemawiał i gestykulował, jakby w sejmowej izbie.

Król coraz słabszy i znękany, ustępował przed uporem i stanowczością tej mądrej kobiety, której przyganić niemógł, choć czuł wstręt do jej rządów. Za niej to rozpowszechniła się. jak owa zaraza morowa, sprzedaż wszelkich urzędów. Młoda para, wyniosła się cichaczem do drugiej izby, aby tam gruchać bez świadków, ale nic z ich rozmowy, prócz cichego szeptu i pocałunków dosłyszeć nie można było.

Bzowska się zżymała.

Zabrano się wreszcie do odjazdu, ale nie tak to łatwo było się wydostać, bo oto przed dworkiem zebrało się gęsto ludu, a między nimi szereg młodych dziewcząt, wystrojonych z wieńcami i bukietami. Jedna z nich. wysunęła się z oracyą długą a nudną, której trzeba było wysłuchać, nie rozumiejąc— zapamiętała z niej ostatni wyraz. Gdy wyrzekło dziewczę: „Obyś nam panowała i rządziła szczęśliwie." pochwyciła owo „szczęśliwie" i kazała sobie wytłumaczyć. Powtarzała go potem dosyć często w smutnych dniach, wzdychając jak gdyby na urąganie; Sciensliwic. Ze dwudziestu dziewczy wybrano sześć najurodziwszych, zapisano ich nazwiska i obiecano wyposażyć. Tłum ludu z wiwatami i okrzykami towarzyszył jej aż do zamku.

Gdyśmy zostali sami, rzekła Bzowska;

— Powiem ci panie Scipionie, że wszystko widzę w tych niewiastach, krom szczeroci. To nie nasze Polki. U tych, do serca dobrać się bardzo trudno. Potrafią one zdurzyć, rozbawić, olśnić, ale onego ciepła i duszy tam nie szukaj. Jaką mi dano synowę, taką i wzięść muszę, ale wolałabym aby wziął nasze, choćby w jednej koszuli i boso mu ją wzięść przyszło. Oh, biedna moja Salunia, ona zamrze z tęsknoty i rozpaczy. Wiesz panie Scipionie. że gotowam wotywy solenne odprawiać i pościć o suchym chlebie, aby się to wszystko rozerwać mogło.

— Przywidzenia mościa pani.

— Nie. Jemu by trzeba niewiasty serdecznej, cichej. skromnej. co by go miłowała, co by balsamem serca umiała poskramiać te wybuchy krewkiej natury—a to dziecko puste, kapryśne a nie skromne. Oh, nie takiej by mi synowej trzeba.

Dziwne i wstrętne, wydały mi się te skrupuły wówczas, bom sam byt po uszy zatopiony w owej smugłej pannie Langeron, Zbijałem zarzuty matki a tak zapalczywie i z ogniem takim, że od razu odgadła, co przezemnie przemawia, — To może razem posuniecie do ołtarza? — rzekła.

Zmieszałem się i zatrwożyłem tak, jak gdyby mnie kto na świętokradztwie złapał, ale to niewiasta jak mnie wzięła w obroty, takim i wyśpiewała wszystko, a ona mi pomódz obiecała, ale

losy inaczej pokierowany człkiem, jak się niżej zobaczy.

Śmierć i zona, od Boga przeznaczona—a na nikim się tak nie sprawdziło to przysłowie, jak owo właśnie na tym nieszczęsnym Bzowskim. A na mnież?... Ale idźmy porządkiem.

Zawiść wściekła jadła paskudnego bękarta Kostusia, i gwoli jej to topił resztę rozumu w kieliszku. Uroił sobie koniecznie, że on jeden jedyny najbliższy królewskiemu sercu, tembardziej teraz po śmierci prawowitego jedynaka, powinien być obsypywany zaszczytami, pieszczony, caekany i noszony na rękach, a tu jak na złość wszyscy się z niego głośno śmieją i obrzucają pogardą—a Bzowskiego traktują prawie, jak królewskiego familjanta.

Postanowił się zemścić i jak na swoje głowę okutą obręczą, nic tak głupi wymyślił sposób. Powiedział sobie: kiedyś nie moge poradzić siłą, wyruguję go chytrąścią. polechtam to, co u niego najwięcej dotkliwie—dumę jego. Wiedział dobrze, gdzie trafić.

Królewicz łan Kazimierz, że to zawsze lubił płodzić pokątne grzeszki, a w ustawnych amorach, coraz to po inną sięgał zdobycz, trzymał wokoło tobiebie różnych faktorów, pochlebców, darmozjadów i wszelką hołotę łaknącą taniego Grzechy królewskie. T. .

chleba a nieprzebierającą w robocie jakiejkolwiek.

Do tego to bractwa, zaciągnął się nasz Kostuś. Uczciwej i przystojnej służby na dworze pełnić nie umiał, wydawała ona mu się ciężką i żmudną —ale błaznować, za podwikami latać, pochlebiać, znosić brudne ploteczki do pańskich uszu, bywać posłem w sprawach szpetnych, rajfuować, to wydało mu się szczytem dworskiej karyery. Od razu też zyskał sobie względy i łaskę nowego pana, który zaopiekował się nim gorliwie; a że zawsze lubił robić na przekór Królowi, a nieraz i wyszydzać jego czyny, przyjął opiekę tę, jako nad niesłusznie pokrzywdzonym dzieckiem królewskiem, na korzyść drugiego niezasługującego tak wielkich względów.

Przyszła zima — a posępną ona była. Król zatopiony w czytaniu i modlitwach— zestarzały, przygnębiony. Zaczęto się oglądać za nowem słońcem, co po jego zachodzie wzejść kiedyś miało, a tem nowem słońcem domniemywano łana Kazimierza. Wszystko też to, co własny tylko mieszek miało na celu, co się bało o swoje skórę wrazie śmierci królewskiej, ryczałtem przylgnęło do owej gwiazdy. Jadwiżka już sobie kupiła nowe łaski, pożyczając mu pieniądze; Platemberg, Rylski, Żurawski, Zdzitowiecki schlebiali i płaszczyli się a jawnie ogłosili stronnikami królewicza. Obrzydliwe nastały czasy. Karmą były plo

teczki, skandale, potwarze, rzucane tu i ówdzie, Bezwstyd, obłuda, rozwiązłość, jak gdyjijy podały sobie ręce.

Znaki na niebie i ziemi, jakie pojawiały się teraz jako: zaćmienie luminarzów niebieskich, kometa, pożar żup wielickich, wylew straszliwy Wisły, cuda święte, choroby i plagi różne dawniej niewidziane, ostrzegały ludzi przed czymś strasznym. co się spełnić miało na ziemi — ale nio to nie pomogło. Niejeden też. a takich była liczba największa, kpili z tego i ramionami ruszali, mówiąc: „A wieleż to już było takich prognostykiw a po staremu świat stoi i wiecznie stać będzie — głupstwo!”

Ślub Bzowskiego, miał się odbyć zaraz po Trzech Królach. Wesele ciche, z powodu żałoby nie na zamku, lecz w dworcu pani Bzowskiej miało być nagotowane. i tam to młoda para miała spędzić pierwsze miesiące, (cieszyliśmy się i obiecywali sobie solennie, pójść w ślady najdzielniejszego naszego towarzysza, a każdy po cichu wybrał sobie w myśli bogdanę i podkochiwał się po trochu; aliści Kazimierczyki, bo tak nazywaliśmy dwornie królewicza, zaczęli z nami pokątną walkę, więc najprzód wybiegła od nich ohydna potwarz uwłaczająca królowej — że panna de la Mariniere, to jej naturalna córka "a ojcem był Choisy sekretarz i powiernik, co niegdyś z Królową przybył, a hrabstwo jej nie warte złamanego szeląga. Że, nim tu wyjechała z Królową.

była wykradzoną przez jakiegoś officera muszkietarów, że później od niego uciekła, zostawiając mu małego robaczka, a tu w Polsce uchodzi za cud niewinności i cnoty. Obijało się to wszystkim o uszy i gryzło nas okrutnie. Bzowski przysiągł, że gdy złapie potwarcę. ktoby nim był, gardło dać musi, tymczasem szerzyło się to plugastwo, jak liszaj, jak świerzb i ucha użyczano mu chętnie.

Kipiało w nas i postanowiliśmy wszyscy, jak jeden mąż stanąć w obronie niewinności, i pokarbować dobrze łby tej królewiczowskiej psiarni — a okazały po temu nastroczyła się niebawem.

Co środa odbywaliśmy na Ujazdowie ćwiczenia rycerskie i konno z kopiją i pieszo na palcaty — tam tedy postanowiliśmy zagaić sprawę i położyć koniec niecnym językom.

Jakby umyślnie, zebrali się prawie wszyscy z przeciwnej strony, przeczuwali, że się na coś zanosi, bo miny były gęste i zuchwałe. Gdy wszedł Bzowski. zaczęli się podśmiewać i stroić brzydkie grymasy.

— Mości panowie—rzecze on.—Od was to wyszła haniebna kałumnija. uwłaczająca mojej przyszłej małżonce. Tuszę, że wszyscy skomponowaliście ów szpetny paszkwil, ale jest jeden pomiędzy wami. co się nań odważył. Dopóki więc nie wymienicie mi tego nędznika, aby odebrał zasłużoną karę. jesteście wszyscy nিকczemni i wszystkich, jak tu stoicie, wyzywam na Sąd boży. Bić się

będę z każdym na ostre, dopóki tchu w piersi, dopóki kropli krwi w żyłach stanie.

Zrobił się gwar, posypały przekleństwa i obelgi, ale żaden jakoś stanąć się nie pokwapił. bo znali Bzowskiego rękę.

— Dalejże! Czy tylko do obelg zuchwałych, do oszczerstw, do podłości zdolni jesteście? Manr że tu naplwać wam wszystkim w oczy, i otrąbić publicznie, że ani jeden nieznalazł się na dworze królewicza, coby nazwiska człeka był godzien?

— Hola bękarcie! nazwiska królewicza me znieważaj,—porwał się na to Sulerzycki — bo ci dam pro memoria takie, żeć prababka Szafrąncowa się przysni.

— Wychodź—że wywłoko! Dziękując za przypomnienie krwi Szafrąncowej we ranie. Wiesz pewnie, że Szafrąncy bili na śraierć.

— Tak, kradli i rozbijali—odrzekł Sulerzycki. dobywając szabli.—Bądźcież waszmoście świadkami, jakem salwował honor królewicza.

— Swej naprzód oczyść oszczerco.

starli się potężnie. Bzowski był gracz nie lada, ale i tamtemu nie brakło, tylko był gorączka i zapalczywy. Bzowsłti zasię całą uwagę i przytomność skupiał, a patrzył w przeciwnika tak. że go mieszać potrafił — tamtemu znów. jak najprędzej chciało się dobrać do skóry i już nań jechał okrutnym ciosem w głowę — ale kiedy to ale odparuje z dołu, kiedy nie płatnie — odciął mu trzy palce u ręki. jak brzytwą a szabla gdzieś odlecia

ła o dziesięć kroków. Krew się połała strumieniem tak, że rychło omdlał. Potrwożyło to ptaszków wielce a Bzowski z flegmą:

— No czekam was więcej szczekaeze.

Zebrało się w kupę bractwo i nuż radzić między sobą. Od czasu do czasu dolatywały nas takie słowa:

— Pokaleczy nas bestya!

— A mówiłem, że charakternik.

— Nie damy mu rady.

— Tfu! Niech by go wszyscy dyabli wzięli, żebyśmy z wstydem mieli wyjść ztąd. jak zmyci wrzasnął Kokosowski. chłop rosły i pleczysty, wysuwając się z onej czeredy.

— A no pójdz smyku, potańczym.

— Przecie.— odrzekł Bzowski — myślałem, że na tych lichych pazurach poprześcąc trzeba będzie.

— Zapłacisz ty nam za nie. leżeli ci tego gładkiego liczka nie nakarbiję, tom nazwy szlachcica nie godzien.

Trochę nam się zrobiło markotno, na takie zakłęcie. Śnać człek był pewny siebie okrutnie, a zabierał się do sprawy, jakby do półmiska zrazów z kaszą.

Stanęli. Bzowski znów zatopił w przeciwnika swoje błyszczące oczy. i świdrował go niemi na wylot. Szło, jak z płatka. Co który płatnie, to drugi mu jeszcze lepiej odpowie. Patrzyliśmy tak, że nam oddech zamarł w piersiach. Kokos

sowski zaczął już trochę sapać, bo cielska miał na sobio dużo. Bzowski zaś po staremu machał, jak z nut — nareszcie widząc, że coraz więcej się męczy i pot mu prawie oczy zalewa, jak wytnie młyuca. jak go nie dojedzie po gębie, tylko się w tył przegibnął troche, bo inaczej nie wióra na czem byłoby się skończyło. Wydobył chustkę, kazał sobie owiązać ranę i znów się darł do bicia. Leżało mu na sercu, że to się na infamią podał, gdy raa być zwyciężonym, ale go uspokojono, bo bił się po szlachecku prawdziwie, tylko przechwałki były niepotrzebne.

— Czekara na resztę waszmość panów — mówi Bzowski po swojemu, ale to tam tchórz ich oblaźł straszliwie i nie odezwał się już ani jeden, tylko Trzciniński mówi do swoich, ale tak głośno, żeśmy słyszeli:

— Czegóż będziemy oszczędzać tego niecnotę. To braciszkwowie, niechże się między sobą rachują.

Potem odezwał się w głos do Bzowskiego:

— Za zniewagę, jakąś nam tu wyrządził, dopominać się będziemy rachunku — a kalumnii na twoje narzeczoną nie my winni, bośmy tylko powtarzali to. co powiedział, ot ten — i wsł;azał ua Konstantego, który się chyłkiem wynosił — chciano go przytrzyraać, ale się wyniliuąh pognał, jak zając zaułkami.

— Ten? dobrze — rzekł Bzowski. Będzie mu to odmierzono. To, com tu wam wypowiedział, tego nie cofara, bo kto trzyma z potwarca, jest

tak winny, jak i on... i gotówem dowieść tego zawsze i wszędzie.

Nikt się już więcej nie kwapił. My też postali, popatrzali na nich z pogardą i wyszli, jak trymfatorzy.

Sprawa urosła do potężnych rozmiarów, królewicz narobił hałasów, że Bzowski znieważył jego dwór i obciął mu dwóch najdzielniejszych sług. Królowa zażądała pomsty na Kostusiu, jako strasznym oszczercy i wydalenia go raz na zawsze ze dworu. Król kazał marszałkowi rozpatrzyć sprawę i ukarać winnych—ale marszałek znów tak ją prowadzić umiał, że zatarł, zamazał wszystko i że najczarniej wyszedł z niej. jak zwykle Bzowski, jako człowiek niespokojny, gwałtowny i burzyciel; znenawidzony przez królewicza i całą jego bandę.

Kostusia matka schowała i niewypuściła z pod rautucha, czekając dla niego lepszych czasów.

Zdołano nakłonić Króla, że postanowił wyjazd na Litwę z Królową, dworem całym i królewiczem. Uradowało nas to wszystkich, bośmy tem długim siedzeniem w smutku i tarapatach, zda się już zatęchli a spodziewaliśmy się, że ze zmianą miejsca i zdrowie pańskie i humor dobry powrócą.

Jeszcze daleko wcześniej wyjechał był kun

clerz Ossoliński ze Stanisławem Luborairskiim, cześnikiem ciechanowskim na Ukrainę, ho już głuche wieści o buntach kozackich dochodziły.

Ślub Bzowskiego odłożono do powrotu a tymczasem, jak to zwykle bywa. by najplonniejsza plotina, by najłżejsza skaza rzucona na niewieścią cnotę sprawia to. że choć się w nią nie wierzy, ale już jakoś innem okiem spogląda się na oną osobę i myśli sobie: prawda, nie prawda, aleć tam w tem coś być musi — i zaczyna się jakoby śledzić wszystkie jej czym', zaczyna się podejrzewać, dlaczego to ona to zrobiła tak a nie tak— dlaczego powiedziała to i owo— dlaczego tam poszła —z tamtąd wyszła—coś w tém być musi.

Takie to myśli i podejrzewania szarpały Bzowskim, podczas gdyśmy się gotowali do wyjazdu. Chodził on struty strasznie i przybity raz tem. że sprawa jego czysta, jak słońce, miasto go postawić w świetle, ściągnęła nań groźby i wyrzuty a powtóre, jad zazdrości i podejrzeń go palił. Odbywał warty przed drzwiami swej bogdanki, śledził prawie wszystkie jej kroki i życie całe z opowiadań irancuzic. Nie jadł. nie spał a czatował i śledził ustawicznie, aż też razu pewnego złapał to. za czem tak się uganiał.

Był w paziach królowej Rybiński. młode, ładne chłopię a bystre i dowcipne. Używano go do rozmaitych posćłek. z których .się zawsze gracko wywijał, krzezwały go Francuzki Postilion de l'amour. Tego tedy poczytlionia złapał Bzo

Wski. jak wychodził ze drzwi panny de la Mariniere—i jak nim zaczął trząść, tak o mało jelit nie wytrząsł — aleć jelita zostały a wyleciała z niego karteczka. Co? Zkąd? Od kogo? Do kogo? Rendezvous daje panna Kugenia. Komu? Niema adresu. Powiesz—albo cię tu na haku powieszę!

Królewiczowi. Bzowski odchodził od siebie— ale my patrzący z boku a chłodno na to wszystko, co innego w tem zobaczyli. Chłopak z filuterną miną. chciał się już wykręcić i czmychnąć ale go złapał Żabicki.

— Ja tego pazia nie puszcze — rzecze.— To podła mistyfikacya. Masz przy sobie listy panny Eugenii?

— Mam.

— Porównamy.

I porównanie wypadło naturalnie na korzyść Francuzki. Dawaj brać na pytki małego Rybińskiego. Długo się hultaj trzymał, ale wyśpiewał piawdę.

Widząc zazdrość i podejrzewania Bzowskiego, postanowili Kazimierczyki urządzić mu kabałę—jakoż jej dokonali dosyc zręcznie, ale dzięki Żabickiemu w łeb wzięła. Obmyślił cały plan i urządził Sulerzycki.

— A toż chce całej łapy się pozbyć — zawołał Bzowski i już się gotował ku niemu, aleśmy go powstrzymali, dawszy mn przestroge, że jak kto złego szuka, to go wreszcie znaleźć musi.

Przestał swarów i podejrzeń a począł miłować coraz goręcej. Panna znów, zda się życie zań gotowa była poświęcić, aliści inaczej obróciło się wszystko.

Podróż nasza miała trwać długo — wybieraliśmy się z całym taborem przeróżnych rzeczy i tłomoków. osobliwie fraszek kobiecych była moc wielka. Każdaby chciała bodaj pokój swej zabrać cały—a co krętaniny. co hałasu — istna wieża Babel,

łechało się do dzikich puszczy litewskich, o których Prancuzlii rozpowiadały cuda. jakoby tam ludzie w skórach zwierzęcych chodzili i w lasach tylko żyli żołądziami.

Każda chciała mieć palladyna, coby ją bronił od tych zwierząt, więc też słodkie oczy do nas słały a myśmy nie gardzili i lgnęli do nich —jednak dziwnie markotni i jakby potrwożeni wyjeżdżaliśmy z Warszawy, choć śraiała nam się ta podróż bardzo. Niepokój nas trapił jakiś — spoglądaliśmy po kątach, czyśmy czegoś nie zostawili.

Król mając wsiadać do kolasy, potknął się na progu i stłukł sobie dobrze nogę. co za zły omen poczytano. Smutny był. Gdyśmy przejechali Wisłę, kazał się zatrzymać, popatrzał zdała na zamek i łez parę spadło mu po policzkach. Było to ostatnie pożegnanie synowi... wszystkiemu.

Zatrzymywaliśmy się wszędzie bardzo krótko. tyle aby konie zmienić i posiłek przyjąć. Choć

Królowa rada była wszędzie zabawić, bo to w każdym miejscu witano nas uroczyście i w processyach solennych, ale król nie miał do tego serca. Pędziliśmy też na łeb na szyję.

Kazimierczyki trzymali się zdała od nas, nauczeni nie mieli ochoty kłaść palea między drzewi.

Nimeśmy dojechali do Grodna. Królowi odjęło rękę prawą tak. że w Grodnie gdzieśmy się zatrzymali dni kilka, dla nawału spraw różnych lewą musiał podpisywać listy i dyplomata.

Do Wilna wjechaliśmy incognito. Król nie chciał żadnych ostentacyj. co królowę oburzyło okrutnie. Zaraz też zabrał się do spraw i sądów, a ona kazała się obwozić po kościołach. I tak nam zeszedł wielki tydzień. Po świętach dawaną była komedia w zamku, która się ledwo w tragedia nie zmieniła, bo oto naprzód pokłócili się na niej srodze o stołek, starosta mozyrski Chodkiewicz z Wołłowiczem pisarzem koronnym. Besztali się najobrzydliwszymi wyrazy w obec Króla i omal nie sięgnęli do szabel, król wstał — rozruch się zrobił w sali a wtem królowa zasłała. gdy jedni ratować królowę, drudzy prowadzić z waśnionych i błagać króla spieszą, od drzwi rozlega się głos pełen trwogi i jakby rozpaczy: „do króla mnie prowadźcie, na miłosierdzie Boga, do króla!”

Istny sądny dzień się zrobił. Jedni krzyczą: królowa umarła! Drudzy; Ratujcie króla! Inni wołają: Rebelja! Panowie króla mordują. Ścisk,

wrzask! Tam duszą człowieka w ciżbie, ówdzie znowu słyhać krzyki niewieście. Jak żyję nie byłem nigdy w takim piekle.

Wtóra podkanclerzy Sapiecha krzyknie potężnym głosem:

— Cicho! bo się tu podusim i potratujem chyba.

Przycichło.

— Kto tu do króla i z czym?

Wywleczono owego człowieka zduszonego, zmiętego, ledwie już mogącego raówiów. Był to poseł księcia łanusza Hadziwilla Syciński. podstarości upitski.

Podano list królowi, po którego przeczytaniu zadrżał, potem go podał stojącemu przy sobie Albrechtowi Badziwiłtowi kanclerzowi litewskiemu, a nim z rąk do rąk poszedł, już wiedziano w izbie od posła.
Chmielnicki złączony z tatarstwem. podniósł bunt. Wtargnął na Ukrainę i zadał nam klęskę pod Żołtymi wodami.
Chłoptwo wszystko chwytą za broń. Zginęli Stefan Potocki. Chreptowicz. Chełmski. Belchocki. Malicki.
Dymitrowski, w niewoli Sapiecha. Czarniecki. Szomberg.
Struchleli. Cisza się zrobiła straszna. Wszyscy się zwrócili ku królowi, który stał oparty o krzesło, więcej do trupa podobny, niż do żyjącego człowieka.
Wydano rozkazy na jutro do wyjazdu.

Wracać mieliśmy do Warszawy, gdzie król zebrał wojsko, na Ukrainę miał ruszyć.
Jechali z nami podkanclerzy Sapiecha, obaj podkomorzowie, podskarbi litewski Tryzna i biskup chełmiński Tstrokoński.
Królowę trzęsła febra. Król zaniemógł okrutnie, tak, że w Mereczu trzeba się było zatrzymać.
Nie chciano zajechać do starostwa, a w zamku nie było miejsca. Króla ulokowano w rynku, w domu kupca Szymona, a królowa z królewiczem pojechała do Grodna.
Na drugi dzień zrobiło mu się lepiej. Kazał pisać listy do wojska.
Po obiedzie w odkrytym powozie, wybrał się z Niewiarowskim ku Niemorojcom.
Jechaliśmy za nim z Żabickim, Rylskim i Platembergiem.
Dzień był piękny, ciepły, wiosenny.
Pragnął zapolować.
Niewiarowski, że to miał w pogotowiu swoich ludzi wszędzie, podbiegł ku Niemorojcom, inni rozbiegli się po lesie, ja zostałem przy nim.
Nie dobrze mi wróżyły te jego chęci, Patrzyłem się, jak na chorego w malignie.
Chodził po lesie, krzepił się, jak gdyby nie dając zawładnąć chorobie, która w nim nurtowała. Wreszcie zmęczony siadł na kłodzie drzewa...
Z owego siedzenia na wzgórkę rozpościerał się cudny widok na Niemen, płynący siną wstęgą.

Słońce miało się ku zachodowi — chłodny wiatr powiał. Podszedłem ku niemu, chcąc spytać, czy mu nie za chłodno, ale stanąłem, jak wryty. Król płakał.
Wpatrzony w dal oświeconą tem słońcem purpurowem. które jak gdyby go żegnało, słał myśli swoje gdzieś daleko na drugi brzeg szarej Wisły
Chwili tej nigdy nie zapomnę.
Wziął mnie żal i smutek tak straszny, że padłem mu do nóg, oblewając je łzami,
— Panie Najmiłościwszy! nie dajcie żalości brać góry nad sobą. Zlitujcie się. Wróćmy lepiej do domu. Wieczór chłodny.
— Do domu? Dom mój z paru desek... I teraz maż ona przyjść... — teraz właśnie... kiedy wybiła godzina walki za cześć, za swobodę człowieka przeciw...
Nie dokończył, ale się pmiwał za piersi, jak gdyby w nich uczył ból silny.
— Oh jeszcze, jeszcze mi pozwól Boże... niech nie umrę z przekleństwem... Niech zostanie po mnie pamięć sławna i poczciwa...
— Bóg miłosierny, da wam jeszcze dożyć dni blasku i potęgi.
A wtem jak gdyby na urąganie moim słowom, padła strzała i przebiła płaszcz królewia.
Iak ona padła i kto ją wypuścił, to do dziś dnia nie wiadomo. Urosła z tego w przyszłości dziwna powieść.

Przybiegł Niewiarowski, na krzyk mój zleciało się wszystko.

Pytano, badano—nikt nie miał z sobą łuku.

Król siedział wciąż martwy prawie i bezprzytomny.

Słońce zaszło.

Powstał, wyprostował się i wskazał ręką w dał na widnokrąg.

— Patrz tam — widzisz ją?

— Kogo miłościwy panie?

— Tę postać niewieścią w krwawych szatach, widziałem ją raz już przed śmiercią Zygmunta.

Poprowadziliśmy go do powozu, wsiadł milczący. Potem kazał szybko jechać. Stangret bat się, ho droga była ciężka, najeżona korzeniami, pełna wybojów. Zrzucił go z kozła, jak piórko, sam porwał lejce i tak pędził bez upamiętania po onych wybojach, kamieniach, krzakach, zagonach.

Byliśmy w rozpacz, bo nic nasze prośby i błagania nie pomogły. Poodrzynaliśmy konie i powskakiwali na nie. pędząc za nim i przed nim. Nie widział nas — nie słyszał. Gnał, jak gdyby chciał uciec przed widmem śmierci, co go ścigało wszędzie.

Padły konie tuż przed domem a króla wynieśliśmy z powozu, zmienionym strasznie.

Po północy przyszła pleura — Kraft pojechał z królową, był tylko drugi królewski lekarz Littow. Ten zażądał antimonium, lecz go nie było

w aptece podróżnej królewskiej, dopiero go znaleziono w kramiku cerulika.

Po lekarstwie gorzej być poczęło, a doktor się tłumaczył, że było źle przyrządzone.

Na drugi dzień puszczono mu krew. po której dostał czkawki tak wielkiej, że niczem uhamować jej nie można było.

Zaczęto go ogrzewać — czkawka ustała, ale malingna sroga przyszła.

Zrywa! się i chciał biedz do syna. potem wołał:

— Krew!... krew!... co tu krwi!... któż ją zażegna... kto uhamuje...

W chwili przytomności rzekł:

— Więc niema już nikogo, coby mi pomógł? A na to Sapiecha.

— W Bogu miłościwy królu, otucha tylko. Przyjął sakramenta, litore nni udzielił ksiądz

Szenhof jezuita.

Popatrzył po izbie... skinął na mnie. kazał otworzyć szkatułę podróżną... otworzyłem... wyjął z niej testament i oddał biskupowi Pstrokońskiemu.

Mówił coraz ciszej i .słabiej.

Podano mu gromnicę — pochwycił ją silnie i zacisnął w rękach.

Drugie pianie koguta się odezwało.

Wzdrygnął się.

Kłęczałem przy wezłowi, patrząc w tę twarz

ukochaną... położył rękę na mojej głowie i wyszeptał:
— Powiedz mu...
Ale nie dokończył... zaczęło się konanie. Kolor trupi powlekał twarz.
Ryknęliśmy wszyscy płaczem wielkim. Król już nie żył.
A stało się to dnia Maja r.
KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

GRZECHY KRÓLEWSKIE.

GRZECHY KRÓLEWSKIE.
POWIEŚĆ HISTORYCZNA
WINCENTEGO RAPACKIEGO.
TOM II.
WARSZAWA.
NAKLAD MAURYCEGO OREGELBRANDA.

Äîçâîëa*îî ??îçó?î?
Âa`??a`âa`, äíy" Ña*ío`y"á?y" a~îää`.

KSIĘGA CZWARTA.

„Po nas niech świat się wali” — wyrzekł król w chwili upadku i rozpaczy—i oto w istocie walił się. Rozpadała się w gruzy potęga Rzeczypospolitej, dźwignięta niegdyś ramieniem wielkich mężów w narodzie. Padało wszystko, co świeciło dotąd cnotą, rozumem, wiarą, miłością — a zostawały zgręzy marne, pomiot lichy, który ni w myślach, ni w czynach, nie dorastał setnej części onych kolosów. Powstawały zkadś. z ciemnych zakątów dusz ludzkich, zbrodnie i występki, o jakich nic. słyszały dawne wieki—i rosło to wszystko bujnie, krzewiło się niby na gruncie umierzwionym ręką szatana.

Oh, roku straszny! pamiętać będą o tobie, najdalsze pokolenia. Dziadowie wnukom, wnukowie prawnukom opowiadać będą, jak pękały ogniwa onego łańcucha, co go niegdyś miłość narodów spoila, a niecne ręce pychy i swywoli szatańskiej porwały.
Ty roku będziesz stal, jak słup graniczny w przestrzeni czasów, odkąd zło, co ojczyznę nasze trapi się poczęło, i będą od ciebie ludzie po

czynać rachubę klęsk i piekła — tak, jak po za tobą, wstecz będą wspominać czasy ubłogosławienia i szczęśliwości. Ojczyzna nasza podniesiona powagą królów wielkich wzbudzająca cześć i postrach w sąsiadach, spadać będzie na żebraczkę, na służebnicę niecnych zabiegów a frymarków.

Wyrodni synowi sprzedawać ją będą, albo szarpać jej wnętrzności, w chwili choroby i niemocy.

Ukraina płynęła we krwi. Świeciła łuną pożarów. Kto ją zażęgł? Kto rozdmuchał z małej iskiarki ten wielki płomień? Kto uzuchwalił tę czerń? Kto dał miecz szalonemu w ręce? Król! król! wołano wszędzie. To królewskie dzieło! i urągano mu, przekinano zmarłego, bo już na nic innego, jak na wymysły a przekleństwa ono plemię zdobyć się nie mogło.

Kie jednemu, robak w duszy wiercił i przypominał zbrodnie prywaty, ucisków, prześladowań, ale taki krzyczał najwięcej, aby zagłuszyć sumienie.

Zawinił król, ale ileż zawinili ci, co mu okoniem stawali w jego drodze, co niszczyli i udaremniiali wszystkie jego zamysły, co zagrzeźli w prywacie i wygodzie własnej, nie chcieli ani szczypty uronić dla ogólnego dobra.

Niech Bóg najwyższy będzie sędzią naszym!

Ja — com patrzył na to wszystko, tyle tylko rzec moge: gdyby zamysł dźwignięcia kozactwa przez turecką wojnę był dojrzał wcześniej, kiedy

u niego zdrowie i siły były po temu, byłby go przywiódł z chwałą, ale przyszedł zapóźno. Choroba szarpała — a obojgu —bo i jej, i fali ludzkiej złości i głupocie, jednemu podolać było trudno. Ustąpił w mniemaniu, że spełnia tę ofiarę dla syna, a on tylko uzuchwalił zło, a w kozactwie zażęgł burzę, której mu już Bóg nie dozwolił przytłumić.

Więść o śmierci królewskiej rozchodziła się powoli, Z zacisznego Merecza, wśród odwiecznych puszczy i borów

litewskich, kędy leżał trup jego, dostała się najprzód do Girodna — tam przebywała królowa chora ze swoim dworem.

Pierwszym, co przybieżał był Bzowski. Zjawił się już na samem świtaniu, w godzinę po śmierci królewskiej.

Wpadł do izby, popatrzył odedrzwia na trupa, potem runął przy łożu, zawodząc płaczem, bo też nikogo boleśniej nie dotykało to sieroctwo, jak jego właśnie.

Ledwieśmy go zdołali oderwać od zwłok. Panowie litewscy, których przybyło teraz kilku, mianowicie: Aleksander Radziwiłł marszałek wielki litewski. Tyszkiewicz. Sapieha. Tryzna podziwiali tę wielką boleść w młodzieńcu i pytali, kto on taki. a gdy im powiedziano, że to syn nieboszczyka okazywali dlań żal szczery i współczucie.

Wyprowadziłem go wreszcie z izby.

Począł rozpytywać. Opowiadałem mu jak

król kończył, a gdym mu powiedział, że ostatnia myśl jego była dla niego i że Bóg nie pozwolił mu jej wyjawić, wpadł w rozpacz taką, że był w trwodze, iż sobie życie odbierze.

— I mnie nie było przy nim! Mnie, który wszystką mą krew byłbym wysączył dlań do kropelki! który żyłem, myśląc o nim tylko na każdym miejscu i o każdej dnia porze! Mnie tu nie było! Byłem tam, na usługach tych bezdusznych Francuzic. Ha! jakże nędznie, pogardliwie jestem stworzeniem, że zamiast jemu służyć, zdolen byłem tylko dworować nikczemnie, pawi ogon nosząc za temi gęśmi. To kara, kara niebios dla mnie, że nie umiał poszanować miejsca przy jego boku. jakie mi los tak świetnie przeznaczył, i pychą moją nikczemną, zaraziłem serce. Oh, moje marzenia, moje sny złote — zdruzgotane, zdeptane, rozbite na wieki. Oh, mój królu, mój ojczyźnie już nie posłyszysz o mnie, już nie zobaczysz tego syna, który sobie zawsze obiecywał, że duma twoje serce napełniać będzie, że cię zmusi, abyś się nim szczylił przed światem! Że zetrze z siebie piętno urodzenia i przez cnoty dosięże głów najszczytniejszych. Oh, dołoję moja okrutna! Co myślałem, com chciałem czynić wielkiego i pięknego na świecie — było tylko dla niego... przez niego. Niech mnie cały świat potępi, mawiałem, niech wszyscy znienawidzą—mało dbam—byle on mną nie wzgardził.

— I miłował cię zawsze.

— A z kądże wiesz, że to, co ci chciał powiedzieć do mnie skierowane było? Z kąd wiesz o tem Krzysztofie?

— Odgadłem to mój bracie. Są chwile takie, które więcej mówią, niż słowa. Owo położenie dłoni jego na mojej głowie, to nagroda zato, czem byłem dla ciebie—bo nie wiesz—nie mówiłem ci nigdy, że wielokroć rozmawiał ze mną o tobie i wiedział, żeśmy przyjaciółmi byli. Owo więc: powiedz mu" — było dla ciebie i zamiast rozpaczać, możesz być dumny z tego.

— Rozpaczać nie przestanę do końca życia mojego, a dumny będę wtenczas, kiedy się godnym stanę jego pamięci.

— Dobrze mój Szymonie, Oplakiwać go będziemy razem przez całe życie, a teraz myślimy żywych i o sobie. Masz dokument na starostwo urzędowskie?

— Nie mam.

— A na ekonomię Falęcicką?

— Nie mam.

— Toż nic nie masz—mój bracie.

— Mniejsza o to. Szczodrość łask jego brałem tylko zawsze, jako dowód jego miłości pamięci a nie nagrodę moich zasług dla niego, które w moich oczach nie miały żadnej ceny. Bo i cóż to ja zrobiłem dotychczas, co by godne było nagrody? Nic. Toż najnędzniejszy pachołek tyleżby zrobić potrafił. Niech mi odbiorą to wszyst

ko, nie dbam o to. Nie ja fortunę, ale fortuna gonić ranie będzie ze swoim rogiem obfitym.

— A twojaż matka?

— Ma swoje Jurkowice.

— A narzeczona?

— Weźmie mnie takim, jakim jestem.

— Daj Boże.

— Nie mów mi o tem wszystkiemu człowieku, jeżeli Boga kochasz. Czyż to chwila po temu? Co mnie dziś obchodzi może mamona świata tego? Mówmy raczej o sprawach wielkich, które się rozgrywać będą. Oh, będą niewątpliwie. On tara. z poza grobu błogosławić im będzie, bo to jego dzieło.

— To? to dzieło szatańskie! Czyż nie słyszał, że Chmielnicki Tatarów w pomoc wezwał?

— Niech będzie—Tatarów wygnamy, gdy nam się staną niepotrzebni, a panom rogów przytrzem i kozaczyzna wolnym rycerstwem stanie.

— I któż tego dokona?

— Chmielnicki. To człek wielki, choć niepozorny taki.

— Mówisz mi rzeczy, którychem pojąć niezdolny. Że panowie nasi zawinili, depcząc kozaków, to prawda: że udaremniiali wszystkie królewskie wielkie chęci — tośmy widzieli; ależ ci panowie toć także krew nasza, to przewodnicy, to stróżowie naszych praw — i gdy oni ginąć będą, będziemy i my ginąć razem z niemi, boć nie przejdziem na stronę Chmielnickiego przeciw nim.

A wreszcie gdzie granica? kto ją przeprowadzi, odkąd się pan zaczyna? Myśmy tacy panowie, jak i oni. Czyż szlachcic na zagrodzie, nie równy wojewodzie? Czyż nie ma takich samych praw i wolności? Nie podnosisz głosu na sejmie razem z wojewodą lub kasztelanem? a gdy przyjdą wici, aby iść przeciw Kozakom i Tatarom, czyż nie pójdzie razem z Koniecpolskim i Wiśniowiecki m?

— Myśmy p.inami. jak oni! Równość szlachecka! Przeszarzałe to już rzeczy mój bracie. Tak może bywało za Jagiellonów. Dziś są panowie i słudzy. Dziś jest oligarchija i jej jnrgieltuicy. Dziś są królewężta, jak powiada Chmielnicki i tłum głupi, który tam idzie, gdzie oni mu rozkażą.

Dziwnie mi brzmiały w uszach jego słowa, ale dziwniejsze i słowa, i czyny czekały ranie jeszcze w przyszłości. Tymczasem z Ukrainy nadchodziły coraz straszliwsze wieści. Chmielnicki ukradł Barabaszeńce przywileje królewskie na hetmaństwo. i sam się hetmanem ogłosił a Barabasza zabił. O Ossolińskim kanclerzu i Lubowidzkim. którzy wyjechali od kilku miesięcy, nie było słyhać—gadano, że zabici od Kozaków.

Królowa ze swoim dworem, dopiero na trzeci dzień przywlekła się do Mereczu. Smutno nam było patrzeć na te twarze obojętne, na których nic, krom zwyczajnej ciekawości czytać nie mo

głęś. które śmierć królewska obchodziła o tyle tylko, o ile ona na ich byt wpływać mogła. Na królowej zamiast jakiegoś żalu odbiło się rozdrażnienie i złość jakaś. Łajała marszałka, łajała sługi i cały swej fraucymer, że się nie miała gdzie pomieścić.

Była ona dziś królową bez korony, zostawiona na łasce Rzeczypospolitej, która sama jeszcze nie wiedziała, co z nią pocnie. Wracać do Francyi, jej się nie śmiało, a Bogu tylko wiadomo, jakiego króla Polsce dadzą losy.

Mieścina dotąd licha, nabrała gwaru i życia. Poczęli się coraz gęściej zjeżdżać panowie Litwa. Sług i koni nie było gdzie pomieścić. jęczały dzwony bez ustanku, roznosząc dźwięki do najdalszych puszc litewskich. Płakały bory, lasy i lud biedny, który napływał z okolicy całej, żałując dobrego pana, co zawsze o doli jego pamiętał.

Starostwo stało zdala na wzgórk, ciche, opuszczone, bo jego dostojne państwo zabawiało się w Warszawie.

Wspomniałem dawne niegdyś czasy i gorżkom się zadumał, W tym samym Mereczu, gdzie bywał tak szczęśliwy, gdzie jego każdy przyjazd, świecił się radością, gdzie zrzuciwszy ciężar korony, oddawał się uciechom nie zbyt godziwym, ale gdzie otarł tyle łez niedoli ludzkiej — w tym samym Mereczu, biednemu królowi umrzeć przyszło. Ja zaś, co się w nim urodziłem, począłem

go przeklinać dziś z śmiercią królewską, nigdy do niego nie wracać i dotrzymałem słowa. Wieś moją dziedziczną Szczcin mały vulgo Szczucinek, w powiecie Lidzkim, będącą w dzierżawie, sprzedałem i postanowiłem gdzieindziej obrać sobie siedzibę.

Nadeszły wreszcie listy z Korony od prymasa. Kazano nam ciało w kondukcie pogrzebowym przeprowadzić do Grodna,

Szły tłumy ludzi, których szereg na pół mili blisko długi, postępował smutnie lasami za trumną królewską — a one lasy śmiały się zieleni i szczebiotem ptactwa. Niekiedy zwierz spłoszony, przesunął się zdala a widząc, że go nikt nie ściga, popatrzał zdziwiony na te tłumy w milczeniu takim idące. Dnie bywały piękne a nawet dzisiejszy parny i gorący, zapowiadał burzę blizką.

Na pół drogi spotkał nas orszak orężnych mężów na koniach i zagroził nam pochód. jeden z nich jadący na czele wstrzymał kondukt, zsiadł z konia a za nim reszta towarzyszy — przyklękli przed zwłokami, odmówiwszy krótkie requiem. Potem powstawszy ten, co ich prowadził, przemówił głosem wielkim:

— Ty w trumnie Władysławie a naród ginie. Nie ma Polska króla, nie ma hetmanów, nie ma wojska. Zginęło wszystko, albo poszło w jassy

pod Korsuniem. Czy ty to słyszysz królu? Bóg nas opuścił, za nasze nieprawości wielkie. Ginie Polska wczoraj jeszcze szczęśliwa, gdy jej świeciło słońce twojego panowania. I czemuś nam zmarł tak prędko? jedno twoje skinienie, słowo jedno byłoby powstrzymało pożar, który nas chłonie. Bóg tale chciał, niech będzie imię jego pochwalone. Módl się za nas do ojca przedwiecznego w niebiosach, bośmy zgrzeszyli Jemu i tobie zgrzeszyli królu!

Potem jak gdyby nim co wstrząsło gwałtownie, rozdarł na sobie odzież i z wzburzeniem wielkim mówił:

— Niech tysiące przekleństw Irati tych, co uzbroili bratobójcze ręce. Niech nasienie ich zaginie wiecznie. Niech przepadną! Biorę oto garść ziemi w usta, jako prawdą jest to, ca wygłaszam.

Mówił, jak gdyby pijany rozpaczą. Zdało nam się, że trup w trumnie się obruszył na te gromy z ust jego.

Był to pan Strzemeski, jadący z hufcem ochotnika na Ukrainę. W Białym stoku dowiedział się o śmierci królewskiej i jechał do Merecza, pożegnać się z umarłym, nie przeczuwając, że się z nim zobaczy niedługo na innym świecie.

Ody ukończył, zerwała się burza dnia skwarne. Wicher zadał gwałtowny, łamiąc i wywracając drzewa tak, że jedno z nich padło na trumnę. Ozwały się pioruny. Cały tłum przypadł

na kolana, zawodząc hymn: Święty Boże! jęczało wszystko: Indzie, drzewa, wicher, gromy. Kapela godna iście królewskiego pogrzebu.

Przeleciała wreszcie po nati naszemi głowy, ale czekała nas druga równie straszna w wnętrzach ludzkich, bo w miarę gdyśmy się; posuwali ku Grodnu, byliśmy widzami rzeczy niepojętych.

Tłumy wozów, pieszych, konnych to do miasta, to od miasta — gońce pędzący w różne strony z wieściami, od których nam się włosy jeżyły na głowie.

W mieście rozruch większy jeszcze.

Owdzie jakiś szlachcic; w podartej odzieży, zbroczony krwią... W kilku dniach setki mil przebył, opowiada kłęski nasze. Hetman wielki Potocki i polny Kalinowski. Odrzywolski. Denhof, Bieganowski, Sieniawski. Uliński. Bałaban. Chmielecki w jassyrze. Zginęła cała dragonija nasza. Kozactwo rejestrowe, hufce pańskie — przeszło wszystko do wroga.

Miasta i wsie w płomieniach.

Wszystka szlachta ucieka. Opustoszały Połonne. Zasław, Korzec.

Chmielą liczone na ..

Ordy z Tuchajbejem na ..

W dobrach księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, zbiegło od pługa ..

W dobrach Kalinowskiego ..

Zamek Nesterwar. gdzie się schroniła szlachta z bogactwami, zrabowany i w pień wycięty.

Wszystko, co żyje podało tył. a chłopci poddani śmieją się i idą do wojsk kozackich, chłopskich lub rozbójniczych. Strach i rozpacz ludzi tak wielkie, że nie zważają na orszak pogrzebu królewskiego i nie zdejmują czapek. Zastaliśmy w mieście Ossolińskiego, złożonego chorobą. Wracał z Ukrainy z smutnymi wieściami. Gdy się dowiedział o śmierci królewskiej, stracił władzę w rękach i w nogach—martwym wniesiono go do domu. Złorzeczenia, przekleństwa pamięci króla. Płacz matek, sióstr, żon, krewnych i powinowatych. Wszystkie listy i uniwersały prymasa, zaczynały się od słów: Zginęliśmy! Zginęliśmy, powtarzały wszystkie usta, W Białocerkwi rozsiadł się Chmiel zwycięzca z Tuchajbejem, bratem swoim najmilejszym i pisał do króla pokorne listy, nie wiedząc jeszcze o jego śmierci. Słał postów i żądał układow. Tymczasem książę Jeremiasz Wiśniowiecki, Palejem przezwan, wbijał na pal lud ruski i palił z jednej, a Krzywonos obcinał ręce i mordował z drugiej strony. Wśród nich uwijał się Kisiel wojewoda Braclawski, z oliwną gałązką zgody. Niestałoby tu Jeremiaszowego lamentu, ażeby wypowiedzieć wszystko — a był to dopiero początek. Rozłokowani w zamku grodzieńskim, wygląda

liśmy niecierpliwie chwili, gdy nas nowy rozkaz prymasa do Warszawy powoła. Chcieliśmy uciec przed tą rozpaczą, co nam ciągle do oczu i do uszu się ciskała. Z początku ona to odpowiadała temu żalowi, co nam zalewa] duszę, aleć później stała nam się nieznośną tak, że zawrót głowy się nas imał. Odprawiwszy solenne modły przy zwłokach króla, wyruszyliśmy nareszcie z niemi do Warszawy. Tym gościńcem, któryśmy przebiegali tylekroć z ukochanym panem naszym, weseli, szczęśliwi — przy radosnych wiwatach uszczęśliwionego ludu — wleliśmy się dziś zrozpaczeni i przybici wśród nieznośnego skwaru i posuchy, po piaskach, spotykając znajome twarze niegdyś nam się śmiejące. Francuzki patrzyły zdumione na ten żal głęboki, co go lud cały odczuwał. U nich to: Le Boi est mori, vive le Roi! — a nam umierał ojciec i dobroczyńca. Trzeba im to było długo tłumaczyć, ale i tak nie pojęły. Dla nich to było po prostu zmianą, jak gdyby jednej libery i na drugą, dla nas stratą, której dość oplakiwać nie mogliśmy. Upływały nieraz lata całe a naród plakał po dobrych królach swoich i gorące modły słał do niebios. Dla nas także śmierć królewska była plagą straszną bezkrólewia, i straszniejszą jeszcze elekcyjnych zabiegów — a dopieroż dzisiejsza oświecona pożoga rebelii kozackiej.

Zaczęliśmy też chłódnąć w swych afektach do tych srok malowanych, które nie umiały poszanować boleści naszej. Bzowski jechał przy swojej bogdancie ponury i przybity — na jej szczebiot odpowiadał półgębkiem, albo i nic wcale. W klasztorze w Supraślu przyszło zanoć.

Dostała nam się też sama cela z Bzowskim, co przed trzema laty. Taka sama noc była księżycowa. Gdyśmy weszli, znaleźliśmy wszystko, jak było ongi. Popatrzyliśmy na siebie, bo to nam przypomniało dni szczęśliwe. Jam się spłakał. Bzowski stanął na środku izby i długo myślał. Nareszcie zbliżył się do okna, otworzył je i światło. Blask księżycy oblał nas srebrzystym światłem, a on rzekł, patrząc w niebo:

— Nie darmo nas tu losy razem przyniosły. To tam, w gwiazdach było napisane. Pamiętasz rozmowę naszą?

— Mógłbym ci ją przypomnieć co do słowa.

— Pamiętasz ten poranek, gdyśmy w okolo klasztoru ujrzeni chłopstwo biedne, ze skargami do króla.

— Jakżebym mógł to zapomnieć?

— A to jego uradowanie, gdy mu podałem spis owych zażaleń. Pocałował ramię w głowę, popatrzał zdziwiony, że tak dobrze w myślach mu czytałem i wyrzekł: Dobrze mi śniadanie zgotował synku. Te słowa brzmią mi dotąd w uszach, a ten pocałunek czuję jeszcze na czole.

Nigdy już nie byłem taki szczęśliwy, jak wówczas, bo cała miłość jego posiadał.

— Tak klęski ludu — to było co go najwięcej bolało i zawsze im z pomocą spieszył.

— Otoż ja chcę być spadkobiercą jego wielkiego ducha — ja chcę dalej prowadzić jego dzieło.

— Ty?

— Tak, ja będę walczył za nędzę i niewolę maluczkich. Jak? nie wiem jeszcze — ale ci przysięgam, że życie moje dla tego poświęcę. I to będzie jedyny, wielki cel mojego życia.

Słuchałem tego, jak się słucha wielu rzeczy, co to brzmią pięknie, ale nie mają rzetelnej podstawy — jak to mówią: jednym uchem.

Chodził długo po izbie — niekiedy wybuchał głośnym śmiechem gorzkości — to znowu wykrzykiwał do siebie i przytakiwał, jak gdyby własnym myśłem. Zadzwoniono w kościele na pacierze za dusze zmarłe — ukląknął — a on wciąż chodził i myślał i rozmawiał z sobą — wreszcie stanowiący przedemną i wzięwszy mnie za ramię, wyrzekł uroczystym głosem:

— Słuchaj Krzysztofie — kiedy pamiętasz rozmowę naszą lat temu trzy w tej celi; to pamiętasz, co ci mówiłem o moich marzeniach sławy i wielkości. Czuję, że Bóg mi wyznaczył niepoślednią drogę na świecie, bo inaczej pocóżbym o tem myślał ciągle, pocóżbym cierpiał te wieczne pragnienie za czemś nieokreślonym, niepochwyt

nem. Czemu bym nie miał zadowolnić się tem, co mi dały losy na równi z innymi? Wszakże już wszystkiego zakosztowałem, co człowiekowi ślepa fortuna dać może. Wszakże Bóg nie poskąpił mi daru. ujmowania sobie serc ludzkich — B mógłbym osiąść i dobra, i zaszczyty — mógłbym B dumnie nosić głowę i pomiatać niższymi, jak to robią inni — a jednakże w głębi duszy, czułem zawsze pogardę dla tych ziemskich darów i rozkoszy, bo we ramię palił się płomień, którego niczem zgasić nie mogłem — płomień miłości wielkiej, poświęcenia dla dobra wszystkich. Słuchaj — nazwij to czem chcesz — szaleństwem, obłądem, chęcią błyszczenia próżną i rozgłosu — ale dałbym się przybić na krzyżu, po trzykroć dla zdobycia, jakiejś prawdy ludzkiej, aniżeli używać wszystkich bogactw i rozkoszy, jakie tylko ziemia dać może. Dotąd jednak w duszy mej, nie było tego światła, co to jasno prowadzi do portu, do którego bym dążył — teraz tu, w tyra klasztorze, kiedy mi stanęły w myśli wszystkie obrazy minionej przeszłości, kiedy widzę jasno, czego to chciał dokonać ten człowiek wielki, co nam odszedł tak niespodzianie — dziś wiem, gdzie moja droga, pójdę nią choćby po stosach trupów i krwi strugach.

Pierwszy to raz strach jakiś mną owiał przed tym człowiekiem, jak gdyby przecucie jakiejś wielkiej winy, którą miał spełnić — iw tejże samej chwili, przyszedł mi na myśl szkaplerz, który

mu zawiesił niegdyś Soboniewski. z onym Dawidowem przekleństwom—spytałem go też:

— Słuchaj Szymonie, nosisz ty on szkaplerz na sobie, co ci go dał pustelnik z grodziskiej grotty?

— Oto jest! Zkąd ci to przyszło? Lękasz się o mnie? Nie obawiaj się zdrajcą nigdy nie będę. Służby moje ojczyźnie tylko poświęcę — a służyć jej będę tak, jak jej nikt dotąd nie służył. Nie tylko siłą ramienia mego. ale wszystkimi władzami mej duszy i serca. Poświęcę jej wszystkie dni moje i uciechy i rozkosze młodości. Wszystko, wszystko to, co ludzie na tym świecie mianem szczęścia zowią, aż do zaparcia się... aż do...

Wtem coś straszego się w nim stało — stanął, jak wryty, wykrzyknął przeraźliwie, oczy wlepił w jeden punkt izby, włosy mu się dębem podniosły na głowie; rozumiałem, że wielkiej choroby dostał.

— Patrz tam... widzisz?

— Co? Kogo, nieszczęsny?

— Król! król! o Boże! on to! Dlaczegoż talia groźną ta twarz, niegdyś tak dobrotliwa dla mnie. O Boże w niebiesiach

—on mi grozi... On zda się napominać...

Drżał, jak w febrze — potem upadł zemglony prawie. Zapaliłem światło, bośmy dotąd przy jasnym blasku księżyca siedzieli w izbie— oblałem go zimną wodą—przyszedł do siebie, lecz był słaby i bezwładny.

Nie śmiałem go pytać, co się z nim działo, bo sądziłem, że zapomniał, że to chwilowy obłąd — a on do mnie;

— Tu był. Widziałem go. jak ciebie widzę. Oh Boże! znać zgrzeszyłem ciężko przeciw niemu. Pójdź Krzysztofie do kościoła — przepędzimy resztę nocy na modlitwie przy jego trumnie.

W Okuniowie czekał nas prymas z całym duchowieństwem, królewiczami i gronem senatorów — zkąd uroczyście przy dnie mnogiego ludu posunęliśmy ku Warszawie.

Ujrzeliśmy ją po staremu, jak gdyby tu nigdy nic nie zaszło. Miirry stały te same, spokojne i milczące. Nie raz nawet zdawało się człowiekowi, że wszystko to snem było. boć tyle na raz gromów waliło—i nie dziwota żadna, można było pomieszaniam rozumu dostać, jak się to stało właśnie z panem Trzebuchowskim. kolega naszym, którego melancholia straszna zmogła tak, że chodził z kąta do kąta i pytał się: rychło król wstanie, nosząc na ręku pendent ze szpadą i pudełko od orderu złotego runa. w które króla codzień rano ubierał. Nie śmiano biedakowi tego wzięść z ręki, ani mu tłumaczyć i wyprowadzać z błędu. Obłąkanie jego było spokojne. Na twarzy dziwny uśmiech a pod oczyma dwie bruzdy niby od łez. które musiały potokiem płynąć. Szczęśliwszy on był, ani

zeli my wszyscy z naszą przytomnością, co nam ustawicznie nędzę nasze stawiała przed oczy.

Bywały jednak takie chwile zapomnienia, w których patrzyliśmy na drzwi, czy się w nich nie ukaże postać królewska i nie przemówi do nas z dobrocią, jak to bywało:

— Na łowy nam pora mości panowie.

Ale król leżał na marach w kaplicy zamkowej. gdzie odbywały się dzień i noc egzekwie i gdzieśmy pełnili honorową służbę.

Ochłody serca nieco po onej korsuńskiej burzy. Natura ludzka przywyknie tak do złego, jak i do dobrego a ci, co przed nieszczęściem źli byli. będą i w niem i po niem. bo to już tak na tym bożym świecie bywało przed wieki i będzie do skończenia świata.

Znaleźliśmy panów senatorów dobrej fantazy. Ściągnął ich prymas na naradę przed konwokacyjnym sejmem a płakał staruszek sam za wszystkich rzewnemi łzami i zaklinał, aby ratować ginącą ojczyznę — ale niestety nie miał wymowy Skargi — a i czasy były już nie te.

Ci, których włości ucierpiały okrutnie od rebelii kozackiej, ci uderzyli w lament i z ofiarnością wielką spieszyli dla wojska. Ci zasię, co bezpieczni siedząc w Koronie, przysłuchywali się tylko wieściom o owych upałach — ci z flegmą a duma pańską, wazyli wszystko lekko i pogardliwie te sprawy traktowali, uważając je, jako

zwykłą rebeliją, którą garstka wojska przytłumi—i ztąd zaraz utworzyły się dwie partye.

Na naradzie stanął on głośny wybor trzech regimentarzy do wojska: księcia Zasławskiego, Konięcpolskiego i Ostroroga — których naród przezwał na urągowisko pierzyna, dzieciną i ładną — a wybrano ich na przekór księciu Jeremijaszowi Wiśniowieckiemu, któremu należała się buława pohetmanach, będących w niewoli—ale dać gwałtownikowi hetmaństwo, jest to dać nagi miecz szalonemu, powiedział Ossoliński.

Pierwszy z nich, pierzyna książę Dominik Zasławski, pan niezmiernych włości na Ukrainie — wróg księcia Jeremijasza — wygodniś i rozkoszniś, wszystko sobie z Paryża sprowadzał. Ubierał się z francuzka — łakotniś i smakosz wielki. Minę miał całkiem zniewieściałą a rozumienia o sobie wielkiego. Gięło się wszystko przed nim, dla jego bogactw i pańskiej prezencji.

Drugi dziecina Konięcpolski — młodzieniaszek, co mu zaledwie wąs się puszczał. Z wielkiego ojca swego wziął mir w narodzie, ale mu kolan nie dorósł. Srogi prześladowca kozaków a zwłaszcza Chmielnickiego, nad którym się ongi znęcał straszliwie.

Trzeci łacina podczasy koronny Ostroróg, mąż swadę wielka na sejmach, ale nie w boju, I tacy to mieli ratować Polskę. Jak też ją ratowali, o tem niżej się powie.

Uwijali się ludzie nowi, nowej miary, nowych

nazwisk, nowego kroju i w czynach i w sukniach, które teraz na gwałt zrzucac zaczęto i stroić się błazeńską formą, co przystawała raczej podwikom, nie mężom od żelaza. Pełno było wstążek i cudaczných dodatków. Peruki piętrzyły się na łbach, jak wieże. Chciano niemi przykryć lichotę.

Do takich należał Imć Pan Hieronim Radziejowski, starosta łęczycki, nielubiany ongi przez króla nieboszczyka, który jak gdyby przeczuwał w nim to zło, co kiedyś miało tyle nieszczęść przynieść i ludziom, i Rzeczypospolitej.

Mimo to dla jego wielkiej biegłości i bystrości umysłu a strzeżenia tajemnic polityki, używa! go król do najtajniejszych misyj — jak owo poselstwo do kozaków i nakłanianie ich do wojny z Turcyą —ale gdy się przekonał, że pan Radziejowski na sejmie onym pamiętnym, miasto bronić królewskiego projektu, przerzucił się na stronę panów i szlachty, aby zyskać ich popularność i gardłował srodze za tem, co wczoraj jeszcze potępił — znenawidził go tak, że patrzeć ua niego nie chciał — a on też w jednej chwili front zmienił, bo tegoż samego dnia zaraz wykrzyknął na sejmie— że do żadnej innej sprawy w przód nie przystąpi, dopóki sprawa królowej uregulowaną nie będzie — ztąd postradawszy króla, pozyskał sobie zaraz królowę. Człek przewrotny i chytry a zły z gruntu. Trzeba było się zdumiewać pad jego obrotami.

Dworak z dziada pradziada—wyssał on z mlekiem fortele i przebiegłość, bo i pan ojciec i pani matka, urosli w fortunę zabiegami i intryzkami.

Miał drugą żonę Wiśniowieckę, którą odbił Denhofowi, poróżniwszy ich pierw ze sobą. Podwikarz —nie przebierał w kobietach, ale byle fartuszek —brał a potem unieszczęśliwiał —zład processów, skarg, lamentów nań było pełno. Już pierwsze jego wystąpienie publiczne było skandalem — bo oto obrany posłem, gdy wszedł do izby, wystąpił przeciw niemu pewien szlachcic ze skargą, że mu córkę zniesławił i żądał, aby go z sejmu rugowano, ale wymową swoją a bez czelnością potrafił wmówić we wszystkich, że ojciec ten mente captus i miasto jego pokrzywdzonego wyprowadzonego z sejmu. Umiał wmówić w ludzi to, co chciał. Potrafił być groźnym, srogim i znów słodkim, a miłym i uprzejmym.

Człek nie dużego wzrostu, ale dobrej tuszy — z wielka peruką na wielkiej głowie, krótkiej szyi, cery rumianej, oczu błyszczących a niespokojnych. nosa orlego. Nad dużemi ustami nosił wąs rzadki, czarny podkrecony w górę i kępką włosów pod dolną wargą. Gdy szedł, kiwał się na obie strony.

Wszędzie go teraz było pełno. Po śmierci młodego Ossolińskiego, objął urząd krajczego przy królowej, która dlań stała się tali wylaną, tak oddaną ze wszystkim, iż nic bez niego nie stanowiła. Dostało mu się także wielkorządtwo żup

wielickich a w niedalekiej przyszłości, inne czekały go synekury, które jak zaszczytnie wyzyskał, będziemy widzieli. Królowa w srogich tarapatach swoich, uczepiła się tego wcielonego dyabła i za jego to namową, jęła sobie kaptować stronników w panach senatorach, a kaptowanie to odbywało się w jego ohydny sposób, bo oto łapano ich na piękne oczy fraucymeru. Potrafił on przemówić do próżności Francuzek i jał im dowodzić, że każdej z nich śmiały się mitry książęce, a nie jakieś małżeństwa z chudopacholkami w niższej służbie dworskiej — że powinny rozwinąć wszystkie swoje wdzięki i powaby, aby łowić sobie w panach palladynów a królowej stronników. Zdumieni też zostaliśmy wielce, gdy nas przyjęto niby natrętów jakich, co nieproszeni wciskają się do gniazd cudzych. Francuzki patrzyły na nas z góry i ledwie raczyły bąknąć słowo jakieś.

bzowski traktowany przedtem, jako mąż prawie, obaczył swoją de la Marinierę, wdzięczącą się do Sieniawskiego, a że to nie umiał kryć pod korzec tego, co mu w duszy kipiało, przyszło do starcia z butnym pankiem, a Radziejowskiemu dostało się nie bardzo miłe przezwisko rufiana.

— Królowa —powiada —ma ochotę żywem mięsem handlować—takiego procederu nie było jeszcze w zamku warszawskim.

Zawrzało srogo przeciw niemu wszystko, co się dzierżyło złej strony, ale że to ważniejsze sprą

wy leżały teraz na karku, zaniechano zemsty i odłożono ją do innej pory.

Pewnego poranku podczas konwokacyjnego sejmu stanęli przed trumną królewską, czterej ludzie w dziwnych strojach z polska, tatarska po kozacku odzianych — pokornej postawy, drzący. Pokłękli przed królewską trumną, przeżegnali się wschodnim obyczajem i długie odprawiali modły — a modły to były z serca głębokiego płynące przerywane od czasu do czasu łkaniem i przypadaniem twarzą ku ziemi.

Nareszcie jeden z nich najstarszy wiekiem powstał, zbliżył się do trumny popatrzył się na twarz królewską, znów przypadł czołem ku ziemi, potem oderwał z niej kawałek aksamitu i rzekł, zbliżając się do towarzyszy:

— Fiodor! Powiesz mołojcom naszym, żeśmy odprawiali codzienne modły u zwłok króla Władysława, że oto z żalu ledwie na nogach ustać możemy. Powiedz, że widział twarz pańską, dobrotliwą, tak jak ongi nad Dnieprem, kiedy nam opiekę przyrzekał.

— Słucham bat'ku — rzekł tamten.

— Weź, zanieś ten strzępek z królewskiej trumny .—mówił dalej, łkając—Niech go zawieszą u Matki Bożej pieczerskiej —to relikwia kozacza.

— Słucham bat'ku.
— Nic my dobrego ztąd nie wy niesiem, krom

tych leż a żalu wielkiego. Z panami niema zgody i nie będzie nigdy— poniewierają, nami gorzej psów. Co dziś przyrzekną, to jutro zabiorą. Będą gryźli teraz nowego króla, jak tamtego zagryźli, a będzie nim Jan Kazimierz wyzuwita ich służka.

— Wy tu długo bat'ku?— spytał ten. co go Fiodorem zwano.

— Dopóki nam listów nie wręczą. Ty jedź, bo tam Chmiel zębami zgrzyta, niespokojny o nasze głowy. Powiedz wszystko, coś widział. Oj. zapłacze kozaczyzna, niebędzie już drugiego Władysława, a krew chrześcijańska dalej lać się będzie.

— Dobry pan—odezwali się wszyscy.

— Sześć koron mogło spocząć na jego głowie, a nie takich malowanych, jak polska. Rycerz, jakiego od Batorego nie widziano, prochem martwym. Hej pożyłby on jeszcze, gdyby mu pany syna jedynego nie zabili.

— Proklatyje, — odezwali się znowu.

Ubysz zerwał się i chciał przyskoczyć do Kozaków oburzony, aleśmy go powstrzymali i dalej słuchaliśmy, nie przerywając tej ich mowy. Oni też zdawali się na nas nie zważać woale, jak gdyby nas nie było całkiem. Starzec wciąż prawił, wspominając im dawne czasy, a pamiętał dużo.

— Hej, bywałem ja tu za Zygmunta z listami do królewicza. W tej sali bywało, a nie tak smutno, jak dzisiaj. Pany jeszcze drżeli przed

majestatem królewskim. Ten, co dziś prochem, był młodzieńcem urodziwym — poklepał mnie po ramieniu; „A wierną bądź rycerska dziatwo, na Turka pójdziemy. Czajki nasze u minaretów zaświecą.” Gdybyrok jeszcze pożył!..—i ryknął płaczem takim, żeśmy mu mimowoli zawtórzili — potem starzec wciąż jakby marzył:

— Dziarski był młodzian. Oko czarne iskrzy się a włos długi połyskliwy na ramiona mu spadał. Kiedy skinie, to świat na kolana przed nim, tyle animuszu pańskiego, a gdy dosiadł konia i z wiatrem stepowym poleciał, to Michał Aruhaniol z płomienistym mieczem — i bujał po stepie, jak orzeł i serce kozaków rosło z radości, kiedy patrzyło na takiego pana. Zda się wzrósł na wolności stepie.

Wszedł Bzowski. Starzec zadumany patrzył w przestrzeń, jak gdyby przywoływał dawne mary, co mu się uwijały po głowie. Na raz się zerwał i żegnając, wykrzyknął:

— Mikołaju cudotwórco—to on!

— On kto?

— Królewicz pan miłościwy.

— Bat'ku wy chory.

— Precz! wiem przecie, że umarł ale tu żywy jego obraz. I wszedł w chwili, gdy przeszłość cała przed oczy mi nabięła. To zrządzenie boże być musi. Tak patrząc i takie mądre a pańskie miał oblicze.

— Znaliście młodym ojca mego? — rzeki Bzowski.
— Waszego ojca—więc wy...
— Jam syn królewski.
— Wy królewicz? Prawda! Ono tak być musi... i glos, i gesta nieboszczyka.
— A wy z Zaporozża od Chmielnickiego posły?
— Tak! Więc czem ty, kiedyś królewskim synem? Jam słyszał o jednym tylko Zygmuncie, po którym król płakał długo i w grób poszedł. Tobie nie święci się korona... Ty nieprawdy... ale ty krew jego własna... pozwól staremu do nóg twoich...
— Co nazywasz nieprawem starcze? Że mojej matki pop z królewskimi nie związał? Ale jej przysiął miłość dozgonną w obliczu Boga. i tej miłości jam synem. Kodze się nie z politycznego aliansu, ale z przyrody prawa. I pociście wy tu przyszli? Żeby obelg połknąć tysiące, albo głowy tu swoje zostawić? Tam wasz protektor i obrońca, na marach. A laska panów w chłopy was obrócić każe. Skończona wolność ko z acz a.
— Już myją szablą wywalczyli — a dziś słuchać musicie naszych warunków.
— Powiedz to któremu z królewiat naszych. Dopóki jednej szlacheckiej głowy w Polsce, wyście tylko pijanym motłochem. Dziś traktować z wami będą, a jutro was bić. bo chamom niedotrzymuje się słowa. Rzeczpospolita nigdy was

nie uzna za braci swoich. Trzeba króla — był jeden i już drugiego nie będzie.

— Święta prawda, odezwali się chórem.

— On ukochał w was rycerskiego ducha i chciał podnieść, aż do siebie. On wchodził do niskich waszych chat chłopskich i ocierał Izy niedoli, a gnębicieli waszych karciał. On obdzielał was swoim królewskim chlebem, jeśli mu chciwość pańska zostawiła pruszyne —tak, że nieraz —o hańbo — brak uczuć się dawał w kuchni królewskiej. Patrzcie na fortuny Kazanowskich. Radziejowskich. Mniszchów. Pacówi.. Urosli na chudobie króla Polskiego. Wszedłem między nich, bo mowa ta fatalną przybierała barwę i tylko patrzeć. rychło się kto z onych wymienionych nie zjawi — ale nie gadać było w tej chwili do rozumu.

— Mówisz a z oczu ogień tryska i mądre słowa twoje—rzekł starzec z uwielbieniem a tamci schylali się do nóg jego i bili pokorne pokłony.— Tyś nam druhem młodzieńcze. Gdzieś był dotychczas, żeśmy cię nie widzieli? Ty czujesz cała krzywdę braci naszych. Czem ty jesteś?

— Mniej, niż niczem.

— Ty. który królewskiego ducha masz w sobie?

— Zamknięta mi droga, bo przekleństwo bękarctwa mnie przygniata.

— Aleś ty mąż! Znamiona szlachetności i krwi wielkiej w duszy ci tętnią. Pójdź tara, gdzie osobista zasługa i dzielne czyny, klejnotem szła

chectwa świecą. —Potem podsunąwszy się, dodał ciszej—pójdź pod Kozaków chorągiew.

— Do siczy waszej ja nie pójdę—bo wy zdrajcy z poganami zbratani. Wasz Chmiel, mimo że człek rycerski zhańbił się wiecznie, biorąc w pomoc wroga świętej wiary naszej. Dla tego dzieło jego zmarnieje, bo się sprzeniewierzył sprawie świętej. Ja chcę ojezyźnie mojej służyć. A służyć jej chcę. nie szcędząc życia i tej krwi. która mi w żyłach płynie. Jam wchłonał w siebie całą myśl ojca mego. Ja jestem spadkobiercą tej myśli i spełnić ją chcę, albo zginąć.

Zaczęli się schodzić panowie, udający się na sessyą sejmową—odciągnąłem go prawie gwałtem od onych assaulów, bom się bał wybuchów jeszcze groźniejszych z jego strony.

Burzyło się w nim, bo wszędzie teraz spotykał coś takiego, co dumę jego targało. Królowa nie wzywała go już do siebie i zamianowała sekretarzem z ramienia Radziejowskiego Włocha, Pinocego. Nie dochodziła go pensya od marszałka. Patrzano nań obojętnie, albo usuwano się od niego. Człeka mniej krewkiego, mogło to oburzyć i

niecierpliwie a nie dopieroż jego. Jednak te wszystkie szpilki, któremi go kłuto, nie przechodziły miary nie śmiano się nań targnąć jeszcze. Czekano pogrzebu króla a potem otwarcia jego testamentu.

Parę tygodni wystarczyło, ażeby zatrzeć w umysłach ludzkich tę groźbę Kozackich rebelii, Zapomniano o hetmanach w Jassyrze. zapomniano o płonących miastach i wsiach, o krwi. o tułactwie — a pamiętano tylko o swych godnościach, o swej pysze, o bucie niepomiernej.

Kozackich posłów traktowano po staremu, jak nie ludzi. Kazano im wyczekiwać podedrzwiami całymi dniami, całymi tygodniami.

Na pokorne listy Chmielnickiego, że z Tatarami zerwał, że ci już powrócili do Krymu, że prosi przebaczenia i upomina się o prawa przynależne, odpowiadano z urąganiem i lekceważeniem. Wyznaczono komisją. która miała rozpatrywać ich żądania dalsze—a dziś? Dziś powiedziano do nich: jeżeli żałować będziecie i zadosyć uczynić zechcecie, nie od tego Rzeczypospolita. aby wam przebaczyć miała. Odpowiedź zaś całej Rzeczypospolitej była taka: abyście o hersztach swywołnych kup pilne staranie mieli i tych przed panów komissarzy naszych stawiali. A ile to zeszło czasu na naradzie, jaki tytuł położyć na liście do Kozaków. Obawiali się panowie, ublżenia swej godności zbyt szczytną intytulacją; więc im położono napis, jak ongi król kładł, pisząc do nich: Starszemu attamanowi. assaulom. pułkownikom, setnikom i wszystkiemu wojsku zaporozkiemu. O żadnym „mościwym" panie ni wzmianki.

To było wszystko, co zrobiono dla ugaszenia pożogi.

Drżący i pobledli posłowie, odebrawszy takie listy, ruszyli % niemi w powrót z przydanym im za przystawą Mikołajem Wolskim. Za nimi w ślad komissya z Kisielom na czele — ale cóż, wolność w Polsce, jak kto chce— gdy Kisiel z komisarzami godził — księżę Jeremi palili na pal wbijał. Wyrznął własne miasteczko Niemirów. za porozumienie z Kozactwem. Krzywonos znów zniszczył Pohrebiszczce. majątek Wiśniowiechich. Jeremi świdrami wydłubywał oczy popom; Krzywonos mordował i męczył szlachtę, księży i żydów. Kisiela, że chciał godzić, nazwał Wiśniowiecki zdrajcą i pisał do Senatu, że się trupem położy, zanim na zgodę przystanie.

Tymczasem Regimentarz pierzyna Zasławski obesał sejm hucznym listem, w którym to cuda na papierze wypisał. łak pogromi niesforne Kozactwo. hersztów powiąże bez pardonu, bez przebaczenia, bo takim s..... synom niedochowuje się wiary — Tatarów zbije na miazgę i wypędzi ua czarne morze. Ukrainę uspokoi na wieczne czasy i w karbach utrzyma takich, że tam już bodaj mysz nie piśnie — a o układach z psiarstwem niema co myśleć.

— Cóż to za rycerz znamienity — mówiono sobie... No, to my tu czapkami zarzucim tę hołotę... Strachem samym imienia pańskiego ją zabijem.

Konieczpolski znów. dziecina, wykrzykiwał ju

nacko, że niech tylko rycerstwo nasze zobaczą w całej wspaniałości, uciekać będą i umierać ze strachu—a Ostroróg łacina wygłaszał cycerońskie mowy.

Przezorniejsi jednak nie dowierzali trochę tym pańskim animuszom i kołatali, aby tym trzem Regimentarzom. przydać jeszcze przynamiej ze tu komissarzy w pomoc — czem dobili sprawę do reszty, bo się utworzyła istna Babel rozumów i rządzióchów. Między owych trzydziestu komissarzy, wlaź " pan Hieronim Radziejowski, wybrany z Wielko polski.

Wtem gruchnęła wieść o zburzeniu i wyrznięciu Połonnego. Chmiel rósł w potęgę okrutną, wszystka czerń chłopska garnęła się ku niemu. Zaniechano tedy układów a zaczęto się krzątać około zbierania zaciągów — ale jak to one się zbierały, miły Boże!... Ponieważ było powiedziane, aby szuranie a dwornie wystąpić, więc siaki taki nie jak na wojnę, ale jak gdyby w tany się wybierał — a że przy tańcu dobrze zjeść i wypić nie wadzi, więc tedy o grzesznem cielsku zapomnieć nie trzeba. Szły tedy tabory kuchni i specyałów pańskich, srebra i one stołowe zastawy przepyszne po pradziadach—szły wygodki wszelakie i pierzyny a piernaty — szły namioty wspaniałe—szły delje i aksamity a hatłasy — szły rzędy na kunie od srebra i od złota — broń przeróżnego kształtu i oprawy bogatej—wszystko to,

czem oczy napaść i olśnić można. Nie jeden chudzina, nie miawszy się ozem na podręczu przystroić, zadłużył się, aby mu krawiec sowitz ferezyą sztyftował.

I znów doleciała druga klęska o wzięciu Baru. Cały Wołyń w ogniu! — wołano z przerażeniem. Nic to. Niech sobie—róbmy swoje. Czapkami ich zarzucim.

I fundowa);o się w one czapki, przypinając do nich kity i drogie kamienie.

Pacholików do posługi, kucharzy, kredencerzy, paziów, trefnisiów, muzykantów, lizołapów i wszelkiej hołoty więcej było, jak zaciągowych żołnierzy. Nawet książki i bibliotekarzy brano z sobą.

Kownie szumnie, jak wszyscy a szumniej od niektórych wystąpił pan Radziejowski. Poczł jego służby kapał od srebra. Wyniósł on to tam wszystko, co ojczaszek długiem dworowaniem nabierał a dla synka nagotował.

Pochód jego przez Warszawę rozpoczęła muzyka strojna w szaty z barwą herbową — a choć pod karą dużą zabroniono wszelkich muzyk dla żaloby królewskiej — nic to — Radziejowskiemu uszło. Każdy rozdziawił gębę i patrzył. Za muzyką postępowali łucznicy, dalej kiryśnicy —więc drabanci —więc kopijnicy —więc dragonia na koniach siwych jednej maści, ubrana w tureckie czerwone rzędy. Dalej powóz suty jegomości, dalej powóz paradny rydwan jako dla

zwycięzcy, dalej laufry, dalej paziowie i dworzanie. Marszałek jechał w kolasie odkrytej—przy nim kapelan, dalej podczaszy pański, szatny. kuchmistrz, kalwakator. łowczy, sekretarz, krajczy — dalej komornicy i przyjaciele pańskiego domu znów jurgieltnicy, znów Kozacy srebrni, zwani tak od litego srebra na pasach, znów Węgrzy na konikach sakielach. Dalej szły wozy. telegi, kolebki, dalej ładowne skarbniki z kuchnią, spiżarnią, sprzętami a zamykała to wszystko piechota.

Kozacy mieli się zląknąć tego wszystkiego i uciekać. gdzie pieprz rośnie.

Posuwano się temi taborami zwolna pod Konstantynów, gdzie już stał Regimentarz pierzyna, z garstką wojsk koronnych.

Gdy tak buńczuczno, hucznie, srogo a strzępiasto i pierzasto panowie i bracia szlachta na Kozaków idzie, do Warszawy ciągną a ciągną tułacze, wyzuci z mienia i chudoby. Najwięcej między niemi starców, dzieci i niewiast.

Zjechał tego tabor duży — cały na Ujazdów Kommenderowała nimi i prowadziła ich niewiasta księżna Czetwertyńska, o której to dziwne dziwy prawiono.

Byli oni zamknięci w Nesterwarze. obronnym zamku a schroniła się do nich okoliczna szlachta i żydzi. Chmiel z całą energią pod zamek postąpił i dobywać go począł. Broniło się to, dopóki ducha stało i amunicyi, a że ducha było w nich

siła, niech posłuży za przykład czyn pana Modlibowskiego. godzien pamięci wieków potomnych. Gdy otoczony zgrają Kozactwa nie miał kuli. aby nabić muszkiet, wybił sobie ząb trzonowy i tym zębem zabił pułkownika Kozackiego. W końcu jednak chudziny poddać się musieli. Przyrzekł im Chmiel na słowo, że ich zostawi przy życiu. Zamek obsadzono załogą samej czerni, a on poszedł dalej, ale jak się to zaczęło napijać, tak i wycięli pomału wszystkich. Czwartyńskiemu własny poddany chłop uciął głowę a jejmości dowodzącą czerni Ostap położył warunek: albo go zaślubi, albo też pójdzie za mężem. Przystała biedna i weszła w kajdany chłopskie — ale niedługo dała się cieszyć sobą pijanicy i obmierzłemu chłopu—bo oto jak druga Judyt, ścięła nocą łeb kozackiemu Hołofernesowi i uciekła z obozu, zabrawszy wszystkie niewiasty, z którymi się już umówiła poprzednio. Chodziliśmy na Ujazdów patrzeć się. jak ua miraculum na oną niewiastę rycerskiego serca. Wszystko, co żyło w Warszawie, ofiarowało jej .schronienie; jedni przez drugich się uganiali, ażeby ją ugościć ze względu i na krew tak znakomitą i na cnoty jej. ale odrzuciła wszelką pomoc, mówiąc: „Dla tychem się oddała i wierną im będę, dopóki im gniazda nie powrócą.” Takie to niewiasty bywały u nas w tych czasach. Alboż to jedna Czwartyńska!.. powie się o nich więcej w swoim miejscu.

Zaopatrywano tedy ową mizeryą, we wszystko. Królowa dzień w dzień odwiedzała ich i ze stołu swego naselała żywności. Panie senatorowe i wszystkie żony dostojników naszych i szlachty a bawiło ich w Warszawie temi czasy dosyć, wślad za królową poszły i ubierały a karmiły na wyścigi. Nie jedna z nich miała lepiej, niż ongi w domu własnym.

Na Ujazdów szły processyę a w processyach tych znalazła się Jadwiżka z Kostusiem i starostą — za nimi Orzełek niby marszałek i dwóch drabów, niby srebrnych kozaków. Pomimo naszych trosk i smutków, widząc tę kalwakatę. parsknęliśmy śmiechem takim, że go tam chyba w niebie było słyhać,

Pani starościna w czerni cała. Pan Wypyski przybrany, niby żałobny herold. Kostuś z przepychem niby po ksiąźcemu w płaszczu gronostajowym—wyglądał, jak infant. Kołatał on temi czasy o łaskę do królowej, ale łaska jakoś nie przychodziła.

Ziemia frant pokłonił się im w pas i z wdzięczną a filuterną miną, którąśmy znali w nim doskonale, odezwał się: — Ot personifikacya litości i dobroci wszelakiej zjawia się w dostojnem gronie dostojności waszej. Ci wszyscy nędznicy, już samym widokiem ich dostojnego oblicza więcej się zapewne, niżeli chlebem nasycą, bo powiedziane jest: Nie tylko plebem żyjesz.

Zmarszczyła się trochę starościna. zżymnął Konstanty, tylko starosta uradowany poklepał go po ramieniu.

„Mój mościwy panie Ziembu, tego... zawsześ łaskaw na nasz dom ten... nie omijaj go że go... bo ci,, ten... radzi jesteśmy.

— Tam, gdzie rozum wielki błyszczy dostojności waszej. obok cnot onych ewangelistycznych. jakiemi znów jejmość przeznacza słynie — gdzie w dostojnym jedynaku tyle rycerskich a kawalerskodwornych objawia się przymiotów — tani mówię, w domu takim... tego... ten... to... — i zaczął przedrzeźniać skonfundowanego już tą razą starostę, który pobladł trochę i swoje wylupiate oczy obrócił na jejmość i Konstantego, jakby ich zapytywał; co z nim zrobić—lecz ci odwrócili się i poszli dalej, a starosta napuszony odrzekł, jākając się coraz bardziej:

— jeszcze waść... mościwy panie... tego... ten... kiedyś... to... za przygryzki... tego... dobrze oberwiesz.

— Czyżbym dostąpił tego splendoru naprawdę, żeby miłość wasza raczył poprobować karabeli swojej na mojej demeszce.

Mówił to pół seryo, pół drwiąco a jedno oko mu drgało, jak to bywało u niego w wesołej chwili.

— Ale zkądże znowu tego... ten... ja nie myślałem,—odparł starosta zaambarasowany,

— A no tom źle zrozumiał miłość waszą gdy

o jakimś oberwaniu tego... ten... była... tego... mowa.

Takiej komedyi, jak życie moje nie pamiętam

—śmieliśmy się jak utrapieni. HP — A no była tego... — rzeki znowu zaperzony starosta. —Gdy waść tego... nie przestaniesz ten... V urągać.

W — Urągać ja dostojności waszej, która tego...

tak dalece ten... napelnia mnie to... rewerencyą.

— Do milion tego... —wrzasnął starosta rozjędyczony coraz więcej i już niepanujący nad sobą —a w takich chwilach stawał się strasznym i nic go uhamować nie mogło.

— Satis! — rzeki Ziembra znów poważnie. — Chciałem też widzieć, czy w tej bryle mięsa i krwi się kropla znajdzie.

— A no znajdzie się tego... do kroćset paraluszy —i nie tylko kropla, ale struga cała na usługi waszmości. Proszę cię panie Scipio i was panie Żabicki bądźcież świadkami. jak tu uszy obetnę temu mospankowi. Zejźmyż, jeśliście łaskawi na stronę, gdzie ludzie się nie kręcą.

— Ale panie starosto. — zaczęliśmy go mitygować.

— Satis! ja teraz powiem—i błady z początku poczerwieniał, jak wiśnia — wszystko się w nim trzęsło i nie ugasić tego ognia, co się w nim pomału rozpałił.

— A niechże was wszyscy dyabli wezmą, wy niegodziwa dworska psiarnio, — prawił dalej, a

Ziembra patrzył tylko w niego. jak, w tęczę, jak gdyby podziwia! oną metamorfozę.

— jestem człek spokojny. że nikomu wody nie zamączę a ta bestya mnie ciągle gryzie. Dalej, proszę z sobą. bo wstyd będzie, jak tu na rynku dostojnej krwi utoczę jego dostojnej osobie.

Nie było rady. Szliśmy do lasu. Ziembra dziwnie zamyślony i stroskany, bo nie spodziewał się takiego obrotu. Tamci zdziwieni—ja tylko jeden znając starostę, wiedziałem, że na sucho się to nie skończy, ale porwany śmiechem wraz z drugimi, nie chciałem przerywać tej krotchwili.

Gdyśmy stanęli, Ziembra nachmurzył się i rzecze:

— Słuchajno mościwy starosto—jakże to jedno z drugim pogodzić. Czoło zda się u waści wytarte i honor szlachecki gdzieś schowany w kieszeni nie bardzo czystej spódnicy—a przecię jest i godność, i animusz kawalerski,

— A waści dyabli do tego. Niech każdy idzie swoją drogą, jak umie i może. Kto mi zarzuca nieuczciwość, powiem, że potwarca i łeb mu zmiotę z karku. Dalej!

— Ha!—odsapnął Ziembra.

Żabicki i Skowroński chcieli zaprotestować, ale Ziembra się nie zgodził.

Stanęli po kawalerska. Złożyli się pięknie. Tan Wypyski ciągle wirzał i radby mu był przylepić jaką pamiątkę, ale trafił na gracza, co to

jak smyczkiem na skrzypcach pociąga! — płatną! go też po łapie dobrze, ale nieszkodliwie.

Przystąpiliśmy zaraz do obydwóch i nie dopuścili do więcej.

Ziemia go przeprosił. Przyjął to z góry i jak gdyby z pańska i zaraz się zaciął, bo już go złość minęła.

— Niechże... tego,, będzie między nami ten... zgoda... i wzajemna tego.., rewerencją.

iedynem złem. co siedziało w tym człowieku, była ona niegodna żądza błyszczenia i zaszczytów... dla tej stawał się głupim... i brudnym...

Była Niedziela, Po summienie u Dominikanów posunęliśmy we trzech ja, Żabicki i Bzowski na obiad do dworku wdowy.

Przebywało się tu temi czasy dosyć często, boć tu człek znalazł to, czego już na dworze naszym nie stało: szczerości, uczciwości i dobrego serca. Tuśmy gawędzili o lepszych czasach a nie tak dawnych jeszcze i tu snuło się marzenia o tem, co będzie.

Co będzie z nami w tem osieroceniu naszym?

Zbliżała się elekcya nowego króla, zbliżał się pogrzeb, potem otwarcie testamentu. One to trzy rzeczy miały rozstrzygnąć losy nasze.

Bzowskiego nie obchodziło to nic wcale. Gdyśmy go zagadneli z ostrożna: co zamyśla — odpowiedział nam dziwnie:

— spytajcie o to losów, co się tani gdzieś w górze, w urnie przeznaczeń dla mnie płaczą. Co ja myślę? Przestrachby was zdjął, gdybyście o tem wiedzieć mogli tak,jak nieraz i mnie samego bierze.

Matka nakłaniała go, aby szedł do wojska. Roześmiał się na to.

— A pod czyją chorągiew?

— Wybieraj.

— Tylko pod chorągwią Władysława IVgo siużyć mogłem i służyć jeszcze ,dopóki jej nie skruszą na jego grobie—a potem pójdę w służbę własną, aby wprowadzić w świat to. czego on nie dokończył.

Była to jego zwykła piosnka, której nie pojmovaliśmy całkiem a nawet po cichu między sobą podśmiewali.

— Ot, duma mu w głowie przewraca — mówił Żabicki.

— Prócz dumy. jest w tym człowieku coś więcej jeszcze — dorzucił Ziemia—szyderstwo wieczne ze wszystkiego i ze wszystkich. nawet z Boga.

A jam widział, że ani jedni ani drudzy nie mówili prawdy. Była duma szlachetna, co go parła do rzeczy wielkich, którym mógł podołać, bo go Pan Bóg uposażył bogato a szyderstwo było dla złych i głupich. jak zaś się kajał i modlił Bogu w chwilach ciężkich, tośmy widzieli. Ale to wszystko u ludzi idzie wedle tego. jak tam komu interea albo skłonność jakaś podszeptnie — tak i

o drugich sądzi, iabicki. że był chudopacholek

i rymopis rozumienia o sobie wielkiego —nic mógł się jakoś dobić do niczego a zazdrościł wszystkim, więc w Bzowskim widział tylko dumę niepomierną; Ziemia zaś chciał być sam jeden tylko dowcipnym i ciętym w języku — gdy mu Bzowski parę razy odciął się dobrze, już ci i gniew na niego.

Temi czasy był on smutny i surowy—z rzadka się u niego uśmiech zjawił, za to goryczy i szyderstwa nie skąpił. Od czasu spotkania z onemi kozackimi posły. których w taki podziw i uwielbienie wprawił, chodził ponury i zamyślony głęboko, potem zaczął pilnie uczyćszczać na sessye sejmu Konwokacyjnego i przysłuchywać obradom.

Było co słyszeć i podziwiać, gdy wrócił do domu i jął słowo w słowo opowiadać te językowe szermierki ze swojemi komentarzami, w których znów obok żartu i szyderstwa tyle prawdy się kryło, tyle rozumu, że nie jeden głęboki polityk mógł iść do niego w służby.

— Żaden naród. —mówił on.—nie ma tyle dziecinnej pychy, co polski — miodem pochlebstwa, można od niego bodaj ojczyznę wyszachrować. Oto wśród największego ognia rozpraw nad kozacką rebeliją. gdy rada co najrychlejszego ratunku i mądrego postanowienia tak jest drogą, że każda chwila na zgubę i szwank nas stawia dają znać, że poseł Francuzki pan de Brezy, pro

wadzi z sobą hrabiego d"Arpayon z orderem Śgo Ducha, który ten przywiózł dla nieboszczyka króla. Następują ceremonije przyjęcia, które się wloką przez dni parę. Trwają długie przemowy panów senatorów, na które wreszcie Francuz odpowiada suto naszpikowawszy pochlebstwami, bo od słów: „Serenissima Respublica" zacząwszy, a kończąc na talach: iż w tem zgromadzeniu tak wielu widzi królów, jak wielu obywatelów —zład tem większa ma być żalność po królu. który nad takimi obywatelami panował." Tu trzeba było widzieć dopiero naszych królików — każdy urósł nie już na króla, ale na półtora króla. Zaczęto się wysadzać na takie głupstwa, o jakich jeszcze mury sejmowe nie słyszały. A o co głównie chodziło Francuzowi: o to, aby wytargować na nich oprawę królowej, o której w tych czasach srogich ani słyszeć nie chcieli... i wytargował. To czego nie chcieli zrobić na prośby króla Władysława, zrobili na jeden umizg Francuza. To, co wielkiemu królowi stało się źródłem goryczy, to kpiąc nich w duszy, wydarł im z ręcznic jeden dworak subtelny. Niech was grom spali! Połechtani tak mile długi czas uspokoić się nie mogli, dopiero nowe wieści krwawe z Ukrainy otrzeźwiły ich nico.

Ta nienawiść rosła w nim i zakorzeniała się straszliwie—gorzkie też były jej owoce.

Panna de la Mariniere lubo podbechtywana na wszystkie strony, dotąd mu była wierną, choć nie

raz gorzkie musiała znosić wyrzuty dla jego zgryźli w ości.

Wracając tedy do tego, com powiedział na początku acapite, że to w oną pamiętną Niedzielę się zdarzyło. Gdy tak siedzimy, gawędzimy a i popłakujemy troche, gdy każdy o swojej przyszłości prawi, gdy Żabicki chciał by uwiesić się przy nowym królu, a ja odpocząć na jakiejś wioszczynie w dobrem sąsiedztwie — gdy

i mnie, i Żabickiego Bzowska namawia w Sandomierskie, abyśmy jakoś blisko siebie byli wszyscy; zajężdza przed ganek kolasa, a w niej kto? Państwo starostwo mereckie.

— A to co za komedya? — zerwał się Bzowski.

— Gość w dom. Bóg w dom — odpowiedziała matka. Przyjąć ich trzeba i wysła naprzeciw.

— Małpa z niedźwiedziem —a no zabawimy się trochę w naszych kłopotach.

— Powiedz sroka z osłem — dorzucił Żabicki.

— Co ja to nie wiem. do czego bym ich przyrównał —odrzekłem. —O pani Jadwizce mam już ustaloną moją opinią, ale co do pana Wypyskiego. to tam widzę tyle sprzeczności i dziwactw...

— A i ja—rzekł Bzowski. —Wiesz, co by tego kloca do równowagi jakiejś przywieść mogło?

— A mówże, zmiłuj się!

— Oto, gdyby mu kto tę frygę gdzie utopił.

w proggu ukazała się starościna z mężem, prowadzeni przez Bzowską.

Nio widziałem jeszcze nigdy razem tych dwóch kobiet. Jadwiżka robiła starania częste, aby się do niej zbliżyć, ale dumna pani odrzucała ją od siebie. Dziwne a niespodziewane te odwiedziny nie były tu pożądane— jednak mogłem im się teraz przypatrzeć i porównywać,

W Bzowskiej widać było przede wszystkim szlachetne pochodzenie, Prezencyą miała pańską, co podniesione jeszcze pięknoscia jej. lubo teraz postarzała troche, czyniło z niej osobę tak dostojną i poszanowania godną, że mimowoli schylałeś przed nią głowę. Potrafiła ona jednym spojrzeniem spokojnem onieśmielić człowieka tak, że język w trąbkę zwinąć musiał. Oszczercy też bali się jej i nie zaczepili nigdy.

Jadwiżka zaś, mimo swej niby ogłady i dowcipu, wyglądała przy niej na służącą do ubierania jejmości. Stawała się ona wtedy tylko ujmującą, gdy jak bachantka z kieliszkiem w ręku podejmowała króla — po za tem była tylko sprytnem. alecaikiem pospolitem stworzeniem.

— Sługa pana starosty — rzekła ona, witając łazowskiego miłym uśmiechem, — Witam uprzejmie waszmość panów — przerywamy wam miłą zabawę.

Starosta nieśmiało się pokłonił, potem poda! każdemu rękę — chrza.knął i już się zabierał do wypowiedzenia jakiegoś tego., ten... to., ale zac

na jego połowica ucięła, jak siekierą. mówiąc sama i nie dając mu przyjść do słowa:

— Przebaczyć raczcie. Sprowadza nas tu najprzód chęć złożenia submissyi naszej przezacnej pani rotmistrzowej (nie wiem zkąd wygrzebała ten tytuł, którem się Bzowska nigdy nie nazywała) a potem wspólna nasza dola. o której pomówić byśmy chcieli.

— jakaż to wspólna dola? — zapytał Bzowski. Pokręciła się na stołku i popatrzyła na mnie

i Żabickiego. jakbyśmy jej zawadzali. Ale my ciekawi tych odwiedzin, nie chcieli tego zrozumieć.

— Pomówimy o niej inną razą. bo są sprawy dość delikatne... — i znów nas obrzuciła wzrokiem.

— Proszę mówić wszystko. To są przyjaciele nasi, dla których nie mamy skrytości — odpowiedziała Bzowska.

— W takim razie wypowiem otwarcie, co nam już od dawna na sercu leży. jeszcze za nieboszczyka króla, chciałam gorąco, abyśmy w zgodzie pracowali nad wspólnem szczęściem naszych dzieci.

— Jakich dzieci? —przerwał Bzowski.

— To niechże będzie naszych synów, kiedy panu staroście ten wyraz się nie zdaje.

— Mnie się i więcej wyrazów u waszmość pani nie zdaje, Gdy mówisz naszych, to niby kogo masz na myśli?

— A no jużci mego Kostusia i waćpana.

— A więc z góry muszę waćpanią przeprosić, aby mnie ze swoim Kostusiem stawiać nie raczyła.

— Otoż to tak zawsze— odrzekła — dwóch się klóci a trzeci z tego skorzysta.

— Kto się klóci? Z kim?—zapytał Bzowski— Pani K.ostuś jest niegodziwiec, któryby już dawno legł z mojej ręki. gdyby nie wzgląd na świętą osobę króla—ale dziś niech się strzeże, bo jilż ten wzgląd ustał.

— Zgrzeszył przeciwko wam — prawda — ale dlaczego zgrzeszył, boście go zawsze kopali nogami panie starosto, boście go uznawali nie jak brata, ale ostatniego z ludzi.

— Słyszycie to waćpanowie? Nie — na taką bezczelną obelgę, odpowiedzieć nie warto.

— Szymonie — odezwała się Bzowska, hamując go,

— Na cóż tego... ten... dawne tego... sprawy wspominać.

— Baz przynajmniej odezwał się w porę — rzekła jejmość—na co dawne rzeczy wywłóczyć.

— Więc proszę mówić o nowych, tylko syna swego do nich nie mieszać, jeśli łaska — zakonkludował Bzowski.
— A no to w takim razie do niczego nieprzyjdziem. bo to właśnie o niego i o was idzie panie starosto.
— Przestań proszę — rzekła surowo pani Bzo

wska —racz pani starościna wyłożyć jaśniej myśl swoje.

— Wykładam ją — chcąc jednak jaśniej ją wyłożyć, muszy choć na chwilę powrócić do niemiłej panu staroście materyi. Otoż nie cofnę mego. gdy powiem, że waszej winy było troche, dużo jego a najwięcej tych, którzy zarzewie między was rzucali i rzucać będą, dopóki na rozum nie weźmiecie. Czemuż dziś, gdy ze śmiercią królewską, grożą wam jednakie losy, nie macie się wspólnie wzięść za ręce i nie dać wrogom swoim tryumfować nad wami? Do was pani zwracam się, jako do matki, która pewnie równie, jak i ja nieraz bezsenne noce trawisz, troszcząc się o swego jedynaka. Czy wy wiecie, jakie nieszczęścia nam grożą. A jeżeli nieboszczyk przepomniał w swoim testamencie o naszych dzieciach—to co wtedy będzie? Obdarował was starostwem urzędowskim. ekonomią fałęcicką —ależ to wszystko niepewne. Któż zaręczy, że wam jej nie odbiorą? Mój Kostuś nie ma i tego. Gdy będziecie się trzymać za ręce w miłości i w zgodzie, muszą pomyśleć o was—gdy będziecie rozdwojeni i w utarczce, zguba was czeka, bo oni wasze niezgodę, na swoje korzyść wyzyskają.

W Bzowskim wrzało — już chciał się rzucić ze srogą reprzymandą. aio wzrok matki trzymał go przykutym na miejscu.
— Racyę, które wmość pani starościna raczyła tu postawić, są tak rozumne, że nic im i przyga

nić nie można. Kie mówiąc już o interessie wspólnym, ale o miłości braterskiej. której przestrzegałam należy im być w zgodzie i tej zgody syn mój jako posłuszny matce pilnował zawsze, gdyby jej syn wmość pani czy sam, czy poduszczony, nie zepsuł. Nie chcę tego poruszać, co było, aleć jeżeli na przyszłość w obec tych nieszczęść, które im grożą znów. mój syn poda mu rękę do zgody, a Konstany okaże się znów tem. czem był — to któż zaręczyć może. czy go już tą razą, nie dosięże słuszna zemsta Szymona. Racz wpani to rozważyć. jeżeli masz taką władzę nad synem i przyrzekniesz, że będzie posłusznym — mój syn poda mu swoje rękę.

— Nigdy matko!

— To zobaczymy. Cóż wpani na to?

— Przysięgnę wam na rany Chrystusa—a gdyby nie dotrzymał, niech go mściwa wasza ręka zmiecie—nie upomnę się o niego wcale.

i zapłakała szczerze.

— Panie starosto! wiem — macie mu ciężkie bardzo ciężkie zarzuty, ale przysięgam wani na Boga, że w tem połowę tylko jego winy. Niech powie mąż, ile w tera dziecku jest dobrego, choć tyle zuchwalstwa na pozór i złości,

— Ale tak... tego... ten... Ustąpcie tą razą,.. panie tego.,,

Musieliśmy się dobrze trzymać, żeby się nic rozśmiać i nie zepsuć tej poważnej sceny, bo mó

wił to bestya wbrew przekonaniu. Zalał mu ten Kostuś nieraz gorącego sadła.

— Oszczędź sobie wpani tego płaczu — rzekła Bzowska — syn mój raz jeszcze spełni tę ofiarę... ale niechże zobaczy żal i skruczę z przeciwnej strony.

— Jasiu! — kiwnęła nań i coś szepnęła do ucha. Iś wybiegł i za chwilę powrócił z Kostusiem.

Nie spostrzegliśmy go z początku, bo przyczajony siedział w kącie kolasy, czekając na rezultat rozmowy.

Wszedł on ze łbem spuszczoneym i potknął się zaraz w progu, zataczając troche. Był pijanym.

— Przepróż! — wykrzyknęła groźnie matka — a jeżeli nie dotrzymasz, pomsta cię nie minie — pamiętaj!

Przypadł do nóg Bzowskiej. Bzowskiego za kolana objął — potem popatrzał nań z podelba. Bzowski pod wpływem wzroku matki, podał mu rękę ze wstrętem i tak znów stanęła między nimi słomiana zgoda.

Na dworze tymczasem zapanowała cisza i wyczekiwanie a cisza to była, jakby ona przed burzą jakąś wielka, że i trudno w niej człowiekowi oddychać.

Chodzono po kątach, szeptano, radzono, aż też padł grom a z gromów najstraszniejszy.

Hańba! Sromota wieczna! jak Polska stoi takiej jeszcze nie było. Uciekli. Tył podali haniebnie! Uciekli przed widmem, przed marą tatarskiej ordy. Uciekli wszyscy — regimentarze, komissarze, wojewodowie, kasztelani — wielcy, mali — chorążowie, pułkownicy i wojsko całe. Uciekli, zostawiając wszystkie skarby, które z sobą przywieźli. Uciekli, choć ich nikt nie gonił.

Pod Pilawcami stała się ona hańba okrutna, co będzie jak wieczny rumieniec wstydu na twarzy Rzeczypospolitej.

Pierwszy, co dał do niej hasło, niech przeklęty będzie po wiek wieków!..

Tajemnie, pod osłoną nocy dwaj niegodni części Zasławski pierzyna z Radziejowskim, uknuli ten haniebny spiszek a ostatni z nich chcąc pociągnąć wszystkich na swoich chorągwiach, napisał: Fugite.

I pociągnęli za sobą Ostroroga z Koniecpolskim, trzech wojewodów — Kijowskiego, podolskiego z brzeskokujawskim — kilkunastu starostów między tymi: generalnego krakowskiego sądeckiego, wieluńskiego, sokalskiego, kowieńskiego, różańskiego, rogozińskiego, czerskiego, warszawskiego a za nimi wszystkich.

Wygodni regimentarze pojechali naprzód, obóz nasz przeszło, ludzi liczący, w najhaniebniejszą poszedł rozsypkę, zostawiając na łup nieprzyjacielowi niezmiernie kosztowności w srebrach, złocie, drogich szatach, broni i sprzętach.

Ciągnęli tamże Lwowa dwa tygodnie, uciekali do Lwowa dwa dni niecałe — to mi się nazywa fugas.

W całej potrzebie zginęło ludzi.

Popłoch i trwoga ogarnęły Polskę całą.

Królowa chciała wyjeżdżać zaraz do Torunia Gadano, że lada dzień stanie Chmielnicki z Tatarami w Warszawie.

Gwar, rwetes, przekleństwa, odgróźki a wśród tego ładowano wozy i uciekano ku północy — byle jak najdalej, byle jak najprędzej.

Ten, co przyniósł do Warszawy te wieści, szlachcic Siemiątkowski z Mazowsza, pokazał się tylko na zamku, wybełkotał wszystko jednym tchem i zniknął, jak gdyby pod ziemię zapadł. Szukano go wszędzie, jak szpilki, pytano, badano... aż też i zaczęło coraz gęściej nadciągać szlachty. A jak to wszystko wyglądało! Zbłocone, odarte, pochmurne — nie śmieli spojrzeć w oczy otwarcie, choć najmniej zawinili.

W miarę, jak ich przybywało, przybyło i rozmiarów onej hańby, przybyło i klęsk coraz więcej. Latały listy z rozproszonego obozu, który się zamknął we Lwowie. W listach tych całą winę zwalono na pierzynę, łacinę i dziecinę. Nadjechał pan Niewiarowski. Był on jednym z tych, co pierwsi zaraz po zamianowaniu regimentarzy pospieszyli pod komendę pierzyny do Konstantynowa; a że był człek ludzki i rozmowny, bo gadał wiele i pięknie, więcemy go wziąć

li między siebie i już na krok nie puściliśmy, dopóki nam całej owej infamii nie powie, Ale gdzie to z nim dogadać się można było.

— Czego chcecie — wrzeszczał. — Czyście poszaleli? Co ja mam opowiadać? jakem zmykał z innymi? Niech opowiedzą ci, którzy dali komendę taką. Żołnierzowi wstyd i srom. Bodaj mnie była strzała tatarska prześwidrowała na wylot. Bodajem był nogę złamał wpierw, nim ją w strzemię włożyłem, idąc pod taką komendę. Ojciec mój ś. p. okrył się chwałą pod Chocimem, a że było dwóch Piotrów Niewiarowskich w Drochickiem, więc go zwano Chocimczykiem. ranie zaś Pilawczykim nazywać będą. jestem Pilawczyk — to znaczy: zajac, skurczydusza. nędznik, pierzyna, gnojek, ciura. Ot tobie komenda!., wygrzebali tych trzech kpów i kazali im bitwę stoczyć, jakby to kapłona rozebrać.

— Niech ich wszyscy dyabli wezmą — rzekł zniecierpliwiony Żabicki — opowiedciez nam oto. jak się stało, że kwiat naszego rycerstwa poniósł srom taki. Toć to nie do wiary.

— jak? Tak się stać musiało, nie inaczej. Gdym dojeżdżał do Lwowa, już mnie złe przeczucie trapiło. Bo to nie na wojnę, ale na sejm albo uroczystość jakąś szło wszystko.

Zgromadzili się zacieżni w Glinianach, ztąd pociągnęli pod Konstantynów i tam ogromnym razem stanęliśmy obozem. Wiśniowiecki tylko stał osobno pod Czółkańskim kamieniem, zagniewany

na wszystkich. Tyszkiewicz poczciwa dusza jął ich jednać, no i po długich, długich perswazyach pojednał przecie. Przybliżył się do nas Wiśniowiecki, pogodzili się z Zasławskim i najlepsza zapanowała otucha.

Dopieroż się rozpoczęły bankiety a wywczasy, jak gdyby za najlepszych lat. Panegiryki się posypały ex re owego skojarzenia się dwóch potentatów, co dotychczas byli w rozterce. Zapomnieliśmy wśród tego o kozakach—ale doświadczeni, smutno jednak potrzęsali głowami, ko jakże tu się spodziewać czegoś dobrego po takiej ekspedycyji? . tysiące było rycerstwa strojno, butno—a wozów i sług przeszło ,.

Chmielnicki stał na południe od Konstantynowa w Pilawcach —powiadają, że siły jego ani równać się mogły z naszymi. Porwaliśmy języka; powiada, że się cofa. Ha! wykrzyknęli — ucieka bestya! ucieka—nie mówiliśmy? Czapkami ich zarzucim. Tymczasem Chmiel nie chciał bitwy rozpocząć, dopóki orda nie nadciągnie a zasłaniały go bagna i moczary.

Zbliżyliśmy się o dwie mile i postanowiliśmy zdobyć on kurnik pilawiecki — a staliśmy w haniebnem miejscu. jednak rozpoczęły się harce dosyć pięknie — siła tego i padło i wzięło się ich dosyć. Dochodziły nas wieści, że czerń zamyśla wydać Chmielnickiego. Aż tu wieczorem przybywa Tuchajbej w . ordy. Chmiel ze stu

dział bić każe. Brzmi hała Tatarskie. Podjazdy pierzchają.

Zbiera się rada wojenna. Wiśniowiecki woła bić, drudzy taborem się usuwać, a Zasławski komunikem dążyć do Konstantynowa i tam się oszańcować. I pojechali bestye owym komunikem i nie oparli się, aż we Lwowie a my za niemi jak stado gęsi marnych, na wstyd pokoleniom zostawiwszy wszystkie wozy z onem bogactwem, cośmy przywieźli. Jeden tylko pan Arciszewski został przy armacie i tego mieli Tatarzy rozsiekać.

Oto i wszystko. Dajcie mi pokój. Niech przyjdą inni i więcej wam powiedzą—jam niemy. Nie będę gadał więcej, choćby mnie w smole smażyć miano. Gadać o tem —to człowiek, jak gdyby żywe mięso skrobał na sobie. Cicho! sza. Jesteśmy kpy takie, jakich nie było jeszcze. Ot król nieboszczyk, panie świeć nad jego duszą, w trumnie się przewrócić musiał.

Zacisnął czapkę na ucho, głowę zwiesił i pobiegł, jakby się wstydził sam przed sobą.

Nie długo czekaliśmy na więcej języków, szły kurryery, szły listy a z niemi trwoga coraz większa. Szły nawet wiersze i paszkwile szpetne na panów regimentarzy i starszyznę a ze wszystkich najwięcej obiegał wiersz młodego Kochowskiego podsejdkowicza sandomierskiego, którego ojciec był sekretarzem króla nieboszczyka.
Oto jego sens;

Jako od wieków Polska tu usiadła.
Na nią takowa obelga nie padła.
Bo pociście wy do obozu przyszli,
Znać dla bankietów, biesiad, dobrej myśli:
Poranek gnuśny, a wieczór pijany.
Także to kozak będzie zwojowany?
Szańców nie sypią, nie ćwiczą piechoty.
W pole na mustrę nie wynijdą roty,
To kunszt harcować pod wieczór wesoly
I Chmielnickiego wojować za stoły.

We Lwowie okrzyknięto hetmanem księcia Wiśniowieckiego, ale im umknął przed Chmielnickim cichaczem do Zamościa.

Mieszczanie chudzięta wydobyli wszystko z pod duszy i złożyli panom kommisarzom —zebrało się tego siła. Wzięli pouciekali. Najwięcej się obłowił Radziejowski niecnota. Chciał on na nich powetować to, co zostawił pod Pilawcami. Srogi lament podniesiono potem ua niego, ale chyba u pana Boga satysfakcyja będzie daną.

Tymczasem Chmiel rozpoczął oblężenie Lwowa i wieści słał po Polsce, że do Warszawy zawita.

Zamieszanie. bezład, bezprawie, złodziejstwa, rabunki, morderstwa i wszelkie szkarady, co się chowały dawniej w cieniu, jakby tylko czekały onej pory, ażeby się po całym kraju rozlać potokiem. Sprawiedliwość zda się sama przestraszona schowała się gdzieś w kącie najciemniejszy i za

kryła głowę pierzyną, bo oto co dzień usłyszałeś coś takiego, co ci jelita poruszyło. Hultajstwo wyłaziło z pod ziemi—kradło, rozbijało...

Między innemi któżby się tego spodziewał; zamordowano Jadwizkę starościnię merecką. Znalezione ją na schodach, nad ranem, w własnym domu bez życia z straszną raną w piersiach. Sprawcą był prawdopodobnie Orzełek, bo frunął wraz z jej skarbami i ani dopytać się o niego, ani gonić i śledzić nie było komu.

Starosta tej nocy spał, jak zabity. Kosuś był na hulance.

Wpadli obaj do marszałka, żebrząc sprawiedliwości. Pan Opaliński starzec już zniedołężniały. ofuknął ich, żeby sami ścigali złoczyńcę, a milicyi miejskiej ani drabantów tknąć nie można, bo któż wie, co jeszcze nas czeka. I słusznie; któż wie, co jeszcze nas czeka!... Garstka załogi i dwóch starców, prymas i marszałek—oto wszystko, co miała wówczas Warszawa. Niechby się pojawił jakiś pułk kozacki w mieście, a niewiem coby się z nami stało. Wziąłby nas bez naboju.

I tak skończyła marny swej żywot, ona nieszczęsna kobieta, co lat tyle umiała trzymać w więzach króla. Przeżyła go zaledwie o pięć miesięcy. Zeszła w tej zawierusze strasznej niepomszczona. zapomnian.j. bez pogrzebu, bez rozgłosu, bez przygotowań wszelakich.

Skryte sądy twoje o panie.

szlachta i panowie na elekcyi do Warszawy, a za nimi Chmielnicki pod Zamość.

Po złupieniu srogim Lwowa, spaleniu przedmieść i okrucieństwach, których się Tatarstwo dopuszczało, nie szczędząc nawet szymatycznej cerkwi Śgo Jura, po wyciśnięciu okrutnych sura okupu z biednych mieszczan—stanął pod Zamościem i zapowiedział groźnie, że się nie ruszy, dopóki nowego króla Polska nie będzie miała, bo z panami traktować już nie będzie: Ne ma szczo howoryty!...

Z pieśnią obelżywą poczynając się od słów „Strach Boży bije lachy.” opasała ta mnoga ćma fortecę Zamościa, zagrażając Warszawie — a szli wielkim tłumem jeńców zagarnionych w niewolę, okrążeni stadami nieprzeliczonemi koni a bydła rogatego — przyległe pola na mil ośm okrywając.

Zdawało się, że mając taki nóż na gardle, pójdą obrady szybko a gorąco, i że pominięte będą te staroświeckie formy, co tyle drogiego czasu nam zabierały: ale gdzie tam —nie chciano ani na krok od nich odstąpić, wołając głośno: Raczej nam Chmielnickiego ujrzeć w Warszawie, aniżeli ustąpić tego, co nam ojcowie wiekami przekazali.

Zaczęto się więc ściągać wedle drogiego zwyczaju pomału i to nie wszyscy, bo większość panów senatorów wyładawawszy swej dobytek, uciekła do Gdańska.

Nareszcie Października rozpoczęło się wiecowanie pod Wolą.

Dwa okrutne obozy: Jeden pod Zamościem, drugi pod Warszawą. Jeden zabierał się do złupienia nagromadzonych skarbów w zamojskiej fortecy, drugi do obioru nowego króla. Tam panował ład, porządek i posłuszeństwo — tu się kłócono.

Marszałkiem obrany został Wojski Mozyrski, Obuchowicz, mąż wielkiego rozsądku i zadziwiającej wymowy.

Dwie partye stanęły do walki; Wiśniowiecki okrzyknięty we Lwowie forsą Radziejowskiego, który się przerzucił teraz na jego stronę, hetmanem postanowił przeprowadzić elekcyą królewicza Karola. Ossoliński zaś z Kisielem stali przy łanie Kazimierzu.

Było tedy dwóch elektów, których losy ważyły się, aż do ostatniej chwili —ale trzecim najsilniejszym był Chmiel, któremu gdyby się zachciało korony polskiej, mógł po nią przyjść i wziąć ją sobie, a niktby nie ważył się dziś marne: o wyrzec słowa. Wołał jednak rozkazywać z ptid Zamościa. Powiadają, że później miał żałować tego.

Sknera księżyna whił sobie koronę w głowę nie żartem, a ona passya tak silnie nim owładła, że przemogła nawet jego chciwość, bo oto w swej Jabłonnie, kazał zastawiać stoły z kosztem i przepychem wielkim i karmił a poił szlachtę na za

bój, jeździło tam bractwo ciągle, jak na odpust. Droga do Jabłonny roiała się tłumem wozów, kornych i pieszych.

— Najadłeś się w Jabłonnie?

— A najadłem.

— A napileś dobrze?

— Ale jaki

— Cóż? dasz za nim kreskę?

— A no dałbym, żebyśmy tylko od jedzenia wybierać mieli króla.

— Ofiaruje się iść na wojnę.

— Śpiewać miserere. Bóg zapłać.

Takie rozmowy się słyszało, jedli, pili a potem drwili w żywe oczy.

Urosła nawet pioniczka, którą temi czasy śpiewano:

Uderzono w wszystkie dzwony.

Dobry będzie król z Jabłony

A teraz mówią chłopięta

Lepszy będzie z Nieporęta.

Królewicz Karol jednak nie tracił nadziei.

Obietnicą wystawienia wojska, na które chciał łożyć wielkie summy, pozyskał panów ukraińskich, jak Zarebę biskupa kijowskiego, Sanguszkę wojewodę wileńskiego, Tyszkiewicza i wszystkich nieprzyjaciół Ossolińskiego. a była tego ich ćma wielka.

I znów między braćmi zawrzała sroga walka, a walka to była na śmierć i życie.

Łapano stronników Karola do Nieporętu, gdzie siedział Jan Kazimierz otoczony jezuitami, oddany nabożeństwu: ale mimo to ugaszczający szcudrze panów i szlachtę, poparty przez królowę, francuzkiego posła, który ich swatał. Ossolińskiego i Kisiela.

Mieliśmy Karolistów i Kazimierczyków.

Psiarnia Jana Kazimierza rozlała się szeroko. Nie było winiarni, nie było szynku, zajazdu, gdzieby ich nie było. Tam to dopiero można było usłyszeć przedziwne historyę.

— Pokażcie mi takiego pana—prawił pan Sulerzycki z oną łapą obciętą przez Bzowskiego — co to w każdym stanie wypróbowanej mąż cnoty. jak wojak, to już woj ale całą duszą — co to on dokazywał z Francuzami, kiedy był w wojsku cesarskiem —jak ksiądz jezuita, to już taki, że zdumiewał połcorą wszystkich—jak znów ksiązę kościoła, to powagą wielką i mądrością dziwił.

— Tać też to u niego niestałość charakteru — dorzucono tam gdzieś z kupy.

— Niestałość, niestałość—to animusz rycerski. ale nie niestałość. Dajcie mu tylko co do roboty, niech bije Kozaków i Tatarów a zobaczycie wtenczas niestałość.

Owdzie znów pan Trzcziński cięty już dobrze, płacze i rozczula wszystkich podtatusiałych ojców, wynosząc nabożeństwo jego:

— Niech się udławię tym oto kieliszkiem —mó

wi. szlochając—jeżeli kiedy był pan w Polsce pobożniejszy i świętszych obyczai nad niego. Toż to u nas jak dzień długi nabożeństwo i owe przystojne a budujące czytanie żywotów świętych... to znów...

— A nocą latanie za podwikami. Znamy takich świętych, — przerwał mu któryś.

— Co to nocą. nocą i w biały dzień zwierzyną się nie gardzi. A malo to tego powpadało na jego rożen.

— Bójcie się Boga!—woła znów pan, Rokossowski, co siedział w kupie jurnych rębaczów a uszyma strzygł na wszystkie strony. —Bójcie się Boga—czyż to już wzbroniono grzesznemu człowiekowi kosztować darów Bożych? Czyż to królewskie ciało ulepione z innej gliny, a krew nie taka czerwona, jak nasza — a toć uderzmy się w piersi i stary miody, wiele to my na sumieniu dźwigamy.

— I prawda, i prawda— gruchnęli jego towarzysze.

— Bzdurysz aś —rzekł pan Gorczyński. Wojski Nowogrodzki, sławny ze skromności a wiary małżeńskiej. bo gdy mu zalecono, aby wiarę złamał żonie, że inaczej umrze: To umrę—odpowiedział, a wiary nie złamię—i umarł.

Ten tedy Wojski powstał srogo na rozwiązłość królewicza, wyliczając jak z książki, wszystkie jego sprawki.

Zdziwiliśmy się niezmiernie jego pamięci osobliwej i świadomości rzeczy. Króle

wież wyszedł z tych opatów czarny, jak sadze — a uwierzono w to tem więcej. że człowiek, który to mówił, był nieposzlakowanej poczciwości.

Wszczęła się dysputa sroga. Ci za winy, a tamci za zalety, gwałtem brali on. % rozwiążność tak. że oburzali wszystkich na siebie i już doszło na ostre—aż też i powstał pan Winnicki, cześnik rawski i dobił go swojemi argumentami.

— A pamiętacie to panowie jego pogardę dla narodu polskiego. Toć jego słowa, że Polakiem się brzydzi, że każdy u niego człowiek, tylko nie Polak. Było to jeszcze za życia królowej Austryaczki, nim do zakonu jezuitów wstąpił, podczas podatkowego sejmu.

— Prawda, prawda—zawołano chórem.

— A niech go wszyscy dyabli wezmą!

— Piękny mi król, eo pogardza narodem, któremu ma panować.

Zrobił się gwar i pogrożki posypały. Szczekacze umilkli i wynieśli się chyłkiem gdzieindziej kaptować. bo tu już niebezpiecznie było włązić do ognia.

Ten zły. ten niedobry, a króla gwałtem trzeba. Szlachta radziła, panowie radzili. Tatarzy palili, już tylko dwie mile od Sandomierza.

W sali sejmowej stanął Brzozowski, kurryer zabłocony z ładownicą i pasem od bandoletu. donosząc, że Kozacy Brześcia litewskiego i Kobrynia

już dosięgli, że chłopci około Brześcia kosy nabijają.

Nic to nie pomogło. jedni wołali; Obrona! a, potem elekcyja —drudzy krzyczeli: Elekcyja, a potem obrona!...

Szły więc obrady nad obroną.

Wybrano wreszcie hetmanem księcia Wiśniowieckiego, .ile że hetmani jeszcze obaj żyjący w niewoli, nazwano go regentem.

Nad wymyśleniem tego tytułu, radzono dzień cały.

Przyszła kolej na wojsko. Senatorowie przyciśnięci wołaniem szlachty, aby się dekiarowali. ile który przystawi ludzi własnym kosztem, zaczęli się kurczyć i wzdychać na ciężkie czasy — obiecywali wreszcie po po ludzi.

Petrykowaki podkomorzy różański oburzony do żywego skąpstwem wykrzyknął.

— Łądujcie wozy i skutny, zostawiajcie nas na mięsne jatki, ale przysięgam: zbierzemy się z bracią i będziem was zabijać!

A pan Sarbiewski brat poety dodał:

— Albo nasi uciekli, albo Kozacy? Ja sędzę, że Kozacy, bo ich się nic boimy i nie myślemy ich oddalić.

Nadjechali regimentarze i koinmisarze a między nimi Radziejowski.

Rzucono się na nich z obelgami i złorzeczeniami.

— Co chcecie od nas, wszak straciliśmy wszystko.

— I wstyd razem—dodano a boku. A na to Albrecht Radziwiłł:

— Z chłopów zdarto, do chłopów wróciło.

Za Radziejowskim. posypało się ze Lwowa mnóstwo skarg i zażaleń do sejmu, że złupił miasto, osobliwie Grajewska kołatała, prosząc sprawiedliwości, bo ją zubożył do szczętu.

Pochwycono skwapliwie. aby się zemścić nad tym dyabłem — i kłócono się znów po staremu a potem sądzono, jak za dobrych czasów.

Wtem przychodzi wiadomość przez Michałowskiego, stolnika rożańskiego, że Chmielnicki w . komunika idzie wprost na Warszawę, gdzie w Środę lub we Czwartek spodziewać się go można.

Przystąpiono do elekcji.

Wtedy niecny Radziejowski powstaje i woła, że nie pozwoli na elekcją. dopóki skarga wdowy uchyloną i zdjętą z niego nie będzie.

Zdjęto skargę i wdowę oddalono.

Rozpoczęły się posłuchania posłów kandydatów.

Stał biskup kijowski w poselstwie od królewicza Karola i jął wyliczać jego przymioty, podnosił jego zasługę w wysłaniu na tę wojnę swoim kosztem ludu ognistego. Gdy atoli dla większego tej ofiary podniesienia dodał, że księżę chce sam na czele wojska wyruszyć przeciw nieprzy

jacielowi i albo zwyciężyć lub zginąć —rozśmieli się wszyscy.

Od królewicza Jana Kazimierza, sprawiał poselstwo Tyszkiewicz biskup żmudzki. zachwalając jego osobistą waleczność. Zwracał uwagę, że będąc dziedzicznym królem szwedzkim, łatwiej pokój ze Szwecją doprowadzi do skutku, zrzekając się swego tytułu, i że zrzecze się także ekonomij swoich, rozdając je potrzebnym.

Argumenta przypadły do smaku.

Chciano przystąpić do głosowania.

staruszek prymas począł śpiewać „veni creator,„.

Wtem prywata panów pruskich przerwała tak szczęśliwie ku końcowi zbliżające się dzieło.

Prymas w pół słowa urwał,

— Czego chcecie?

— Aby wakanse rozdawane były tylko obywatelom naszej prowincyi.

— Będą.

— Veni creator...

— Niech nam kanclerz ustąpi praw swoich do starostwa puckiego.

— Bobrze.

— Veni creator...

— Hola, jeszcze nie koniec!

— Cóż jeszcze?

— Gdzie pewnoś. Niech nam to da na piśmie. Dano. Staruszek musiał powstać i zbliżył się ku nim drżący z onym papierom, który wychwycili

mu z rąk — wtedy Brohocki. chorąży sochaczewski zawołał:

— Książd arcybiskup Maciej się zowie, nie Wojciech. Panowie pruscy nie zabijajcie go!

Śmiech powstał wielki z owego konceptu tak. że ledwie go Leszczyński zażegnał i do powagi w tak uroczystej chwili nakłonił.

Odśpiewano wreszcie Veni creator. lecz godzina była późna i na jutro odłożono głosowanie.

Otworzono królewski testament.

Wbrew prawu i zwyczajowi postąpiono.

Ale kto w tych czasach miał być stróżem praw a sprawiedliwości! Pod pozorem różnych racyj łamano je — a racyj tych było teraz tak pełno.

O Bzowskim nie było wzmianki.

Kostuś miał w dożywocie Bieliny na Księstwie raciborskiem.

Wszyscy dworzanie i wierne sługi uposażeni hojnie.

Mnie dostał się dożywociem folwark w ekonomii koprzywnickiej w sandomierskiem i kilkanaście sztuk z szatni pańskiej.

O nikim nie przepomniało królewskie serce, ho nawet odźwierni, woźnice, stajenni, lutniści, łowczy i wszelka podła służba, opatrzeni zostali, co daj panie Boże.

Czemuż o tym jednym zapomniał.

Czy zapomniał? Wszak miał mu zgotować żywot godny zazdrości.

Śmierć to, śmierć okrutna pokrzyżowała losy biednego królewskiego pacholęcia.

I jakże to je pokrzyżowała straszliwie!...

Ogołoco go też zaraz i odarto ze wszystkiego, Odjęto mu starostwo urzędowskie, matce odebrano Fałęcice. zdegradowano z sekretarstwa, z służby dworskiej, nieledwie ze czci.

Pamiętny to był dzień.

Oczekiwano wieści z Woli. Ważyły się jeszcze losy Karola i Jana Kazimierza. Królowa niespokojna kazała sobie dać znać o skutkach wotowania. Było umówionem między nią a kanclerzem, że trzy strzały armatnie na Lesznie miały jej obwieścić Karola królem polskim—zaś cztery Jana Kazimierza.

Było to rankiem, obok tej samej sali. gdzie się odbyło ono spotkanie Bzowskiego z Kozakami, obok kaplicy, w której stały zwłoki królewskie.

Zaraz po mszy świętej wszedł Bzowski błydy, milczący i klął przy trumnie, modląc się żarliwie, jak gdyby w tej modlitwie chciał utopić wszystkie boie i rozpaczę, co nim szarpały

Patrzyliśmy nań smutnie a jednakowe myśli chodziły nam po głowie.

— Co się z nim stanie? Wrogów tyle. Zda się. że wszystkie i dawne, i nowe zawiści powyłażyły teraz, ażeby go rozszarpać. Co z nim będzie?

Z komnat bocznych weszli: Platemberg, Ryl

ski, Zawadzki, Ubysz. Pac. Oświęcim i jeszcze kilku.

Wszyscy dobrej myśli i fantazyi, jak gdyby w dniach szczęśliwości i pokoju,

— No to i koniec dzisiaj niepewnościom, mimo to powiem, że szybko nam jakoś zbiegło bezkrólewie—rzekł Platemberg.

— Bo Kozacy nam na karku—dołożył Rylski —gdyby nie Chmiel, jeszczebyśmy się trochę pokłócili.

— To i dobrze, bom ja już zjadł resztki fortuny powiada Platemberg. —Samotrycze dyabeł wziął, jak swoje. Zamek czorsztyński w arendzie u Żyda— już nie mam co sprzedać, chyba relikwiarzyk po matce.

— To tali. jak ja—mówi Rylski. A na to Pac:

— Powiadasz, że już nic nie masz do sprzedania? Wszakżeś starostą czorsztyńskim, sprzedaj swej stołek: sądowy.

Za wtórzyli śmiechem wszyscy, a ten dalej prawi:

— Żyd ci dobrze zapłaci i będzie sądził sprawy z obu registrów. Teraz się sprzedaje wszystko. Jam sprzedał prawo ojcostwa bękartowi Jadwizki i za to, jeszcze w dodatku mam syna.

Tak było w istocie. Wymogli panowie ua Kostusiu, że się zrzekł swego nazwiska de Waza a Pac przyjął go do herbu i do nazwania, kazawszy sobie za to dobrze zapłacić.

— Nic już po nieboszczyku wziąć nie można. Kazanowscy rozdrapali resztę, użala się znów platemberg.
Aż też i Żabicki się podniósł i mówi mu:
— Wstyd wam tak narzekać panie koniuszy. Czy to was nie dochodzi pensya od marszałka?
— Ty bratku, który się żywisz bibułą i lichą polewką u pani Marcinowej. a za zabawę ci starczy tuzin koszlawych rymów, to dobrze, ale nie my.
Połknął chudy pacholek pigułkę i zamilkł. A wtem Ryłski;
— Cierpliwości—posypią się królewsczyzny.
— Zobaczmy Karol. czy Jan Kazimierz.
— Obaj oni kutwy — rzekł Zawadzki — jednak wolę Jana Kazimierza — lubi niewiasty a gdzie one. tam i fortuna z rogiem obfitości się wlecze.
I gdy tak rozprawiają a nam uszy wędną od tej sprośnej gawędy, wchodzi między nich Bzowski blady, z pałającym wzrokiem, wzburzony.
— Ostrożnie szlachetna młodzi—rzecze — bo ten tam w trumnie słucha waszej budującej rozmowy.
— A to zkąd waść się tu wziąłeś, jegomość panie bękarcie — krzyknął Platemberg,—Waści się zdaje, że tu jeszcze dawny porządek panuje, gdzieś mógł bezkarnie jadać przy jednym stole z nami i pić z jednego kielicha, a potem przymawiać szlachetnie urodzonym? Dosyć! Wiedźże

teraz mój kochanku, że miejsce twoje w czeladni a do każdego z nas tylko z ukłonem głębokim mówić wolno.
Bzowski się powstrzymywał, choć kipiało w nim wszystko.
Czy tej św... naprawdę rogi urosły? —rzeki zwolna.
— Mamże płazem szabli wypoliczkować tego nędznika!—porwał się Platemberg.
— Zaraz, wprzód cię stemplem moim naznaczę nierogaczu —i posuną! ku niemu ze szpadą.
— Szymonie, daj rozumowi przystęp — rzekłem.
— Rozumowi? — dla niego tylko kułak argumentem. Baczność panicze! Doświadczyliście już nieraz, czem bywa moja ręka. Ktokolwiek jara dziś dla was. pamiętajcie, żem trzodę zwierząt taką. zawsze ua wodzy trzymać umiał.
Struchleli prawie wszyscy, a Tac postąpił do Platemberga.
— Daj pokój — jeszcze kaptury nie u.stały — chcesz zrobić burdę?
— A bierz go dyabli — rzecze—ale czegoż się ten królewski bękart mięsza!
— Puść go, jego godzina już wybiła.
A wtem wystrzały armatnie nas doleciały.
— Ot mamy nowego pana!—krzyknęli—i w teźże chwili wpadł do komnaty Zięba, licząc:
— Cicho! dwa. trzy... cztery! Skończone interregnum. Vivat Joannes Casimirus Rex! A wa

ście tu liczycie głośno, ile też to ochłapów z pańskiego stołu wam się dostanie? Krzyczcież victoria, bo wspaniały, dobry król wam się dostał — drzeć się da.
— Głupio błaznujesz—rzekł Platemberg.
Ale ten wpadł już w swej ferwor i przycinał na wszystkie strony.
Poklepał Platemberga po brzuchu.
— Oh, ty becčko Danaid nienapełniona nigdy, połknąłbyś województwo kijowskie i byłbyś głodny.

— Zdrówem i mam dobry żołądek — mruknął. A ten żołądek rozrastał się u niego coraz bardziej.

Zostawił Platemberga, a zabrał się do Paca.

— A ty przemyślny francie, będziesz łakotki wynajdywał panu, za które sobie każesz dobrze zapłacić.

Odwrócił się doń tyłem—a ten znów wpadł na Żabickiego

— A ty chudopachole, co klecisz rymy ex re wszystkich głupstw, jakie się na świecie płodzą— dierz się szabli, bo pamiętaj: „Błogo temu przy dworze, komu doma pług orze.”

I tak objechał wszystkich. Wtem spostrzegł Bzowskiego.

— Z waścią bieda panic filozofii, panem być nie możesz, a sługą być nio zechcesz. Zostań błaznem, mądrze gadać potrafisz.

— Tyś już nim został. Idźże swoją koleją i

patrz, gdzie się z komina kurzy. Mnie zostaw— bo mimo blażeńskich dzwonek twoich, mógłbyś się czego u siebie nie domacać.

Cały fraucymer wszedł do komnaty.

Pierwsza de la Marinierie pobiegła do Ziembry.

— Jaki król Monsieur Ziembra?

— Kto królem, chcesz powiedzieć piękna de la Marinierie; pan, który trzyma miary pół trzecia łokcia szlązkiego — ma dwoje nóg, dwie ręce, dwoje oczu a nos pośrodku, i t. p. rzeczy. jest zdrów, silny i dużo poradzi. Życzę wam szczęścia.

I wybiegł prędko z izby. Langeron wyszczebiotała:

— Je ne comprends pas. Ja tak mało po polska umie.

Serce mi zabiło i postąpiłem ku Franczce.

— Jan Kazimierz nadobna Żeni —mówię.

— Bravo! Ce sera un roi sublime.

A wtem Bzowski postąpił ku swej dawnej bogdance. Wszystkich oczy zwróciły się na niego.

— Dzień dobry. piękna de la Marinierie.

— Dzień dobry—rzekła kwaśno.

— Czemuż odwracasz tę anielską główkę? Wiem, że już nie mam prawa do tego ślicznego grymasiku... i tej małej rączki już uściskać nie mogę. Jestem bankrutem—ależ na piękny kwiatek i żebrak spojrzeć musi. Więc już wszystko skończone między nami?

A uśmiechał się zjadliwie.

— Monsieur wie dobrze.

— Inaczej przemawiałaś.

— Zmienił się czas... Monsieur Bzowski jest dziś niczem.

Zmierzyła go spojrzeniem i poszła ku oknu.

— Ha! ha! ha! ha!—zaśmiał się szatańskim głosem—ta przynajmniej szczerza. Tak? dziękuję ci chłodna handlarko. Oli. odpłacę ja wam w dziesięćkroć!

Postąpiłem ku niemu i jąłem mitygować.

— Nieobawiaj się—rzecze— choć piekło czuję w piersiach... ale się trzymam na wodzy. Wyjść tak jednak ztąd nie mogę. Trzeba się z nimi pożegnać.

— Hula!—krzyknął, występując na środek sali. —Prześwietne grono dworu ich królewskiej mości—ja nigdy z tejsze barwy, pożegnać się z wami pragnę.

Nastąpiła cisza i wszyscy zwrócili się ku niemu.

— Od płci nadobnej pocznę i od tej, co niegdyś gorącym afektem uszczęśliwiała najniższego ze sług swoich. Bądźże mi zdrowa, ty córo Francyi piękna — będziesz zawracała wygolone czupryny panów naszych, jakieś moję tumań, kiedy łuska królewska, jak piękna suknia świeciła mi na barkach. Niedawno jeszcze omdlewałaś mi w objęciu, płonęłaś żarem ognia, usta paliły się jak rubiny a zęby szczękały z lubieżności. Dziś chłód zimny mi dajesz? Więc to wszystko było kłamstwem — albo raczej towarem wystawionym

na sprzedaż. Życzę ci szczęścia w tej jeździe, Rachować dobrze potrafisz, ale pamiętaj, że te głupie serca ludzkie, zmacą ci twoje plany — ty kuglarko! Nadobna Lascaris, de Lusse. Langeron. Gordon—patrzcie w nią—to mistrzyni w dworaków sztuce.

Śmiech tylko odpowiedział na tę jego mowę.

Żabicki szepnął:

— Przyjdzie i na was kolej.

— Ja idę do marszałka — rzeki Rylski — nie możnaż mu pozwolić tyle.

A Bzowski już z dziwnym spokojem dalej mówił:

— Do was teraz słów parę. Niedawno jeszcze błyszczałem dla was, jak motyl wszystkimi kolorami tęczy — dym pochlebstwa wonny dusi! mnie, bożyszczem wam byłem a łask królewskich szafarzem, Ty z mej dłoni, masz Kawęczyn — rzekł do Platemberga, Jam ci dał starostwo międzyrzeckie — do Zawadzkiego. Dla ojca twego wyprosiłem ksztelanją sieradzką.—do Ubysza. Brat twej wyżebrał u mnie starostwo żaboklickie —do Paca—a dziś jesteście tyle nikczemni, że niewdzięczności waszej nawet płaszczykiem obojętności przykryć nie potraficie, ale pogardę nagą

i głośną mi dajecie, Nędzni! rzucacie mi w oczy nie moję przewinę, ale tych, którzy umie poczęli. Karmicie mnie jadem złości za grzech, którego nie popełniłem. Ale wiedźcie, że nie złorzeczę losom za to, czem jestem— złorzeczę im tylko za

to, że w was wszystkich poznać musiał bo wy zmuszacie mnie przeklinać rodzaj ludzki i między zwierząt dzikich skryć się gromadę. Nic ztąd nie biorę. Patrzcie! Oto dowody łaski królewskiej — tu zrzucił z siebie na ziemię łańcuch kosztowny, spinki i pierścionki. Tamtym, aż się oczy zaiskrzyły.

— Dostyc mi dał z siebie, bo krew i ducha swego. Bogatszym jestem od was wszystkich, choć liczyście ziemię i zamki a klejnotem naddziadów się stroicie. Wychodzę ztąd, unosząc cześć nieskażoną męża i wiem, że ten mi z góry błogosławi.

I wyszedł, jak prawdziwy syn królewski, a nieboszczyk pewnie w tej chwili go błogosławił.

— Głupi półmędrak — rzekł pierwszy Ubysz, schylając się po one świecidła, które rzucił. Niechże złoto do złota pójdzie, jak tam w Habdankach stoi.

— Pańska krew—rzekł Żabicki.

— Chamskie to są racye, niegodne dworskiego człeka—dorzucił Platemberg.

Francuzica zaś wyrzuciła tyle tylko:

— Gest un fou!

Wstyd mi było za siebie i za nich. Uczułem w tej chwili pogardę i obrzydzenie prawie.

Wpadł marszałek Kazanowski z łaską, za nim Ziomba, który dziwnie w nowym dworze rozgospodarowywać się umiał. Poznaliśmy, że to nie

wszystko złoto, co się świeci na człowieku, Dla chleba, umiał zmienić pana, jak koszulę.

— Gdzież on! — rzekł z furją Kazanowski.

— Kto?

— No ten liszaj królewski, co śmie szlacheckiej młodzi przyganiać. Kijmi oćwiczyć każę niecnotę.

— Ta przy trupie królewskim? — rzekłem już oburzony do żywego.

— Zanadto mu brykać pozwalał. Oto skutki! Ale się to skończyć musi.

Taka to nienawiść kipiała w sercu tego człowieka, dla biednego królewskiego syna.

Pobiegliśmy z Żabickim do dworku a pędziliśmy tak szybko, żeśmy dogonili Bzowskiego już przed samym domem. Szedł on z dobrą miną. jak gdyby nic nie zaszło, a nawet piosneczkę nucił sobie pod nosem.

— No. dobra nasza! — krzyknął Żabicki. tak źle nie jest.

— A co ma być? odrzekł, witając się z nami z ową serdeczną swobodą, jak to było u niego zawsze i czem tak umiał zjednywać sobie ludzi.

— Żabicki myślał, że się już zamartwisz — rzekłem.

— Ja? a to czem? Byłem przygotowany oddawna na to mój bracie. Dobrze się stało, jak jest. Wszystko się składa mądrze na tym bożym

świecie. Nie winienem nic ludziom, krom życia, ro też je dla nich poniosę chętnie. Tak w gwiazdach było napisane. Temu, który ma być dziedzicem naszych najdroższych wierzeń, niezapisuje się lichego folwarku lub wioski, dla takiego ma się przy śmierci ostatnie słowo pożegnania — nic więcej.

Już wpadał na swój tor. szczęściem, żeśmy weszli do domu i na inną materą skierowali rozmowę.

Tu zastaliśmy znów panią Bzowska. zamyśloną ponuro i prawie bezmowną — przyjęto nas wprawdzie jak zwykle z ochotą i gościnnie, a to też i na tem się skończyło.

Wdowa powitawszy nas, zadysponowała słudze traktament, potem wysunęła się do alkierza i nie pokazała się więcej.

— Biedna moja matka rzekł Bzowski — leży jej na sercu ta mamona, z której mnie ograbili. Niemogę jej wyperswadować, że ona dla mnie niczem. że dla mnie potrzeba tak mało do szczęścia i do życia tak mało. Wczoraj, gdy doleciały wieści, że mi wzięto wszystko — wybiegła z domu jak szalona, poszedłem w jej tropy. Była u marszałka Kuzanowskiego. Co tam wskórała, nie wiem, ale wróciła zła strasznie, ponura i milcząca, Obawiam się o nią — gotowa spełnić coś rozpaczliwego. Taka już jej natura, że jak raz co poweźmie, postawić na swoim musi.

— Nie zrodzi sowa sokola — rzekłem a Żabicki roi zawtórował i uśmielił się.

— Cóż chcecie — rzekł Bzowski wesoło — jam jej synem i chlubię się z tego. Natury nasze tak podobne do siebie, że boje się. iż w przyszłości będziemy musieli staczać walki, bo jedno drugiemu nie ustąpi.

— A ustąpić musi — rzeki Żabicki.

— jak w czem. Są sprawy w życiu ludzkim. dla których się wszystko rzuci na szalę.

— No, no, tylko nie miłość matki — rzekłem. Ale co tam o sprawach nie bywałych gwarzyć mamy. Myśmy tu przyszli do ciebie, aby pogadać o naszej doli. Obydwasz, jak nas tu widzisz z Żabickim rzucamy dworską służbę, bo już takiego pana nie będzie, jak był święty nasz nieboszczyk; a potem po dzisiejszej awanturze, gdzie to na jaw wyszły wszystkie zdrożności szpetne u tych ludzi, wcale ochota nie zbiera, aby z nimi dłużej żywot prowadzić. To, co mam z szcudrośliwości królewskiej, dożycia mi wystarczy, a dołożywszy do tego fortunę po ojcu, mogę żyć dostatnio a

nawet pańsko. Żabicki z uzbieranym groszem, kręci się za jakimś folwarkiem, a że moje Trzykozy a wasze Jurkowice nie daleko siebie, chciałby wleźć w środek, a jak się nie da, to choćby i z brzegu którego z nas usiąść tak, żebyśmy wszyscy trzej byli w kupie. Cóż ty ua to Szymonie?

— A z serca mojego tylko przyklasnąć waszemu

projektowi. Matko! pójdźże tu posłyszec, co Krzysztof uplanował — ale matka nie wyszła.

Pobiegł do alkierza. tam rozmawiali coś z sobą a myśmy tylko usłyszeli te słowa:

— Zostaw wszystkie plany, jeszcze ich robić nie pora. Tak się skończyć nie może.

Zdziwiły nas trochę te jej słowa. Pan Bóg że ją, wie. co ona tam ma w myśli — a tymczasem chcąc zatrzeć niemile wrażenie i obrócić rozmowę na tor inny. rzekłem:

— Powiedźcie też. co się dzieje z Imć panem Wypyskim. Nie widziałem go od owej chwili, kiedy przybiegł z Kostusiem do marszałka, prosząc sprawiedliwości.

— jak kamień w wodę—rzeki Żabicki — nikt go nie widział.

— Pognał za mordercą swej Jadwiżki.

Ukartowane i uplanowane było to wszystko arcy mądrze, w chwili największego popłochu, kiedy każdy tylko myślał o sobie i swoim bezpieczeństwie.

— ?le z oczu patrzyło temu hultajowi.

— I jak myślicie — rzekłem — czy to on jeden dokonał tej zbrodni — czy miał ze sobą współników?

— A któż go wie?

— Otoż ja wiem. że miał. Byłem w ratuszu, gdzie z toku śledztwa pokazało się, że ów porucznik Niemiec palce w tem moczył, bo i on również zniknął.

— Cóż na to pan Wypyski?

— Musiało w nim zakipieć i zapomniał pewnie o ten... tego... to...

— Nie widziałem go. ale myślę, że tak było. Jednak dziwne to sprawy. Ten Kostuś taki obojętny i ospały, jak zawsze. Swęda się przy dworze, jak gdyby nigdy nic — w duszy może i kontent z tego. że już nie będzie miał nad sobą strażnika swoich czynów. Dziwne, dziwne sprawy.

— Ale przecie o nich dowiemy się czegoś jeszcze.

Z Kostusia i Jadwiżki. zesłiśmy na nowego króla.

Znaliśmy go wszyscy dobrze i smutne wróżyli panowanie—a jak się one wróży sprawdziły, to widzimy dzisiaj.

Śmieli się z królewicza Karola, że mnisich obyczai, że sknera. że twardego serca, że nieprzyjemnego oblicza i wiele mu różnych brzydkich wad wytykano, ale tamten był człekiem, jak to mówią z jednego kawałka, a na tego składało się cząstek rozmaitych mnóstwo —i kolejno był tem, znowu owem —jak tam wiatr zawiał, albo jego zmienna natura mu kazała. Żołnierz tylko był z niego dobry co prawda, jak się niżej zobaczy.

Gdyby nie Chmiel, możebyśmy mieli innego króla, ale jego to wola przeważyła, że obrano Jana Kazimierza. I ktoby to był powiedział jeszcze przed kilku miesiącami!.. Widzę go w onej gospodzie, kiedy mu łeb skaleczył konwią pa

chołek ot tak sobie Kozak, jak wszyscy —potem u nóg króla, kiedy żalem porwany, potrafił litość poruszyć w nas wszystkich. Tu już stał on człowiekiem całe wyższym, ale żeby doszedł do tego. czym dziś jest?... Ha. czasem Bóg za narzędzie sobie obiera takich i srogo nimi doświadcza.

Lubo upływały nam chwile szybko na tej gawędzie, bo to dzisiaj było materyi tyle, że niewiadomo od czego zacząć, boć przeżyliśmy lata całe przez te półroka — a ile jeszcze ich przeżyć będzie trzeba — to przecież mierziło nas to zamknięcie się gospodyni. Bzowski ustawicznie na drzwi alkierza patrzył, a i my też tem trochę skonfundowani zabierali się do odejścia markotni, że nasze życzliwe chęci przyjęto nie tak, jakieśmy tuszyli sobie. Wtem drzwi się otwierają i wchodzi do izby postać niewielka, chuda, z niskim ukłonem, a przemawia dziwnie melodyjnym i słodkim głosem:

— Pochwalony niech będzie Ban Nasz Jezus Chrystus.

— Vo wiek wieków—odpowiedzieliśmy.

Po tem nowem powitaniu, które teraz zaczynało wschodzić w zwyczaj poznaliśmy jezuitę.

Był to on ojciec Tyrawski. co .szczury umiał wyganiać, a którego poznałem u .Jadwiżki. Był on dziś jednym z kapelanów królewskich

— Czy zastałem jejmość panią Bzowską?

— jest w domu, ale niedomaga trochę i widzieć

się z nikim nie może. Jam jej synem, jeżeli raczycie wynienić cel waszego przybycia, mogę...

— Darujcie mi łaskawie, samą jejmość panią widzieć pragnę. bo jej tylko powiedzieć mogę. z czym przychodzę.

I gdy się Bzowski zawahał. czy ma uprzedzić matkę o tej dziwnej wizycie, już drzwi alkierza się otwarły i osoba duchowna po za niemi znikła.

A stało się to tak nagle jakoś i tajemniczo, żeśmy się nawet dobrze przyjrzeć nie mogli temu przybyszowi — spoglądaliśmy też po sobie zdumieni—a Bzowski rzekł:

— Matka coś zamyśla i przeczuwam, że zamyśla coś niedobrego przedemną w tajemnicy. Ten czarny jegomość, który szczury wyganiać umie. nienapróżno tu przyszedł i nie za szczurami pewnie. Włazą oni teraz wszędzie jezuickie rządy się zaczynają.

I nie mylił się.

Co zaś Bzowska uplanowała. zobaczymy to rychło.

Nowy król odbył uroczysty wjazd do Warszawy. Pierwszy jego krok był skierowany do zamku, gdzie stały jeszcze zwłoki nieboszczyka.

Z rana. była godzina jedenasta, gdy dworzanin stojący na służbie u podwoi oznajmił marszałkowi:

— Jego królewska mość, król Jan Kazimierz,

z braterskim afektem przychodzi do zwłok nieboszczyka króla Władysława.

Zebraliśmy się wszyscy na oną instalacją nowego króla. Był to ostatni nasz dzień. Odtąd każdy z nas albo zostać, albo iść z Panem Bogiem miał w świat szeroki.

Staliśmy smutni i przygnębieni. Żal było opuszczać tych murów, gdzie tyle pięknych dni człek przeżył, ale gdy pomyślał, że one już nie wrócą, jak nie wrócić tych fal, co je tam szara Wisła pod zamkiem toczy, gdy się zastanowił, jakie to teraz rządy przyjdą, jacy to teraz ludzie obsiadać będą królewskie uszy—tak znów ochota brała wyleć co prędzej.

Drzwi otwarto na roścież i weszli najprzód dwaj marszałkowie wielcy, koronny i litewski, dalej dwaj miecznicy wielcy, dalej dwaj chorążowie, dalej podkomorzowie a za nimi nowy król Jan Kazimierz w gronie senatorów koronnych i litewskich, dworzan swoich i paziów.

I gdy cała ta cizba weszła do sali, postąpiła ku kaplicy, wślad za nimi wpadła Bzowska z synem, który ją trzymał mocno za rękę i nie chciał wpuścić.

Ciarki mnie przeszły po skórze, bo nigdy jeszcze nie widziałem jej taką. Suknie jej były w nieładzie, włos rozpuszczony — jak gdyby na pół obłąkana lub pijana.

Co to tu z tego będzie, pomyślałem.

— Puść mnie synu—wrzasnęła.

— Matko—rzekł Bzowski — przez miłość dla tego, który tam trupem martwym. On się poruszy ze zgrozy. Matko nie czyn tego!

— To dla ciebie niewdzięczny.

— Ja niczego nie żądam. Niedawno tu podeptałem nogami te błyskotki. a teraz ty matko chcesz żebrać dla mnie? Oh. matko u nóg się twoich kładę. Patrz, mam zdrowe i silne ręce. pracować będę jak najemnik, aby życie utrzymać. Ale przez Boga, nie poniżaj swej godności.

— Zabrali nam wszystko! Folwark mi został lichy. Tyś niestworzony za pługiem chodzić, synu. Ja im nie oddam tego. jak Bóg w niebie. Do nóg padnę Jana Kazimierza, on braterską wolę poszanować musi.

— Kie poszanuje.

— Zobaczysz, pozwól mi działać cbłopcze. Tu zaczekam, a po wyjściu z kaplicy prosić go będę.

Co raz więcej ludzi zaczęło się przysłuchiwać tej scenie a między innymi Kostuś pyszny, wystrojony, z zadartą głową i szyderskim uśmiechem rzecze:

— Czego ta hołota przyszła się klócić tutaj? Bzowski popatrzał nań tak, że struchlał i wsunął się w cizbę sług i dworzan.

Przypadł ku niej z prośbami.

— Matko, także to mało honor swej cenisz, aby go wystawiać na drwiny i szydercze przymówki tych ludzi!.. Ja ze wstydu pod ziemię się schowam.

A ona z uporem swoim i zaciekłością:

— Dużo już zniosłam i zniosę jeszcze dla ciebie.

— jeżeli to uczynisz matko, to ci przysięgam tu, wobec trupa, że nigdy nie tknę tej wyżebranej spuścizny — raczej z tego okna na bruk się rzucę.

— O ty głowo wichrowata, tyś nie poznał jeszcze, co bieda!

Wszystko zniosę, prócz hańby. Przysięgam ci na Boga, na cnotę, na honor mój. że będę szczęśliwy przy tobie—to, co mamy, wyżywi nas oboje a ja pracą więcej jeszcze przysporzę.

— Upominam się o to, co mi prawnie przysługuje—rzekła z dziwnym uporem, — Król Władysław mi to darował, dla czego nam wydarli niegodni!

— Matko, iakiemże to prawem zasłaniać się będziesz przed nimi? Pomyśl. że jedno słowo ubliżające twej części, gotowe tu trupem położyć syna twego, boja przeciw uchybić ci nie dam. I pomyśl, na co narazić się możesz!

— Bądź spokojny i u mnie język ostry.

Żal nas brał. patrząc na tortury tego człowieka, ale nikt z nas nie śmiał przemówić do tej kobiety, jakby ze stali. Ot. do czego ślepa miłość matki doprowadzić może.

— Boże! — wrzasnął już z rozpacz całą. — Wszak widzisz, że czynię wszystko, co w mocy

ludzkiej czynić można. A więc matko wręcz ci oświadczam, że tu wobec wszystkich odrzucę to. co ty u nich wyprosisz.

— Ty niegodziwy! — wybuchła z całą furją.— Do matki to twojej mówisz? Czemuż cię nie udusiłam raczej, aniżeli krwią wykarmiła moją i wypielegnowałam nato. czem dzisiaj jesteś. Synu niegodny, jam dla ciebie znosiła wstyd i upokorzenie ludzkie. Dziś drzę o przyszłość twoje, bo cię wyhodowałam na pana a nie na sługę — a ty moim planom w drodze stajesz i zamiast miłości, niegodną bronią walczysz? Oh synu!

Padł jej do nóg, całując ręce.

— przebac mi! Wszystko zawdzięczam tobie, prawda. Ale czemuż nie możesz pojąć, że mnie upokorzenie twoje wstydom rumieni, o matko? Czemuż nie chcesz zawierzyć dziecku twojemu? Oddał się ztąd a potem zrobisz, co zechcesz. O to cię tylko błagam matko.

— Zostań, już nadchodzą.

Był to marszałek Kazanowski. którego z cizby wywołał Kostuś niecnota.

Przyskoczył do wdowy, pieniąc się ze złości.

— Tyś tu kobieto? Czyż zapomniała, że twej rachunek już skończony?

— Zmazałeś go swoim bluźnierczym językiem, ale są jeszcze ucziwi, którzy mej krzywdy niedopuszczą.

— Będziesz jej szukać po sejmikach lub try

bunałach. ale tu w senatorskim kole. obelg nie rzucaj, boć głowa zleci z karku.

— Niech zleci, nie cenię jej wyżej nad hańbę. którą dziś znosić muszę — ale nim spadnie moja głowa, nie dam wydrzeć dziecku królewskiemu kęsa chleba, aby wasze szkatuły wypełnić,

— Niegodna kobieto przestań! jadłaś chleb wraz z bękartem twoim, kosztem drugich zasłużeńszych, którzy go nie mieli.

— I ja tego słuchać muszę —rzekł Bzowski,

— Dziś żebraczą weź torbę— mówił dalej Kazanowski. —Pamiętasz, kiedym ci radził, abyś syna swego uczyła pokory i sromu — ty ufna w łaskę królewską, pogardaś ranie obrzuciła—uczyłaś go nienawidzić tego. co czcić powinien.

Wówczas przyrzekłem ci zemstę i widzisz dotrzymałem słowa.

— Zem.sta wasza bezsilna panie Kazanowski — rzekł Bzowski.

— Precz!—krzyknął, zapominając się prawie. Powstrzymano go. bo król wychodził z ka, plicy.

Wyglądał majestatycznie. Na twarzy malowało się jakby zadowolenie z osiągniętych a tak gorąco pragnionych życzeń.

— Dziwnie piękne oblicze nieboszczyka—rzekł do idącego obok niego Radziejowskiego.

— jakby się uśmiechał do w. kr. mości i błogosławił bratu —odpowiedział pochlebca.

— Niech za nami prosi przedwiecznego o mi

sericordią, i będzie nam protektorem a orędownikiem w tem utrapieniu ojczyzny.

Wtem Bzowska wyrwała się z rąk synowi i stanęła przed królem.

— Najjaśniejszy panie —zawołała,
— Kto jest ta pani?
— Bzowską siężowię z Sandomierskiej szlachty ród wywodzę.
— Aha, jejmość pani Bzowska — rzeki, jakby sobie coś przypomina!, — Czegóż żądacie?
— Zabrano mi dobra, nadane przez króla nieboszczyka, dla jego krwi własnej. Nie poszanowano woli królewskiej. Sprawiedliwości żądam panie! Niech pierwszy dzień królowania twego, słońce dobroci oświeci.
— Ustąp wpani! — krzyknął marszałek Kazanowski —dobra te, posiadałaś wraz z synem twoim bezprawnie—nie masz na nich żadnego dokumentu, a w testamencie królewskim niema o was wzmianki.
— Dobra te, to własność moja i nikt do nich nie ma prawa, chyba po śmierci mojej,
Potem jakaby zbierając siły, poczęła krzyczeć oburzona:
— Wstyd wam o szlachto polska. ty królów niżej sług swoich stawiasz!... Odbierasz im nawet to. co lichy żebrak mieć może—pamięć wdzięczności!...
— Na Boga przestań pani!—rzekł król zalterowany już trochę—na progu moich rządów, zbyt

gorzką mi prawdę dajesz. Jeżeli bezprawnie ci wydarto, wróconem będzie.

— Bezprawnie królu panie, oto wydarto kobiecie, litora on kochał. całe jej mienie. Za życia pił od was gorycz bezprzestannie. bądźcież dlań po śmierci lepsi. Niech z po za grobu wam nie złorzeczy.

Obruszyło to wszystkich, a pan Radziejowski rzekł zjadliwie:

— Wasani za drogo płacić każesz. Rzeczpospolita nie może brać takich ciężarów.

Ale trafiła kosa. Usłyszał to. czego się nie spodzewał, bo z cała furją na niego spadła:

— A ileż to ciężarów ty dźwigasz nasumieniu oszczerco. zdzierco, łupieżco cudzego mienia, gwałtowniku plugawy?

Ileż to ran ta Rzeczpospolita od ciebie nosi? Ileż to pokrzywdzonych woła sprawiedliwości na ciebie. Toć gdyby prawa w tej Polsce szanowane były. winieś nie raz. ale tysiąc dać plugawą głowę na ofiarę.

Skręcił się. jak wąż chytry dworak, i schował się po za króla. Panowie byli kontenci. bo któż lubił tego dyabła?., a król rzecze:

— Uśmierz żal twej pani. Tak —przez pamięć brata, dobra zwrócone być muszą.

Ale zacierzewienie i złość ich doszła do tego. że nawet królowi przycięli:

— To nieniożebne —rzekł Kazanowski — konstytucją sejmu elekcyjnego już dobrami temi rozporządzono.

Król się zzymnął. ale wnet pohamował.

— Na Boga! toż ja rumienie się tu muszę przed wami. Mamże pierwszej tej prośbie a z natury swej tak delikatnej i słusznej odmówić? Nie — z mego stołu wynagrodzodzę waćpanią.

— O panie, tyś dobry—rzekła Bzowska—za to też oni umęczą ciebie.

Kazanowski chcąc już przerwać tę scenę okropną, cały drżący i zapieniony prawie, zapomniał się tak. że króla za rękę chwycił, mówiąc;

— Tam królewska wdowa oczekuje w. król. mości.

Król popatrzał nań chmurnie, potem ua Bzowską i wyrzekł;

— Dziwna kobieta.

Bzowski stał opodal, ukrywszy twarz w dłoniach.

Gdy król wyszedł. Kazanowski cały w passyi zwrócił się do niej.

— Precz, bo laskę moję zdruzgoczę ua tobie kobieto.

— Od katas jej pożyczył marszałku — rzuciła mu wściekie Bzowska.

Hola drabanci —krzyknął!

A wtem Platemberg potracił ją tak silnie, że się potoczyła do ściany. Idźże już czarownico!

Bzowski rzucił się nań nieprzytomny prawie, ale go powstrzymano.

Nikczemny! Matkę moję potrącasz i ja nie mam gromu. Żeby ciebie zdruzgotać.

— Wyrzucić ją za bramę! — krzyknął Radziejowski.

— Waż się. a oczy na tej podłodze zbierać będziesz—wykrzyknęła Bzowska.

Dochodziło do ostateczności: aż przecie jeden rozsądny i obojętny z panów, kasztelan rawski, odprowadził marszałka i Radziejowskiego, mówiąc :

— Zostawić ją radzę.

— Bierz czarci opętana — rzekł Kazanowski i podążył za królem a za nim reszta runęła z sali.

— Tak. tak. uciekaj nikczemniku — wykrzykiwała jeszcze. —Widzisz Szymonie, uląkł się głosu prawdy ten pomiot plugawy. Ha. zemściłam się. odpłaciłam im za krzywdy moje. Ty płaczesz dziecko?

— Pójdźmy matko.

— Płaczesz mej krzywdy?

— Płaczę nad nicością moją o matko! Otoczyliśmy ich kołem, bo żal nas zdjął srogi

—aż tu zbliża się doń człowiek, co stał we framudze okna. niemym świadkiem całej tej sceny. Był to Hrehory Bokiar. niegdyś skromny i nieśmiały assauia, dziś dumny i hardy poseł Chmielnickiego przybyły na elekcyą w zamian za zakładnika pana Miastowsłdego — przystąpił do Bzowskiego. wziął go za rękę i szepnął—tak jednak.

że ja stojąc po drugiej stronie słyszałem dobrze; — Zemsta, zemsta im!

KSIĘGA PIĄTA.

Wsi spokojna. wsi wesola.

Który głos twej chwale zdoła!

Śpiewał jeszcze nasz pan Jan Czarnowski, a i ja ją też sławię z głębi mojego serca.

Zda mi się, żem przeniesiony z jakiego utrapionego młyna, co to na proch przerabia wszystko i cnoty i zbrodnie ludzkie... i wszystkie żale i rozpacz... i uciechy, i gniewy... i ona całą szarpaninę, co życiem się nazywa... A co wtem zgrzytu, wrzasku, jęku, płaczu, śmiechu szalonego i szyderstwa.

Tu cisza taka, jak gdyby ten świat nasz maty deskami zabił.

Las szumi, dookoła osypany białym szronem śniegu—czasem się tylko wrona zerwie i zakracze—czasem podwórzowy kurta zaszczeka, albo ryk bydła ozwie przy studni.

Nie tak to łatwo jednak człękowi zrzucić z głowy ciężar wspomnień, nie tak to łatwo wymazać a pamięci to, co się przeżyło tali niedawno jeszcze, bo oto w ciszy nocnej one wszystkie obrazy i postacie zjawiają się we snach, w potwornych kształtach i dręczą—osiadają niby zmora na pier

aiach —zrywa się człek na równe nogi i krzyżem świętym ich odpędza, ale nic to niepomaga. wracają natrętne z większą jeszcze siłą i potwornością.

Po każdym takim śnie byłem chory i jakby z krzyża zdjęty. Schudłem tak, że ubranie wisiało na mnie. jak na patyku.

Pewnej nocy śnił mi się król nieboszczyk. Widziałem go w całej potędze majestatu, groźnym straszliwie. Wszyscy panowie i szlachta drżący, przelękli stali przed jego tronem, a on wielkim głosem. od którego mury zamku drżały, mówił:

— Zachłyśnięci wolnością i swywołą, zdało wam się. że archaniołami jesteście i deptaliście po sercach ludu. a potem jak szakale piliście jego krew. Gdym ojcowskim głosem przemawiał do was i nawoływał do cnoty i miłości, zakrzyczeliście w niebogłosy. że do absolutum zmierzam. Gdyni chciał w was zbudzić uśpionego ducha i nńecz naddziadów. co od Batorego czasów leżał w pyłe topić we krwi niewiernych, wy gnuśni ulękli. ścic się mojej myśli i cała falangą wytrąciliście go z mej ręki. I przyszło zło i ugięliście przed nim harde niegdyś głowy i pohańbiliście imię Polski na wieki. Gdzież są owi tyranowie, co z wolności uczynili narzędzie hańby i niewoli? Tu przed sąd mój niech stawają!

I widziałem, jak dumno niegdyś głowy Wiśniowieckich. Potockich, Koniecpolskich, Zaslawskich.

Kalinowskich, Radziejowskich korzyły się w prochu przed jego gniewem straszny.

— Ukarz nas panie—rzekli drżący — ale bądź sprawiedliwymi

Wtem król skinął na sługi, otwarły się podwoje i wszedł niemi Chmielnicki.

Był pogńębiony. Padł kornie do nóg królewskich, ucałował kraj szaty jego i oblewał łzami.

— Nie karz mnie królu wielki. bo ja nie przeciw tobie podniosłem oręż. nie przeciw tobie pobratałem się z pogany. ale przeciw wrogom, co nam praw ludzkich odmawiali — i oto zdeptałem ich tak. jak oni nas deptali... i oto stanąłem na wyżynie, gdzie nie bywał dotąd żaden z Zaporozskich hetmanów i nie będzie po wieki... jednak całą mą wielkość i potęgę u nóg twoich składam, ona mi nie dała szczęścia i nie da nigdy.....

W pośród największych moich tryumfów, robak jadł serce... zalewałem go trunkiem... i stawałem się okrutnikiem i krew niewinna płynęła w Ukrainie... Oh. czemuż mi losy nie dały tych dostać w moje ręce!—Tu się odwrócił ku panom i cała wściekłość i buta w nim zakipiała. — Byłbym ich powiązał w łyka i przywiódł przed twej trybunał a Ukraina byłaby wolna i szczęśliwa. Dziś jam twoim niewolnikiem... wracam ci ten oręż. którym mnie obdarzyłeś w chwili...

I tu jakiś straszny zamęt powstał. Wszy.scy ci podsądni, wybuchnęli piekielnym śmiechem. Chmielnicki stał się pijanym i okrutnym... Wszyst

ko poczęło się mieszać i znikać w nieładzie wielkim... i rozplywać, niby cienie powietrzne. Jeden tylko król został na tronie, ale blady, schorowany... takim, jakim go widziałem w Mereczu przed zgonem, kiedy wołał do zbliżającej się śmierci: „I teraz maż ona przyjść... teraz właśnie, kiedy wybiła godzina walki za cześć, za swobodę człowieka przeciw...”

Innej znów nocy widziałem Bzowskiego z chorągwią, na której było wypisane „Zemsta.” Pędził na czele jakichś okropnych postaci po skałach i górach po nad przepaściami. Stanął nad jedną z nich i pułk jego stanął cały— a wtem pustelnik z Grodziskiej groty zjawił się w obłokach i zepchnął go na dno przepaści wraz z cała jego jazdą.

Dalej znów widziałem Jadwiżkę z przebitą piersią, a nad nią stał Kosuś z swoim ohydny i szyderyczym uśmiechem, a Orzełek ładował wory złotem pchane na wóz i uciekali obaj, dopóki się nie zjawił pan Wypyski groźny, ponury i nie śmieszny, ale jakiś inny. odmienny.

'lo znowu, nowy król Jan Kazimierz stawał' przedemną umęczony, z koroną cierniową na głowie, na tronie odartym z purpury, łachmanami okryty — a w około niego zgłiszcza spalonych gmachów i trupów stosy.

Nieprzeczuwałem wówczas, że owe sny okropne były przepowiednią jakichś wielkich nieszczęść.

których miałem być świadkiem i po części uczestnikiem.

Pojechałem do Koprzywnicy, mej parafii i kazałem odprawiać solenne msze za dusze zmarłe, i znów wracałem do moich Trzykozów gospodarzyć w ciszy i spokoju.

I tak dni przy pracy płynęły mi przyjemnie, ale gdy przyszły one długie zimowe noce i znów te mary straszliwe, to choć z duszą uciekać na krańce świata.

Miałem przy sobie wyrostka Dederkę Stanisława, był to krewny mej matki, sierota. Chowałem go na moim chlebie; najprzód w Szczuczynie, gdzie mu trzymał nauczyciela, potem oddałem go do nowej szkoły pijarskiej w Warszawie, założonej przez kochanego naszego króla, gwoli stawieniu emulacji jezuickim, których już było za dużo. Chłopak był tępy w nauce — wciąż tylko wzdychał za wsią i polowaniem, które lubił okrutnie. Ulitowałem się nad nim i wziąłem z sobą. aby mi dozorował. Sypialiśmy razem w jednej izbie, to na drugi dzień naopowiadać się nie mogł, jak ja to krzyczałem a gadałem w nocy różne dziwy. Powtórzył mi nawet imię, które często wspominałem.

— Wujaszku — powiada — coś ta panna Żeni musiała wujowi gorącego sadła za skórę zalać, kiedy o niej a o niej wciąż się marzy.

Zburczałem wyrostka, bo czułem, że się zarumieniłem mej słabości, potem pomyślawszy, przeko

nałem się, że życie samotne takie spokoju mi dać nie może. Zapragnąłem go zbyt gwałtownie po owych opalach strasznych. Z początku było mi błogo, niby ciepła kąpiel po utrudzeniu wielkiem, ale później, natura wilka wyciągnęła z lasu i zatęskniłem do ludzi.

I gdy tak patrzę zamyślony na płatki śniegu, migające przed oczyma, zajeżdżają przed ganek sanki a w nich Bzowski z Żabickim.

— Cóż to? chcesz, żeby nas tęsknica zabijała za tobą?—rzekł Bzowski. —Miało być dwa tygodnie a tu już czwarty się kończy. Przecież nie myślisz się zagrzebać w tym śniegu?

— Myślałem — ale nie tak to łatwo zedrzeć ze skóry i wyгнаć z duszy to, czem się żyło lat tyle —rzekłem uradowany, witając ich serdecznie. — Nimeście weszli, myślałem o was.

— No, to Bogu chwała—rzekł Żabicki. — Dasz nam jeść i pić. a potem zabierzemy cię z sobą do łurkowie, z kądem pewno kijem cię nie wypędzi, tak jak mnie.

— Matka mi się zamartwić chciała. To tak — powiada — to taka przyjaźń wasza? Cóż mu złego zrobił, że się tu nie pokazuje? Czy już gardzi nami, jak tamci? Jedź i nie pokazuj mi się bez Scypiona! Przyjechałem i nie odjadę bez ciebie— albo jak nie chcesz, to tu zostanę.

— Choćbym was rad gościł tu całą duszą, ale gwoli pani Bzowskiej nie mogę. Dam wam jeść

i pić, zostawię dyspozycją siostrzeńcowi i bierzcie mnie. jak swego.

— Vivat Krzysiu! Zawsze ten sam dobry, poczciwy przyjaciel i towarzysz.

Przy kielichu zapłonęły nam głowy i serca i dalejże gawęda o ludziach, dalejże snuć plany na przyszłość.

— Słuchajcie—rzekłem — trzeba nam tu obejrzeć się po bliższych i po dalszych sąsiadach, zbadać grunt, jaki nam się dostał, ...i dopieroż panom braciom pokazać, żeśmy to nie pod piecem siedzieli.

Najbliższy mój sąsiad imię pan skarbnik Gromiński, już tu parę razy przysłał ekonoma, niby w interesie sąsiedzkiem a na wywiady na prawdę. Wiedzą. kto jesteśmy, i że się trzymamy razem. Słyszałem już takie nawet gadanie; „Czy to ci

dworscy wyjadacze, nie myślą nas respektować po sąsiedzku? Czy tu przyjechali po to tylko, żeby flaki płukać serwatką po dworskich frykasach?" A najzaciętszym jest właśnie ów skarbnik, wyrocznia w powiecie. Ma się za strasznie mądrego. Trzeba więc tego mądrałą w kozi róg zapędzić. Ja rozpocznę wstępne kroki, a wy mi pomożecie. Zabickiemu, aż się oczy iskrzyły. Bzowski niby słuchał, ale o czym innym myślał, a w końcu rzekł;
— Nie tentuje mnie wcale to bractwo. Poznałem ja ich dobrze. Cóż robić z takimi, jak imć

pan Żernicki i cała jego kompanja, co nam dwór spalili? Czy myślisz, że zapomnieli dawnych nałogów?

— Bierz ich dyabli—rzekłem—nie wszyscy dyszą jednako.

— Wszyscy. Pijaństwo, głupota i srogie rozumienie o sobie — oto masz naszych sąsiadów. Może się gdzieś znajdzie wyjątek, ale ze świecą szukać go trzeba.

— Ko no, poznasz to zmienisz swej sąd.

— Wątpię—rzekł sucho — a teraz jechać nam pora, jeżeli mamy być przed nocą w Jurkowicach.

— To i dalej w imię Boże!

I tak pożegnałem na długo moją nową siedzibę.

Zanim stanę w Jurkowicach, wypada mi opowiedzieć, co się z nami działo po onym utrapionym dniu instalacji królewskiej.

Pani Bzowska, jak gdyby nigdy nic, owszem zda się ukrzepiona na siłach i dobrej myśli, wróciła z zamku do swego dworku. Stała się okrutnie kłiwą i wylaną dla syna, którego omal na rękę nosić była chciała. On zaśie znów pochmurny i milczący a zamyślony, i jakby zadumany jeszcze owemi słowami, które mu Kozak w uszy szepnął: „Zemsta im!”

Jednak po paru dniach, schował to wszystko gdzieś w sobie i już o dworze wzmianki nie było,

a natomiast zaczęliśmy się gotować do podróży.

Związani w trójkę z Żabickim, już na krok nie odstępowaaliśmy od siebie. Bzowska na nas wymogła, żeśmy na te parę dni przed wyjazdem, sprowadzili się do ich domu.

Podróż nasza miała się odbyć na Kraków, gdzie po pogrzebie królewskim, na który dzień Stycznia wyznaczono, mieliśmy się udać w Sandomierskie. Oni do Jurkowie, a ja do swej nowej włości Trzykozy.

I jak uradziliśmy, tak się stało. Wyprawiłem najprzód mego siostrzeńca Dederkę, do onych Trzykozów, aby się tam w mojem imieniu zainstallował i czekał na mój powrót.

Bzowski za nic w świecie nie chciał przystać, abyśmy jechali ciżbą wraz z konduktem pogrzebowym, ale naglił, aby jak najprędzej opakowawszy się, naprzód wyruszyć.

Po okrutnej burzy i gorączce, zda się, że pokój nam zawitał. Chmiel zaraz po obiorze króla odstąpił od Zamościa i posunął do Kijowa, Wysłano za nim kommisarzy i posłów z paktami.

Stanęliśmy w domu kupca Wejcherta, niedaleko Floryańskiej bramy. Kraków roił się ludem niezmiernym. Wszystko to, co pouciekało przed Kozakami w trwodze największej, zamknęło się w jego murach, wyczekując rychło ta burza minie.

Na drugi dzień, odbył uroczysty wjazd nowy król Jan Kazimierz, przeczekawszy dzień poprze

dni w Łobzowie, dla przygotowań na jego przyjęcie.

W bramie floryańskiej przystrojonej różnemi inskrypcjami, witali go mieszczanie chlebem i solą, dalej sześciu rajców krakowskich niosło nad nim baldakin, aż do rynku, gdzie wsiadłszy na konia, pojechał na zamek. Jerzy Lubomierski starosta Krakowski oddał mu klucze, a biskup Gębicki z całą kapitułą przywitał go u podwoi kościoła.

Nowy król wstępował w bramy przy wiwatach i uciechach pospólstwa, a jego poprzednik tuż po nim na trzeci dzień wjeżdżał do grobów wawelskich.

Stara, wielka Polska kładła się do grobów, a wschodziła nowa. skarłała i pognębiona.

Zabiliśmy szczęśliwość i potęgę nasze, a wschodzi nam utrapienie i pokuta ciężka za grzechy.

Takie myśli mną miotały, gdy szedłem za pogrzebem.

Przy trumnie na zamku skruszył Jan Kazimierz drzewce od chorągwi królewskiej i złamany grot miał podać Wiśniowieckiemu, który już poń wyciągał rękę, jako domniemany hetman, według odwiecznego zwyczaju, że to hetmanowie biorąpo królach władzę nad wojskiem, oddał ją pokojowcowi swojemu Trzińskiemu, przez co niemały się rozruch zrobił w kościele, bo wszyscy pragnęli widzieć w nim hetmana.

"Wśród tego chwilowego zaniepokojenia, zbliżył

się Bzowski, podjął drugą połowę grotu i uciekł z nim z kościoła, jakby z kradzioną zdobyczą, nie pokazując się już więcej na zamku i ua mieście. Ni© dostrzeżono tego w ciżbie.

— Ot wszystko, co mi pozostało—rzekł. — Na tym kawałku drzewa, zawieszę moją chorągiew i pójdę z nią w bój ze światem.

I jakże dotrzymał wiernie!..

Kazał zrobić kosztowne puzdro i w nim umieścić owe drzewo.

Nagleni przez niego, aby wjeżdżać, zaklinani prośbą i perswazyami, zostaliśmy jednak na uroczystościach koronacyjnych, i dobrze, bo nie byłibyśmy tego wszystkiego widzieli.

Jan Kazimierz ubrany w strój królewski, przybył na mszę solenną, przyniósł z sobą chleb i wino, postawiwszy je na ołtarzu, przy którym stał już arcybiskup i wręczył mu ewangielją. Król położył na niej palce i wykonał przysięgę, że będzie obrońcą wiary, sprawiedliwości i swobód. Poczem namaścił go olejem świętym i koronę mu na głowę włożył. Król usiadł na tronie, uderzono we wszystkie dzwony, z armat bito a naród wykrzyknął:

— Vivat Rex I

Uroczysta i wielka to była chwila. Naród cały podawał z ufnością nowemu władcy wszystkie swe wodze. W jego rękę leżały losy doli naszej to też po tym wykrzyku z głębi serca nastąpiła

taka cisza w kościele, że muchę przelatującą mogłeś słyszeć. Wszyscy się zadumali głęboko, a wtem jakieś złowieszcze krakanie ozwało się nam nad głowami. Była to wrona. Zkąd się wzięła — czy wpadła przez szybę wybitą — czy ją kto umyślnie wpuścił—niewiadomo. Polatała po kościele i uciekła przez drzwi wielkie pod chórem.

Za zły omen poczytano to przyszłemu panowaniu.

Wysłuchano jednak mszy świętej, poczem udano się na bankiet.

Na drugi dzień, odbył król wjazd do miasta konno.

Przed nim postępowali:

Książę Dominik Zasławski wojewoda Sandomierski niósł koronę; Książę Jeremjasz Wiśniowiecki, wojewoda Ruski jabłko złote; Michał Abramowicz, wojewoda Trocki berło złote; Aleksander Koniecpolski chorągiew królestwa; Michał Zebrzydowski, miecznik koronny goły miecz.

Przyjechawszy na rynek, zsiadł z konia i wszedł na tron dlań przygotowany — wtedy Magistrat królewski oddał mu złote klucze i wierne poddaństwo przysiągł.

Dopieroż podskarbi z misy wielkiej napełnionej pieniędzmi czerpał pełną garścią i rzucał je między spólstwo, które się gryzło i tłukło trzymane jednak w rzybie przez gwardyę królewską.

Gdy nastał wieczór, zapalono ognie tryumfalne

wśród wielkiego natłoku, uciechy pijanego tłumu, kradzieży i rozbójstwa.

Dyabeł nadał, że tej właśnie nocy znalazł się wśród tego tłumu marszałek Kazanowski z jednym tylko pacholikiem.

Odwiedzał on pana wojewodę Trockiego w domu pod baranami, a gdy miał wracać do zamku, porwany przez żołnierzy gwardyi królewskiej z szat odarty i zbity, miał jednak tyle przytomności, że każdego z pijanych napastników poznał kredą i uszedł przecię szczęśliwie z życiem. Nazajutrz kazano się stawić żołdakom—ci nie przewidując nic. przyszli, dopiero zrobiono rewizyę ich mundurów — pocętkowanych odłączono i ukarano.

Gdy to opowiadał pani Bzowskiej, radość jej nie miała granic. Cięższa jednak go dotknęła ręka, bo tegoż samego roku stanął przed sędzią najwyższym i tam ze swoich win rachunek zdawać musiał, a żonę i dobytek zabrał po nim Radziejowski.

Nimeśmy opuścili Kraków. odwiedziłem biskupa Gębickiego. Był to szczególny mój dobrodziej a przyjaciel serdeczny ś. p. mojego ojca.

Powitał mnie mile i na obiad zaprosił. Musiałem mu opowiadać o królu nieboszczyku. Spłakał się starzec a w końcu rzeki:

— Jego śmierć tak rychła, to kara sroga dla tych, co mu oną zgotowali, bo byłby pożył jeszcze, gdyby mu nie wydarto tego. za czem tęsknił życie całe.

Potem obracając rozmowę na inny przedmiot, spytał:

— Cóż się stało z twoim towarzyszem Bzowskim.

— Wyjeżdża z matką na wieś.

— A do służby się jakiej nie zaciągnie?

— Nie chce.

— Wszyscy służyć komuś musimy, a kto ni Bogu. ni ludziom służyć nie chce—służy dyabłu.

Bodaj nie prawdę powiedział biskup, pomyślałem, i smutny a przybity wróciłem do gospody.

Czekano na ranie z upragnieniem, bo już wszystko było gotowe do drogi. Wymówiłem się jednak przed nimi, zmyślając sprawy familijne wielkiej wagi, które mnie dni kilka w Krakowie zatrzymać muszą, obiecawszy rychły mój przyjazd o Jurkowie.

Tymczasem przysłuchiwałem się koronacyjnemu sejmowi.

Chciałem poznać nowego króla, we wszystkich jego atrybutach. Tara, gdzie trzeba było porapą i prezencyą nadrobić, prezentował się pięknie i po królewsku, ale zobaczymy go w rządach, pomyślałem, i skwapliwie pospieszył do sali sejmowej.

Przemawiał pięknie i argumenta miał zawsze dobrze odważone i po myśli, ale tej siły przekonania, co to jak taranem wali w przeciwnika, jak u nieboszczyka, u niego nie szukaj. Wychodziły słowa przytłumione czemś, jakby nieśmiałe, wa

hające — łatwo je też zbić mogłeś. Było tylko u niego czasem uporu trochę, nic więcej.

Na jednej sessyi lubo król błagał i perswadował posłom, aby starych waśni nie wznawiali, ale spokojnie obradowali nad dobrem Rzplitej. w utrapieniu takim będącej, wywleczono przecież relacją pilawiecką i Ostroróg zdając sprawę z owej hańby. Radziejowskiego zaczepił, że ten namowami swemi dokazał, iż się stało nieszczęście takie, zerwał się ten jak oparzony i cisnął mu wyrazem: Łżesz! Powstali senatorowie, powstał król i surowemi słowy zgromił zuchwalca. Głównym punktem, około którego się obracano, było wojsko.

Zapadła też uchwała: aby kwarciane wojsko do dawnej liczby przyprowadzić.

aby wojsko zaciężne do , powiększyć, aby król miał wolne ręce w wydawaniu wici na pospolite ruszenie.

I tą razą minęła buława księcia Jeremiasza, najdzielniejszego z rycerzy naszych... i znów stworzono trzech regimentarzy; Firleja, Lanckorońskiego i Ostroroga. Fakcya dworska przemogła nad wszystkim.

I cóż uas kiedy poprawić może?

Ostatniego dnia sejmowego, śmierć zajrzała do sali obrad.

Umarł tknięty paralizem, strażnik wielki koronny. Samuel Łaszcz, najzuchwalszy człek w ca

łej Rzplitej, rozbójnik i łupieżca. Trzymał na swoim żołdzie łotrzyków i hultai — sam małej fortuny, żywił ich tem, co wydarli. Banita po kilkakroć. Dekretami podszyć sobie kazał ferezyą i tak się z nią nosił publicznie. Król go bronił, bo nagradzał to cnotami żołnierskimi.

Na zapieczętowanie królewskiego pobytu, w starożytnym Krakowa grodzie, wszczął się pożar w zamku. Spłonęła kurza stopa, tuż obok sypialni pańskiej. Szczęściem, że się obudził i dostrzegł pożar a taki uszedł z życiem.

Zmęczona biedna moja głowa tem wszystkim, zapagnęła wreszcie spokoju. Wyleciałem też ptakiem z onego Krakowa, aby się zagrzebać w ciszy wiejskiej na długo, i nie zaglądać już do tego świata—ale Homo proponit, Deus...

Dwór w Jurkowicach wyglądał wspaniale i pańsko.

Z drewnianego spalonego, przeistoczył się w pięknie murowany gmach, w włoskim stylu, według tego, jaki sobie kanclerz w swoim Ossolinie zbudował. Ten sam też architekt Włoch Storazzi go stawiał, a wszystko to pieniędzmi dobrego króla, który ich nie szczędził i o robotach kazał sobie sumienną czynić relacją.

W całej okolicy nie znalazłeś takiego gmachu, prócz blizkiego Ossolina.

Nie widziałem dawnego dworku, ale musiał być podobnym do wszystkich okolicznych, aż tu znajduję pałac dla rezydencji królewskiej.

Miły Boże. pomyślałem, toż ten gmach to najwspanialszy pomnik królewskiego serca. I cóż więcej mógł dla was uczynić ten, którego dobroć mówiła do mnie z każdego filara, z każdego kapitelu, z każdej ozdoby, A cóż dopiero znalazłem we wnętrzu? Wszystkie sprzęty i obicia, drogie makaty, obrazy nawet były królewskim darem, bom je znał doskonale.

Przykro to podziałało na mnie, co Bzowska musiała odgadnąć, bo rzekła:

— Dziwicie się wspaniałości naszego domu? Tak, to jego dziełem. Udarował nas po królewsku. Nie to mnie też ubodło, że nam odebrali tę resztę, ale niesprawiedliwość popełnionego haniebnego czynu, oburzyła mnie do głębi. Postanowiłam się zemścić na tych łupieżcach i dokonałam tego.

Nic jej nie byłem w stanie na to odpowiedzieć—kobieta ma swoje loikę—ale gniewało mnie to, że niepomna próśb syna, zgotowała mu upokorzenie straszliwe a w przyszłości zło wielkie, jak niżej zobaczymy.

Nie było szczęścia w tym gmachu.

Obok onej wystawności i książęcego przepychu, wiała jakaś pustka, zimnica jakaś—niebyło tego ciepła, co to je w najuboższej lepiance znajdziesz, bo je daje spokój serca i niezmacona niczem pogoda sumienia.

Bzowski chodził dużymi krokami, potem rzucał się na krzesła, wydawając ciężkie westchnienie. Matka wpatrywała się weń stroskana i niespokojna.

Strzelaliśmy z Żabickim conceptami, jak mogli, ale śmiech nasz krzywił im tylko usta obojgu i rozlegał się po dużych komnatach dworu, głusząc nas tylko, jak gdyby urągał tej pożyczanej wesołości.

Bzowski na jutro zarządził polowanie. Wszedł właśnie chłop olbrzymi wzrostem, dawny Kozak rotmistrza, który odbył z nim moskiewską kampanią, sprawny pacholek jak dyabeł, wierny jak pies domowy, żołnierz niepospolity i myśliwy. Nazywał się Maciej Bylica.

Tego tedy Bylicę Bzowski przezwał Krzemieniem, mówiąc:

— Bylicą muchy trują, z Krzemienia ogień się sypie. Uszlachcam cię tym przydomkiem. Skoro ani król ani hetman, nie nadali ci herbu za twoje żołnierskie cnoty, ja ci to wynagrodzę. Pamiętaj! Jesteś Krzemieniem. Bądź twardy, jak krzemień i prócz ognia, niech nic z ciebie niedobędzie —pamiętaj!

I chłop został Krzemieniem, dumny okrutnie z tego nowego nazwiska.

Wierzył w panicza, jak w ewangelją — gotów w ogień skoczyć na każdy jego rozkaz a znali się tak, że Bzowski nie potrzebował doń mówić, ale

znakiem jakimś dawał mu do zrozumienia, czego chce i ten w lot wykonywał rozkaz.

Nazwa Krzemienia przystawała doń w istocie. Twardym był, jak krzemień—nie wydobyć z niego słówka, jak się zaciął. Ręce i mięśnie były u niego, jak z żelaza. Podczas potrzeby moskiewskiej, leżał ranny przez trzy dni w śniegu, dopiero jak wóz ładowny przeszedł mu po żebrach ocknął się, zerwał na równe nogi i wgramolił tak, że go przywieziono do miasta.

Twarz chłopca była dzióbata strasznie, na lewym oku miał skalkę, ale prawem za to widział tak, jak nie każdy dwoma.

Wąs miał rzadki rudawy. Szpetną a głęboką kresę na jednym policzku od ust, aż do szczęki, co mu nadawało jakby jakiś szydery wyraz. Starał się mówić czysto, powoli zacierając w ten sposób chłopski, mazurski sposób mowy.

— Kiedym szlachcic, to szlachcic. Niechże będzie czysto, jak szkło — mawiał, każdy wyraz cedząc z przyciskiem.

Gdy wszedł, Bzowski nań popatrzał, kiwnął głową i spytał krótko:

— Dobrze?

— Wszystko, jak się należy zrobiono. Przykazałem na jutro, od szóstej stać z naganką ku kobilemu polu. Marcin, Walek, rudy Jędrzej dopilnują. Panicz i ci jegomościę wraz zemną, udamy się wprost ku potokowi... potem...

— Dostyc! — przerwał niecierpliwie Bzowski.

Chłop się pokłonił i wyszedł. Ale jak do każdej ludzkiej sprawy czy zabawy, trzeba serca i ochoty, tak i tu się stało, Nałaziliśniny się i nakłęli, na czym świat stoi. Bzowski strzelił do dzika, ale go chybił — Żabicki z łacińska po partacku — a ja uszczwiałem zająca, z którym wstyd nam było wracać, rzuciłem go też psom i tak skwaszeni już wszyscy wróciliśmy do domu. Ogień duży na kominie i kufel, gawęda o niczem lub drzemka — tymczasem też noc zapadła zawierucha zerwała się straszna, świszcząc, wyjąc po gmachu i zasypując okna tumanami śniegu.

Bawiliśmy się w karty, gdy wtem ukazała się w progu jakaś niewieścia postać.

Służba i domownicy pochowani po kątach, nie spostrzegli tej przybyłej. My też zajęci grą przy świecy pochyleni nad stołem nie usłyszeliśmy otwierających się drzwi, dopiero gdy przemówiła:

— Pokój temu domowi — odwróciliśmy wszyscy głowy zdumieni i przestraszeni prawie.

Bzowska pochwyciła światło, podbiegła doń, popatrzyła chwilę i krzyknęła:

— Salunia! Salunia nasza!

Było to młode dziewczę lat ośmnastu. ubrane w chłopską świtkę, jakie lud na Ukminie nosi — głowę miała obwiązaną chustką, z pod której wymykały się włosy kruczej czarności. Twarzyczka piękności nie zrównanej, ale jakimś wielkim smutkiem tchnąca — oczy cudne z długimi

rzęsy, zarumieniona cała od wiatru i śniegu, który z niej spływał grubemi kroplami na podłogę.

Przypatrywaliśmy się wszyscy w milczeniu temu zjawisku. Bzowska z synem podprowadzili ją do stołu.

— Saluniu, dziecko drogie. Ja oczom moim nie wierzę. Ty... taka smutna... "W tym stroju?.. Zkąd przybywasz?"

— Z piekła ciotko — odrzekła dziewczę ponuro.

— Co mówisz dziecko? Czyś tu sama?

— Sama, jak palec.

— Co się stało? Gdzie rodzice?

— Już ich niema.

— O Boże wielki! zabici, zamordowani?

— Wszyscy.

— Wszyscy?... i bracia twoi?

— Nie mam nikogo.

Staliśmy niemi, przybici tym tonem spokojnej rozpacz i rezygnacji, co z tych młodych, pięknych usteczek się dobywał.

— Boże mój, Boże! — zaszlochała Bzowska! — O drodzy moi, ukochani. Ależ rozbierz się dziewczeczko moja. Siądź tu przy mnie, widzisz tu przyjaciół naszych. Imć panowie Scypio, Żabicki, panna sędzianka stężycka Krzysztofowiczówna.

Gdy zdjęła oną świtkę i chustkę z głowy, na której włosy rozrzucone w nieładzie, spłynęły na

białą chłopską koszulę wydała mi się jeszcze cudniejszą i jakby nie ziemską postacią, ale oną boginką, rusalką, jak je lud tamtejszy nazywa,

— Mów. mów mi wszystko Saluniu — ales ty głodna i spragniona.

Zawołała na sługi, wydając im dyspozycyą. Dziewczę siedziało smutne z spuszczonei oczyma. Bzowski niemy, onieśmielony jakby, z spuszczoną głową.

— Opowiedz, opowiedz drogie dziecię. Czyś zmęczona?

— Nie ciotko, zamyśliłam się tylko smutnie.

— O czym gołąbku mój?

— Ot... gdyby nie śmierć rodziców moich i braci, nie byłabym was może widziała nigdy... —i tu rzuciła przelotne wejrzenie na Bzowskiego.

— Nie potępiaj nas. nim wysłuchasz moje dziecko. Oh, cośmy też przeżyli! Powiem ci później a może z tych naszych mąk i rozpaczy, wykwitnie jeszcze dla nas kwiat szczęścia. Mów nam o sobie, o doli waszej.

Dziewczę, jak gdyby zbierało całe swoje siły, chcąc mówić o tem, co dotyczyło tyle. Popatrzyła na nas smutnie, potem wybuchła płaczem takim, że zdawało się pierś jej rozsądzi.

Patrząc na tę niemą rozpacz i nam się łzy zakręciły w oczach, bo mówiła ona więcej, niż najdobrańsze słowa. Bzowska ją tuliła do piersi i ocierała łzy z twarzy.

Otrząsnęła się wreszcie z tego żalu wielkiego i cichym głosem zaczęła:

— Gdy wieść doleciała naszego futuru, że Kozacy spalili Dymitrówkę i wymordowali wszystkich, ojca naszego nie było w domu. jeździł do Koniecpola, Siedziałyśmy z matką przy krosnach. Na wielkim kominie suty ogień płonął— przy nas dwoje dziewczek, Paraska i Chorpyna, Moi dwaj braciszczowie biegali po komnacie, bawiąc się z brytanem Turem, pamiętasz go Szymonie? który dziś właśnie leżał smutny i tylko od czasu do czasu warknął złowrogo i zwracał głowę ku oknu. Oh. czemuż ludzie tylko biedni nie mają świadomości nieszczęścia,

Wtem na podwórzu wszczął się jakiś ruch niezwykły... nawoływania jakieś., przytłumione odgłosy i jednocześnie drzwi się szybko otwarły. Wpadł do komnaty Mikita Kozak dworski, z Dymitrówki, przyjaciel wielki mojego ojca i krzyknął: „Uciekajcie! już idą! Idźcie do futuru Siarczyńskiego. ja tam będę — tu was nikt nie obroni.”

Nie przemówiłyśmy żadna słowa, ale spojrzały po sobie: byłyśmy blade, jak kreda. Uciekać? Matka przytuliła dwoje chłopiąt. ja wybiegłam na dziedziniec i wołać zaczęłam ludzi — nikogo. Wszystko pierzchnęło. jedni przeszli zaraz do Kozaków, a między nimi, któżby pomyślał. Michałowski szlachcic, którego ojciec przyjął niedawno pod swej dach— był on okrutniejszym od innych

—drudzy padli pod nożami a uczciwsi uciekli i rozpierzchli się po lasach.

Gdym wróciła do izby, dziewczek już nie było. Wszyscy pognali ku Dymitrówce. Zostałyśmy z matką i dwojgiem chłopiąt. Zarygłowałam drzwi, wydobyłam samopał ojca. Czekaliśmy. Strach ma słuch delikatny... a jednak nic. najmniejszego szmeru, cisza grobowa zaległa dwór cały. Dwóch mych braciszków przed chwilą tak szczebiotliwych umilkło, badając nas wzrokiem tylko. Wtem coś uderzyło lekko o drzwi. Wzdrygnęłyśmy się, jak na wystrzał armatni. Kto tam? Głos Ojca odpowiedział: Ja. Ale w tem jednym słowie tyle było rozpaczy, bólu, trwogi, żem od razu zgadła, iż nieszczęście z nim wchodzi.

Otwarłam drzwi. Cóż za widok okrutny. We drzwiach ojciec, jak śmierć wybladły, sztywny, zda się cieńszy niż był, a za nim głowy dzikie Kozactwa. Pochwyciłam go za piersi, objęłam w pół i uczulam straszną próżnię... był bez rąk. Wzburzyło nas to wszystkich okrutnie. Dziewcze, jak gdyby tego nie słyszało, patrząc przed siebie w jeden punkt, mówiło dalej:

— Krzyk strasliwy matki ogłuszył mnie chwilowo... a gdym przyszła do zmysłów, słyszałam tylko: Hroszy, broszy dawaj psi synu! Jeden z oprawców z wydobytym nożem, groził ojcu, że język mu wydrze, jeżeli nie powie, gdzie ich ukrył. Chwyciłam samopał i wypaliłam szalona.

— Oh, dziecko drogie!

— Zbrodzień się zachwiał, ale jednocześnie uczulam. jak mnie chwyciło dwóch zbójców i skrępowało ręce. Matka moja droga, matka rzuciła się na napastników, lecz jedno straszliwe uderzenie powaliło ją na wieki.

— Oh, biedna Anna!

— I tak bezwładna patrzeć musiałam na wszystko. Staś mały przybiegł do ranie: „Salciu. tata niema rączek, a czym jeść będzie.” Wtem przystąpił jeden... Oh, najstraszliwszy! jeżeli niebo ma szczyptę litości dla mej rozpacz, to niechże zgotuje z mąk najczarniejszą, najbezlitosniejszą dla tego szatana. Porwał to chłopię, które wyciągało do mnie rączki uśmiechnięte, nieświadome tej grozy... i do ognia je rzucił.

— Okropne, okropne—krzyknęła Bzowska.

— Potem nic nie wiem więcej. Omdlałam. Gdym otworzyła oczy, ujrzałam się w chacie

Mikity. Wykupił mnie z rąk zbójceckich swoją krwawicą. Stał przy mnie ten wierny przyjaciel. „już ty nic nie masz panienko. Wsio uże propało. Dwór. wasz ojciec, matka, małyje braty w ogniu spłonęli.” Chciałam się rzucić w rzekę, ale niemoc przykuła ranie do łóża na długo.

Gdym wyzdrowiała, zapragnęłam do was jechać. Mikita podjął się tego. Ubrana w chłopskie suknie, przebyłam z nim szczęśliwie tę drogę pełną krwi i jęków ludzkich.

jakże ja was dawno widzieć pragnęłam, nawet w chwili walki zdawało mi się. że go ujrzę Szy

mona. jako mściciela z mieczem zemsty. W gorączkowych snach moich, on stał przy mnie i pokrzepiał. Widziałam go zawsze takim, jak wonczas, gdyśmy na stepie z wiatrem w przegony lecieli a dziś on smutniejszy odenmie. jeszcze jednego przychylnego nie rzucił mi słówka. Czy ta wściekła zawierucha i serca ludzkie wysusza na proch? Czy to koniec świata się zbliża, powiedzcie?

Bzowski stał zawstydzony i jakby przybity, coś wybąknął, czegośmy zrozumieć nie mogli.

Dziewczę skłoniło głowę na piersi Bzowskiej, która ją tuliła gorąco — po chwili podniosła ją dumnie i rzekła:

— Kto takie straty przeboleł—ten przeboleje już wszystko. Ciotko raczcie kazać wprowadzić człowieka, który mnie przywiózł. To mój opiekun i przyjaciel. Bzowski poskoczył i wprowadził Mikitę. Dziwnym a tak pięknym zjawiskiem wydała mi się ta dziewczeczka, zem patrzył i patrzył na nią a napatrzeć się nie mógł. Było w niej kobiecego, jakby anielskiego wdzięku tyle a przytem jakby męskiej energii i dojrzałości znowu wiele. Otwartość i prostota taka, jakiej u żadnej z naszych dziewczyn nie widziałem. Ot dziewczyna Kozak, jak nazywają takie—tylko, że w tym kozackim jej układzie, było tyle ślicznoty —w tej swobodzie i prostocie tyle wdzięku, zem stał i oczy w nią wlepił, jak oczarowany. Oh i byłem nim

i zostałem i zostaną zawsze, dopóki mi piasku na oczy nie nasypią,

— No mój Mikito, mój drogi przyjacielu, opiekunie i ojcie —rzekta. podbiegłszy ku niemu i kładąc rączki na jego ramionach. —Otośmy już w bezpiecznym porcie. Wszyscy moi tam w górze błogosławią cię za tę opiekę nad sierotą a ja... jam twoją dłużniczką do zgonu... I objęła jego głowę i złożyła na niej pocałunek.

— Ot panunciu zrobił, co mogł —rzekł Zaporozec. —Jam jadł wasz chleb, a to by psem był. żeby się za niego nie odpłacił.

— Wszak go jedli i tamci.

— Tamci na stracenie... czarne dusze. Czort w nich. A to buddcie zdrowa panunciu...

— Co? chcesz już wracać, w taką noc?

— Ja w nocy zuch... A to we dnie pany lachy mogliby mnie... No buddcie zdrowa...

I nim coś wyrzec mogliśmy zdumieni. Kozak zniknął.

Wybiegliśmy za nim na dziedziniec... ale mignęły nam tylko jego saneczki w kurzawie śnieżnej.

To dziewczę tak piękne, tak bohaterskie a tak nieszczęśliwe, było oszukane niegodnie przez Bzowskiego, bo oto zaprzysiął jej kiedyś afekt dogonny i małżeństwo, a potem zapomniał, porzucił, podeptał najprzód dla rozpusty, to znowu dla

promocyi dworskiej, A chociaż dotknęła go kara zasłużona, ale cóż to mogło znaczyć w porównaniu z jej bólem. Gdyby był dotrzymał przysięg, gdyby wierny swojemu słowu poślubił ją i wywiózł z Ukrainy, nie byłoby może tego nieszczęścia, bo czerń poszanowałaby teścia królewskiego syna, jak to bywały przykłady na Polesiu, gdzie dóbr królewskich nie tknięto.

Dziś on stał przed nią, jak winowajca, nieśmiejąc w oczy spojrzeć i słowa doń przemówić i dziś ten człowiek zmałał w moich oczach straszliwie.

Wszystkie jego racyę, jego wielkie plany, marzenia dumnej ambicyi, owe błyskotliwe race, któremi dawniej mnie olśniewał, wydały mi się chymerami chorej głowy a nawet godnemi infamii i zdrady ojczyzny.

Noc całą oka nie zmrzyłem, myśląc o tem — chciałem natychmiast uciekać z tego domu i nie widzieć ich więcej, bo i ta matka jego wydała mi się pospolitą niewiastą, co tylko spekulowała, aby synaczkowi swemu fortunę wielką zgotować.

I czego ja siedzę pod tym dachem, u tych ludzi, zamiast w swoich czterech ścianach, parając się z chudobą—a potem gdy przyjdą wici królewskie iść na wroga i mścić się tylu okrucieństw, tyła krwi nie wianie wylanej.

jakże ohydni wydały mi się owe słowa Bzowskiego, co w kozactwie widział podeptane rycerstwo, które się mściło zniewag poddaństwa,

gdym ja w nich widział zdrajców, zbójów krwiożerczych, których palić i ścinać było świętym obowiązkiem.

I tak z jednej myśli snując dalej, wszystko wydało mi się czarnem, prócz niej jednej, tej boginki nieszczęsnej, która mi jako gwiazda jasna świeciła na pochmurnym dzisiaj firmamencie.

Bywały znowu chwile, żem prawie był kontent z tego obrotu sprawy. Bzowski jej niegodzien, myślałem. Jego próżna ambicya, co go tylko pcha na bezdroża, nie umiała by dać szczęścia temu kwiatkowi, złamałaby go, zniszczyła na proeli. Dla niego nigdy ciche, domowe szczęście nie błysnie, bo on goni mary chorobliwe.

Na świtaniu zmęczony usnąłem snem twardym, zbudził mnie Bzowski:

— Czekamy na ciebie z obiadem.

— Chory jestem trochę, musiałem się zastudzić na wczorajszym polowaniu.

Popatrzał na mnie uważnie, jak gdyby czuł, że między nami się coś porwało.

— jakże ci się wydaje nasza krewniczka?

To zapytanie rzucone lekko jak gdyby dla załatwienia milczenia, które zapanowało, ukłuło mnie jak szpilką—już miałem wybuchnąć, ale się powstrzymałem i rzekłem ze źle udanym chłodem:

— Dziewczę piękne i szlachetne, ale jej nieszczęście jest tak wielkie, że w obec niego wszystko zmaleć musi.

— Tak, to prawda, straszna ta plaga dotyka

i niewinnych, aleć to już taki srogi los wojny, że nikomu nieprzepuszcza.

— Alboż to wojna? Czy tu walczą dwie potencję, dwie nacye —to jest bunt wyuzdanej czerni, niegodnej miana człowieka, przeciw wszystkiemu, co się nazywa wiarą, częścią, sprawiedliwością, dobrem, pięknem i uczciwem — to jest walka ciemności szatańskich, przeciwko jasnemu zastępowi aniołów... I ty to wojną nazywasz To wściekła walka zwierząt krwi głodnych, przeciwko ludzkości. To też kto szlachetny, kto ma w piersi krztę rycerskiego ducha, tępić i niszczyć ich powinien.

— Ha! ha! ha! ha! — rozśmiał się szydersko. Przemawiasz, jak który z chlebojeźdźców lub jurgieltnikó w ukraińskich panów—zobaczymy, co powiesz później.

— I później, i teraz, i zawsze tak mówić będę.

— Dobrze—a teraz pójdz na obiad, bo kobiety już kilka razy pytały się i wysiały mnie po ciebie.

Gdy odszedł, zdawało mi się, że już zerwał wszystkie nici. jakie nas niegdyś wiązały.

Postanowiłem też. pożegnawszy się z kobietami opuścić dwór Jurkowicki i nigdy do niego nie wracać.

Gdym wszedł do dolnych komnat, zastałem już wszystkich przy zastawionym stole a był między nimi nowo przybyły gość Drewnowski wojski sandomierski, zdawna znajomy i życzliwy jej

mość pani. Staruszek miłego bardzo obejścia i pełen dowcipu a wyga przytem i bywalec—słyszał, jak trawa rośnie. Bzowska powstała i posadziła mnie uprzejmie przy Saluni, która mi się dziś jeszcze piękniejszą wydała. Chłopskie ubranie zdjęła z siebie i była już w sukniach dworskich.

Wyglądała w nich, jak księżniczka.

— Patrzycie na moję metamorfozę — rzekła— niepodobnam do wczorajszej Horpyny? Bom się wczoraj jeszcze nazywaią Horpiną Serdakówuą. córką Mikity Serdaka. To ciotka mnie tak ubrała i czy uwierzylibyście, że ta suknia jest zrobioną na mnie i dla mnie. a miała być wyslaną do Krzysztoforów, gdyby był Chmielnicki nie przeszkodził. I tak, zamiast ona do mnie, ja do niej przyszłam.

Mówiła to pół żartem, ale smutnie.

Głos jej przenikał do głębi duszy a mówiła tak ładnie, szybko a płynnie — cudny powab w niewieście mowa taka — słowa wychodziły z jej ust. jak perełki okrągłe, błyszczące... a co to były za usta. Małe. jak dwie poziomki. Nosek pięknego kształtu, jakie widziałem na posągach greckich, co stały w Kazanowskiego pałacu. Oczy. jak dwie gwiazdy. Czoło piękne, dumne i rozumne. Ował twarzy więcej pociągły, niż okrągły. Cera śniadawa. z pod której rumieniec przeglądu).

Upojony zapachem jej szat. czarodziejskim blaskiem jej oczu, dźwięczną mową, tą zadumą smu

tną, w którą wpadała często, przypominając posąg—czy też nieprzespaną uoca, czułem dreszcze po całym ciele i było mi tak, jak gdybym nie na ziemi przebywał, ale gdzieś w rajskich kminach.

Ot, miłowałem ją na życie i śmierć. Bez tej kobiety, życie wydałoby mi się pustem i nudnym, pomyślałem, a śmierć dla niej poniósłbym z rozkoszą.

Musiałem to dać im poznać po sobie, bom słyszał śmiechy Żabickiego i Bzowskiego, jakoby do mnie skierowane, alem nie widział nikogo, krom niej.

jadłem, nie widziałem co— a z jej ręki i trucizna wydałaby by mi się była łakociem—a gdyby mnie kto spytał: co jadłem, nie umiałbym powiedzieć —czy to gęś. czy szczupak, albo jarzyna. Podziobałem trochę każdej potrawy i zostawiałem. Popelniałem przytem niedyskrecyje I pomyłki ciągle. Upuściłem kieliszek, który się rozbił w kawałki, oblewając winem jej suknię a gdym chciał ją przeproszać, nadepnąłem Wojskiego, który, aż syknął z bólu.

Stałem się jakimś lęklwym i drżącym—odpowiadałem ni w pięć ni w dziewięć tak, zem ich mojem zakłopotaniem ciągle do wesołości pobudzał.

— A toście wy naprawdę, jak nieswój, panie Scipionie —rzekła Bzowska.

— Co wam dolega? jestem lekarką. nauczyłam się u znachorów naszych leczenia wszystkich

chorób—i spojrzła na mnie temi ślicznymi oczyma. Spotkała się z mojami i jakby odgadła przyczynę mojsj niemocy, bo pokraśniała tylko i umilkła.

— Na polowaniu wczorajszem się zastudziłem i głowa mnie boli troche— wybąknąłem już, sam nie wiedząc, co mówię.

— Trafieś wacpan, jak kulą w płot —ozwie się pan Wojski. —Oj młodzi, młodzi. To tam, gdzie się ma przed oczyma taką śliczną różyczkę, jak ówdzie imo panna Sędzianka, to się o chorobie jakiejś myśli? Cóż to rozumiecie, że stary nie ma oczu i nie widzi, że to tu amor kaleczy was haniebnie. Wszyscy macie miny, jak ze Środy na Piątek — i nie dziw, gdybym był w waszym wieku...

Radbym był starego udusić za to, że tak umiał zbadać moję tajemnicę. Chciałbym byt ucięci ukryć się z nią za dziesiątą górę, a tu ją wszyscy już podchwycili i zaglądali w nią ciekawie i obracali na wszystkie strony, a podśmiewali szydyczko, zdawało mi się, że mi serce wyjęli z piersi i krajali je na kawałki, patrząc ciekawie w najskrytsze komórki. Zebrałem się też na odwagę i z miną, jak można najobojętniejszą, rzekłem:

— Ludzie podeszli w lata nie przypuszczają w młodych innej alteracyi, krom miłosnej a przecież mogą być inne dolegliwości.

— Gadaj zdrów mój dobrodzieju o dolegliwo

ściach. od tego są starzy. I słusznie, już tak mądra przyroda postanowiła. Pókiś młody kochaj, szalej, myśl o głupstwach. zabijaj się za wstążeczkę lub workoczyka kawałkiem, wzdychaj. szlochaj. To są wasze dolegliwości. Innych też u was nie przypuszczam i miałbym za baj bardzo, każdego z was, gdyby tak nie było.

— To nam tu nie wypada według słów pana "Wojskiego, jak chyba kruszeć kopje. krzesać szable, aby zyskać choć jedno spojrzenie lub miły uśmiech panny Salomei—rzekł Żabicki. — Co do mnie. to pierwszy wprzęgam się w rydwan jej wielbicieli i gotów jestem stanąć na ostre, choćby tu połowę powiatu się zbiegło.

— Ani uśmiechu, ani spojrzenia tkliwego daćbym nie mogła panie rycerzu — rzekła smutnie Salomeja — zostały one wszystkie tam w zgliszczach naszego domu. na grobie rodziców i braci.

— I w osobie Bzowskiego — dodałem sobie w myśli, bo go kochała — widziałem to i serce mi się ścisnęło.

Spojrzenia jej padały często na niego, który siedział milczący.

— I to nieprawda—rzekł Wojski. — Nieszczęście tylko starość przybija do ziemi, młodość ma nadzieję i wszystko przetrzymać potrafi. Między poczciwymi ludźmi zagoi się serduszko waćpanny i zapragnie miłości.

— Ot toś dobrze powiedział, panie Wojski.

Całem naszym staraniem będzie, aby ci życie umilić, mój kwiatku ukochany. jeżeli nie w całości, to choć w części jakiejś matkę ci twoje zastąpię.

Salunia podziękowała ciotce i znów smutne spojrzenie rzuciła na Bzowskiego, któremu jak gdyby nagle jakaś świeża myśl błysła, bo się poruszył żywo na stołku i rzekł do Wojskiego:

— Mospanie Wojski w imię przyjaźni i zyczliwości, z jakimi jesteś zawsze diu naszego domu. nie odmów pokornej prośbie.

— Sługa waszmości.

— Oto wszyscy trzej pragniemy się obejrzyć po powiecie. Jesteśmy tu już drugi miesiąc a prócz dostojnych progów waszych nie nawidziliśmy jeszcze nikogo. Czas by nam już zaprezentować się po sąsiedztwie i zbić fałszywe pogłoski, jakie tu już o nas krążą między bracią... a że wiem, iż nikt tu tyle miru i wziętości nie ma, co zacna wasza persona, przytem nikt nie zna sąsiedztwa lepiej od was — będziesz nam w tem patronem i przewodnikiem.

Salunia, gdy to mówił, więcej posmutniała i prawie łzy zakręciły się w jej oczach.

— Z miłą chęcią. Ot. zawiozę was do Bełchackich i jużci z całem powiatem się pobracie. Wszak jejmość pani znana dobrze rodzina?

— A któżby nie znał Bełchackich! Ośmiu ich w Sandomierskiem, sześciu w Wiślickiem. Tam podkomorzyce. tu cześnikowice.

— Daj go katu, tyle tego?

— Cześnik Sandomierski, imo pan Jerzy Bełchacki, ma ośmiu synów, a brat jego imć pan Bartłomiej Bełchacki, podkomorzy Wiślicki sześciu. Razem czternastu. I jedni, i drudzy rej wiodą w powiatach. Ci w Wiślickiem. owi w Sandomierskiem a wszyscy razem przez parenteRę w całem województwie. Ruszemy najprzód do starego Bełchackiego. Dom u niego zawsze otwarty. Sąsiadów, jak nabił — jeden wyjeżdża, drugi wjeżdża. Będą nam serdecznie radzi.

Poczekajcie no. czy to nie imieniny dzisiaj czyje? Faustyna—nie—ale wczoraj było Walentego, jednego z Bełchackich podkomorzyców. Dobra nasza. Wczoraj obchodzono je w Wiślickiem a dziś będą poprawiny w Sandomierskiem u cześnika. Więc zjedzie się cała Bełchaczyzna. Bo to u nich wszystko podwójnie obchodzone bywa. jak wesele, to w obydwóch powiatach—chrzciny, imieniny, pogrzeby nawet dubeltowo odprawiać się muszą.

Więc nie zwlekając, uderzym na Bełchaczyznę. Bzowski poskoczył i wydał dyspozycyą do odjazdu.

Sanna była ognista, mróz skrzypiał pod nogami, lecieliśmy, jak wicher.

Nie w smak mi jednak była ta podróż — i ja miałem ochotę gdzieś uciekać, co prawda, ale na bory, na lasy lub w samotnej jakiej celi się zamknąć i myśleć i dumać, albo też patrzeć całami

godzinami na to cudo prawdziwe, byle nie słyseć i nie widzieć natrętnych ludzi, co zaglądali we mnie ciekawie.

Upajałem się. jak pijak, tą słodką trucizną, która umie przepalała całego.

,Gtły pomyślę, jaki to straszny haracz krwi spłaciła nasza biedna I*olsca w wojnach kozackich a potem szwedzkich, jaki to kwiat rycerstwa naszego padł w tej zawierusze, to dziwię się. że ta Polska stoi jeszcze. Pokażcie mi uaród w tych czasach, którego by więcej szarpano?

Oto dom słynny gościnnością i cnotami w powiecie, ba w województwie całem. Czzenik Bełchacki, mąż w radzie i wojnie, w domu i obozie— wzór do naśladowania w potomne czasy. Wychował ośmiu synów, chłopów jak dęby a wychował ich tak. że świecą rycerskimi cnotami i rozumom i sercem—pozenił — poosadzał po wsiach i folwarkach. A powiedział im: Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Stać ławą z podkomorzycami w sprawie ojczyzny i króla, zginąć ławą za ich cześć!

Drugi brat jego rodzony, podkomorzy Wiślicki, kubek w kubek taki, jak tamten — miał ich sześciu, nic tak wprawdzie dorodnych. ja!v Cześnikowicze, bo zncwu wszyscy byli mali i chudcrlawi. ale sprawni i rozumni. Kazał ich edukować,

a że nio miał fortuny takiej. jak pan brat. aby ich wyposażyć — w rycerskim zawodzie ich wyćwr Grzochy królewskie.
T. U.

czył i służyli wszyscy w jednej chorągwi, A powiedział im: Słuchać Cześnikowiczów, iść z nimi choćby do piekła. W prywatę palców nie kłaść, bronić sprawiedliwości i ucisku. Zginąć za ojczyznę i króla. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Oto wasza dewiza: I kazali obaj bracia, zrobić czternaście żelaznych sygnetów z onym napisem, i każdy z Bełchackich nosił go na palcu.

Gdy przyszło pospolite ruszenie, poszli pod Lwów i bili się. jak lwy pod Beresteczkiem. a potem wszyscy padli pod Batochem w onym okrutnym zasięku, gdzie tyle krwi polskiej spłynęło. Dwanaście wdów zawodziło po nich płaczem, bo tylko dwóch było nieżonatych.

Starzy bracia przeżyli swoje dorodne pokolenie, potem obaj zamknęli się w klasztorze bernardynów w Krakowie i pochować się kazali obaj w jednej trumnie. Podkomorzy czekał na cześnika ale nie długo.

Tacy byli Bełhaccy.

Ale idźmy porządkiem.

Zaledwie zajechaliśmy przed bramę w Zaleszczycach. natychmiast dwóch pachołków wzięło konie; a drugich dwóch poprowadziło nas przed ganek, gdzie już oczekiwał pan cześnik.

Stał z czapką w ręku, chociaż mróz był srogi, wyprostowany, z miłym uśmiechem.

Był to mąż lat pięćdziesięciu kilku, nosił wygoloną czuprynę i brodę dużą. Słusznej postury,

na pierwszy rzut oka nieboszczyka hetmana Koniecpolskiego mi przypomniał.

Wojski nas zaprezentował, ale zdziwiłem się, że tu już znano nas bardzo dobrze i wiedziano o wszystkim.

Bzowskiego przyjęto z odznaczeniem wielkim, szanując krew królewską, ale krom tego i nam w niczem nie chybiono.

W izbie zastaliśmy gości: Imć pana skarbnika Gromińskiego. quasi mądralę powiatowego. Imć pana Marcina Dębickiego stolnika sandonierskiego człeka dużej fantazyi, przytem niespokojnego warchoła. Gidzie jaki związek, gdzie huczek, gdzie swywoła zawsze tam musiał być marszałkiem i najstarszego syna cześnika. pana Alexandra.

Powitano nas uprzejmie. Pan Dębicki nawet sadził się na wielkie komplimenta dla Bzowskiego — jeden tylko skarbnik podał nam rękę. jak gdyby z partesu. urażony, że to nie jemw pierwszemu ta wizyta przypadła.

— Zaszczyt to duży dla naszego powiatu, że trzech tak przezacnych kawalerów prozapiejej takiej, ulubionych niegdyś ukochanemu naszemu królowi, tu właśnie obrało sobie siedziby—rzekł pan Dębicki.

— Nie wszyscy panie stolniku dobrodzieju, bo ja jeszcze nie mam kąta — odpowiedział Zabciciu,

— Już my tu waszmość pana ulokujemy, a to grzechem by było rozrywać taką trójcę.

— Ot jest wioseczka wdowy Trzycieskiej. niedaleko Opatowa, Ziemia dobra, nieobdulżona, łąki piękne.

— A będzie tu u mnie nawet jej szwagier imć pan Antoni Tęgoborski. sędzia opatowski, możecie zaraz interes ubić—
rzekł pan cześnik.

— Będzie nawet pan Żelecki. pisarz ziemski, to i transakcyjka gotowa.

I jak zaczęto kalkulować. układać, tak nie tylko Żabickiemu wioskę kupiono, ale nas pożeniono i nie ledwie, że się nie wproszono na kumotrów naszych przyszłych dzieci. Zwyczajnie w takich razach.

A gości zjeżdżało się coraz gęściej z żonami, córkami, siostrami, ciotkami, wdowami, pannami. Od dyskursów ciągle nas odrywano, żeby się prezentować jegomościom, jejmościom i jejmościankom.

Wreszcie musieliśmy ich całkiem zaprzestać. Pokoje się napelniały ciągle — a nie słyszałeś jak tylko:

— Służby moje powolne cześnikowi dobrodziejowi.

— Moja służba.

— Służba sąsiedzie miły.

Staroświeckie to już były powitania—a często gęsto: pochwalony Jezus Chrystus.

Jejmość pani cześnikowa, niewiasta cicha, wiel

kiej pobożności, lubiąca swatać, Tutaj to skojarzyło się małżeństw tyle, że chyba pół województwa zaludnione niemi zostało.

Byliśmy wszyscy trzej kęskami nic do pogardzenia, to też strzelano do nas oczyma, jak z samopałów.

Mnie to gniewało okrutnie i zżymałem się w duchu na te wszystkie manewra strategii niewieściej, nawet patrzeć nie chciałem na kobiety, wydały mi się one wszystkie brzydkie i niezgrabne a z swoją chęcią podobania śmieszne, nieznośne—a kiedy przyszło do prezentacyi i dyskursów, po prostu skóra na mnie cierpła. Powiedziano też o umie. żem chyba na dworze w piecu palił—ale to mnie nie zgniewało wcale.

Bzowski za to rozpuścił swoje wszystkie żagle i skrzydełka, Znać chciał zagłuszyć w sobie wyrzut sumienia i zatrzeć w pamięci dzień wczorajszy.

Nie nazywano go w rozmowie z sobą inaczej. jak królewiczem.

Każda z powiatowych gęsi rada go była mieć przy sobie, rada była usłyszeć od niego komplement, któremi sadił na wszystkie strony, ale ja znając go dobrze, widziałem, że to tam więcej szczypiącej żółci, niżeli miodu w nich było.

Młodzi kawalerowie, a było ich tam dosyć, poczawszy od paru Bełhackich. przygryz.ili wąża i z pod brwi chmurnych na niego poglądali, bo

ani przystąpić do żadnej. kiedy każda królewiczem zajęta. Zastawiono stoły do biesiady. Tu znów każda chciała siedzieć przy królewiczu, ale że się nie dato, więc przez stół prowadzono rozmowy, których duszą był Bzowski.

Wszystkim jakby gęby zamurował, bo trzeba było tylko słuchać i podziwiać a słóweczka wścibić nie można.

Starych to gniewało i niecierpliwiło, młodzież siedziała osowiała.

— Panie starosto (ho tak go zaprezentował wszystkim eześnik)—mówiła jedna. — Nie będziez to ze szkodą dla takiej edukacyi waszej i dworskiego poloru. jeżeli zagrzebiecie się na wsi?

— Ach, w takim pięknym pałacu można zapomnieć o dworskiem życiu.

— Czy prawda, że macie i wiszące ogrody?

— Mam —i jak je wiosna ustroi zielonym kobiercem, zapraszam jejmość panie wraz z dostojnem gronem małżonków i za ich pozwoleniem na bukiet.

— Cóż to takiego?—odezwano się chórem.

— jest to gra włoska, którą teraz dwór się bawi.

— Ach. opisz ją nam waszmość.

— Persony w kółko siedzące przybierają nazwiska rozmaitych kwiatów, które przypinają sobie do piersi. Persona w środku będąca, układa z nich bukiet. skoro tylko wymieni kogo, ten

lub ta, co to nazwisko nosi, wstać i zatańczyć powinna galarde — jeżeli nie uważa, idzie do kota, na miejsce tej która mówiła; układająca bukiet gdy wspomni o kwiecie, którego niema w kole, za to fant daje.

— Ach jakież to ładne! — zahrzyknięto. Dopieroż przyszła kolej na stroje.

— Panie starosto, gdzież to dostać tych pięknych koronek, któremi królowa jejmość tak nadobnie się ubiera?

— jest Francuz Crussot, który otworzył z niemi sklep na Sto Jańskiej ulicy.

— Wszak to już nie w modzie perpetuana? — mówi inna w końcu stołu.

— Nie — teraz noszą saję, materyą włoską.

— Ach, jakie to ładne były te kryzy — czy to już do nich nie wróca?

— Chyba nie.

Musiałem podziwiać giętkość jego natury. On, który wstręt czuł zawsze do wszystkich rupieci i i fatalachów jak ich zwykle nazywał — tu wyjadał o nich traktaty prawie, a dziwnie umiał trafiać do gustów i usposobień wszystkich. On, co duma szaloną zadziwiał nieraz dostojników, tu potrafił być miłym i trzpiotowatym a w miarę (rubaK..nym znów i zamaszystym tali. jakby się tu w szlacheckim lilóym dworku wychodował — istny bistrion.

Ze strojów przyszło na tańce, na obyczaj dworskie, lia fraucymer. Wyliczał im, ile która

ma sukien, jak się ubiera, co robi. jak jadają, jak piją. Matrony pożerały go oczyma, całe w słuchu, panny to samo.

Po uczcie rozpoczęły się tany.

Cześnik trzymał doborową kapelę, ale więcej huczną, złożoną z trębaczów. bębnów i pokrzyków.

Tańce poszły szlacheckim dawnym obyczajem, jako: cengar, świeczkowy, lipka, taniec Macieja. Potem ruskie, które Bzows]vi gwałtem wprowadził ale z niewielką ochotą młodzieży, jako: gniewus. dorobuszka i hajduk.

I tu rej wodził jak we wszystkim.

Nareszcie gadatliwe jejmoście pochowały się po alkierzach i pokojach ościennych.

Wzięto się do kieliszka.

Już to prawdę mówią. że in vino veritas. Natura ludzka krępowana względami przeróżnemi, drzemie sobie spokojnie, dopiero przy kieliszku wyłazi zwierze, jakie w sobie człek nosi. kiedyś kozioł toś kozłem, małpą toś małpą, lew, wół, osioł, lis, tygrys i t. d.

— Zobaczymy, jak nam tu dotrzyma ten królewicz — szeptano sobie po kątach.

Nie wróżyłem tu dobrego rozstania. Zanadto przeciągnął strunę — myślałem sobie, bogdaj nie pękła.

Odezwał się pierwszy imo skarbnik Gromiński, ten, co to nas miał na wąsie.

— Niechże i nam imć pan Bzowski niegdyś

dworzanin i starosta, raczy dotrzymać kroku, jak i niewiastom naszym. Niechże ryf.erakie i kawalerskie jego cnoty w całej pełni zabłysną. Oto wnoszę jego przezacne zdrowie.

W wyzwaniu tem, czuć było całą żółć i obrazę. Powiedział: niegdyś dworzanin i starosta. Mógł sobie być niegdyś dworzanin, ale niegdyś starosta — takiego subjektum nie było jeszcze chyba.

Popatrzone też tyłki) po sobie a Bzowski wzięwszy kielich. rzecze:

— Wszystko to, co było niegdyś, świeciło blaskiem niespożytych i cnotą. Biorąc więc assumpt z owego niegdyś, wymówionego z takim przyciskiem przez jegomość pana skarbnika, powiem: że niegdyś nie odważano się przymawiać w ten sposób, takiemu jak ja człekowi a ninie niożua z pogardą takie zdrowie wylać za okno. I rznął kieliszkiem tak, że się rozprysnął w kawałki.

. — Co, kto, jak? — krzyknęto kupą całą.

— Bardzo dobrze — bo to było obrazą — zawołali inni.

— Z cudzego nieszczęścia urągać się nie godzi — rzekł pan Bartoszewicz, płacząc, co było zawsze, kiedy tylko jeden kieliszek wypił.

— Panie starosto — ozwie się gospodarz do Bzowskiego — jesteś nim zawsze dla mnie i dla moich gości — a komu to nie w smak, niech sobie gębę obetrze i milczy.

— Runąć kielichem, toż despeki powiatowi

całemu — mówi Kliszewski z srogą miną dobywając szerpety. — Ot, zraziki będą.

— To tak — zawołał skarbnik to już wyłokę wypędzonego ze dworu, wyżej tu cenią, aniżeli osiadłego szlachcica. No bądź zdrów!

— Despekt powiadam do łm)óset stu tysięcy. Stawaj ty taiti owaki!..

— Bracia mili — szlochał Bartoszewicz.

— Nie gniewaj że się — mitygował Bzowskiego cześnik.

— Gniewać się nie będę, bo nie warto, Znajdę przecież satysfakcją, gdy mi ochota przyjdzie a teraz w waszym zacnym domu cześniku, chcę się oddać zabawie.

— Przewacne zdrowie gospodarza!

— Vivat!

Wypróżnili kielichy i znów je nalewano de noviter.

Bzowski znów po staremu.

— Przewacnej rodziny, co jak w zakonie świętym strzeże cnot starszłacheckich i gościom swoim chybiać nie pozwala.

— Vivat! — z przekąsem ze strony lewej. I znów ich napelniono,

— Niech przepadną warchoły i kontradycenci i ci, co próżny łeb do góry noszą!

— Niech przepadną!

Pił na umór. Wreszcie gdy ich już napelniono, po raz nie wiem który rzekł:

— Panowie bracia. Kto mi życziwy, niech spełni toast, jaki tu wniosę.

Zahuczało trochę, ale jednak ciekawość przemogła i słuchano onego toastu.

— Szlachecka równość, była i jest dotąd fundamentem naszej przestawnej Rzplitej. Mądrze myśleli wielcy nasi królowie i owi mężowie przestawni, którzy na niej budowali potęgę naszą. Mądrze poczynał Batory, co nie w herby patrzył a w świetne czyny ludzkie i szukał serc wielkich, znajdując je pod siermięgą wieśniaczą a dumnych urosłych w pychę i depczących mniejszą bracią upokarzał i w rygor ścisły prawa ujmował. Bo nie herb odziedziczony po ojcu, ale cnoty przodków przechowywane, jak relikwie stanowiły zawsze o szlachcicu. Po Batorym wziął spuściznę ś. p. nasz król Władysław. Byстрыm swym rozumem i sercem ojcowiskiem odgadł on, że psuje się budynek, który ojcowie z takim trudem dźwignęli, bo wszystkie dobrodziejstwa, wszystkie dary, jakie ta przesławna wolność nasza zdobyła, pochwyliły silne ręce starszej braci, nie dając ani kęsa ubogim i maluczkiem. I chciał zaprowadzić podział sprawiedliwy tych darów bożych, ale siła nieczysta onych starszych braci, a wielkich pychę i dostatkami udaremniła jego zamiary.

Umarł, złorzeczając im. I spadła pomsta na nich, którzy się sprzeciwili jego zamysłom i Polska pokutuje za ich grzechy i Bóg wić, jak długo pokutować jeszcze będzie.

Więc panowie bracia! niech żyje równość szlachecka nie w herby i w antenaty bogata, ale w świetne czyny, któreby nam pozwoliły zmasać hańbę Korsunia i Piławic,

— Hura! zakrzyknęli jedni.

— Veto! — wrzeszczeli drudzy.

— Nie w herby i w antenaty czy oszalał?

— Król Władysław do absolutum zmierzał, to wiadomo. A on go tu wynosi za to!...

— Panowie! Kain i Abel dwaj bracia... — rzekł, płacząc Bartoszewicz.

— Więc cóż ci dwaj bracia?

— Bredzisz podsędku.

— Obciąć go! krzyczał Kliszewski.

— A to jakieś chłopskokozackie gusta — rzekł zjadliwie pan skarbnik. — Czemu to waść do Chmielnickiego się nie uda!

— Bo i pewnie. — podparli go zaraz inni.

— W Chmielnickiego szeregach są waleczni, przed którymi uciekać musieliście.

Na straszliwy grunt dla niego, zesłała cała ta sprawa. Zaczynało się burzyć a burza ta porywała po trochu tych, co mnstah życzliwie.

— Szymonie — rzekłem doń, — czyś zwaryował! przecie to nie zemną sprzeczeki.

Ale już ten ogień porwał go. przeciw któremu nadaremnie było go hamować.

— To takie myśli haniebne zaprzatają tę głowę? Pan Pasek, młody lecz roztropny człek, z Bie

lin z iławskiego, z którym mię później łączyły węzły przyjaźni, rzecze do mnie:

— A weźcież tego człeka z oczu. bo go tu posieka.

Pan Dębicki, dotąd przysłuchujący się obojętnie, powstał z ferworem i rzucił:

— To infamia! To w dworni nieboszczyka króla tacy ludzie się chowali.

— W dworni nieboszczyka króla byli ludzie, co więcej wiedzieli, niżeli sandomierskie głowy.

— A po coś między nich wlaź wywłoko?

— Bo tu mam fortunę swoje.

— Nie swoje, ale matki.

— Kto tu śmie jej cześć znieważać? Wychodź! nędzny.

Ale w tej chwili przeszło pięćdziesiąt szabel błysło nad jego głową.

Bełhaccy, ilu ich było. krzyczą:

— Wara! Panowie bracia, mitygujcie się. Bartoszewicz płacze.

Kliszowski woła:

— Rozsiekać tego chłystka!

— Zbrodnię chcecie spełnić w moim domu?

— Nie warte życia takie subiekty! Kobiety podniosły gwałt — wpadło ich parę do

izby, ale je wepchnięto na powrót i drzwi zaryglowano, a przypomniawszy sobie jego sukcessa, większą zapalano nienawiścią.

I ten. i ów sięgnął go już szerpctyną. Krew trysnęła. Wtedy staruszek Wojski wystąpił z tłu

mu i cały stół, jak stał, przewrócił na napastników tak, że niektórzyra nogi nim przygwoździł, innych puoblewał i zarzucił kielichami. Bzowskiego porwał za rękę wśród tego tumultu i choć się opierał, wyciągnął gwałtem do sieni. Poskoczyliśmy z Żabickim. wpadli do stajni i konie, co nam na podręczą stały, odwiązawszy od żłobu, wsiedliśmy na nie oklep i pognali w pole.

— Hańba, sromota! — wrzeszczał Brzowski— uciekać przed tą zgrają? Puszczajcie mnie!

A wtem i Wojski nadjechał sankami.

— Wziąłem cię żywego od matki i żywym cię odwieźć muszę. Siadaj! Byłbyś zginął śmiercią niesławną pod stołem, a życie waści na coś lepszego przecię przydać się może.

jednak rany, jakie mu zadali, broczyły krwią. Ledwieśmy go dowieźli do Grzegorzewie, gdzie opatrzywszy w karczmie, ruszyliśmy do domu.

Chciałbym być posiekany i podziurawiony, jak rzeszoto, byle mieć przy wezłowiui taką patronkę.

Tu dopiero poznałem, jak to nieszczęsne dziewczce miłuje tego okrutnika, który krom lichej litości, jaką się daje nieszczęściu, nic więcej dla niij nie czuł.

Lubo niebyło czem się trwożyć, bo go draśnięto nieco i osłabi tylko z ubytku krwi przez drogę, przecież biedne kobiety zawodziły z rozpaczy.

Matka zwłaszcza rzucała pomsty i gromy na całą sandomierską szlachtę. Salunia zaś w milczeuii czuwała ustawicznie przy chorym, który od czasu do czasu wyrzucał z ust jak gdyby przez sen: Zemsta im!

Przyszła wiosna.

Raz szarą godziną, bez światła siedziałem przy stole, opodal od jego łóża. Kobiety były w swoim pokoju. Wydobył głuchy jęk a potem myśląc, że jest sam, zaczął mówie do siebie, jak to miał we zwyczajui;

— I znów dzień przewlókł się ponury, jak karawan z pogrzebem. Długo ja jeszcze takie dni liczyć będę? Zemsta im, dzwoni mi w uszach i przyspiesza tętna na chwilę, a potem bezwładność chwytą członki i duszę, i śmiech gorzki wydobywa się z piersi: Ha, nędzny ty zlepku człowieka, króla, biedaka — nie wynaleziono dla ciebie kąta w tym ulu ludzkim, nie masz go ni w górze, ni w dole — tam pogardą a tu szyderstwem płacą. Gdzież miejsce dla mnie? Nie wolno mi być tem, czem jestem, nie wolno mi nosić nazwiska, które do mnie nie należy a potem doń jest przycztepiiona hańba. Nie wolno mi myśleć i czynie wzniosłe. Cóż czynić? Siermięgą odziać ciału — zejść ua najniższy szczebel drabiny ludzkiej..... poddać grzbiet pod razy tych wszystkich, dla których pogardę się czuje... albo!..., ach albo stargać to wszystko z czem serce młode się zrosło...

Zagłuszyć w sobie wszystkie wspomnienia dzie

ciństwa... zerwać z przeszłością bezpowrotnie, stworzyć sobie nową ojczyznę? Zemsta im! O tak, zemsta okupiona drogą, bo strata tego wszystkiego, co mi szanować i czcić kazano.

Ha, więc niech przeklęte będą te widma wpojone w dusze niewinne, widma miłości ojczyzny, wiary, nadziei! Czulem to wszystko w duszy a zapłacono mi za nie szyderstwem i wzgardą. , Tal:, czekać będę, dopóki czas zrzeczności nie poda.

Ujnikł.

jakże nieszczęsnym był ten człowiek, a jak spadzistą owa przepaść, w którą się staczał.

Drzwi skrzypnęły, weszła po cichu Salomeja — chciałem się zerwać, ale szatan ciekawości i zazdrości, zatrzymał mnie na miejscu.

Mrok zapadał coraz większy.

— To ty Saiomejo — rzekł Bzowski — przybliż się. Urosłaś i jesteś piękną, jak zawsze, tylko blady smutek, zamiast rumieńca masz na twarzy. Jeszcze nie miałem chwili, aby przemówić do ciebie. Nie płacz—moja matka zastąpi ci twoje pewnie—przebolejesz i znów będziesz szczęśliwą.

— Ja? nie zapominam o tem, co się zrosło z sercem... szczęśliwą być nie mogę... Ale ty... ty Szymonie, zrzuciłeś zda się przeszłość bezpowrotnie.

— Tak—nie chcę słyszeć o niej więcej. Nowe życie rozpocząć pragnę. Życie czynu, nie marzeń marnych, życie chwały i blasku.

— Oh tak, takim cię zawsze widzieć pragnęłam Szymonie, ty jak orzeł w słońcu, w blaskach chwa

ły tylko przebywać możesz. Czy pamiętasz te ciube wieczory, kiedyśmy przy szumie lip siadywali we dwoje. Opowiadałeś mi, jalt to kiedyś z tureckiej wojny, drogiemi łupy ubierzesz mi komnatę. Czy pamiętasz, te dumy smętne na kurhanach, co o starych bohaterach nam gwarzyły? Oh, ileż ja tam łez wylałam za tobą! ,Jak ja czekałam ciebie Szymonie!... Z wichrem stepowym dźwięki o tobie łąwiłam.

— Biedna — wszystko to były mary. Śmierć bezlitosna zatarła nam to wszystko. Zapomnijmy o tem — do nowych walk a tak odmiennych sił nam potrzeba.

— Czemuż rzucać te złote wspomnienia lat szczęśliwych? wszak to one, na anielskich skrzydłach w bramy raj u nas wiodą. Oh, gdyby nie te wspomnienia, ja bym umarła już dawno! One były słońcem, w strasznym piekle mych cierpień. One mnie z łoża dźwignęły, że żyję dotąd, że widzę ciebie, im zawdzięczani.

— A jednak, rozstać się nam z niemi trzeba Salomejo, byliśmy dziećmi.

— Nam się rozstać — wyrzekła z żalem takim, jak gdyby w niej serce pękało. — Nie wymawiaj tego słowa, bo wrócę tam, gdzie popioły ojców moich wicher stepowy rozwiewa i jękiem żalu zapełnia pustynię całą. Nam się rozstać? Więc to prawda, że w dworskich panien gronie, zaprzepaściłeś wspomnienia o mnie. Więc ty już nigdy

nie wrócisz tam. gdzie każdy listek, kwiatek każdy płacze za tobą i czeka?

— Oh, może wrócę, ale nie takim Salomejo.

— Wrócisz mężem. Pomścisz śmierć drogą naszych ojców i braci, Rozgrzmi Ukraina twojemi czyny. Do dum bohaterskich, jedna jeszcze przybędzie najpiękniejsza, najwznioślejsza...

— Najstraszniejsza!

— Więc rzuć ten smutek. Powiedz lui, o powiedz jedno z tych słodkich słów. jakie tam mi mawiałeś, a będę szczęśliwą.

— Zostaw mnie Salomejo — w mej duszy jad tylko i gorycz. Przebac mi ty biedne dziecko, jam złamany i biedny. Nic już z tych skarbów, za którymi płaczesz, nie znajdziesz we ranie... nic. Jam dziś cieniem człowieka... zazdroszczę najlichszemu kmiotkowi, co zagon nędzny uprawia .. dla mnie niema nic już... prócz rozpaczy...

— Oh, nieszczęsna ja... nieszczęsna! Chciałem się zerwać i biedź ku niej, bo ranie

ta scena zła mała. jakby wstrząsła raną do głębi— gdy weszła Bzowska ze światłem uczyniłem się znowu śpiącym— nic postrzeżono ranie całkiem.

— Ciotko!—zawołała Salomeja z rozpacza.— Każ ty mi zbić trumnę i wykopać grób głęboki... Albo przywiąż umie do stepowego Ironia, niech tam na mogiła :h naszych skończę.

I wybiegła w wielkiem wzburzeniu.

— Synu mój biedny!... Cóż tu zaszło?

— Oh matko! — rzekł Bzowski, zrywając się.

— Czemuś ty mi data świadomości tego. czem jestem. Byłbym szczęśliwy— uprawiałbym zagon na równi a chłopem— zuchwałe myśli nie szybowałyby po mózgu. Dlaczegoś umie wepchnęła do tej kałuży, gdzie zobaczył ohydę ludzką. Czemuś mnie tam nie wysłała do tej zieleni stepów szumiących i błękitnego nieba. Czemuś mnie nie zostawiła w bandzie cyganów, albo mi trzody paść nie kazała, I czemu ja dzisiaj? W sercu pragnienie zemsty krwawej, zemsty bezsilnej. W głowie rojenia sławy wtenczas, kiedym przykuty żelazną dłonią losu do tego kawałka ziemi, na którym się wznosi on pałac, co wspaniałością swoją i ogromem urąga tylko nędzy naszej, na który ludzie głupi patrzą z zawiścią, a w którym ja się czuję karłem nad karłami... O moja matko, moja matko!

— Nie łaj mnie synu. Los pokrzyżował moje plany — zagroził drogę biednemu królewskiemu dziecięciu. Więc zrzuć z siebie to imię, które tak piecze źrenice ludzkie. Weź moje. znane niegdyś światu a dziś leżące w pyłe. i niem dobijaj się części. Dziecie najdroższe, duma to trawiła nas oboje. Szymonie! Czy ty nie poczuwasz w duszy pragnienia, by tam z orężem w rękę wydrzeć wawrzyny światu i nieznanie nazwisko, blaskiem unieśmiertelić. Tam znowu zawre bój. Traktaty zerwane. Posłów królewskich posiekano. Chmiel zuchwalszy, niż był przedtem.

— Czy ja poczuwam w sobie to wszystko?...

Mój Boże!—ale zasłońże mnie matko, przed pociskiem szyderstwa i pogardy gąb szlacheckich. Daj mi twarz inną! daj mi innego ducha. Choćbym zaparł w sobie wszystko, to, co mam w piersi, oni zawsze wyśledzą we mnie intruza i daremnie będą się dobijał o to, co najlichszy ciura osiąść może.

— Szydercze pociski umilkną. Przed mężką duszą twoją pierzchnie złość ludzka. Zasługi dla ojczyzny, najzuchwalszych rozbroją. Oh, synu, gdybyś ty słyszał, jakich nadludzkich okrucieństw dopuszcza się kozactwo dzikie. Oh, język nie ma wyrazów na to. Polska we krwi się pławi!...

— Któż zaprawił ich do okrucieństw, jeżeli nie bezbożna niewola panów. Kto im broń dal w ręce, jeżeli nie ucisk straszliwy tych królików, co deptali święty majestat Władysława. To bicz boży chłoscze tyranów. I ja miałbym iść pod rozkazy którego z nich? iść walczyć dla ich sławy, kiedy w duszy nienawiść czuję? Czyś już zapomniała, jak cię znieważyli ci nędznicy, a ja stać spokojnie musiałem i patrzeć... jak cię nogą kopnięto? Nie, nie! ja chcę zemsty.

— Zemścij się synu, ale wprzód spełnij powinność swoje.

— Ja królowi tylko służyć mogę. Pod królika chorągiew nie pójdę.

— Oh synu. mająż wszyscy padać ofiarą? Synu! idź tam, gdzie się krew leje braci naszych.

w tobie duch rycerski ojca żyje! Szymonie! jak wierzę w Boga, tak wierzę w chwałę twoje na polu bitwy. Oh drogie, ukochane dziecko moje— patrz ja matka, lzy leją serdeczne na samą myśl szczęścia, jakie mi zgotujesz, wróciwszy zwycięzcą. Idź synu, bo ty mi zginiesz marnie w tym zakątku; dla ciebie tylko pole chwały. Nie będę już samotną, bo mam to dziewczę przy sobie — ale jakże chciwie łowić będę każdą wiadomość o tobie — myśli i dusza moja będą z tobą. Tam tylko, tam mój synu. utopisz tę gorycz, co ci serce zalewa. Prawda—ty pójdziesz? Pierzchnie nawała kozacka na sam widok Władysławowego syna,

— Władysław był ich obrońcą.

— Ale ich w karbach trzymać umiał.

— Panowie podeptali nogami jego najpiękniejsze plany—nie pozwolili jednej kości z swego pańskiego stołu i tym, którzy krew leli dla nich na kresach, prawa człowieczeństwa zaparli. Dziś sprawiedliwość domierza sądu. Uciśnieni podnieśli głowę i wydrą ;m to. czego dobrowolnie dać nie chcą.

— Kto zawinił, niech tego Bóg sądzi. Ale ty synu będziesz po stronie nieszczęśliwych.

— Ja będę po stronie pokrzywdzonych.

— Więc tej dzicy damy zawładnąć?

— Ta dzicz, to najdzielniejszy kwiat rycerstwa. Ta dzicz, to bohaterwie, przed którymi

pierzchają panowie nasi, wyhodowani w pierzynach.

— Nie! ta dzicz to wyrodni synowie, co ciało matki własnej szarpią. To zdrajcy zbratani z tatarstwem, na zgubę ojczyzny naszej. Słuchaj mnie synu. zgrzeszyłam dużo. ale gdybyś ty miał mi się zaprzepaścić w tej zawierusze i stanąć wrogiem ojczyźnie... Oh, wtenczas synu przeklęłabym ciebie. Pamiętaj!

Wyszła—poty na mnie były. Nie śmiałem się ruszyć, aby się nie zdradzić.

Bzowski chodził po izbie dużymi krokami — mnie nie widział siedzącego i zagłębionego w dużym krześle przy oknie, tak był zajęty własnymi myślami. Śmiał się gorzko i rozprawiał sara z sobą:

— Jam od losu przeklęty, niechże nim będę w całej pełni. Przekięty. ze zachości ducha hołduję? Że chcę wielkimi czyny zmasać plamę mego urodzenia? Że chcę walczyć za uciśnionych i maluczkich? Że chcę w twarz rzucić temu zgniłemu pokoleniu, które mnie depcze, cały zasób mojego ducha? Błysnąć potężnymi czyny, co w wnętrzu mojem tętnią, przerosnąć wszystkich tych karłów?

Botem rzucił się w krzesło, zakrył oczy rękoma, został tak czas jakiś i rzekł z boleścią;

— Lecz po cóż te grzmiące słowa? Uspokój fiń biedna matko, ten twej królewicz zamrze spo

kojnie na barłogu, z błogosławieństwem twojem, bo nic innego w losach mu nie pisano.

Potem się zerwał szparko.

— A przecież nie! Giwiazdy co innego mi znaczą.

I wyszedł szybko z izby.

Pognałem za nim. poszedł nad staw i wpatrywał się w niebo.

Co będzie z tym człowiekiem?—myślałem i szalony zawrót głowy mnie chwycił.

Siadłem na konia i pognałem do mojej wioski.

W drodze twarz księżycy dwoiła mi się w oczach. gwiazdy skakały, a każda z nich miała Bzowskiego oblicze a najjaśniejsze znów Salomei twarzyczkę. W lesie drzewa przeistaczały się w olbrzymów—gorączka mnie paliła.

Przy biegałem do domu i sam niewiem, jak wszedłem do izby i rzuciłem się na łożo.

Wezwano mnie do Warszawy, dla assistencyi przy inwentarzu po nieboszczyku królu, ale wiedziałem, że co innego to tam niemi powoduje.

Chciano mnie mieć na dworze. Nowemu królowi w niesmak bardzo było. że polowa prawie dworzan Władysława odpadła, jak gdyby gardziła łaską nowego pana, a powiedział mi to Ubysz, który temi czasy odwiedzał krewnych swoich w Sandomierskiem i o mój dworek zawadził. Bądź jak bądź. podróż ta wypadła mi na rękę.

Do Jurkowic. ciągnęło mnie niby żelaznemi kleszczami. Chodziłem po kątach, jałt struty, parę razy kazałem zaprzęgać do kałamaszki. ale przecię jak gdyby wstydząc się tej mojej słabości, znów odprzęgać kazałem, co mojego siostrzeńca dziwiło niemało. Spadła wreszcie ta podróż i pokwapilem się do niej z wielką ochotą.

Wyjechałem na Koprzywnicę do Sandomierza, gdzie się spotkał z żabickim. który także jechał wezwany na dwór. a któremu jakoś życie ziemiańskie wcale nie pachniało.

Przenocowawszy, mieliśmy nazajutrz wsiąść na sztukę, pogoda prześliczna.

Pobaraszkowaliśmy sobie trochę po mieście, słońce się miało ku zachodowi. aż tu wali karoca a z niej wysiada kanclerz wielki Ossoliński.

Podeszliśmy ku niemu, powitał nas bardzo uprzejmie, zdziwionych nie mało. że nas poznał.

— Aście co tu porabiacie?

— Iedziemy do Warszawy.

— A no to zabieram was na nmję galn'ę.

I nim mu podziękować zdołaliśmy, już wydał rozkazy, aby rzeczy nasze znieść natychmiast nad Wisłę, a nam zapowiedział aby za godzinę być gotowymi, bo pojedziemy nocą.

Stanął w rynku, gdzie zaraz tium suplikantów i interessantów go otoczył.

Nie miałem dotąd czasu i miejsca, aby coś powiedzieć o tym dziwnym człowieku, a przecież

on to przez lat tyło dzierży! wodze spraw króla i Rzeczypospolitej.

Widywaliśmy go zawsze na dworze, jako surowego dygnitarza z pliką papierów, które niósł za nim jego sekretarz, poważnym, zamyślonym tak, że nie widział przechodzących i kłaniających mu się do ziemi.

Rozmowy, które prowadził z królem były dla nas niby niemieckiem kazaniem.

Wśród terminów prawnych i politycznych, wśród owej gmatwaniny języka, trudno nam było pochwycić jakieś słowo.

Zresztą nudziło nas to okrutnie i kontenci byliśmy zawsze, kiedy się za nim drzwi zamknęły, ho wó)wczas król nasz ukochany bywał wesół i dobrej myśli, tak znów zjawienie się jego surowym a poważnym, oblewało uas zimną wodą.

Nie przemówił do nas nigdy słowa, jak gdyby nas nie było. Nie widzieliśmy też nigdy w nim człowieka, ale jakieś dziwne automaturn wielkiego dygnitarza, którego poziome sprawy ludzkie nie zajmowały nigdy, a który losy świata tylko waży w swych rękach.

Nienawidzony przez szlachtę i panów, z których ostatni zazdrościli mu tytułu książęcego i zabronili go używać, narobiwszy strasznych hałasów na sejmach o równości szlacheckiej. a pierwsi mieli go za tyrana, co dybie na ich swobody.

Czytywaliśmy o nim ciągle paszkwile przeróżne, których znaczenia nie całkiem dobrze rozu

mieliśmy. Nienawiść ta i złość udzielała nam się mimowoli, choć nie wiedzieliśmy za co, dla czego. A jednak człowiek ten. był filarem mżyśli królewskiej i widział dobrze zło, co szarpało wnętrze naszej matki.

Nie miał szczęścia do ludzi.

Napatrzyłem się na twarz tę tak. że gdybym był siakim takim malarzem, potrafiłbym doskonale odmalować jego konterfekt.

Twarz to była ściągła, skrzywiona trochę, jakby chorobliwie jakimś wewnętrznym bólem—oczy ciemne, rozumne, przenikliwe — czoło wysokie. Nos wydatny a spiczasty trochę—usta małe, wąs nieduży podkrecony w górę i broda krótko strzyżona, jak i cała głowa. Nad czołem tylko nosił gęstą kępę kędzierzawych włosów.

Ubierał się po polsku.

Gdy nim coś żywo poruszało, wówczas to chorobliwe skrzywienie więcej było widoczniejsze, przytem pokręcał węża, śliniąc palce, co mu nadawało połyskliwość i ładne kształty, w których się zapewne lubował, Aw czem ten zimny człowiek się lubował?— myśleliśmy sobie. Wprawdzie opowiadano cuda o jego pałacu w Warszawie, o jego wspaniałym zamku w Ossolinie i Klimuntowie. ale nie dowierzaliśmy temu wszystkiemu, tacyśmy byli uprzedzeni.

Znając go takim, jak tu właśnie opisałem, nie bardzo nam się śmiało ono zaproszenie, ale powie

dzieliśmy sobie; Toć nie wieki, noc minie nam na spaniu a dzień jakoś tam przenieczym. ' Tymczasem ob. ludzkie płytkie sądy i uprzedzenia—jakież to nas miłe czekało zdziwienie!...

Gdyśmy zeszli nad "Wisłę, znaleźliśmy tłum ludu, który podziwiał galerę kanclerską, a było co podziwiać — pewnie ona sławna wykwintnisia. królowa Kleopatra, piękniejąca nie jeździła.

Cóż to za rzeźby malowane i złożone, one trytony i syreny, jak gdyby żywe. Latarnie ustawione na pokładzie z kolorowego szkła rzucały czarodziejskie światło. Przy rudła powiewała wspaniała chorągiew z herbem pańskim.

Służba ubrana z holenderska, czekała rozkazów, każdy na swoim posterunku.

Siedzenia miękkie i wygodne a cóż dopiero, gdyśmy zeszli z pokładu do kajut!

Wszystko to od dywanów, od srebra i od złota.

Wieczereżę nagotowano na pokładzie i już upłynęliśmy dobrą milę. kiedy nas do niej uprzejmie zaproszono.

— Czy to aście już w ziemianów się przeistoczyliście i myślicie rzucić dworską służbę?— spytał kanclerz.

— Wzrosliśmy i dojrzeli przy ukochanym naszym królu Władysławie — gdy go nam nie stało, tośmy się i rozpierchli— rzekłem.

— A do nowego nie czujecie inklinacyi?

— Ot przyznamy się miłości waszej, żeprawda.

— To źle. Pan to dobry i rozumny a równie waleczny i szczęśliwy, jak nieboszczyk.

— Wiemyć. że cnot u niego uie brak — ale cóż — trudnoż wymuszać w sobie chęci, kiedy ich niema. A przytem chciałoby się człowiekowi odpocząć.

— Już i o odpoczynku waszeć prawisz — w tym wielcu? Odpoczynek przyjdzie po śmierci, a póki żyjem, służyć Trzeba ojczyźnie i królowi. U was byle ziemi kawałek, już i odpoczynek gnuśny, a służba przy ołtarzu Rzplitej nie ma ludzi. Toć i nieszczęście nasze, że każdy tylko sobie służyć pragnie. Partykularyzm pochłania wszystko. By najdzielniejszy król nam się dostał, paść musi w walce z przemożnym egoizmem. Uszczupla się też ta powaga królewskiego tronu z rokiem każdym, a niemal ze dniem. A pamiętajcie, że dopóki tej powagi, dopóty i Polski. Ody wyciśnięcie już wszystko na tych królach, gdy im zabierzecie wszystko, zostanie czcze widmo, malowana lalka na tronie. Wtenczas biada! wtenczas ile głów, tyle króli i wtenczas szarpać was będą w kawały i nic będzie nikogo, co by was grzesznych samolubstwem porwał za sobą i poprowadził przeciw wrogom.

Wygłaszał takie sentencye. jak się mówi o rzeczach potocznych i całkiem obojętnych, spokojnie bez owych koloryzowanych, szumnych przystrojeń. Śnać to tam. ta głowa tak była przejęta niemi, że płynęły same mimowoli nawet.

w trakcie tego jadł i popijał: i trącał się z nami kielichem.

Kto śmieliśmy się i jednym słówkiem odezwać ale wsłuchani cali, zapomniawszy o jedzeniu, połykaliśmy chciwie jego słowa,

— Obawiają się, by nie uronić kęsa tych swobód i wolności—a cóż im z nich, jeżeli nie będzie króla wojska? Wtargnie Niemiec. Tatarzyn, Szwed i dusić będzie wolnych.

Patrzcie ua rządy silne.

Kwitną miasta a w nich rzemiosła i kunszty. Szlachta stoi przy tronie wiernie, bo wie ona, że ten tron to sita, to duma. to potęga, to postrach sąsiadom. Ujęto w silne karby tak dobrze pana Wiśniowieckiego. jak pana Macieja. A u nas co? Pan Wiśniowiecki ma tyleż praw, co i pan Maciej, ale pan Wiśniowiecki wić dobrze, że może zjeść pana Macieja, gdy mu się nie ukorzy, to też pan Maciej pył zmiata czupryną przed pauem Wiśnniowieckm. I to jest wasza żrenica oka — oh ślepi!

Gdy siedzi król mądry na tronie, a nie ma rąk skrępowanych, boi go się tak dobrze pan Wiśniowiecki, jak i pan Maciej i wtenczas coś zaważy wolności nasza, bo jest poszanowanie praw. jest sprawiedliwość, wisi miecz kary.

Chmielnicki dał wam naukę na czasy potomne, jak się szanuje imię królewskie. Na wieść, że wybrano Jana Kazimierza, ustąpił z pod Zamościa, choć mógł przyjsć pod Warszawę i złupić ją

— ustąpił przed czem? Przed potęgą imienia królewskiego.

Ale co to pomoże!— rzeki smutnie, z większem skrzywieniem twarzy. Przyjdą, przyjdą dni smutniejsze jeszcze — ja bo już ich nie dożyję. A przyjsć muszą, bo inaczej nie otrzeźwiemy się z tego pijaństwa.

Mój Boże. i to mówił człowiek, na którym jednej nitki zdrowej nie zostawiono.

Ileż tu walk srogich z przemożnym wrogiem, ile bólów z zawiedzionych nadziei, ile trosk poorało tę twarz i zostawiło wreszcie na niej ślad choroby, co podkopywała go do szczytu.

— Polska nierządem stoi! wykrzyknął jakiś sejmikowy gardłacz, a nie wiedział, że w tej niby przy ganię, wypowiedział najstraszliwszą przestrożę, dla głów rozumnych. Czyż nierządem ostać się co może? Stoi dziś nierządem, ale jutro stać już nie będzie a pojutrze się rozprzęgnie.

Służcie królowi młodzi ludzie. Im większy zastęp uczciwych a szlachetnych otacza osobę pańską, tem jaśniej błyszczą jego majestat, tem więcej cnoty jego wychodzą na światło, tem silniejszą wiarę i poszanowanie wzbudza w narodzie.

Niech źli i głupcy gnieżdżą się po zaściankach, to co jest dobrem, niech niesie cześć i służby ojczyźnie a wiercie mi, że ten jej najlepiej służy, kto służy królowi. A teraz bądźcie sobie wesołej myśli, bo ja spieszę do pracy.

otarł usta, skinął na sekretarza nie zdążyliśmy powstać i podziękować, gdy już zniknął w kajucie.

łalii pan, taki kram. Służba jeigo. ludzie zacni wszystko a poważni i uprzejmi. Przebawiliśmy z nimi noc całą przy kieliszku i radej pogawędzić, a gawęda szła wciąż o nim. o kanclerzu. Mówiono nam, że za życia syna. by wal i wesołym i żartobliwym i podochocił sobie — dziś zakopał się tak w pracy, że tam już nic gwoli zabawie albo odpoczynkowi jakiemuś nie zostawia.

W późną noc widzieliśmy światelko w kajucie kanclerskiej. Pracował ze swoim sekretarzem.

Nawała niechętnych mu i wrogów, wzrastała z dniem każdym tale. że słaby król wreszcie podbechtywany, aby zyskać sobie ich wziętość postanowił go usunąć.

Kazał mu tedy wyjechać w poselstwie do Rzymu. jeszcze się wahał, jeszcze miał nadzieję przemódtz tę nienawiść powszechną, ale rosła i rosła tak, że król nalegał coraz więcej.

—Jutro wyjadę, albo umrę—rzeki. Jakoż umarł.

Takim był kanclerz Ossolinski. Przed samem południem stanęliśmy w War : za w ie.

Kanclerz w jirost z galer}', poszedł piechotą na zamek, nie przemówiwszy do nas słowa. Niedawno co odbył się ślub królewski, z Marya Ludwiką. Jan Kazimierz nie chciał, ale mu pa

nowie wyperswadowali oszczędnością. aby nie dać drugiej oprawy nowej królowej—i tak przy tym samym ogniu, dwie pieczenie upieczono.

Miało być to wesele królewskie arcy wspaniale i pompatyczne, jak tu głoszone powszechnie.

Uchwalono wojnę.

Król miał stanąć na czele.

Regimentarze skierowali wojska pod Konstantynów.

Na drugi dzień dano nam posłuchanie.

— Czy to wascie nie myślicie służyć królowi?— zapytał Jan Kazimierz, zwracając do mnie głównie swoje mowę.

— Miłościwy panie!—rzekłem.—Czy przy dworze, czy w polu, jedna to służba dla chwały waszej i Rzplitej, —i zacząłem koloryzować, jaka to teraz potrzeba ludzi orężnych, chociaż kłamałem wierutnie, bo inna to sprawa leżała mi na sercu, aniżeli wojna, za co mnie też kara sroga dotknęJa w przyszłości, jak się niżej zobaczy.

— Niewolić nikogo niechcę.—rzeki król —ale piękniej można połączyć dwa obowiązki, bo i my ruszamy w pole.

Niektórzy z naszych, zaraz służby swe ofiarowali.

Zabicki został — tylko ja. Zawadzki. Majdel, Brzeziński jakoś wyprosilis*my się.

Pożegnał też nas dość kwaśno, a obróciwszy się do podkanclerzego Leszczyńskiego, wyrzekł

jakieś słowa po włosku, które mi potem Zawadzki przetłumaczył, bo je dobrze posłyszał, a język włoski rozumiał.

— Z brata to jeszcze wzięli, tę niechęć ku mnie.

I nie mylił się. Zanadtsmy byli świadomi wszystkiego, aby nas to nie miało ostudzić.

Obejrzałem się po Warszawie. Niby ta sama. a przecież nie ta.

Za króla nieboszczyka, było rojno i gwarno. Spotykałeś cudzoziemców z końca świata, dziś jakby wymiółł. Twarze smutne, ponure, znękanne.

I gdy tak już wracam z rynku. Gołębią, Freta, do gospody, staję rażony piorunem.

Oto idzie na przeciw mnie Kostuś. a z nim Orzełek, dawny sługus Jadwiżki, w najlepszej z sobą komitywie.

— Co to jest? — hrzyknąłem.—Aść z mordercą swej matki?

— On. morderca? To nasz najwierniejszy sługa. Morderca ścięty zeszłego tygodnia na rynku —a był nim Niemiec Stembock, porucznik. Ten wierny sługa dognał go w Poznaniu i dostawił do sądów. A waść co tu n uas porabia?

Pewnie do dworu powracacie, a warto dziś służyć takiemu panu!

Popatrzyłem z pogardą ua tę twarz zapuchłą od pijaństwa, .splunąłem i poszedłem swoją drogą.

Usłyszałem tylko za sobą jakieś grube przekleństwo, a potem śmiech cyniczny.

W domu dowiedziałem się wcale nowych rzeczy.

Bzowski od paru tygodni wyjechał gdzieś w świat ze swoim Krzemieniem, a nikt nie wiedział dokąd i po co.

Kobiety zostały same, bez opieki, a pora to
była sroga, wojsko niekarne. niepłatne, rabowało, gdzie mogło po drodze, ściągając się leniwo ku
Lwowu, gdzie już król był wyruszył.
Napadli na dwór Bzowskiej, nabrali wiktuałów, kilkanaście sztuk bydła i pieniędzy od niej wydusili, co mogli.
Przysłano do mnie kilkakrotnie, a raz nawet sama Bzowska przyjechała dowiedzieć się, czym nie wrócił.
Przebrałem się tylko z drogi nieco, nie posiliwszy się nawet, pogałem do Jurkowiec.
Przyjęto mnie tam, jak zbawcę.
Salunia spojrzała na mnie tak, że zagotowało się wszystko w człeku.
Bzowska do kolan mi się rzuciła, błagając, abym już nie opuszczał jej domu.
— Poleciał w świat! Niech jedzie! Niech się obejrzy po ludziach, może zrzuci z siebie ten kir smutku. Może utopi
gdzie tę gorycz, ten jad, co mu na duszy osiadł. To będzie dla niego zbawieniem. Nie wiem, gdzie pojechał, nie
pytałam go nawet. Byłam szczęśliwą, że się wybiera w dłu

gą podróż. jestem spokojną, bo on nie, zapomni o nas i lada dzień czekam od niego wieści. Ale wy nie opuszczajcie
mnie sąsiedzie drogi, bo zginiemy tu same.
— I ja moje prośby łączę do ciotczynich. Gdzieżbyśmy znalazły lepszego opiekuna, jak w Was! Tyle tu .słyszałam o
waszem sercu a i snadno mi uwierzyć w to wszystko, patrząc na was, boć nie widziałam człowieka, którego by oblicze
większą dufnością napełnić mogło.
Każde jej słowo, spadało mi na serce, niby słodki balsam. Musiałem być bładny i czerwony na przemian, bo czułem, jak
fale krwi pędziły mi do głowy a potem znów do serca.
Drzałem, jak zak, a jednak nigdy tak szczęśliwy nie byłem. Co mnie już dzisiaj obchodził świat cały? Na tych, co
spieszyli gdzieś tam łamać karki, patrzyłem z politowaniem, bo mnie było tak dobrze.
Z całą ochotą zająłem się gospodarstwem wdowiem a było co robić, bo to wszystko rozprzęgnięte i w nieładzie, Gdy za
to przyszły ciche wieczory, raj szczęścia mi się otwierał.
Bzowska zostawiała nas nie raz samych.
Godzinami całymi słuchałem jej opowiadań, zatopiony wzrokiem w jej cudnej postaci.
Gdym rozważał jej słowa. wydziwić sienie mogłem rozumowi i tej sile przekonania, co jak gdyby z mężkiej płynęły
duszy.

Podслуchała ona i zbadała myśli ukraińskiego ludu i mawiała;
— Chmielnicki sam przez się jest niczem — idzie tam, gdzie go popycha czerń. Na człeka tego spadło niespodziewanie
coś, o czym nie myślał nigdy i ztąd to u niego ta chwiejność. że najcudniejsze nieraz przychodzą mu myśli. Żołnierz
jest dobry, ale człowiek mniejszy, od pierwszego lepszego assawuly. Przypatrzyłam mu się dobrze w Konecpolu.
Więcej mu chodziło o Czaplinską, aniżeli o Zaporozże całe. jeżeli ukradł Barabaszeńce królewskie pergaminy, to dla
tego tylko, żeby podburzyć mołojców na Czaplinskiego i gdyby go był dostał, Ukraina nie pływałaby we krwi.
— Miłował ją okrutnie. A czy sądzicie, że miłując beznadziejnie nie można spełnić rozpaczego czynu?
— Oh, można! — wyrzekła z mocą. która mnie zdziwiła. — Są tacy nieszczęśliwi, dla których miłość jest jakby deską
zbawienia—gdy ona się im wymyka, idą wówczas na dno, bo życie wydałoby się dla nich męczarnią nie do zniesienia.
— Czy nawet wtenczas, gdyby poznali, że to, co kochają, nie warte było ich miłości?
— Kto kocha, ten nigdy w to nie uwierzy.
A mówiła to tak, że już tam nie było co dorzucić.
Smutek też nie raz czarny i zazdrość gryzły mi serce. Zrywałem się wściekły i chciałem opu

ścić ten dom i nigdy nie widzieć tej dziewczki, co mimowoli takie mi zadawała męczarnie.
Inną znów razą. gdy spojrzy. gdy przemówi, gotów bytem paść przed nią na kolana, iak przed świętą.
Zawsze zajęta, zawsze czynna. Tam na kresach niewiasty umieją wszystko i wszystko robią.
Nie tylko gospodarstwo i to. co się obędó:twoa dotyczę, jo zajmuje, ale praktykują one nawet rzemiosła.
Salomeja robiła przedziwne sita, przietaki. kobiałki. Przędła wełnę, siadała przy krosnach. szyła, piekła chleby,
sporządzała lekarstwa, znała się na pasiece. Czasami wybiegała z rarogiem na ptaki, czasami znów ryby łowiła na stawie. Sadziła i pielęgnowała kwiaty, zioła, owoce. Nieraz znów dosiadała konia i pędziła w pole do ludzi—a
wszystko tali zawsze składnie, tak pięknie, tak rozumnie.
Często poddawałem się jej nauce w wielu rzeczach. których nie widziałem, a jakiz byłem szczęśliwy, kiedy im ją
wykładała!
Chłopstwo lubiło ją okrutnie. bo umiała przemawiać im do serca. Wypraszała ich od kar. leczyła choroby, przebierała
się w ich suknie i bawiła z niemi. Miała to już do siebie tak. jak i Bzowski.
W sąsiedztwie, w Jaszczurówce było wesele. Komornik ziemski Kłodziński, wydawał swoje

jedynaczkę za pana Pogorzelskiego, podczaszyca stężyckiego, zaproszono i mnie. alem nie pojechał.
— A wy to nie pomyśleliście jeszcze o kobiercu? — zagadnęła.
— Myslę ja i bardzo, gdyby tylko pani mojego serca, skinać na mnie raczyła.
— A gdzież taka. coby wam ślubować nie chciała?
— A przecież jest.
— Tu w sąsiedztwie?
— Nawet w tej wsi.
Pokraśniała. potem popatrzyła na mnie zdziwiona i uciekła prędko.
Unikała mego spotkania i widać zwierzyła się z tem Bzowskiej, bo wdowa już niezostawiała nas razem, a gdy
zmuszona była wyjść na chwilę wracała zaraz szybko i patrzyła po nas, jakby badając, czy co nie zaszło.
Gniewało mnie to tak. że postanowiłem położyć temu koniec.
Przydybawszy Bzowską, mówię jej:
— Moja mościa pani—żyjemy w takiej zażyłości, żeć i sekretu żadnego między nami być nie może. Powiedźcie mi
więc otwarcie, myślicie ożenić Szymona z panną Salomeją?
— Ach mój drogi panie Krzysztofie. toż najdroższe moje życzenie.
— A kiedy on o niej nie myśli?
— A nie znacie to tej szalonej głowy? Któż

zabadał kiedy, co on myśli. Dziś to, jutro owo. Dziewczę żyje nim tylko i schnie mi. martwi się biedactwo tak, że ani
dnia ani nocy spokoju nie ma. Persfaduje i tłumacze, jak moge. Możeć Bóg jeszcze na dobre obróci wszystko i pewnie
obróci. Mara nadzieję, że za powrotem innym go ujrzę i ustatkuje się pewno.
Każdem słowem swoim krajała ranie, darła pasy.

— jakże to być może — rzekłem oburzony do żywego — gdyście byli świadkami tej wielkiej miłości panny sędziarki do Szymona i pozwolili, żeby on żenił się z panną de la Mariniere a potem, gdy się wszystko rozchwiało. wracać dopiero chcecie do dawnego?

— Któż go żenił? Król nieboszyk—a potem on tak chciał a cóż moje słowa i perswazye zdziałać tu mogły.

— A przecież widziałem, że wasze słowa i perslazye miały swej skutek tara, gdzieście chcieli, żeby miały?

Mówiłem to tknięty i rozgoryczony do żywego,

— Nie może to być. aby panna Salomeja wiedzieć o tem nie miała. Ja to sara jej powiem.

— Oh, nie czyńcie Lego. nu miłość boską! Ot, nieszczęście spadło nam na głowy, Z.abijecie tem biedne dziecko i sobie nie zgotujecie nic dobrego.

Panie Krzysztofie kocham was równie gorąco, jak mego rodzzonego, boś mu był wiernym druham zawsze—przysięgam ci na Chrystusa ukrzy

kowanego, że tu zaraz w tej chwili połączyłabym was z rozkoszą, gdyby jój serce ku wam się skioniło. boś jej godzien, bo powiem ci z duszy prawdę, żeś jej godniejszy od Szymona, bo on się zbrukał już. nieszczęśnik. Ale nie znacie tej dziewczyny — to główka dziwnie rozmarzona a przytem charakteru niezłomnego. Czy wiesz, co uczyniła po jego odjeździe z Ukrainy? Oto rzuciła się w staw. Ledwieśmy ją żywą dobyli ztamtąd, Myślałam, że to — ot kaprys dzieciaka żywego a krewkiego a dziś widzę, że to było prawdą, bo mi powiedziała już tu malo sto razy. że gotowa to samo spełnić.

— A waszeż mądre słowa i rady nie są w stanie powoli ostudzić w niej tej szalonej passyi, bo toraz ja wara przysięgam, że on jej nie kocha i nigdy kochać nic będzie. Wiera o tem. bo uniesiony zazdrością, podsłuchałem ich, a znając go tak. jak i wy a może i lepiej od was. jestem to gotów życiem mojem zaręczyć. Nie wiecie, gdzie to duma i szalone marzenia niosą tego człowieka.

— Oh wiem. wiem... przeczuwam, ale dopóki żyję. spełnić mu ich nigdy nic pozwolę... i darujcie matce nieszczęsnej, zawsze jeszcze myślę, że ona Salomeja swoją wielką miłością i bezgranicznem poświęceniem potrafi przykuć do siebie tego nieszczęsnego człowieka i że przy niej zapomni tych okrutnych myśli, co go gdzieś pędzą na bezdroża.

— To się nigdy nic spełni, nie łudźcie się —

krzyknąłem wściekły tak. że się przestraszyła.— Natura to samowolna, której nic nie okiełzna, im więcej przeszkód, tem uparciej i silniej stoi przy swoim. I takiemu człowiekowi chcecie rzucić na pastwę to dziecko? Oh. ale wprzód gromy siarczyste mnie strzaskają, nim na to pozwolę. Powiem jej — odkryję wszystko — jego rozpustę z jejmość baronową — jego żeniączkę z Fancuzką. niech przecię wić. jak tu o niej myślano, podczas gdy ona tam lży serdeczne lała i wyselała westchnienia.

Kląłem. na czem świat stoi i latałem. jak szalony.

— I cóż potem będzie? — rzekła. — Czy się jej miłszym staniesz i czy myślisz, że dla ciebie wyrwie tę miłość z serca i rzuci ją pod two nogi? Oj. młodzi! młodzi!

— Prawda, prawda Wszak powiedziała mi, że w nic nie uwierzy, cokolwiekby jej powiedziano, bo go miłuje nad życie. O Boże. cóż się ze mną stanie nieszczęsnym!

Bo wy nie wiecie, jak ja ją miłuję okrutnie. I to od pierwszej chwili, gdym ją ujrzał tu. przy progu, w tej chłopskiej sukmanie, z chustką na głowie. Jam takiej kobiety nie widział jeszcze w życiu swoim. Oh. matko! pani! To chyba czary jakieś. czy szaleństwo! Ale nie! nie! jakże to nie miłować takiej... kiedy Bóg dał jej tyle... Ratujcie mnie!

Wyrzeczcie się swoich zamiarów dla

Szymona... mnie ją dajcie!... będzie ze mną tak szczęśliwą, jak z nikim w życiu być nie może.

Rzuciłem się jej do nóg a potem szlochałem, ukrywając twarz w dłoniach.

— Nie rozpaczaj tak synu kochany, a pozwól mi tak się nazywać. Zostawmy to czasowi. Może Bóg pokieruje jeszcze nami tak, że wszyscy będziemy szczęśliwi. Nie nalegajmy na nią—niech ona cię pozna dobrze—niech oceni twoje szlachetne przymioty... A któż wie? bywały nie raz w świecie dziwne zjawiska. Ot, ja sama znalazłam pannę Zawiszanę, córkę kasztelana owruckiego, co zakochana na zabój w rotmistrzu Paszkowskim, uderzyła się sztyletem w obec ojca, gdy ją chciał gwałtem żenić z Borzęckim starostą pokrzywnickim, a przecież utonął gdzieś ten affekt wielki i była najlepszą żoną i matką.

— To się źle skończy, to się źle skończy! — szeptałem na wszystkie jej perswazyje i zaklęcia.

— Nie trać nadziei mój synu.

Nie dałem sobie nic więcej mówić. Wybiegłem, dosiadłem konia i poleciałem, jak szalony, Puściłem lejce.

Zwierzę było przywykłe do drogi, którą tyle razy odbywałem i ledwom się upamiętałem, kiedym się przed moim dworkiem obaczył.

Zastałem w domu gościa.

Był nim mój stryjeczny, Karol Scipion, syn Anastazego Scipiona podkomorzego mozyrskiego

go, rodzzonego brata mojego ojca—jechał do Lwowa pod chorągiew Firleja.

Dawnośmy się niewidzieli i rad mu byłem z duszy,

— Chciałem cię odwiedzić na nowym gospodarstwie—ale coś mi wygładasz nie wesoło. Czyś nie chory?

— Ot tali, zakłopotanym tylko, jedziesz do króla, dobrześ trafił, bo i ja z tobą pojedę.

— A niechże ci Bóg da zdrowie Krzysiu kochany.

— Nie miło mi tu w nowym sąsiedztwie — a żem już dawno ofiarował się umoczyć szablę we krwi

kozackobisurmańskiej, toć nie będzie chyba lepszej sposobności, gdy się pod królewską chorągiew zaciągną.

Na drugi dzień tedy zacząłem się szykować, ale pokazało się, że mi tego brak i tamtego brak. Dalejże jechać do

Sandomierza a potem do Lublina kupować to kulbakę, to ładownicę—to znowu pistolety były zepsute. Karol zżymał

się— ja się wachałem... i zwlekałem, ze wstydem to przyznaję. (Takiego to nędznika zrobiła ze mnie ta passya), aż też w Lublinie dowiedzieliśmy się, że rozejm stanął.

A jaki to był rozejm —Boże miłosierny!

Haniebny! okrutny!

Z całej tej okazji, wyszedł po bohatersku jeden książę Jeremi Wiśniowiecki, który zamknięty w Zbarażu z Firlejem i

Lnckorońskim cudów

dokazał i okrył się sławą niespożytą. Od Lipca do Sierpnia odparł srogich jedenaście szturmów ordy całej i kozactwa. A król?

Zbity haniebnie pod Zborowem, przyjął warunki hordy, co sromem okryły imię Polski — i to jeszcze szczęście, że za pomocą Ossolińskiego, dało się on rozejm skleić, bo gdyby nie to, zginąłby a wraz z nim i wojsko całe i Rzeczpospolita.

Ciskałem sarkazmem na wszystkich.

Na króla, na wojsko, na regimentarzy, byłem wściekły i szalony. Ten i ów popatrzał na mnie z podełba. ale widząc takiego desperata. siłunął tylko i odwrócił się w inną stronę.

— Co tobie człeku, tyś chory?—rzekł Karol.

— Tak chory jestem... Tu... tu... piekło mam w sobie.

— Toż cię zabieram z sobą w mozyrskie... a już my cię tam wykurujemy, '

—Bądź zdrów!—krzyknąłem.

Wsiadłem na wózek i kazałem się wieść do... Jurkowic. _ _ _ ,

Takem znikczemniał. że radbym był. aby wymarł świat cały a my tylko dwoje zostali.

Życzyłem śmierci Bzowskiemu, jego matce i wszystkim, co by mi stanęli w drodze.

To też gdy przychodziły listy od Bzowskiego, nie posiadałem się zgniewu.

Pisywał je to z Siedmiogrodu, to znowu z Wiednia, to z innego jakiego miejsca, a w każdym z nich obiecywał rychły powrót, tymczasem lato się skończyło, zima przeszła i znów zawitała wiosna.

Zamieszkałem w Jurkowicach tak. że do siebie zaglądałem tylko czasem, na krótko i leciałem z powrotem w trwodze wielkiej, czy mi kto mego skarbu nie wydarł.

Salomeja przywykła już do mnie i do moich częstych wybuchów, przyjmowała je łagodnie i z pewnem politowaniem, które ja znowu brałem za objaw jakiegoś afektu z jej strony.

Pracowałem od rana do nocy wytrwałe.

Gospodarstwo wdowy wzrosło, a moje za to dyabli brali, bo siostrzeńczyk więcej strzelbą się bawił.

Ale co mnie to obchodzić mogło. Czegóż bym nie zrobił, by zyskać jakąś podziękę.

Wiedziałem, że przykutym do nich żelaznemi łańcuchami i zrobić ze mną mogą, co zechcą.

Na jedno ich skinienie, gotów byłem z siebie zrobić włodarza, karbowego, masztalerza, parobka, gnojarka. Nie nadużywały wprawdzie tej przewagi nademną, ale korna moja gotowość kazała im liczyć na wszystko.

Przyszły sejmiki.

Trzeba, było jechać do Korczyna.

Bracia mnie dosyć estymowała i gdybym był tylko troszkę poforsował, miałbym kresek co wiezie, ale skończyło się tylko u tem, że obrano ranie marszałkiem koła. podyktowano instrukcją, którą ira skleilem i wymownie, i uczciwie.

Plama Zborowskich piekła naród tak dobrze, jak hańbiąca ucieczka z pod Pilawie — gotowano się też na straszny odwet.

Mówiono o pospoitem ruszeniu ziem wszystkich.

Wrócił z niewoli hetman wielki Potocki, a po nim zaraz hetman polny Kalinowski, przejęci obaj gorącym pragnieniem zemsty.

Król porwany przez nich drżał do wojny — jeden tylko Ossoliński pokojowo chciał kończyć.

Zakrzyczany też. zahukany, bezczeszczonej przez wszystkich, zmarł, gdy mu do Rzymu kazano jechać.

Zaraz też Potocki zciągnął zaciężne wojsko pod Kamieniec.

Chmiel pomimo, że wytargował wszystko, co mógł. także o pokoju nie myślał.

Wracającą szlachtę do swoich siedzib na Ukrainie, spotykała tam śmierć straszna od rozjuszonej czerni.

„Obrazy sejmowe odbywają się porządnie i uczciwie, jak nigdy —pisał do mnie Żabicki.— Na wniosek podkanclerzego Leszczyńskiego, usunięto wszelkie materye, samego bezpieczeństwa pil

nując. Izba poselska jest w zgodzie przykładowej z Senatem. Radzą dniem i nocą. Kroi godziny siedział w sali sejmowej. Uchwalono podatek i pospolite ruszenie. Król proponował zaciężnego wojska „Wiśniowiecki”, zgodzono się na „Po Ossolińskim, oddano pieczęć wielką Leszczyńskiemu, a po Leszczyńskim mniejszą Radziejowskiemu, który ją kupił od królowej. To też gdy mu ją wręczył Jerzy Lubomierski marszałek, nadworny po zmarłym Kazanowskim —w pełnym sejmie rzekł doń te pamiętne słowa: „Nie godzieneś Tej pieczęci, boś ją wziął za pieniądze.” A ten pokłoniwszy się marszałkowi, podziękował także królowi i siadł na swoim miejscu. Takich to teraz Polska dostawała dygnitarzy. Wracali bracia z sejmu do domów, myśląc o wyprawie a gotowano się do niej już nie buńczucznie i strzępiasto. jak pod Pilawce. albo niechętnie jak pod Zborów, ale z pokorą i skupieniem ducha.

Gdzieś zajrzał, czyszczono i gotowano broń i zbroję, która od pradziada leżała gdzieś na strychu popstrzona przez muchy i gołębie, jak dowodził ongi pan Tymiński.

Cała Polska zda się poruszona, wzburzona, aż do jelit, gotowała się na straszny bój na śmierć i życie.

Najobojętniejsi i zakamieniałego serca, tak jak ja dzisiaj nie przymierzając, rachowali się z su

mieniem, bo iść było trzeba, ale nie każdemu wrócić będzie dano.

Po kościołach solenne wotywy.

Konfesyonały pełne.

Zaniechano dawnych uraz, zapomniano krzywd wszelkich.

Godzili się antagoniści, co od wieków w rodzinach wrzeli niepohamowaną zemstą—jak panowie Petrykowscy z Szczurowskimi.

W kościele farnym w Sandomierzu, dwie wrogie rodziny podały sobie ręce w uścisku bratnim, potem wszyscy, jak ich było około trzydziestu, padli krzyżem i przeleżeli mszę całą, prosząc wszystek lud zgromadzony, aby ich deptał, wychodząc z kościoła. Kajało się wszystko.

Przy konfesyonałach, wyznawano stare zbrodnie i szalbierstwa, jak pan Racięcki, co całe dobra Głinojeckie powrócił wdowie i sierotom.

Stary, młodzież, dzieci i kobiety w solennych processjach na klęczkach. bosy odprawiali modlitwy.

Nie posłyszaleś muzyk żadnych, ani krotochwili, ale przystojne i poważne rozmowy.

Wdziewano włosiennice i zbroje, martwiąc niemi ciało, czasu wielkiego postu.

Missye. odpusty, cuda.

I trzeba, trzebaż było takich gromów i takiej hańby okrutnej. aby się rozleniwiwały naród otrze

zwił wreszcie i zakipiał oburzeniem, a potem jął rachować z sumieniem.

Matki nie chciały się przyznawać do aynów. co z pud Pilawie uciekli, dopóki nie zetną hańby z czoła zwycięstwem.

Nadszedł wreszcie on rok .

Rok tryumfu i świetności naszego oręża, po tale długim upadku a rok nieszczęścia i rozpaczony dla mnie i bliskich.

Zima była sroga, jakiej dawno nie pamiętano.

Lud marzył po drogach, albo zjadany był przez wilki, które stadami całymi zaglądały do chat kmiecych. Zaczęto też teraz do nich wchudzić. często dając odzież i jadło.

W Lutym król wydał pierwsze wici.

Ruszono się zaraz na popisy pod Sandomierz, a niesłychane to były rzeczy, żeby po pierwszych wiciach, taką okazano gotowość.

Niebawem nadjechał Bzowski.

Nadjechał niespodzianie, wtenczas, kiedym o nim nie myślał.

Zdało mi się, że jakiś kawał granitu spadł mi na barki.

Myślałem, zagrzeźły w mojej nieszczęsnej słabości, że to wiecznie tak trwać będzie i już roiłem sobie, Bóg wić jakie dziwaczne plany. Obejście jego ze mną, było chłodne. Nosił się z powagą i pewnością siebie wielką. O podróżach swoich mówić nie chciał, zbywał je jakimś ogólnikiem.

Zamykał się w swoim pokoju i tam pisywał listy, które Krzemień często wioził do Lublina.

Chmura tajemnicy zdała się go otaczać.

Gdy zjawił się między nami, miał na ustach zawsze żart jakiś, z którego schodziło się potem na rzeczy potoczne i zwyczajne—o gospodarstwie, o inwentarzu, koniach, psach, polowaniu a nigdy prawie o ludziach.

Była to larwa na licu i duszy.

Raz dał mi do zrozumienia, że sam pragnie się zająć gospodarstwem i że obecność moja, jest tu już całkiem niepotrzebna.

Udałem, że tego nie zrozumiał.

Kobiety zdumione popatrzyły na siebie, nie dowierzając własnym uszom i ranie się to wydało jakimś dzikiem i nienaturalnym.

Razu pewnego spotkałem Bzowską z Krzemieniem, trzymała go za piersi, przypartego do ściany.

— Gdzieście byli?

— Tego mi się mówić nie godzi a pani wić, że jak ja raz powiem...

— Nic nie wiem nędzniku! ale ci powiem, że jak nie wyzna sz. wszystkiego, wyrzucam cię natychmiast wraz z twoją Małgošką.

Małgoška była jego córką, którą chłop kochał tak, że byłby gotów dla niej na wszystko i to było jego słabością.

Tym razem jednak i Małgoška była niczem. U Kozaków byliście —gadaj prędko!

Możecie i mnie, i Małgoške głowę uciąć, ale jak przykazano, tak i będzie.

— Po cóż tu wydobywać z niego to, co samo mówi za siebie —rzekłem. —Czyż nie widzicie, że ten właśnie upór jego na tym punkcie, już jest przyznaniem.

— Ach, to prawda. Tam, tam byli niezawodnie. I co ten nieszczęśnik zamyśla? Ten jego spokój, zatrważa mnie. Nie odjeżdżajcież na miłość Boga.

— Bądźcie spokojni—teraz nie odjadę. Chłop popatrzał na mnie złowrogo, coś zamruczał a potem splunął i oddalił się. Wypowiadał się widać zaraz ze wszystkiego przed Bzowskim, bo jeszcze ozięblejším, więcej odpychającym stał się dla mnie.

W innym razie, byłbym takie srogie obchodzenie się. odparł wzgardą, albo i czemś lepszem. ale dziś nie zważałem na to wszystko, bo paliła mnie jedna myśl, jedna żądza, po za którą reszta wydała mi się nic wartą.

Unikaliśmy siebie wzajemnie.

Salunia okazywała mi znów tyle dobroci i jakby afektu, że w siódmym niebie niby mieszkał.

Był to wyrachowaniem niewieściej polityki, czy współczuciem dla mej niedoli.

liaz przydybałem ją samą w pokoju i mówię jej:

— Ot smutki i tęsknota wasza już się skończyły.
— Czemuż to?
— Toć go już macie.
— On nie mój i moim nigdy nie będzie, Zakręciła się po izbie i wybiegła. A jara został i przeżuwałem, i trulem się jej słowami, a potem znów najcudniejsze zacząłem roić obrazy. Wiosna przyszła jakoś szybko, bo zaraz w początku Marca, ciepła chwyciły takie, że zieloność pokryła ziemię. Wyszły drugie wici.
— Cóż, nie myślisz wyruszyć? rzekł do mnie Bzowski.
— Mam czas i po trzecich — a ty nie pojedziesz?
— Ja? a jaż tam po co? Tu mi zostać na tej ziemi kawałku i uprawiać zagon. Dziś to mi już tylko zostało. Ale szlachta rażno się zabiera do Kozaków i już nie czapkami zarzucić ich myśli. Pół powiatu już prawie wyludnione.
— Dzięki Bogu.
— Nie podziękowałem ci za twoje opiekę nad kobietami. Darujże mi.
— Robiłem nie dla twojej podziękki.
— Wiem — dla pięknych oczu Saluni. Zadurzyłeś się w niej biedaku. Ale podobno na próżno. Krew mi uderzyła do głowy i chciałem go za gardło chwycić.

— Ja ci jej mogę odstąpić, ale co ona, to jest taką glnpią, że jak raz jednym głowę nabije, nie wybijesz jej więcej. Biedna dziewczyna.
Popatrzyłem do koła. czy jej gdzie niema blisko, aby to słyszeć mogła.
Ta jego pogarda oburzyła mnie.
— No, bądź spokojny — rzekł szydersko — ja cię z nią swatać będę. Toć dla dawnego przyjaciela, można odstąpić dawnej kochanki. Skwitujemy się przez nią,
W głowie mi się kręciło.
Nie chciałem wierzyć, aby to mówił ten sara człowiek, z którym tyle przeżyłem. Czyż to był Bzowski?
Prawda, że w mojem sercu zaszły zmiany wielkie, aleć była tam komórka jedna cała. w której on mieszkał, jak przed laty.
I odezwała się we mnie ta struna i wydała dźwięk.
— Szymoniel —zawołałem, patrząc nań łzawem okiera.
— Czego chcesz Krzysztofie?
— Co się z tobą zrobiło?
— Człowiek mój bracie, człowiek, co p.itrzy chłodno na sprawy ludzkie. Dajmy pokój młodzieńczym bredniom. Ty swoją a ja swoją pójde drogą—skończone wszystko między nami,
— Straszna musi być ta droga, którą iść myślisz, jeśliś dla niej potargał najświętsze węzły.
— Nie ja mój bracie, los je potargał. Ale co

tam będziemy prawić o tem. Czyń, co chcesz, tylko się w moje sprawy nie mieszaj, bo wiesz, że nie ścierpię lego. a chciałbym, żebyśmy się w zgodzie rozstali.

Wszedł Krzemień, popatrzał na mnie swoim błyszczącym okiem. Coś szepnął Bzowskiemu i obaj wyszli.

Pognałem do domu

Wszystkimi drogami ciągnęli pospolitaki.

Spotkałem Bełchackich, spotkałem Szczurowskich. Kobierzyckich. Petrykowskich, Topolnickich.

— Bóg szczęść!

— Bóg prowadź.

— A wy nie z nami?

— Gotuję się. Jeszczeż i pora.

— Tylko patrzeć trzecich wici,

— Król już wyjechał do Lublina.

Aż tu nadjeżdża pan Dębicki ze swoim towarzystwem.

— Cóż to waść myślisz jarzynę sadzić? Jeszczeż zawczasie. jedźcie z nami.

— A możecie się zapisać do bractwa zapieckowych?

— Nie może to być — znałem Scypionów rębaczami.

— Ej, czy nie jaka dziewczka, trzyma rycerza za kołnierz?

— Nie chcę się rzucić smażonych racuszków.

dla pierogów hetmańskich—szkoda pierzyny dla wojującego.

Połykałem to szyderstwa — choć burzyło się we mnie.

Zacząłem się rozglądać po mojej chudobie.

Nielad i rozprężenie wszędzie.

Chłopstwo jakieś ozuchwalone.

Zjawiły się temi czasy bandy cale żebraków. teorbantów. lirników i dziadów śpiewających.

Jeden ciągnął niedźwiedzia na łańcuszku, drugi prowadził małpę.

Chłopstwo słuchało śpiewek. baśni. rozmów a w tem wszystkim czuć było słowa zuchwalstwa i buntu

W niedalekich Modli borzycach zabili karbowego.

W drugiej wiosce Sieniuchach za Sandomierzem włodarza. I jęto wprawdzie przywódców i ćwierowano zaraz w Sandomierzu, aio wyrastali inni,

Dwory szlacheckie ogołoczone z męży —zostały kobiety tylko, starcy, dzieci, lub kalecy.

Z Lublina król wydał trzecie wici. Szła już tylko Wielkopolska, Prusy i Litwa. ci, co zawsze najleniwiej ruszali.

Małopolska i iluś czerwona stały pod bronią. Iłyło to w tydzień po przewodniej niedzieli. Siedzieliśmy przed gankem w Jurkowicach. Wtem od drogi psy zaszczekały, ale raptem

umilkły— potem zaskowyczały tylko i stuliwszy ogony pod siebie, poczęły uciekać.

Zastanowiło to nas nieco.

Cóż to za osobliwy gość nas nawiedza.

Wszedł dziad z lirą przewieszoną przez plecy, stanął na dziecińcu i jął wygrywać i śpiewać rusińskie pieśni.

Siwy był. jak gołąb, głos mu się trząsł, ręce drżały. Odziany był w łachmany tak, że litość budził.

— A zkąd ty dziadu?

— Z Polesia panoczku. Wygnali nas psiawiary. Chałupę spalili —bieda.

Wyniesiono mu strawę—siadł pod ścianą i jadł.

Zajęci rozmową z Bzowską, nie zważaliśmy nań wcale, aż tu na raz zewnątrz domu, słyszymy przeraźliwy krzyk Salomei.

— Ha. to on! On. ten szatan i tu?

— Szczo hoczesz? —jakiś głos obcy zawołał.

— Toś ty zbójco najokrutniejszy?... To godzina zemsty Bożej nad tobą. Chwyć że tego nędznika! On wymordował moich rodziców i braci.

Dobyłem szabli. Wpadliśmy z Bzowską do pokoju.

Ujrzelśmy Szymona z papierem w rękę, przy nim stał lirnik strwożony, pomieszany bez brody z rudą głową.

Poznałem w nim Kozaka. który był ongi z poselstwem, co go Fiodorem nazywali.

Po skoczyłem, chcąc go chwycić. ale mi się wywinął, zakławszy;

— Ha proklataja!

Uszedł prędko, Pobiegnęłam za nim, ale ścigać go nie było sposobu — wróciłam też zaraz do domu.

— Uspokój się Salomejo — mitygował ją Bzowski.

— Ty dozwoliłeś mu umknąć Szymonie?

— Co to znaczy, kto tu był? — pyta Bzowska.

— Kozak zbójca, o którym wam mówiłam, ciotko... Ten... ten, który do ognia wrzucił moich braci. Poznałabym w piekle tego nędznika. Zkąd on tu? Cóż. niema go?—pyta mnie.

— Uciekł. jak wiatr—rzekłam.

— Kozak? Ten papier przyniósł. Przyskoczyła do syna i wydarła mu go z rąk.

Przeczytała, wydając okrzyk zgrozy.

— Chmielnicki! Wzywa ciebie do buntu, do zdrady? już czas, powiada? Masz stanąć na czele ludu! Ha. piekło ruzwarło się przedemną. Gdzież jest ten zbójca? Coś ty mu odpowiedział synu? Mileczysz... i twarz twoja pobladła?...

Ob. nędzny spojrzij że do zwierciadła, żebyś zobaczył, jak zdrajca wygląda.

— Malko!

— Ha, moje przeczucia! Tyś był w zмовie z nimi synu? I ty się nie boisz bożego gromu Szymonie? Gdzieś wysłał te przekłete myśli, co ci zatruiły duszę? Od dziecka wpajałam w ciebie

miłość ojczyzny świętej. Więc ztamtąd je przywiozłeś? Więc tam zaprzepaściłeś cześć wszystką i honor szlachecki. Czy to może ze dworu je wyniosłeś? Oh, niechże on przeklęty będzie po wieki.

— Amen —rzekł Bzowski.

— Ha. nędzny ty półgłówku, marzycielu szalony. Teraz cię pojęłam... teraz rozumiem twoje słowa, kiedyś mówił, że ojca dzieło spełnisz. Ojca dzieło spełnisz. . karle nędzny, ty? ty? Ty podejmujesz wielkie zamiary Władysława, który tron swej odarty z blasku i chwiejący się chciał podeprzeć—kiedy myślał w Kozactwie zyskać potężnego sprzymierzeńca, ażeby dumie rogów przytrzeć. Ale wiedz, że to, co wielkiemu przystało, w maluczkim jest zbrodnią i hańbą wieczną.

Chcesz być narzędziem okrutnika Chmielu?

Chcesz podnosić bunt, aby jemu pomagać? Nędzniku ty... dla takich topór kata lub szubienica, a nie laur na czoło.

— Zobaczym.

— Słuchaj że wyrodku! nim przestąpisz próg tego czystego domu, ja matka na progu się tym położę i po trupie moim pójdziesz a pamiętaj, że jeszcze i zpoza grobu przekleństwo moje grzmieć będzie.

— Niech grzmi i piorunami wali! Błada, chwiejąca się padła na kolana.

— Boże mój. jakże mnie srogo karzesz, za błąd życia biednego. Boże mój, czyż nie wycierpią

Jam tak wiele? Czyż nie odpokutowałam? Ty doświadczasz panie biednej grzesznicy. Ob. odwróć ton cios straszny, bo go serce nie wstrzyma, I padła, uderzając głową w posadzkę, podobna do trupa.

Krzyk przeraźliwy Salomei—mój ratunek prędko powróciły ją do zmysłów. Bzowski stał nieporuszony.

— I ty możesz spokojnie patrzeć na to? — rzekłem.

— Nie zlitujesz się nad matką okrutny człowieku?—rzuciła mu Salomeja.

— Ob, widzisz dziewczę biedne, jak umie dotyka Bóg. żem praw jego świętych poszanować nie umiała. Szłam za serca popędem zawsze. Całą miłość moję włożyłam w ten wyrodny owoc występku. To kara. kara sroga, która prędzej czy później przyjść musi.

I rzuciła się znów na ziemię, łkając. Bzowski przystąpił do niej.

— Powstań matko. bo każda łza twoja na duszę mi upada. Będę ci posłusznym.

Popatrzeni nań długo, jak gdyby mu do duszy zajrzeć pragnęła.

— Dzięki ci —rzekła.

Podnieśli ją z trudnością i ułożyli na krześle.

— Zdało mi się, żem już była bliską śmierci. Oh Szymonie, nie dręcz mnie więcej, bo drugi raz już tylko trupa podejmiesz.

— Syn wam wrócony ciotko—rzekła Salomeja,

patrzac badawczo w twarz Bzowskiego — i już więcej cierpień wam nie zgotuje. Bzowski stał ponury i milczący. wreszcie rzekł:

— Stało się. Umieraj na śmieciach nędzy wróblu, coś marzył o orla locie.

Zaturkotało na dworze.

— Co to jes! jakieś wozy. jacyś jeźdźcy zsiadają z koni?

— Goście — o jakże nie w porę! — mówi Salomeja.

— Przyjąć trzeba—rzekła Bzowska.

Do izby weszli: Pan Wypyski, Majdel, niegdyś nasz kolega i dwóch szlachty.

Prędzejbyśmy śmierć spodziewali się zobaczyć, anizeli tych ludzi,

Pan Wypyski poważny, jak gdyby dźwigał na barkach pół rzeczypospolitej.

— Pokój temu domowi!

— Witam panią dobrodziejkę tego... jakże ten... zdrowie? Ha i koch.any pan Scipio tu? . tego... to chwalić Boga... ,już myślałem, że was nie tego,..

— Góra z górą się nie zejdą panie starosto, ale ludzie jakoś,..

— Nie nazywajcie mnie tego... starostą... jam dziś chorążym tylko...

— Witaj Szymonie—krzyknął Majdel. —Witaj Krzysztofie.

— Ty tu? —rzekł Bzowski zdziwiony.

— Zkądże to zdziwienie, myślałeś, żeśmy już zapomnieli o tobie?

— Daruj, myślałem, żeś do innych podobny. Witaj mi sercem całym.
— A cóż to tego... myślicie ten... żeśmy wszyscy Judasze... Ze nie umiemy tego... poczcie człowieka?
— Jejmość pani dobrodziejki pokorny sługa— rekomendując się. rzekł Majdel. który był i wygadany i komplemencista straszny. —Niegdyś dworzanin króla jegomości nieboszczyka i kamrat jej zacnego syna.
— Bardzom rada.
— Dziś pospolitak — prawi dalej — a da Bóg przysły rotmistrz chorągwi pancernej, jeżeli Bellona uśmiechnie się łaskawie. — Potem dodał, rekomendując tamtych:
— To panowie towarzysze. Imć pan Andrzej Tomaszewski, Imo pan Sylwester Bogusz.
— Witam zacnych panów. Baczcież się rozgościć. Panna Salomeja KrzysztoFowiczówna. sędzianka stężycka.
— Ładny buziak, ale smutna — rzeki do mnie Majdel.
I w tym domu przed chwilą, taką straszną żalobą okrytym, zawrzało życie, jakiego jeszcze w nim nie widziałem.
— Tandem, mój zacny Szymonie—prawił wciąż Majdel — zrzuciłem dworskie suknie. Po twoim odjeździe obmierzły mi. Miły Boże. Pozwólcie

wielce szanowna pani, że wara ucałuje ręce z afektem wielkim i estymą. żeście takiego syna dali światu. Słuchaj Szymonie. Czciłem cię i kochałem więcej, jak brata zawsze, boś był dla nas niedoścignionym wzorem— ale od chwili, jakęś Pożegnał tą przemową naszych paniczów dworskich, powiedziałem sobie: To człowiek, z którym żyć. nie umierać. I o to napisawszy dictum panu ojcu. odziałem się w zbroję i hajze na koń, do ciebie. Po drodze spotkałem kolegów z jezuickiej ławy. Dokąd panowie bracia? W świat, pod Lwów do króla jegomości i na Kozaków. Czekaćcie, mówię im, jeszcze najdzielniejszego pomiędzy nami niema. Zabierzemy go z sobą. jeżeli wola za mną. No i jesteśmy. W drodze pan Wypyski się nawinął.
— Rad wara z duszy—rzekł Bzowski. Stroskana matka przed chwilą, promieniała cała z radości.
— Bóg was natchnął młodzieńcy. Szymonie, to promień słońca w naszej smutnej siedzibie. Błogosławię was dzielna krwi. Zabierzcie mje ukochane dziecko. Modlitwy matki za wami pójdą. Saluniu. trzeba nam nakarmić tych rycerzy.
— Długo popasać nie będziemy, bo tam potrzeba wola.
Zostawiłem bańdurzącego Majdla, który się przyczepił do Bzowskiego, jak pijawka, a wziął

łem się do pana Wypyskiego, który stał na uboczu, cbrząkał i wąsa gładził.
— Co się z wami działo panie? —pytam go.
— At nie pytaj mnie waść tego... Wlazłem w błoto paskudne, z którego ten... właśnie oczyścić się tego... wystawiłem chorągiew., czeka w Lublinie... a jam tu tego... wstąpił do was i do pana Bzowskiego w interessie.
— No, no. mówcież proszę.
Zaczerwienił się trochę i zaczął jękać coraz więcej.
— Widzicie tego... wystawiłem moim kosztem chorągiew ten... połowę fortuny mi to... tego... ale nie żałuję, boć dla ojczyzny ten... Umundurowałem pięknie... kolorem tego województwa. Proporzec piękny hałasowy złotem tego... koń jeden w drugiego, jak z jednej kobyły... Ludzi zaciągnąłem ten... rozmaitych... Są tam tego... Niemcy... trzech Holendrów... czterech Anglików... nawet Hiszpanów tego... dwóch. Otoż to... z komendą bieda... Do moich chłopów dobrze... ale tego... z temi dyablami ani w ząb. Toć to pan Bzowski umie tyloma językami... Możeby pojechał z wami i ze mną tego., do Lublina... zlustrował mi ton... a przytem chciałbym i do króla podać tego... w kilku językach... żeby to i cudzoziemcy wiedzieli, że ja tego... wystawiłem... a potem jejmość pani Bzowska ma tego... u króla pono względy... może mi ten... da list jaki.

Ażem się spocił.

I po to ten człowieczysko przywłókł się tu z Lublina, Niepoprawiona bestya! —pomyślałem sobie.

Majdel znów szermował językiem;

— No Szymonie, widzę troskę na twojem czole. Opłakaliśmy razem śmierć wielkiego króla, a teraz bić się będziemy. Patrz! jak nas widzisz, mamy dobrą swadę, bo ci dwaj towarzysze choć teraz milczą, ale gdzie trzeba, gęba im się rozwiąże... a potem, mam ja dużo przyjaciół i krewniaków w obozie... poczniemy buczek i ciebie w kole rycerskiem zrobimy naszym regimentarzem.

Bzowski się kręcił na stołku, jak wąż, nie wiedział, co im na to odpowiedzieć, gdy weszła Salomeja a za nią służba z jedzeniem i piciem.

— Spełnicież toast panowie za pomyślność waszej wyprawy—rzekła Bzowska.

— Niechże nam nadobne rączki jejmość panny sędzianki naleją... a potem jej usteczka go dotkną i usiuieszek okrasi.

— Ja śmiać się nie umiem panie rycerzu.

— W tym wieku?

— Tak. zapomniałam. Lecz wzniosę toast zemsty na wrogów naszych, a ktokolwiek ich oszczędzi, niech przeklętym będzie.

Wzniosła kielich i błysnęła oczyma a była cudnie piękną w tej chwili.

— Tak, niech będzie przeklętymi—podchwycił Majdel. —Animusz wasz piękna panno, nawet tchórza mężtweni ożywić by potrafił, Ka Marsa i lunonę! lubię takie niewiasty. Człek w tem lokajstwie dworskiem, zapomniał już, jak wyglądają nasze Polki. Cześć wam zacna panno. Gdyby nie potrzeba, która tam larum do nas podnosi i dążyć każe bez wytchnienia, to moja poetycka wena, wdzięcznyby pean dla was wyśpiewała. Pozwólcie więc. że za powrotem da Bóg szczęśliwie, nie omieszkam u stóp waszych go złożyć.

— Przyjmę z wdzięcznością—odrzekła.

I kielich poszedł z rąk do rąk i wesołość zakwitła na twarzach i Bóg wie. na czem byłoby się skończyło wszystko—a pewno na dobrem, gdyby nieszczęście nie czekało pode drzwiami.

Jakoż weszło.

Był to wojski, staruszek a za nim czterech pachołków, trzymających skrępowanego Kozaka Fiodora.

Dreszcz nas przeszedł po skórze.

Bzowska zbladła straszliwie.

Salomeja wykrzyknęła.

Wszyscy powstali zdziwieni.

Pan Drewnoski, jowialny ongi i żartobliwy miał minę srogą—sztywny, wyprostowany z czekaniem w ręku.

Oczyma rzucał po izbie, jak gdyby kogo szukał,

popatrzał na Bzowskiego, który wzrok wlepił w ziemię—potem wyrzekł z powagą:

— Czołem panowie bracia!

— Czołem.

— Jestem wojski tej ziemi. Widzę tu dorodne grono rycerzy młodych. Dokąd ciągniecie panowie?

— Do króla —była odpowiedź.

— Szczęśliwsi od nas. co zostajemy doma, — ciągnął stary grobowym głosem. — Powiedźcie królowi jegomości, niech bije zdrajczych synów, ale niech i do nas wraca, byśmy tu życia niepewni. Ot patrzcie, jakiego złapałem ptaszka. I poprowadził Fiodora naprzód izby.

—Kozak! —krzyknął Majdel. —To ten, pamiętasz Krzysztofie?

— Tak rzekłem ponuro—ten.

Poznać go można było od razu, choćby w piekle, kto go raz jeden widział tylko. Taką miał gębę niecnota.

— Więc go znacie?—rzekł wojski —Tem lepiej. Dacie zeznanie swoje o nim w grodzie. To szpieg Chmielnickiego. Ten niecnota fomentuje lud do buntu, ale lud nasz poczciwy. Ujęto go w tej wsi —a wczoraj sołtys z Nadarzyna przyniósł mi noże. które odebrał chłopstwu. Noże święcone, jak mówił. Tego hultaja widziano, jak niedawno był w tym dworze. "Wszedł tu z przyprawną brodą, jak starzec z bandurą ua ramieniu—a wy

szedł takim, jak teraz, snąc jej zapomniał w pospiechu.

— Wielki Boże! —szepnęła Bzowska.

— Czy wy zacna pani, albo ktokolwiek z domowników, widzieliście tego niecnotę? Raccież mi sponte nun coacte opowiedzieć wszystko. Sprawa to gardłowa. Straszniejszy to wróg dla nas, aniżeli ten, co w otwartem polu czeka.

— Na gałąź łotra! — krzyknęto chórem przez gości.

— Na gałąź pójdzie, nie on jeden. Wspólników jego śledzie trzeba, Strasznych dożyliśmy czasów—tam wojna otwarta, tu skryta, zdradziecka. Idziecie walczyć rycerze, a tu na żony wasze, siostry, oblubiennice, czycha nóż morderczy.

Dopóki tedy zbrodzień ten niepójdzie ad forum competens. po raz drugi was zapytuję, czy widzieliście tego człowieka? Nastąpiła ponura cisza.

Wojski patrzył złowrogo w twarz Bzowskiego, który milczał, jak skala,

— Nikt go nie widział w naszym dworze—rzekła Bzowska, drżąc cała — ai cóżby on tu miał do roboty! Musiano wam mylnie powiedzieć panie.

— Kiedym go prowadził przez wieś. dwoje sług waszych opowiedziało mi, że przed chwilą był we dworze I rozmawiał z waszym synem pani.

— Oh męko!—szepnęła Bzowski.

— Szymonie...

— Pokaż im papier matko, po cóż tej męczarni!

— Nieszczęsny, czy śmierci mojej pragniesz?

I znowu cisza, której każda sekunda była wiekiem.

Przemówił wreszcie Bzowski:

— Człowiek ten wszedł tu, udając żebraka; dałem mu jałmużnę — a że mnie mov.'a jego uderzyła, pytałem go, z których okolic — i oto wszystko.

— Ten człowiek oddał wam pismo, — mówił niezblągany i twardy wojski,

— Boże wszechmocny, jakież zły duch podpatrzy!!... Szymonie panuj nad sobą, boś zgubiony— mówiła matka, ściskając jego rękę.

Bzowski już się burzyć zaczynał — ta cisza i oczekiwanie łamały go, jak tortury,

— Żadnego pisma od niego nie odebrałem— rzekł a gniewem,

A wojski po swojemu.

— Znaleźliśmy przy tym hultaju listy Chmielnickiego do Rakoczego, w których mówi o takim że piśmie do was.

Tu już się pohamować nie mógł.

— Ha więc tak—wrzasnął niecierpliwie. —Ten człowiek przywiózł mi list od Chmielnickiego hetmana Zaporozia. Matko, oddaj mu ten papier. Po cóż dłużej to udawanie!... Wszakże jeszcze ale spełniłem tego, czego żądają po mnie. Niech że czytają to pismo, którego ja nie wywołałem. Czyż odpowiedzialny jestem za czyny cudze?

— Oh synu. coś ty uczynił!..

— To. co każdy na mojem miejscu uczynić by powinien. Daj matko.

Wydarł jej pismo i oddał wojskiemu.

Przez ten czas spoglądaliśmy po sobie, bladzi, do trupów podobni, w oczekiwaniu niemem. Bzowski tylko szyderczo się uśmiechał.

Wojski przeczytawszy list w milczeniu, wykrzyknął:

— Horror! Zdrada straszna, jakiej w Polsce nie było jeszcze. W imieniu króla i rzplitej kładę areszt na twoje osobę. Szymonie Bzowski.

— Na koń panowie! nie nam tu miejsce—krzyknął wymowny przed chwilą Majdel, a wszyscy za nim runęli we drzwi. Bzowski zaczął się śmiać.

Był to śmiech, w którym jak gdyby piekło całe słychać było. Był strasznym.

— Ha! ha! ha! ha! Przednio! Lada warchoł potrafi zachwiać temi pustemi mózgami. Nie pytają o przyczyny. Potępić to. co przed chwilą jeszcze wielbiono, to u nich tak łatwo, jak zmienić koszulę na grzbiecie.

Potępionym za cień, co z wysokiego dębu na mnie pada. Potępionym o wiatr, który mnie owiał.

Niech tak będzie.

Szanuję cię, ty nieubłagane fatum, które mnie wytrwale prowadzisz drogą przeznaczenia.

Przebyty Rubikon,

Wolne mam ręce nareszcie!...

KSIĘGA SZÓSTA.

Trudne do uwierzenia rzeczy poczęły dziać się na świecie.

Zda się Lucyper wypuścił wszystkie swoje piekielne zastępy, na biedną nasze ziemię, aby nas nękać i gryźć do żywego.

jak owa Pandora grecka, z które] pudełka wysypały się wszystkie nieszczęścia na ziemię, tak i u nas wróżka jakaś podobna do niej rzuciła nam je pełną garścią.

pud Tarnobrzegiem przewiozło się około dwóch tysięcy ludzi, niby zbiegów z Ukrainy.

Szli oni Powiślem w górę rzeki, potem skręcili na prawo i znikli w Wężownickim lesie.

Gdy ich pytano zkąd i za czem idą. odpowiadali, że uciekają przed pogonią Kozacką do Wielkopolski, bo tu już nie są bezpieczni, a opowiadania swoje ubarwiali straszną grozą potęgi Chmielnickiego i z.ipewniali, że lada dzień stanie w sercu Polski.

Cala ta banda usadowiła się w głębi lasu. rozesłała wszędzie na skraje szpiegów, aby znać dawali, gdyby się zbliżyła jaka żywa dusza, co by ich podejść mogła. .

Dwóch mieszczan, jadących ze Staszowa do Koprzywnicy przez las. powiesili—a żyda jadącego z chłopakiem z Bogoryi za handlom, ćwiartowali. Wymknął się chłopak żywy i przyleciał do Sullisławic. roznosząc trwogę, że Chmielnickiego kozacy usadowieni w Wężownickim lesie rznąć i ćwiartować będą.

Postrach powiał po okolicy.

Podstarostowie grodowi, sędmierski i korczyński uzbroili na prędcie ludzi, co się dało i posunęli ku Wężownicy.

Tymczasem w lesie odegrała się taka komedia.

Wszystko to, co wlało do onego lasu, przeistoczyło się na raz w innych ludzi. Więc tedy poprzebierało się za baby, za księży, za żebraków, za handlarzy, za żydów, za żołnierzy i rozbiegło na cztery .świata strony, siejąc rabunek, pożogę i pociągając lud do buntu, a udawać się umieli za różnych ludzi wybornie, jak to mieliśmy świadectwo na Fiodorze.

Gdy podstarostowie weszli do lasu z milicją. nie znaleźli już nikogo, prócz gajowego, który siedział na pół żywy na wysokiej sośnie i opowiedział im to wszystko.

Wydano surowe rozkazy do sołtysów, wejtów, ławników. aby każdego przybysza do wsi, czy do miasta badali pilnie, rewidowali, a gdy się okaże podejrzanym stantepede karali śmiercią na szubienicy, nie odnosząc się wcale do grodów. Zaczęły się sądy, jak w Osieku. gdzie za winne

go kowala wieszano dwóch ślusarzy a tymczasem z dnia na dzień przychodziły wieści, od stórych skóra cierpła.

W okolicach Piotrkowa i Wolborza, zatruto studnie i stawy—ludzie nie byli pewni ani dnia, ani nocy.

Dwory szlacheckie ogołocone z panów, stały otworem na łasce chłopstwa, które z dniem każdym stawało się zuchwalsze, jakby tylko czekając umówionego hasła, aby się rzucić na swoich chlebobawców.

W Wielkopolsce szczury te grasowały straszliwie a przystawała do nich nawet szlachta uboższa, łakoma łupów, bo oto schwymano niejakiego Kułakowskiego, szlachcica z Sieradzkiego, który na mękach zeznał, że wysłannik Chmielnickiego Piotr Grzybowski wertuje ochotników, obiecując łupy wielkie i nagrody. Każe on swoim ludziom chodzić po jałmużnie i dwory szlacheckie szpiegować, o dostatki pytać i chłopów buntować, zwłaszcza tam. gdzie zwierzchność ciężka, jak między Poznaniem i Międzyrzecem.

A cóż dopiero działo się za Wisłą, nad Sanem i Bugiem...

Spalono Bełz i zamek ciechanowski.

Dowodził tam Jachowski, który całe gromady szpiegów wysłał do Jarosławia. Lublina. Krakowa i Zamościa.

Rozpuszczali wieści, że Kozacy wszystko w pień wycinać będą, bo król złamał przysięgę na zgodę.

kto zatem ginąć nie chce, musi pójść razem z nimi.

Cały lud rusińskiego obrządku był już gotów do buntu.

U nas znów urosła baśń. że szlachta lud chce wytępić, podnosząc rokosz przeciw królowi, że zatem Kozacy spieszą na pomoc królowi i chłopstwu.

Powtarzano to głośno nawet.

W niektórych wsiach ustały całkiem robocizny, rozbiegło się wszystko po lasach, a gdzie niegdzie świeciły już luny pożarów.

Groziła nam zagłada.

W razie przegranej bitwy, wszystko to miało się rzucić i nie zostawić, jak kamień na kamieniu.

Kobiety, wyrostki, starce i co tylko żyło a udźwignąć mogło żelazo—czuwało.

Lecz krucha to była obrona. Cóż znaczyć mogły nawet zastępy wojsk wobec tego wroga, który z chytryością czyhał na życie w każdym miejscu i w każdym kącie, skryty, niewidzialny. Co znaczyć mogło wszystkie śledztwo, wszelkie

ochronne środki, gdy służba wszystka i domownicy podczas czuwania podać ci mogli zamiast jadła i napoju truciznę a podczas snu zadać śmierć po tysiąc razy.
Słano wieści do obozu. ale cóż za pomoc tamci dać mogli, mając przed sobą wroga równie straszego, bo , armią czerni i ordy przeciw

OO.OOO naszego wojska, wraz z pospolitem ruszeniem.

Dało ira to jedynie przeświadczenie, że Chmielnickiego zwyciężyć trzeba, bo inaczej już niema po co wracać do domu. Sprawa Polski ważyła się na włosku.

I tym aniołem straszyn niszczycielem w sa niem sercu rzeczypospolitej miał być Bzowski.

On to miał poprowadzić chłopstwo w bój. przeciw swym panom i władcom i stworzyć nową Polskę.

Na drzewcu złamanego królewskiego sztandaru, miał zawiesić czerwoną chorągiew rzezi i zniszczenia.

Marzenia dumnej głowy oblekały się w ciało. Zatrute serce jadłem goryczy miało wydać swoje owoce.

Jakie były układy, jakie plany między nim a Chmielnickim, tego nikt nie wie i nie dowie się, chyba na ostatnim dniu sądnym.

Musiały one jednak sięgać wysoko, kiedy tak pociągnęły tę wichrowatą głowę.

Patrzyłem na straszne walki. jakie wrzały w duszy jego. Widziałem ich prawie, tych dwóch demonów złego i dobrego, co się w nim borykały a czułem też ową fatalną dłoń przeznaczenia, którą go wiodła raz obraną drogą nieszczęścia.

Pchało go do niej wszystko. — i ludzie, i wypadki.

A ja miałem siły, aby go z niej zawrócić?

Nie miałem — a na dobitek i tu. demon jego nieszczęścia, stawiał mi na drodze dziewczę, które zbudziwszy w mnie szat miłosny. zażęgło zarazem nienawiść przeciw niemu i przyjaźń nasze, tak świętą, tak czystą niegdy, rozerwało na wieki.

W duszy tego człowieka odbywało się powoli, ale skutecznie zamieranie wszelkich cnot i szlachetnych poruszeń, jakich był zasób niegdy wielki, a wzrastała nienawiść, co go parła do złego silnie.

Mimo to. gdyby choć trochę większy przybył mu rzecznik w dobrom, byłby zwyciężył, bo już na prośby i łzy matki, chwiać się zaczynał — gdy znów fatalność sprowadziła Wojskiego.

Staruszek dumny swem powodzeniem, że to pojmał takiego niebezpiecznego człeka i zaiął ogień, w samym jego zawiązku, jak mówił, gotów był wszystko poświęcić, byle godność swego urzędu zachować wysoko przed światem. Rozporządzać się też zaraz począł w Jurkowieckim dworze, z całą surowością praw. jakie mu przysługiwały, ex re urzędu i ważności tak wielkiej sprawy.

Otoczyć kazał dwór do około zbrojnemi pacholki.

Mnie zlecił natychmiast wyjechać, by nie mieć żadnych styczności z podsądnym, a być gotowym na wezwanie grodu.

Pozamykał wszystko i klucze zabrał do siebie.

Rozpisał listy do króla, starosty i wojewody, żądając sił zbrojnych.

Bzowski wciąż śmiał się tylko szydersko, co starego wprawiało w gniew wielki.
Bzowska zaniemogła wielce i nie chciała widzieć nikogo.
Czuwała nad nią Salomeja.
Krzemień tylko chodził z kąta w kąt. a przypatrywał się bacznie i przysłuchiwał wszystkiemu, potem jak pies położył się, przy nogach swego pana. gotów na każde jego skinienie, z wlepionem w niego bacznie okiem.
Gdym wrócił do siebie i obejrzał po moich czterech kątach, taki mnie zdjął żal straszny, taką nudę, taką pustkę uczulem w duszy, że choć z kamieniem u szyi. do wody.
Byłem sam na świecie, jak ten palec.
Straciłem przyjaciela, com go kochał tak długo.
Miłowałem bez nadziei.
W świecie zawierucha straszna, jakby dzień i sądu był bliski.
Ani zwierzyć się. ani uzalić przed nikim.
Wszystkie zda się pragnienia mojego życia szczęśliwego, spokojnego, zdruzgotane na wieki.
Coż czynić!...
Pójść i zginąć tam. gdzie zginie tyle tysięcy lepszych odemnie.

I już z tą, myślą się nie rozstawałem
A Zginać chciałem tak gorąco, że się przygotowałem, jak dysponowany na śmierć.
Napisałem testament i opieczętowany zostawiłem w skrzyni, robiąc dziedzicem mego siostrzeńca z różnemi legatami sługom i powinowatym. Napisałem listy do Salomei i Bzowskiej, które miały być oddane po wyjeździe moim.
Opisałem całą sprawę Bzowskiego, gdyby zażądano zeznania mego w grodzie, przy jego processie i przyłączyłem do testamentu. Pożegnałem Stanisława i sługi moje wierne, jeszcze po ojcu, opatrzyłem broń. siadłem na konie i z moim starym pacholkiem, Anastazym Strzygą, puściłem się w drogę.
Ale nie minie cię, co znaczone tam gdzieś w górze.
Przejechawszy Gniewoszowice. w którychem się zatrzymał godzin parę u sąsiadki pani Borzymowskiej, chciałem minąć Koprzywnicę i puścić się na Sosnyczany. Samborzec, gdzie miał odwiedzić pana Strojnowskiego, podkomorzego sandomierskiego, krewnego mego po matce, Andruszkowice. do Sandomierza — wtem gdy już zjeżdżam z drogi głównej w las. coś mi kulbaka nie równo siedzi, jak gyby popręgi źle zapięte. Zsiadaj, wołam do Nastka, poprawiaj... i klnę bestya czeladnika, na czem świat stoi, bo mi ta mitręga wydała się złą wróżbą, zwłaszcza przy rozstajnej drodze... aż tu w całym pędzie leci

wózek, a na nim niewieścia jakaś postać w chłopskiej świtce... przyglądam się... Salomeja.
— Co się stało? dokąd jedziecie?
— Was gonię. Chodźmy w las, opowiem wara wszystko. To opatrność czuwa nad nami. żeś was przecie dogonić mogła.
— Tak—rzeknę — gdyby nie moje siodło źle zapięte, nie bylibyśmy się spotkali.
Wyglądała tak. jak w ów pierwszy dzień naszego spotkania. W twarzy tylko palił się jakiś dziki ogień i energia.
— Szymon uciekł z Krzemieniem i Kozakiem, wojski zabity, ciotka umarła.
Wymówiła to wszystko jednym tchem. Stałem, jak piorunem rażony.
— W nocy napadnięto dwór. Wszystkich pacholców wojskiego pomordowano. On sam legł, broniąc więźnia. Bzowski dosiadł konia... miał jakieś drzewce w ręku i krzyknął „Prowadź przeznaczenie! Witajcie sny młodości! Żegnajcie ciernie i głogi! W bój ze światem!” Więcej dosłyszeć nie mogłam, bo pobiegłam do umierającej ciotki.
— Nieszczęsny!

— Nim skołała, musiałam jej przysiędz, że pójdę za nim wszędzie i wrócę go ojczyźnie. Nie pozwolę mu spełnić tej zbrodni ohydnej. Choćbym nio była przysięgła poszłabym z własnej woli... ho powiedźciez, możnaz się dziś lepiej za

służyć narodowi, możnaz dopuścić, aby ten nieszczęśnik niósł na hazard swoje młodą głowę?

— To prawda — rzekłem — i wy chcecie tego dokonać?

— Z wami.

— Ze mną? Jam tego niezdolny. Spieszę zanieść życie tam. gdzie już dawno być powinien.

— Tu stokroć większa czeka ciebie zasługa. Słuchaj Krzysztofie, wiem, że mnie miłujesz, a ja nieszczęsna złamana bólem strasznym, potem ukołysana zwodnemi wspomnieniami jego przysięg i zaklęć, w które wierzyłam niezłomnie, odręcałam twój afekt, bo on, on tylko. Szymon promieniał mi zawsze w duszy, jako bohater, jako mściciel rodziny mojej, jako zbawca i Bóg nie wie kto. Co się roilo w mojej biednej głowie, tego ci opisać nie umiem. Wszystkie doskonałości, wszystkie wielkie cnoty, co zdobią męża. widziałam zawsze w tym człowieku. Nieszczęsna to już natura nas dziewcząt, że gonimy myślą w nieziszczone jakieś światy i lubimy sobie stwarzać niebywałych bohaterów. Jam może w tera była większą, jeszcze od innych. Ale czyz nie miałam powodu tak myśleć? Powiedz, powiedz Krzysztofie, coś mu był zawsze druhem

i przyjacielem, dla którego nie miał nigdy tajemnic, czyz nie obiecywałeś sobie wiele po tym człowieku?

— O tak. bardzo wiele.

— Oboje byliśmy owładnięci tym urokiem, bo

i kogóz by nie ujął! Przebacz mi to. Dziś straszna rzeczywistość, rozwiała wszystkie te mary. Dziś jam wolna od nich na zawsze. Słuchaj! do nikogo więcej należeć nie będę. jak do ciebie, będę ci służą, niewolnicą, wszystkim ci będę, tylko pójdź, pójdź ze mną w pogoń za tym człowiekiem.

I objęła mnie rączkami i zawisła u mój szyi, patrząc błagalnie w twarz moję.

Serce mi biło. jak młotem. Czułem jej oddech, od którego pokraśniałem. jak wiśnia pod tchnieniem słońca a przecież pomyśl jej cały wydał mi się tak dzikim i nieprawdopodobnym, a przytem tale bezużytecznym, żem odrzekł:

— Biedna dziewczyno, jak marzyłaś, tak i marzysz dotąd. Cóż my poradzić możemy? Czyz nasze stówa zaważą co dla niego? Dziś? On wyszodzi nas tylko.

— Tu nie słowa same, tu czynów trzeba. Krzysztofie. jakie one będą nie wiem jeszcze. Będziemy wspólnie o nich myśleć. Będziemy radzić a tymczasem w pogoń za nim.

Gdzie, dokąd?

— Oh, wiem gdzie i dokąd. Głupi wojski, nie zdobył się na czyn tak prosty, aby po uwięzieniu go, przetrząść jego szkatułę. Ja to sama zrobiłam. Patrz, czytaj!

Wydobyła mi z za sukmany papiery, były to li

sty Chmielnickiego, listy Rakoczego, listy pułkowników Kozackich. Co za piekielny piani...

Bzowski miał zrebelizować górali tatrzańskich i wraz z Rakoczym uderzyć na Kraków, podczas kiedy Chmiel będzie szedł na Warszawę.

— Gdzież spieszniejszego trzeba ratunku? Tara król z pospolitem ruszeniem niech bije wroga a my tu świadomi piekielnej machynacyi. musimy postawić jej zaporę. jak? Bóg nas natchnie.

— Mały, mały nasz rozum i słabe nasze ręce Salomejo. Mamyż za sobą jakie siły, co by stawiły tamę temu straszному potokowi, co się rozlał po całej Polsce. Czem go powstrzymamy? Ten niegodny człowiek, ozuchwalony dziś tyle. że podepcze nogami wszystkie nasze prośby i zakłęcia i nie cofnie się z raz obranej drogi. Oh, ty go nie znasz biedna dziewczyno. Puść mnie, niech idę do króla bić wroga. Gdy tamtych pobijem i temu podolamy. Czekaj mnie, wrócę zwyciężąc i oddam ci krew i życie moje, bo cię miłuję nad wszystko, a jeśli zginę, módl się za mną. O tamtym zdrajcy zapomnijmy na wieki.

— Oh, człeku małego ducha, i ty powiadasz, że ranie miłujesz? I toż jest miłość? Pozwolisz— że mnie biednej dziewczynie samej jednej rzucić się. między zastępy zbójców okrutnych, bo przysięgam ci na prochy moich rodziców, że pójdę choćby do pieła, aby ratować ojczyznę od strasznej zagłady, którą ten człowiek dzierży w rę

ku. Ptasz. jak mu podolałam? A nie wiesz o tem, że w świętej sprawie Bóg kieruje nieraz słabą dłonią niewiasty i powała olbrzymów, nie wiesz, że czasem marne ziarnko piasku powstrzymać może obrót całego koła. Wejdę wszędzie, wśliznę się. jak mysz. jak padalec wpełzną i powstrzymam cios. który będzie chciał wymierzyć w serce ojczyzny. Pójdę za nim. choćby do pieła.

— Pójdiesz, bo go kochasz zawsze!

— Ja?

— Tak, nie zwiedzisz mnie Salomejo. Miłość to, miłość nieszczęsna pędzi cię za tym okrutnikiem, bo ona silniejsza w tobie od rozumu, silniejsza od cnoty, od wszelkich szlachetnych uczuć ludzkich.

— Słuchaj! Przysięgnę ci tu na Chrystusa ukrzyżowanego, że w chwili kiedy udaremniemy wszystkie jego zamysły, oddam ci się—bierz mnie—rządź mną. jam twoją, wezmiesz mnie, jako nagrodę twych trudów.

— Bez serca twego, nie wezmę cię Salomejo.

— Wezmiesz z sercem, bo ci je oddam w zamian za twoje poświęcenie wielkie. Patrz, ja znam, ja pojmuję jego ogrom—ja czytam w twojem sercu, choć ty nie umiesz czytać w mojem. hańbą ci się wydaje, gonić z szaloną dziewczyną wiatru w polu. podczas gdy tam laury rycerskie zebrać możesz... nie pojmujesz, że tu zapobiegając tak wielkiej zbrodni, stokroć większe otrzymasz... ale ty nie wierzysz w skutek moich za

miarów. Przysięgam ci. że je spełnim. spełnim we dwoje. Rzuć ten skrupuł Krzysztofie, pokochałam cię, jak brata, jak przyjaciela, bom się poznała na twem sercu, teraz cię kochać będę. jak mego męża i pana.

Rzuciła mi się do kolan i całowała ręce.

— Czyżbyśmy mogli być kiedy spokojni w życiu, nie doznając wyrzutów strasznych, żeśmy mieli ten pożar tak blisko, żeśmy ugasić go mogli a nie gasili i pozwolili mu się rozszerzyć i objąć płomieniem kraj cały. Nie—tego ani Bóg, ani Indzie nie przebaczyliby nam nigdy. Nie tam Krzysztofie jest miejsce twoje w wrzawie bitwy, ale tu w pogoni za ukróceniem złego. oh. stokroć gorszego, niż cały najazd Tatarów i czerni Kozackiej. Pomyśl! skryte, zdrajczy noże mordo

wać będą nieszczęśliwych.... i ty się wahasz

jeszcze?... I pozwolisz mnie, biednej dziewczynie iść samej bez pomocy, bez opieki? I toż jest miłość wasza?

Wahałem się wciąż, party naprzemian to miłością, to obowiązkiem, to znów z drugiej strony, odwodzon od tego szalonego przedsięwzięcia brakiem wiary w jego dokonanie—wreszcie zwyciężony uległem.

— Prowadź — idę z tobą. Niech Bóg szczęści naszym zamiarom! Spłacę przytem dług przyjaźni, aby mi go kiedyś nie wyrzuciło sumienie.

— Odpraw twego pachołka z koniem do domu. Stało się, jak kazała.

Pobiegła potem do wózka, wydobyła zeń tłómaczek i rzucając go, rzekła:

— Oto twój ubiór, chłopska siermięga, tak jak i na mnie, niepodobna nam inaczej dziś odbywać podróży, kiedy tyle szpiegów nas otacza. Ten dawny włożysz do tłómaczka i on przydać się może. Teraz nie napróżno nauczyłam się robić przetaków. Jesteś sitarz a jam twoja siostrzenica.

— Czemuż nie żona?

— Bo nią będę tylko naprawdę—rzekła zapłoniona cała — gdybyśmy przedwcześnie udawać chcieli małżeństwo, gotówby nas Bóg skarać. Jedziemy szukać roboty.

Gdym wlaź w ten chłopski uniform, klasnęła w ręce z radością.

— Nikomu się nawet nie przyśni, żebyśmy nie mieli być w własnej skórze. Przez drogę będziesz mnie uczył mówić z mazurska. A wiesz, kto jest naszym woźnicą. Przypatrz mu się dobrze.

— Stanisław!

— Ja wujaszku.

— jak to być może?

— Ja radbym to samo spytać wuja.

— A cóż się z domem stanie?

— Sąsiedzi o nim będą pamiętać a pewnie lepiej ud tego pustaka — rzekła, nagłąc nas do podróży.

Nie mogła się lepiej odemnie zabezpieczyć, jak

biorąc tego chłopaka. Podziwiałem też tę kobiecą taktykę.

— Dokądże się udamy?—spytałem.

— Powiślem do Krakowa.

Choć upewniała mnie wciąż, że sukmana chłopska przystaje mi tak dobrze, że tam nikomu i przez głowę nie przejdzie, aby mnie podejrzewać, mierzilo mnie to jednak strasznie i w żaden sposób nie mogłem przywyknąć do owych chłopskich manier i zdradzałem się co chwila.

Gdy przyszło rozmawiać z chłopem jakim, pytając się o drogę, gdy przyszło im się tłumaczyć, odpowiadać na wszystkie ich pytania a słuchać zuchwałych ich odgrózek, które teraz tali często im się z ust wyrwały, brała mnie złość taka. Żem chciał zabijać. Trzeba było całej jej władzy, aby mnie powstrzymać.

Stanisław znów śmiał się, jak utrapiony. Chłopak przywykł do swojej nowej roli i było mu w niej dobrze.

Niedaleko Korczyna w lesie, w wązkim parowiu, zetknęliśmy się z kolasą, którą trzeba było wyminąć a miejsca było tyle, że bez zawadzenia jedno o drugie niepodobna.

Była ona zaprzężona jednym koniem tylko a siedział w niej człowiek, dziwnej postaci—niby szlachcic, niby mieszczanin, niby Niemiec jakiś.

Za nim z tyłu na siedzeniach siedziały dwie małpy.

Zamiast nas wyminąć, człowiek ten przystanął a jedna z małp podniosła się, skłoniła nam grzecznie czapką z dzwoneczkiem, potem nią potrząsała i wskazując na swoje siostrę, która siedziała kiwając się, prosiła nas niby o datek dla niej — a wyrażała mimikę taką, żeśmy parsknęli śmiechem. Tamta siedziała, wciąż się kiwając i prosząc także, a pokazując na swoje oczy —wówczas spostrzegliśmy, że była ślepa. Wydobyłem pieniądz i rzuciłem w czapkę onej małpeczce zmyślnej, która znów pokłoniła się bardzo pięknie i poczęła stroić śmieszne miny, tak bardzo podobne do ludzkich.

Zapatrzeni na to dziwo, nie zauważyliśmy, że człowiek nas bardzo śledzi.

Zlazł on z kolasy, obszedł nasz wózek do okola, przypatrzył mu się ze wszystkich stron i wścibiając między nas głowę, zapytał nagle:

— A wy zkąd ludzie?

Zmieszało nas to trochę, co ten zaraz i dostrzegł, lecz Salomeja nie tracąc zimnej krwi, od powiedziała:

— My z Krakowskiego panoczku. Jeździli na jarmark do Pacanowa, a teraz to i wracamy do domu.

— A cóż wieziecie z jarmarku?

— A no wieziemy trochę grosza za towar, co go się sprzedawo.

— A jaki towar mieliście?

— Sita, rzeszota, sitka, przetaki.

— Az której że wy wsi?

— Z Niegarłów za Proszowicami —rzekłem.

— Z duchownych?

— Tak z duchownych.

— To widać zaraz, żeście w lepszej skórce, Ręce u was białe, niespracowane. skóra się świeci, jak atlas — a ta dziewczka chyba się w mleku kąpie. Hej takich chłopów nie widziałem jeszcze.

— Na księżnym chlebie panoczku.

— A szlachecki twardy i gorzki?

W mowie jego czuć było trochę ruszczyzny.

Twarz to była puciołowata z dobrym wąsem a broda tylko co zapuszczona tak, że ten wąs zawiesisty wyglądała niby jakaś bujna kępa zboża na ściernisku. Oczy czarne, błyszczące — na lewym policzku niby jakaś szrama czy pręga, bo trudno było rozpoznać pod brudem i kurzem, jakimi była cała ta twarz okrytą, przeglądał tylko z poza tego czerstwy rumieniec.

Salomeja trąciła mnie łokciem, nagłąc do drogi.

Nie podobała mi się ta jego lustracya a byłem pewny, że mamy przed sobą jakiegoś szpiega z Chmielnickiego bandy. Począłem i ja mu się przyglądać a obliczać, czy by go bestyi nie związać w kij i z onemi małpami nie zawlec do Korczyna.

Salomeja odgadła moją myśl i szepnęła tylko:

— Ich tu musi być więcej.

I nie wyszło pacierza, jak z lasu pokazała się jakaś postać zgięta we dwoje na kulach i przypełzła do naszego wózka, prosząc o jałmużnę a świdrując nas bacznie okiem.

Małpiarz znalazł się już z drugiej strony.

— Ta kapota przyciasna na ciebie—rzecze on, zbliżając się do mnie natrętnie, a czapka za duża na łąką głowę... i kędziorów pańskich przyciąć było trzeba.

I zdjął mi czapkę z głowy.

— Odczepcie — no się człowieku — mówię mu już z gniewem.

Wziąłem lejce z rąk Stanisława i świsnąłem batem na konie, ale w tej samej chwili, jak z pod ziemi, zjawił się drugi i trzeci żebrak przed końmi tak, że nam zatamowali drogę—podczas tego, gdy tamci dwaj rozmawiali ze sobą.

— Odkryli nas—szepnąłem Salomei.

— Prawda.

— Cóż teraz będzie?

— Bądź spokojny—mówi Salomeja — zagram ja im w ich dudkę.

— Toć i ja im zagram, ale na swoim instrumencie, Hoła pogańskie syny! Idźcie swoją drogą, albo wam łby trzaskać będę.

I wydobyłem pi.stolet.

Ale kiedy to nie gwizdnie przeraźliwie ów z małpami, kiedy się nie zakłębi coś w lesie, kiedy się nie wysypie mrowie całe... otoczyli nas w minucie... Nie widziałem nigdy podobnych twarzy.

Było to zbiorowisko ludzi zda się przeróżnych stanów... Kompanią taką tylko na jarmarcznym . rynku spotkać można. Tu baby. tu dziady lirnicy, tu żydzi, żebracy z ohydne rany i zacernioną twarzą — ówdzie chłopci w siermięgach, tu znowu paru w ubiorach szlacheckich.

Świst, wrzask, jakaś piekielna muzyka.

Ten przygrywa na kobzie. ów na lirze, inny na piszczałce, inni znów wyją dziadowskie pieśni, a wszystko otacza nas i przygląda się bacznie, macając za noże. które z zanadru im wylażą.

Dusza nam siadła na ramieniu.

Wiem Salomeja zwinnie, lekko niby sarenka zeskakuje z wózka i rzecze do nich:

— Pokińcie braty! my nie szlachtycie a ruskiej wiry ludzie. Pomyrymsia. pomyrymsia: na szczo nim z soboju wojowaty? Szczo wy brechatie na nas?

I wzięła owego małpiarza na stronę, prowadząc z nim dysputę i często wskazując na mnie i na Stanisława, potem wydobyła papiery, które tamten z wielką uwagą przeglądał. potem znów między nimi poczęła się utarczka, w której słyszałem nazwisko Bzowskiego. wymówione po kilkakroć. Wreszcie oddał jej papiery, pokłonił się w pas. przemówił coś do całej tej bandy, która zaczęła szwargotać między sobą i gestykulować i tak. jak się zjawili, tak napowrót znikli w lesie a ten wsiadł do swojej kolasy z małpami, pozdro

wił uas. zaciął konia i zniknął w ciemnym wąwozie.

— Czyś jaką czarodziejką, wróżką?—mdwie.

— Nie—tylko nie tracę głowy. To listy Chmielnickiego. zabezpieczą nas przed jogo szpiegami, których spotykać będziemy wszędzie, ale co nas zabezpieczy przed naszymi? O tem pomyśl. Dowiedziałam się wielu rzeczy. Ten, co jeździ z małpami, nazywa się Ostrowski, skozaczony szlachcic a ma pod swoją kommendą takich oto trzystu hultai, którzy na jedno jego gwizdzenie gotowi na wszystko i są zawsze w pobliżu. Takich band w Małopolsce ma być ośm a kommendę nad nimi ma Dylewski. Dylewski zaś i wszyscy jemu podobni, jak .lachowski na Rusi. Fox na Podlasiu, Grzybowski w Wi el ko polsce podlegają komraendzie pułkownika Stasieńki. który jest generalisimusem całej tej operacji. Równą władzę, jak Stasieńko, ma mieć Bzowski. Hasłem wszystkich jest: jedna wira. jeden korol. A włożeni są tak w subordynacyą, taki u nich porządek, że na jedno skinienie dowódcy wszyscy się gromadzą, gdziekolwiekby im nakażą. Tylem się dowiedziała. Widzisz, żem czasu nie zmarnowała.

— Prawda, Cóż to się u nas dzieje! Ni mienia, ni życia człek na własnej ziemi nie pewny.

— I cóż będziesz jeszcze żałował, żeś nie poszedł do wojska?

— O nie Salomejo. ale cóż my podołać możemy?

— Zobaczysz.

Minęliśmy Korczyn. Opatowice. W Koszycach mieliśmy popasać i nocą puścić się w dalszą drogę. Miasteczko królewskie, należące do starostwa krakowskiego.

Niema ani jednego żyda.

Stanęliśmy w rynku przy jedynym zajęździe, jaki jest w mieście.

Mrok zapadał, po rynku wałęsało się kilku mieszczan.

Nie zdążyliśmy jeszcze wysiąść z wózka, gdy zjawił się pacholek miejski.

— Co wy za ludzie?—pyta.

— A ot Indzie—odpowiadam.

— Zkąd?

— Z pod Skały.

— Gdzieście byli?

— W Korczynie.

— Po co?

— A idźże do stu dyabłów baranie. Salomeja mnie trąca a ja swoje.

— Czy to już nie wolno poczciwym ludziom jeździć po świecie?

— Czyście poczciwi, to dopiero zobaczymi, a wtenczas wy pojedziecie do stu dyabłów. jeżeli się okaże, że łzecie.

Kumie Piotrze — rzecze do drugiego, który się tuż nawinął —ot jakieś farbowane lisy. Biegaj do ławnika Bartosza.

— Czyście poszaleli? Przyjechaliśmy popasać i jedziem zaraz dalej.

— To tam starsi osądzą, czy pojedziecie, czy zostanieie.

Zacząło mnie to gniewać na dobre. Tylko cośmy wyleźli ze zbójceckich łap Chmielnickiego bandy, aż tu się wpadło w kupę osłów.

— Nie dysputuj z nim—mówi Salomeja —przecież nas tu nie zjedzą.

— Ale mitrężyć będą. Zjawił się pan ławnik. I znów pytania;

— Zkąd jesteście?

— Z pod Słomnik.

— Oh! a do ranie mówił, że z pod Skały — ozwie się pacholek z wielkiem przekonaniem o swej przenikliwości.

— Z pod Słomnik i z pod Skały.

— Kazał mi iść do sin dyabłów —prawi dalej. Cicho! to będzie w protokule. jak się zo wiecie?

— Grzegorz Powąła.

— Kto jest ta dziewczka?

— Moja siostrzenica.

— A ten chłopak?

— Mój bratanek.

— Zkąd wracacie?

— Z Opatowa.

— A do mnie raówił, że Korczyna.

— Pójdziecie z nami na ratusz.

— A to po co?

— A no tak.

Pięść mnie swędziała..

Miałem ochotę gramotnąć tego łyka, żeby się piętami nakrył.

Nadał się bestya, jak indyk i z powagą całą. na jaką go stać było. kazał nas prowadzić pachółkom.

Ludzi się zaraz zebrała gromadka i ciekawie zaglądała nam w oczy.

— Nie wytrzymam w mojej roli — mówie do Salomei—wezmę za kark tych drabów.

— Dajżc pokój, możeć trafimy na rozumniejszych.

— A zkądby się tacy wzięli?

— Zmiłuj się człowieku, bądź wytrwałym, bo nas nieszczęście jakie czeka.

— Już będę, choćby mi ta zgraja łyków do zołądka zaglądać miała.

Wywlekli z karczmy pijanego burmistrza, trzech ławników zasiadło przy nim i dalejże nas egzaminować.

Lecz zaledwie nam zadali jedno pytanie, gdy wszedł pachółek, niosąc nasz tłómoczek, z którego już był wyjął pistolet, ładunki kui i prochu.

— Tacy to ludzie — prawi, pokazując im broń i wytrząsając nią przed ich oczyma.

Wszyscy się zerwali ze strachem na równe nogi. Burmistrz przetarł powieki i krzyknął:

— Wiązać ich i do turmy?

— Słuchajcie no sławetni mieszczenie miasta

Koszyc — rzekłem gromko. włącząc już w swoje skórę własną — nie mam czasu bawić się z wami w gawędę, ani grad tutaj komedyi. Idźcie dopić wasze szklenice, albo spać się połóżcie — a tymczasem kaźcie odejść tym waszym gawronom, bo ich Ul naszpikuję, jak zajęcy i wydobyłem zaraz pistolet i zmierzyłem do pierwszego, co się ku mnie garnął. Salomeja znów widząc, że tu już udawaniem nic nie wskóra, błysła mu kindżałem a Stanisław wycelował swej prosto w Burmistrza,

Chcieliśmy samym strachem ich pobić.

Wrzasło też wszystko w nieboglosy.

— Mordercy! kozacy! zbójce!

.ieden z nich wysunął się zaraz za drzwi.

— Nie zbójce, nie kozacy, ale szlachta. jestem podkomorzyc Krzysztof Scipio, a to moja zona i krewny Stanisław Dederko, stolnikiewicz oszmiański. Przyszły teraz czasy, że trzeba lwu baranią skórę nosić. Nie mamy wam za złe, że pilnujecie porządku, ale bądźcie baczniejsi i niewinnych ludzi nie prześladowajcie. Kozacy tu do was nie przyjdą, bo i po co? Chcecie ich dostać, to wyłóżcie z waszego miasteczka i idźcie w pole na bory. na lasy. ua wsie. na dwory, tam ich znajdziecie. My tylko co się wydostali z ich pazurów.

I wziąłem pistolet z rąk pachółka. który go oglądał na wszystkie strony.

— A teraz zanieście mój tłómok na wózek i

dajcie nam pokój święty. Nie mamy czasu bawić się z wami.

— To ono to nie może tak być — rzekł burmistrz, otrzeźwiawszy trochę i przybierając minę porapatyczną. — Powiedzieć i to. i owo — nazwać się tera i owem, to każdyby tak wykręcić się potrafił, ale tus aś trafił na ludzi, co to się nie dadzą zjeść w kaszy. Tu aś tem i owem nam się nie wykpi. Panie pisarzu, trzeba by ściągnąć protokół.

— Bądźcie zdrowi!

Otworzyłem drzwi na oścież, przepuszczając przed sobą Salomeję i Stanisława, ale niełatwo było przez te drzwi przeleźć, bo pokazał się w nich tłum mieszczan uzbrojonych w kosy, widły, noże i zatarasował nam drogę.

— I cóż tu począć z tera bydłem — rzeknę. — To my się tu bez krwi rozlewu nie wydostaniem chyba.

— I na nic by nam się to nie przydało a pogorszyło by wszystko. Tu na języki szermować z nimi trzeba — rzecze Salomeja.

— Czegóż więc chcecie od nas? — pytam,

— Zaraz, nie tak prędko — mówi burmistrz — My władza, więc nam należy pytać a wara odpowiadać.

— Pytajcie.

— Zanim przystąpię do inkwizycyi, złóżcie broń.

— Czy to mówisz do szlachcica, mospanie?

— Szlachcica tu niema. Aś nie szlachcic. Żaden szlachcic od Adama i Ewy, nie chodził jeszcze w chłopskiej sukmanie, ale w najstarożytniejszych czasach, czerwoną płachtą się odziewał. Ztąd purpura. Czerwony kolor znaczył karmazyna. Ergo więc kto ją zrzucił i przywdziewał strej poddańczy. chłopem się stawał i niegodzien był jej nosić.

— Ha! — rozległo się w tłumie — jaki nasz burmistrz mądry.

— Ale wielce uczony panie burmistrzu, nie czytałeś w kronikach, jak nieraz królowie i szlachta przywdziewała na się różne stroje, aby omylić, oszukać wroga, a tem samem ujść jego sideł. Wszak król Łokietek przebrany w chłopską siermięgę ukrywał się w Skalach Ojcowa.

— Za to też go zabito — odrzekł z powagą. I znów okrzyk podziwu.

— Mądrzejsi od nas Kozacy, bo małpy z sobą wodzą — mówię do Salomei — a my co? jakąż tu sztuką się wykręcić i otumanić te baranie głowy, bo inaczej nie wyjdziem.

— My mamy za sobą dobrą sprawę i bez wszelkich dalszych wykrętów, trzeba tych ludzi nią oświecić.

— Próbój. Ale łatwiej wielbłądowi przez igłę ucho przeleźć, aniżeli do tych głów trafić.

— Słuchajcie — rzekła Salomeja. — Czy to wam nie wiadomo, że po kraju całym włóczy się banda szpiegów i rabusiów, i że każdemu, co nosi suknie

szlacheckie a puszcza się dziś w drogę bez pachołków i dworzan, grozi od nich niebezpieczeństwo? Wydano wam rozkazy, abyście się strzegli ludzi tych podejrzanych i ujawszy którego z nich a przeświadczywszy się o jego winie, karali — ale nie powiedziano wam, że mogą być i tacy, którzy chcą Ujść sideł zdradzieckich, zmuszeni są walczyć tą samą bronią i udawać się za innych, niż są w istocie. Otoż nam dziś tak przypadło. Jedziemy w ważnej sprawie do Krakowa, a potem dalej jeszcze. Strój nasz szlachecki wzbudziłby podejrzenie w tych właśnie, przeciw którym idziemy walczyć — mianoby nas na oka, szpiegowanoby i udaremniłoby nasze zamysły. Uciekliśmy się do tego środka, który nam się wydawał jedynie dobrym. A chcecie dowodu, łdm jesteśmy, to otwórzcie tłómoczek. w nim znajdziecie ubranie mego pana podkomorzycy, które tu w waszych oczach przywdzieje.

Wysłuchali jej mowy w milczeniu, spoglądając po sobie.

Tłum cały rozdziawił gęby i czekał dalszej inkwizycyi mądrego swego burmistrza.

Zdawało nam się, że przekonani.

jakiś czas panowało milczenie. Pisarz tylko skrobał po papierze, za cichą dyktanda burmistrza, który powstał po chwili i rzekł:

— jeszcze raz was wzywam ludzie chytry, oszuści niebezpieczni, złodzieje i rabusie, złóżcie

Broń i poddajcie się literze prawa, bo inaczej siłą was zmuszę do tego. Co było począć?
Wtem przeraził nas wszystkich jakiś nieludzki głos. Zwróciliśmy głowy w tę stronę i ujrzeliśmy Stanisława z
wykrzywioną straszliwie twarzą. z oczyma wywróconemi, kręcącego się w kółko.
Salomeja krzyknęła;

— Księdza!

I wybiegła szybko z izby przez te tłumy oglupione, oszołomione, które się jej rozstały, Zrozumiałem wszystko.
Chłopak niecnota udawał taniec Świętego Wita a udawał tak dobrze, że sam był zgrozą przejęty
I wnet cały ten tłum tak wzburzony jeszcze przeciw nam. przystąpił ze współczuciem do chłopaka. który
nawywijawszy na wszystkie strony, niby powoli ostygając zaczął.

I znów wszystko wróciło do dawnego porządku.

Burmistrz kazał mi złożyć broń, po raz już nie wiem który, com też i dopełnił, bom już był pewny dobrego obrotu
sprawy, skoro Salomeja na wolności.

Ksiądz był na odpuście w Korczyniu. Pojechała tam i we dwie godziny zamiast z księdzem, wróciła z podstarostą
Korczyńskim Kędzierskim.

— A toś wpadł w łapy panie podkoniorzycu —

rzecze pan Kędzierski—toż te barany byłyby cię ze skóry gotowe obedrzeć.

— Nie ich to wina, ale moja—rzeknę.—Dośtej chłopskiej komedyi, wdziwam moje suknie i choćby mi do piekła iść
przyszło, pójdę—boć lepiej zginąć walecznie, aniżeli dać się podziobać przez takich.

Zacząli się strasznie submituwać i przepraszać — darowałem im winy, alem o całej tej awanturze dał wiedzieć
ziemskim i grodzkim sądom, aby przecież ślepym nie dawali palki w ręce.

Zdało mi się. że zrzuciłem kajdany z siebie, boć też to w istocie były kajdany—a choć je tali krótko dźwigałem, stały
się jednak nie do zniesienia.

Nie mogłem przywyknąć do tej siermięgi, którą mi rzuciła w lesie i ustroić się w nią kazała, Zdało mi się, że przyjął
jakąś służbę niegodną rycerskiego człowieka, że pozbawień woli. myśli, uczucia, rozumu. Wstyd i upokorzenie jakies
tak mną owładły, że nie śmiałem jej w oczy spojrzeć.

Pojąłem, że chcąc udawać kogoś, trzeba mieć mniej w sobie szczerości, więcej jakiegoś zaparcia siebie. Patrzyłem się
też na tę dziewczkę, niby na kamelona jakiegoś o skórze dziwnie zmiennej i ludzkiej.

Oli i była nim—a czem ona nie była!..

Zaraz też i fantazyja mi wróciła i siły jak gdyby przybyło.

Nie chciałem być już jakimś hiemem narzędziem w jej ręku. ale oświadczyłem, że i po mojej woli dzieć się musi.

Przyjęła to kornie i z poddaniem.

— A czegoż ja więcej chcę od ciebie? Rządź! Jam posłuszna każdemu twemu skinieniu. Wszak wspólny cel przed nami. Idź! ja za tobą wszędzie.

I popatrzyła na mnie tak błagalnie, że mi serce stało.

— A tyż nie włożysz innej sukni?

— Ja zostanę tak. Ona mnie uchroni więcej. jak zbroja w tych czasach, A sądzę, że w niej znajdziemy się potrzebie.

— Więc czemu teraz jesteś dla mnie?

— Sługą twoją.

Chciałem ją wziąć w ramiona, lecz zsunęła mi się do kolan i jak pierwej była pełną ducha i przedsiębiorczej energii, tak znowu teraz stała się potulną, poddaną, powolną. Wpiew jechaliśmy przy sobie, teraz jako służce wypadało jej się przy woźnicy.

Miałem ją przed sobą a radbym był ucałować każdy rąbek jej sukni, radbym jej się pod nogi podesać, a trzymać się było trzeba obojętnie.

Gdzie mnie to wszystko zawiedzie?

jak się skończy to nasze przedsięwzięcie, w którego powodzenie nie wierzyłem i chwili.

Wtem błysła mi myśl.

Jesteśmy tak blisko Skały i mielibyśmy ominąć Grodzisko, nie odwiedziwszy starca?

Taki Niechże ten człek świętobliwy wesprze nas radą swoją.

Może przez jego usta, wola Boża nam się objawi.

Przyszedł mi na myśl on szkaplerz z psalmem Dawida i zadrzałem nad dziwnym losem Bzowskiego, i przedwieczną mądrością, która go miała tak doświadczyć.

Tak. ten starzec wydał mi się dziś władcą jego losów. Niechże odwróci to złe, które mimowoli może w nim zażęł, wpajając potężne obrazy pisma Śgo w ten umysł zuchwały, tak żądny wielkości, kosztem najdroższych uczuć ludzkich. I zaraz z Brzeska, zamiast jechać na Igołomią do Krakowa, skierowaliśmy na Proszowice do Skały.

Znaleźliśmy starca złożonego niemocą. leżał na swym tapczanie wychudły i zmieniony, a przy nim siedział człek również stary, co go doglądał w chorobie.

jakże tu rzucić taką wieść!..

Czy go nie dobieje?

Stanęliśmy milczący przed jego łóżem. Popatrzał na nas długo. jakby zbierał pamięć, ale widać, że nic sobie przypomnieć nie mógł. Potarł ręką po czole i spytał: — Kto wy?

— Jam Scypio.

Człowiek. który siedział przy nim, wziął do rąk trąbkę i przez nią powtórzył mu do ucha.

— Eustachy, mój druh—wyszeptał starzec. Mówił p moim ojcu. mnie nie poznawał wcale i daremnie mu było to przypominać.

Salomeja nie pojmowała, dla czegośmy tu przyjechali a ja nie chciałem jej z tem obznajmiać. licząc na to. ie zastanę starca jeszcze zdrowym, i że z toku rozmowy dowie się, gdzie jesteśmy i pociągniemy tu przybyli.

Widok tej jaskini oświeconej słabym promieniem światła, w której po dłuższym pobycie, rozpoznawać można było przedmioty, zanim się oko nie oswoiło, ten starzec umierający na barłogu, oddziaływały na nią przygnębiająco,

Pociągnęła mnie za rękę. nagle gwałtownie do wyjścia.

— Od jak dawna ta niemoc nań przysła? — zapytałem.

— Od paru tygodni. Powaliła go, jak dąb i nie dźwignie .się już z tego łóża.

— Ozy ciągle taki nieprzytomny?

— Chwilami mu odchodzi i rozmawia. Postaćcie nieco, gdy niemoc przejdzie, to i umysł odzyska władzę. I w istocie starzec oka ze mnie nie spuszczał a pracował myślą ustawicznie, przecierał schudzoną ręką po czole, niekiedy unosił się na wezgiłowi, wreszcie jakby mu błysło światło nagle.

uniósł się i dźwignął na rękę, wlepił we mnie swoje jasne źrenice i wyrzekł:

— Bzowski Gdzie on?

Skinął na swego sługę, kazał mi podać trąbkę i mówić sobie do ucha.

— Nieszczęście ojczy. Ten szalony młodzieniec poszedł w służby wroga. jest Chmielnickiego sługą i buntuje lud.

Starzec popatrzał na mnie okropnym wzrokiem, po jego żółtej, wyschłej twarzy przebiegł jak gdyby dreszcz i zabarwił ją rumieńcem. Patrzył długo, potem powoli spuścił oczy i mówił, jak gdyby do siebie:

— jeżeli cię zapomnę ojczyzna mila moja i Jeruzalem moje. niech zaponnę prawicę ręki swojej. Niech język mój przyschnie do ust moich, jeżeli pomnieć na cię nie będę, a jeżeli cię na czele wszystkich pociech moich nie położę.

Potem podniósł głowę i rzekł dobitnie:

— Inqam! Bóg obrał go za narzędzie swojej kary.

— Chcemy go ratować.

— Ratować? Dyabła? Zgnieść go? Popatrzał na Salomeję.

— Kto ona?

. — Jogo krewna.

— A matka?

— Umarła.

— Tak być musiało.

Po chwili namysłu, mówił dalej:

— Król ze szlachcą na wojnie a w domu pożar... i takie ręce go miotają! Lud podnosi głowę... Ka! schylał ją kornie tak długo... Nie było wielkich królów... Jeden rozpoczął... drugi chciał kończyć, ale zło było silniejsze od niego...

Inqam! Ten nędznik czytał w królewskiej myśli i pigmej, chce podnieść maczugę Herkulesa a chwyci tylko nóż rozbójnika, opryszka...

Zgniećcie go. bo pożar może nas strawić..wielki jest urok imienia Władysława między ludem... dla jego zepsutej krwi ten lud odważy się na wszystko... i zanim tam szlachta zwycięży wroga, tu może się nie doliczyć żon, matek i córek a dwory swoje ujrzyć w perzynie...

Inqam! nie dajcie zawładnąć szatanowi... uderzcie w wielki dzwon trwogi... Niech duchowni z krzyżem zbawiciela, przebiegają sioła i wioski—góry i lasy...

Oh, czemużem dożył takich dni... Służyłem tej Polsce, kiedy była wielką i kwitnącą; schodzę, gdy ją rak zniszczenia toczyć poczyna.

Piersi jego wznosiły się i opadały, jak fale morskie, oddech stawał się krótszym, w oczach dziwny ogień świecił, jak kiedy lampa bucha migotliwym światłem, zanim nie zgaśnie.

Zebrał wszystkie siły. podniósł się na łóżu i wlepił wzrok straszny w Salomeję, jak gdyby ją przeniknąć pragnął.

— Ty dziewczko z błyszczącymi oczyma, wdrzej się jak Judyt do obozu tego Flistyńczyka i odrąb mu głowę. Jego matka zrobiła by to samo. Ale ty go pewnie miłujesz i z płaczem przychodzisz rady mej prosić. Daję ci jedne; wydaj go w ręce sprawiedliwości, a zbawisz kraj od nieszczęścia. Inqam!. innej ci dać nie moge a wierz mi, że mówię prawdę, bom już grobu bliski i z Bogiem się pojednałem...

Kochałem go. jak syna i wpoilem weń zasób cnot chrześcijańskich, lecz zmarniały. Myślałem, że schyłek mego życia ozłoci mi sławy promieniem a zatrul mi goryczą... Przeklinam go!

Salomeja padła na kolana, składając błagalnie ręce.

— Nie przeklinajcie ojcie—wy krzyknęła z głębi piersi... —jeszcze on złego nie spełnił.,, jeszcze go powstrzymamy, zanim bratobójcze utopi żelazo!

Starzec nie słyszał jej słów. ale pociągnięty urokiem postaci i błagalną tą prośbą, jakby w nim iskra litości się ozwała, rzekł:

— Wstrzymaj go—przywiedź przed króla a potem błagaj dlań litości. Daję ci błogosławieństwo moje.

Upadł na łoże i już nie przemówił do nas słowa.

Zbliżyliśmy się doń i ucałowali ręce, których nam nie bronił, lecz już żadnym ruchem ani skinieniem nie odpowiedział. Wyczerpane siły potrzebowały spoczynku.

Sługa czy przyjaciel, zabronił nam już więcej doń przemawiać, mówiąc, że dłuższy nasz pobyt pogorszy tylko stan chorego, któremu już do życia nie wiele chwil zostaje.

Pożegnawszy też wejrzeniem tylko tę dziką ustron, siedliśmy do wózka i jechali ku Krakowu.

Te słowa starca zda się, że ponad nami krążyły i zagrzewały do czynu.

Śmiała nam się okolica śliczna i ludzie inni, lepsi jacyś i szczęśliwsi, niż w naszych stronach. Śmiała się wiosna całą krasą i wszystkimi barwy, jednak nie potrafiła nam przemówić do duszy.

Pochowaliśmy wszystko inne gdzieś głęboko a postanowili bez wytchnienia, bez odpoczynku dążyć tam. gdzie nam obowiązek kazał, choćby dlań głową nałożył przyszło.

Przed wieczorem stanęliśmy w Krakowie.

Trzeba nam było czegoś się dowiedzieć, wytropić ślad jakiś, pochwytać jakąś nitkę, coby nas na trop naprowadzić mogła.

Podzieliliśmy się też zaraz robotą.

Ja miałem się kręcić między mieszczanstwem i szlachtą. Salomeja z Stanisławem między chłopstwem.

Stanęliśmy gospodą na Szpitalnej ulicy i czasu obiadu, mieliśmy się wspólnie schodzić na naradę.

Pierwszy dzień nic nam nie przyniósł, nie słyszano tu o żadnym Bzowskim, nikt taki nie przybył do miasta, boó snadnie by go teraz zauważono, ile że ruch przyjezdnych ustal bardzo.

Od wschodu i od południa nie przyjeżdżali kupcy a od północy i zachodu także ich niewiele napływało dla bezpieczeństwa dróg, od hultai wszelkich i luźnego narodu, który się temi czasy błakał wszędzie.

Czasem jakichś leniwych pospolitaków, przesunęło się coś przez miasto, czasem przyleciał goniec jakiś od wojska.

Lud za to napływał tłumnie do miasta i z Podgórze i od zachodu a nawet z węgierskiej strony, a lud ten dziwne miał zachowanie.

Nie przygnała ich tu robota jakaś albo kupno, ale świętowanie i zabawa.

Całemi gromadami można ich było spotkać włóczących się po mieście i rozglądających ciekawie, szczególnie górale tatrzańscy odznaczali się z pomiędzy wszystkich swoją rosłą posturą i zuchwałem, jakby bezczelnem obejściem.

Gdy nadchodził wieczór i miano bramy zamykać, znikало to gdzie wszystko, jakby w norach po przedmieściach, albo wracało na swoich wózkach do domów.

Gdym się pytał, co znaczy ten ruch chłopstwa, odpowiadano obojętnie, ruszano ramionami:

— Ot przednowek, niema roboty, niema chleba, to i włóczy się wszystko do miasta.

Niedobre to zapowiadało sprawy.

Tymczasem gruchła wieść po Krakowie, że przejęto listy Chmielnickiego do Rakoczego, że Rakoczy ma uderzyć na Kraków.

Rozruch się zrobił w mieście okrutny, młódź szkolna, że to zawsze w takich rozruchach rej wiedzie, uderzyła na Żydów... hałas... rwetes...

W tym tumulcie, w tym nieładzie, jak w mętnej wodzie pływały wszelkie plugastwa bezkarnie, bo i miejska i starościńska władza, były bezsilnie.

Wstąpiłem do rusznikarza, aby mi opatrzył pistolety, bo mi jeden zawodził, zanieczyszczony i pordzewiały jakoś w środku..., aż ten mi prawi, że trzebaby je rozebrać, co i parę dni czasu zejdzie, a tu roboty dużo i pilnej.

— Cóż nowe wojsko uzbrają?

— Niby to aszmość nie wiesz.

— Wczorajem przyjechał.

— A to chyba. jest u nas Imć pan Kostka ze Sternbergu Napierski, pułkownik królewski, co urządza zaciągi i sztyftuje regiment ochotnika.

— pierwsze słyszę o takim.

— Człek młody bardzo, ale prezency pańskiej i rycerskiego rzemiosła świadom, a płaci dobrze. Pięćdziesiąt strzelb zamówił. z tych dwadzieścia krótkich rusznic norymbergskich i trzydzieści rusznic brunszwickich. Połowę się już odesłało a drugą trzeba kończyć.

— No toć znajdě innego majstra.

Idąc, myślałem o tym Kostce. Czyżby to był syn malborskiego starosty?... ale dlaczego Napierski i ze Sternbergu? Nie słyszałem o takim rodzie. Pułkownik królewski... Człek młody a w rycerkim rzemiośle biegły.

Wróciłem z tem do gospody.

Czekali już na mnie Salomeja z Stanisławem.

— Mamy go wujaszku — krzyknął ten, ujrzał. szy mnie z progą.

Kogo?

— Bzowskiego. Spotkałem Krzemienia,..

— To jeszcze nie Bzowski.

— Bab, poszedłem za nim w ślady... i wywiedziałem się o wszystkim. W domu Brickmana na Wiślnej ulicy, mieszka Imć pan Leon ze Sternbergu Kostka Napierski.

— To oni

— To i ty wiesz wuju?

— Pułkownik królewski. Zakupił pięćdziesiąt strzelb u rusznikarza Lottera. Zbiera zaciągi i uzltraja je na usługi króla i Rzeczypospolitej.

— A ja wara dopowiem reszty — rzecze Salomeja.

Lud świętuje i wiecjuje wszędzie. Powiada, że skończyły się czasy niewoli i poddaństwa. Król obiecuje im wszystkie wolności i ziemie, które dziś posiada szlachta, byle wyruszyli zbrojnie mu z pomocą. Szlachta podnosi przeciw królowi rokosz, wy go podnieście przeciw szlachcie. Niech kamień na kamieniu nie zostanie z ich bogactwa

i państwa. Widziałem między nimi ludzi, którzy niby apostołowie, wpajają owe przeklęte myśli; a największym z nieb
wszystkich ma hyó Martinus Radocki, bakałarz w Pcimiu na Podgórzu. Jego słowa mają siłę wyroczni.

— A o Bzowskim eo mówią?

— jeszcze on im nieznan, lecz oczekują kogoś widocznie. I tu szpiegów Chmielnickiego pełno. Na Kleparzu, na
Piasku, na Stradomiu, spotkasz między chłopstwem takie twarze, że cię uderzyć milszą.

— I co pocniemy dalej?—spytałem.

— Trzeba nam cierpliwie dalej badać i śledzić jego kroki. Mamyż go pod ręką. Potem, myślę czyby się czemś nie
zabezpieczyć, bo pewnie ich szpiegi nie próżnują,

— Czemu się zabezpieczyć możemy—rzekłem. —Iść do biskupa i wyznać mu całą prawdę, odmalować straszne
nieszczęście, co nam grozi i wskazać na Bzowskiego: Oto człowiek, którego pochwyć trzeba. Innej drogi nie widzę.

— Aleja znajdę inną. Muszę go widzieć, muszę z nim mówić. On nie wie o śmierci swojej matki. Czy sądzisz, że
przyjmie to obojętnie? Ja mam mu powiedzieć to, co mi umierająca powiedzieć zleciła. On ją kochał i czcił zawsze a
bał się jej gniewu. Ta wieść może go powstrzyma i pewnie powstrzyma. On nie będzie w stanie dźwigać na duszy jej
przekleństwa, idąc w tę drogę straszną, jeszcze nic straconego. Wydać

go w ręce sprawiedliwości! a czyś pewny, że ta sprawiedliwość nie obróci się dla niego w nieubłaganego wroga?
Jeszczeż jego ręce czyste — jeszcze nie spełnił żadnego okrutnego czynu — mamyż wrogom jego, sami broń wcisnąć
w ręce?

Mówiła to z wzburzeniem wielkiem, którem jak gdyby przygniść mnie chciała za to, że śmiała podobną myśl
wyjawić.

— Kocha go zawsze, bez upamiętania —pomyślałem i jeszcze na szubienicy kochać go będzie. Ha, to darmo!

I w tej samej chwili, stanęła mi w myśli cała młodość nasza, razem przebyta a przypomniał mi ją promień słońca, który
zajrzał do izby i wzdrygnął się i zawstydziałem mojej słabości. Czyż w śnie tych dni szczęśliwych nie powinienem
być dlań tem, czem i ona? Czy nie powinienem utopić tej przeklętej miłości, co mi nie pozwała braterskim płonąć
atektem i do czystego poświęcenia mieszała mi ciągle krople jadu i trucizny.

Otrząsnąwszy się z tego przygnębiającego mnie stanu, co hamował wszystkie moje uczciwe popędy, rzekłem doń:

— Masz słuszność Salomejo, przebacz mi, wypowiedziałem to wszystko bezmyślnie. Tak, tak, ja wierzę w skuteczność
twoich zamiarów. Idź doń! Siłą twej wymowy potęgą twej miłości sprowadzisz tego uieszczęsnika z drogi przepaści.

Idź! Przebacz mi samolubne moje myśli—dyktowała je niegodna żądza. Czyń wszystko, co uznasz

za dobre, ja będę twoim obrońcą, pomocą, twym sługą.

Popatrzała na mnie tak, jak nigdy jeszcze, potem wyciągnęła ku mnie rękę.

— Takim będę cię kochać Krzysztofie.

Wybiegłem, aby iść do kościoła i w modlitwie szukać lekarstwa na te męki, co mi duszę szarpały.

W kościele Reformatów przypomniał mi się Bzowski, kiedyśmy obaj święcili w nim braterstwo i przyjaźń dozgonną.

Ten sam nawet ksiądz odprawiał mszę świętą, co wówczas błogosławił naszym ślubom, po owej bezsennie spędzonej nocy. gdzie to duma jego się kruszyła, takim samym był poranek jasny i ptactwo z świegotem zagładało w okna kościelne.

Ob Boże, tylko w naszych sercach robak złego się lęze. Ani jeden nie dotrzymał tego. cośmy tu czystymi usty w obec kapłana przyrzekli. Spraw panie, niech ja wolen będę tej zmayı, daj mi moc i wytrwanie, wyrwij z serca nieczystą siłę i dozwól dokonać dzieła uczciwie poczętej sprawy.

Ukrzepiony na duchu wracałem już do gospody, by powziąć dalsze plany.

Spotkałem Stanisława, którego Salomeja wysiała z jakimś sprawunkiem, zawahałem się. czy wejść teraz do domu. kiedy może potrzebuje być samą. jednak jak gdyby siła nieprzeparta jakaś popychała mnie naprzód.

Poszedłem ale zaledwem stąpił na parę sto

pni. usłyszałem krzyk a potem dudnienie po schodach.

Wyleciał Żyd jakiś, który krzyczał:

— Gwałtu, rozbój, morderstwo!

— Kto, gdzie?—krzyhnałem. chwytając go za gardło.

Zaczął mi się szamotać.

Popatrzałem w tę twarz i poznałem... Fiodora.

— Ach, już teraz mi się nie wyimkniesz psi synu.

Narodu otoczyła nas gromada.

Uczułem, jak dwóch porwało mnie z tyłu za bario, a zbrodzień silnie pclm.ął w piersi.

Upadłem, ale jednocześnie czterech ceklarzy miejskich, co przybiegło na krzyk, pochwyciło złoczyńcę.

Tamci rzucili się zajadle, aby go odbić.

Zacząła się walka. Przybyło więcej miejskiej służby, ale poradzić było trudno.

Wtem wypadł strzał i powalił hultaja na miejscu.

Tamci się rozbiegli, jakby ich ziemia skryła. Strzał wypadł z naszych okien. Pobieglem na górę.

Zastałem Salomeję na ziemi, broczącą krwią. W oknie stał Stanisław z świeżo wystrzeloną strzelbą.

— To on był, zbrodzień, Kozak. Fiodor czar

hy —rzekła słabym głosem. —Odkryli nas. Chciał mnie zamordować.

Tu!—wskazała na ramię,—zadał mi ranę. Krew uchodzi,

Ratujcie!

— Już on nie powstanie więcej — rzekł Stanisław.

Krzyknałem, zbiegli się ludzie, znalazł się na pod ręczy i cyrulik. Posiałem po doktora.

Ranił ją kindzałem głęboko, ale nie bardzo szkodliwie.

Żelazo obsunęło się po jabłku.

Ocalenie zawdzięczała swej sile i energii.

Wleźliśmy w straszną sieć zasadzek i pułapek.

Już teraz i Bzowski nie był panem siebie, bo i jego otaczała cała zgraja szpiegów, ua których czele siał Fiodor, a która teraz mścić się będzie jego śmierci.

Iść za nim, gonić go. znaczyło to, rzucić się na śmierć pewną, jaka nam zewsząd groziła.

A jednak nic nam innego nie zostało.

To dwóch tygodniach odzyskała zdrowie.

Podczas tego, trzeba było stawać w grodzkim sądzie i manowcami wykręcać się z tej sprawy, aby się nie wikłać niepotrzebnie.

Uradziliśmy, że znów wezmę chłopską sukma

ne, bo i teraz nie można było inaczej — włożyć w aamo czeluście tego piekłą.
Stanisława mieliśmy zostawić w Krakowie,
Wolno nam było szalować naszym życiem, ale się nie godziło narażać życia młodzieńca.
Udało mi się go umieścić przy dworze biskupim.
Bzowski dawno zniknął.
Byliśmy pewni, że już rebelia na dobre się rozpoczęła.
Z obozu dobrych wieści nie było.
Posępne a ciężkie oczekiwanie czegoś, widne było na wszystkich.
Miasto się wyludniło i posmutniało.
Podwojono warty i strażę.
Rankiem we Środę, nazajutrz po święcie Świętego Stanisława. ruszyliśmy drogą do Nowego Targu.
W Pcimiu stanęliśmy dla popasu.
Uderzyła nas szczególnie jedna okoliczność.
Oto wszystkie chaty umajone były świerkiem, młodą brzezina i williną.
Do zielonych świątek było jeszcze daleko, ządże ten nowy zwyczaj?
Robót żadnych nie widziałeś.
Chłopsstwo ubrane odświętnie, gwarzyło w gromadkach przy dworze, przed domami, przed karczmą—a w karczmie samej, trudno się było precysnąć przed tłumami.

— Czy tu święto jakie?—pytam baby siedzącej na przydrożnym kamieniu.

— A no święto—co nicma być święto. A jakiegoż świętego dzisiaj?

— A ządżeście wy ludzie?

— My zdaleka.

— To u was jeszcze nie świętują?

— Nie.

— No to będą.

— A jakże się ten święty nowy nazywa — pytam znowu.

— A kto go tam wie. Wynałazł go nam nasz bakałarz Radocki. Nazywa się pono Swoboda... czy jakoś tam. Ciągłe oni tam wszyscy o tym Swobodzie rozmawiają. Dyć jeno posłuchać.

I w samej rzeczy wyraz ten był na ustach u wszystkich. Młodzi szczególnie wykrzykiwali, starzy niedowierzająco kiwali głowami.

Wtóm na drodze pokazał się chłop jakiś w szybkim pędzie, zmierzając ku karczmie i zwołując do siebie tłumy.

Wszystko się poruszyło.

On tylko kiwał ręką i wołał;

— Do ojca Marcina! do ojca Marcina!

Poszliśmy za nimi i zmieszali się w tłumie.

przed budynkiem szkolnym, na ławie, przy samej ścianie pobielanej wapnem, stał człowiek wysokiego wzrostu, odziany w długą czarną suknię.

Miał lat pięćdziesiąt kilka. Twarz to była bez żadnego zarostu, poorana zmarszczkami, niby

brzdami, wklęste policzki, oczy czarne, nad którymi brew gęsta, o długich włosach w doktorskim birecie.

Usta miał zaciśnięte, wodził wzrokiem po tłumie, który coraz gęściej przybywał.

Dla ostentacyi stało przy nim dwóch drabów. Gdy się już uciszyło wszystko, przemówił:

— Pozdrawiam was w imię Chrystusa. Cały tłum dziękczynnie odpowiedział:

— Posłuszni prawom królewskim, których tłumaczem jest Imć pan Leon ze Sternbergu Kostka Napierski pułkownik jego królewskiej mości, zebrać się macie w Rzeczycy, gdzie usłyszycie jego wolę. Przestrzegać wszystkiego, co wam już było objawionóm przezemnie. Nie słuchać nieprzyjaciół króla, tych przewrotnych Pilistynów. Wierzyć w miłosierdzie pańskie, albowiem przyszły czasy zadosyćczynienia krzywdom waszym. Teraz odejdźcie w spokoju. Pozdrawiam was.

I znów tłum cały ryknął na pożegnanie. Starzec ich pobłogosławił i zszedł z powagą z swej ławki do wnętrza domu.

— Wiemy już, gdzie go szukać—rzeknę do Salomei.

— Im bliższą godzina naszego z nim spotkania, tem większą czuję trwogę i jakby jakieś złe przeczucie mnie ogarnia. Nie wiem, jak się skończy ta sprawa, ale słończyć się musi niedługo, bo czuję, jak gdyby mi życia już niewiele zostało.

— Ob. nie mów tak. bo cóżby się stało ze mną?

— Popłacziesz za mną i zapomnisz.

— Prędeż zaponnę Boga, Saiomejo.

— Kie bluźnij, człowiekn. Słuchaj ! leżeli umrę, przysięgnij mi. że pogrzebiesz moje szczątki tam na zgłiszczach naszego dworku, na Ukminie i usypiesz mi mogiłę wysoką, podobną do tych. jakie tamsypią zmarłym wojownikom. Będą się na niej uśmiechać kwiaty i zielenić zioła. Przrzekasz mi to?

— Salomejo. zkąd ei te myśli?

— Te myśli to przeczucie niedługiego już końca—za wiele zniosła w mojem krótkim życiu. Gdy powróci spokój do tej znękaney ziemi i znów miodem i mlekiem zasłynie. będą ludzie wspominać o jednej szalonej dziewczynie, co chciała dokonać dzieł niepodobnych do wiary.

— Saiomejo. miej ufność w Bogu. dokonamy ch oboje i ty żyć będziesz dla szczęścia mego

— Dla szczęścia?..

— Nie ufasz mi?

— Uh. ufam... jesteś dobry... tylko widzisz losów naszych my nie mocni zawrócić, spełnić się one muszą.

Oparła się na mem ramieniu wiotka, jak trzcina.

Wróciliśmy do karczmy.

Posadziłem ją na ławie bladą, zmęczoną, wyczerpaną z sił tak. jakby już śmierci blizką— aleć to było chwilowe, miała ona dokonać jesz

cze takich rzeczy, co zdumieniem potomne przejmą wieki.

Przysłuchywaliśmy się rozmowom chłopskim. jak między ludźmi: byli tam zaciekkii buntownicy, byli i ludzie rozważni.

— Zanim pójdę do Rzeczycy, wstąpię do księdza Dziekana w łordanowie. — mówił jeden — a jak on powie, tak będzie.

— Wiera ci ja naprzód, co powie. Przecie oni za szlachtą.

— A nieprawda, bo za sprawiedliwością. A nie pamiętacie, jak się ujął za Wołczakiem, kiedy go Podstarości pognębił?

— Bo i prawda. A kto poliutę ciężką zadał panu Domaradzkiemu za znęcanie się nad ludera?

— A kto w czasie moru chodził po wsi z żywnością?

— Kto wypędzi! żyda zdziercę z arendy w Sieklinie?

— A kto nam na przednówku pożycza ziarna?

— A kto wyleczył z ciężkiej niemocy Bartkową Nawitkę.

I tak tym „A kto?” nie było końca.

Pokazało się z tego, że on, ksiądz Dziekan Stanisław Domacłowski, był prawdziwym opiekunem i opatrnością ludu, prawie już świętym za życia.

— Do Jordanowa! Do Jordanowa! — krzyknęto.

— Do Rzeczycy! Do Rzeczycy! — wrzeszczeli inni.

I tak dwie stanęły partye, jakby u nas na sejmie.

Przyłączyliśmy się do pierwszej i nic zwlekając, pociągnęli do łordanowa.

Cudnym podgórskim krajem w dzień jasny i pogodny Maja, stanęliśmy z chłopstwem w łordanowie.

Słońce miało się ku zachodowi.

W małym domku, przy kościele zwanym wilcaryjką, otoczonym lipami do okola, mieszkał ksiądz Stanisław, drugi dom wielki, plebanią odstąpił swym wikaryuszom i ubogim.

Mieszkał sam jeden, obsługę spełniali mu kolejno chłopci z dobrej woli,

Połowę swoich dochodów rozdzielał między biednych, drugą połowę łożył na szkoły, które po wsiach swego dekanatu zakładał.

Prawie dzień cały przepędzał staruszeł na wózku, niosąc wszędzie ulgę i pomoc w cierpieniu. I dziś tylko co powrócił. Skromne pożywienie przynoszono mu z plebanii.

Ody wyszedł przed dom, wszystko chłopstwo rzuciło się doń, całując ręce i nogi, i suknie.

Zdawało mi się widzieć świętego apostoła i niby jakiś jasny nimbus nad jego głową.

staruszek był czerstwy, rumiany z włosiem białym, jak gołębek. Duże niebieskie oczy patrzyły z dobrocią i słodyczą na ludzi,

— Czegóż to chcecie moje dzieci?—zapytał.

— Pozwókie mnie ojciec czcigodny i tej oto dziewczynie, — rzekłem, — uczynić przed wami spowiedź, nia ona związek z tem wszystkim, co się i tych ludzi tycze.

— Wejdźcie.

W domku owym były dwie izby. W jednej sypiał, w drugiej było laboratorium, gdzie wyrabiał lekarstwa.

Czyste, białe ściany zawieszono półkami, ua których stały słoiki, maście i zioła.

Opowiedziałem mu, ktośmy i za czem jedziemy.

— Dobrzeście zrobili, żeście do mnie przyszli, pójdę z wami wszędzie, będę wam obrońcą i stróżem od rozbójniczych noży. Wiedziałem już o wszystkim. Przed kilku godzinami spotkałem tego młodzieńca w Nowym Targu, w towarzystwie zbójców. Ma on przy sobie uniwersały królewskie, które mu sfalszował bakalarz Pcimia, i niemi ludzi wszystkich. Potrafił nawet uwieść podstarostę Zdanowskiego, który mu się oddał duszą i ciałem.

Potem wyszedł przed dom i rzekł do chłopstwa:

— Wiem wszystko. Będę pojutrze w Rzeczycy i wy tam bądźcie. łążeli to sprawa czysta,

będziecie jej służyć dzieci moje. gdy niegodna, będziemy przeciw niej walczyć, Bóg z wami.

Dawnoju tak nie zasypiaj rozkosznie, jak pod tym dachem, zdało mi się, że święte zastępy aniołów unoszą się po nad domkiem, chroniąc go od złej przygody.

Salunia spała w drugiej izbie.

Zjawiła nam się zrana uśmiechnięta z dawno nie widzianym rumieńcem na licu.

— Ojczy Świąty, — rzekła, całując go w rękę. — chciałabym życie całe mieszkać pod waszą opieką. Bóg tu z wami przebywa.

— Przebywa on wszędzie, córko moja, tylko nasze serca nie zawsze godne na jego przyjęcie. Skołatana dusza widmami zbrodni i zgrozy zapomina o nim, a przecież w nim tylko nspokojenie i szczęśliwość. Uzywajcie u mnie spokoju. aby zaczerpnąć sił do jutrzejszej wyprawy.

W dolinie zamkniętej ze wszystkich stron górami, gdzie niepodobne się dostać ani wozem, ani konno chyba na małym góralskim cherlaku, co więcej podobny do szczura, niż do konia, między Nowym Targiem a Czorsztynem, siedzi wioseczka Rzeczyca. gniazdo rabusiów, opryszków i wszelakiego rodzaju drapieżnego tłumu, co się przed okiem sprawiedliwości zwykł chronić.

Prowadzą do tej doliny ścieżki, krzyżujące się w przeróżnych kierunkach po urwiskach i prze

paściach, a nieświadomego tych dróg, gotowe zaprowadzić i na węgierską stronę, i z powrotem do Nowego Targu, i do Czorsztyna, i do Krościenka albo Starej wsi. lub Poronin, ale nigdy na miejsce, bo trzeba właśnie przebyć w bród kilka razy Dunajec, który się tu wije wężykiem, potem obejść skałę wielką, co ją tu lud dyabejskim stoikiem nazywa, bo i podobna do stoika, a wreszcie spuścić się wązkim parowem, przebyć gęsty las świerkowy, aby się znaleźć na miejscu, istne to przedpiekle.

Gdzie okiem rzucisz, dookoła nagie skały, niby olbrzymy stojące na czatach i gotowe spaść z piekielnym grzmotem ua stojące u ich podnóży ubogie chatki góralskie.

Słońca tam skąpo, bo zaledwie kilka godzin o południu się pokaże, a reszta dnia pogrążona w cieniu.

Nic tam nie sieją ni sadzą, bo i niema gdzie, kozy tylko i czasem owce czepiają się po skalach.

Konie z wózkami zostawiliśmy w Poroninach. a ztamtąd piechotą z przewodnikiem naszym, księdzem Stanisławem, dostaliśmy się do Rzeczycy.

Zastaliśmy już przed karczmą tłumi górali i rozbójników pijanych, śpiewających i tańczących, przy kobzie.

Szliśmy wprost za naszym staruszkiem. który nie obzierając się na nikogo i nie mówiąc z nikim, choć chłopstwo znało go dobrze i usuwało się

z drogi, wszedł do chaty tuż przy karczmie stojącej.

Zastaliśmy w niej starego chłopca, litóry gdy ujrzał księdza, zerwał się pędkiem z ławy, przypadł mu do nóg i mówił błagalnym głosem:

—Jam tu nie winien. Bóg mi świadoli. Znacie ojczyznę świętą. Stanisława z Łętowni, znacie Bajusa strasznego. Kazali— a im się nie sprzeciwiać. To rozkaz królewski, prawi. Dziwnym mi się wydało, aby król z rozbójnikami wchodził w spółkę... Nie macie to miejsca na węgierskiej stronie, w Oparach albo Kudnicy, mówię. Nie... my tutaj wiecować będziemy... A potem wszystko spadnie na sołtysa.

— Nie czynię ci wyrzutów żadnych. Wiem, żeś niewinny. A gdzież syn twej?

— A ot przy karczmie, docina tam tym rabusiom i przekomarza się z nimi.

— Słuchajno Antoni, wyjdź sobie do nich z chałupy i baw się, jak umiesz i możesz a my tu zostaniemy. Siądziem przy oknie i patrzeć i słuchać będziem. co się opodał przed karczmą dzieje. A twojaż kobieta jak się ma?

— A ot w komorze ciągle, niedomaga jeszcze, ale już nie tyle.

— Mara dła niej leki. które ją pokrzepią. Gdyby się spytano, po com przyszedł, powiesz, że do twojej chorej baby. a to są ludzie z Starej wsi, których spotlałem po drodze i których zabieram

z sobą do łordanowa, bo dziewczyna ta chora na zimnicę.

Rozumiem.

Chłop otworzył okienko, pod którym rosły krzewy kwiecia tak, że niewidziani od tamtych, wszystkośmy widzieć i słyszeć mogli.

Chłoptwa przybywało, jak na odpust, niektórzy uzbrojeni w kosy i pałki, niektórzy mieli strzelby.

Za nimi postępowały baby i dzieci, popłakując.

Zaledwieśmy siedli na owym posterunku, rozległy się szalone krzyki i wiwaty.

Witano nowo przybyłego chłopca z kilkoma towarzyszami.

Kobiety powychodziły z chałup na jego spotkanie i wszyscy pociągnęli ku karczmie.

Ozwały się krzyki: Rajus! Raj tis! Witajcie! Witajcie!

Ten, co się nazywał Rajnsem, był chłop niskiej postawy, ale krępy i zwięzły w sobie.

Przywitał się ze wszystkimi wesoło. Kazał wytoczyć z karczmy beczkę wódki; rozlano ją w szklenice i rozpoczęła się zabawa.

Skinął na kobziarza, co siedział dotąd pod ścianą, kazał mu wleźć na stół i przygrywać sobie do tańca i śpiewu.

A co to były za śpiewki!

Zapamiętałem je dobrze i ciągle jeszcze w uszach mi dzwonią.

„Niemasz ci to niemasz, jako panom w piekle Użyją, napiją, nasiedzą się w ciepłe.”

I po każdej takiej śpiewce, puszcza! się w taniec z góralką.

—Bodaj i prawda. Psiawiary. im i w piekle dobrze—powiada jeden z górali.

Nastąpiła druga zwrotka.

„Nie boję się paua, ani jegomości,

Wezmę siekiereczkę, porąbię w nim kości.”

— I dotrzyma, jak amen w pacierzu. Nie jeden tam już ziemię gryzie.

A wtem wystąpił młody i rażny parobczak i rzecze:

—Ale i jemu dotrzymają.

Muzyka wciąż brzmiała w jeden ton. Wziął sobie góralkę i odciął mu się takim wierszem.

„Batuwie, bratowie, kochani bralowie, Beda wam ścinałi główeczki katowie.”

— Niech tara! Co będzie jutro, nie dbara. Masz mnie Bajusie. jara twej duszą i ciałem... i porwał góralkę i do muzyki mu zaśpiewał:

„Owce moje owce Niech was pasie, kto chce. My was paść uie będziem Bo na ruzbój pudziem.”

—Niech żyje Bajus i cała banda! A Bajus na to:

„Kiedy ja podskoczę z bucza na pniaka Nie z jednego pana urobię zebra.”

—A dobrze! niechby pokosztowali owsianego chleba.

I znów wystąpi! ów dziarski góral i odciął mu:

„Na dole, na dole szubicuiczek dwoje, Wybieraj se chłopcze, które beda twoje.”

Tego było już za dużo owemu Bajusowi, wyrwał toporek z za pasa i rzucił się na górala.

— A nie pójdziesz mi ty psie, co cięgiem doszczekujesz. Duszę z ciebie wypędzę!..

I byłby mu łeb rozplątał, gdyby sołtys nie stanął między nimi.

—Hola Bajusie! wolno ci bandy werbować, ale od topora wara!

—Nie bójcie się ojcze, zna on już rękę .Antka Smolika.

—Czego mi ten pies warczy, kiedym wesółprawi Dajus. Głuptasy wy, kiedy wam mówię, że się niewola skończyła i że co pańskie, to nasze, nie wierzycie mi?... Panowie na zatrąę skarani. Tam na Ukrainie. wygubią ich Kozacy, a my tu resztę zdławim. A przypatrzcie mi się niewiary! Wczoraj zabiłem Trojanowakiego w Januszkowicach, jutro zgładzę Domaradzkiego w Ropie... i nic mi nie zrobią. W biały dzień po Nowym Targu chodzić będę. A ot moja zdobycz dzisiejsza!

I tu skinął na chłopca, który rzucił na stół duży

tłóмок. Z tłómoka tego wydobywał drogie pasy, klejnoty, krzyże, bogate ubrania męzkie i białogłowskie. poplamione krwią. Wreszcie odpiął z siebie trzos wyładowany pieniędzmi i rzucając go na stół, rzecze:

—Za to kupiłbym połowę Podhala. Potem zanucił;

Polana polana Nie jednego pana Polanę skosili. Pana obwiesili.

Dajcie wódki. A wy gazdowie, majcie chaty zielono, wiecować i świętować będziemy.

—Tam w waszych norach, w czarnej turni, przy Suczym stawie, gdzie słońce Boże niezaświeci, gdzie jak krety chować się musicie, wiecować będziecie... ale tu niedoczekanie wasze... mówił sołtys,—aleśmy czuli, że to więcej mówić dlatego, abyśmy go słyszeli, a nie z duszy i przekonania.

Pijatyka szła okrutnie.

Dziki wrzaski pijanych kobiet i dzieci. Coraz ohydniejsza piosenki nie ustawały.

Cóż to za straszne obrazy przesuwają się przed nami.

Nieraz zdawało mi się, że marzę, że to wszystko snem zwodnym a nie rzeczywistością. Byłem, jak ten lunatyk lub pijany.

Patrzyłem na Salomeję, pytając ją, czy to prawda?

— Widziałam ja straszniejsze rzeczy i niczemu się już nie dziwię. Patrz teraz i słuchaj.

I rozległ się z gór przeciągły okrzyk, który echa powtórzyły:

— Hej ha! Witajcie!

I zsunął się ze skał młody góral.

—Janosik!—krzyknięto razem.

— "W imię ojca... a ty z kąd?

— Ze dworu—odpowiedział,

— A tam po co?

— Nic. luź cicho! Podstarościego w ich. gospodynię w piersi i hajże do hal! Ale dziwniejsze ja wam rzeczy powiem. Koniec świata moi Indzie. Sawkę i Czepca wieszac mieli w Nowym Targu, aż tu zjawia się pan młodziutki, królewic jakiś, piękny, jak anioł. Każe ich uwolnić i powiada, że mu będą potrzebni, aby iść w pomoc królowi na szlachtę.

— To Bzowski—rzekłem.

I znów rozbrzmiały okrzyki i nowa banda wtoczyła się w dolinę, a z niemi Martinus Radocki, bakałarz z Pcimia.

— Ha, ha. ojciec Marcin!—krzyknięto.

— Pozdrawiam was dziatwo bożego ludu ozwał się z powagą uroczystą.

— Witajcie! witajcie!

Przestano śpiewu, nastala cisza. Wszyscy otoczyli go kołem.

Popatrzał po tłumie, podniósł ręce do góry i rzeki stentorowym głosem:

— Witajcie i radujcie się w panu! Nie przychodzę dziś do was z próżnemi sakwy, abyście mi je chlebem powszednim napełnili. Nie dzieci moje. dobrą nowinę wam zwiastuję, albowiem spełniona jest wielka obietnica Pana, „wybawię lud mój z niewoli. ”

Patrzcie dzieci! usta moje są czyste. Pan przezemnie przemawia. Wołajcie tu wszystkich, Rozgrzmięcie imię Pańskie na wsze strony świata, niech echo gór powtórzy najdalszym stronom, wielką swobodę ludu.

— Hola, wyłaćcie z chałup gazdowie. Pójdźcie słuchać mądrych słów ojca Marcina wrzeszczał ten, co go łanosikiem zwano.

— Rzucacie jarzmo niewoli, poczujcie dziś w sobie znamiona człowieka, co jęczał wieków tyle pod batem tyranii nieludzkiej, albowiem dzień wesela dla was przychodzi. Ci, co was gnębili, ugną karki przed wami i połowę ziemskiego mienia dać wam muszą, bo Pan powiada „dziel się z bliźnim.”

Cała jego postać nabierała, jak gdyby natchnienia, ręce drżały, zdawał się rość co raz większy.

— Długo pokutowałem, odziany worem zgrzebnym niedostatku, dręczyłem ciało moje i odpruwowałem posty nędzy, poddawałem grzbiet mój uciskowi i plagom, gryząc ręce w wściekłości

niemiej i rozpaczy, aż oto objawił mi się Pan i rzeki:

„Marcinie! idź między lud mój wierny i powiedz mu. żem zesłał na ziemię człowieka, który ich oswobodzi i szatana pychy, co ich gnębi! dotychczas, zdepcze.”

I oto przepasawszy biodra moje i wzięwszy kostur, przychodzę do was i wołam:

Dzieci kochane! chciecież zakosztować ziemskiego dobra i wołności świętej, której lada ptaszynie Bóg udziela? Więc wstawajcie! Do broni! Pójdziemy jak Izrael z mieczem ognistym i tępić będziemy Filistynów.

A wiecie, kto są Filistynowie, co umęczyli Boga. depcząc bezkarnie nędznych i maluczkich swych braci?... to są panowie, to są Lachowie przekłęci, rodzeni bracia kewiatana i Astarota, poganie, co tam na równinach hołd nieprawemu ciekowi niosą i króla od Boga nam danego, który was zawsze kocha i broni, za nic ważą. U których miłosierne uczynki, w ustach tylko szumnie brzmiących a w sercu zło, pycha, gadziny nieprawości i występku. Więc w imię króla zemsta im!

— Zemsta! —ryknęli zbójcy.

— Niech kamień na kamieniu nie zostanie z ich pałaców, pysznych siedlisk zbytku i rozpusty, a ktokolwiek z was rękę im poda i bronić ich będzie, tego rozsiekac i dzikiemu ptaństwu dać na pożarcie.

Wołajcie mi sołtysa! Palcie ogień na górach, niech lud się zbiera i łączy z nami, aby na wrogów uderzyć.

— A za czyim rozkazem? — spytał sołtys.

— Za królewskim. Lada chwila, stanie tu pomiędzy nami Leon ze Sternbergu k. ostlia Napierski, w którego żyłach krew królewska. Pod jego chorągwią pójdziemy wszyscy, na zburzenie Babilonu. Pod jego chorągwią, deptać będziemy pychę i nieprawości tych, co nas gnębili i zabijali. Pod jego chorągwią stanie nowa Polska szczęśliwa, błogosławiona, wolna i bezpieczna,

— Koniec świata—i komu tu wierzyć! rzekł Sołtys.

Ksiądz Stanisław stał za nami i patrzył na tego straszego człowieka, co wymową swoją rozpałał te dzikie tłumy, garnęło się wszystko do niego i przypadało plackiem do ziemi.

Staruszek był wzburzony, bo ci właśnie, na których liczył najwięcej, ci otaczali bakałarza i krzyczeli najwięcej,

— Oh, szatanie zniszczenia i zagłady rzekł dziś dzień próby, dziś zobaczę, ile mam ziarna w tym kąkolu.

— Hola! — krzyknął Bajus — Świstak! Kruczek! Leć mi do czarnej turni, niech chłopcy moi przybywają wszyscy.

— Prawda ojcie rzekł Janosik do Bakałarza—te w Żłeglcu i w Budzynie już się ruszyli?

— Tak, Pan oświecił ich umysł i już padło

kilku Filistynów z ich ręki. Wszyscy tu ciągną w Rzeczycką dolinę. Widzicie tam przy Smerczyńskim stawie coraz więcej ich przybywa. Niech pan pochwalony będzie. Rozległy się krzyki.

— Hola! bywaj! bywaj!

— Huba!

— To Czepiec i Sawka z pod szubiennicy wracają.

— Wydarci z paszczy Lewiatana rzekł Bakałarz.

Pan za narzędzie zemsty, wybiera najstraszliwszych. Niech się wielkie dzieło pełni. Rozległ się śpiew: „Pójdziemy, pójdziemy ua pana jednego, Będziemy się dzielić, dukatami jego.”

I dwóch zbójców niesionych przez tłumy, zjawilo się przed karczmą.

— Ho, to ztamtego świata — zakrzyczał któryś,

— Jużem czuł zapach piekielnej siarki—rzeki jeden ze zbójców, nazwany Sawką.

— Mnie sto świeczek w oczach stanęło i przysiągłem, że już noża do ręki nie wezmę—powiedział Czepiec.

— Tylko siekierę—rzekł Janosik.

— A po drodze zrabował podstarościego w Ko zięłowie.

— Bom był głodny. Pić dajcie.

I przyłożył usta do kurka u beczki i byłby pił do śmierci, gdyby go nie odsądono.

— jest to jeden z hultai, którego ja już raz wyprosiłem od śmierci—rzekł ksiądz Stanisław drugi raz uwolnił go Bzowski. Tego dnia, kiedyście do mnie zawitali, byłem w Nowym Targu i widziałem go na pół żywym, wracał z pod szubienicy—gdy mnie zobaczył, upadł do kolan i poprzysiął mi, że to po raz ostatni. Podczas tych słów księdza, wszczęła się między nimi żywa kłótnia i zaledwie ksiądz domówił stów swoich, gdy się odezwał Czepiec:

— Mówię wam, że nie pójdę, bo to wszystko czarta dzieło. Ksiądz Stanisław z Jordanowa, kiedy mnie zobaczył, powiedział: „Czepiec, już drugi raz Bóg cię ocala od śmierci okrutnej, to cud działał nad tobą...” a i ja widzę, że cud. Dość mam tego. Do hal pójdę paść owce. a was znać nie chcę więcej.

Zaledwieśmy uszom naszym dowierzać mogli. Przypadliśmy do starca, całując jego ręce—a on:

— Więcej się pocieszysz z jednego nawróconego, niż z sprawiedliwych.

Wtem Bajus dobył noża i postąpił ku niemu.

— Ja ci pokażę drogę do hal twoich rzecze. Bakalarz go powstrzymał.

— Stój! a ty człeku słuchaj: Byłeś zbójcą dotychczas, teraz pójdziesz bić się za króla i swobodę ludu.

— Króla znać nie chcę... a swobody w górach użyć można do syta.

— Nędzny, a któż cię uwolnił od śmierci niechybnej prawil Bakalarz jeżeli nie ten młodzieniec, wysłannik królewski. Starosta cię wieszać kazał. Król miłościwy uwolnił.

— Bóg mnie uwolnił, abym żałował za grzechy.

— Czekajcie, zaraz ja mu tę skruchę z serca wypędzę rzekł Janosik. Czepiec, a kogo to wygnał podstarości z chaty w Liptowie —nie matkę twoję?

— To i cóż. podstarości już zgnil pchnąłem go za to pod żebro.

— i zostałeś zbójcą—rzekł Bakalarz. zbliżając się doń. biorąc go za rękę i wprowadzając w środek koła. —I za tę śmierć lichą, która była tylko zadosyć uczynieniem twej krzywdy wielkiej, tułałeś się jak zwierzę dziki po lasach, bo tylko dla nas biedaków ich prawa surowe i okrutne.

A wiecież ilu zbójców siedzi w zamkach i dworach pańskich. wiecież nieszczęśni, ile okrucieństw spełnia każdego dnia. każdej godziny, każdej minuty i sekundy nieludzka tyrania panów? A prawa milczą, a gromy zawieszono nad ich głowami także milczą, milczy Bóg i wszyscy święci, bo za ich zbrodnie plugawe, wznoszą do Boga modły cało zastępy księży i michów i szepczą pacierze dziady i baby kościelne.

Gdy my chcemy pomścić krzywdy wielkie, czeka uas za to szubienica, ich zbrodnie wygia

dzone i przebaczone za życia, otwierają im bramy raju po śmierci i spią w pysznych swoich grobowcach, na których ręka pochlebcy, ryje złotem słowa chwały, sławy i uwielbienia.

Trząśł jego ręce w wściekłości dzikiej.

— Słuchaj nędzny! Wróconyś po to z pod szubienicy, aby pomścić w trejnasób krzywdy twoje i twoich nieszczęsnych braci. Wróconyś po to. by ich przekłębtemu prawu siły i tyranii, rzucić w twarz prawem słuszności i prawdy, prawem odwiecznej sprawiedliwości, które jest fundamentem ewangelii Chrystusa Pana.

Zbudź się człeku! Czy zamarło w tobie poczucie zemsty, które robakowi nawet dała mądra przyroda. Oko za oko. ząb za ząb. Słyszysz! Zemsta, zemsta im!

— Zemsta! zemsta! Niech giną marnie! Chłopstwo zasłuchane patrzyło w niego, jak w obraz święty, zda się wydobywał im z pod duszy myśli, które tam dawno spały a na głos tego szatana, budzić się zaczęły w całej swej nagiej okropności.

Wymowę jego przerywały od czasu do czasu wykrzykniki dzikie, lub westchnienia tłumionej wściekłości.

I byłby rozprawiał tali bez końca, gdyby nie nadeszła wreszcie chwila, którejśmy tak gorąco oczekiwali. Rozległy się dzikie wrzaski i wszedł Bzowski,

Cały tłum pochylił się przed nim głowami ku ziemi.

Wyglądał iście wspaniale. Strej na nim był czarny. Twarz blada i posępna.

Tuż przy nim postępował olbrzym, Stanisław z Łętowni, zwany marszałkiem. herszt wszystkich zbójców w górach.

Za nim Krzemień i kilka nieznanych nam twarzy, znać Chmielnickiego hultaje.

Patrzył dumnie na tłumy.

Bakałarz powitał go przemową:

— Bądź pozdrowiony, wodzu ludu bożego! Ukazanie się wasze, to promień słońca, co do serc naszych zajrzało i rozradowało je. Zaledwie tydzień minął, jak stanąłeś w naszych górach, już wszystko kornie u nóg twoich leży. Od Babiej góry. Krywanu. Gerlachu. Łomnicy do Pienin i Dukielskiej grzmią echa swobody. Bieskidy Tatrom, a Tatry Karpatom wtórzają, o zjawieniu się twoim. Pasterz porzuca ciche owce i topór chwyta, Niech drży Lach ciemiężyciel!... Chwała panu nad pany!...

— Widzicie tu regimentarza króla jegomości rzekł olbrzym, który ich wszystkich wprzód zlustrował do koła—w którego obronie przeciw panom w ogień pójdziemy. Słuchajcie Bajusie, Sawku, Czepiec, Janosik, Bartosz. ?mija. Cyganie i wy wszyscy! Ja Stanisław z Łętowni, obrany przez was marszałkiem, ja idę pod rozkazy jego

a kto ze mną nie trzyma, temu śmierć. Niech chata każdego z was, począwszy od Nowego Targu do Krakowa, w zieloną wiechę się przystroi na znak, że z nami trzyma, bo czyj don) jej mieć nie będzie, spalę go, rozorzę i konopie posieję.

— Hura, my z wami!

— Tak, za króla i dla króla walczyć będziemy—rzekł Bzowski, bo i któż był zawsze waszym obrońcą, orędownikiem i opiekunem? Do niego wam były zawsze otwarte wrota i on litował się nędzy waszej.

Gdyby nie miłość królewska, wygubiłaby was szlachta doszczętnie, gdyby nie miłość królewska nie mielibyście kęsa tej ziemi, którą uprawiacie z łaski jego. Więc powstajecie w imię waszego bytu i uzbrajacie dłonie za króla przeciw panom.

Bo i wiecież, co grozi temu królowi od szlachty? Rokosz, nieposłuszeństwo, bunt, swywola. Mają oni w niwecz was obrócić do ostatka, lepiej że wy ich obróćcie.

Obiecuję wam w imieniu królewskim wszystkie wolności dwory szlacheckie i wszy.stko, co w nich, będzie wasze.

Wszystko, co spotkacie w pochodzie, prócz świątyń pańskich, niech miecz sprawiedliwości zmiecie.

Przysięgacie iść za mną i walczyć za życie na śmierć?

— Przysięgamy! huknęły wszystkie gardła.

— Nie przysięgam!—krzyknął Czepiec.

Nastąpiło ogólne zdumienie i cisza z początku, jak gdyby makiem posiał.

— Czepiec! Zdrajca! —ozwały się głosy.

— Ja nie zdrajca, ale przysięgać nie będę, bo z wami nie pójdę.

— Czemu?—spytał Bzowski.
— Wracam do hal paść trzodę.
— Tyś pijany?—ryknął olbrzym.
— Za słuszną sprawę nie chcesz walczyć człowieku, wolisz ukryty w lesiu napadać na bezbronego?
— Eh. ta wasza sprawa dyabła warta, mówicie, że za króla bić się będziemy, a król tam ze szlachtą i panami poszedł na Kozaków, a kiedy ich zdławi, do nas się weźmie.
Potem odwracając się do innych, dodał, wskazując na Bzowskiego:
— Nie wiercie ani krzty temu oto.
— Nędzniku! także mi to odpłacasz za uratowanie życia?—rzekł z gniewem Bzowski.
— To ja wam i dziękuję... ale duszy mojej nie z.przedam. Przysiągłem księdzu Stanisławowi, że już bronii do ręki nie wezmę.
— Ales nie przewidział nędzny tchórze, że od naszej szubienicy, nawet Pan Bóg cię nie wyprosi. Na gałąź z nim! Ksiądz Stanisław już był przy nim.
— Ua, to wy ojczy święty? Widzicie, że dotrzymałem, ale widać, że od szubienicy się nie wyproszę... trzeci raz nie chybi... a mówią, że do

trzech sztuka. Dziej się wola boża... Pomodlić się choć dajcie.

— Niema czasu rzeki bakalarz i przebił go sztyletem.

Upadł, krzyknąwszy:

— Jezus Marya!

— Na twojej duszy ta krew. potworze. Bogdaj ci zaciężyła na strasznym dniu sądnym rzekł ksiądz Stanisław.

— Wszystkich twoich wychowanków taki los czeka, a potem i na ciebie kolej przyjdzie stary obłudniku—mówił bakalarz, mierząc księdza dzikim wzrokiem. Wiedziałem, żeś tu u sołtysa ukryty i dlatego zgotowałem ci tę zabawkę. Ksiądz nie słuchał, zajęty nieszczęśliwym, który w mękach konania, czynił spowiedź i żałował za grzechy.

— Na przyszłość mistrzu, nie bądź tak porywczy —rzekł chmurnie Bzowski, Czekać rozkazów moich.

— Bud poczuć musi wagę kary i żelaznej prawicy, co nim rządzi, inaczej go w karbach nie utrzymasz —szepnął mu bakalarz.

Bzowski popatrzał na tłumy groźnie i krzyknął:

— W drogę! Tobie Stanisławie, powierzam dowództwo Tatrzkańskich Górali—ja z moimi ludźmi i rektorem Radockim, posuniemy się naprzód, a wy w trop nasz pójdziecie. Weźmiemy Czorsztyń, Ten Czorsztyń dany warchołowi, kosterze,

dziś w arendzie u żyd. i będący. Czorsztyń, który stanowi jedne z potężnych warowni na krańcach Rzeczypospolitej, odbierzemy z rąk niegodnych i tam założemy kwaterę główną naszą. Tam z tej opoki granitowej, której grzbiet po nad chmury wystrzelił, rzucimy grozę na wrogów. jak orły spuścimy się na te nędzne puchaczy gniazda, by ich zdławić.

Dalej więc do Czorsztyna!

— Do Czorsztyna!—powtórzyli wszyscy. Wtedy ksiądz Stanisław wyprowadził Salomeję i tak we dwoje zastąpili mu drogę,

— W imię przenajświętsze Chrystusa...

— Salomeja!—krzyknął Bzowski! Ty tu Salomejo?... a matka?... matka moja?... Oh. nie mów, bo z twarzy twojej czytam wszystko... Umarła?

— Umarła.

— Jam ją zabił wyjąknął i zakrył twarz rękoma.

Stał tak długo, wreszcie przewyciężając ten ból i jakby go zrzucił z siebie, rzekł:

— Ha, tem gorzej! Umarła. złorzecząc mi matka moja. Ostatni węzeł zerwany. Nic. nio już nie mam na tym świecie, coby szacunku mego było warte... A więc w bój z nim. w bój straszny bez odpoczynku, bez wytchnienia. Zapłacę mu, krwawo zapłacę. Aż dotąd jeszcze skrupuły i wątpliwości jakieś wrzały mi w sercu—teraz już nie mam nic. prócz krwi pragnienia i mordów. Dalej więc za mną, drużyno!

— Wstrzymaj się!—rzekł ksiądz Stanisław.

— Precz z drogi starcze! Z drogi! Nie ufaj twej kapłańskiej sukni, bo ja dziś już nic uszanować nie potrafię... przejdę po trupie twoim,

— Przejdziesz, ale niedaleko zajdziesz młodzieńcze. Ten duch nienawiści i zemsty, który cię pchnął na tę drogę dziś, jutro w przepaść cię pograży bezdenną,

— Nie dbam, kiedy ostatnia godzina wydzwoni, byłem dziś ręce we krwi ubroczył.

— Ubroczysz ręce. ale sam zginiesz marnie. Cała Polska uderzy w ciebie i zdruzgoce i przeklinać cię będą w najdalsze pokolenia. Imię twoje, jako postrach, trwogę i oburzenie budzić będzie.

— Ja chcę tego.

— Precz sługo Molocha krzyknął bakałarz, podsuwając się groźnie ku księdzu.

— Wara! krzyknięto z tłumu nie tykaj świętego człowieka.

Wtedy staruszek dotąd jakby zgarbiony, wyprostował się tak, że go zdaje się na łokieć przybyło, z oczu mu błyskawice się posypały. Wyglądał, jak archanioł depczący smoka.

I zaczęła się walka, walka anioła z szatanem.

— Synu ciemności i fałszu rzeki ksiądz gorszyś od psa, bo kąszasz rękę. która cię wykarmiła. Nikczemny wyrzutku. Iud podburzasz na panów twoich. których kosztem zdobyłeś wiedzę—walczysz bronią ukutą z ich szczodrobliwio

sci i dobroci. Niegodny stróżu i szafarzu światła, także to niecie nie frymarchysz? wkładasz miecz obosieczny w dłoń dziecka, aby mordowało swych starszych braci I dobroczyńców.

— Nędzny sługo starego porządku i pleśni krzyknął bakałarz. Minęły apostołstwa czasy. Są chrześcijanie, są słudzy Chrystusa gnębieni i tępieni przez silnych i możnych, którym ty krlestwo niebieskie obiecujesz.

Tam do nich idź. a swoją wymową ocukrzoną teologicznym syropem. Idź tumanić im głowy, że odrobiną rzuconą nam z swego stołu, uczynią zadość odwiecznej sprawiedliwości. Tu zaś nie ustraszysz ich piekłem, ani mękami w przyszłym życiu, bo oni już poznali na ziemi piekło straszniejsze od waszego.

Jałowy głupcze ty!... Czy sądzisz, że gołębie serce twoje, którym się z niemi dzielisz, potrafi zatrzeć w ich pamięci odwieczną nienawiść ucisku i nędzy. Spójrz po tych twarzach. Szyderstwo mają tylko dla ciebie.

— Szydzić będą z miłości i poświęcenia tylko ci, w których duszach ciemno, jak w twojej szatanie zniszczenia i złości, ale jak nie umiałeś w tej oto duszy prostej, zbłąkanej a uczciwej, zasiać ziarna jadu i trucizny i dopiero twej sztylet umiał zamknąć te usta, tuk nie potrafisz pociągnąć ich do mordu i pożogi.

Przystąpił do trupa i obnażył jego ranę.

— Patrzcie, patrzcie tu, jak ten szatan umie

nagradzać cnotę. Taki los czeka was wszystkich, gdy nie spełnicie tego, co on wam każe.

Szatanie ty, nie wiesz o tem, że w pierw musiałbyś wytoczyć wszystką krew moję, tak jak tę oto, zanim bym ci pozwolił zabrać choć jedno z mych owieczek—one pozostaną czyste, niewinne i uczciwe tak, jak ty zostaniesz brudnym i skalanym.

Nie będę ich straszyl piekłem, ani dobierał słów miodopłynnych. bo oni znają głąb mej duszy i patrzą na czyny moje, bo oni odczują prawdę, jaką im przed oczy roztoczę.

I obracając się do ludu, mówił głosem wielkim:

— Oh, dzieci moje! Pójdziecież za nieludzkim głosem tego szatana, aby mordować bezbronnych, niemowlęta, starce i kobiety, podczas kiedy panowie wasi walczą tam z wrogiem Olirystusa? Utorujecież drogę pogaństwu dzikiemu i pójdziecie sami w niewolę Tatarzyna? Uwierzyliscie, że ten oto młodzieniec duchem zemsty natchniony, z królewskiej woli do was przyszedł? Nie on was poświęca na ofiarę swej chuci.

— Starcze! wrzasnął Bzowski, dobywając miecza.

— Mówcie, mówcie ojczyste —ozwały się głosy.

— Uderz młodziku w te piersi, rozpocznij odenmie zniszczenia dzieło. Chępsz się, żeś Władysława synem—nie—w tobie krwi królewskiej niéma. Władysław był opiekunem maluczkich, a ty nędzny na zagładę ich wiedziesz. Człeku

małego ducha, ty szatańskiej swej chuci, spokojny lud poświęcasz, bo i jak daleko z nim zajdziesz? Zbudź się szatanie! Zaledwie wieść gruchnęła po kraju, żeś rokosz podniósł, już spieszy oddział wojsk na twoje zagładę. Upamiętaj się synu. Młodości twej, dużo wybaczyć można. Zagłusz w sobie tę pychę, która tak szlachetnego ducha gniecie, skieruj te dary w dobrą, sprawę młodzieńcze. Patrz —ja starzec do nóg się twoich chyłę i wołam: Upamiętaj się!

— Szymonie!—zawołała Salomeja.

— Dosyć! W drogę! Za mną! krzyknął Bzowski.

— Pędź, gdzie cię duch zniszczenia prowadzi, Ale wy zostaniecie mówił, zwracając się do chłopstwa. —Dzieci moje, ja kaptan, którego ust nigdy nie splamiło kłamstwo, ja wam przysięgam na Chrystusa, że czarta sprawie służycie i że zginiecie marnie a żony wasze i dzieci przeklinać was będą. Kto sprawiedliwy a Boga się bojący, stanie po mojej stronie.

— A ja wam przysięgam—ryknął bakałarz, że opatrność wiedzie was do wielkiego dzieła wolności. Słuchajcie mnie... ten starzec już tak lat pięćdziesiąt was durzy i obiecuje polepszenie doli waszej a czyż przez ten czas zmieniły się choć na odrobinę tyrania i ucisk waszych panów? Poddacież głowę pod jarzmo stokroć gor.sze, bo dziś zemsta ich z całą wściekłością wybuchnie za to tylko, żeście zgrzeszyli myślą. Nie

lepiejże zrzucić kajdany i pójść w bój z odwiecznym waszym wrogiem? Nie lepiejże stworzyć dzieciom i wnukom swoim szczęśliwość, za którą wiecznie błogosławić was będą?

— Do mnie dzieci!—wołał ksiądz Stanisław.

— Do mnie!—krzyczał bakałarz.

Wtem wystąpił z tłumu chłop, stary Grzela z Rzepnika, zwany Kulasem, bo utykał na jedne nogę.

Miał on wielki mir i poważanie między chłopstwem. bo rozstrzygał ich spory i bójki, a był przyjazny dworom.

Siedział on dotąd milczący, mając przy sobie czterech synów, nie mieszał się dotąd do rozmów i sporów, a wszyscy chłopci patrzyli w niego, jak w tęczę, bo jego wystąpienie miało zdecydować wyprawie.

— Co tu dużo rozprawiać—rzekł on, zbliżając się do środka koła i utykając na nogę. —I wy mówicie pięknie i pan bakałarz mądre rację gada.

Zrobiła się cisza wielka.

Wszyscy wrośli w swe miejsca i zbójcy, i ci, których już słowa księdza zaczęły ostudzać tak, że przeszli na jego stronę. — jeżeli za rozkazaniem królewskim pójdę mamy, to żeby tu takich, jak wy tysiące przyszło I jeszcze piękniej gadało—pójdziemy, bo król był ojcem i dobrodziejem naszym a panowie tyranami—ale król ten dzisiejszy ze szlachtą bije chłopstwo, więc to jest król szlachecki, nie nasz. Nasz

zmarł przed dwoma laty, a nazywał się Władysław... a tu .Ian Kazimierz do nas się odzywa... to więc jest wszystko fałszem wierutnym... a kiedy król trzyma ze szlachtą, to my nic nie poradzim...

Potem przystąpił do Bzowskiego i pokłonił się:

— Ten młody pan jest synem nieboszczyki króla... widać to dobrze, bo i podobny do niego... ale on nas zbawić nie mocen przed szlachtą, gdy król nie trzyma z nami.

Potem obracając się do ludu, rzekł;

— Idźcie do domów chłopci.

Machnął ręką i kulejąc, zniknął w tłumie.

I wszystko prawie przeszło na stronę księdza przy Bzowskim zostali tylko zbójcy z swoim marszałkiem.

— Hej do mnie Jantku —krzyknął olbrzym.

— Wiązać ich, wieś w perzynę obrócić—wolał bakałarz.

— Palić! mordować! —krzyczano. Posypały się strzały.

— Zostawić ich!—krzyknął Bzowski. —Niechcę krwi rozlewu, powrócą oni. Czas nam zbyt drogi. Rozprawimy się później. Dalej w pochód!

— Stracony. —rzeki ksiądz Stanisław smutnie zwieszając głowę.

Nie ja go ocalić musze. Błogosławcie mnie ojcz.

Ksiądz położył dłonie na jej głowie, a nim się ruszyli z miejsca, przypadła do Bzowskiego.

— Słuchaj! Przysięgłam matce, że pójdę za tobą wszędzie, że nie spocznę, póki cię ojczyźnie nie wrócę. Zresztą, ja nie mara domu, nie mam gdzie głowy położyć i wszystko mi już jedno, czy między zbójcami wieść życie, albo zacnymi ludźmi. Ty wiesz, jestem trochę szalona, alem już taką na świat przyszła. Pozwól mi zostać przy tobie. Nie wypędzaj ranie. Wszak prócz ciebie, nie mam już nikogo na świecie całym. Ulituj się nademną. Będę twoją sługą, będę strzedz życia twego. już nie wspomnę o tera. co gniew taki obudza w tobie—w niczem się nie sprzeciwię woli twojej, tylko mi zostać pozwól.

— Zostań biedna dziewczyno. Byłebym tak okrutnym dla ciebie?!... Przebacz mi. jesteś tu samowładną panią.

Ktokolwiek by czci twej uchybił—zginie.

— Dalej w drogę.

I cała ta banda z pieśnią i okrzykami wyruszyła z doliny i za chwilę tylko echa dolatywały po nich.

Ciągle mi się jeszcze wydało, że śnię i że się przecię zbudzę w Jurkowicach lub w moich Trzykozach, tymczasem sen ten utrapiony trwał dalej a przebudzenie miało być straszne.

Zostawiony sam w onej piekielnej kotlinie, bo księżyna popędził z ludźmi do Jordanowa, sze

rząc wszędzie trwogę tej chłopskiej rebelii. nr wiedziałem na razie, co z sobą począć.
Wrócić się do dom, czy jechać do obozu, boć już chyba na nic nie mogłem się przydać tej szalonej dziewczce, co tak ochotnie poszła z tą bandą zbójców, niegodna wstydu i czci panieńskiej.
Noc tymczasem zapadła, trzeba było się wprosić na nocleg do owego sołtysa, gdyż tak samemu trudno się było błąkać w tym labirencie górskim a tymczasem pomyśleć, co jutro mam poczynać.
Całą tę wioszczynę przed chwilą tak gwarną, ruchliwą, zaległa cichość ponura.
Wierzchołki gór oblane światłem zachodzącego słońca, rzucały jakiś czarodziejski odblask w tę ustron smutną.
Siadłem na progu chaty. wpatrując się w wszystkie dziwa boskiej ręki i jałem rozpamiętywać przeszłość cała tego osobliwego człeka, co w zaraniu lat swoich tyle już przeżył, a tak smutnie miał zakończyć swej krótki żywot.
Piekilne fatum zawisło po nad tą młodą głową, tak uposażoną wysoko wszystkimi dary.
Cóżby to było z tego człeka, gdyby losy uśmiechnęły mu się przyjaźnie.
Przy boku króla byłby zajaśniał talentami i wzbił się na wyżyny.
W tem sercu dumnym a żadnem sławy, niechby mu dano możność dobro spełniać, rozkwitłyby najwspanialsze czyny, coby podziwem przejęły ludzi.

Jego hart silny i energia pchały by go wciąż naprzód w raz obranej drodze cnoty.
Jego pogarda dla uciech niskich i tego wszystkiego, za czem poziomy człowiek goni. utrzymywałaby go na wyżynie, gdzie wielkie duchy przebywać rade,
Wiedza jego wzbogacona wciąż doświadczeniem, byłaby wzrosła potężnie i działała cuda na użytek ludzi.
Dziś zdeptany haniebnie, postradawszy cześć, upokorzony najokrutniej w swej dumie, a za mało mając wytrwania i praktyki, które się przez życie długie tylko zdobywa, chwycił się zła, co mu niejako uderzało w ton dawno marzonych pragnień, polepszenia chłopskiej doli a przytem dźwięczało zemstą za doznane krzywdy.
Pobyt u Chmielnickiego wymazał do szczętu wszystkie zasoby dobra w tej krewkiej piersi, a natomiast rozpalil żądze pychy i zemsty.
Rozkołysany szalonemi marzeniami tego pijanicy, dla którego tron Polski już nawet mały się wydawał w chwilach szału, i który myślał o podbiciu połowy Europy, przyłgnął do nich dusza cała. bo mu się śmiało jakie udzielne księstwo pod kozackim cezaarem.
I tak błędząc myślą, po wspólnie przeżytej przeszłości, zamyśliłem się nad sobą.
Cóż się ze mną stało?..
Nie zaraziłem się od niego szaloną żądzą szukania przygód i niepodobieństw?

Moież trzeba było przyłgnąć do tej dziewczki, co pokrewna mu duchem, stawia czoło niebezpieczeństwu i chce spełnić czyn niepodobny do prawdy.
jak się pokaże światu?
Co powiem tym, co tam krew leją za ojczyznę, gdy się spytają, gdzie byłeś i coś robił tego czasu, gdyśmy walczyli z wrogiem?
Chciałem ratować przyjaciela, odpowiem i skłamię, bo nie czyste pobudki pchnęły mnie na tę drogę.
Odnalazłem wprawdzie w duszy poczucie obowiązku dla tego nieszczęśnika, ale w skuteczność przedsięwzięcia nie wierzyłem nigdy.
Szedłem w tę pogoń bez wiary, jedynie za glosom tej syreny, co mnie zwabiła.

Czemum raczej nie został w usługach nowego króla, kiedy mnie chciał przygarnąć? byłbym razem z innymi tam; szaloną passyą, co mi zre piersi, utopiłbym, zaprzepaścił w boju i wrócił szczęśliwy pod własną strzechę.

Ha, stało się — wytrwajmyż do końca.

I zaledwem powziął to postanowienie, gdy przybieżał ku mnie młody gorał, syn właśnie sołtysów, który się to tak dobrze odcinał zbójcom.

Stanął przedemną i zapytał

— Wy się zowiecie Krzysztof Scipio?

— Ja.

— Oto owa panna, co tu z wami była, każe wam, abyście zamieszkali u sołtysa w Maniowej.

do którego was jutro zaprowadzę i abyście byli gotowi na każde jej wezwanie. Na dowód, ten pierścień mam wam oddać.

Przyjąłem pierścień z rąk chłopca, był to jej, z turkusem w kształcie serca.

Tatrze się nań w tej chwili, gdy to piszę i Iza mi spada na papier. To wszystko, co mi po niej zostało...

Ale idźmy dalej.

— Gdzież teraz ta panna?— spytałem chłopca.

— W Czorsztynie.

— Więc wzięli Czorsztyn?

— A co by nie mieli wziąć? Żyd otworzył zaraz bramy, ale i tak psiawiary mu nie darowali, bo go zaraz bakałarz kazał powiesić na baszcie, przez co była kłótnia wielka z tym młodym panem.

Rankiem wybrałem się z moim góralek do Poroniu, gdzie znalazłem swej wózek, a ztamtąd ruszyliśmy do Maniowej.

Wioseczka to na trakcie do Nowego Targu.

Dom sołtysów przy drodze, mogłem więc całymi dniami siedzieć na przyzbie i przypatrywać się przechodniom i przejezdnyk.

Chłopstwo przemykało chyłkiem ku Czorsztynowi, byli to zbiegi z dóbr pańskich.

Żydzi znów całą zgają biegli kryć się w Nowym Targu, bo już ani mienia ani życia, nie byli pewni.

Do upornych wysiał Bzowski uniwersał tej treści:

Pokój Chrystusów! Wszem wobec i każdemu z osobna, wiernym poddanym Jkr. mości pana naszego miłościwego, dobrego zdrowia, swobody i wolności życząc, oznajmuję wolę bożą. a także i wolę Jkr. mości. Szlachta chce rokosz przeciw królowi, panu naszemu miłociwemu podnieść, a przeto kto zyczliwy jest Jego kr. mości, niechaj czempredzej garnie się pod skrzydła moje. pod Czorsztyn, przy panu rektorze Pcimskim. jako pułkowniku Jego kr. mości, który jako wierny poddany przyprowadzi was do mnie i będzie wami regimentował. dając we wszystkim informacją.

Obiecuje przytem Jkr. mość wszystkie wolności tym. którzy teraz stać przy mnie będą. dwory szlacheckie i co w nich będzie wasze. Chciejcie więc wybić się z tej niewoli ciężkiej. Mają li oni was w niwecz obracać do ostatka, lepiej, że wy ich obrócić. już się was dosyć namordowali ci pankowie tak. że głos wasz płaczących o pomstę na nich do Boga wola. Przeto ten uniwersał wydawam już po raz drugi przestrzegając i w tym: abyście (jako mam in comissis od króla jegomości), żadnym uniwersałom choćby z pieczęcią i ręką króla Imci były. wiary nic dawali, gdyż je musi wydawać, bojąc się szlachty. Ale my czynimy, co mamy czynić jak najprędzej, ana Sgo Jana pójdziemy pod Kraków. Juzem ja też wszc

daie porozysłał uniwersały do chłopów, którzy się ochotnie stawią. Nie tykać tych wszystkich wsi, gdzie obaczycie wiechę. Kościołom także proszę, ażeby zawsze była obrona, gdyż o Boga i krzywdę ludzką i o nieposłuszeństwo dla króla wojować będziemy.

Dan w Czorsztynie Czerwca, Zdrowia dobrego wam życzliwy
Aleksander ze Sternbergu Kostka. Starosta Czorsztyński.

Z uniwersałami temi, wyjechał bakałarz z Pcimia i werbował ochotników, których płynęło co raz więcej do Czorsztyna.

Dopókiż spać będzie na oba uszy czujność stróży naszych, myślałem, aż tu od Nowego Targu wali dragonija i kopijnicy a na ich czele pan Jordan starosta dobrzycki z panem Chrzastowieckim i oddziałem biskupiego wojska. Krew zagrała mi w żyłach.

Bić zbójców i herszta, który takie uniwersały wydaje.

Tera pismem potargał wszystkie struny, jakie jeszcze dźwięczały dla niego w mej duszy.

— Hola panowie bracia krzyknę. jest tu szlachcic choć w chłopskiej sukni, co się do was przyłączyć pragnie.

— Któs aś?

— To zaraz zobaczycie.

I wbiegłem do izby i przywdziałem suknie, przypasawszy szablę, wsiadłem oklep na buła

nego, który i pod wierzchem chodził nie źle i takem ci się zaprezentował staroście.

Patrzało to wszystko zdziwione, jak nawaryata, ale niedługo dobra komitywa między nami zakwitła.

Opowiedziałem im, jak mogłem, przez drogę moje przygody, koloryzując i kłamiąc, jak umiałem.

Jordan człek był leciwy, ale wcale na żołnierza niesposobny. tłusty, raczej mu nad szpargałami siedzieć przy piórze.

Chrzastowiecki znów junak, warchoł i kostera, ciągle prawił o swoich successach kuflowych i karcianych.

Noc już była. kiedyśmy przybyli pod Czorsztyn.

Spojrzałem w górę na te olbrzymie, ciemne mury zamczyska, co się rysowały na jasnym niebie usianem gwiazdami i gdzieś w obłokach kończyły i zwątpilem od razu w pomyslnosc wyprawy.

Cóż znaczyła ta garstka, przeciw temu olbrzymowi z granitu, który patrzył na nas kilkunastu błyszczącemi oczyma, swoich okien oświeconych jarzącem światłem.

Dochodziły nas ztamtąd wesoło okrzyki i śpiewy śnać ucztowano. nie myśląc o napadzie.

Jordan też dobrej myśli, poustawiał swoich kopijników i dragonów między skalami, których tu

pełno. Rozpalono ognie i dawajże wyprzątać tłumoki i barylki.

Zjedzono, wypito i ułożono się potem do snu smacznego.

patrzałem na to wszystko i mory mnie brały.

Nad ranem, nie czekając wschodu słońca, warchoł Chrzastowiecki bez porady z Jordanem, wziął z sobą piętnastu ochotnika i szybko postąpił pod zamek.

Udało ira się wpaść bramą pierwszą, która nie była dobrze zamknięta, wyłamali nawet drugą, lecz w trzeciej przywitał ich taki grad kamieni, że kilku towarzyszy padło ciężko rannych a sara Chrzastowiecki oberwał guza.

To rozbudziło załogę całą. a i nasi zerwali się; ua równe nogi zaspani, niewytrzeźwieli jeszcze.

— Co to? jak to? gdzie?—pytano.

— Czy im odsiecz przyszła?
— Kto pierwszy uderzył? Chrzęstowiecki obwijał sobie łeb chustką.
— Mości podczaszycu rzecze Jordan przy mnie kommenda. a kto waści tam leżć kazał? Ja tu pogadam z tera chamstwem.
— Takiś ty dobry, jak i tamten pomyślałem Na murach ukazał się Bzowski.
— Kto wy? po coście tu przyszli?
— Po ciebie —ozwie się Jordan zaspany.
— Ty bryło opasała, to po ranie się przychodzi, jak po zbiegłego czeladnika? Kto cię tu przysłał?

— Sprawiedliwość.
— Wasza sprawiedliwość chodzi w szlafmocy i ma zawiązane oczy. inaczej by widziała, że takich kpów nie pod Czorsztyn, ale pod żydowską kuckę wystać się godzi.
— Buntowniku! rebelizancie! chłopski patronie, oddaj mi zamek!
— Wieprzu! sączykuflu! batożnikul garbarzu skóry chłopskiej, ugryź go!
Nadciągnął oddział biskupi. który się najdłużej zbierał.
Stanęło wcale pokażne wojsko, gdyby miało zdrową głowę na karku.
Chrzęstowiecki choć z guzem, przecie jeszcze próbować szczęścia pragnął.
Postąpił on ku bramie od Wzaru Kluszkowieckiego. kazał obłożyć drzewem i chrustem i podpalić ją.
Ogień prędko ugaszono, bo w zamku było wody dostatkiem, ale jak nie pluną z hakownic i arkabuzów, a celowano z góry dobrze.
Padło trupa i rannych.
Konie ogłuszone, przestraszone, poniosły jeźdźców, pędzili jak szaleni, a największy junak Chrzęstowiecki uciekał, aż się kurzyło za nim.
Niektórzy powpadali do Dunajca.
Ot, tobie wyprawa.
Juzem też wytrzymać nie mógł.
— Albo zdajcie kommondę jednemu. albo nie

dyshonorujcie tego królewskiego znaku mówię im.
Chrzęstowiecki dał za wygraną i z swoimi kilkunastoma czeladzi, wrócił do Nowego Targu, został się. Jordan i oddział biskupi.
Uradziliśmy, żeby przpuścić szturm do północnej bramy, która była najsłabsza i volensnolens wedrzeć się do zamku, bośmy byli pewni, że załoga w nim nie duża.
I gdy tak radzim. pada mi przy nogach kamień owinięty papierem.
Rozwijam—pismo Salomei.
„Nie hazarduj życia, bo ono drogie dla ranie. Nic tu nie wskóracie. Pomoc ira przychodzi lada chwila.”
Zaledwim im pokazał ową kartkę, aż tu od Wzaru Kluszkowieckiego sunie chłopstwo, które prowadzi Sawka, jeden z owych uwolnionych w Nowym Targu hultai.
Było ich tego do tysiąca.
Wystrzeliliśmy z rusznic i muszkietów i w porządku wrócili tara, zkąd przyszli.
Tak się skończyła pierwsza wyprawa pod Czorsztynem.
Opisał ją wierszera Bzowski i rozpuścił go po okolicy, wyszydząc okrutnie Jordana i Chrzęstowieckiego.
Rozzuchwiała ona też chłopstwo okrutnie.
Podziałało to więcej. anizeli wszystkie uniwersały Kostki.

Przestrach padł na Kraków i Małopolskę całą. Biskup Gembicki zakrzętnął się gorąco koło obrony.
Zbierano wojsko.

Do króla stano gońców jeden po drugim. Księża z ambon upominali lud i odwozili od ognia.

Imię Kostki Napierskiego. rozległo się echem po Polsce całej.

Nie czuły już tą razą na śpiew syreny, lubo mnie zapewniała w swej karteczce, że drogie jej moje życie, postanowiłem je zanieść świętej sprawie i na Krościenko, Łącko. Stary Sącz, Grybów puściłem się do Lwowa.

Lecz snąc już przeznaczone mi było, abym go nigdy nie widział.

Pod Starym Sączem, spotkałem Platemberga czorsztyńskiego Starostę, a z nim , pospolitaków.

Regimentował im Podgórski, chorąży sochaczewski.

Byli z niemi: Rylski, Majdel, Trzcziński. Rokosowski, Sulerzycki i Kostuś,

Rozstąp się ziemio! Toż wpadłem, jak w garnek z ukropem. Cała miniona a tak niedawna jeszcze przeszłość stanęła mi przed oczyma.

Zdawało mi się, że w służbie dworskiej, jak ongi i że jej nigdy nie porzucałem.

— Scypio! Scypio!—krzykują.

— Gdzie? dokąd?

— Witaj miły towarzyszu.

— A panowie po co? —pytam.

— A no po tego utrapionego Kostkę, co mi mój zamek zajął—mówi Platemberg.

— A ty z kąd?

Nie mogłem im przecie powiedzieć, że z porażki Czorsztyńskiej.

Wymyśliłem jakichś krewnych na Podolu, od których ledwie się wyrwał, by pospieszyć uo króla.

— A gdzie król z wojskiem?—pytam,

— Pod Beresteczkiem.

— Cóż to ono za Beresteczko?

— Ot sobie miścina, czapką by ją przykryć można, Łam zatoczono obóz i tam spodziewają się bitwę stoczyć.

Nie przeczuwaliśmy, że będziemy kiedyś nazwisko to ze czcią powtarzać.

— Gadaj no waś o tym Kostce mówi Platemberg —coż to za takie ciekawe subjectum, Napróznośmy tam wszyscy łamali nad tem głowę. Zuchwałości to wielkiej człowiek.

Nie wiedzieli kto to, a ja też nie chciałem ich wyprowadzać z błędu.

— Tyle wiem. co i wy wszyscy —mówie. Kostka i Kostka, poburzył chłopów, pofałszował królewskie uniwersały. Był nawet tyle zuchwały, że pisał do biskupa Gębickiego, aby mu amunicji przysłał, co było rzeczywiście prawdą.

Dowie

działem się o tem od Jordana. który mi nawet pokazał kopią onego listu do biskupa.

To ptaszek nie lada, I nic nie zrobiono dotychczas? A toż my go tam żywcem upieczemy w tym Czorsztynie.
Nie śmiałem im mówić o wyprawie Jordana,
— jedziesz waść z nami rzekł pan Podgórski— tam byś już przyszedł, jakby po nabożeństwie świece gasić, a tu nam będziesz potrzebny. Znasz i okolicę i ludzi.
Sprzeciwić się ani bezpiecznie, ani całkiem rozumnie, wróciłem się tedy pod Czorsztyn.
Tutaj to miała się odegrać owa scena, najważniejsza w życiu Bzowskiego.
Tu miał mu błysnąć na chwilę płomień zemsty tali upragnionej i oczekiwanej przez niego, aby go potem pogrążyć w nocy niedoli strasznej i rozpacz.
Szedłem z tem wojskiem, jak delikwent jaki prowadzony pod szubienicę.
Nie śmiałem moim dawnym kollegom i towarzyszom, w oczy patrzeć.
Zdawało mi się, że współnikiem tego nieszczęsnego czelaka, którym oni tak pogardzali, tak go nienawidzili zawsze, bo trzeba właśnie takiego fatum, że ci wszyscy przyjęli udział w tej nieszczęsnej wyprawie, przeciw dawnemu kolledze.

Wahałem się ciągle. czy ich oświecić, kto jest owym Napierskim. czy zostawić.
Chciałem to spełnić kilkakrotnie. lecz gdym już otwierał usta. pierwsze słowo uwięzło mi zawsze w gardle, jakby je leto ścisnął.
Krew mi uderzała do głowy i milczałem.
O ileż oni wszyscy, wydali mi się dziś lepsi od niego.
Byli źli. nieludczy—to prawda, ale spełnili sumiennie swej obowiązek, byli czyści w obec ojczyzny.
Taki Rylski. co wciąż podszczuwał i burzył innych przeciw niemu, taki Platemberg, co pałał nienawiścią zawsze i gdzie mógł okazywał mu pogardę i zawiść skrytą, a matkę jego haniebnie zbyszczęcił w obec wszystkich, taki Trzeciński, Kokossowski. Sulerzycki. co układali ciągle niegodziwe kabały i jątrzyli w nim ducha złości okrutnej, taki Kostuś wreszcie, na którego widok krew burzyła się we mnie, bom wiedział o wszystkich jego szelmostwach dziś przywrócony do łaski, obdarzony starostwem Roszkowskim. pan wielkiej fortuny po matce, zakupił był dobra Szczerowieckie, noszący dziś głowę dumnie, jakby udzielnym księżem.
Wszyscy oni ze swemi wady, wydali mi się jeszcze bieli, jak aniołowie, wobec jego okrutnej zbrodni, bo większej chyba świat nie pokaże.
Ależ nic byli oni w części jej sprawcami?

Nie ich że to przeklęta nienawiść budziła wciąż w tem sercu gorącym pragnienia odwetu!
Nie oniż to wygnali go ze dworu, jątrząc przeciw niemu wszystkich dygnitarzy i królowę?... i pomyślałem, że w sumieniu ciężki rachunek zdać ira przyjdzie... że ludzka krzywda na dobre wyjść nie może.
Rozłożyli się tedy pod Czorsztynem. Całe podzamecze zaroilo się szlachtą, która porozpinała różnobarwne namioty, niektórzy znów rozbiegli się po okolicy. Ładu, składu, subordynacyi za trzy grosze. Patrzyłem na utrapienia tego biednego Podgórskiego, który sobie poradzić z nimi nie mógł zwyczajnie, jak z pospolitem ruszeniera. Gdy ich prosił i mitygował, odpowiadano: Albo to wojna — czy co? Siedzieć nam tu spokojnie i wypoczywać a pilnować tylko, żeby się i mysz do zamku nie dostała głodem weźmiemy bestya.
Inni znów splądrowawszy okolicę, wracali z chłopstwem zrabowanym i męczonem niewinnie, bo prawdziwi winowajcy siedzieli zamknięci w zara ku.
Szlachta się nad nimi znęcała nieludczo.
Platemberg i całe towarzystwo dworzan zatoczyło namiot na wzgórkę tak. że dominował po nad wszystkimi a stał najbliżej murów tak. że z zaniku można było widzieć, co się w nim dzieje aomal. że i rozmowę słyszeć.

Napróżnom ira perswadował, że tak lekce cenić nie można tego herszta. Platemberg rozśmiał mi się w oczy.

Powiewała na namiocie chorągiew z herbem Inflantczyka, a namiot był strojny, barwisty.

Zaprosili oni mnie do swej kompanii tak, żem się wymówić nie mogł.

Rozpoczęły się bankiety, karty i pijatyka, jak za dobrych czasów.

Co też to z tego będzie? myślałem.

Po dobrym obiedzie w pogodny dzień czerwcowy, barszkowaliśmy sobie w namiocie; zesła rozmowa na dawne czasy. Gadało się o tem i owem, wspomniano Bzowskiego.

— Gdzież się teraz podziewa ten hołysz? spytał Platemberg,

— Nie daleko—mówię, bo mnie już korciła ta ich bezczelna otucha w swoje siły i niedołęztwo, ale jak gdyby mnie coś tknęło podnoszę się i mówię im:

— Posłuchajcie mej rady. panowie bracia, odsuńmy się od tych murów dalej nieco, bo tu może nam spaść niespodzianie coś takiego na głowy, że się już i schylić po nie nie będzie warto.

— Toż ten zbój musi chyba wiedzieć, że tu siedzi Czorsztyński starosta i taki głupi nie będzie, aby nas pierwszy śmiał zaczepić.

— Oj. wie on dobrze —mówię. Ale potem ugryzłem się w język.

— Powiadam wam, że człowiek, którego tak

lekceważycie, przez samą złość za to psotę wam zrobić może i radzę się usunąć. Gdyście rozbić namiot z rana kazali, pamiętacie, żem protestował najuroczyściej przeciw temu i teraz jeszcze powtarzam.

— Nie psuj że waść miłej ochoty swem Kassandrowem prorocstwem, prawię. Należcie no nam kielichy.

Pijatyka szła na dobre, przyszły i kostki, w które starosta grywał z dziwnem szczęściem.

Podgórski się krzątał po obozie.

Ustawiał tabor, kazał sypać okopy, ale gdzie tam bractwu o tem gadać!...

Spędzono do nieb chłopstwo, wzięte z pobliskich wsi.

Niby pracowali, ale ustawicznie oglądali się na zamek i gdy upatrzyli porę, kiedy wszystko oddane spoczynkowi. uciekli w bramę, którą im otworzono.

Przybiegł Podgórski, cały pieniąc się ze złości.

— Wolałbym regimentować stu dyabłom. niżeli pospolitemu ruszeniu. Panie starosto, czy myślisz, że ci wyciągnę gorące kasztany z pieca? r.,eżąc tu do góry brzuchem, nie zobaczysz .się z Czorsztyńskim zamkiem.

— On sam nam bramy otworzy i poprosi nas do niego—rzucił Platemberg.

Uradzono jednak, że jutro zaraz z rana szturm przypuszczą.

Żał mi było człowieka tego. Podgórskiego, bo

to żołnierz był dobry i wypróbowany, a, praca jego cała i zachód były jakby tu wodę sitem czerpać.

Wziąłem go jednali na stronę i wyśpiewałem wszystko,

— Nic my tu nie poradziłam rzeczy—będę czekał na respons mego pisma do biskupa.
Postanowiliśmy jednak tymczasem robić wszystko, co można.
Opowiedziałem mu u niefortunnej wyprawie Jordana.
Wskazałem mu słabsze miejsce.
Miał on z sobą cztery małe działka falkoneciki zwane i dwa większe dobeltPalkonety.
Ustawiliśmy je na wzgórku od onego Wzaru Kluszkowieckiego.
Spędzili bracie do roboty z pachółkami, co ich było—a tymczasem przed namiotem Platemberga coś się gotowało.
Złapano jakiegoś chłopca, który się przekradał z zamku.
jęli go badać.
Wyśpiewał im, że załoga nie wynosi dwustu ludzi, że się spodziewają pomocy, ale nie rychło, bo chłopstwo się boi i ociąga, że Napierski myśli o poddaniu.
— Nio wierzcie temu psu!—krzyczę wysłany umyślnie, aby uspić czujność wasze.
Ale kto potrafi wmówić i wipersfadować to.

co nam sprawia nieprzyjemność i mąci błogi. spoczynek!
Męczono chłopca i bito, ale hultaj wytrzymał i powtarzał wciąż swoje piosenkę.
— jutro będziem w Czorsztynie!wrzeszczał Platemberg.
— Vivat starosta!
— A nie zapłacił mi zyd arendy tegorocznej, powiesili go podobno hultaje. Ten Kostka mi zapłaci.
I dawaj karbować na Kostce wszystkie urojone krzywdy.
Kostka tymczasem sprawy nie zasypiał. Nałano kielichy, aleśmy już ich wypić nie zdążyli.
Zrobił się po za namiotem rozruch jakiśdala okrzyki: do bronii! i w teje obwili, pokazały się w namiocie dzikie twarze hultajstwa.
Rzuciło się na nas to wszystko, nim Jezus Marya wymówić zdążyliśmy.
Ten i ów wydobył szabli, lecz ćma ta obsiadła nas, jak szarańcza, związała i nie wyszło pacierza, zobaczyliśmy się wszyscy w Czorsztyńskim zamku.
Pl o wadził uas olbrzym, Stanisław z Lętowni marszałek zbójców.
Na dziedzińcu naszykuwało się wszystko, aby nas powitać szyderstwem i urąganiem.
Serce waliło we mnie, jakby młotem.
Bzowskiego jeszcze nie było.

— Przyszliście bankietować pod Czorsztyń pogańskie syny mówił Bajus, Odgrazaliście się. że w smole nas zgotujecie.
Ot wam teraz smoła.
— Z pierzyn ich wywlekliśmy rzekł marszałek.
— Będiesz nam tn starostował w Czorsztynie, ty obzartuchu—i podsunął się do Platemberga i zrobił gest, jakby mu w brzuch kosę chciał wpakować, ale go Bajus powstrzymał.
— Bajcie mu lepiej papierowy kołpak i wiechę w ręce. pokażemy go tak pospolitakom z baszty.
— Obedrzeć ich z tych szat pięknych krzyknął jeden ze zbójców.
— Na wesele się do nas wybraliście strojniesz!
— A co to za kędziory,, barany nasze takich nie mają... a jakie miękie i pachnące.
— Szubienicę wystawimy na wieży, niech im się dobrze przyjrzą.
Wszedł Bzowski.
Któż opisać zdoła okrzyk podziwu, przerażenia, przestachu, ogłupienia.
— Bzowski! Bzowski! to on! Kostka Napierski! wołali na różne tony i z rozmaitym akcentem.

— Ot, cośmy ci przywiedli—rzekł marszałek.
— Puśćcie ich i zostawcie nas—przemówił surowo Bzowski.
— Jabym z nimi ceregieli nie robił.

— Niech wyśpiewają nam trochę.
— A tortury są w zamku?
— Precz! Odeszli, mrużąc. Zostaliśmy z Bzowskim.
— Witam was przezacne towarzystwo. Patrzcie! wszystkich mi dały dobroczynne losy. ani jednego nie brakuje. Wtem mnie dojrzał.

— I ty tu między nimi? Słusznie—za chleb przyjaźni, trzeba zapłacić kamieniem niewdzięczności.
— Niejestem twoim przyjacielem od chwili, jakieś się w zdrajcę przeistoczył.
— Powiedz raczej, jakieś swej rozum utopił w dziewce—ale pogadamy z sobą.
Teraz najprzód do ciebie. Skinął na Platemberga. ten wysunął się drżący z naszej kupy.
— I cóż panie starosto czorsztyński! Wypędziłem żyda z tego zamku i zająłem go, jako moją własność. Za tanio sprzedałeś go starosto, trzeba było dobrze kazać zapłacić, bo wy wszystko dobrze sprzedać umiecie. Sprzedaje się sumienie, przyjaźń, wiara i matkę nawet własną—a kupuje się estymę u ludzi, sławę, urzędy i epitaphium po śmierci ale są rzeczy, których kupić nie można panie starosto. jest niezblagana bogini, którą Nemezys zowią. Ona to wówczas, kiedy myszczęśni frymarczym boskiem prawem...

niza ua nitkę wszystkie nasze czyny wielkie i grom z pogodnego nieba spuszcza.

— Szymonie!—wyszeptał.
— W ten ton uderzasz? już on dawno zamarł w mej piersi i nie odpowie ei echem. już ten Szymon pogrzebion dawno. Czysty anioł niewinności zapłakał na jego grobie. Stoi przed tobą Kostka Napierski, któregoście hersztem nazwali, a który jest zemstą.
— Łaski! zawołał nędznik, trzęsąc się, jak w fubrze.
— Łaski niema! Nemezys nie przebacza. Wlecz swoje koło zniszczenia niezblagana i druzgoce wszystko, co jej stoi na drodze.
Patrzac przed chwilą na twej wspaniały namiot, nie myślałem, że w nim dawny kolega mój spoczywa. Kazałem wziąć, co w nim znajdują i wzięli ciebie z towarzyszami, abyś tu zdał mi sprawę z twych czynów.
No, nie upadaj się i nie każ mi się rumienić za ciebie, bo wszakże my kolegami byliśmy i z jednego stołu chleb jedli pański, a tam moi ludzie i twoi towarzysze na uas patrzają,
— Oh, w imię naszej młodości, nie gubże mnie. Zabierz wszystko, tylko życia mi nie bierz.
— Bo tobie tak dobrze na świecie. A czemuś o tem nie pamiętał nędzniku, że i innym z tego bożego życia choć cząsteczka mała się należy. Czemuś nieszczęśliwym pogardą i urąganiem płacił? Czy jęk z uciśnionej piersi poruszył na chwilę

kamienną twoje duszą? Czyś jedne łzę otarł nędzy? Nie—tyś się pastwił potworze, kiedy ofiarę szarpały tortury cierpień. Śmiechem szyderskim bryzgałeś w uczy nieszczęściu i otóż widzisz, jak prędko Bóg domierzył ci kary.

— Jam młody...

— Nie, tyś był starcem... starcem zużytym w czynach... młodymś w rozpuście tylko. Ojczyzna nic w tobie nie straci, prócz jednego żarłoka i pijanicę. Czyś spłacił jej dług należny? Nie poszedłeś w gwar bitwy tam, gdzie król z całym narodem poszedł przyszedłeś pod Czorsztyn ze zgrają warcholów, których się chciano pozbyć z obozu... przyszedłeś tu, aby umorzyć głodem twego dawnego brata. Inaczej obróciło się koło fortuny... ja ciebie umorzę nędzniku.

— Oh. Szymonie, miłosierdzia!

I padł mu do nóg niegodziwiec a myśmy na to wszystko patrzyli... to też już oburzenie uasze granic nie miało. Rokosowski splunął.

— Niech cię dyabli wezmą inflantczyku. Snać, to jakaś zakażona krew w tobie.

Nawet Kostuś szepnął;

— A toż tchórz!

Bzowski odskoczył. jak od padalca.

— Precz od kolan, podły gadzio! Staw mi się mężem, choć na chwilę... jednym mężkiem słowem przekonania, jakiegokolwiek ouo w tobie, zadaj mi kłam a poszanuję jo i po rycersku postąpię.

Patrz! nie chcę się pastwić nad tobą, byliśmy kolegami, razem uroczą młodości dobę przebyliśmy.

Skinął na chłopca stojącego opodal i kazał sobie przynieść dwie szabllice,

— Oto są dwie nagie szable... wybieraj i walczmy, jak męże.

— Ja z tobą... nie! ja przebaczenia proszę za wszystko złe, jakie ci wyrządziłem.

— Niema przebaczenia! Przez ciebie, podły, robak goryczy do serca mego wpełznął, zem znienawidzi! świat cały. Ty jadem szyderstwa i potwarzy, hydziłeś moją postać przed ludźmi. Tyś matkę moją potracił nędzniku!... Ty to wreszcie szatanie pchnąłeś ranie na tę drogę, z której nie wrócę więcej.

Dalej, bierz broń, albo łeb zmiotę z karku!

— Miłosierdzia! miłosierdzia!.. jęczał bestya tak, że nam się wnętrzności przewracały z oburzenia.

— Patrzcie teraz, to jest starosta czorsztyński, koniuszy nadworny Jego kr. mości, wasz miły towarzysz i zwierzchnik.

— Pies. tchórz, nędznik ostatniego rzędu! krzyknął Trzeciński,

— Wyrzuć go za wrota rzekł Rokosowski—

dość masz z nas jeńca..... my nie chcemy być z nim razem.

— Wyzwij nas wszystkich na rękę, dotrzynamy ci za niego—mówił Majdel.

— Słyszysz starosto! niegodzien jesteś ginąć mężnych śmiercią. Cóżbym robił z takim stworzeniem, litórego żywot nie wart hałerja. Jednak tyś starostował niegdys w Czorsztynie. Należy ci honorowa odznaka. Tyś poganinie osadził na swoim stołku pijawkę żydowską. co ssała krew biednego ludu. Temu ludowi, zadosyc uczynienie dać muszę. Hola!— krzyknął na służbę.

— Wyprowadźcie go za bramy a przystrójcie w żydowski kołpak i cycele, które tam znajdziecie po zabitym arendarzu... i tak z całą paradą i muzyką cygańską, wobec jego podwładnych i towarzyszy, płazem szabli sto plag wyliczcie. Niech ręka kżdego z chłopów dotknie się tej szlacheckiej skóry. Precz!

Wyprowadzili chłopci z uciechą wielką onego tchórze drżącego i omdlałego ze strachu. Bzowski popatrział na nas chwilę i rzecze:

— Krwi królewskiej i przyjaźni dawnej wybaczam. Konstany i Scipio wolni reszta do lochu!

Kostuś już się pokwapił. aby mu dziękować, alem go powstrzymał,

— Łasicę twoje odrzucamy. Albo uwolnisz wszystkich, albo ani jednego,
— A więc uwalniam wszystkich. Nie stoję o zakładnika. Czorszyńska skała podoła tysiącom takich. Idźcie i plujcie na mnie ołowiem, który mnie nie dosięże, ja was rozgniotę, jak żą

by kamieniami, a potem sam się w tych murach zagrzebię.

— Oby się to stało jak najprędzej!—rzekłem.

— Tylko wprzód drogo za to zapłacicie.

— I wartoż było karmić się szczytnymi marzeniami, aby skończyć, jak opryszek —rzekłem.

— Jeszczem nie skończył, ty ciasna głowo, to dopiero początek spadnę na was z tej baszty, jak huragan, zaleję wasze dwory i wioski i nie oprę się z tym sztandarem, jak na Wawelu murach; tak gwiazdy mi napisały.

— Wierz ira szaleńcze! Nim dojdiesz pod Wawel, rozniesiemy cię na szablach naszych. Twoim uniwersałem ohydny wypisałeś dla siebie wyrok potępienia na wieki. Zaparłeś się Boga. sumienia i części. Matka twoja przewróciła się w grobie ze zgrozy. Zasłoniłeś się niegodnie imieniem królewskim, podły szalbierzu, ale ten lud. co łatwo ci uwierzył, tak jeszcze łatwiej opuści i wyda cię na jatki.

— Bądź zdrów mierny człeku o ciasnej głowie, dla którego ojczyzna w starych spróchniałych ramach zamknięta, dla mnie ona w nowych i zdrowych się rodzi. Idź i nie próbój nadużywać mej cierpliwości, bo możesz jeszcze nie oglądać twych skrzydlatych towarzyszy.

— Możesz mnie kazać zciąć twym chłopom pokażę ci. jak się umiera za wiarę, którą się z mlekiem matki wyssało. Nauczy cię to może

nowy człowieku, że aby coś zbudować ua ziemi, trzeba na to większego ducha. niżeli twej nadęty pychą i zarażony jadem nienawiści.

Wtem jakiś niezwykły ruch zapanował w zamku.

Poza marami, dały się słyszeć jakieś okrzyki, czy wiwaty.

Wbiegł marszałek z Łętowni.

— Co tam zaszło? Popiła się szlachta i z kielichem szturm do zamku przypuszcza? spytał Bzowski.

— Przybyło dwa tysiące biskupiego wojska. A ci jeszcze tu? —rzekł, patrząc po nas. Baj ich Bajusowi. niech się z nimi rozprawi, a sam weź się do obrony.

— Ci są wolni. Zawiąż im oczy i każ ich wyprowadzić z zamku.

Olbrzym spełnił zlecenie z niechęcią wielką, Zanim mi oczy zawiązano, patrzałem bacznie wszędzie, czy nie zobaczę Salomei.

Spostrzegłem parę niewieścich postaci między chłopstwem, ale jej nie widziałem.

— Przedzierzgnęła się w jakąś inną osobę pomyślałem.

Na podzamczu ruch panował niezwykły. Przybyła z Jarockim pułkownikiem dragonja biskupia.

Przybył starosta z Lubowli, z dwoma wielkimi działami.

Szturm się rozpoczął. Ale chłopci nie próżnowali.

po górach paliły się ognie, wzywające do obrony Czorsztyńskiego zamku.
Przychodziły kupy zbrojne ze wszystkich stron pod zamek, z niesłychaną i niebywałą dotąd zuchwałością, napadając nas z tyłu podczas szturmów.
Bzowski prażył straszliwie ołowiem roztopionym, któryż dachów zamczyska pozrywać kazał. Prażył smołą i kamieniami.
Żywności mieli poddostatkami, ale brakło im amunicji.
Bzowski kazał zbierać kule, które wpadały do zamku i odsyłał nam je z swoich dział, a raził piekielnie.
Ranny w głowę odłamem kamienia, nie ustawał ani na chwilę.
Wyrzucał z siebie wściekłe słowa, co oburzeniem nas przejmowały a zagrzewały chłopstwo.
Na wszystkich punktach poobsadzał załogę tak, że dostęp do zamku stał się niepodobny.
Każdy pocisk z tej wyżyny, był dla nas śmiertelny.
Dwa dni trwał ocień bez skutku.
Przywieziono przez Jarockiego działka wydawały się komarami wobec tej niespożytej opoki i jak komary też ją kąsały.
Zwątpiliśmy całkiem w nasze powodzenie.
Wystano do Lwowa po wielkie działa.
Na dobitek od dwóch dni trwała ulewa taka, jak gdyby w niebie upusty kto pootwierał.

Pospolite ruszenie pochowało się po wsiach pobliskich.
Wytrwała dragonja biskupia i kopijnicy z Lubowli, szczyrbili mury bez skutku.
Trzeciego dnia nad ranem, pojawiło się na murach dwóch chłopów, a między nimi hobieta, wzywająca Jarockiego do rozmowy.
Obiecano mu wydać zamek, jeżeli wolność wszystkim zapewni.
Jarocki poprzysiągł i podpisał warunki, niedowierzając temu wszystkiemu.
Słońce wzbilo się już wysoko.
Bzowski rozpoczął strzelanie, gdy otwarły się bramy zamku, przed naszymi zdumionymi oczyma.
W tej właśnie chwili, chłopstwo z okrzykami schodziło z gór, jako nowe posiłki, lecz widząc co się dzieje, pierzchło.
Wojsko i szlachta weszli w bramy zamku.
Został tylko na placu tabor wozów i koni.
Przysiadłem na odłamie skały i patrzyłem na mury, nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego, co się działo przed moimi oczyma.
Z zamku wyszło troje ludzi.
Byli to Bajus, Sawka a między nimi Salomeja.
— Dotrzymalim ci słowa wiernie rzekł Bajus.
— Dawaj, coś obiecała—dorzucił Sawka. Salomeja wydobyła jakieś papiery i worek i oddała im to wszystko.

Chłopi obejrzeni zabrali po jednym koniu, co stały przy wozach, a których im nikt nie bronił i znikli.
Pobiegłem ku niej.
Rzuciła mi się w ramiona bezwładna.
— Toś ty zdziałała Saiomejo? — spytałem.
— To ja. A teraz precz z tych miejsc!.. Nie chcę nic widzieć i słyszeć.

Przykląłem, jak przed świętą, całując rąbek jej szaty i uczułem się wówczas tak małym, tak nędznym, że byłem gotów głowę o skałę roztrzaskać.

Spostrzegła to i głosem niewymownej słodczy rzekła:

— Zdziałaliśmy to wspólnie, mój dobry Krzysztofie—ty siłą męskiego ramienia, ja przebiegłością niewieścią. A teraz uciekajmy z tych miejsc przeklętych. Co dalej czynić mamy, opowiem ci przez drogę, bo to dopiero połowa tego, co się zrobiło.

Posadziłem ją na wóz omdlałą prawie i puściliśmy się do Krakowa.

Uzczepolita święciła tryumf wielkiego zwycięstwa nad Chmielnickim i Tatarami pod Beresteczkiem.

Jednocześnie z wzięciem czorsztyńskiego zamku, przybiegły wieści, że orda i Kozacy rozgromieni, ale jak do każdej wielkiej radości, kropla

gorczy się przyczepi, tak i tu sarkano na króla że po zwycięstwie nie poszedł dalej na Ukrainę i nie zajął jej całej, ale wrócił się prędko do Warszawy.

Po czyjej stronie była prawda, tośmy dopiero później dowiedzieć się mieli, że to nie król. ale szlachta spieszyła do swoich pierzyn miękkich i właśnie udaremniła królewskie zamysły.

Tymczasem radowano się wielce,

Od Lwowa, ciągnęła szlachta zwycięzka.

Od gór Czorsztyńskich, wjeżdżał na wozie Bzowski w otoczeniu całej dragonii a pospiewywał sobie i z szyderstwem patrzył po tłumach.

Za nim wieziono skrępowanego olbrzymiego marszałka.

Wszystek lud wyległ patrzeć na to dziwowisko.

Zamknięto Bzowskiego w szlacheckiej. marszałka w złodziejskiej wieży.

Ja z moją świętą dziewczyną zajechałem na Stradom. przed klasztor panien bernardynek, bo Już nie chciała stanąć w żadnej gospodzie, chociaż tłumaczyłem jej. że niebezpieczeństwo minęło.

Przyjęto ją tam. jak gdyby już oczekiwano jej przybycia, co mnie zdziwiło niezmiernie.

O każdej dnia porze, widzieć się zemną tu możesz—rzekła mi na pożegnanie. Będziesz mi donosił o wszystkim.

Tymczasem bądź gotowy, bo musimy odbyć daleką podróż.

Zamknęła się za nią krata, a ja stałem jeszcze długo pod drzwiami, wlepiając w nie źrenice, jak gdybym niemi chciał przebić zapory, co mnie od niej dzieliły.

Była ona dziś dla mnie czemś nadludzkiem.

Do wielkiej miłości, którąm zawsze czuł dla niej, przyłączyła się dziś cześć głęboka i uwielbienie.

Lżyłem siebie i zohydzałem w własnych oczach, że mogłem ją posądzać na chwilę o affekt dla tego nędznika, kiedy ona cała poświęcała się dobrej sprawie... a jakże ją poprowadziła świetnie!

Opowiedziała mi przez drogę, jak potrafiła wzbudzić nienawiść w dwóch największych zbrojcach, Bajusie i Sawce do marszałka, któremu zazdrościli jego władzy.

Dowiodła im, że Bzowski popełnił błąd, zamykając się w Czorsztynie, bo na wolności byłby niezwyciężony, a tu prędej czy później wzięty będzie.

A kto temu wszystkiemu winien?—marszałeli.

On to namówił Bzowskiego, że się zamknął w Czorsztynie, bo chłop chce nad wami panować.

Pokazała im i odczytała listy Chmielnickiego, który wyraźnie żądał, aby Bzowski ukrywał się w górach i werbował ciągle jak najwięcej ludu, żeby nawet z nim przeszedł na węgierską granicę, nie judząc podejrzania i tam dopiero po złą

czeniu się z Rakoczym, napadł od razu na Kraków.

Tego wszystkiego Bzowski nie posłuchaj.

Zamknął się w Czorsztynie, przez co obudził czujność szlachty, która go opasała i już nie dopuści Rakoczego, aby się z nim złączył.

Obiecała im dać te papiery, jeżeli porzucą Bzowskiego, aby się mieli czym zasłonić przed Chmielnickim.

Chłopi drżeli do wolności i do Chmielnickiego. którego oczekiwali daremnie, niewsmak im było siedzieć zamkniętymi w ciasnym zamku.

Nagroda pieniężna i wolność wszystkich, przyobiecana przez Jarockiego. dokonały reszty.

A ile to ona trudów zażyła, aby pozyskać zaufanie tych dwóch zbójców, którzy ją podejrzewali, że ich bierze na próbę.

Trzeba było grać przed nimi komedia nienawiści do szlachty i panów, a udawać Chmielnickiego przyjaciółkę.

Trzeba było pozyskać sobie i Kozaków kilku, których wciągnęła do spisku, a którzy również byli oburzeni, że się zamknął w Czorsztynie.

Gdyby żył Fiodor, nie dokazałaby tego.

Śmierć tego zbója, jakkolwiek okupiona cierpieniem, była pierwszym szczeblem, któryśmy zdobyli w naszej wyprawie.

Pobiegłem też zaraz do biskupiego pałacu, aby uściskać mojego Stacha, który tak dzielnie nare pomógł, zabijając tego hultaja.

Przed pałacem biskupim, znalazłem mnóstwo szlachty i panów.

Docisnąć się nie można było do jego komnat.

Wszystko to szło mu wieszować świetnego zwycięstwa nad Kostką Napierskim.

Porównywano go z księciem Ieremiaszem, który tam nad hultajstwem i Tatarami, pod Beresteczkiem odniósł walne zwycięstwo, a tu biskup zbawił kraj od zguby niechybnej, zapobiegając energią swoją rebelii chłopskiej i ujmując herszta wojskiem swoim.

Śmiałem się na to gorzko i myślałem sobie: jak to nieraz człowiek niespodzianie przyjść może do wielkiej sławy i zaszczytów, gdy prawdziwa zasługa i wielkość gdzieś w cieniu po za kratą klasztorną kryć się muszą.

Biskup przyjmował te hołdy obojętnie, bo wiedział, że na nie nie zasłużył.

Dojrzał mnie w tłumie i skinął.

Przystąpiłem doń z powitaniem wziął mnie na stronę.

— Zdał mi Jarocki sprawę. Odzież jest to bohaterskie dziewczę?

— W klasztorze bernardynek.

— Pójdę ją odwiedzić. Cóż ją skłoniło do tego? Wszak to krewna jogo podobno i bodaj miłośnica.

— Skłoniła ją miłość dla świętej sprawy.

— Dziwna. Ten nieszczęsny człowiek będzie karany okrutnie i nio go od tej kary uwolnić nie

jest wstanie. Ot, nie omyliły mnie przeczucia moje. Pamiętasz jego pojawienie się pierwsze w Kielcach?

— Kie zapomnę do końca życia.

— Wszystko to króla grzechy. Niech nui tam na sądzie odpuszczone będą.
pożegnał mnie skinieniem, bo gratulantów coraz więcej przybywało.
Znalazłem mego Stacha, zmienionym i posmutniałym wielce.
Nie chciał za nic w świecie zostać ua dworskiej służbie a i mnie markotno było za nim.
Postanowiłem też wysłać go do domu. który na łasce sług zostawał.
Kraków roił się ludźmi, jak dawno nic pamiętam. a wszystkie lica kraśniały radością.
Od lat to już wielu, nie święcono takiego tryumfu.
Spotykałem znajomych i sąsiadów.
W rozmowie zaczępiono o Kostce Napierskim, ale nikt nie wiedział prawdziwego jego nazwiska.
Snać świadomi nie chcieli tego.
Kostus stanął kwaterą w rynku, w domu Szlichtinga i ugaszczał u siebie, od rana do wieczora.
Estymowany i chwalony przez wszystkich. co maczali gęby w jego kieliszku, a była ich liczba niezmierna.
Senator, nie senator szedł przoszony, a niektóry ciągniony gwałtem do jego uprzejmego domu. Spotkałem pana Radziejowskiego, spotkałem

Denhofa, Sieniawskiego, Koniecpolskiego, dobrze podciętych wychodzących od niego.
Marszałek jego łapał na ulicy i ciągnął do domu.
Chciano i mnie tam zabrać gwałtem, alem się wykręcił.
Ot. fortuna kołem się toczy, ślepa, niegodna, nierządnicą.
Czy nie lepiej, zagrzebać się gdzieś w dzikim ustroniu, aby nie widzieć tego obrzydliwego świata.
Chciałem gdzieś uciec, aby już nie spotykać ludzi, gdy w rynku przed Sukiennicami, spotkałem się oko w oko z panem Wypyskim.
— Ot, góra z górą nie tego... a człowiek ten... —rzeki, jākając się uradowany wielce.
— Służby moje panu... i uciałem nagle—bo nie wiem. jak mam was mianować...
— Mostowniczym tego... nurskim, kochany panie Scypionie.
— Więc służby moje panie mostowniczy. Zkąd Bóg prowadzi?
— A zkażdęby!... a to dopiero!... a nie wiesz to waść nic... tego... A chodź że do mojej gospody,.. Miło tego... przed takim przyjacielem wywnętrzyć się ten... Zbiliśmy na miazgę Chmielą... Zbiliśmy,.. tego... Tatarów. Pokażę waści moje tego... trofea wojenne. Oczy waść ten... otworzysz. Bonifacy!
Zjawił się zaraz pajuk. potężnego wzrostu. Biegnij mi do gospody jednym tego,.. su

sem,.. Niech tam zaraz nagotują.., śniadanie.., Jeńca ten... czysto umyć... Zobaczysz waść, zobaczysz.
I plótł mi przez drogę, ciągnąc za sobą, by jak najprędzej pokazać owe cuda. które przywiózł z wyprawy, a krzyczał przytem głośno tak. że przystawali przechodnie.
Bonifacy w mig się sprawił, a było to widać już tak raz na zawsze ułożone, żeby gościom go odwiedzającym, pokazać wszystko.
I w samej rzeczy było co widzieć.
Najprzód cztery pary tureckich prześlicznych koni. Dalej czterech Tatarów, biedactwo jakieś straszne, pokiereszowane, obłożone plastrami.
Pilnował ich Kozak okulawiony, z obciętym uchem.
— Sam wziąłem, tego bestyą.., ten.., kiedy mi jechał okrutnym cięciem w głowę... No powiedz Dmitro, psia wiaro tego...
— Taki ono było rzeki tamten z lekkim skrzywieniem.
— Tatarów tych wydzielono mi z tego,.. z łupu... przydadzą się bestye, choć tego... pokaleczeni okrutnie.

Poprowadził mnie do izby.
Cały tu kram znalazłem.
Tureckich siodła, rzędów, sreber, materyi przeróżnej, pasów, broni.
Wszystko to podziwiałem, niedosyć jednak gorąco jak dla niego, bo ciągle dogadywał.

—' Ale to u was nic tego... niech mi kto pokaże tyle łupów,.. jednak przyszedłeś aśc zapóźno ten... nie zobaczysz już sreber i drogich kamieni, bo je tego... porozwieszałem jako votum po tego... kościołach. Chorągiew jedną zawiesiłem u tego... jezuitów. Ale musisz kochany panie Scipio, pójść ze mną po kościołach, pokażę ci to... ten... wszystko.
Wpadło mi w oko jakieś puzdro, suto okute srebrem,
— Cóż aśc tu chowasz?—pytam.
— Ciekawys? Hol ho! Zobaczysz... ale tego... aż po śniadaniu. Bonifacy.
Podano jadło i napitek.
Zjawilo się paru jego sąsiadów a między nimi pan Jundził. podkomorzy nurski. człek miłego obejścia i rozumny.
Pan Wypyski chciał opowiadać o swych czynach, ale go Jundził powstrzymał.
— Zostaw to potomnym, panie mostowniczy mówi oni będą prawic o twoich czynach. Aśc bez urazy, nie masz daru wymowy. Trudnoż być wielkim wojownikiem i mówcą, świadkiem nieboszczyk hetman Koniecpolski. Czyny mówią za asindzieja.
— Ho, ho!... nie tak to tego... mospanie podkomorzy i czyny tego... mogą pójść w zapomnienie. Prowadziłem dyaryusz naszej wyprawy. już go Cezary tego... tłoczy. Przypisuję go najpuddańszym ten... afektem, księciu Jeremiaszowi

Wiśniowieckiemu,.. Herby tego... będą wyrżnięte pięknie i ten... ozdobnie, Iluminacya prześliczna naszego ten... wojska i mojej chorągwi.
Szczęście i duma promieniły z tego lica.
Po śniadaniu i gawędzie, pokazał nam ową osobliwość w puzdrze.
Był to turban ozdobny pięknie z jakimiś znakami z alkoranu.
— Byłbym i tego... i łeb przywiózł z tym turbanem, ale mi to odradzono.
— Bogu dzięki, bo byśmy nieprzyjemny wcale mieli powrót od asindzieja.
Na ulicy mówie do pana Jundziła, bośmy wyszli razem:
— Mój mości panie. jesteś sąsiadem bliskim imć pana Wypyskiego i znasz go dobrze zapewne,
— jak moje pięć palców.
— Zkądże obok niezaprzeconych przymiotów, tyle głupiego samochwalstwa w tym człowieku.
— A no słabość widzisz aśc, a słabość to nie szlachecka. Odziedziczył to po dziadzie, który był prostym chłopem, a wyrabiał kosa gdzieś tam w Lubelskiem. Chłop był bogatym i dostatnim. Za Batorego sprawnie się znalazł w wojnie moskiewskiej, bo wystawił swoim kosztem rotę pieszych i uzbroił ich onemi kosami.
Król go nobilitował, kanclerz przyjął do swego herbu, ale obok jelit Zamojskiego, dodano mv. kosę.

Chłop niósł w pychę wielką, porzucił rzemiosło i tytułować się kazał pułkownikiem królewskim —mierzyła go jednak ciągle owa kosa. że mu to przypominało dawne rzemiosło i sąsiedzi go przedrwiwali. Napróżno mu tłumaczono, że to największym zaszczytem, ho nikt jeszcze takiego herbu nie dostał. Nic to nie pomogło. Wyprowadził się z Lubelskiego i kupił wieś Wypychy w ziemi nurskiej, od której się i nazwał zaraz, ale ta kosa utrapiona spać mu nie dawała. Póty więc molestował po kancelaryach królewskich. póty się włóczył i wydawał pieniądze, kupując sobie wstawiennictwo u króla. aż znudzony tem wreszcie Batory, odrzekł: Niech że bestya grabi, kiedy kosić nie chciał. I dał mu grabie. Przeszastał fortunę, jeżdżąc za królem i prosząc o tę łaskę, bo go ciągle wypychano i wyśmiewano. Urósł potem w okolicy wierszyk. Chcesz rozgniewać Wypyskiego, to mu jeno to powtórz: Cóż za zyski Imć Wypyski Grabie dostać Z niczem ostać? Dobra kosa. Bo i nosa

Przyciąć łącno. A grabima
Nie zgartujesz czego niema.
Ojciec naszego mostowniczego był człek rozumny i szlachcic zacny, jakby od króla Lecha, a syn... ot kiep. Wrodził się w dziada. Wszystko, coś aść widział, pokupował. Namówił nawet kozaka pokrakę. że opowiada, jak go pan mostowniczy wziął do niewoli;—ciekawe jest jego drzewo genealogiczne, które sobie kazał sporządzić, a które wisi w Wypychach. Minio to wszystko, stawał w szeregu uczciwie i bił się po szlachecka. Podziękowałem zacnemu staruszkowi za tę opowieść. Pan Wypyski zniknął mi potem z oczu na długi czas. Dowiedziałem się tylko potem, że się dobił kasztelaństwa i dochował dorodnych synów, z Łosiownej strukczaszanki bolimowskiej. Czy będą takimi jak ojciec? Chyba nie musi to znowu przeskoczyć aż na którego wnuka. Pilno mi było pójść do Jarockiego, aby się dowiedzieć o naszej sprawie. Żołnierz to znakomity i człek serca wielkiego. Nie mógł się naopowiadać o Bzowskim. Toć to dziecko jeszcze, powiada ale dziecko, z którego wyrósć może mąż wielki. Zagniewany na ludzi i świat, bo go zółcią karmili

i kopali, jak szczenię... i ot pochwylił za batog i chciał nim smagać swoich prześladowców. On sam nie był świadom doniosłości tego, co robił. Zawróciła się młoda głowa, od poszeptów szatańskich i poszedł drogą przepaści. Ale ileż tam darów bożych! Przez całą drogę, śpiewał mi wesoło, jak ptak, i opowiadał swoje nieszczęsne życie. Pokochałem go. jak syna. bo tyle dzielności i hartu męzkiego, nie spotkałem w tak młodym wieku, a widziałem dużo już ludzi. jutro będą go badać i przesłuchiwać świadków przyjdź aść. Wpuszczę cię. jako mego podkomendnego. Trzeba ratować tego chłopca, żeby mu chowaj Boże. co złego nie uczynili, bo tu na niego zażarci. Aż mi się dobrze zrobiło. łutro miałem tedy zobaczyć coś takiego, czego nigdy nie zapomnę. Zjechał pan łerzy Lubomirski, starosta krakowski, i mając przy swym boku. dwóch sędziów grodzkich i podstarościego Smietańskiego, zasiadł na sądy. Zasiedli ławy świadkowie powołani i niepowołani. Mnóztwo panów i szlachty przyszło gawronić się temu ciekawemu processowi. Zasiadł także na ławie świadków. ksiądz Stanisław Domachowski.

Staruszek. powziął dla Bzowskiego przywiązanie, jak i każdy, kto tylko się z nim zetknął.
Strażnik grodzki, wyprowadził Kostkę z wieży i najprzód nakazał go tłumnie zebranemu ludowi, który go powitał wyciem i przekleństwami.
Był błądy ponuro spojrzął po tem mrowisku głów ludzkich, potom nań splunął z pogardą.
Zawył to wszystko okrutnie i posypało kamieniami, ale był za wysoko i żaden go dosięgnąć nie mógł.
Wprowadzono go do sali sądowej.
Strażnik przedłożył sądowi protokół, akta. listy, uniwersały Bzowskiego i uniwersały Chmielnickiego, które przy nim znaleziono.
Rozpoczęło się badanie.
— Kto jesteś i jak się zwiesz? zapytał podstarosta.
— jestem i zwę się Zemsta!—odrzekł przybierając dumną postawę i patrząc ira ponuro w oczy.
Podstarosta popatrzał na Lubomirskiego, jakby go pytał, co zrobić z tą odpowiedzią? ten skinął tylko głową, jak gdyby mówił: Mniejsza z tem a patrzal się bystro w twarz winowajcy.
Podstarosta rzekł po chwili:
— Dobrze.
Potem wziął ze stołu papiery, odczytał mu je i zapytał:
— Czy przyznajesz autentyczność pism owych?
— Przyznaję... i dodam. żeście nie wszystkie znaleźli. Brak tu jest listów Rakoczego, w któ

rych rozwija swej wysoce znamienity plan opanowania Krakowa a potem Małopolski całej; brak listów cudzoziemców, którzy nam pomoc przyrzekli.
— Czy zamiarem twoim było wszystko spełnić, czego tu żądano po tobie?
— Wszystko co do joty, a nawet więcej, bo chciałem i mieszczaństwo pociągnąć całe, któremu odmawiacie praw człowieczeństwa.
— W jakim celu?
— Aby was wszystkich wygubić.
I znów podstarosta spojrzal na starostę, który tą razą nie okazał żadnego gestu i oczy spuścił ku ziemi.
Wszyscyśmy zrozumieli jasno, że Bzowski umyślnie tak oskarża siebie, aby rychłą śmierć wyjednać.
Podstarosta odpowiedział:
— Dobrze.
Po chwili znów spytał:
— Czyś ty zamordował starostę Czorsztyńskiego, Platemberga?
Zaśmiał się dziko —potem wyrzekł:
— Ja,
— Co, co? —odezwano się w tłumie. Podstarosta na to nie zważał, zapisał do akt Potem odchrząknął, jak gdyby do głównego
toku sprawy przystępował, popatrzał w stronę, kędy stał kat i jego pomocnicy, i rzekł:

— Teraz wymienisz nam wszystkich twoich spółników.

— Nie wymienię nikogo.

— Nie?

— Nie.

Podstarości popatrzał na starostę ten kiwnął głową, i milczący dotąd, wyrzekł;

— Katu.

Dano znak dwóm oprawcom. Ci zaczęli go rozbierać.

Ani jeden muskuł nie zadrżał w jego twarzy, był spokojny i ponury.

Gdy mu zdjęto koszulę, zobaczyłem na piersiach szkaplerz.

Zerwał go i podeptał nogami.

W tej chwili zdawało mi się, że zobaczył straszną postać Soboniewskiego, który złamał po nad nim sądu laskę.

Gdy go rozebrano, rzekł podstarości:

— Bierz go kat!

Wówczas dwóch oprawców przywiązało mu nogi do podłogi a do powały ręce i wyciągano stawy.

Podstarości rachował obroty kota.

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm, ośm... i tak do dwudziestu.

Stawy trzeszczały, jakby kto po chruście suchym stąpał.

Twarz Bzowskiego była spokojna.

Podstarostą rzekł:

— Dość.

Po chwili dodał:

— Czy wymienisz współników? Żadnej nie było odpowiedzi. Wydano katu nowy rozkaz.

— Pał go kat!

Przystąpili oprawcy z dwiema gorejącymi pochodniami, każdy po jednej jego stronie, i palili mu boki.

Łęk wydobył się z piersi obecnych, zakryłem twarz rękami.

Bzowski stał, jak słup, z założonemi rękoma na piersiach.

Skóra pokurczyła się i popryszczyła od ognia.

Podstarości narachował do czterdziestu.

I znów to samo zapytanie.

I znów bez odpowiedzi.

— Pał go trzy!—krzyknął wreszcie z gniewem. Kat bryzgnął mu trzy razy płonąca siarką na piersi.

Każda kropla siarki, to jedna rana. Krzyk oburzenia wydały wszystkie piersi potem ponure zapanowało milczenie.

Bzowski omdlał.

Kat wylał nań kubeł wody i wnet przyszedł do siebie.

Odzyskał dawną energią, popatrzał po sędziach i wreszcie rzekł mocnym głosem:

— No szlachetni panowie! nie spoczywajcież jeszcze! Zmęczyło was to kiwanie palcem, któ

rym oprawcy znać dajecie... u może wam żal tych dwóch silnych parobków, co mi wyciągali stawy, albo trzeba nowej podniety, by wasz szlachetny gniew zapłonął!...

— Oh, ty kamienna duszo rzekł wreszcie starosta z oburzeniem.

— Młodzieńcze, miej litość nad sobą—odezwał się doń ksiądz Stanisław.

— Oh, starcze! ja litość nad sobą? Daj mi nóż w rękę. a kawałami krajać będę ciało moje i tym psom głodnym na pożarcie je rzucać,

— Duch to Scewoli w tym młodzieńcu i na szacunek zasługuje—rzekł pan Jarocki wzburzony cały. występując na środek sali;—a choć wiem, że nic mu życia nie ocali, to przynajmniej raczcie mu szlachetni panowie cierpień i upokorzeń oszczędzić. Jam stary żołnierz i widziałem już nie jedno, co ludzi zgrozą przejmują, ale u to patrzeć nie mogę.

— Możecie odejść—rzekł podstarosta.

— Dla czego znęcacie się nad tym młodzieńcem? Dostaliśmy w ręce już wszystkich. On przyznał się do wszystkiego, a nawet powiedział więcej, niż zdziałał, żeby sobie jak najprędzej śmierć wyprosić i zaostrzyć wasze nienawiść. Gdy go wiozł tu. błagał mnie kilkakrotnie, abym mu pozwolił życie sobie odebrać; teraz żałuję, że tego nie uczynił. Mówił to, prawie ze łzami w oczach.

— Szkoda rzekł podstarości możebyś był wasze głową swoją nałożył, a głowa to niebezpieczna, która za takim zdrajcą prosi.

— Prosi za człowiekiem nieszczęśliwym, lecz snadź litość tylko w ludzkim sercu mieszka.

I wybiegł prędko z sali.

Pan Lubomierski siedział milczący i jak gdyby nie słuchał słów Jarockiego, uparcie patrzył w Bzowskiego, nareszcie wyrzekł:

— Wymień że nędzniku wszystkich współników twoich. Niech tu na darmo drogiego czasu nie mitrzęm.

Bzowski popatrzał nań z wyrazem pogardy okrutnej i rzekł:

— Słuchaj że senatorze! jeżeli kiedy sprzedasz ojczyznę więcej dającemu, jeżeli nią zawichrzysz a sąd zawiśnie nad tobą, niech każda para oczu, każde tchnienie piersi, słowo każde ma tysiące sztyletów dla ciebie, za to wyzwanie, które mi ciągle rzucaś.

Wspólnikiem moim było serce, pełne nienawiści dla was, szatani, ciemżyciele, co krew ludu chłepczecie, jak szakale. Były moje talenta i wiedza zdeptane i sponiewierane przez was było poczucie honoru i wyższości, było męstwo i żądza krwi waszej.

Gdyby mi los dotrwał do końca, wygubiłbym was wszystkich i nowym ludem zapełnił wasze grody i dwory, Gdyby mi los dotrwał, postać

światabym zmienił, gdzie honor, cnota i szlachetne dary boże. tron gwejby miały złoty.

Szalone to były żądze i sprawiedliwie, żeby kara wasza, odpowiedziała wielkości mojej zbrodni. Więc dalej katowie, moje ciało pełne jeszcze sił i życia męczcie je... ale nic pytajcie o nic więcej, bom ja nie zbójca, nie opryszek, abym wam współników wydawał... bo tylko śmiechem szyderskim, albo przekleństwem wam odpowiem,

I siadł, odwróciwszy się do nich plecami.

Kazano go wyprowadzić, bo przesłuchiwać miano marszałka i bakałarza Radeckiego, którego w tej chwili przywieziono z Pcimia.

Ksiądz Stanisław nie odstępował Bzowskiego.

Poszedłem za nimi, i jako powinowaty oskarżonego, zostałem wpuszczony do wieży.

Izba to była wielka bez okien, oświetlona słabym kagańcem u góry.

Przykuto Bzowskiego do łańcucha, bo się obawiano, aby sobie śmierci nie zadał.

Stałem w kącie, bom chciał widzieć i słyszeć wszystko, co z księdzem mówić będzie.

Na progu śmierci, miałem się dowiedzieć, czy mam potępić tego człowieka, albo tylko płakać nad nim.

Bzowski siadł na tapczanie, spuścił głowę i patrzył upornie w ziemię, nieruchomy, jak posąg.
Oh, biedne, chore, nieszczęśliwe dziecko, za jakąż przewinę okrutną, ten los ci zgotowano? Czemeś zawinił Bogu, że cię tak z opieki swojej

wypuścił? Dając ci tyle darów swoich, czemuż ci nie dał miłości i w samym pączku ten kwiat piękny zwarzył i zniszczył! Oh, czemuś szatanowi zemsty poszedł w służby, szalony, nieszczęśliwy młodzieńcze!

Bzowski jak gdyby go nie słyszał.

Starzec trącił go zlekka w ramię.

— Synu.

— Czego chcesz?

— Nie myślisz o tem, że się może niedługo w innym świecie zobaczysz?

— Wiem—i dziękuję za to Bogu.

— I mówisz to tak chłodno młodzieńcze? ty, któryś zaledwie krok postawił na drodze życia. Czy nie pozostawiasz za sobą nikogo, coby płakał po tobie?

— Nikogo.

— Oh, młodzieńcze! podziwiałem w tobie hart niezłomny, rozum dojrzałego człowieka, cześć dla cnoty i prawdy a litość dla niewoli... i te wszystkie bogate dary utopiłeś w ohydnej zemsty kałuży.

— Tak.

— Dla tej chuci nieludzkiej, własną matkę poświęcił, potargałeś węzły miłości i przyjaźni, zapałeś się wszystkiego, czem oddychałeś od ko łebki. Przekazałeś potomnym imię swoje na przekleństwo i wzgardę.

Bzowski podniósł głowę, potem się zaśmiał szyderczo—wreszcie smutnie pokiwał głową i rzekł:

— starcze! dla słabych zmysłów twoich, obszar ludzkiego ducha za wielki, abyś go objąć zdołał. Czyś kiedy czuł w sobie potężne pragnienia czynów wielkich? Czy twoja dusza marzyła o dobru wszechludzkości? Czyś był przeświadczony o wyższości bożego ducha w sobie po nad poziom tych małych, nędznych karłów, którzy cię otaczali... i czując to wszystko w sobie, gdyby ten rej robaków wypijał ci krew z serca i mózg wyżerał z czaszki... czy stałbyś obojętnie i nie zapragnął go rozdeptać? We mnie wrzały tysiące serc uciśnionych i deptanych nieludzko, podniosłem okrzyk zemsty w imieniu wszystkich.

— Mylisz się młodzieńcze, ty brudnej chuci twojej stawiasz kruchy budynek pozorów, wywieszasz chorągiew uciśnionych. I gdzież to ich znalazłeś? Czy rozbójnicy, którzy poszli pod twe rozkazy i którzy cię zdradzili przed obawą karni, godni byli tej nazwy? Czy jedna uczciwa dusza rękę ci podała? Nie. Wszyscy szlachetni odstępili ciebie ze wzgardą i przekleństwem; tylko wrogowie ojczyzny dłoń ci haniebnie podali, lecz Bóg nie dopuścił tej kłębki. Słuchaj mnie dziecko moje i wierz starcowi, który dziś, jutro podąży za tobą w lepsze światy. Widziałem ja dużo ludzi, których haniebnie kolcami losu, a godni byli, by im fortuna kwieciem uścielała drogę. Widziałem, jak w walce krwawej wyczerpywali siły ducha, jak padali pod brzemieniem nieszczęścia, ale widziałem w nich wiel

kie chrześcijańskie cnoty, których tyś nie posiadał, miłość i poświęcenie; i ten sam tłum, który ich deptał i targał bezwiednie, był potem z rozpaczą nad ich grobem.

Zbudź w sobie tę iskrę synu, która tam spi na dnie serca twojego, nie daj szatanowi pychy, by cię poprowadził w tę drogę wielką, z której już się nie wraca. Dziecko biedne, nieszczęśliwe, nie daj mnie starcowi, co cię pokochał jak syna, spędzić resztki dni w smutku, nad biedną duszą twoją. Okaż światu, nim zeń zejdziesz, wszystkie te dary, w które cię Stwórca ubogacił.

— Przeceniacie mnie ojczyste, ja nic z tego wszystkiego nie mara w sobie. Nienawiść i obrzydzenie mara tylko i z temi ranie w grób położyć.

Chcesz że, bym tu odegrał z tobą komedię skruchy i żalu? na co? po co? dlaczego? Śmierci się nie lękam, niech przybywa, wołam jej spragniony, bo ona dobrodziejstwem dla ranie,

Tybyś wolał, abym jak zwyczajny rozbójnik, bił się w piersi przed szubienicą, a potem uprosił kata, aby mnie przyjął za swojego pacholka?

Umieram z wiarą niezłomną, że to, com zdziałał, zdziałam dobrze, i więcej nio już odemnie nie usłyszysz.

— Dobrze więc. pędź do kresu, kres to już niedaleki. Za parę dni, tygodni, stanie tu oprawca, aby cię poprowadzić na śmierć haniebną, okrutną—ja będę przy tobie aż do ostatniej chwili, ja kapłańską szatę swoje splamię oddechem kata

a niebie nie odstąpię, nie odstąpię cię synu, póki mi nie dasz łzy. łzy jednej żalu i skruchy.

Głos tego świętego człowieka przenika! do głębi, poruszył też i Bzowskiego, bo wyszeptał;

— Oh, starcze!

— Patrz synu drogi, ja Chrystusa sługa.. tego, który na krzyżu za nas umarł, a wrogom swoim przebaczył, jam mocen rozgrzeszyć cię i błogo słać na drogę wieczną. Jakżebyś stanął czarny tam, przed obliczem twej matki, która cię tak ukochała... a którą zobaczyć pragniesz.....

jakżebyś stanął z tem piętnem ohydneho gniewu? Czyż by ona tam po raz drugi nie przeklęła ciebie i nie odtrąciła na wieki?

— Oh, matko moja biedna!—jęknął Bzowski.

— Synu drogi! wesprzyj się na mej piersi i ulżyj zboląlej duszy.

— O tak, matkę moję zabiłem—rzeki, łkając. —Niechże mi się stanie to, co mi jest przeznaczonem. Dziękuję ci ojczyste, żeś duszę mą zbudził. Nie—ja nie zło. ja dobro ludziom nieść chciałem. Niestety, chęci nie odpowiedziały czynom.

— Niestety—powtórzył starzec.

— Niech inni dokończą dzieła odrodzenia. Potem wziął księdza za rękę.

— Słuchaj starcze. Niedługo pewnie moja godzina wydzwoni, a nie chcę odejść, nie zdziaławszy nic dobrego na świecie. Słuchaj starcze... Dwoje ludzi mnie kochało... a ja im wzgardę rzuciłem. Powiedz im, niech mi przebacza.

Niech

się podzielił mym majątkiem, niech się połączą i niech będą szczęśliwi... Scipio i Salomeja.

— Mój synu drogi...

— Żegnaj mi ojczyste. Siedząc w swym cichym domku, kiedy noc pokryje wierzchołki gór waszych, tych gór, gdzie m raz pierwszy był szczęśliwy, gdy wieher smutno zawyje, pomyśl że tam mo)ja dusza się skarży, i zmów zdrowaśkę za mnie. Oh, bo źle mi było na świecie!

— Oh, czegoż bym nie dał, aby cię wrócić! Takim byłbyś wzorem człowieka.

— I jest nim, pomimo błędów swoich—rzekłem cały wzruszony, zbliżając się ku niemu. ,

Tyś tu?

— Jam. Przebaczam ci. boś ty najnieszczęśliwszy z ludzi.

Rzuciłem mu się w objęcia i płakałem, jak dziecko.

Pierś wezbrana nie mogła się powstrzymać. Starzec patrzył na nas i lzy ocierał. Wszystkie dni szczęśliwe przeciągnęły nam w pamięci.

Zerwałem się jednak szybko, bo mi ocalenie jego spokoju nie dało i oczekująca tam Salomeja.

— Miej nadzieję Szymonie i słuchaj głosu tego świętego człowieka.

Wybiegłem i popędziłem, jak szalony, do klasztoru Bernardynek.

w parlatorium zastałem już Salomeję oczekującą na mnie.

Ubrana była w skromną czarną sukienkę. przy której dziwnie odbijała jej twarz błada.

Przez te kilka tygodni walk, cierpień i udręczeń, zmieniła się dziewczeczka moja.

Stała się wysmukłą, jak lilia.

Cera jej twarzy okraszona niegdyś rumieńcem, przybrała jak gdyby jaką przezroczystość, oczy błyszczały dziwnym światłem, a były duże. ale czasami niby przez mgłę patrzące.

Gdym wszedł, rzuciła mi się na szyję i udarzyła pocałunkiem.

Dziwna. Dawniej za taki pocałunek oddałbym połowę życia. Dziś stałem przed nią, jak gdyby zawstydzony i pogiębiony.

Wielkość jej duszy przygniatała mnie.

Dawna Salunia ze swym szczebiotem dziewczęcia, acz smutnego, ale żądnego życia i miłości, poruszała we mnie krew wszystką; dzisiejsza budziła podziw i cześć wysoką.

Czułem się wobec niej małym robakiem, któremu się z laski i jakby przez litość, okazuje przychylność jakąś.

— Jesteś smutny — rzekła. — Cóż się tam dzieje? Opowiedz mi. Ja tu liczę minuty i sekundy, a każda wiekiem dla mnie.

— Oh Salomejo. ten nieszczęsny człowiek sam zaostrza topór, który w niego ma ugodzić.

I tu opowiedziałem jej wszystko, czego byłero świadkiem przed chwilą.

W miarę tych okropnych obrazów, które przed jój oczy stawiałem, twarz jej mieniła się, jak gdyby te wszystkie męczarnie, jakie mu zadawano, ten gniew jego, to oburzenie i ten stoicyzm, odczuwała w swem sercu głęboko.

Gdym skończył, rzekła:

— Tak być musiało. Wiedziałaś, że takim będzie. Duma i nienawiść uczynią go kamiennym. Dla dumy potarga wszystko i zdepcze nogami nawet to. w co wierzył życie całe. Oh, okrutny! bogdaj ten podeptany talizman nieszczęścia mu nie przyniósł. Poszłam ślepo, za radą tego starca, co tam umierał na barłogu, bo jego słowa były natchnieniem z nieba., ale czy nam się uda spełnić drugą część zadania? Czy go wrócimy światu?

— lióg dobry i sprawiedliwy — rzekłem.

— Teraz Krzysztofie, mój przyjacielu, mój bracie, zobaczysz, co cię zdziwieniem wielkim przejmie. Nie potępiaj za to nikogo, bo to była konieczność. Twoje poczciwe serce oceni ją łącno, skoro pozna przyczyny.

— Co chcesz mówić Saiomejo?

— Zobaczysz.

postąpiła hu drzwiom, co prowadziły do łcurytamy klasztornych, otworzyła je na rozcież. a za chwilę pokazała się w nich Bzowska.

Skamieniałem... pot mi wystąpił na czoło, a ręka mimowoli nakreśliła znak krzyża. Bzowska!...
Była ubrana według reguły zakonnej, postarzała o lat piętnaście.
Kosmyki włosów białych jak mleko, dobywały się pod zakonnego czepca.
W ruchach tylko i w chodzie zachowała dawną powagę.
Cofnąłem się przerażony, lecz Salomeja chwyciła mnie za rękę.
— To ja, panie Scipio rzekła ze smutkiem głębokim, a głowa jej się trzęsła i w głosie jak gdyby drzenie jakiegoś czuć było.
— Umarłam dla świata, lecz nie umarłam dla udręczeń, jakie zniosłam i jakie mnie jeszcze czekają w życiu.
— Po cóż ta tajemnica?—rzekłem.
— I cóż mi czynić pozostało? Nie miałam odwagi patrzeć w oczy ludzkie, jak jej nie mam dotąd, złamana cierpieniem i rozpaczą, straciłam siły, ażeby biedz za nim wraz z wami.
Powinnam go była zamordować, nim zrzucił z siebie więzy, a potem zabić się sama.
Chciałam. Ona mnie powstrzymała.
Gdy uszedł ze zbójcami, padłam nieżywa. Ona mnie przywróciła do życia, alem już zdrowia nie odzyskała, bo patrz synu, głowa moja jak gdyby na zawiasach.

Ona to potem kazała mi się zamknąć w tej trumnie i umrzeć dla świata, dopóki mi syna nie wróci.
Wy dwoje wiecie o mojem istnieniu, i was dwo. je zamknie moje powieki na zawsze, albo wraz z mojem nieszczęsnem dzieckiem będę dźwigała kajdany życia, okupując pokutą jego zbrodnie i słabość moją.
Przebacz mi synu. przebacz matce nieszczęsnej, że nie umiała umrzeć w porę I ludziła się zawsze nadzieją tak, jak i dziś się ludzi, że go jeszcze uratować można.
Nie potępiaj nieszczęsnej, co zgrzeszyła zbytmię miłości...
Widziałeś moje życie i widziałeś walki, jakie staczałam...
Widziałeś, jak ten okrutnik mimo przywiązania do ranie, łamał niemiłosiernie moją siłę i energię.
Zaslepiła mnie miłość macierzyńska, to prawda. Zgotowałam mu raz upokorzenie straszliwe, pociągnięta chucią zemsty, ale jakże gorzko odpokutowałam za to!..
Nie dziw się. byłam kobietą tylko, obrażaną i deptaną w najświętszych moich macierzyńskich affektach, lecz drogą honoru szłam zawsze i prowadziłam po niej to wyrodno dziecko, a miłość ojczyzny kładłam po Bogu najwyżej w jego duszy.
Bobaka złego, co się tam lągl w tem sercu pel

nem goryczy, nie miałam siły zabić, na to było trzeba męskiej energii i wielkiego rozumu...
jego talenta oślepiały mnie iak, jak oślepiały wszystkich, zdało mi się, że popełnię świętokradztwo, skazując go na życie ciche ziemianina, i rzuciłam go w wir świata zepsutego, ale i tu powodowana więcej wolą królewską, niż własną.
Potępisz że mnie synu?
Stałem milczący, patrząc na tę kobietę nieszczęsną, a w duszy rozgrzeszyłem ją za winy, boć nie były tak wielkie.
— Dzieci moje drogie—rzekła, łkając i rzucając się przed nami na kolana—czy dacie mi jeszcze chwilę radości przed skonem, że zobaczę syna mego?
— Powstańcie, pani. Krew i życie poświęcę, aby go ratować. Miejcie w Bogu nadzieję. Są jeszcze serca u nas, co wyrozumieć potrafią, jakie to pobudki popchnęły na tę drogę tego człowieka nieszczęsnego. Młodość jego i zbyttnia krewkość, oto winy, któremi zgrzeszył, a za które przecież nie daje się gardła, jak zbrodniarz w ziem wytrawny.

Do króla nam spieszyć trzeba.

Będzie tak nieludzkim Jan Kazimierz, że wyda na śmierć i męki krew brata swego?

Nim tu wyrok za]adnie. który oni posłać muszą do potwierdzenia królowi, my już tam być musimy, aby przygotować grunt i ułaskawienie wyjednać.

— Saluniu, czy będziesz jeszcze miała tyle siły?

— Czy ją będę miała? starczyło jej na coś więcej, a tyby miało mi jej zabraknąć?

— W waszem ręku życie nasze. Niechże on nie dowie się o mem istnieniu, dopóki ułaskawienia nie przywieziecie.

Gdy ma paść jego głowa, niechże padnie wraz z moją. Wtenczas tylko tam spotkać się możemy.

jakże wielkie pokładała zaufanie, ta dumna kobieta, w miłości tego dziewczęcia!..

Wielbiłem ją też i podziwiałem, a gotów byłem za nią pójść wszędzie, bo ta jej siła poświęcenia dla niego i na mnie podziałała tak, że się jej poddałem duszą całą.

Podróż nasza tym razem miała odbywać się jawnie, we własnych osobach.

Trzeba było pomyśleć o wygodach dla Saluni i trzeba było postarać się o jaką poważną matronę, coby dla ludzkich oczu opiekować się nią mogła.

Zgodziła się na to imię pani Sobecka, wdowa po podsędku bocheńskim, z którą się zapoznałem w Krakowie, kontenta niezmiernie, że tanim kosztem zwiedzi Warszawę.

Łechaliśmy, jak wicher, ubitym traktem krakowskim.

Wesele, jakim cały naród się cieszył z beresteckiej wiktoryi. rozproszyło pomału nasz smutek i otucha do serc weszła.

Wszędzie na popasach i w drodze, spotykaliśmy szlachtę pospolitego ruszenia wracającą do domów.

Słyszeć można było o wielkiej energii i odwadze króla i o cudach rycerskich księcia Jeremiasza. przy których znów powtarzano nazwisko, co w niedługim czasie miało zaćmić wszystkie inne, nazwisko naszego Czarnieckiego.

Było to pierwsze pole. gdzie jego wielkie wojenne talenta zajaśniały w całym blasku. Odtąd już czyny jego miały być wypisane w sercach narodu niezatartymi zgłoskami.

Dowiedziałem się też. że ów imię pan Dębicki, który to u Belchackich tak podszczywał na Bzowskiego, był obrany w obozie marszałkiem koła rycerskiego, i on to wymową swoją i popularnością, potrafił nakłonić do oporu szlachtę i przyniósł mu do namiotu ultimatum, że nie pójdą dalej ścigać kozaków.

Za takie czyny, niema kar w księdze ustaw, niechże chociaż potomność piętnem je hańby naznaczy.

Powitano mnie na dworze z wielką serdecznością.

Żabicki nie posiadał się radości. Jemu też zwierzyłem się z ciężkich kłopotów naszych i on obiecał nam wyrobić audyencyą. Nie uwierzysz powiada ile tu trzeba

sztuki użyć. ażeby we właściwą porę uderzyć do tego dziwnego człowieka, u którego humor zmienny bywa. jak pogoda marcowa. Przedewszystkiem. trzeba nam pozyskać Gremboszewskiego.

— Któż to taki?

— To człowiek od smutku, jak Ziemia jest od zabawy.
— Co mi ty prawisz?
— A no zobaczysz. Gdy król chce się śmiać i bawić, wzywa Ziembę, gdy chce płakać, woła Gremboszewskiego, modlić się jest ojciec Tyrawski. o sprawach państwa radzić wchodzi królowa, grzeszyć—jest Radziejowski. Każdy tu w swoim zakresie rozciąga nad nim władzę i jedni drugimi pomagają. Najuczciwszym jednak ze wszystkich jest Gremboszewski, bo władzy swej na dobre używa tylko.
— Czy to nie ten, co to na skrzypcach mu grywa?
— Ten sam. Dziwnym trałem dostał starostwo urzędowskie po Bzowskim, niechże broni swojego poprzednika.
— ha. prowadź mnie do tego Gremboszewskiego.
W oddalonym pawilonie zamkowym, tuż nad samą Wisłą mieszkał Gremboszewski.
Wybraliśmy się rankiem, aby go w mieszkaniu zastać.
po południu zaczynała się jego służba przy królu.

Gdyśmy się zbliżali do drzwi, posłyszeliśmy muzykę. Przystanęliśmy i słuchali.
Muzyka to była dziwnie piękna i rozczulająca.
Te skrzypce płakały i żaliły się jękiem, co za serce człowieka chwycił.
Niekiedy, jak słaby oddźwięk odzywały się w nich tony miękkie, pieszczące ucho przedziwnie, niby nadzieja jakaś błoga i uspokojenie, poczem przychodził znów zgrzyt rozpaczony lub zwątpienia.
— Z tego instrumentu, jak gdyby dusza ludzka przemawia—mówię do Żabickiego.
— Bo też to tak jest —odpowiada. —Czarodziej to istny. Całe poemata w swych skrzypkach kryje. To. co wylewamy z duszy przez wiersze, on przez tony dobywa.
— Toż i nie dziwię się, że król takiej muzyki słuchać lubi, bo jaby tu stał do wieczora.
Muzyka ustała—zapukaliśmy do drzwi.
— Kto tam? —zapytano.
— Gość i przyjaciel.
— Proszę w progi—rzekł, otwierając.
Był to człowiek wysokiej powierzchowności, lat trzydziestu, bladej twarzy, ciemnych włosów i brody, melancholicznego wejrzenia, z dziwnie słodkim i miłym głosem.
Izba jego była obszerna, zawałona nutami i muzycznymi instrumentami—wszystko pokryte kurzem i w nieładzie leżące.
Sam pan, do połowy tylko ubrany, niedawno co powstał z łoża, które nieusłane było.

— Nie gniewajcie się, żeśmy wam przerwali pracę. Wysłuchaliśmy najprzód poddrzwiami całą piękną pieśń wasze, rozczuleni i z uwielbieniem wielkim, jednak ważność sprawy, z jaką do was przychodzimy, nie pozwoliła nam lubo z żalem wielkim dalej oddać się tej rozkoszy.
— już skończyłem zwykłą moją ranną pracę i jestem do waszych usług.
Zaprezentował mnie Żabicki.
Znał on mnie już z opowiadań kolegów i przyjął bardzo miłe.
Opowiadanie moje o Bzowskim, przyjął z takim współczuciem, jakby go to dotykało osobiście.
— Widziałem ja w tym młodzieńcu powiada —wielkie talenta. Muzykę lubił i rozumiał, jak gdyby sara był w niej mistrzem, a kto muzykę miłuje, złym być nie może. Grał na klawikordzie i śpiewał ładnie. Muzyka uszlachetnia człowieka. Kunszt to bożki, dany ludziom po to, aby ira przypominał ich pochodzenie. Muzyka i tyranów w łaskawych zmienić umie.
I jał wywodzić pięknymi słowy, czem to ta muzyka w umiejętnych rękach stać się może. Zdało nam się, że Orfeusz jaki przemawia, a lico mu promieniało, jak u kaznodziei.

Mimo to staliśmy, jak na szpilkach, boć sprawa była paląca.
Gdy wreszcie wyłożył nam swej traktakt, rzekł ze stanowczością:

Będę prosił króla za Bzowskim i mam w Bogu nadzieję, że go od haniebnej śmierci wyproszę. Bądźcie dziś po południu. Dam wam znać przez pokojowca Strojnowakiego. abyście weszli w właściwą porę. kiedy ja króla nakieruję i instancją za nim wniosę.
Czekaliśmy, licząc sekundy.
Żabicki tymczasem już wywiedział się od Drzewieckiego sekretarza przy referendarzu koronnym Laskowskim, że wyrok na Bzowskiego już do Warszawy nadszedł.
Leciliśmy z nim w przegony.
Starosta nie zasypiał sprawy.
Pisał gorąco do referendarza o pośpiech, kładąc główny powód, że zbuntowani górale chcą odbić więźnia na Wawelu. Tylem lat przebył w Zamku warszawskim, a nie wiedziałem o owych skrytkach, zakamarkach, krętych schodach, którymi nas Żabicki z Salomeją prowadził.
Nie widziała nas żywa dusza, bo tak i trzeba było.
Szpiegostwo tu rozpostarło się tak wielkie, że mysz się nie dostała do zamku, aby o niej niewiedział Radziejowski, królowa lub marszałek.
Gdyśmy już stanęli na miejscu. Żabicki nam otworzył drzwi z klucza i znaleźliśmy się w małym pokoju, którego okna wychodziły na Wisłę.
Za nieboszczyka króla mieszkał tu właśnie ów Trzebuchowski, co to biedaczysko zwaryował

z żalu po dobrym panu, a miał pod swoim nadzorem zbrojownię królewską dziś izba ta opuszczona była składem królewskiej niektórej pośledniejszej garderoby.
Z tego pokoju, prowadził długi kurytarz. który się kończył kotarą.
Uchyliłem jej. zajrzałem patrzę, a tam król siedzi z fraucymerem i Ziembą i gra w karty.
Cofnąłem się przestraszony, a Żabicki mówi:
— jeżeli chcesz możesz posłuchać, jak się pan nasz zabawia—a my z panną Salomeją, pójdziemy do pokoju paziów, zkąd nas wprowadzi Gremboszewski do króla.
Zgodziłem się chętnie i już stałem jak przyrosły do miejsca, a było ono tak dogodne, że z boku widziałem i antykamerę paziowską a przed sobą króla i jego towarzystwo.
Było ich dwie—La Marinier i Lussé.
Siedziały po obu stronach króla.
Ziembra uwijał się na około stołu.
Grano w drużbarta.
Była to ulubiona gra królewska, a grywał w nią słabo i potem gniewał się. Tym jednak razem był w miłym usposobieniu.
— Patrzaj że Maryniu! (tak nazywał de la Marinier). Widzisz, jak to się dobrze składa—rzekł, biorąc karty i tłumacząc w dalszym ciągu rozmowę, której początku nie dosłyszałem —Lussy zabiła starszą, to Chmielnicki pod Beresteczkiem ja zabiłem go królewskim drużbartem a Ziembra

przykrył to wszystko dolą i w dodatku okulary mi pisze na urąganie.

— Więc na cóż się twoje zwycięstwa przydały królu?—rzekła Francuzka,—Nudna gra, nie cierpię jej.

— Bardzo zabawna. Patrz tylko; Te siódemki, których zabić nie można niczem... a im więcej ich w ręku, tem bieda większa nie sąż to szlachta braty, w obec których tuze. króle i wyźniki, wartości żadnej nie mają.

— Nędzne siódemki, grajmy l'hombra królu.

— Oui! l'hombre c'est un tresjoli jeu! rzekła Lussé swoim słodkim głosikiem.

— Ale ja pieniędzy nie mam moje gołąbki, wszystkoście już tryszakiem ze mnie wyciągnęły.

— Znów ci królu powtórzą swoje ulubioną piosneczkę. Wygraj—nie masz do nich szczęścia. Przegraj tylko a dużo uśmieszkiem ładnym płacą.

— To nie może być inaczej mój Ziembo. Za uśmiech ich płacić trzeba. Dajże mi jeszcze kilka dukatów i zaczynamy l'hombra.

— Na kilku się nie skończy. Wkr. mość źle grasz.

— Zobaczysz —odrzekł król. rozdając karty.

— Cliyba wam panie pomagać będę. Wkr. mość dajesz się im łapać na jedno mgnienie fałszywe.

— Prawisz brednie Ziembo, to ja je wikłam w sidła.

Ziemba biegał od jednej osoby do drugiej, podglądał karty, co Francuzki gniewało i niecierpliwiło bardzo wreszcie krzyknął królowi nad uchem:

— Kralką panie.

— Głupiś aść. Widzisz, kralka się na to przydała. Zgarniam im moje przegrane dukaty. Lusse rozdaj karty.

Ale Lusse zatrzęsła się ze złości i syknęła przez swoje ładne usteczka:

— C'est mal.

— już pobladły—rzekł Ziemba. Rozegrano —i tyro razem znowu król był szczęśliwy, co go w złoty wprawiało humor.

— Może przestaniemy panie—rzekła de la Mariniere.

— Nie. wszystkie pieniądze wam zabiorę.

— Mój ostatni dukat—rzekła de la Mariniere, kładąc go na stół z przyciskiem.

— To znaczy, że teraz wam przegrać królu wypada.

— Nie mam litości. I to moje. Cóż nie grasz Maryniu? Ziemba ci pożyczę.

— Moje pieniądze szczęście przynoszą, gotowa się odegrać.

Król się śmiał, Francuzki gniewały, a Ziemba strzelał wciąż konceptami, gdy wszedł referendarz koronny.

Trzebaż było trafu szczególnego, że właśnie teraz wejść musiał.

Król zobaczywszy go. posmutniał nagle.

— Oho, to i po mojem szczęściu rzekł. —Zawsze ono tak krótkie.

— Miłościwy panie, a wszakże to wy szafarzem jego odpowiedział referendarz, kłaniając mu się z uśmiechem, jak gdyby za łaskę jakąś dziękował.

— Więc tylko dla drugich przyprowiać je umiem. a sam mam być głodnym zawsze? Ha. niechże i tak. Cóż mi powiecie referendarzu?

— Smutny spełniam dziś obowiązek. Z wyrokiem śmierci przychodzę, do podnóżka tronu wkr. mości.

— Z wyrokiem śmierci rzekł król, zrywając się z siedzenia, a przeżegnaj że się waszmość. Dla kogo ma być ten wyrok?

— Dla Kostki Napierskiego. Mrowie mnie przeszło.

— Dla czegoż z tem do mnie?

— Wiecież miłościwy panie, kto ów herszt Kostka Napierski, co tyle wrzawy narobił? to nie byle homo, to były dworzani nieboszczyka króla i jego bękart—to Bzowski.

Nastąpiło ogólne przerażenie.

— Bzowski, to mu z oczu patrzało rzekł Ziemia.

— Bzowski!—zakrzyknęły Francuzki.

— Ach, przez Bóg żywy i wy chcecie, żebym ja go na śmierć skazywał? "

— Tak miłościwy panie ja imieniem całej

Rzplitej błagam cię o to odpowiedział referendarz.

— Nigdy! nigdy! A to dopiero! Cóż to waści w głowic? Czym to ja król Herod, co niewinne dzieci morduje? Wszak to syn mego brata. I cóż wam zrobił ten Kostka? nahałasował trochę, aby wam strachu napędzić i na tem koniec. Wszak nie zabił nikogo?

— Nie ujrzysz już Platemberga królu.

— Platemberga? Tego tłustego Platemberga? Cóż mu się stało?

— Padł pod żelazem Kostki.

— Oh, to szkoda człowieka. Taki dobry towarzysz. A po cóż on mu tam włożył w ręce?

— Poszedł bronić swego czorsztyńskiego zamku i jako bohater padł ze zbójckiej ręki.

już chciałem wybieść z mej kryjówki, aby paść do nóg królowi, a referendarzowi fałsz niegodny zarzucić, ale cóżby się było stało?

Platemberg wylizywał się z bizunów i jeszcze długo starostował potem w czorsztyńskim zamku.

Słuchałem dalej.

— Szkoda chłopca... Oh, szkoda!—biadał król. No, ale tak samo i Kostka, mógł zginąć w walce. In fundum go posadzić ale na śmierć nigdy! nigdy!

Dobre serce królewskie zawsze odczuwało prawdę w pierwszej chwili, dopiero niegodne wpływy ludzkie, umiały zachwiać jego szlachetne popędy.

Tak bywało w wielu razach.

I już sprawa zdawała się skończoną.

Król siadł napowrót przy stole i zaprosił Francuzki do gry, gdy referendarz jakby zbierając się na odwagę i postanowienie przemówił z wielkim naciskiem:

— Przebaczcie mi panie, ale zmuszony jestem tu wypowiedzieć, co ogół szlachty całej głosi o tej nieszczęsnej sprawie.

— Cóż głosi?

— Kostka w waszem imieniu panie, wydawał uniwersały. Pisał, że idzie się bić za was na szlachtę.

— Za mnie? Szalony dzieciak. I cóż mnie to obchodzi. że on to mówi? Wszak to fałsz?

— Fałsz... ale ludziom nie zamknie gęby gołosłownem twierdzeniem im potrzeba przykładu, i od was panie go oczekują.

— To ja dla kilku krzykaczy mam przelać krew człowieka, co może i zawinił wiele, ale młody, dziecko prawie, któremu wąsik zaledwie odrósł pod nosem. Do karceresu go zamknąć na chleb i wodę—niech ochłodzi. Wszakże on węzłami krwi związany ze mną? Tego nie będzie.

— Nie kilku to krzykaczy, ale ogół cały tak mówi. Pomyśl Najjaśniejszy panie, na co się na' razić możesz? Czy wiesz królu, jakie zbrodnicze myśli kłębiły się w tej głowie? zgroza pomyśleć o tem. Cały stan szlachecki miał wygubić. Rakocy i Chmielnicki mieli mu przyjść z pomocą.

Całe Podhale, ziemia Sądecka, górale tatrzańscywszystko to chwyciło za siekiere, wymówiło posłuszeństwo swym panom. Wielkopolska i ziemia Sandomierska poszły w ich ślady. Tam już krew się polała panie. Gdybyśmy nie schwytali tego herszta, kto wie, czy wróciwszy z pod Beresteczka. znaleźlibyśmy jeszcze nasze domy, żony i dzieci. To sprawa straszna panie i lekceważyć jej nie można, ani zwlekać dłużej. Wieści krążą do koła, że chłopci ciągną pod Kraków, chcą go odbić. Cała załoga dzień i noc czuwa. Dla przykładu panie, skończyć trzeba. Król był nieugięty.

— Dla przykładu, dla przykładu. Krew pochopnie przelana nigdy dobrych owoców nie zrodzi.

Przeszedł się parę razy po komnacie.

— Zobaczę... namyśle się,, poradzę... czekać trzeba.

Wtem wsunął się do komnaty Radziejowski.

Chodem kocim kiwając się na oba boki. postąpił z uśmiechem ku królowi.

Chodziły teraz na dworze o nim dziwne wieści.

Ze król rozkochany w jego żonie, niegdyś pani Kazanowskiej marszałkowej; że on patrzy na to przez szpary, a nawet życzliwy temu.

Inaczej trudno było wytłómaczyć tych łask wielkich, jakich mu król nie skąpił, mimo. że zalał mu za skórę szelmostwem swoim pod. Beresteczkiem.

— Patrzno pawie krajczy —rzeczy król jaki mi tu pasztet pan refendarz zgotował.

Radziejowski popatrzał na wyrok i rzekł z powagą i stanowczością.

— Przecież!

— Co? i ty pochwalasz tę karę?

— A jakże można inaczej? Wkr. mość się wahasz. Toż człowiek godzien nie jednej, ale tysiąca śmierci. Zdrajca, jakiego nie było jeszcze. Przekupiony przez Chmielnickiego. Poprzysiął nam zemstę. Gdy takich karać nie będziemy, to w cóż się już obróci powaga tronu i Rzplitej!..

I to mówił Radziejowski... ten sam, który w niespełna lat parę po tych słowach, zalał nas morzem krwi i gwałtów, jakich Polska nie oglądała jeszcze, sprzedając ojczyznę Szwedowi.

Król pod wpływem tego jadowego języka, zawahał się i westchnął głęboko.

— Biedny, obłąkany człowiek—rzekł smutnie. Radziejowski rozłożył wyrok na stole i podał królowi pióro.

— Tego mi brat na bozkim sądzie nie przebaczy.

— On postąpiłby tak samo.

— Oh, nie! on kochał tego chłopca... i ja lubiłem go bardzo, choć dworzan moich paru obciął. Schwycił on dużo z braterskiego animuszu.

Król wziął pióro z rąk Radziejowskiego.

— Tylko co tam było wielkiem i majestatycznym, tu przybrało cechy sprośnej, hajdamackiej

gminności. Nie widziałem jak długo żyję, tyle pychy i zapamiętałości, jak w tym młodzieńcu mówił Radziejowski, a w tych jego słowach, całą nienawiść dla Bzowskiego czuć było.

Nie mógł mu darować Rufiana,

Król stroskany siadł przy stole, umoczył pióro w inkauscie i zabierał się nakreślić podpis, gdy Ziemia stojący dotąd obojętnie i przysłuchujący się tej rozmowie, rzecze w głos do de la Mariniera:

— I wy nie prosicie za nim, wszak to adonis wasz dawny?

— Co Maryniu? Tyś tego Kostkę kochała? On ci miłym był niegdyś rzekł król, kładąc pióro i biorąc ją w objęcia.

— Ja?—wykrzyknęła Francuzka, cofając się.

— Ha. w takim razie, włoska mu z głowy zdjąć nie dam i wstał z krzesła i postąpił za usuwającą się Francuzką.

— Do szatana! czyż zawsze królowie będą tylko krzykaczy sługami. Niech jedzie na wygnanie! Świat szeroki—niech jedzie.

— Niech ginie! krzyknęła Francuzica. Ja was proszę o to Najjaśniejszy panie, Potwarz niegodna. Widywałam go na dworze i odrazę czuję do niego zawsze. jeżeli mara łaskę u was panie, błagam teraz tembardziej: nie ociągajcie się z wyrokiem—taka potwarz uwłacza mojej dobrej sławie. A potem, to zdrajca niegodny i niebezpieczny krajowi. ?yć nie powinien.

Zkądże ta nienawiść sroga? Zdradził cię dla innej Maryniecisko?

— Najjaśniejszy panie, przysięgam ci, że tego człowieka nienawidziłam zawsze.

Wnętrznosci mi się przewróciły, patrząc na tę zmię.

Ziemia też nie mógł już wytrzymać, bo zaśmiał się po dyabelsku i rzecze do referendarza:

— No, ta przejdzie kiedyś szatana.

— Dziwne, dziwne —rzekł król smutny,—kiedny Kostka, niema nikogo, ktoby po nim zapłakał.

Wtem jakby sobie coś przypomniał, rzekł prędko:

A jegoż matka nieszczęsna kobieta, której wydarto wszystko, a której poleciłem z mego stołu dożywotnie utrzymanie!

Ozy ona aby pobierała to wszystko? Wołajcie mi podskarbiego.

— Ta kobieta umarła rzekł referendarz. Syn jej wyrodny, stawszy się zdrajcą ojczyzny, zgon jej przyspieszył. Umarła, przekolinając go, bo była kość z kości i lcrew z krwi szlachetną.

— Niechże mu Pan Bóg przebaczy.

Siadł, podpisał i oddając papier referendarzowi;

— Odejdźcie teraz wszyscy. Zawołaj Gremboszewskiego.

Wpadłem do antykamery, donosząc Żabickiemu, co się stało.

— Bądź spokojny rzecze ja w tem. że ten wyrok wyjdzie z kancelaryi, już po podpisaniu ulaskawienia.

Przyszła pora na smutek, pomyślałem sobie i znów skoczyłem do mojej kryjówki. Wszedł Gremboszewski, Król chodził długo po pokoju, przystawał, myślał, potem znów chodził, wreszcie zatrzymawszy się przed muzykiem, rzecze:

— Powiedz mi Gremboszewski. czy ja dobrze zrobiłem, biorąc koronę?

— Nie panie.

— Więcem niezdolen być królem?

— Ty Najjaśniejszy panie? ty jesteś wzorem króli. Tak dobrego pana Polska nie miała jeszcze i dla tegoś korony brać był nie powinien.

— Prawdęś powiedział, korona cierniowa mi się dostała. Mój Boże, patrząc na rządy Władysława, tak spokojne i szczęśliwe, zazdrościłem mu, a dziś, ja biedny sternik na tem burzliwym morzu, podobać mu nie mogę.

— Mała tu zaszła pomyłka w sferach niebieskich. Wy panie powinniście królować za Władysława czasów, a Władysław za waszych.

— Co mówisz Gremboszewski... wołałbyś, żebym już nie żył w tej chwili?

— Tego nie miałem w myśli panie. Ty byłbyś głową a Władysław ręką twoją

— Czyż potrzebuję jego dłoni? Czym nie pokonał Chmielnickiego?

— Chmielnickiegoś pokonał, ale nie pokonasz Chmielnickich, królu.

— Prawda, coraz więcej ich przybywa i przy

bywać będzie. Każda twarz rokoszem grozi. Ob. nie takiego, nie takiego potrzeba im króla!

Słuchaj Gremboszewski i śmieć się ze ranie.

Wiesz, czem nie byłem, wiesz ilem świata przejechał... a zawsze czy w rewerendzie jezuity czy w kardynała purpurze, czy w zbroi rycerza, polskie serce mi bito w piersi—i gdzieś nie był czy na lagunach Weuecyi, czy pod Neapolu niebem, czy w gwarnym Paryżu, lub gospodarnej Flandryi. tęsknota cisnęła duszę za tą Polską.

Wydrwiwano mnie. posądzano o niestatek, brat gromił mnie i lekkoduchem przezywał, a jam tylko do Polski ciągnął zawsze i Polskę jedne kochał duszą całą... i patrz że Gremboszewski ta Polska mi się odwdzięczyła, bo koronę mi dała, dła wszystko... a ja jestera tak nieszczęsnym, że jej uszczęśliwić nie mogę.

I tu zapłakał.

Patrzałem i słuchałem zdziwiony.

I tenże to Jan Kazimierz, o którym tyle sprzecznych nasłuchałem się gadań? Wróg Polaków i Polski, człek chwiejny i ambitny, złego serca, rozpustnik bez czci i wiary?

Było tam prawda i tego, i owego dużo, boć sam widziałem, aleć o brak serca chyba nikt go posądzić nie może.

Gremboszewski przypadł mu do nóg.

— O mój dobry panie! uszczęśliwienie Polski w waszem wielkiem królewskim sercu.

— Nie mój bracie, to za mało, powiek nie zam

knę spokojnie, póki jej przyszłości nie zbuduję zobaczysz.

— Niech Bóg: błogosławi waszym zamysłom,

— I ja mam mojego dobrego anioła... królowa... Tu zawoła! mnie Żabicki i już nie dosłyszałem reszty.

Trzeba się było mieć na baczności, bo Gremboszewski lada chwila mógł zawołać.

Byłem prawie pewien, że nam wyjedna posłuchanie i łaskę wyprosi.

Przez czas moich podsłuchów za kotarą, Salunia opowiadała Żabickiemu wszystkie swoje przygody, a patrzyłby nią z uwielbieniem, jak w obraz święty.

Po półgodzinnem oczekiwaniu, wyszedł paż i zaprosił mnie do króla. Wszedłem drżący.

Miałem go prosić o łaskę, nie zasłużywszy w niczem na nią.

— Witaj mi —rzekł z dobrocią.

— Szczęśliwym, że mogę upaść do stóp Wkr. mości, pana mego miłościwego.

— Rad jestem widzieć cię w dobrem zdrowiu, panie Scypio... Czy nie biada jaka?

Zmieszałem się trochę, bom myślał, że odrazu mnie zagabnie, a to Gremboszewski widać na nas zwałił przedwstępne zagajenie sprawy,

Miłościwy panie! rzekłem mam tyle z szczodroblewości nieboszczyka króla, że mi ua

życie wystarczy nie za sobą też prosić przychodzę.

— Bytem tego pewny, mów panie Scypio. jeślim w możności, nie odmówię.

Padłem do stóp królewskich i rzekłem ze Izami;

— Panie najdobrotliwszy! najprzód nie racz Wkr. mość brać za złe mój prośby—bo i za kimże to ja prosić będę! Prosić będę za człowiekiem który zdradził króla i ojczyznę, prosić będę za hersztem rozbójniczej bandy, za wichrzycielem, który pod mieczem kata ledz winien. Wstrząsnął kraj cały, zamącił umysł W kr. mości w chwili, kiedy zwycięzki twej oręż, ratował z toni ojczyznę... a jednak najmiłościwszy królu. ja śmiem was błagać o życie tego człowieka.

— powstań panie Scypio... O Kostce mówisz? Więc ten młodzieniec nie był tak złym, kiedy miał takich przyjaciół?

— Nie panie, Fatalność go popchnęła, Chowany na dworze, był celem urągania i szyderstwa rówieśników.

Z.azdroszczono mu łask pańskich. Dumny a pełen szlachetnych popędów zniecierpliwiał ich i gorycz owładnęła mu duszę... W takiej to chwili szatan podsunął mu bratobójcze żelazo... Ale o panie! ten człowiek już, już gotów był pójść z nami na poło chwały i z.apomnieć tych straszliwych pokus, ktore go szarpały, gdy posądzony przedwcześnie o zdradę, wolał ją spełnić, niżeli jęczeć pod zarzutem. Pobiegł w przepaść.

— Tak, straszliwe czasy... takich to one ludzi wydają. A któż zaręczy, że ocalony, znów nie podniesie rokoszu?

— Ja panie, ho znam tę duszę szlachetną w gruncie, ognistą a czynu chciwą, przytem ambitną. Daj mi miłościwy panie miejsce, jakie zdolnościom jego należy a wzrośnie z niego mąż, którym szczyścić się będzie ojczyzna. Kopano go nogami dotychczas. W duszy zemsta piekielna się ozwała.

— Widzę, jak gorąco go miłowałaś panie Scypio i widzę, że wart był tego, ale cóż ja dla niego zrobić moge? Tam senatorowie i szlachta żądają jego głowy... rokoszem grożą...

— Nie wszyscy—a w wrzawie bitwy, na którą ich znów poprowadzisz panie—zapomną.

— Podobno zbuntowane chłopstwo, posuwa się pod Kraków i uwolnić go pragnie.

— Płonne wieści.

— Przywiązanie twoje, mój Scypio. zbyt cię zaślepia, trzeba ważyć niebezpieczeństwo Rzpitej —ja sam boleję wielce, bo lubiłem tego młodzieńca, ale dla przykładu paść musi.

— Innych by to przykładem takim straszyc trzeba.

— Co mówisz panie Scypio?

Wtem Grembowski dał mi znak.

Zrozumiałem go dobrze.

Otwarłem drzwi i wprowadziłem Salomeję.

— Oto do mego rozpaczliwego głosu, jeszcze

jeden głos łączę —rzekłem. Pozwól miłościwy panie i jej litości błagać.

— Młode dziewczę—rzekł król zdziwiony—to jest...

— Panna Salomeja Krzysztofowiczówna. sędzianka stężycka...

— Czegóż żądacie mościa panno?

— Ja miłościwy panie odrzekła Salunia błada cała i drżąca.

— Zbliź się... nie drzyj... to prawie dziecko.

I ona, co patrzyła na śmierć z odwagą, tu straciła głowę zupełnie.

Trzeba było całej dobroci króla, aby ją ośmielić Powoli też odzyskała całą swoje energią.

— Królu i panie miłościwy... cześć dla waszego majestatu... Jam nie zwyczajna żyć w wielkim świecie... mowa moja szorstka... wychowana w stepach... przebaczenie mi królu, że gładkich słówek nie znam...

— Mówcie, jak wam serce dyktuje—rzeki król,

— O jak. z serca też jęk prośby mojej dobywam, do waszego ucha panie mój miłościwy. Katujcie mnie! Popęliłam czyn straszny... ale go spełnić musiała. Oto na dwie połowy x"ozłarte to .serce, walczyć musiało z obowiązkiem.

ByJam blizką szaleństwa, bo musiałam przytłumić w niem wszystkie tętna oddać wszystkie jego rozkosze i nadzieje, aby potem z rąk waszych

królu miłościwy otrzymać wszystko to, com postawiła. Oh, spełnij prośby moje panie.

— Przebóg mówcież, proszę. Co możność ludzka zdziałać może, to wam przyrzekam.

— Pozwólcie, niech do stóp waszych padnę i łzami wdzięczności je obmyję, boś ty panie pomścił krzywdę mojej rodziny. Wymordowano mi ojca. matkę i braci. Ci sami zbójcy padli pod twym bohaterskim orężem. Niech Bóg ci za to zapłaci, panie! Dziś jestem błędną tułaczką. U matki tego człowieka, za którym tu prosić przyszłam, znalazłam dach i przytułek. Ona była i moją najczulszą i zaklęła, że jej jedyne syna ratować będę.

— Ty dziecko?

— Pobiegnę za nim w góry—rzekłem—aby go odwieść od zdrady. Przebiegała drogi, ostrzegając o rokoszu i wreszcie w Czorszyńskim zamku...

— Oh, nie mówcie tego, co mi wstydem rumieni lica, ale mogłazem postąpić inaczej? Zabić go chciałam, a ręka odmówiła mi posłuszeństwa i uczucie trwogi tłumilo mi oddech. I ja, com patrzyła na śmierć mych rodziców i braci, drżałam w końcu o jego życie. Oh, bo nie wiecie miłościwy panie, ile w tej duszy Bóg skarbów złożył. Nazwano go hersztem, co szlachetnością duszy z bohaterami mierzyć się może. To prawdziwy syn królewski, którego świat niewdzięcz

ny zamiast purpury, przyodział wżgardy szatą. Wróćcie mu miłościwy panie to. co lada żebrak mieć może—godność ludzką.

— Zadziewasz mnie dziewczeczko... w życiu racjom nic podobnego nie widziałem. Tyle odwagi, rozumu i serca. Ależ ja teraz widzę, że uwolnić Kostkę i pożenić was trzeba.

— Bolesny to żart panie. On po rękę księżniczki sięgnąć może.

— Ależ kto tak wymownemi słowy bronić potrafi, ten nie tylko samą litość uczuwa.

— O tak. panie! Nienawiść i miłość walczyły we mnie dotąd, teraz jedno ustąpiło drugiemu. Teraz już on nie hersztem i nie zdrajcą, ale nieszczęśliwym, którego ratować kosztem życia mojego muszę. Jam losem smutnym z nim związana. Jam nieszczęsna przyczyniła się do jego więzów, pozwól więc najmiłościwszy panie, abym go z nich wywiodła i wróciła ojczyźnie marnotrawnego syna, który życiem szlachetnem odplaci wszystkie te rany, co jej zadał.

Król patrzył długo na Salomeję. ona się płoniła i mieszała, wreszcie zwracając się do Greniboszewskiego, spytał:

— I cóż mój Gremboszewski? —po której stronie prawda? Tam senatorowie i cały stan rycerski woła śmierci... a tu proszą o jego życie.

— Chyba tu królu.

— I ranie się tak zdaje. Bodaj mi pióro i papier.

Siadł, napisał i oddając papier Salomei, rzekł z niewypowiedzianą dobrocią:

— Masz dziewczeczko. Gdzie tacy proszą, tam królowie powinny mieć więcej, niż mają. aby nigdy odmówić nie mogli.

Tem mnie chwycił za serce tak. zem mu do końca mojego życia poprzysiągł miłości wierność. I Bóg widzi, że dotrzymałem słowa. Salomeja padła mu do nóg.

— Oh, królu wielki i wspaniały niech ubłogosławione będą wszystkie dni twego życia. Niech te łzy radości, które wyciskasz ludziom, Bóg zmieni w drogie perły dla ciebie.

— Dostyc panienko! Spiesz z tym papierem, abyś zapóźno nie przybiegła.

Ucałowaliśmy jego ręce i stopy i rzucili się w drogę.

Oh. najukochańsi. wracacie mnie do życia wołała Bzowska. Spieszmyż wszyscy do niego. Dziś dzień szczęścia i wesela. Od dziś poczniemy inne życie. Dziś powitam syna mego, jak gdyby nowonarodzonym i od dziś dopiero będzie urastał w męża, co pożytek i sławę ojczyźnie nieść będzie—zobaczycie. Oh, jakżem szczęśliwa! Więc i dla mnie jeszcze wybiła godzina radości, za mąk tyle i cierpień. Pójdźmy! Lecz nie myślcie, bym w tej radości zapomniała o moich dziś obowiązkach? Oh. będę matką surową.

Łzami pokuty i żalem wielkim za grzechy, rozpocząć musi ten drugi żywot. Idźmy!

Ułożyliśmy, że Salomeja pobiegnie s listem ulaskawienia do starosty, podczas kiedy ja z Bzowską, udamy się do wieży.

Wprowadzono nas do jasnej, dużej izby.

przy stole siedział Bzowski z panem Jarockim.

Zacny ten człowiek, staczał wałki z starostą i wymógł tyle. że dano inną celę Bzowskiemu i pozwolono go odwiedzać.

Gdyśmy weszli, prowadzili ze sobą żywą dysputę.

Bzowski wyglądał znękany i przybity okrutnie.

Wycierpiane męki. żal i rozpacz, wyłobiły swoje ślady ua tem żelaznem cielem.

Zobaczył nas u proga —zerwał się. wpatrywał czas jakiś, potem wykrzyknął przeraźliwie i padł znowu na krzesło, zakrywając twarz rękoma.

Bzowska chciała postąpić, ale jakby ją co przykuło do miejsca —została.

Jarocki patrzył, nic nie rozumiejąc.

— Kto jest ta kobieta? Co tobie? Bzowski wstał, trzęsąc się. jak we febrze.

— Co się tu dzieje? Czy to sen—czy to widmo? Czy rozum mój się błąka? Ja szaleję! ratuj mnie panie Jarocki, potem postąpił ku niej drżącym krokiem.

— Wielki Boże! Una? Matka! Matka moja. Bzowska patrzyła nań ciągle milcząca, ale wi

dać było, że walczy z sobą... wreszcie jakby przewyciężając miłość macierzyńską, rzekła surowo:

— Ka kolana nędzniku!

— Matko, ty żyjesz?

— Podniosłam trumny wieko i wyszłam z grobu, aby wyrodne dziecko moje wrócić światu i aby pokutą okupiło zbrodnie swoje.

— Matko! wołał wciąż Bzowski, nie mogąc się oswoić z swym stanem i przecierając ręką po czole, jakby mary jakieś odpędzał.

— To ja, matka twoja. Na kolana padnij synu wyrodny. Żyję dla tego, że i ty żyć będziesz, bo gdyby na rusztowaniu upadła głowa twoja, jużbym z grobu mego nie wyrzała.

— Oh, matko! krzyknął Bzowski, rzucając się przed nią na kolana i całując jej nogi.

— Gdyś wstąpił w zbójców zgraję, jam zmarła dla ciebie i dla świata, a tyś nędzny lży jednej nie uronił za matką i wydrwił jej przekleństwo. Poszedłeś w bój z ojczyzną i ona wydała sąd na wyrodnego syna i za chwilę głowa twoja miała się stoczyć. Baska królewska darowała ci życie i ja matka biorę cię wraz z niem i temu światu, który łaskę sądu zламаł nad tobą, dam syna drugiego, oczyszczonego pokutą, odrodzonego cnotą. Czy ty to pojmujesz niegodny? Nie mam uścisku dla Ciebie, nie mam jednego przychylnego słowa. Tę wielką miłość, którąś niegdyś grzeszyła, wyrwałam z serca i na ołtarzu utrapionej złożyłam ojczyzny, tam tylko podjąć syn mój ją może.

— Matko!

— jeszcze się patrzysz we mnie niewiary wzrokiem; takżeś to zagrzał nieszczęsny w zbrodni, żeś prostej cnoty we mnie odczuć niezdolen? Rozgłosiłam śmierć moją przed światem i przed tobą. bo dwukrotnej hańby nie chciałam dźwigać w obec ludzi. Mury klasztorne mnie schroniły. Czekajam śmierci, albo ocalenia twojego. Nie przyszła a ty mi wracasz, śnać Bóg litościwy, na większe próby mnie zachował.

— Matko, matko moju najdroższa, oto w proch wyrodne dziecko twoje pada i kraj twej szaty łzami radości zlewa. Oh. najszlachetniejsza a matek gdybym miał nie jedno życie, ale ich tysiąc, wszystkie bym oddał za ciebie. Ty żyjesz—a ja rozpacza i bólem wściekłym targałem piersi moje, bom nie miał już nikogo na tym świecie, bo ta święta iskra miłości, którąś żywił dla ciebie, ustąpiła miejsca wściekłości dzikiej... lecz teraz wraca... Oh. wraca na nowo do duszy. Ty żyjesz, a więc i ja żyć pragnę... a pragnę żyć tak, że światu wzorem stanę. Oh. więc jest Bóg wielki i sprawiedliwy, kiedy mi takie szczęście zgotował. A jam bluźnił szalony! Oh, precz wy myśli szatana, coście na skrzydłach pychy do mordów i pożogi mnie wiodły. Precz dzikie żądze niegodnej sławy... ty nienawiści padaj tu przed tym aniołem miłości i poświęcenia!

Jam dziś aniołem kary i pokuty dla ciebie. W tej kaźni zostaje Kostka, dumny herszt, nie

szczęsny syn królewski, a wychodzi zeń biedne szlacheckie chłopię, którego przeznaczeniem praca i miłość ojczyzny. Wszystkie dobra ziemskie rozdałam klasztorom i ubóstwu. zostały nam tylko ręce.

— Oh, tak! przez ten ogień piekielny odrodzę się na nowo, matko droga. Spaliły się już wszystkie żądze, co mi targały duszę nic, nic więcej nie czuję, prócz miłości wielkiej dla ciebie. Oh. matko droga, to szczęście, które mnie teraz spotyka, jest tak wielkie, że ja nie wierzę w jego trwałość, zdaje mi się snem wszystko, a przecież to prawdą jasną.

— Niech Bóg pochwałę będzie—rzekł Jarocki, ocierając oczy.

— Tu na zadatek twego przyszłego życia, ten szlachetny młodzieniec przebaczenie i przyjaźń ci swoje wraca.

— Wrócił on mi ją wtenczas, kiedym jej najbardziej potrzebował.

— Jam go kochać umiała, tylko zaślepiona i bezrozumna. Czemu dziś zaś jestem, zawdzięczam nie sobie.

— Sałomeja! —wykrzyknął Bzowski.

— Ona oddała cię w ręce wojaka, ona wyprosiła ulaskawienie królewskie.

byliśmy wszyscy szczęśliwi i dobrej myśli, brakło nam tylko jej. Sałomei, aby się oddać radości zupełnej.

Czemuż nie wraca tak długo!...

jakieś przecucie złego wionęło po nas.

Gdy wtem usłyszeliśmy z dołu jej przeraźliwe krzyki, które nas przejęły dreszczem.

W chwilę potem otwarły się drzwi i wpadła do izby blada śmiertelnie w pół obłąkana, krzycząc:

— Wydarto mi łaskę królewską i zniszczono w mych oczach.

— Co mówisz, nieszczęsna?—zawoła Bzowska.

— Odrzucili, nie poszanowali woli monarchy zelżyli majestat dobrego króla.

— Tale być musiało rzekł Bzowski z rezygnacją.

— Dziewczyno okrutna wrzasła Bzowska. chwytając ją za ręce —dałaś mi szczęścia szczyptę, a teraz sztylet wbijas w serce?

O tak. prawda, grzmij przekleństwami matko! Jam go zdradziła, jam potem wyprosiła dlań łaskę, a ci zniszczyli wszystko.

— Starosta?—zapytałem.

— On, nieugięty, straszny.

— Król ulaskawił dziecko moje, a oni... Oh, nie doczekacie tego szatani. Czyż władza królewska cieniem już w tym narodzie?

— Niestety.

— Szymonie! ty pod katowską rękę dasz głowę? Oh, Bóg nie będzie tak okrutnym! Na to żem przemodliła resztę mojego życia w ustroniu, postami i pokutą gnębiłam ciało, abym widziała w nagrodę, jak mi zabijają syna? I ty niegodna pozwoliłaś wydrzeć z rąk swoich królewską la

skę? Ob, ja szalona, komuż to powierzyłam życie mojego dziecka!...

— Oh. prawda—rzekła z rozpaczą.

— Matko moja biedna!

— Nie... przebac mi Salomejo... przebac mi bohaterko ty moja... wszakżeś ty poszła za nim... tyś ranie już gasnącą pokrzepiała w rozpacz i powróciła mi syna. Oh Szymonie, tyś pojąć niezdolny, czym jest dla mnie to dziewczę! Tyś nadludzkiej cnoty dziewica... i oni poszanować to w tobie muszą. Oni się zlitują mej doli strasznej. Oni nie podniosą ręki na to dziecko. Szymonie, oh Szymonie, zabijają cię razem ze mną!

I rzuciła mu się na szyję, cisnąc go do piersi.

Bzowski wybladły chwiał się na nogach.

— Oh, .straszna godzino! Matko moja najdroższa, czyś po to mi wrócona, abym cię stracił na nowo i w tak okrutnej chwili. Szedłem na śmierć z rozkoszą, boni myślał, że nic nie zostawiam na ziemi, biegłem. aby się z tobą złączyć... teraz gotówem błagać o życie dla ciebie matko.

— Tak, tak. ty me umrzesz Szymonie... ty nie możesz umrzeć! Pójdziemy obie rzucimy się do nóg starosty, rzuci m się do nóg biskupa i senatorów... toż u nich serca nic z kamienia... i wy. wy czcigodny panie prosić za nami będziecie,

— Resztę życia poświęcę—rzekł Jarocki. —Powiedźcie mi panno, jak to być może. jaki powód, że łaskę królewską zniszczono?

— Odebrano wyrok przed chwilą podpisany przez króla. Mówią, że górale chcą odbić więźnia. Rozruch w mieście, żądają jego głowy.

Utopiła swoje dłonie we włosach i tak siadła z wzrokiem utkwionym w ziemię.

— My wyjdziemy z tej katowni krzyczała Bzowska. Ja moim głosem rozpaczy rozedrę uszy ludzkie. Pójdźcie, pójdźcie ze mną. Prowadźcie mnie do króla, do senatu!

Wszedł kat i dwóch oprawców.

— Pójdźcie! po cóż ta zwłoka?

— już czas—rzekł kat.

— Oh, niech że się kończy —jęknął Bzowski.

— Precz... precz od dziecka! Nie "waż się dotknąć tej głowy... bo to królewska głowa. Puszczaj mnie nędzny... Oli. puszczajcie mnie. pójdę do nich, do króla!

Głowa jej się trzęsła coraz bardziej i obłęd ją ogarniał.

— Matko, bądź zdrowa!

— Synu!—krzyknęła straszliwie, obejmując go rękoma i cisnąc mocno do piersi.

— Ulitujcie się nad nią, nademną,.. Boże okrutny, czy Iak wielką winą zgrzeszyłem, żeś mi taką karę zgotował?

— Matko nieszczęśliwa—rzekł Jarocki. Była to chwila, na wspomnienie której i dziś jeszcze włosy mi dębem stają na głowie.

— Rozdziekie ich—rzekł kat do pacholków. Nie dotykaj mej matki! Najdroższa, naj

ukochańsza moja... oszczędź mi w godzinę śmierci tej rozpaczy i bólu. Tyś mężną... nie daj mi skonać wobec tłumów, śmiercią nędznika... pomnij, czem jestem... chcę umrzeć, jak bohater... Żegnaj mi droga... tam... tam ua lepszym świecie.

Bzowska wciąż go trzymała w rękach, jak w kleszczach,

Wszedł podstarość.

— Pełń powinność—rzeki do kata.

— Ha, to on! —krzyknęła Bzowska. —Zabijasz dziecko i mnie razem. Ulituj się... jam tyle wycierpiała... nie zabieraj jedynej mojej pociechy... wszakże król mu przebaczył.

— Ale Rzplita potępiła. Precz z nim!

— Synu!

Padła martwa, głową o kamienną posadzkę.

Wyprowadzono Bzowskiego.

Salomeja dotąd milcząca, zerwała się, popatrzyła obłąkanym wzrokiem.

— Rzeczpospolita! Ha! ha! ha! ha! Oh. straszna ona, ta hydra z milionem serc i głów milionem... a w każdym sercu robak pychy i zemsty... a w każdej głowie myśl tak mała, tak maluczka, że z tych milionów wielkiego człowieka nic zbudować. Czekajcie! czekajcie! ofiar jej trzeba,.. Dorzucę im do tego, co tam wzięli w krzysztoforskim dworze... Czekajcie!

Potem obracając się do Bzowskiej;

— Tyś zmartwychwstała matko... teraz ja się

w grób położę... wszakże to wszystko jedno... Czekajcie! I wybiegła.
Mnie się obłęd chwycił.

Nie wiedziałem, gdzie bież i kogo ratować. Bzowska tknięta paraliżem dogorywała. Wybiegłem za Salomeją.
Znikła—usłyszałem tylko wołanie:
— Na pomoc! ratujcie! Wybiegłem z zamku furta ku Wiśle.
Stała gromada ludzi, pokazując na wodzie punkt ciemny.
Dwie łódki rybackie goniły za nim.
Skoczyłem w Wisłę.
W głowie mi szumiało, bilo młotami.
Słyszałem dzikie wrzaski Bzowskiej, rozpaczliwe słowa Bzowskiego, krzyk Salomei i nie wiem już nic więcej.
Gdym przyszedł do przytomności, znalazłem się u Podgórze.
Obok mnie zwłoki Salomei.
Tłumy ludu szły na Krzemionki.
Tara miała, się odbywać egzekucją.
Między ludem słyszałem głosy oburzenia:
— Krew królewska! krew królewska! to hańba! odbijmy! uwolnijmy krew królewską!..
— Krew królewska na palu!
— Katujcie! ratujcie krew królewską! krzyknąłem do nich.

Lud mnie otoczył i podążyliśmy ku Krzemionkom.
Coraz ich więcej przyłączyło się do nas po drodze.
Byli zbrojni w kosy i siekiery.
Wtem na drodze od Mogilan i Pcimia, zaroilo się tłumem wielkim.
Górale! górale!—krzyczano—idą z pomocą!
Był to rzeczywiście zastęp chłopstwa, który miał odbić Bzowskiego i uderzyć z nim na Kraków, a który posłużył potem za uniewinnienie staroście, że unieważnił królewską łaskę, prowadził go kulawy Grzela z Rzepnika szło za nim całe Podhale.
Dragonija rozpedziła tłumy, choć z forszą wielką.
Znalazłem się na Krzemionkach.
Wystawiono tam troistą szubienicę.
Wbito ostrze na pał sosnowy.
jedenaście chorągwi wojska okrążyło płac. pod dowództwem onego niefortunnego jordana, co umknął z pod Czorsztyna.
Nadjechały wozy.
W pierwszym stał Bzowski.
Był blady, jak chusta.
Spoglądał po tłumie zimno i surowo.
Niekiedy garbił się, jak gdyby go odwaga odstępowała—ale znów przypomniawszy sobie, prostował się.
Za nim na drugim wozie, jechali skrzepowani: marszałek i bakałarz.

— Szymoniel —krzyknąłem.
Zwrócił głowę w tę stronę, dojrzał mnie i rzucił ręką znak pożegnania.
— Krew królewska! Nie dajmy ginąć krwi królewskiej!—wrzasnęły znów tłumy.
— Wrzód królewski!—ryknął jakiś głos w tłumie wojska.
Odczytano mu wyrok, którego spokojnie wysłuchał.

Lecz gdy go poprowadzono na piaszczyste trawienie, gdy ujrzał pal i szubienicę, cofnął się z przerażeniem, potem się prostując dumnie i wznosząc rękę w górę, rzekł:

— Tam tak było napisano. Witaj!

Kat nie umiał dobrze wbić pala, po kilka razy próbował weń nim uderzyć.

Poląła się strugą krew.

Zakryłem oczy, padając na kolana.

Mówiłem drżącymi ustami słowa psalmu; *Judica me domine quoniam ego... **).

KONIEC TOMU DRUGIEGO I OSTATNIEGO.

Warszawa, Maj 2012 r.

*) Panie uczyn sąd o mnie, a tam ujrzysz moją niewinność...

